



Wolf
Serno
Medyczka
z Bolonii

Świat Książki

Serno Wolf

Medyczka z Bolonii

Z niemieckiego przełożyły *Eliza Borg Maria Przybyłowska*

*Dedykuję tę książkę wszystkim dwu- i
czworonożnym członkom mojego stada:
Micky'emu, Fiedlerowi (f16),
Sumo, Buschmannowi (f9),
Eddiemu i Olli.*

*Gdy tak znienacka moc niesamowita
Resztę mi duszy zabiera nikczemną,
Jedyna chęć trwa i przez mrok prześwita:
Tobie poświęcić moją myśl przyziemną *.*
Dante Alighieri (1265-1321)

* Dante Alighieri, *Życie nowe*, przełożył Edward Porębowicz, PIW, Warszawa 1960 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek).

Na końcu książki umieszczono suplement z sześcioma rycinami, dzięki którym Czytelnik może się zapoznać z metodami przeprowadzania rekonstrukcji nosa w szesnastym wieku.

Część 1

Marco

ZNAMIE

La voglia di vino

Jestem zapomnianą kobietą. Z czterdziestu ośmiu lat, które żyję na tym szalonym świecie, ostatnie szesnaście musiałam spędzić w najściślejszym odosobnieniu, oddzielona od ludzi, którzy byli mi bliscy, pozbawiona ich miłości, dobroci i wierności. Skazana na milczenie.

Szesnaście lat to cała wieczność, podczas której z trudem musiałam się uczyć godzenia z losem i pokornego pochylania głowy. A jednak wciąż mam ochotę zabrać głos i opowiedzieć historię mojego życia. Nie po to, żeby zadośćuczynić swej próżności, lecz by wydobyć prawdę na światło dzienne.

Chcę więc nazywać rzeczy po imieniu, chcę opowiedzieć, jak było naprawdę, w dobrej wierze, bez upiększeń i przemilczeń. Mówi się bowiem, że prawda jest niepodzielna, a połowa prawdy jest tym samym co kłamstwo.

Ten, kto czyta te słowa, będzie zapewne żył w odległej przyszłości, gdy arkady uniwersytetu w Bolonii dawno już runą, a wiatr zrówna ich pozostałości z ziemią. Mnogość wód spłynie do tych czasów rzekami Reno i Saveną, ale prawda zachowa swoje znaczenie, bo jest niezmienna aż do dnia Sądu.

Nazywam się Carla Maria Castagnolo. Urodziłam się w roku 1552 pod znakiem Barana, dlatego od zawsze mam we krwi właściwości tego znaku - gorące serce i chłodną głowę. Woda i ogień walczyły

we mnie o pierwszeństwo, odkąd zaczęłam myśleć. Niekiedy jednak bywałam też niedbała, uparta, a nawet mściwa, co wiodło do tego, że sama sobie stawiałam na drodze i sama siebie nienawidziłam. Niekiedy ciało moje było silniejsze od rozumu, a mój upór większy niż szlachetna wyrozumiałość. Dlatego często gubiłam drogę, popełniałam błędy, na których się uczyłam, chociaż zaprawdę nie jestem pewna, czy niektórych bym nie powtórzyła, gdyż niezłomna jest moja wola uczynienia świata sprawiedliwszym niż jest.

Wobec Boga wszyscy ludzie są równi, tak napisano w Piśmie Świętym. Jednak dlaczego chłop znaczy mniej niż szlachcic, biedny mniej niż bogaty, kobieta mniej niż mężczyzna? Dlaczego życie prostaczka jest mniej warte od życia mędrca, życie niewolnika - od życia jego pana, a zrzeczność medyka jest tym większa, im cięższy jest mieszek chorego?

Wszyscy rodzimy się nadzy i bez winy. Każde dziecko, pacholę czy dziewczeczkę, Bóg kocha jednakowo i każde z nich ma takie samo prawo do zdrowia, opieki i wzrastania, niezależnie od tego, w którym domu się urodziło. Jest to wiedza wynikająca z prawdy. Całej prawdy.

Dlaczego o tym mówię? Dlatego że zanim zacznę moją historię, chcę rozwiązać wszelkie wątpliwości co do moich przekonań. Chcę pokazać, jak zabarwione jest szkło, przez które patrzę na świat.

Kiedy wypowiadam te słowa, moja dłoń spoczywa na złotej masce. Jest to maska Wenus, bogini miłości, cielesnej żądzy i piękna. Maską jest chłodna i gładka, a dotknięcie jej powierzchni przemawia do moich zmysłów. Jej blask jest tak jaskrawy, że może wypełnić światłością ciemną komnatę. Przyjdzie czas, by opowiedzieć, dlaczego to jest mój najdroższy przedmiot, tak jak i przyjdzie czas, by opowiedzieć o moim słudze Latifie, który ofiarował się spisać te słowa. Latif jest wierny i dyskretny. Nic, co ludzkie, nie jest mu obce. Pomoże mi zachować moją historię dla potomności, także wówczas, kiedy będzie mowa o rzeczach, o których właściwie nigdy nie chciałam mówić.

Sama nie mogę już pisać. Od kilku lat męczy mnie drżączka, choroba, która obok innych podstępnych symptomów objawia się drżeniem rąk. Jednak nie chcę się skarżyć, *finche c 'e vita, c 'e spe-ranza* - dopóki życia, dopóty nadziei, jak się mawia.

Zaczynam więc.

Moim pierwszym wspomnieniem, a miałam wówczas trzy albo cztery lata, jest kłótnia. Gwałtowna kłótnia między dwiema kobietami, z których jedna była moją matką. Druga nazywała się *signora* Donace. Była klientką matki. Matka jako krawcowa szyła dla wytwornych dam bolońskich. Jednak tego ranka *signora* Donace bynajmniej nie wydawała się wytworna, bo krzyczała niczym żona kotlarza, podnosząc nową suknię i gwałtownie szarpiąc jej rękawy. Suknia wydała mi się ogromna, tak wielka jak chmura na niebie, nie była jednak biała, tylko czerwona jak ogień. Uszyta z jedwabnej organzy, miała podwyższoną talię i głęboki dekolt. Stanik i rękawy u góry przybrane były delikatną złotą pasmanterią, a po bokach zesnurowano je taśmami, których kolor pasował do przybrania.

Wtedy jednak tego nie widziałam. Widziałam tylko ogromną czerwoną chmurę, podczas gdy słowa obcej kobiety spadały na moją matkę niczym grad. Klientka nie życzyła sobie rękawów przyszytych na stałe, miały być odpinane, kolor ich miał być rezedowy, na dole miały być szersze, obszerniejsze i bardziej bufiaste oraz zaopatrzone w rozcięcia, głębokie rozcięcia, jak nakazuje moda, i czy tak chwalona *signora* Castagnolo nigdy nie słyszała o najnowszej modzie, w takiej szmacie ona, małżonka patrycjusza, nie będzie mogła się pokazać na Piazza Maggiore, skompromitowałaby się wobec znajomych i tak dalej, i tak dalej.

Im głośniej krzyczała *signora* Donace, tym ciszej mówiła matka. Powtarzała nieustannie, że uszyła suknię tak, jak zleciła jej łaskawa pani. Zrobiła to dokładnie według jej zamówienia, więcej nie mogła zrobić.

Signora wymyślała dalej, krzycząc na matkę: co ona sobie wyobraża, jak śmie zarzucać kłamstwo pani z najlepszego towarzystwa w Bolonii, to naprawdę przekracza wszelkie granice, ona do tego nie dopuści. Podniosła czerwoną chmurę i odrzuciła ją z wściekłością.

Do tej pory siedziałam cicho za belami materiałów obok stołu i bawiłam się lalkami, ale coraz głośniejsza zwada przestraszyła mnie i zapragnęłam uciec. Jednak nie udało mi się. Czerwona chmura poleciała w moim kierunku, nagle wypełniła pokój i pogrzebała mnie pod sobą, zasłaniając cały świat. Zaczęłam wierzgać nogami, tak że

w końcu zaplątałam się w materiał i nie mogłam się ruszyć. Ogarnęła mnie panika, zaczęłam krzyczeć wniebogłosy.

- Kto to tak wrzeszczy? - zapytała *signora* Donace. - Czy to dziecko?

- Tak, pani - odparła matka - to moja córka.

- Powinniście ją odzwyczaić od wrzasku, bo to świadczy o złym wychowaniu!

- Tak - zgodziła się cicho matka. *Signora* Donace szybko wyszła. Nigdy już nie wróciła.

Kilka lat później, dobrze to pamiętam, poprosiłam matkę, żebym mogła jej towarzyszyć w drodze do klientki w mieście. Mieszkałyśmy w skromnym domu na końcu Strada San Felice, na zachodnim przedmieściu, gdzie w krajobrazie przeważały pola i łąki. Ludzie cierpieli tu niedostatek; moja matka też często zadawała sobie rano pytanie, czy będzie miała co ugotować wieczorem. Ja jednak o tym nie wiedziałam, miałam inne kłopoty. Wabiło mnie duże miasto, pozdrawiające nas z daleka swoimi dachami i wieżami, a gwar miejski brzmiał w moich uszach niczym brzęczenie tysiąca pszczół.

- Mogę pójść z tobą, *mamma*? - zapytałam.

- Nie, Carlo - matka pokręciła głową. - Lepiej zostań w domu.

- Mamo, proszę! Nigdy jeszcze nie zabrałaś mnie ze sobą, zawsze zostawiasz mnie samą.

- Tak będzie lepiej, wierz mi.

- Tylko raz, tak cię proszę!

Zaczęłam płakać. Przygnębiała mnie perspektywa samotnego czekania na matkę przez wiele godzin. Nie było nikogo, kto mógłby mi dotrzymać towarzystwa, nie miałam bowiem ani rodzeństwa, ani żadnych krewnych.

- *Mamma*, bardzo cię proszę!

Matce niełatwo było mi odmówić, widziałam to i płakałam jeszcze głośniejsze, ale jej chwila wahania już minęła.

- Bądź rozsądna - powiedziała. - Niebawem wrócę, a jeśli *signora* Vascellini dziś mi zapłaci, kupię na targu kurę i ugotuję dla nas zupę.

- Nie! - Tupnęłam nogą. - Nie, nie, nie!

Ale ten protest na nic się nie zdał. Matka odwróciła się z westchnieniem. Widziałam, jak bierze duży wiklinowy kosz, w którym zwykła była nosić uszytą przez siebie garderobę, i rusza do drzwi.

- Nie możesz iść ze mną, Carlo. Kiedy podrośniesz, zrozumiesz dlaczego. Nie płacz już. *Arrivederci*, maleńka.

Drzwi trzasnęły, matka zamknęła mnie w mieszkaniu i zostałam sama.

Popłakałam jeszcze trochę, a potem się uspokoiłam. Dalszy płacz nie miał sensu. Usiadłam po turecku na podłodze i wzięłam na ręce Bellę, swoją ulubioną lalkę. Kołysałam ją i pytałam:

- Bello, dlaczego *mamma* nigdy nie zabiera mnie ze sobą? -Ale Bella, która umiała mówić jak wszystkie moje lalki, tym razem milczała.

Rozgniewało mnie to. Odłożyłam ją do łóżeczka i wstałam. Moje spojrzenie pobiegło do drzwi, które matka przed chwilą zamknęła.

- Chcę iść do pszczół - wymruczałam - tak, do pszczół. - Nie myśląc wiele, wyszłam przez okno do ogrodu.

Na dworze oślepiło mnie na chwilę słońce, ale tak często odbywałam w myślach drogę do miasta, że odnalazłabym ją, nawet gdybym była niewidoma. Matka w zapiętej pod szyję sukni bladozielonego koloru i z siatką na włosach przybraną szklanymi perełkami zdążyła się już bardzo oddalić. Przeszła przez most na Canale di Castiglioni i zostawiła za sobą mały kościółek Santa Maria de la Carita. Zaczęłam biec i szybko ją dogoniłam. Żeby mnie nie zauważyła, szłam po drugiej stronie ulicy, kryjąc się w cieniu domów.

Im bardziej zbliżałyśmy się do miasta, tym bardziej ożywiona stawała się Strada San Felice. Ze zdumieniem obserwowałam, jak coraz więcej ludzi pojawia się na ulicy, ludzi podążających w najróżniejszych kierunkach, barwnie odzianych, rozmawiających, śmiejących się, gwizdzących albo przeklinających, a pomiędzy nimi wozy, karety i nierzadko jeźdźcy na koniach. Ciągle się zatrzymywałam, żeby móc wszystko obejrzeć. Nie mogłam się napatrzeć ożywionemu ruchowi wokół mnie.

Niewiele brakowało, a straciłabym matkę z oczu, ponieważ nagle skręciła w lewo, w kierunku Piazza Maggiore. Ten ruchliwy plac w centrum Bolonii służył od wieków różnym celom: było to miejsce

parad, świętowania i zgromadzeń, targów i wystaw, a nawet egzekucji odbywających się przed Palazzo del Podesta. Przede wszystkim jest tam jednak wielka fontanna Neptuna, miejsce spotkań wszystkich mieszkańców miasta.

Moja matka jednak nie miała chyba zamiaru spotkać się z nikim. Szybko przecięła wielki plac i skręciła wkrótce w Via de Foscarari, gdzie zniknęła we wspaniałym patrycjuszowskim pałacu.

Poszłam za nią, by stanąć przed wysoką, dwuskrzydłową bramą. Znowu drzwi zagroziły mi drogę, pomyślałam z rozczarowaniem. Jednak kiedy, niepewna, przestępowałam z nogi na nogę, zauważyłam, że jedno ze skrzydeł bramy jest niedomknięte.

Zdecydowałam się. Postanowiłam być dzielna i weszłam do dużego domu. Wewnątrz przywitał mnie chłód, półmrok i nieprzyjemny zapach potraw z poprzedniego dnia. Zrobiło mi się zimno. Serce, które już przedtem biło mi jak *młotem*, tłukło się jak szalone. Ogarnął mnie strach. Nie, nie chciałam tu być! Za nic! Usłyszałam głosy z górnego piętra. Wsłuchiłam się w nie. Jeden z nich znałam. Był to głos mojej matki. Co za ulga! Tam, gdzie jest matka, jest bezpiecznie. Szybko wbiegłam po szerokich schodach na górę i wpadłam do komnaty, z której dochodziły głosy. Cieszyłam się, że już nie muszę śledzić matki, bardzo się cieszyłam. A ponieważ sama się radowałam, byłam pewna, że ona też ucieszy się z niespodziewanego spotkania.

Bardzo się jednak myliłam. Kiedy matka mnie spostrzegła, otworzyła usta, jakby ujrzała samego diabła, i wydała zduszony okrzyk. Kilka wytwornych dam siedzących przy owalnym stole, na którym stało wino, kandyzowane owoce i inne przysmaki, patrzyło na mnie z takim samym przerażeniem. Jedna z nich, kobieta z wydatnym biustem, zawołała:

- *Santiddio!* - i pokazała mi palcem: - Co to za kreatura? Matka starała się panować nad sobą i po chwili wykrztusiła z trudem:

- Przepraszam, *signora* Vascellini, to jest... moja córka. *Signora* Vascellini przeżegnała się.

- Niech Wszechmogący ma nas w swojej opiece. Ona ma *voglia di peccato*, znamię grzechu!

- Wierzcie mi, *signora*, to nie ma znaczenia, naprawdę nie ma.

- A skąd to wiecie? Co mówi na to proboszcz waszej parafii? Czy Kościół Święty w ogóle o tym wie?

Matka wyprostowała się gwałtownie.

- Dziecko zostało ochrzczone wobec Boga i ludzi w kościele Świętego Piotra.

- Natychmiast opuście mój dom!

- Ależ *signora, gentilissima signora!* Proszę o wyrozumiałość! Zaraz pójdziemy, tylko... eee... nie zapłaciliście jeszcze rachunku za błękitną suknię z brokatu. Przyniosłam ją wam już dwa tygodnie temu. Czy nie moglibyście choć części...

- Porozmawiamy o tym innym razem. Ta kreatura tak mnie przestraszyła, że nie mogę jasno myśleć. - *Signora Vascellini* rozejrzała się wokół. - Moje drogie, czy czujecie to samo?

Damy przy stole potwierdziły skwapliwie.

- Więć idźcie stąd, kobieto. Matka opuściła ramiona.

- Tak jest, *signora* - wyszeptała. - Ale biedne dziecko nie jest niczemu winne... - Wzięła wiklinowy kosz z wzorami do sprzedania i chwyciła mnie za rękę. Wychodząc, odwróciła się i zapytała cicho: - Czy mogę jeszcze przyjść do was, *signora*?

- Tak, tak, przyjdźcie. - Dla *signory Vascellini* rozmowa była zakończona. Zawołała jeszcze za nami: - Ale bez tego dzieciaka!

W drodze powrotnej milczałyśmy. Matka patrzyła prosto przed siebie, idąc coraz prędzej, tak że trudno mi było dotrzymać jej kroku. Czulałam, że bardzo ją upokorzono, wiedziałam też, że to upokorzenie miało coś wspólnego ze mną.

- *Mamma*, co to jest kreatura? - zapytałam. Matka zacisnęła usta i szybko szła dalej. Powtórzyłam pytanie.

- Nie musisz tego wiedzieć, jesteś jeszcze za mała.

- Zawsze jestem na wszystko za mała. Tak to już jest z dziećmi. Im bardziej szorstkie były odpowiedzi matki, tym gorzej się czulałam.

To prawda, nie posłuchałam jej i potajemnie poszłam za nią do

pałacu piersiastej *signory* Vascellini - to z pewnością było naganne. Jednak gwałtowna reakcja *signory* i jej przyjaciółek musiała mieć inny powód. Powód, którego nie znałam. Nie wiedziałam nic o zabobonach kierujących postępowaniem wielu ludzi. Nie wiedziałam nic o ich wąskich horyzontach, ich próżności i złośliwości, nie miałam pojęcia, że ich serca potrafią być twardsze od kamienia, a dusze czarniejsze od nocy. Czasem myślę, że byłoby lepiej, gdybym się tego wszystkiego nigdy nie dowiedziała, ale ten pogląd jest śmieszny i dowodzi słabości. Tak samo słaba czułam się owego dnia, kiedy wracałam z matką do domu. Zaczęłam płakać.

- A co to jest *voglia di... voglia di...*

- Przestań płakać, Carlo, proszę cię. - Matka zatrzymała się i odwróciła do mnie.

- Ale ta kobieta była dla nas taka wstrętna.

- Po prostu nie myśl o tym, co powiedziała *signora* Vascellini.

- Dobrze, mammo. Co to jest *voglia di...*

- Co oznacza *voglia di peccato*, wkrótce pewnie się dowiesz. Myślę, że o wiele za wcześnie. Zapamiętaj lepiej inne słowo, brzmi ono: *abiurool*

- *Abiurool* - powtórzyłam posłusznie. - A co to znaczy?

- To znaczy „wyrzekam się”. - Twarz matki przybrała uroczysty wygląd.

- Dziwnie to brzmi.

- Znaczenie tego słowa wyjaśnię ci kiedy indziej. *Abiuro* będzie chyba dla ciebie ważnym słowem.

- Tak, *mamma*.

Resztę drogi przebyłyśmy w milczeniu, jednak na chwilę przedtem, zanim dotarłyśmy do końca Strada San Felice, nagle zakłócono nasz spokój. Kilkoro niegrzecznych dzieci z sąsiedztwa ukryło się w pobliskich krzakach i wykrzykiwało głośno: *Strega!* i *Maliarda!*

Obelgi te skierowane były do mnie. Nieraz już bywało, że przezywano mnie czarownicą i wiedźmą. Dzieciaki były brudne, głośne i napastliwe. Zawsze unikałam spotkania z nimi i za każdym razem uciekałam tak szybko, jak się tylko dało.

Dzisiaj jednak nie musiałam tego robić. Byłam w towarzystwie matki, która przegoniła bandę łobuziaków.

- Nie słuchaj tych bachorów - powiedziała i pociągnęła mnie za sobą. - Już jesteśmy w domu.

Otworzyła drzwi i poszła do kuchni, gdzie rozpała ogień i zaczęła gotować ryż, bo skąpstwo *signory* Vascellini uniemożliwiło nam kupno kury na zupę. - Ryż też nas nasyci - powiedziała matka i posypała parujące ziarenka odrobiną gorgonzoli.

- Tak - zgodziłam się.

Odmówiliśmy razem modlitwę przed jedzeniem i zjadliśmy ryż. Kiedy skończyliśmy, matka odłożyła łyżkę i powiedziała:

- A teraz chciałabym się dowiedzieć, dlaczego poszłaś za mną do miasta. Wyraźnie ci tego zabroniłam, a ty zrobiłaś to mimo mojego zakazu. Dlaczego?

Przez cały czas obawiałam się tego pytania, ponieważ nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Zmarszczyłam czoło i postanowiłam mówić prawdę:

- Ach, tak sobie poszłam, chciałam zobaczyć pszczoły w mieście.

- Jakie pszczoły?

- Te, które ciągle bzyczą.

- Proszę?

- Ja je dobrze słyszę, *mamma!* Stąd je słyszę przez cały czas, ale w mieście nie ma żadnych pszczół.

Matka przyglądała mi się ze strachem i powątpiewaniem w oczach. Potem powiedziała jakby do siebie:

- Może tylko szumi ci w głowie.

Później słyszałam, jak modli się żarliwie przed domowym ołtarzykiem: - Panie wielki, dobry Boże - błagała - okaż nam swoją łaskę i zmiłowanie. Spraw, żeby nie spełniło się to, co napisano w Księdze Wyjścia, nie dopuść do tego, nie dopuść całą swoją potęgą... i pozwól żyć czarownicy! - W tym miejscu przerwała, a po chwili podjęła tak cicho, że ledwo ją słyszałam: - Czasem, o Panie, czarownice są nimi tylko na pozór.

Od tego dnia matka pilnowała, żebym nie mogła pójść za nią do miasta. Wiem, że robiła to z dobrego serca, ale czułam się zraniona

i odepchnięta. Dużo płakałam. Moją jedyną pociechą była Bella i jej towarzyszki, które dzieliły ze mną los. Zachorowały i potrzebowały pomocy.

Leczyłam je całymi dniami. Robiłam kompresy przeciw gorączce, chłodziłam im czoła i dbałam, żeby się należycie pociły, zawijając je w grube koce. Kiedy się wypociły, rozbierałam je, wycierałam do sucha i wkładałam im świeżą bieliznę.

Bardzo dbałam o pantaloney, kaftaniki i sukienki, o wszystko, co matka uszyła dla moich lalek w rzadkich wolnych chwilach. Ubranka musiały być zawsze czyste. Prałam je w wodzie z mydlnicą, płukałam i starannie rozwieszałam na sznurku. Kiedy zauważyłam dziurę, pilnie ją cerowałam - matka pokazała mi, jak się obchodzić z igłą i nitką. Raz nawet przyszyłam drewniany guzik, niezbyt mocno, ale Bella i jej towarzyszki zapewniły mnie, że dobrze to zrobiłam.

Kiedy nie cerowałam dziur ani nie przyszywałam guzików, darłam resztki materiałów na wąskie paski, by sporządzać szarpie na opatrunki, które mniej lub bardziej zręcznie zakładałam lalkom.

Z wełnianych szmatek robiłam kompresy i przykładalam je na miejsca, w które Bella i inne lalki zraniły się podczas zabawy.

Przynosiłam im wodę, poiłam je i robiłam papkę ryżową z kawałeczkami jabłek; karmiłam lalki, a kiedy się najadły, dawałam im jeszcze dokładkę, chociaż już nie chciały, bo wiedziałam, że chorzy potrzebują dużo dobrego jedzenia, żeby odzyskać siły.

Po kolei sadzałam je na maleńkim nocniczku, żeby mogły się załatwić, a potem wycierałam im małe tyłeczki.

Wolno, bardzo wolno wracały do zdrowia.

- Lepiej wyglądasz ostatnimi czasy - powiedziała matka któregoś wieczoru po powrocie do domu. - Bardzo się cieszę. Może spróbujesz zabawy z dziećmi sąsiadów, zamiast tylko bawić się lalkami?

- Nie!

- Wiem, śmiały się z ciebie, ale na pewno nie będą już tego robić. Dzieci szybko zapominają. Nie będą przecież wiecznie drwiły z twojej... hmmm... twarzy. - Matka przerwała.

- Nie chcę się bawić z dziećmi! Boję się ich. Bella i inne lalki też mówią, że bym nie wychodziła.

Matka usiadła i wzięła mnie na kolana.

- Powiedz mi, maleńka, ile masz lat?

- Zaraz będę miała siedem - odparłam z dumą.

- *Bene*. Jesteś dość duża, żeby wiedzieć, że lalki nie potrafią mówić.

Miło jest na nie popatrzeć, ale w rzeczy samej są tylko zabawkami. Chyba już to rozumiesz, prawda?

Nie odpowiedziałam. Oczywiście dawno już zadawałam sobie pytanie, dlaczego moje towarzyszki nie są tak żywe jak kot albo pies, które poruszają się o własnych siłach, miauczą albo szczekają, jedzą, kiedy są głodne, ziewają, kiedy są śpiące, albo uciekają, kiedy się czegoś boją. Zawsze jednak przerywałam te rozmyślenia, bo koniecznie chciałam wierzyć, że Bella i pozostałe moje ulubienice naprawdę żyją.

I mama twierdzi, że są tylko przedmiotami? Martwymi przedmiotami? Wargi mi zadrżały, do oczu napłynęły łzy.

- Ależ, kochanie - powiedziała matka - kto by tam zaraz płakał. Jesteś już przecież dużą dziewczynką, prawda?

Pociągnęłam nosem i skinęłam głową.

- No, widzisz. - Spojrzała na mnie w sposób, który już dawno u niej podpatrzyłam. Było to spojrzenie pełne ciepła i miłości, ale także niepewności i troski. - Być może - powiedziała - nie jest takie ważne, żebyś bawiła się z dziećmi, może to nawet lepiej, że się nie bawisz.

- Na pewno, *mamma*.

- Posłuchaj, maleńka, chętnie posłałabym cię do szkoły, żebyś nauczyła się czytać i pisać, ale szkoła kosztuje dużo pieniędzy...

- Nie chcę iść do szkoły!

- Hm, tak też myślałam. Mogłabym cię wysłać do ojca Edoarda z parafii San Salvatore. Kościół San Rocco jest przy Via delie Lame, niezbyt daleko od nas. Jego wielebność bierze za naukę tylko mały datek od czasu do czasu i w ogóle jest bardzo uprzejmy...

- Nie chcę!

- No cóż - powiedziała matka i wydało mi się, że mój protest jest jej na rękę. - W takim razie najlepiej chyba będzie, jeśli sama zacznę cię uczyć. Nie wychodziłabym wtedy tak często z domu. Chcesz?

- Tak, *mamma!* - zawołałam z zachwytem. - Chcę!

- Tak więc zrobimy.

Tymczasem w roku 1558 matka miała tak wiele zamówień, które wymagały jej częstej bytności w mieście, że nie mogła spełnić swojej obietnicy. Każdego dnia miałam nadzieję, że ze mną zostanie i zaczniemy naukę, i każdego dnia doznawałam rozczarowania. Znowu pozostały mi tylko Bella i jej towarzyszki, w których jednak wygasła iskra życia i ich obecność straciła dla mnie urok. Zamiast się nimi bawić, krążyłam po domu i coraz częściej stawałam pod drzwiami pracowni krawieckiej.

Pewnego dnia nie były zamknięte.

Z bijącym sercem nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Pokój był duży i jasny. Pośrodku stał stół do pracy. Kiedy go spostrzegłam, przed moimi oczyma ukazał się znajomy obraz: dwie kobiety stoją i sprzeczą się, jedna z nich rzuca wielką czerwoną chmurę w moim kierunku. Mimo woli się cofnęłam. Wiedziałam, że to nie sen. Dawno temu byłam już w tym pokoju. Rozejrzałam się, zadając sobie pytanie, dlaczego matka tak długo nie pozwalała mi tu wchodzić. Nie znajdowałam odpowiedzi, wszystko bowiem wyglądało dokładnie tak, jak zachowałam to w pamięci: dwa drewniane manekiny stojące naprzeciw siebie, bele materiału na podręcznym stole, wykroje, motki nici, igły, nożyce, szkatułki z guzikami, wstążkami, koronkami i innymi dodatkami.

A potem spojrzałam w wielkie zwierciadło i ujrzałam coś, czego nigdy dotąd nie widziałam - siebie. Siebie i swoją twarz.

Mówi się, że żadne ziemskie stworzenie nie potrafi rozpoznać siebie, kiedy patrzy w lustro. Ja jednak wiedziałam natychmiast, że to ja. Zbliżyłam się z wahaniem i przyglądałam się sobie zdumiona. Nie byłam bardzo wyrosnięta, za to szczupła, wyprostowana i o dobrych proporcjach, tylko głowa z długimi do ramion, kasztanowatymi włosami wyglądała na trochę za dużą w stosunku do ciała, jednak - jak dziś już wiem - było to zupełnie normalne u dziecka w tym wieku.

Moja twarz jednak w żadnym razie nie była normalna.

Cała lewa połowa miała kolor różowo-fioletowy. Powierzchnia ta wydała mi się obca i odpychająca, prawie monstrualna. Ciągnęła się od czoła poprzez oko, wzdłuż nosa aż do brody, od lewego ucha aż do kącika ust. Po raz pierwszy zobaczyłam, jak bardzo jestem oszpecona, i spostrzegłam, jak zmienia mi się wyraz twarzy. Jeszcze przed momentem zaciekawiona i pełna oczekiwania, nabrała wyrazu lęku i wstrętu. Wargi zaczęły drżeć, jakby zbierało mi się na płacz. Tym razem jednak nie rozplakałam się, byłam za bardzo przerażona. Przesunęłam ręką po powierzchni zwierciadła, tam, gdzie lśniła fioletowa płaszczyzna: było gładkie i nieprzeniknione. Potem przyłożyłam rękę do twarzy - i poczułam różnicę, którą nigdy dotąd nie zaprzętałam sobie głowy: skóra lewej połowy twarzy była bardziej szorstka niż prawej. O wiele bardziej; nie była też jednolita, lecz wyczuwało się zgrubienia. Tego było dla mnie za wiele. Zaczęłam rozpaczliwie płakać.

Trzasnęły drzwi.

- Wróciłam, maleńka, gdzie jesteś? - Kroki przybliżyły się. - Ach, tutaj! Kto ci pozwolił?...

Matka ogarnęła sytuację jednym spojrzeniem. Przytuliła mnie i wyprowadziła z pracowni. W kuchni usiadła i wzięła mnie na kolana.

- Nie płacz - powiedziała. - Kiedyś musiało się to stać. Szlochałam dalej, łzy płynęły same, drżały mi ramiona. Byłam najbrzydszym człowiekiem na świecie!

- Mamo, zdejmij mi to! - zawołałam.

- Obawiam się, że to nie zejdzie, maleńka - powiedziała matka. Chciała mnie pogłaskać po tym okropnym miejscu, ale odepchnęłam jej rękę.

- Zdejmij to, nie chcę tego mieć!

- To jest znamię, *voglia di vino* - powiedziała. - Nikt nie wie, dlaczego to się robi.

Nie mogło mnie to pocieszyć, tak samo jak następne słowa matki, które wypowiedziała na pewno w dobrej wierze:

- Będiesz musiała żyć z tym przez całe życie, maleńka. Tak, tak właśnie będzie. No cóż, może nic w tym złego, że już dzisiaj się dowiedziałaś. Powinnaś jak najszybciej do tego przywyknąć. W życiu

jest wiele rzeczy, które trzeba znieść, wiele znacznie gorszych rzeczy, wierz mi. Najważniejsze, że jesteś zdrowa. Jesteś dużą, zdrową dziewczynką i nie powinnaś już płakać. Prawda?

Szlochałam, zeskoczywszy z jej kolan. Pobiegłam do swojego łóżka, na którym leżały lalki, i skryłam wśród nich twarz.

Matka przyszła za mną.

- Tak - powiedziała - bardzo dobrze, pobaw się Bellą, to cię rozweseli. Zerwałam się i krzyknęłam:

- Bella nie żyje, sama tak powiedziałaś!

- No tak, tak. - Matka zrobiła bezradny gest. - Na pewno nie żyje, maleńka. Ale przecież wiesz to od dawna. Bella nigdy nie żyła.

Od tej pory zwierciadło było moim wrogiem. Z jednej strony unikałam go jak diabeł święconej wody, bowiem bezlitośnie ukazało mi, jak bardzo jestem brzydka, z drugiej jednak przyciągało mnie z przemożną siłą, bo miałam nadzieję, że stanie się cud i znamię zniknie z dnia na dzień. Za każdym razem jednak doznawałam zawodu.

Nienawidziłam go za to. Przeklinałam je. Nadałam mu nazwę *brutto nemico* - „wstrętny wróg”, i krzyczałam na nie, dlaczego mi to robi.

Oczywiście zwierciadło nie odpowiadało. Wisiało sobie milczące, w złotej ramie, i pokazywało ciągle ten sam obraz. Było tylko przedmiotem. Równie martwym jak Bella.

Skłaniało mnie jednak do myślenia. Zrozumiałam, dlaczego piersiasta *signora* Vascellini i jej wytworne przyjaciółki tak się przeraziły na mój widok i nazwały mnie pogardliwie kreaturą, pojęłam także, dlaczego dzieci z sąsiedztwa nazwały mnie obelżywie *strega* i *maliarda*. Nie zapamiętałam tylko dziwnego zwrotu, którym *signora* Vascellini określiła moje zniekształcenie twarzy.

Mijały miesiące.

Matka nic o tym wszystkim nie wiedziała. Tylko raz, kiedy znowu obejrzałam swoje odbicie w lustrze, uderzyłam z rozpaczą w szkło w miejscu, gdzie widniało znamię. Był to wybryk nieprzemyślany i nierozsądny i miał swoje następstwa: zwierciadło pękło promieniście,

a ja skaleczyłam sobie dłoń. Kiedy matka zobaczyła, co narobiłam, i otrząsnęła się z pierwszego strachu, czyniła mi gorzkie wymówki, myślała bowiem, że potknęłam się przez nieuwagę i upadłam na lustro.

Pozwoliłam jej tak myśleć, choć miałam wyrzuty sumienia, i z zainteresowaniem obserwowałam, jak zakłada mi opatrunek. Dalej gniewała się na mnie, chcąc więc odwrócić jej uwagę, wypowiedziałam pytanie, które często jej zadawałam:

- Gdzie jest mój ojciec, *mamma!*

- Twój ojciec nie żyje.

Tę odpowiedź już znałam. Tym razem jednak nie zadowoliliam się nią.

- Skoro ojciec umarł, to musiał przedtem żyć. Gdzie wtedy był, mamo?

- To długa historia i nie ma szczęśliwego zakończenia.

- Opowiedz mi ją!

- Może kiedyś opowiem.

- Proszę, *mamma!*

- Nie.

Kiedy matka w ten sposób mówiła „nie”, wiedziałam, że dalsze błagania nie mają sensu. Wzruszyłam ramionami i dałam za wygraną. Ale przynajmniej odwróciłam jej uwagę od stłuczonego lustra.

Odtąd za każdym razem, kiedy matka przepracowała całą noc i wczesnym rankiem wybierała się do Bolonii, żeby sprzedać swoje wyroby, zostawiała otwarte drzwi do pracowni - inaczej niż w przeszłości - prawdopodobnie sądząc, że przyzwyczaiłam się już do swojego odbicia w lustrze. Jakże się myliła! Nie miałam się do tego przyzwyczaić nigdy, ale wówczas obie o tym nie wiedziałyśmy.

Wracała przeważnie późnym popołudniem i pytała, czy odrobiłam lekcje, które mi zadała poprzedniego dnia. Był to dziwny moment, żeby rozmawiać o lekcjach, ale w ten sposób udawało jej się dotrzymać obietnicy i nauczyć mnie pisać, czytać i rachować.

Nauka przychodziła mi łatwo, tak łatwo, że zawsze szybko radziłam sobie z lekcjami, a potem nie wiedziałam, co robić z resztą dnia.

Zacząłam więc rysować. Siedziałam w warsztacie i rysowałam zwierzęta i rośliny, księżyc i gwiazdy. Rysowałam domy, wieże i wszystko inne, nie uwieczniałam jednak nigdy ludzi. Nie miałam kolorowych kredek, używałam tylko sangwiny, ale matka mówiła, że moje obrazki są tak żywe, że można sobie wyobrazić kolory.

Rysowałam dalej i zagłębiałam się w świat kształtów i perspektywy. Stawałam się coraz bardziej lękliwa i zamknięta w sobie. Prawie nic nie mówiłam. Kiedy matka mnie o coś pytała, odpowiadałam monosylabami albo wcale. Nocami się moczyłam; rano matka mnie za to ganiła, ale w ten sposób cała jej uwaga należała do mnie.

Oczywiście zauważyła tę przemianę i musiała się domyślać, że takie zachowanie ma przyczynę w mojej samotności. Mimo to pytała raz za razem:

- Co się z tobą dzieje, maleńka? - I za każdym razem odpowiadałam:
- Nic.

Minęły trzy lata, mniej lub bardziej spokojne. Miałam prawie dziesięć lat, kiedy matka oznajmiła, że skończyła ze mną lekcje. Powiedziała, że nie zdoła mnie już niczego więcej nauczyć. I rzeczywiście umiałam już dość dobrze pisać, czytać i rachować.

Było mi to jednak obojętne. Wszystko mi było obojętne. Nie sprzeciwiłam się więc, gdy matka pewnego dnia postanowiła uczyć mnie krawiectwa.

- Musisz się nauczyć jakiegoś fachu, maleńka - powiedziała i z miejsca zaczęła mi objaśniać różnice między ściegami. Znudzona kiwałam głową i nic nie mówiłam, gdyż właściwości ściegów znałam od dawna. Dostatecznie często widywałam, jak matka szyje.

W ciągu następnych tygodni uczyłam się od podstaw krawiectwa. Matka mówiła, że mam naturalne zdolności w tym kierunku, zręczne ręce i dobre oko. Jednak ta praca nie sprawiała mi radości, chociaż przychodziła bez trudu. Siedziałam przy drugim stole, który matka wstawiła do pracowni, i pomagałam jej. Na początku sporządzałam tylko wewnętrzne szwy sukien, później, kiedy moje ściegi stały się równiejsze, pozwoliła mi robić zewnętrzne szwy, widoczne na odzieży.

Matka chwaliła moją pracę.

- Robisz postępy, maleńka - mawiała. - Jeśli dalej będziesz się tak starać, wkrótce nie będę cię już mogła niczego nauczyć. Tak jak to było przy pisaniu i rachowaniu.

- Nie jestem już maleńka - odpowiadałam.

- Nie bądź taka zacięta. Jesteśmy razem, ty i ja, i to najważniejsze, zawsze tego chciałaś, prawda?

- Tak, *mamma* - odpowiadałam.

Następny rok przyniósł zmniejszenie zarobków matki. Nie dlatego, że bogate bolońskie damy nie mogły już sobie pozwolić na krawcową, lecz dlatego, że w pobliżu wybudowano trzy nowe domy, do których wprowadziło się kilka wielodzietnych rodzin. Nowe sąsiadki szybko się dowiedziały, że matka jest dobrą krawcową, i zamówiły u niej kilka zwykłych sukien. Matka wolałaby nie przyjmować tych zamówień, ale chciała mieć dobre stosunki z sąsiadkami, więc nie odmawiała im i dlatego sprzedawała swoje wyroby po cenach znacznie niższych, niż mogłaby zażądać od bogatych patrycjuszek.

Jednak mnie to odpowiadało. Miałam możliwość widywania i obserwowania innych ludzi.

Sąsiadki były prostymi, ale serdecznymi kobietami, a przede wszystkim nie miały przesądów. Jedna z nich była matką chłopca, którego los nazaczył zajęczą wargą. To ona pierwsza podeszła do mnie i powiedziała:

- Jesteś Carla, prawda? Ja jestem *mamma* Rosa. Mów do mnie Rosa, tak się przyjemniej rozmawia. - Mówiąc to, patrzyła mi swobodnie w twarz; nie omijała wzrokiem mojego znamienia ani też nie wpatrywała się w nie jak zaczarowana; mój wygląd był dla niej zupełnie naturalny. Od razu ją polubiłam.

Rosa została moją pierwszą klientką. Uszyłam jej kitel z wełny czesankowej, którego używała przy pracy. Miał półdługie, wąskie rękawy i łatwe do wiązania sznurowanie przy dekolcie, żeby po pracy wygodnie było ściągnąć go przez głowę. Był szary.

- Niepiękny kolor - rzuciła Rosa ze śmiechem - ale praktyczny! Nie widać na nim tak bardzo plam. Jeszcze zobaczysz, Carlo, czasem

jest ważniejsze, żeby rzeczy były praktyczne niż piękne. - Spoważniała. - Przekonasz się też, że drogie suknie wcale nie znaczą, że ich właścicielka ma rozum.

- To już zauważyłam - powiedziałam, myśląc o *signorze* Vascellini i jej przyjaciółkach.

- *Va bene* - odparła Rosa i łagodnie pogłaskała mnie po znamieniu. Po raz pierwszy pozwoliłam komuś na coś takiego.

Miesiąc później Rosa wyprowadziła się wraz z dziećmi. Jej mąż, *gargiolaro*, jak nazywano w Bolonii powroźników, został tknięty paralizem wskutek apopleksji. Ponieważ nie mógł już pracować, jego żona musiała poszukać tańszej kwatery dla siebie i dzieci.

Czułam się tak, jakby uderzył we mnie piorun.

- Rosa odeszła - powiedziałam matce wieczorem. - Sama nie zdoła utrzymać tego domu.

- Och, bardzo mi przykro - odparła matka. - Rosa była miłą kobietą. Ale każdy musi sobie jakoś radzić. Może to dobrze, że jej nie ma. Będziesz mi mogła więcej pomagać przy drogich sukniach. Wszystko w życiu ma słoneczną i ciemną stronę, trzeba tylko dobrze patrzeć.

- Jeśli tak jest, to nie chcę dobrze patrzeć - powiedziałam.

- No, nie bądź taka przekorna. Przygotowałaś coś na kolację?

- Nie - odparłam. - Nie jestem głodna.

W następnych dniach dziesiątki razy spoglądałam przez okno z nadzieją, że zobaczę Rosę, która uśmiechnie się do mnie i powie, że to był tylko zły sen. Tak się jednak nie stało. Opuszczałam znowu oczy na materiał i robiłam ścieg za ściegiem, podczas gdy matka wraz ze swoim koszem przebywała w mieście, aby zbierać zamówienia i oddawać gotowe suknie.

Praca, którą mi zadawała, coraz mniej mnie cieszyła. Chciałam sama szyć suknie. Pragnęłam opracowywać nowe kroje i być obecna przy upinaniu strojów i przymiarkach, kiedy bogate klientki zniżały się do tego, by odwiedzić nas w naszym starym domu. Matka jednak nie zgadzała się na to.

- Nie chciałam ci tego mówić, maleńka, ale przecież wiesz, jak twoje...
hmmm... miejsce działa na te kobiety. Proszę cię, spróbuj zrozumieć.

Tupnęłam nogą.

- Nie jestem maleńka, mam trzynaście lat i nie rozumiem tego! Rosie moje znamię nie przeszkadzało.

Matka zmrużyła oczy.

- Rosy nie ma. Wracaj do swojej roboty.

Oczy napełniły mi się łzami wściekłości, jeszcze raz tupnęłam, ale w tym momencie poczułam, jak coś spływa mi po nodze. Spojrzałam w dół i stłumiłam okrzyk.

Po raz pierwszy miałam menstruację.

Kiedy skończyłam piętnaście lat, zakończyłam naukę szycia. Moja praca czeladnicza, którą wykonałam na żądanie matki, była suknią z pomarańczowego batystu z wplecionymi weń złotymi ornamentami i błyszczącą lamówką. Miała podwyższoną talię, dopasowany kolorem aksamitny pasek oraz wąskie u dołu, a bufiaste na ramionach i łokciach rękawy. Spódnica była szeroka i rozcięta z przodu. Suknię tę uszyłam sama od pierwszej przymiarki aż do ostatniego ściegu. Podwyższona talia i krój rękawów były moim pomysłem, który urzeczywistniłam wbrew zastrzeżeniom matki.

Signora Carducci zachwyciła się suknią. Była dobroduszną, szczupłą jak na swoje lata kobietą z sąsiedztwa, na której przymierzałam suknię.

- *Grandioso, grandioso!* - wołała raz za razem, a ja cieszyłam się z jej zachwyty. Żałowałam, że nie mogę podarować jej sukni, ale matka powiedziała, że to nie wchodzi w grę, gdyż materiał był zbyt kosztowny. Trzeba próbować ją sprzedać jednej z wytwornych klientek.

Niestety moja praca czeladnicza, którą matka oceniła jako znakomitą, miała być jedyną suknią, którą wolno mi było uszyć samodzielnie. Moje zajęcia w pracowni matki nadal sprowadzały się do prostych, pomocniczych czynności. Dlatego w wolnym czasie zaczęłam znowu rysować. Teraz jednak nie rysowałam już dziecinnych obrazków, lecz ubrania. Projektowałam stroje. Szkicowałam spódnice,

eleganckie suknie i płaszcze. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego moda tak się zmienia, i dowiedziałam się, że szerokie, bufiaste, rozcięte rękawy mają swoje źródło w odzieniu lancknechtów, którym w walce potrzebne były swobodne ręce. Kogoś to zainspirowało i przeniósł ten krój na inne ubrania, dzięki czemu pojawiła się moda na odpinane i wymienne rękawy. Niektóre eleganckie klientki matki posiadały po dwadzieścia i więcej par rękawów i łączyły je z najróżniejszymi sukniami.

Wąskie, różnobarwne spodnie trykotowe być może podpatrzono u kuglarzy i akrobatów na jarmarkach. Berety w najróżniejszych fasonach były odkryciem warstw wykształconych i szlacheckich, zanim zaczęły święcić tryumfy na głowach prostych ludzi. Symara, podobna do płaszcza szata wierzchnia, podbita futrem, często też nim bramowana, mogła być wzorowana na strojach wojskowych, podobnie jak rozcięcia rękawów.

Te i inne rozważania doprowadziły mnie do wniosku, że w modzie nie ma niczego nowego, że wszystko pojawiło się już wcześniej w innej sytuacji. Trzeba tylko mieć dobre oko, żeby to rozpoznać.

Pewnego dnia zauważyłam na stole w kuchni kilka kart do gry i mój wzrok padł na waleta karo. Spodobało mi się to, co miał na sobie. Dlaczego jego ubranie nie mogłoby posłużyć za wzór do projektu kostiumu? Wzięłam swój czerwony ołówek i zaczęłam szkicować.

Odkryłam, czym jest kreatywność.

Następnej wiosny, a był to rok 1568, gdy skończyłam lat szesnaście, po raz pierwszy w życiu poważnie zachorowałam. Na zmianę było mi zimno i gorąco, czułam się słaba i męczył mnie suchy kaszel. Lekarz zbadał mnie, kładąc mi rękę na czole, i skonstatował to, co wiedziałyśmy z matką same:

- *Signorina* ma gorączkę.

- Jaki rodzaj gorączki? - chciała wiedzieć matka, bo lekarz, doktor Valerini, kazał sobie dobrze płacić. Medyk uniósł brwi. Nie był przyzwyczajony do pytań.

- No cóż, *signora*, jest wiele rodzajów *febris*. Może tu chodzić o gorączkę wyniszczającą, może także o gorączkę zmienną. - Znowu położył mi dłoń na czole. - A może to być gorączka głowy. Wszystko jedno, o jaką gorączkę chodzi, w każdym wypadku pokazuje to, że brak harmonii między sokami w ciele pacjentki. U *signoriny* musimy doprowadzić znowu do *eukrasie*. Najpierw jednak pytanie, *signora*: Czy pani córka cierpi na sufukacje?

- Na co, *dottore*?

- Ach, tego może pani nie wiedzieć: sufukacje to napady duszności.

- Nie, o ile wiem, ma tylko suchy kaszel.

- Hm, hm, tak myślałem. Chorobę płuc możemy mimo to wykluczyć, a przeciw gorączce przepisuję młodej pani *camphora* i *senega*. Żeby uprzedzić wasze pytanie, *signora*: kamfora wzmacnia serce, sprawdziła się jako *analepticum*... Eee... *analepticum* działa wzmacniająco na nerwy i drogi oddechowe, jeśli chcecie to wiedzieć. Senegą natomiast zwiemy dobroczynny korzeń o działaniu wykrztuśnym. W ten sposób dobierzemy się chorobie do skóry.

Lekarz sięgnął do torby i oprócz wymienionych środków wyjął również wezykatorię, czyli plaster z kantarydyny.

- To *vesicatorium*, które zaaplikuję waszej córce nad piersiami, poradzi sobie z resztą. Przyjdę za dwa dni, żeby zobaczyć, czy jest poprawa.

- Dobrze, *dottore* - powiedziała matka i wysłuchała wskazówek lekarza, jak i kiedy stosować medykamenty. Potem zapłaciła mu honorarium: pięć *paoli*, ni mniej, ni więcej, tylko pół *scudo*. - Ale jeśli nie macie nic przeciwko temu, odczekamy trochę. Gdyby stan się nie poprawił, poślę po was.

- Jak chcecie, *signora* Castagnolo. *Arrivederci*. - Doktor Valerini wyglądał na nieco zirytowanego. Włożył beret, wspaniały okaz przybrany sznurami pereł i agrafami, i godnym krokiem opuścił nasz dom.

Jak się okazało, niezdiagnozowana przez doktora Valeriniego gorączka uporczywie nie chciała minąć. Kaszel zelżał nieco dzięki medykamentom, ale pozostały napady wysokiej temperatury. Chociaż

czułam się bardzo słaba i mój stan pilnie wymagał dalszego leczenia, byłam zadowolona, że matka postanowiła nie korzystać z kosztownych usług doktora. Nie wzbudził on we mnie sympatii i nie podobał mi się sposób, w jaki taksował wzrokiem moje znamię.

Dwa lub trzy dni później matka musiała pójść do miasta, tak że przez kilka godzin byłam sama. Leżałam w łóżku i wpatrywałam się w sufit. Widniało na nim kilka zblakłych fresków przedstawiających sceny z historii stworzenia. Widziałam Adama i Ewę, węża i jabłko, i kiedy tak patrzyłam w górę, dostałam znowu napadu gorączki, która męczyła mnie w ostatnich dniach. Zamknęłam oczy, bo miałam nadzieję, że zasnę i w ten sposób przetrwam atak. Nie zasnęłam jednak. Po pewnym czasie znowu otworzyłam oczy i ku swemu zdumieniu zobaczyłam, że Adam i Ewa ożyli i poruszają się. Poruszał się również wąż. Trzymał w pysku jabłko i podawał Adamowi. Zdumiałam się. Przecież to Ewa uległa pokusie i przyjęła jabłko, a nie Adam. To Ewa podała jabłko Adamowi, a nie wąż. Dzięki Bogu Adam w ogóle nie interesował się jabłkiem, nie był również nagi - zamiast listka figowego miał na sobie barwny kostium waleta karo. Ewa natomiast miała szeroką, jakby łuskowatą suknię, składającą się z listków figowych. Zdziwiłam się, a za chwilę miałam się zdziwić jeszcze bardziej, kiedy wąż zniknął i powrócił jako pszczoła. Pszczoła bzyczała bez ustanku, okrążając bardzo szybko jabłko, jakby szukała wejścia do owocu. Wydało mi się to zabawne; roześmiałam się. Za chwilę pszczoła przestała bzyzczyć, więc bzyczałam za nią, a kiedy Adam oświadczył, że chce na powrót być nagi jak go Pan Bóg stworzył, powiedziałam mu, że koniecznie musi pozostać w kostiumie waleta, bo ten kostium jest piękny. Wyliczyłam mu wszystkie szczegóły ubioru, ponieważ bardzo zależało mi na tym, aby go przekonać...

Nie wiem, jak długo nie było matki, w każdym razie zmierzchało już, kiedy obudziłam się z rozpalonym gorączką czołem. Postaci na freskach trwały znowu, sztywne i bez ruchu, na swoich dawnych miejscach i nic nie wskazywało na to, by mogły mieć w sobie życie.

Matka weszła do pokoju, usiadła na moim łóżku i wzięła mnie za rękę.

- Jestem w domu już od pewnego czasu, maleńka - powiedziała. - Dużo mówiłaś przez sen, jakieś nedorzeczości, które mnie zaniepokoiły.

- Tak, *mamma*.

- Jesteś pewna, że to ci się tylko śniło? Zastanów się. Skinęłam słabo głową.

- Widziałam pszczołę okrążającą w raju jabłko.

W oczach matki pojawiły się znowu lęk i wyraz wątpliwości, który już znałam.

- Pszczołę?

- Okrążała jabłko w raju i głośno bzyczała. Była zrozpaczona, bo nie mogła się dostać do środka.

Matka przełknęła ślinę.

- Tak, tak, oczywiście, pszczoła. Musisz się uspokoić, maleńka, nie podniecaj się, rozumiesz? Wyobraź sobie coś pięknego, aniołów w niebie, jak śpiewają, albo coś takiego, i nie ekscytuj się.

- Ja się nie ekscytuję. Naprawdę wyglądało to tak, jakby pszczoła chciała się dostać do jabłka.

- Oczywiście, widzisz rzeczy, których inni nie widzą. Ale z pomocą Bożą zaradzimy temu.

Nie wiedziałam, o czym matka mówi, lecz byłam zbyt słaba, żeby się dopytywać. Powiedziałam tylko:

- Widziałam pszczołę i jabłko. Widziałam też Adama, Ewę i węża.

- Pewnie, pewnie.

- Wszystko było na odwrót. Wąż trzymał w pysku jabłko, Adam miał na sobie kostium waleta karo, a Ewa łuskowatą suknię z listków figowych. Matka drżącym głosem zaczęła się modlić.

- Ale ja naprawdę widziałam, że wszystko było inaczej.

- Tak, tak.

Matka już nie słuchała. Jej wargi szeptały zaklęcia, które nagle zostały zagłuszone przez odgłosy dochodzące od drzwi. Matka odwróciła się gwałtownie.

- Dzięki Wszechmogącemu, myślałam, że już nie przyjdziecie, wasza wielbność!

Ojciec Edoardo, duszpasterz parafii San Salvatore, podszedł bliżej, coś mrużąc.

- *In nomine patri et filii et spiritus sancti* — splotywało monotennie z jego warg, podczas gdy w dłoni trzymał srebrny krzyż do wypędzania diabła. Był skupiony, jego powolne kroki przypominały sposób chodzenia różdżkarzy. - Jezus Chrystus, niech imię Jego będzie pochwalone, które to imię wypowiadam głośno i wyraźnie, którego imię wypędza demona z ciała, przywiódł mnie tu, aby... - Nagle zamilkł. - Co to takiego? Widzę na twarzy waszej córki *voglia di peccato*, znamię grzechu! Nie mówiliście mi o tym, kiedy mnie wzywaliście, *signora!*

Matka spuściła wzrok ze skrucą.

Tymczasem ja przyglądałam się ojcu Edoardowi. Widziałam potężnego mężczyznę z siwą brodą i blisko siebie osadzonymi oczyma. Ten mężczyzna nazwał właśnie moje znamię tak samo, jak uczyniła to kiedyś niepoczciwa *signora* Vascellini: *voglia di peccato*.

- Znamię grzechu nie ułatwi nam sprawy, *signora*, i wy to wie-dzieliście. No cóż, przebaczam wam. Najwyższy przydzielił mi na ziemi zadanie i nie będę się uchylał od jego wypełnienia. Podobnie święta Matka Kościół wybrała mnie, by wyganiać diabła z pomocą Chrystusa, powierzyła mi misję, którą... ach, jak na imię waszej córce?

- Carla, wielebny.

- Carlo, słyszysz mnie? Skinęłam głową i zakaszlałam.

Ojciec Edoardo wypuścił z ręki krzyż, wiszący na łańcuszku na jego piersi, i przeżegnał się.

- Dziewczyna mnie zrozumiała - zwrócił się do matki. - To dobry znak, jej dusza jest wciąż jeszcze w jej ciele, ale oprócz tego jest tam jeszcze coś, z czym walczy. Coś, co usiłuje wyrzucić, kaszłac. Jest to nieznane Zło. Jest tu, w tej izbie, czuję je. To cząsteczki, miazmaty, niewidzialne wyziewy, to są ekskrementy Złego, który chce ją pochłonać.

Matka jęknęła i chwyciła się za serce.

- Bądźcie silni, *signora*, zaufajcie mi, zaufajcie człowiekowi, który całym sercem oddał się Bogu. Zwrócę się do Złego i spróbuję odkryć jego imię, wypowiedziawszy przedtem stosowną groźbę. Słuchaj, zły duchu, książę ciemności: kimkolwiek jesteś, ty, który chcesz zawładnąć tą biedną duszą, silne ramię Chrystusa cię pokona i zniszczy! Złamie

ci rogi, diable, odbierze ogień, smoku, odrąbie wszystkie głowy po kolei, hydro, i wypali wszystkie twoje szyje. Wdepcze cię w pył i zetrze cię na proch. Kim jesteś, że ważysz się opierać Jezusowi? Podaj mi swoje imię!

Zakaszlałam znowu. To, co celebrował ojciec Edoardo, wydawało mi się niesamowite. Chciałam, żeby sobie poszedł, ale nie mogłam tego powiedzieć. Wyszepiałam więc:

- Już czuję się lepiej.

Ojciec Edoardo skinął głową matce.

- Jest odważną dziewczyną, chce wyrzucić Złego przez usta. Demon jest w niej, tyle wiem na pewno, bo wszystkie demony opuszczają ludzkie ciało przez usta.

- A więc kaszel Carli to nie choroba?

- To jest choroba, jeśli chcecie to tak nazwać. Ale przede wszystkim jest to oznaka jej walki z opętaniem. Z pomocą Syna Bożego wygra ją.

- *Grazie a Dio*\ Ale znowu tak okropnie mruzczała. Drżała jej przy tym głowa.

- To wszystko są oznaki poczynań demona w jej ciele. Pozwólcie mi dalej wypędzać Złego.

Ojciec Edoardo zdwoił swoje wysiłki. Znowu się przeżegnał i zawołał donośnym głosem:

- Podaj mi swoje imię, demonie! W potężnych rękach Pana staniesz się robakiem! Zwę cię robactwem, węzowym pomiotem, zwierzęcą padliną! Podaj mi swoje imię, powiedz, kim jesteś i dlaczego chcesz zniszczyć tę biedną duszę!

Zamilkł i wpatrywał się we mnie, jakby oczekiwał odpowiedzi. Ja jednak drżałam i nie potrafiłam wymówić ani słowa. Ten mężczyzna budził we mnie lęk.

- Wiedz, o przeklętniku ciemności, że ten człowiek jest ochrzczony! Bóg go stworzył na podobieństwo Jezusa Chrystusa, a Najwyższy w swej łaskawości pozwolił wejść temu człowiekowi do wspólnoty chrześcijańskiej, czego znakiem jest chrzest. Tak, ten człowiek jest naznaczony niewymazywalnym duchowym znakiem, znakiem, że należy do Chrystusa. Tak jest teraz i tak będzie zawsze, aż po kres wszystkich dni...

Zaczął dmuchać na mnie swoim nieświeżym oddechem, powtarzając to wielokrotnie, aż dostałam mdłości. Potem pluł na ziemię przede mną niczym woźnica, jakby opuściły go wszelkie dobre bóstwa, a mgielka jego odrażającej plwociny opadała na mnie, gdy wołał:

- *Ex-animo... ex-animo... ex-animo!*

Nie rozumiałam go, nie wiedziałam, jakie ma zamiary, bo nie znałam łaciny, nie przeczuwałam, że używał słowa, znaczącego tyle co „pozbawić oddechu” albo „przerazić”, albo „zabić”. Zaczęłam szlochać, drżałam na całym ciele, a on ciągnął dalej swoje zaklęcia:

- Wraz z chrztem Bóg zachęcił człowieka do wspólnoty ze sobą i nigdy tego nie cofnie. Nigdy nie stanie zło między Nim a ochrzczonym. Podstępny wężu, zwący się diabłem i szatanem, opuść tę biedną duszę, bo jesteś jej wstrętny. Kto grzeszy, ten pochodzi od diabła; do diabła należy, kto zawini przeciw Bogu. W czwartym rozdziale Ewangelii według Świętego Mateusza czytamy: „Idź precz, szatanie! Jest bowiem napisane: Panu, Bogu swemu będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz. Wtedy opuścił Go diabeł, a oto przystąpili aniołowie i usługiwali Mu”*. Zaprawdę, tak właśnie jest napisane.

Ojciec Edoardo zaklinał dalej potęgę Lucyfera, ale skutki jego wysiłków zdawały się go nie zadowalać, bo po pewnym czasie przerwał swój potok wymowy i poprosił matkę, żeby wzmocniła egzorcytyczną siłę jego słów i mówiła razem z nim „Zdrowaś Maryjo”. Matka, która dotąd cicho płakała, padła na kolana, złożyła dłonie i zaczęła szeptać:

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...

A kiedy się modliła, ojciec Edoardo znalazł wśród swoich utensyliów trybularz i zapalił kadzidło. Spowiły mnie białawe obłoki o ciężkim zapachu. Poczulałam się zagrożona, bałam się uduszenia. Charczałam, kaszlałam i krzyczałam wniebogłosy.

- *Ex-animo... ex-animo!* - wołał ojciec Edoardo w odpowiedzi. Jak z wielkiej dali słyszałam jego wołanie, w jego głosie brzmiał

* Mt 4, 10-11. Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z Biblii Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

tryumf, chyba sądził, że jest blisko celu. - *Ex-animo!* - Kołysał kadzielnicą przed moją twarzą, tak że dym zatykał mi gardło.

Zwijałam się, walczyłam o oddech, jęczałam i szlochałam. Kiedy to się wreszcie skończy?

- *Mamma!* - dyszałam. - *Mamma*, pomocy!

Jednak ani matka, ani ojciec Edoardo nie zwracali na mnie uwagi, zamiast tego słyszałam, jak oboje się modlą, ksiądz, stojąc i kołysząc kadzielnicą: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje; bądź wola Twoja...”, matka, klęcząc, z rękami opartymi na brzegu mojego łóżka: „Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinie śmierci naszej...”.

„...jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy...”.

Nie wiem, co się dalej działo. Przypuszczam, że w końcu moje ciało zlitowało się nade mną i zemdląłam.

Gdy się ocknęłam, potrzebowałam kilku dobrych chwil, żeby dojść do siebie. Przypomniał mi się piekielny spektakl, który urządził ojciec Edoardo, i na samą myśl o nim dostałam dreszczy. Co wstąpiło w tego człowieka, żeby wyczyniać ze mną takie niepojęte rzeczy? Przecież nie zrobiłam mu nic złego.

Ale on modlił się i omal nie udusił mnie dymem, stale powtarzał imię Boga i imię Jezusa, mówił o diabłach i demonach, dmuchał i pluł na mnie i powtarzał słowa bez związku, jakby opętał go szatan. Na szczęście jednak ojca Edoarda już nie było. Byłam sama w izbie. Mimo słabości usiadłam w łóżku, żeby wyrzeć przez okno. Był biały dzień, prawdopodobnie następny po wczorajszych okropieństwach. Po cieniach drzew poznałam, że musi to być przedpołudnie. Opadłam z powrotem na poduszki i ujrzałam kartkę papieru na kołdrze. Matka pisała:

Musiałam pilnie iść do klientki, ale ojciec do ciebie zajrzy. Nie myśl o niczym złym, maleńka, myśl o śpiewających aniołach. Mamma

W pierwszej chwili nie rozumiałam, co to oznacza. Nagle jednak zrobiło mi się gorąco i pojęłam, że ojciec Edoardo może się zjawić każdej chwili. Nie chciałam tego! Jakby tu uniknąć spotkania z nim? Zebrałam siły, żeby wstać z łóżka. Było jednak za późno.

- No, moja córko, jakże się czujesz? - rozbrzmiał głos od drzwi. Potężny sługa Boży zbliżał się do mnie, żegnając się krzyżem świętym, ale już nie tak solennie jak poprzedniego dnia. - Wypędzanie diabła z pomocą Bożą najwidoczniej ci pomogło. Daj mi jakiś znak, jeśli to prawda.

Nie pamiętam już, co mu odpowiedziałam, wiem tylko, że po raz pierwszy rozumiałam zwrot „wypędzanie diabła”, może dlatego że tego dnia wreszcie nie miałam gorączki. Wypędzanie diabła? Czy ojciec Edoardo chciał przez to powiedzieć, że siedział we mnie diabeł? Mimo niepewności, którą wywoływała obecność pobożnego męża, czułam wyraźnie, że we mnie nie siedzi ani nie siedziało nic złego. Nie mogłam mu jednak tego powiedzieć. Unikając jego spojrzenia, chciałam wstać i wybiec z izby, żeby pójść do ustępu na tyłach domu, bo ciążył mi pęcherz. Jednak ksiądz dwoma szybkimi krokami był już przy mnie i prawie przemocą wcisnął mnie w poduszki.

~ Nie powinnaś jeszcze wstawać, córko - powiedział, a w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju troski. - Szatan cię wprawdzie opuścił, ale w każdej chwili może się jeszcze zjawić. Powinniśmy się razem pomodlić, żeby z twojej duszy uczynić twierdzę, musimy cię uodpornić na zło. Położę rękę na twoim ciele i będę cię chronił, a kiedy moja ręka spoczywać będzie na tobie, nie zapominaj, że jest to ręka Boga. Ręka Boga jest dobra i wiedząca, zna miejsca, przez które diabeł chce się w ciebie wedrzeć i broni mu tego... o, co to jest?

Jego dłoń odkryła plaster od doktora Valeriniego. Był przyklejony trochę powyżej piersi, na wysokości oskrzeli.

- Wezykatoria - wyszeptalam nieśmiało. Leżałam sztywno w łóżku i pragnęłam tylko, żeby ojciec odszedł. Nie mogłam jednak tego powiedzieć, bo ksiądz był najważniejszy po Bogu, a Bogu nie można pokazać drzwi.

- Wezykatoria? No cóż, córko, myślę, że już jej nie potrzebujesz. Dzięki łasce naszego Pana i moim skromnym zasługom jesteś już

prawie zdrowa, pozwól mi zdjąć plaster. - Miał zamiar oderwać wezykatorię, ale nagle się rozmyślił. Jego ręka drgnęła i powędrowała na moje piersi, po omacku szukała drogi dalej, wędrowała od lewej do prawej piersi, wracała i wydawało się, że nie może się zdecydować, którą wybrać.

- Ojcze - szepnęłam - proszę...

- Spokojnie, moja córko, ta ręka jest ci życzliwa, nie zapominaj. Jest miła, ciepła i chroni cię. - Powiedział to chrapliwie, podczas gdy jego dłoń uciskała moje piersi, najpierw łagodnie, a potem coraz mocniej.

Zagryzłam wargi, bo sprawiał mi ból.

- Ojcze, proszę...

- Już dobrze, córko. Zmów ze mną modlitwę i chwal Boga, podczas gdy Jego ręka cię chroni. - I rzeczywiście zaczął się modlić: -Dziękuję, Najświętsza Matko Boża, dziękuję za twoje dobre czyny, których dokonałaś w imię Najwyższego i jego jednorodzonego Syna. Chwalimy cię i wysławiamy, Najświętsza Matko, łaski pełna, błogosławiona, i prosimy, żebyś dalej zapewniała wszystkim słabym ochronę przed wiecznym potępieniem, przed piekłem i dziełem szatana. Amen.

- Au! - Rzekomo chroniąca mnie ręka uszczypnęła mnie w sutek. - Proszę, ojcze, zabierzcie rękę.

- Nie. - Głos księdza zabrzmiał nagle zupełnie niepobożnie. Jego wzrok przeszywał mnie. - To ręka Boga. Jeśli chcesz mu być posłuszną, milcz.

Dłoń znowu zaczęła wędrować, poznawała mój brzuch, masowała go, w końcu doszła do pępka, wyprostowała się, żeby móc powiercić w nim palcem, ześliznęła się niżej, pociągnęła lekko za włoski, miała zamiar wśliznąć się między nogi i nagle cofnęła się, kiedy jej się to nie udało, bo mocno zwarłam uda.

Podczas tej wędrówki oddech księdza stawał się coraz szybszy. Zaczęłam krzyczeć i wrzeszczałam wniebogłosy, a ręka, która mnie przed chwilą napastowała, uderzyła mnie w usta, żebym zamilkła, ale nie chciałam milczeć, broniłam się, próbowałam dalej krzyczeć, lecz nagle, zupełnie nagle nie było już potrzebne, bo drzwi się otworzyły i zamknęły, i usłyszałam kroki.

Wróciła matka.

Weszła do izby blada z przerażenia, bo myślała, że diabeł nadal we mnie siedzi. Gdy ujrzała ojca Edoarda, odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu ojciec tu jest, już myślałam...

Ojciec Edoardo, jeszcze przed chwilą szalony, szybko się opanował i powiedział z uśmiechem:

- Zaprawdę, *signora*, trzeba było jeszcze pokonać ostatnie podrygi Złego, ale dzięki Bogu i mojej pomocy niebezpieczeństwo jest zażegnane. - Odchrząknął i spojrzał na mnie surowo: - Wasza córka czuje się lepiej, można ją uznać za wyleczoną, ale nie powinniście wierzyć we wszystko, co będzie opowiadała w najbliższych dniach. Może będzie od czasu do czasu miotała na mnie obelgi i oskarżenia, ale bądźcie spokojni. Ta reakcja jest normalna, to będą ostatnie podrygi rogatego, który przeklina swojego zwycięzcę Boga i jego narzędzie, czyli mnie. Wkrótce skończą się te reakcje wraz z kaszlem. Może być jednak, że wasza córka już od dzisiaj będzie zupełnie normalna i będzie mówić tylko o rzeczach pobożnych i przyzwoitych, tak miłych Bogu, prawda? - Pogłaskał mnie po policzku, a mnie prawie zemdliło.

Matka rozplakała się z radości.

- Jestem wam taka wdzięczna, ojcze.

- Dziękujcie nie mnie, tylko Bogu, którego jestem posłusznym narzędziem. - Ojciec wyciągnął prawą dłoń, a matka gorąco ucałowała jego pierścień. - Muszę już iść, *signora*. Będę pamiętał o was i waszej córce w modlitwach. Polecam was Bogu.

Chwilę później ojciec Edoardo wyszedł. Matka popatrzyła za nim i szepnęła:

- Co za pobożny, uczciwy człowiek.

Wieczorem usłyszałam, jak matka modli się przed domowym ołtarzykiem. Jej modlitwa wyrażała gorącą miłość do Boga i żarliwy podziw dla ojca Edoarda. Wkradały się do niej jednak elementy pogańskie, kiedy na przemian wymawiała formuły przeciwko Złemu, wspominała o talizmanach i fetyszach, a potem o relikwiach przynoszących szczęście i błogosławieństwo. Znowu odnosiła się do niesamowitego wersetu z Księgi Wyjścia: pozwól żyć czarownicy;

mówiła o całunie Chrystusa, który leczy i ochrania już przez samo dotknięcie, i błagała wciąż na nowo, żebym ja, jej biedna córka, uszła okrutnym szponom inkwizycji. Później kilkakrotnie powtórzyła: „Amen”, dodała „Niech się stanie”, nie wiedząc, że to oznacza to samo, i wreszcie udała się na spoczynek.

Ja jednak jeszcze długo nie spałam, bo okropności i upokorzenia, doznane od ojca Edoarda, wracały do mnie w myślach. Nie rozumiałam, co się stało, bowiem Kościół i jego przedstawiciele wiązałam dotąd tylko z dobrem. Nie mogło tak być, żeby ojciec Edoardo był złym człowiekiem z niskimi popędami - był przecież człowiekiem Boga.

Dziś wiem, że jest inaczej. Owszem, istnieje wielu duchownych, którzy żyją w ubóstwie i czystości, którzy ciężko pracują, czynią dobro i wiodą życie miłe Bogu. Można ich spotkać wszędzie na świecie, nazywają się cystersami, franciszkanami albo kapucynami, dominikanami, augustianami albo kartuzami, są mężczyznami albo kobietami, i takich jest przeważająca większość. Ale wśród nich są również tacy, którzy swojego zajęcia, służby Bogu, nie rozumieją jako powołania. Są podstępni i fałszywi - przeklinają żądze ciała, a sami im ulegają. Mówią o świętej Matce Kościele i stawiają znak równości między nią a sobą i swoimi pragnieniami. To bezczelność, która dowodzi, że Kościół jest dziełem ludzi i nie ma nic wspólnego z Bogiem.

Mówią: „Bóg tego chce”, a myślą: „Ja tego chcę”. Zaprzeczają faktowi, że wola Boga jest przez setki im podobnych rozumiana na setki sposobów, i nie dbają o to, że istnieje tylko jedna wola Boga: wola prawdy jako podstawy zrozumienia i pokoju, jako źródła wszelkiej sprawiedliwości i harmonii. Zatem jeśli istnieje tylko ta jedna zbawcza wola Boża, wszyscy inni, których czyny sprzeciwiają się jej, są w błędzie.

Jest właśnie tak, a nie inaczej, choćby dlatego, że tak nakazuje logika.

BUTY DLA NARZECZONEJ

Le calzature nuziale

Kocham wiosnę, bo jest to czas, kiedy Bolonia budzi się z zimowego odrętwienia, na ulicach zaczyna znowu pulsować życie, odradzają się ruch i krzątanie, a na Piazza Maggiore odbywają się targi jedwabiu, na których od zamierzchłych czasów zmieniają właścicieli larwy i gąsienice jedwabnika oraz liście białej morwy.

Podobnie było w roku 1569, roku, w którym moje życie wreszcie się odmieniło. Samotność, doskwierająca mi dotąd, opuściła mnie dzięki spotkaniu, o którym z początku nie sądziłam, że przyniesie bliższą znajomość.

O poranku jednego z pierwszych dni majowych ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi. Wahałam się, czy otworzyć, bo byłam sama i bałam się, że mógłby mnie odwiedzić ojciec Edoardo. Wprawdzie od owego okropnego wypędzania diabła więcej się nie pokazał, ale zachowywałam ostrożność. Uchyliłam odrobinę drzwi i wyjrzałam.

To, co zobaczyłam, nie uczyniło na mnie dobrego wrażenia. Była to szeroka, poczciwa i nieco chłopska twarz z krostami na czole i skąpym zarostem na brodzie. Należała do młodzieńca, którego głos doskonale pasował do jego niepozornego wyglądu:

- *Scuzi*, nie chciałbym przeszkadzać - powiedział.
- Nie dajemy jałmużny - odparłam. Pokręcił głową.
- Nie jestem żebrakiem, chciałbym porozmawiać z twoją matką.

Le calzature nuziale

- Nie ma jej.

- Och. - Po twarzy młodzieńca przemknął cień. - No, cóż... eee... ty jesteś Carla, prawda?

- Tak - potwierdziłam zdziwiona, że zna moje imię. Nie musiałam długo czekać na odpowiedź.

- Jestem Marco - powiedział - Marco Carducci, syn *signory* Carducci.

- Ach, to ty.

- Tak, moja matka była kiedyś twoją modelką. Mam na myśli twoją pracę czeladniczą.

- Tak, to prawda. - Przypomniało mi się, że chętnie podarowałabym wtedy suknię *signorze* Carducci, bo była miłą kobietą i z czystej uprzejmości kilka razy przychodziła do miary. Matka uważała jednak, że suknia jest za droga, by ją podarować, i suknia leżała od tej pory w skrzyni, czekając na którąś z zamożnych klientek ze śródmieścia.

- Masz jeszcze tę suknię? - zapytał Marco.

- Tak - odparłam.

- Chciałbym ją kupić.

- Co? - Byłam tak zaskoczona, że przez moment zapomniałam o swojej rezerwie i zwróciłam ku młodzieńcowi część twarzy ze znamieniem. Chciałam szybko odwrócić głowę, ale zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Marco przybliżył swoją twarz do mojej i uśmiechnął się. - Dlaczego się tak głupio uśmiechasz? - zapytałam nieuprzejmie, bo spodziewałam się, że Marco drwi z mojego wyglądu.

- Ach, nic takiego.

- Chcę wiedzieć, dlaczego się uśmiechnąłeś.

- No cóż... - Chłopak popatrzył na mnie pocziwie. - Nie jest to takie straszne, jak mówią ludzie.

- Nie jest straszne?

- Nie, naprawdę.

- Nie masz o tym pojęcia!

- Ja mam krosty. Jeden ma znamię, drugi krosty, trzeci jeszcze coś innego. Każdy coś ma. Sprzedasz mi suknię?

- Ach tak... nie. - Zapomniałam o sukni. Byłam trochę zmieszana. - Suknia należy do mojej matki, a przynajmniej materiał, z którego została uszyta. Nie mogę ci jej sprzedać.

- Mogę ją przynajmniej zobaczyć?

- Tak, jeśli o mnie chodzi. Ale tylko pod warunkiem, że mi powiesz, dlaczego koniecznie chcesz ją mieć.

- Chcę ją podarować swojej matce.

- Co powiedziałaś? Marco spoważniał.

- Matka kończy pięćdziesiąt lat. To godny wiek i szczególna okazja. A poza tym bardzo ją szanuję i kocham. Mogę teraz zobaczyć suknię?

Niechętnie wpuściłam go do domu. Wszedłszy, schylił się i zdjął wierzchnie obuwie. Były to buty w rodzaju tych, jakie noszą bogaci, żeby chronić drugą, elegancką parę pod spodem. Na wiosnę, kiedy wiele bocznych ulic jest mokrych i błotnistych, takie buty bardzo się przydają. Dziwne, że Marco, który na pewno nie należał do bogatych, miał takie obuwie.

- Jestem szewcem - odparł nie bez dumy, kiedy zauważył moje spojrzenie.

To wiele tłumaczyło.

- Ładne masz buty - powiedziałam, przyglądając się jego obuwiu z najelegantszej skóry wołowej. Sięgały ponad kostkę, były czarne i lśniące i ściśle przylegały do nogi. Szczególne było w nich to, że miały słupek pod piętą.

- Sam je zrobiłem - powiedział Marco. - Pokażesz mi teraz suknię? Wyjęłam moje dzieło ze skrzyni i położyłam na wielkim stole

krawieckim, żeby Marco mógł zobaczyć jego wytworny krój i staranną robotę. I rzeczywiście suknia zrobiła na nim wrażenie. Jego twarz wyrażała wręcz nabożny podziw, kiedy delikatnie głaskał szlachetny batyst pomarańczowej barwy.

- Teraz rozumiem, dlaczego matka tak marzyła o tej sukni. Jest naprawdę piękna.

Pochwała ucieszyła mnie, ale jednocześnie wprawiała w zakłopotanie i dlatego odpowiedziałam chłodniej, niż zamierzałam:

- Dziękuję. Zobaczyłeś już suknię. Jeśli naprawdę zamierzasz ją kupić, musisz porozmawiać z moją matką. Nie wiem, kiedy wróci do domu.

- Jeśli mi pozwolisz, poczekam na nią.

Nie uśmiechała mi się perspektywa przebywania przez kilka godzin z nieznanym młodym mężczyzną. Najchętniej wyprosiłabym Marca za drzwi, ale nie odważyłam się. Powiedziałam tylko:

- To może długo potrwać.

- Nie szkodzi, mam czas.

- Czy nie musisz pracować? Przecież jesteś szewcem. Marco wyprostował się.

- Wziąłem sobie dzisiaj wolne, sprawa sukni jest dla mnie bardzo ważna. - Chyba... chyba bardzo kochasz swoją matkę? - zapytałam ostrożnie, wkładając suknię z powrotem do skrzyni.

- Tak, to prawda. Jest dobrym człowiekiem i wesołą kobietą, chociaż przeżyła wiele złego.

Pomyślałam o swojej matce, która nigdy nie bywała wesoła.

- Masz rodzeństwo?

- Nie żyją.

Po sposobie, w jaki Marco to powiedział, zrozumiałam, że nie chce o tym mówić. Umilkłam, ale on odezwał się po chwili:

- Ona ma tylko mnie, a ja ją, odkąd ojciec nie żyje.

- Bardzo mi przykro.

- Nie powinno ci być przykro. - Marco uśmiechnął się lekko. - Naszych zmarłych nosimy w sercach, w ten sposób są zawsze z nami. Jesteśmy małą, szczęśliwą rodziną.

Pomyślałam znowu o swojej matce i zastanowiłam się, czy można by nazwać naszą dwójkę „małą, szczęśliwą rodziną”. Doszłam do wniosku, że chyba nie. Szczęście bez uśmiechu i radości, bez pieśni i pogodnych żartów nie istnieje. Moja matka sprawiała zawsze wrażenie poważnej i smutnej, a jeśli jej twarz jaśniała czasem zadowoleniem, to tylko wówczas, gdy rozmawiała ze swoim Bogiem. Modliła się wiele razy dziennie i zawsze sama, co mnie dziwiło. Nigdy nie wzywała mnie, żebym razem z nią zwróciła się do Boga. Dlaczego tak było, zrozumiałam wiele lat później.

- Ty nie wyglądasz na szczęśliwą - powiedział Marco.

Uznałam, że ta uwaga jest nie na miejscu. Nie powinno go obchodzić, czy jestem szczęśliwa, czy nie. Chciałam go upomnieć, ale pomyślałam, że powiedział to z życzliwości.

- Napijesz się wina?
- Jeśli i ty się napijesz.
- Nigdy nie pijam wina.

Nastąpiła przerwa w rozmowie, podczas której wpatrywaliśmy się w sufit i mieliśmy nadzieję, że to drugie się odezwie. Wreszcie wstałam, żeby przynieść gliniany dzban z winem Lambrusco z Modeny, dbając o to, by nie odwracać się do Marca tą stroną twarzy, na której było znamię. Kiedy nalałam mu wina, podziękował i powiedział:

- Nie musisz kryć przede mną policzka ze znamieniem. Znamię po prostu dla mnie nie istnieje, możesz mi wierzyć. Wcale go nie widzę, widzę tylko piękno, które się za nim kryje. Wewnętrzne piękno.

Wydało mi się, że się przesłyszałam. O mały włos dzban wypadłby mi z ręki. Nigdy jeszcze nikt mi czegoś takiego nie powiedział. Poczułam, że się czerwienię.

- *Salute* - powiedziałam szybko i pobiegłam do sąsiedniej izby, bowiem uwaga o wewnętrznym pięknie bardzo mnie wzburzyła. Kilka razy odetchnęłam głęboko i stwierdziłam, że się z tego cieszę. Bardzo się cieszę.

Jednak nie chciałam okazać tego Marcowi, dlatego jeszcze przez chwilę zostawiłam go samego z jego szklanką. Kiedy wróciłam, byłam już opanowana i odezwałam się z pozornym spokojem:

- Myślę, że jednak wypiję z tobą szklaneczkę wina.
- Doprawdy? *Fantastico!*

Rzeczywiście czekał na matkę trzy godziny i przez cały czas udało mu się rozmawiać ze mną, wcale mnie nie nudząc. Gawędziliśmy nie tylko o pogodzie, ale też o zeszłorocznych zbiorach, cenach chleba i mięsa, o sąsiadach i ich śmiesznoścach, o naszych znakach zodiaku i o uroczystościach na Piazza Maggiore. Doszliśmy w końcu do targów jedwabiu, które właśnie się odbywały, i znaleźliśmy temat, który pasjonował nas oboje, szczególnie wtedy, gdy zaczęliśmy rozmawiać o tkaninach, a więc o sprawach, na których bardzo dobrze się znałam. Wyjaśniałam Marcowi różnice między jedwabiem a satyną,

atłasem a brokatem, mówiłam o możliwych zastosowaniach różnych rodzajów tkanin, o złotych i srebrnych nitkach, o ornamentach, haftkach i innych zapinkach oraz o guzikach, krojach, ściągach, szwach i lamówkach i przez cały czas widziałam, że Marco uważnie przysłuchuje się moim słowom.

Ja też słuchałam go jak zaczarowana, kiedy opowiadał o modnych butach i wymownie objaśniał, że coraz bardziej powszechny zwyczaj chodzenia na wysokich na palec obcasach dotyczy zarówno mężczyzn, jak i kobiet, przy czym czasy, kiedy nosiło się długonose ciżmy, nie są wcale tak odległe, gdyż było to niespełna sto lat temu. Buty te były niełatwe do wykonania, bo najpierw szyło się je po lewej stronie, a potem odwracało na prawą. Nosów nie można było oczywiście odwracać, lecz należało je zmyślnie przyszywać za pomocą ukrytych szwów. Później modne stały się okrągłe czubki butów i ich rodzaje przybrały dziwne nazwy, takie jak kaczy dziób, łapa niedźwiedzia czy pysk wołu. Następnie przedstawicielki płci pięknej zaczęły żądać butów na koturnach. Wenecjanki doprowadziły tę modę wręcz do śmieszności, nosząc tak grube podeszwy, że wymagały przy chodzeniu stałego podpierania się laskami albo korzystania z pomocy służących. Owe buty nazywały się *chopines* i powinnam się cieszyć, że takie wynaturzenia należą do przeszłości.

Gdy Marco zaczął się zastanawiać, jak by to było, gdyby każde z nas dwojga zaczęło używać materiałów, których używa to drugie, na przykład ja szylabym spódnice z wytłaczanej skóry, a on buty z brokatowym pokryciem, wróciła moja matka.

- Carlo, jesteś sama? - zapytała niepotrzebnie, bo oczywiście usłyszała już obcy głos.

- Nie, *mamma* - odparłam. - Jest tu Marco Carducci.

- Syn *signory* Carducci?

- Nie inaczej, *signora*. - Marco wstał, podszedł do matki i skłonił się uprzejmie.

Oczy matki wędrowały od niego do mnie i z powrotem i nie trzeba było być jasnowidzem, żeby poznać, że matka zadaje sobie pytanie, czy między nami nie zaszło coś nieobyczajnego.

- Rozmawialiśmy, *mamma* - powiedziałam.

Ponieważ Marco nie kwapił się, żeby przedstawić matce swoją sprawę, postanowiłam też się nie spieszyć i potrzymać ją trochę w niepewności.

- Marco jest szewcem - powiedziałam.

- Wiem, znam go od dawna.

Tego z kolei ja nie wiedziałam, więc mnie to rozgniewało. Dlaczego matka nigdy mi nie opowiadała o Marcu? Może się bała, że zachowa się podobnie jak jej cenne klientki, przed którymi zawsze mnie ukrywała? Czyż nie byłam już dostatecznie samotna? Postanowiłam ją ukarać za jej śmieszne posądzenia i powiedziałam:

- Matka Marca kończy pięćdziesiąt lat. Marco chciałby jej ofiarować na urodziny moją pracę czeladniczą, tę suknię, przy której szyciu *signora* Carducci była moją modelką. Powiedziałam mu, że chętnie ją sprzedamy, po korzystnej cenie, jak to między sąsiadami.

Z zadowoleniem spostrzegłam, że matka zaczerwieniła się z gniewu. Nie chciała jednak wszczynać kłótni przy Marcu, dlatego opanowała się i powiedziała tylko:

- No cóż... dobrze.

- To wielka uprzejmość z waszej strony, *signora!* - zawołał Marco i uściśnął dłoń matki. - Naprawdę wielka uprzejmość. Jeśli się pani zgodzi, to ja mam pieniądze przy sobie...

W taki oto sposób poznaliśmy się z Markiem.

To, że Marco zostanie moim przyjacielem, przyszło mi do głowy dopiero pięć dni później, kiedy znowu zastukał do naszych drzwi. Nie spodziewałam się, że jeszcze go zobaczę, byłam więc zaskoczona, kiedy stanął przede mną. Uśmiechnął się nieśmiało i podał mi czerwoną różę.

- Nie mogę cię wpuścić - powiedziałam - mojej matki nie ma. Marco nie wiedział, że po jego pierwszych odwiedzinach matka

przez pół nocy robiła mi wyrzuty. Wciąż powtarzała, jakie to niesłychane, żeby przebywać z młodym mężczyzną sam na sam, ciągle też uskarżała się na zbyt niską cenę sukni. Byłam rada, gdy wreszcie

zwróciła się ku domowemu ołtarzykowi, aby błagać Boga o wybaczenie dla moich grzechów. Następnego dnia tak długo lamentowała, narzekała i strofowała mnie, że prawie uwierzyłam w swoją winę i przyrzekłam jej nigdy więcej nie spotykać się z Markiem podczas jej nieobecności.

- Matka jest w kościele.

- Wiem - odparł Marco. - Już drugi raz. W niedzielę zawsze chodzi dwa razy do kościoła. Nie przyjmiesz tej róży?

- Och... przyjmę. - Wzięłam od niego kwiat. To przecież nie mogło być grzechem. - Skąd wiesz, że matka chodzi co niedziela dwa razy do kościoła?

- O tym przecież wie cała okolica. Ach, przy okazji, jeśli już mówimy o matkach: moja bardzo się ucieszyła z sukni i prosiła, bym cię serdecznie pozdrowił.

- Dziękuję. - Chciałam zamknąć drzwi, ale Marco uprzedził mnie i powiedział:

- Nie zaprosisz mnie do izby?

- Cóż... - zawahałam się. - Nie wypada, żebym cię wpuściła.

- Och, pojmuję. - Na twarzy Marca pojawiło się rozczarowanie. - Twoja matka poczęstowała cię kazaniem o moralności, prawda? No cóż, nic na to nie można poradzić. Mam inną propozycję: wstaw różę do wody i chodźmy na spacer. Z murów miejskich jest wspaniały widok na okolicę.

- Nie, nie mam ochoty na spacer. - Pomysł oglądania pól, łąk i krów nienadzwyczajnie mi się spodobał. Obawiałam się ponadto spotkań z ludźmi, którzy nie znali mnie i mojego znamienia. Zbyt dobrze pamiętałam zachowanie *signory* Vascellini i jej afektowanych przyjaciółek.

- Naprawdę nie?

- Naprawdę.

- Szkoda. - Marco miał tak rozczarowaną minę, że o mało nie zmieniałam decyzji, ale on powiedział: - No dobrze, nie ma na to rady. Ale ja wrócę.

Chciałam mu powiedzieć, że nie musi tego robić, ale przyłapałam się na myśli, że żałowałabym, gdyby nie przyszedł. Milczałam więc.

Trzy dni później Marco stał ponownie pod drzwiami. Znowu wybrał porę, kiedy matki nie było w domu. W ręku miał dwie czerwone róże i powiedział:

- Wiem, że nie zechcesz mnie wpuścić, ale czy nie miałabyś ochoty pójść ze mną na Piazza Maggiore? Dziś wieczorem ma tam grać kilku dobrych muzykantów.

Przyjęłam róże i powąchałam delikatne kwiaty.

- Wspaniale pachną.

- Kupiłem je od kwiaciarki, która zawsze stoi przed kościołem San Petronio.

- Och, dziękuję.

- Będą grać na bębnach, fletach i gambach. Na pewno będzie bardzo przyjemnie.

- Sama nie wiem. - Pomyślałam o matce, która mogła każdej chwili wrócić, i wyobraziłam sobie jej wyraz twarzy na widok Marca.

- Jeden z tych młodzieńców podobno gra wybornie na teorbanie i śpiewa swawolne pieśni.

- Och, to nie dla mnie. - Powiedziałam to jak świętoszka, a przecież chętnie poszłabym z nim na plac. Ciągle jednak myślałam o matce i, co ważniejsze, o moim znamieniu.

- Szkoda - powiedział Marco.

- Tak - odparłam - ale musisz już iść.

Wrócił następnej niedzieli, tym razem z trzema czerwonymi różami. Wcisnął mi kwiaty do ręki i powiedział:

- Muzykanci na Piazza Maggiore grali naprawdę dobrze. Byli tam także linoskoczkowie, magicy i akrobaci. Wyborne widowisko, powiadam ci. Trzeba było iść ze mną.

Milczałam.

- Może miałabyś ochotę pójść ze mną na dziedziniec Palazzo Publico? Od roku znajduje się tam nowy ogród zielarski uniwersytetu. Przedtem był po południowej stronie kościoła San Salvatore. Kazał go tam założyć niejaki profesor Aldnwndi. Zadał także o to, żeby wszyscy mieli tam wstęp. Myślałem, że może to by cię zainteresowało. Kobiety zawsze interesują się zapachami kwiatów i ziół.

Mówiąc to, patrzył na mnie z taką nadzieją, że nie mogłam od razu powiedzieć „nie”. Pochlebilo mi też, że uważał mnie za kobietę.

- Musiałabym zapytać matkę, ale nie ma jej w domu.

- Wiem. - Iskierka nadziei w jego oczach zgasła, po czym znowu się zapaliła. - Kiedy wróci?

Domyśliłam się, jaki ma zamiar. Pomysł spacerowania po Bolonii z młodym mężczyzną bardzo mnie nęcił, ale obawiałam się kłopotów z tym związanych. Wreszcie powiedziałam:

- Powinna niedługo wrócić.

- Rozumiem - Marco skinął głową i odparł: - Ja też niedługo wrócę.

Kilka dni później - był to czwartek - Marco stał znowu u moich drzwi, z czterema czerwonymi różami. Wzięłam je od niego, podziękowałam i pogłaskałam palcami delikatne kwiaty. Było mi ich żal, bo i tak będę musiała je wyrzucić, kiedy Marco sobie pójdzie. Nie mogłam nic na to poradzić. Moja matka natychmiast zapytałaby, skąd się wzięły.

- Czy masz ochotę towarzyszyć mi do Archiginnasio? - zapytał Marco.

Bardzo niewiele jeszcze wówczas wiedziałam, więc nie znałam nazwy bolońskiego uniwersytetu, ale nie chciałam tego okazać, więc powiedziałam:

- Nie mogę, bardzo mi przykro. Marco spojrzał na mnie badawczo.

- Czy to dlatego, że twoja matka wkrótce wróci? Zagryzłam usta.

- Nie... nie wiem.

- Na pewno będzie ciekawie.

- Co się dzieje w takim... eee...

- Archiginnasio? O, to ty nie wiesz? Dzisiaj jest przecież pierwszy dzień corocznego warzenia teriaku *! Wydarzenie, którego nie można opuścić. Już kilka razy tam byłam. Naprawdę godne obejrzenia.

* Teriak - panaceum przeciwko zatruciom i innym chorobom.

- Jeśli tak uważasz...

Skoro nie wiedziałam, co kryje się pod pojęciem Archiginnasio, nie chciałam już pytać, co to jest teriak.

- Moglibyśmy pójść razem z innymi na loggię z widokiem na wewnętrzny podwórzec i obserwować, co się dzieje na dole. Wierz mi, nie można się dość napatrzeć.

- Obawiam się...

- A ja się obawiam, że nie wiesz, co tracisz, nie idąc ze mną. Cały dziedziniec wyłożony jest karmazynowym adamaszkiem, a z jednej strony znajdują się dwie wielkie, drewniane piramidy, również pokryte adamaszkiem. Stoją na nich popiersia Hipokratesa i Galena, trzymających w rękach dwie ogromne majolikowe czary, do których wlewa się cenny teriak. Gdy spojrzysz w lewo, zobaczysz filtry, puchary i tysiąc innych naczyń i aparatów do wytwarzania tego medykamentu, a pośrodku podwórca stoją wielkie kotły. Wszędzie ruch i krzątania. Panowie doktorzy fakultetu medycznego badają zawartość naczyń, aptekarze demonstrują, jak warzy się teriak, służba w zielonych szatach ze złotymi ornamentami biega wte i wewte. Wszyscy mają na sobie najlepsze szaty, jest po prostu wspaniale! Ręczę ci, że tak wiele najróżniejszych szat, tog, sukien i kubraków naraz nigdy jeszcze nie widziałaś. Przecież jako krawcową musi cię to interesować!

- Och tak, oczywiście.

- Kiedy zobaczysz to wszystko na własne oczy, pojmiesz, dlaczego naszą piękną Bolonię nazywają miastem jedwabiu.

Nic mi nie przychodziło do głowy, więc westchnęłam:

- Och, z pewnością.

- Pójdiesz ze mną?

Muszę przyznać, że żywe opowiadanie Marca wzbudziło we mnie gorącą chęć obejrzenia tego widowiska w Archiginnasio. Sposób, w jaki on - młody mężczyzna, który jako żywo nie był Adonisem - zachwycał się wszystkim, co piękne, zachwycił również mnie. W tym momencie nawet moje zamię wydawało mi się mniej straszne. Byłam bliska decyzji, by pójść z Markiem. Gdyby nie matka.

Nie chciałam odmawiać mojemu zalotnikowi, bo było mi go żal, ale jeszcze bardziej obawiałam się wyrzutów i podejrzeń matki.

- Poszłabym z tobą - powiedziałam - ale źle się dziś czuję. Marco spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

- Są dni, kiedy kobieta nie czuje się dobrze - powiedziałam sztywno, wstydząc się taniej wymówki.

- Ach tak, oczywiście, Carlo, *scusi* - odpowiedział. Skłonił się lekko i zniknął.

Marco był uparty. Za każdym razem przynosił mi o jedną różę więcej i coraz trudniej mi było oprzeć się jego zalotom. Pochlebiało mi, że mam tak cierpliwego wielbiciela. Zadawałam sobie pytanie, czy czuję do niego jakiś afekt, badałam swoje uczucia, wsłuchiwałam się w siebie, ale nie znajdowałam na to odpowiedzi. Nie wiedziałam jeszcze, czym jest miłość, przeczuwałam tylko, że moich uczuć do Marca nie można określić tym wielkim, ważkim słowem.

Mimo to nasze rozmowy na progu domu trwały coraz dłużej i wreszcie zrozumiałam, że wiodłam dotąd żywot szarej myszki. Za każdym razem Marco odmalowywał mi w przepięknych kolorach to, co moglibyśmy razem robić; rzeczy, o których wcześniej nigdy nie słyszałam. Opowiadał o święcie winobrania w tawernach wokół Piazzola de Caldarini, o kuglarzach, błaznach i balach maskowych pod wieżami Asinelli i Garisenda, o paradach muzykantów pod arkadami w śródmieściu, o religijnych przedstawieniach w katedrze San Pietro i o balach za złoconymi fasadami wielkich domów cechowych. Nie opowiadał o tym jak *calzolaio*, szewczyk, który na co dzień zajmuje się skórą, klejem i podeszwami, a przecież nim był - być może najdziwniejszym spośród wszystkich szewców, którzy kiedykolwiek żyli w Bolonii.

Zanim dostałam dziesięć róż, powiedziałam sobie, że nie może być tak dalej. Postanowiłam, że następnym razem, cokolwiek Marco mi zaproponuje, zgodzę się i pójdę z nim. Jednak kiedy znowu stanął pod naszymi drzwiami, wszystko wyglądało inaczej. Po pierwsze róża, którą trzymał w ręce, nie była czerwona, tylko biała, a po drugie matka była w domu.

Chciałam się go pozbyć, ale powiedział:

- Wpuść mnie, Carlo, chcę porozmawiać z twoją matką. Poszedł prosto do pracowni.

- *Signora* Castagnolo, pozwólcie mi wyrazić uszanowanie i przyjmijcie tę różę, bowiem dziś jest szczególny dzień.

Matka podniosła oczy znad roboty, unosząc brwi.

- Róża, dla mnie?

- Tak właśnie, *signora*.

Matka z wahaniem przyjęła kwiat i podała mi go.

- Wstaw ją do wody, proszę - powiedziała.

Wzięłam różę i poszłam do sąsiedniej izby. Kiedy wróciłam, spostrzegłam, że Marco ma plamy na twarzy. Znałam go już dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, iż jest podenerwowany. Matka nadal siedziała nad robotą i mimo róży miała jak zwykle ponurą minę.

- No cóż - powiedział Marco. Jego początkowy animusz osłabł. - Tak, hm, to wyjątkowy dzień, *gentilissima signora*. Niestety brakuje mi słów, żeby wyrazić to, co chcę powiedzieć. Może raczej pozwolę mówić temu. - Wyjął jakąś paczkę spod kubraka i położył ją na stole. - Carlo, otwórz ją, proszę - zwrócił się do mnie.

- Co tam jest? - zapytałam.

- Rozpakuj.

Rozwiązałam sznur i zdjęłam pergamin. Pierwsze, co zobaczyłam, to były dwie okrągłości morskiej barwy wyszywane czerwonymi i zielonymi szklanymi koralikami, a po chwili moim oczom ukazała się para przepięknych, obramowanych brokatem, skórzanych bucików.

Zabrakło mi tchu.

- Co to jest? - zapytałam, choć już przeczuwałam, czym mogą być te wspaniałe buty.

- To twoje weselne buty, Carlo. - Marco zdawał się odzyskiwać pewność siebie, bowiem zwrócił się mocnym głosem do mojej matki: - Chciałbym prosić o rękę waszej córki, *signora*.

- Chciałbyś... - Matka spojrzała na niego z niedowierzaniem, by nie powiedzieć z wyrzutem, podczas gdy ja wydałam stłumiony okrzyk. Przez chwilę nic się nie działo. W izbie było tak

cicho, że wszyscy musieli słyszeć bicie mego serca. Po chwili Marco rzekł:

- Włóż je. Jestem pewny, że będą pasować.

Kiedy wciąż jeszcze zaskoczona przyglądałam się wspaniałemu obuwiu, matka powoli odłożyła igłę z nitką.

- A więc chcesz poślubić moją córkę.

Zabrzmiało to tak, jakby Marco chciał sobie dobrowolnie odrąbać rękę,

- Tak, *signora*.

- No cóż, to dość niespodziewana propozycja. Jeśli się nie mylę, oboje widzieliście się dopiero raz w życiu?

Jej twarz przybrała znowu nieufny wyraz, którego tak nie znosiłam. Jednak Marco uniknął pułapki. Był dostatecznie bystry, żeby podeprzeć swoje słowa cytatem z Pisma Świętego:

- *Signora*, w Biblii napisano: „Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam”* i „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”**.

- Ale Pismo powiada również: „Ci bowiem, którzy żyją według ciała, dążą do tego, czego chce ciało”*** i „dążność ciała jest wroga Bogu”****.

W sprawach Biblii nikt nie mógł dorównać mojej matce.

- Zaprawdę, *signora*, macie rację - przyznał Marco. Nastąpiła znowu przerwa w rozmowie. Poczułam, że rośnie we

mnie niezadowolenie, ponieważ matka mówiła tak, jakby Marco popełniał największy błąd w życiu, biorąc mnie za żonę. A to jeszcze nie był koniec. - Czy wiesz, co cię czeka, gdy poślubisz Carlę? - zapytała z naciskiem. Marco wysunął podbródek do przodu.

- No cóż, *signora*, myślę, że wezmę za żonę cudowną kobietę w najpiękniejszych butach, jakie kiedykolwiek uszyto w tym mieście. Włóż je, Carlo, proszę cię. Posłuchałam. Marco miał rację. Buty otuliły moje stopy niczym druga skóra. Zrobiłam kilka kroków i wyszeptałam:

* Księga Rodzaju 2, 18.

** Księga Rodzaju 1, 28.

*** List do Rzymian 8, 5.

**** List do Rzymian 8, 7.

- *Bellissimo*.

Matka nie wyglądała na przekonaną. Podjęła swoją przemowę:

- Może być, że dostaniesz cudowną kobietę, jednak wygląda ona... eehm... inaczej niż wszystkie.

- Tak jest, *signora*.

- Dostaniesz kobietę naznaczoną piętnem, ze wszystkimi trudnościami, które mogą stąd wyniknąć. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Zdaję, *signora*.

Słowa matki zepsuły mi radość ze wspianiałych pantofli. Z rosnącym gniewem obserwowałam, jak z całej mocy stara się zasiać wątpliwości w głowie Marca. Dlaczego to robiła? Bała się, że jestem za młoda? Troszczyła się o moje szczęście? Obawiała się, że Marco nie będzie o mnie dbał? Uświadomiłam sobie, że nie o to chodzi. Odpowiedź była całkiem prosta - nie kochała mnie dostatecznie. Kochała tylko Boga Wszchemmogącego i nie będzie jej mnie brakowało, kiedy pójdę z domu. Będzie jej tylko brak taniej siły roboczej.

Myśl ta trafiła mnie niczym piorun i zraziła mnie do matki, a pozyskała dla Marca, mimo że nie wspomniał przedtem ani słowem o swoich zamiarach matrymonialnych.

Do tego momentu nie zastanawiałam się, czy małżeństwo wchodzi dla mnie w rachubę, jednak postępowanie matki wepchnęło mnie wręcz w ramiona Marca. Myśl, że nie będę musiała całymi dniami oglądać jej skwaszonej miny, że będę mogła bez pytania i bez wyrzutów sumienia przebywać razem z Markiem, możliwość urodzenia dzieci i dania im tej miłości, której byłam pozbawiona przez całe życie, wszystko to zdało mi się naraz bardzo nęcące i kiedy matka zapytała, czy chcemy tego oboje, odpowiedziałam:

- Tak, oczywiście.

Kiedy wyrzekłam te słowa, oczy Marca rozbliły. Postawił wszystko na jedną kartę i wyglądało na to, że wygra. Ale matka jeszcze się nie poddawała.

- Skoro widzieliście się tylko raz, tego dnia, kiedy kupiłeś suknię dla swojej matki, to się przecież wcale nie znacie. To chyba nie jest w porządku?

- Przyjmijcie, *signora*, że Bóg nas połączył. Matka się zdumiała.

- Tak sądzisz?
- Sądzę, że to wola Boża. Bóg jest wielki i dobrotliwy.
- Tak, tak. - Matka się zamyśliła.
- A jego drogi są niezbadane.
- Zaprawdę tak jest.
- Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela*.
- Amen.

Bożym planom nie mogła się przeciwstawić.

Jeśli Marco i ja sądziliśmy, że będziemy mogli wkrótce się pobrać, to się myliliśmy. Matka zgodziła się wprawdzie na zawarcie małżeństwa, upierała się jednak przy „odpowiednio długim narzeczeństwie”, żeby, jak się wyraziła, „dać Bogu możliwość połączenia waszych serc na zawsze”.

Z tym Marco musiał się zgodzić, zwłaszcza że sam argumentował swoją decyzję wolą Bożą.

- Nie szkodzi - oświadczył mi, promieniejąc. - Najważniejsze, że będziemy się teraz mogli spotykać u ciebie. A poza tym będę miał więcej czasu, żeby oszczędzać na dom dla nas.

- Tak, Marco - odparłam i pozwoliłam, żeby mnie pocałował i przytulił.

- Poczekajmy.

No i czekaliśmy. Z tygodni zrobiły się miesiące, z miesięcy -przeszło rok. Muszę powiedzieć, że to czekanie było dla mnie męką. Nie dlatego, że usta i ręce Marca z czasem stawały się coraz ciekawsze, bo nie odczuwałam przy tym zbyt wiele emocji, choć jego natarczywość mi pochlebiała. Chodziło o to, że matka nie chciała, bym odeszła z domu. Wynajdywała coraz to nowe wymówki przedłużające okres oczekiwania: czasem było to ważne zlecenie, przy którym koniecznie potrzebowała mojej pomocy, czasem uporczywy katar płuc, więc wymagała mojej opieki, potem znowu niewłaściwa pora roku na ślub, gdyż według niej żenić się można tylko w zimie, bo w lecie, kiedy nad miastem trwa mgiełka upału, mieszkaniem piekieł

* Mt 19, 6.

czuje magiczny pociąg do miasta i mógłby przynieść zgubę wszystkim nowożeńcom, jeszcze innym razem za wysoka cena za ucztę ślubną lub też kościół stojący w niewłaściwym miejscu. Wybór tego ostatniego był przedmiotem sporu, bo matka upierała się przy tak przez nią wychwalanym ojcu Edoardzie, czemu ja się stanowczo sprzeciwiałam.

Nagle nastąpiła wielka zmiana. Nie dotyczyła jednak upragnionego zakończenia okresu oczekiwania. Była to nowina, którą Marco przyniósł latem 1571 roku.

- Dostałem spadek - oświadczył, promieniejąc. Siedzieliśmy w izbie obok pracowni ze szklaneczką rozcieńczonego

Lambrusco i Marco jak zwykle obejmował mnie w talii.

- Spadek? Po kim? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Po dalekim krewnym. - Marco nadał promieniał. - Właściwie to wybrał na spadkobierczynię moją matkę, ale ona mówi, że nie potrzebuje tych pieniędzy i że mi je odda.

- To bardzo szlachetnie z jej strony. - Pomyślałam o naszym domu, na który Marco oszczędzał, i zapytałam: - Ile to *scudi*?

- Nie wiem dokładnie, może sto dziewięćdziesiąt, a może dwieście.

- Kupisz za nie dom? Marco się zaśmiał.

- Za dwieście *scudi romani* nie dostaniesz domu, w każdym razie takiego, jaki sobie wyobrażam. Mam lepszy pomysł: zacznę... -zrobił pełną znaczenia pauzę - studiować medycynę.

- Medycynę? Ty?

- Dlaczego nie? - Marco sprawiał wrażenie nieco urażonego. -Nie spodziewałaś się tego po mnie? Lubię pracę szewca, ale od dawna marzyłem o zawodzie medyka. Brakowało mi tylko pieniędzy.

- Nie wiedziałam.

- Posłuchaj, wszystko sobie dokładnie obmyśliłem: czesne wynosi siedemdziesiąt *scudi*, więc pozostałaby nam ładna sumka. I jeszcze jedno: kiedy za pięć lat wykształcę się na doktora, będę zarabiał tyle pieniędzy, że będę mógł kupić tuzin domów. A do tego czasu wprowadzimy się do domu mojego zmarłego wuja. Pobierzemy się i wreszcie będziemy sami. Żadnej *signory* Castagnolo, której musimy się tłumaczyć ze wszystkiego, żadnej chorobliwej ciekawości, żadnych spojrzeń broniących twego dziewictwa. No, co o tym sądzisz?

Dla mnie działa się to wszystko za szybko.

- Pięć lat to długi okres, będziesz starym człowiekiem, kiedy skończysz studia.

- Przepraszam cię, ale mam dopiero dwadzieścia dwa lata.

- I siedemdziesiąt *scudi* to mnóstwo pieniędzy.

- Dokładnie biorąc, to tylko sześćdziesiąt dziewięć *scudi*, osiem *paoli* i pięć *baiocchi*; tyle żądają w Archiginnasio od obywatela Bolonii. Gdybym nim nie był, musiałbym zapłacić tylko dwadzieścia trzy *scudi*, ale tym się nie przejmuję. Carlo, uciesz się wreszcie, będziesz żoną lekarza, czyż mogłaś kiedykolwiek o tym marzyć?

- Nie - odparłam - ale się cieszę.

Matka też się ucieszyła, jeśli przelotny uśmiech na wieść o spadku oznaczał radość.

- W takim razie macie jeszcze trochę czasu do ślubu.

- Nie - powiedziałam, a Marco dodał:

- Wprowadzimy się do domu mojego spadkodawcy i będziemy mieli własny dach nad głową. Nic już nie stoi na przeszkodzie naszemu małżeństwu.

Ślub jednak się odwlekał - nie z powodu mojej matki, lecz dlatego, że Marco miał pełne ręce roboty z przygotowaniem się do swojego nowego życia. Wymówił miejsce u majstra szewskiego, dla którego pracował od wielu lat, potem wprowadził się do domu wuja, żeby przygotować go, jak mówił, jak najlepiej dla mnie, i wreszcie zapisał się do Archiginnasio. Chociaż miał tyle na głowie, przychodził do mnie prawie codziennie, obejmował mnie w tali i opowiadał najświeższe nowiny, wszystko, czego się dowiedział i co przeżył.

Opowiadał o uroczystościach i ceremoniach towarzyszących życiu studentów, o ich zamiłowaniu do przepychu i symboli, ich mocnych głowach przy wypitce i o ich beztrosce. Mówił także o własnych początkowych trudnościach, zanim go uznali za swego, o ich dumie i rytuałach. Z roziskrzonym wzrokiem opisywał liczne wydarzenia w roku akademickim, rozpoczynającym się dla studiów przygotowawczych do medycyny osiemnastego października, dnia Świętego Łukasza, obszernie opowiadał o oficjalnym rozpoczęciu roku po Wszystkich Świętych i wołał:

- Będzie wspaniale, Carlo! A ja, świeżo upieczony *studiosus*, będę na tych wszystkich uroczystościach! Inauguracja będzie najwspanialszą uroczystością wszech czasów!

- Inauguracja? Co to takiego? - zapytałam.

- To uroczyste wprowadzenie na akademickie urzędy.

- A kogo będą wprowadzać?

- Nauczycieli, doktorów, profesorów... jeszcze dokładnie tego nie wiem.

- Masz odpowiednią odzież na takie okazje?

- Raczej nie - przyznał i na moment jego zapał nieco osłabł. Szybko jednak powrócił mu dobry humor. - Ale na pewno jestem studentem w najelegantszych butach!

Musiałam się roześmiać. Nieśmiały młodzieniec, którego poznałam przed dwoma laty, przekształcił się w pewnego siebie mężczyznę. Zadawałam sobie pytanie, jaka była w tym moja rola, ale nie mogłam się nad tym długo zastanawiać, bo Marco mówił dalej:

- Na głos *la scolara*, no wiesz, wielkiego dzwonu w San Petronio, zbierzemy się na Piazza Maggiore przed kościołem, wszyscy nauczyciele i doktorzy kolegium, wszyscy przeorzy, radcy studenci i tłum ludzi, razem z dostojnikami senatu i przedstawicielami szlachty. Będzie to wspaniały widok i wspaniała inauguracja.

- Och, na pewno - zgodziłam się z nim. A ponieważ zauważyłam, że bardzo pragnie dalej opowiadać, zapytałam:

- A potem?

- Potem godnym krokiem udamy się do wielkiej auli w Archiginnasio, gdzie jeden ze studentów wygłosi mowę, a potem zostanie odczytana lista wszystkich nauczycieli. Po odczytaniu *rotulo* odbędzie się msza do Ducha Świętego w kaplicy Santa Maria de'Bulgari, dokładnie naprzeciwko wewnętrznego dziedzińca Archiginnasio. No wiesz, tam gdzie warzy się wiosną teriak. - Wiem - powiedziałam - opowiadałeś mi o tym. Zadawałam sobie pytanie, gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce, ale cieszyłam się ze względu na niego. Z całego serca życzyłam mu powodzenia; sądziłam, że kiedy będzie miał chwilę spokoju, pobierzemy się i zamieszkamy w domu wuja. Myślałam jednak jeszcze o czymś. Przyłapałam się na tym, że zazdroszczę Marcowi. Spełniało

się jego marzenie, które nigdy nie urzeczywistni się dla mnie, już chociażby ze względu na moje znamię, na którego widok każdy cofał się ze strachem, jeśli nie liczyć kilku wyjątków.

Czas mijał. Zimą 1571 na 1572 rok, kiedy Marco chodził na pierwsze wykłady u profesora chirurgii Aranzia, przyszedł kiedyś do mnie rozpromieniony i oznajmił:

- Dzisiaj dowiedziałem się, w jaki sposób mogłabyś przezwyciężyć swój strach przed lustrem. Ach, co ja mówię! Dowiedziałem się nawet, jak lustro mogłoby się stać twoim przyjacielem. Czasy *brutto nemico* minęły.

Chyba spojrzałam na niego, jakbym wątpiła w jego rozsądek, ale Marco ciągnął niezrażony:

- Cała sprawa polega na tym, że potrzebujesz nie jednego, ale wielu luster.

Pokręciłam głową.

- Wierz mi, zastosowanie efektu Mitrydatesa spowoduje, że będziesz coraz bardziej przyzwyczajając się do swego wyglądu. W końcu będziesz mogła zupełnie normalnie patrzeć sobie w oczy, jak każdy człowiek.

- Co to jest efekt Mitrydatesa?

- Najpierw muszę ci wyjaśnić, co to jest mitrydat. Jest to *elektuarium*...

- Co to jest *elektuarium*?

- Chcesz się tego dokładnie dowiedzieć, co? Dobrze, a więc od początku: *elektuarium* to mnogość rozmaitych składników w postaci cieczy albo w stanie stałym. Można powiedzieć, że teriak, wytwarzany corocznie w Archiginnasio, jest *także elektuarium*, bowiem zawsze składa się z tych samych substancji.

- Rozumiem - wtrąciłam.

- A więc mitrydat to *elektuarium*, którego nazwa wywodzi się od króla Mitrydatesa. Był władcą Pontu, królestwa w Azji. Ów Mitrydates ogromnie się bał, żeby poddani go nie otruli, i dlatego zwykł przyjmować regularnie *elektuarium* z trujących substancji. Jak dotąd wszystko rozumiesz?

Miałam ochotę odpowiedzieć: „Nie jestem głupia”, ale nie chciałam tłumaczyć jego zapału, więc potwierdziłam:

- Tak, wszystko zrozumiałam.

- A teraz najważniejsze: Mitrydates zwiększał za każdym razem dozę *elektuarium*, aż jego ciało przyzwyczało się do śmiertelnych trucizn. Nie można go już było otruć.

- A na cóż zmarł?

- Kiedy chciał już umrzeć, po tym, jak rodzina pozbawiła go tronu, kazał się zasztyletować, bo otrucie mu nie groziło.

- Pojmuję. - Zastanowiłam się przez chwilę. - I z lustrami mam robić tak samo?

- Trafiłaś w sedno. Kiedyś staniesz się odporna na swój widok, musisz tylko stopniowo zwiększać liczbę luster w pracowni.

Zastanowiłam się, jak mam to zrobić, nie narażając się na gniew matki, i rzekłam:

- Jeśli dobrze zrozumiałam, wystarczyłoby jedno lustro, gdybym często w nie patrzyła. „Doza trucizny” też by się przecież zwiększała?

Marco aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Do stu diabłów, o tym nie pomyślałem. Chyba masz rację. Skinęłam głową i postanowiłam odważyć się na próbę z lustrem.

Może efekt Mitrydatesa naprawdę mi pomoże? Na pewno nie za pierwszym razem, ale może po tygodniu? Wyobraziłam sobie, jaka to byłaby ulga, móc patrzeć w lustro bez strachu, i jakie życie stałoby się wtedy piękne. A ponieważ myślami sięgałam w przyszłość, zapytałam Marca:

- Powiedz, kiedy właściwie się pobierzemy? Wciąż coś nam staje na przeszkodzie, ale byłby już czas. Chciałabym odejść z tego domu, w którym nic mi nie wolno oprócz wykonywania pomocniczych prac krawieckich.

- Rozumiem cię. - Marco objął mnie w talii. - Ostatnio byłem trochę samolubny. - Jego ręka powędrowała na moje piersi, ale odsunęłam ją. Nie miałam ochoty na gruchanie, chciałam wiedzieć, jak będzie wyglądało moje przyszłe życie.

Marco zabrał rękę i starał się nie okazać rozczarowania.

- Oczywiście, że się pobierzemy. Myślisz, że moje studia w ostatnich miesiącach spowodowały, że o tym zapomniałem?

Milczałam, bo nie byłam pewna.

- Wiesz co? Na Wielkanoc wszyscy studenci mają dwa tygodnie wakacji, to przypada chyba na początek kwietnia przyszłego roku, wtedy będziemy mogli spokojnie się pobrać.

- Znakomicie.

Sama myśl o tym, że nie będę musiała codziennie oglądać skwa-szonej twarzy matki, podobała mi się bardzo i dlatego pozwoliłam, żeby Marco mnie pocałował.

- Ja cię przecież kocham - szepnął, całując mnie znowu. - A ty?

- Musimy być ostrożni - odparłam - każdej chwili może wejść matka.

Wieczorem, po zjedzeniu zwyczajnego risotta z serem i grzybami, matka poszła do sąsiadki, żeby zanieść jej połataną spódnicę. Gdy tylko wyszła, serce zaczęło mi bić jak młotem, bo czułam, że nadszedł moment, by zażyć dozę trucizny przed lustrem. Niepewnym krokiem zaczęłam podchodzić do *brutto nemico* - „wstrętnego wroga”, zbliżałam się i zbliżałam, jednak zanim do niego dotarłam, musiałam się zatrzymać. Drżałam tak silnie, że nie mogłam iść dalej. Próbowałam dodać sobie odwagi, powtarzałam, że to tylko lustro, martwy przedmiot, który nie może zrobić mi krzywdy. Mimo to nie mogłam iść dalej. Wymyślałam sobie, tłumaczyłam, że przecież mam już dziewiętnaście lat, że najwyższy czas przestać się bać. Chciałam, musiałam iść dalej, ale moje nogi nie mogły oderwać się od posadzki. Odmówiły mi posłuszeństwa.

Od lat już nie płakałam, ale teraz zaczęłam szlochać. Kiedy się trochę uspokoiliłam, moje spojrzenie padło na krzesło. Postanowiłam najpierw usiąść i zastanowić się, dlaczego nie mam żadnych trudności ze zbliżeniem się do krzesła, a nie udaje mi się podejść do lustra. Cóż to za zagadkowa siła mną rządzi?

Poczułam natłok myśli. Zadawałam sobie pytanie, czy może mieszka we mnie sobowtór stworzony na moje podobieństwo, druga Carla, silniejsza ode mnie i odmawiająca mi możliwości upragnionego ruchu. A może to dusza, która mieszka w każdym człowieku, zabrania mi zbliżenia się do lustra? Zadawałam sobie też pytanie, gdzie mieści się moja dusza. W głowie czy w sercu?

Wiele przemawiało za sercem, bo była to siedziba wszystkich uczuć. Można było kogoś serdecznie witać, serdecznie obejmować, kochać z całego serca, można było też złamać komuś serce, robić coś z ciężkim sercem, sprawić, że serce krwawi. Mówi się o dobrym, wiernym, gorącym, szlachetnym sercu, o słowach, przemawiających komuś do serca, i o tym, że nie można drugiemu człowiekowi zajrzeć do serca.

Z drugiej jednak strony serce było tylko mięśniem, jak wiedziałam od Marca. Mięsień jako siedziba uczuć, siedziba duszy? Mięsień, który kiedyś umrze i zabierze ze sobą w śmierć zarówno uczucia, jak i duszę? Tego nie można było sobie wyobrazić, już choćby dlatego, że uświęcona przez Boga dusza jest nieśmiertelna.

Nie, dusza mieszkała w mojej głowie, nie mogło być inaczej. To ona z jednej strony sterowała mną i powstrzymywała moje kroki, a z drugiej pozwalała mi podejść do krzesła i usiąść, wiedziała bowiem dobrze, że nie muszę wtedy patrzeć w lustro. Ach, jakże zagadkowa jest moja dusza...

Możliwe, że ta myśl pomogła mi posunąć się naprzód, możliwe też, że się po prostu trochę uspokoiliam - w każdym razie po pewnym czasie zdołałam wstać i zrobić decydujący krok przed *brutto nemico*.

Nie powinnam była tego robić.

Po raz pierwszy od wielu lat zobaczyłam swoje potworne znamię. Jego fioletowa barwa zaatakowała mnie niczym dzikie zwierzę o wykrzywionym pysku, odpychająca jak sam Lucyfer. Zakryłam twarz rękami i krzyknęłam wniebogłosy. Krzyczałam ze wszystkich sił, chciałam wykrzyczeć cały mój strach i rozpacz, krzyczałam i krzyczałam, aż opuściły mnie siły i zaczęłam gorzko płakać.

Poczułam czyjąś rękę na głowie. Była to ręka mojej matki.

- Nie powinnaś patrzeć w lustro - powiedziała z lekkim wyrzutem. - Dopóki w nie nie spoglądasz, to okropne znamię nie istnieje. Tak powinnaś myśleć. Chodź!

Pomogła mi wstać i wyjść z pracowni. Zaprowadziła mnie do łóżka i dopilnowała, żebym się położyła. Przykryła mnie troskliwie, przyniosła szklaneczkę mocnego wina i powiedziała:

- Wypij je, to dobre wino, pobłogosławione osobiście przez ojca Edoarda.

- Nie!

- Wierz mi, ojciec Edoardo pobłogosławił je osobiście w zakrystii San Rocco.

- Nie chcę go.

Na szczęście nie upierała się, bym wypła ten podejrzany napój, lecz odstawiła go na bok.

- Byłoby lepiej, gdybyś wypła. No cóż, może później. - Została przy mnie jeszcze przez chwilę i wytarła mi kilkakrotnie mokre od potu czoło.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś, maleńka?

- Nie, dziękuję.

- A więc zostawię cię samą. Pośpij trochę, pomodlę się, żeby sen cię pokrzepił.

Ja jednak nie chciałam spać. Za bardzo się bałam złych snów. Nie spałam i słyszałam, jak matka krząta się w izbie obok. Potem odmawiała znowu swoje dziwne modlitwy i zaklęcia, znak, że klęczała przed domowym ołtarzykiem: „Pozwól, o Panie, zasnąć Carli, daj jej dobre sny, przywróć jej we śnie zdrowie i trzymaj nad nią swoją opiekuńczą dłoń”. Później usłyszałam zdanie, które już znałam: „...pozwól żyć czarownicy”.

Powtarzała to przez chwilę z naciskiem, podnosząc głos. Co jej się stało? Wstałam i przyłożyłam ucho do ściany. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam: „O Panie, uchron ją od inkuba, nocnego demona, od lubieżnego Alba, sprośnego Sylwana, wysusz mu jego członek, spraw, żeby zgnił, ochroń Carlę, żeby z nią nie spółkował - błagała. - Wiesz przecie, Panie, bo jesteś wszechwiedzący, że Carla nigdy nie używała czarodziejskich maści ani napitków, a jeśliby nocny inkub miał przyjść, spraw, by się obudziła, żeby nie mógł zaspokajać z nią swych żądz, bowiem unika czuwających niewiast...”.

Mówiła dalej niesamowite, jeżące włos na głowie rzeczy: „...Carla nie jest czarownicą w czarowniku, jest pochwą, a nie mieczem, nigdy w życiu nie była mężczyzną, dlatego, o Panie, uchron ją od grzesznych snów, odpędź sprośnego sukuba od jej łóżnicy, przeszkodź mu, by się z nią nie połączył i nie czerpał z niej mocy do życia...”.

Czy matkę opuściły wszystkie dobre duchy? Słuchałam, jak powtarzała zdania o inkubach i sukubach, o demonach i czartowskich

mocach i zarliwie błagała o zbawienie mojej biednej duszy: „...i nie pozwól, by stała się Lilu, Lilutu, Ardat Liii, Irdu Liii...”.

Chyba całkiem postradała zmysły! Przeżegnałam się szybko, rzuciłam w bezpieczną przystań łóżka i zawołałam:

- *Mamma, mamma*, przestań! - Musiałam kilka razy powtórzyć, zanim przebiłam mur jej zapamiętania. W końcu usłyszałam jej kroki. Zjawiła się w drzwiach, śmiertelnie wyczerpana.

- O, nie śpisz - mruknęła i przetarła oczy ręką, jakby nie wierzyła w to, co widzi. - Nie miałaś lubieżnych snów?

- Nie, *mamma*, dlaczego miałabym mieć?

- Ach, nieważne. Niech będzie pochwalona Najświętsza Matka Maryja, uchroniła twoją czystość, tak jak sama pozostała czysta przy poczęciu, zbawiła cię od wszelkiego zła. Dzięki Bogu - wyszeptwała drżącym głosem i zaczęła szlochać.

Nie rozumiałam, w jaki sposób mogła się doprowadzić do tego dziwnego stanu, ale było mi jej żal. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zrozpaczonej. Nieśmiało wyciągnęłam rękę i pogłaskałam ją po plecach.

- To ta sprawa z lustrem tak mnie przerażyła - powiedziała. - Bałam się, że po spojrzeniu w nie staniesz się... kimś innym.

- Nie musisz się o mnie bać - powtórzyłam.

- Naprawdę jesteś tego pewna?

- Tak - potwierdziłam. - We mnie nie ma niczego złego i nigdy więcej nie spojrzę w lustro.

Nie mogę powiedzieć, byśmy odtąd odnosiły się do siebie serdecznie, jednak nasze stosunki trochę się poprawiły, co przejawiało się między innymi tym, że matka nie tylko zaakceptowała ustalony termin ślubu, lecz także przestała się upierać, by sakramentu udzielił nam ojciec Edoardo.

Po jednej z naszych nie zawsze łatwych rozmów powiedziała mi:

- Wiesz, maleńka, musiałam się przyzwyczaić do myśli, że chcesz odejść z domu. Zawsze czułam się szczególnie odpowiedzialna za ciebie... hmm... sama wiesz dlaczego.

- Tak - potwierdziłam i pomyślałam po raz nie wiadomo który, że oddałabym prawą rękę za to, żeby to przekłete znamię zniknęło. Nie wypowiedziałam jednak głośno tej myśli.

- Do tego, że Marco studiuje medycynę, też musiałam się przyzwyczaić, w końcu nie ma dobrego wykształcenia ogólnego. Jednak z Bożą pomocą poradzi sobie. Jest synem *signory* Carducci, to przemawia za nim.

- Tak, *mamma*.

- Kiedy już będzie doktorem medycyny, a ty będziesz stała u jego boku, będziesz zabezpieczona.

- Jeszcze o tym nie myślę.

- A ja tak. Poza tym jako żona lekarza będziesz miała odpowiednią pozycję.

- Jak to rozumiesz?

- Tak jak mówię: będziesz miała pozycję, która ci się należy. Ta uwaga matki spowodowała, że znowu zainteresowałam się swoim pochodzeniem. Dotąd matka uparcie wzbraniała się przed rozmową na ten temat, ale może dziś przerwie milczenie.

- Kim był mój ojciec, *mamma*? - zapytałam.

Matka wyglądała przez okno. Po tym, jak uniosła ramiona, rozpoznałam, że jest poruszona.

- Dlaczego mi nie mówisz, kim on był? Przecież istniał, prawda?

- Oczywiście - mruknęła.

- Czy to był tak zły człowiek, że nie chcesz o nim mówić?

- Nie, nie.

- Kim więc był? Jak się nazywał? Powiedz mi!

- Carlo, proszę cię...

- Powiedz!

Przez chwilę myślałam, że wreszcie mi powie. Widziałam, jak ze sobą walczy, ale jednak się na to nie zdobyła. Wstała gwałtownie i poszła do pracowni.

Zostałam sama i po raz kolejny doszłam do wniosku, że z moją przeszłością jest coś nie w porządku.

Wiąże się z nią pewnie coś strasznego, o czym nie powinnam wiedzieć.

Pierwsze miesiące roku 1572 przyniosły długotrwałe chłody. Wielu ludzi, którzy odwiedzali Bolonię latem, sądzi, że u nas zawsze jest ciepło. Nie znają jednak mrozu, który potrafi przez noc zapanować

nad miastem, tak że rankiem przechodnie wydychają białą mgiełkę. W tym dziwnym roku mieliśmy nawet śnieg sięgający do kostek. Ten, kto nie musiał opuszczać domu, pozostawał w swoich czterech ścianach i cieszył się, jeśli miał dobry kominek i kilka sągów drewna na opał.

Jednak studenci, jak opowiadał Marco, nie mogli pozostać w swoich kwaterach. Musieli studiować i we wszystkie dni zajęć uczestniczyć o dziewiątej rano w półgodzinnej mszy w kaplicy Santa Maria de'Bulgari, na którą *wzywała* ich *la scolara*. Profesorowie również byli obecni. Zbierali się w bocznych nawach kaplicy i po zakończeniu mszy uroczystym krokiem wychodzili z kościoła.

- Już choćby dla takiego wyglądu powinienem zostać profesorem - marzył Marco z błyszczącymi oczyma. - Powinnaś zobaczyć choć jednego z nich, jak kroczy w fałdzistej todze z szerokimi rękawami i w gronostajowej pelerynce środkiem kaplicy i sienią, mijając niezliczone herby dostojników i absolwentów, aż do wielkiej auli, razem z towarzyszącymi mu sługami. Wszyscy dostojnicy akademicy mają tradycyjne srebrne epolety na ramionach i są ubrani w czarne kaftany i spodnie do kolan oraz peleryny z jedwabiu. Wierz mi, każdy student, nawet najbardziej niepokorny, jest zbudowany tym widokiem.

- Wierzę ci - powiedziałam z mieszanymi uczuciami, bowiem wiedziałam, że niczego z tych rzeczy, które przedstawiał tak obrazowo, nie będzie mi dane zobaczyć na własne oczy, a mimo to nie mogłam się dość o nich nasłuchać.

- W jednym końcu auli stoi katedra z dębowym pulpitem. Wyobraź sobie, że oparcie fotela sięga aż do sufitu, a na samej górze rozpościera się baldachim, gdzie na oblamowaniu widnieje wizerunek Najświętszej Marii Panny. *Fantastico!*

- Na pewno.

- Opowiadałem ci już o profesorze Aranzio, no wiesz, nauczycielu sztuki chirurgii.

- Pamiętam.

- Aranzio naucza w sali nazwanej jego imieniem, w Scuola d'Aranzio. Jest to raczej mała izba, w ogóle nieumeblowana, więc studenci przed każdym wykładem muszą sobie sami ustawiać ławy.

Ale to nikomu nie przeszkadza, ponieważ to, co profesor pokazuje, jest ze wszech miar godne uwagi. Dokonuje sekcji martwych ciał przy pomocy swoich prosektorów. Kiedy człowiek o tym słyszy, wyobraża sobie tylko krew, ale w rzeczywistości jest to sztuka, która wymaga podobnej zręczności jak szewstwo albo krawiectwo. Wyobraź sobie tylko: pośrodku sali stoi marmurowy stół, na którym leży ciało. Na obu końcach stołu płonie po kilka pochodni, żeby było dosyć światła. Każde cięcie, które wykonuje profesor albo które poleca wykonać, doktor obszernie komentuje. Oczywiście zajęcia odbywają się bez publiczności, czego pilnuje jeden lub dwóch studentów pod drzwiami sali.

- Rozumiem - powiedziałam.

- Dlaczego tak mało mówisz? Nie interesują cię moje studia?

- Ależ bardzo.

- To dobrze. Co to ja mówiłem? Aha, o Aranzii. Zajmował się przez wiele lat zastawkami serca, odkrył też więzadło żylne wątroby u płodu, nazwane jego imieniem; również jako pierwszy opisał jeden z mięśni ramienia. Powiedz, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Nie... tak. - W rzeczywistości *przez* chwilę nie uważałam, bo im więcej opowiadał, tym bardziej pragnęłam sama przy tym być.

- A więc co ja mówiłem?

- No, cóż... mówiłeś o jakimś mięśniu, mięśniu ramienia, zdaje się.

- Tak właśnie. Mówiłem o mięśniu kruczo-ramiennym.

- Jak, proszę?

- Dobrze słyszałaś.

- Przecież żaden mięsień nie może się tak nazywać.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Marco. - Mówiłem o *musculus coracobrachialis*, mięśniu kruczo-ramiennym, który naprawdę istnieje. Ty go masz, ja też. Każdy człowiek go ma.

- Przepraszam.

- Może nie powinienem cię już nudzić takimi rzeczami. - Marco objął mnie w talii i ścisnął znacząco. - Może powinienem ci opowiedzieć o szczypcach raka.

- Szczypcach raka? Czy to też mięsień?

- Nie. - Marco się roześmiał. - Jest to jeden z wielu eksponatów, które profesor Aldrovandi ma w swoim domu.

- Aldrovandi? Czy to ten...

- Tak, ten od ogrodu ziołowego w Palazzo Publico.

- Ach tak.

- Aldrovandi jest pilnym zbieraczem różnych eksponatów. Zbiera nie tylko tak dziwaczne rzeczy jak szczypce raków, kuliste ryby z rodziny rozdymkowatych, jeże morskie duże jak głowa dziecka, i kości rekinów, lecz także jaszczurki, krokodyle i jaja strusie, do tego setki drzeworytów, które służą do opisu jego wielkiej kolekcji ziół, poza tym skorupy żółwi, tak wielkie jak siodło, i poroża zwierząt.

- A czemu to wszystko ma służyć?

- Jest po prostu ciekawy. Ciekawość i brak przesądów to siły napędzające wszelaki postęp w nauce.

- Tak powiedział?

- Tak, właśnie tak.

Ręka Marca zaczęła wędrować w górę po moim gorsecie. Pozwoliłam mu na to. Nie mogłam zawsze zabraniać. Poza tym zbliżał się termin naszego ślubu.

- Zbiera też różne rodzaje jąder, w tym jądra byków.

- Marco, proszę cię. - Byłam zdania, że jego objaśnienia idą za daleko. Marco się roześmiał.

- Są tak spreparowane, że pokazuje się je zawieszzone na wadze. Odsunęłam jego rękę.

- Ma także ogromne orzechy palmy, których łagodne zaokrąglenia przypominają kształt pośladków kobiety, i skamieliny o podobnie podniecającej formie.

Pomyślałam o matce, która szyla w pracowni i być może wszystko słyszała.

- Marco!

- Dobrze, już nic nie mówię. Ale wróćmy do profesora Aranzia. Jedno z pewnością cię zainteresuje: ma rzeczywiście błogosławione ręce. Nie ma chyba rzeczy w chirurgii, których by nie robił. Podejmował się nawet operacji poprawiających kształt nosa, i w ogóle operacji twarzy.

- Och... wiesz może o tym coś więcej?

- Niestety nie. - Marco spojrzał na mnie. - Ale chętnie się dowiem.

- Nie wychodź lepiej z domu, *mamma* - powiedziałam kilka dni później. - Znowu spadł śnieg.

- Może rzeczywiście nie powinnam dzisiaj iść do miasta, maleńka, ale nie mam wyboru. Stara *signora* Ghisilieri wydaje dzisiaj przyjęcie w swoim *palazzo* i potrzebuje na gwałt nowej sukni.

- Ma setki innych.

- Nie znasz się na tym. - Matka wzięła wiklinowy kosz, włożyła do niego drogocenną szatę, piękną jak marzenie, z cytrynowożółtej mory i jedwabnej tafty w kolorze kości słoniowej, i starannie ją przykryła. - Wrócę najpóźniej na obiad.

Wyszła na mróz i zostawiła mnie przy moim zajęciu: właśnie pakowałam swój skromny dobytek, ponieważ miałam się przeprowadzić do domu odziedziczonego przez Marca. Obok bielizny, kilku domowych sukien i wiana, na które składały się po większej części bielizna stołowa i pościelowa, należało do niego kilka garnków, łyżek i patelni, a poza tym igły, nici i nożyce oraz kilka bel materiału i jeden z manekinów krawieckich. Wiele tego nie było, a nieliczne książki, które także chciałam zabrać, nie podnosiły specjalnie wartości mojego majątku. Nie czytałam zbyt wielu książek, nie tyle z braku zainteresowania, ile dlatego że wieczorami zawsze bolały mnie oczy od wielogodzinnego szycia. Moją ulubioną książką była *Boska Komedia* Dantego. Fascynowała mnie historia podróży z piekła do raju.

Miałam jeszcze swoje lalki. Stałam i patrzyłam na nie, zastanawiając się, czy mam zabrać wszystkie, czy tylko moją ulubioną Bellę, kiedy gwałtownie zapukano do drzwi. Pukanie wydało mi się obce i groźne. Wiedziałam od razu, że nie znam tego, kto stoi u drzwi. Uchyliłam je odrobinę. Zobaczyłam mężczyznę w mundurze straży miejskiej.

- Czy wy jesteście Carla Maria Castagnolo? - zapytał.

- Tak, to ja.

- Ehm... przywieźliśmy waszą matkę, jest z tyłu wozu...

- Co się stało?

- Ona... no cóż... miała wypadek.

- Jezus Maria! - Byłam tak przerażona, że o mały włos otworzyłabym szeroko drzwi i ukazała moje znamię. - Czy ona...

- Nie, wasza matka żyje. Ma stłuczoną i poranioną twarz. Chcieliśmy zawieźć ją do Ospedale della Morte, bo jest blisko uniwersytetu i są tam najlepsi medycy, ale uparła się, żeby ją zawieźć do domu.

- Tak... eehm... tak, rozumiem.

Po plecach przeleciał mi dreszcz, bowiem Ospedale della Morte oznacza „szpital śmierci”, zaiste nieszczęsna nazwa dla szpitala. Wzięłam się w garść.

- Wnieście ją do domu i połóżcie na łóżku w izbie po lewej stronie. Ja... ja... przyniosę maść i bandaże. Nie czekajcie na mnie, po prostu ją zostawcie. Dziękuję wam.

Pospieszyłam do kuchni, gdzie szybko przeszukałam nasze ubogie zapasy leków, znalazłam maść ze skrzypem i kilka lnianych bandaży i pobiegłam z powrotem. Patrzyłam, jak strażnicy kładą matkę na moim łóżku i stawiają obok niego wiklinowy kosz. Kosz był przykryty i suknia dla starej *signory* Ghisilieri nadal się w nim znajdowała. Miałam ochotę przekląć wszystkie bogate kobiety i ich przyjęcia.

Kiedy podeszłam do matki, zobaczyłam, jak ciężko jest ranna. Zniknął jej wysoki beret, który w zimie nosiła zamiast siatki na włosy przybranej perełkami, w jej szpakowatych włosach była krew. Twarz także miała zakrwawioną.

- *Mamma, mamma*, co ty zrobiłaś!

- Nie jest tak źle, maleńka. - Matka wolno podniosła na mnie oczy. Próbowwała się uśmiechnąć. - Tak się dzieje, kiedy się nie słucha córki.

- Nie wolno ci tak mówić, *mamma*. Poczekaj, przyniosę ci kieliszek wina.

Rzuciłam się do kuchni, gdzie stał dzban z Lambrusco poświęconym przez ojca Edoarda. Przez chwilę wahałam się, czy go wziąć, ale jednak to zrobiłam i pospieszyłam z powrotem do matki.

- Szklaneczka wina dobrze ci robi, *mamma*. Nalałam jej i ostrożnie podałam.

Próbowwała wziąć szklankę do ręki, ale była za słaba. Usiadłam przy niej, podniosłam jej zakrwawioną głowę i wlałam do ust kilka łyków.

- Dziękuję, maleńka.

- Bardzo cię boli?

- Nie, trochę szumi mi w głowie.

- Przyniosę zimny okład.

Poskładałam czyste płótno, zanurzyłam w lodowatej wodzie i wyżyłam je.

- Podłożę ci pod kark, mam nadzieję, że to pomoże.

- Dobrze...

Zaczęłam obmywać twarz matki czystą moką szmatką, starając się zachować spokój. Rany cięte i stłuczenia, które odkrywałam, wyglądały strasznie. Przez głowę przebiegały mi niepotrzebne myśli o tym, jak długo będzie trwało gojenie i czy pozostaną blizny. Położyłam kompresy na ranach i zabandażowałam je paskami płótna, najlepiej jak umiałam.

- *Mamma*, jak to się stało?

- Ach, dziecko...

- Jeśli nie możesz mówić, to nie mów.

- Chcę...

Mimo swojego żalosego stanu zaczęła opisywać wypadek. Mówiła cicho i zacinając się, bo była bardzo słaba. Czasem przerywała opowiadanie, ale podejmowała je na nowo, dopóki nie zrzuciła całego ciężaru z serca. Według jej słów szła ulicą San Felice w kierunku Piazza Maggiore i była już prawie na placu, kiedy nagle z lewej strony z Via del'Poggiale z zawrotną szybkością wyjechał powóz. Matka chciała się odsunąć, ale bruk był oblodzony i bardzo śliski. Poślizgnęła się, nie utrzymała na nogach i uderzyła głową w powozową latarnię o ostrych kantach. Po kilku minutach omdlenia przyszła do siebie, a życzliwi przechodnie zawołali straż miejską z wozem do transportu rannych. Tylko tyle wiedziała.

- A co z powozem, *mamma*!

- Odjechał.

- Ale przecież powożący musiał zauważyć, co zrobił! Przecież nie mógł tak po prostu odjechać! Jak ten powóz wyglądał?

- Nie wiem. Wszystko działo się tak szybko.

- Dobrze, *mamma*. Na razie to nie jest ważne. Spróbuj odpocząć. Gdy będziesz czegoś potrzebować, zawołaj mnie.

- Tak, *mama*.

Wieczorem zjawił się Marco, co mnie niezmiernie ucieszyło, myślałam bowiem, że jako student medycyny będzie mógł mi coś doradzić. Ku mojemu zaskoczeniu nie miał jednak wiele do powiedzenia. Rany mojej matki obejrzał bardzo pobieżnie.

- Mniejsze rany cięte posmarowałam maścią i zabandażowałam - powiedziałam - ale tę dużą na czole chyba trzeba zeszyć.

- Tak - odparł Marco - na pewno.

- Jak sądzisz, mógłbyś to zrobić?

- Eee... może tak. Ale myślę, że byłoby lepiej wezwać lekarza.

- Toż jesteś przecie lekarzem. A przynajmniej przyszłym lekarzem. No i szewcem. Znasz się na szyciu.

- Tak samo jak ty jako krawcowa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ach, nic.

Spojrzałam na niego, ale Marco unikał mego wzroku. Zrozumiałam, że coś jest nie w porządku. A może nie chciał mi pomóc? Zdziwiło mnie to, bo nie pasowało do barwnych opowieści o sekcjach profesora Aranzia.

- No dobrze - powiedziałam - w takim razie idź, proszę, i sprowadź doktora Valerini, mieszka tu w pobliżu.

W tym miejscu do rozmowy wmieszała się matka i powiedziała słabym głosem:

- Nie, proszę was, żadnego lekarza. To za drogo. Jutro będę się już dobrze czuła.

- Ale, *mamma*, tę długą ranę na czole trzeba zeszyć, inaczej się nie zagoi. - Ach, takie głupie rozcięcie...

Umilkłam niezdecydowana i spojrzałam na Marca.

- Naprawdę nie chcesz spróbować?

- Carlo, ja jeszcze nie doszedłem do tego na studiach, wierz mi. Praktyka będzie później.

- Ale sam mi opowiadałeś, że studenci zaszywają zwłoki po sekcji?

- Tak, tak, masz rację, ale to jest co innego, wierz mi. Najlepiej będzie, jak sprowadzę lekarza.

- Nie, żadnego lekarza - wyszeptała matka.

Musiałam się opanować, żeby nie tupnąć nogą. Byłam wściekła i rozczarowana Markiem, który wydawał się dotąd zupełnie inny.

- Zamiast próżnej gadaniny sama to zrobię.

- Carlo, proszę cię - spróbował jeszcze raz Marco. Zwrócił się do matki i powiedział: - Naprawdę nie wzywać lekarza, *signora!* Zeszycie rany nie może dużo kosztować.

Zanim matka zdążyła odpowiedzieć, odezwałam się:

- Ja to zrobię i koniec. - Poszłam po swoje przybory krawieckie, które niedawno spakowałam. Teraz przyglądałam im się bezradnie. Nie miałam pojęcia, jakich narzędzi użyć, jednak myśl, że nieregularne brzegi rany wyglądają jak wystrzępiony materiał, pomogła mi w decyzji. Wybrałam małe ostre nożyczki i kilka zakrzywionych igieł. Jeżeli chodzi o nici, to wzięłam najmocniejsze, jakie miałam.

- Zrobię zwykły szew bieliźniarski - powiedziałam do Marca. - Jak sądzisz?

- Myślę, że się nada.

- Też tak myślę.

Na małym stoliku ułożyłam przybory krawieckie i uklękłam obok matki.

- *Mamma*, słyszysz mnie?

- Tak... maleńka.

- Będę szyć.

Chwyciłam nożyczki, żeby wyrównać brzegi rany, i zawahałam się. Spostrzegłam, że moje słowa są odważniejsze niż ręka. Zszywanie żywego ciała było czymś zupełnie innym niż zszywanie kawałków materiału. Powiedziałam sobie jednak, że nie mogę się już cofnąć. Pomyślałam o Marcu, który ma możliwość studiowania medycyny, i o tym, że ja jej nie mam, i zawiądnął mną pewien rodzaj przekory. Teraz, pomyślałam, pokażę panu studentowi, że potrafię coś, czego on nie potrafi. Zaczęłam spokojnie operować nożyczkami.

- Bardzo boli, *mamma*?

- Nie...

- To dobrze.

Podalam Marcowi nożyczki, żeby je odłożył na bok, delikatnie osuszyłam brzegi rany i poprosiłam o zakrzywioną igłę średniej wielkości. Kiedy Marco mi ją podał, nie odmówiłam sobie uwagi:

- Mogłeś przynajmniej ją wcześniej nawlec.

- Przecież nie wiedziałem, której igły potrzebujesz.

Nie odpowiedziałam, ale kiedy nawlekałam igłę i robiłam supełek na końcu, pomyślałam: „Gdybyś był uważny, drogi Marcu, nawłóklbyś na wszelki wypadek wszystkie”.

Ostrożnie wbiłam igłę. Szło mi łatwiej, niż się spodziewałam.

- Wytrzymasz, *mamma!*

- Tak, dziecko, tak...

Szyjąc, pomyślałam sobie, że wyuczony i często niechętnie wykonywany zawód krawcowej wreszcie mi się na coś przydał. Poczułam przyjemny dreszczyk. Bardzo miło było komuś pomagać. Szybko skończyłam swoją pracę. Zakończyłam szew i oddałam Marcowi igłę i nici. Chwyciłam pudełko z maścią i posmarowałam zaszytą ranę.

- Zrobiłbyś teraz opatrunek czy zostawiłbyś ranę nieosłoniętą?
-zapytałam Marca.

- Eee... nie wiem.

Właściwie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Zastanowiłam się i powiedziałam:

- Przykryję ranę, inne też przykryłam.

- Tak - powiedział Marco - słusznie. Wkrótce potem odszedł.

Następnego dnia matka skarżyła się na pragnienie. Musiałam kilka razy chodzić po wodę za dom, gdzie znajdowała się mała cysterna. Ponieważ utrzymywał się mróz, na powierzchni wody był gruby lód. Kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby go rozbić. Pragnęłam, żeby przyszedł Marco, ale mój przyjaciel się nie pokazywał.

Za każdym razem, gdy wychodziłam po wodę, zabierałam też kilka małych kawałków lodu, zawijałam w płótno i ostrożnie chłodziłam skronie matki.

- Dobrze ci tak, *mamma!*

- Tak, maleńka, bardzo dobrze.

- Masz gorączkę, *mamma.*

- Ach, odrobina gorączki... Daj mi jeszcze wody, dobrze?

- Poczekaj, zaraz przyniosę.

Kiedy ją poiłam, zauważyłam, że matka jest niespokojna.

- Co takiego, *mamma*?

- Ach... ja... muszę znowu na nocnik.

- To nic dziwnego przy tych ilościach wody, którą pijesz. Poszłam opróżnić nocne naczynie, a potem pomogłam jej na nim

usiąść. Była naprawdę bardzo słaba. Kiedy znowu zaprowadziłam ją do łóżka i przykryłam, nagle uświadomiłam sobie, ile radości daje mi możliwość pomagania drugiemu człowiekowi. Były to proste czynności, ale wiele dla mnie znaczyły.

Po południu ugotowałam rosół z kury, ale matka powiedziała, że nie ma apetytu.

- Dobrze, *mamma*, zjesz go jutro.

Następnego dnia gorączka wzrosła. Przyłożyłam rękę do szyi matki i powiedziałam:

- Jesteś rozpalona, *mamma*.

- Ach... to nic takiego.

- Dam ci się napić gorącego naparu z kory wierzbowej. Cieszyłam się, że mam proszek z kory wierzby; był to prezent od

signory Carducci, która rano specjalnie poszła do *farmacji*, żeby kupić to lekarstwo. Przy okazji zapytałam ją o syna, na co odpowiedziała:

- Ach, Carlo, tak rzadko go ostatnio widuję. Jeśli nie jest w Archiginnasio, siedzi w mieszkaniu wuja albo chodzi na te niezliczone fety studenckie.

- Dziękuję wam, *signora* - powiedziałam. - Może jeszcze przyjdzie.

Ale Marco nie przyszedł.

Trzeciego dnia powiedziałam sobie, że pora na zmianę opatrunków. Zdjęłam je bardzo ostrożnie, ale najwidoczniej nie dość delikatnie, bo twarz matki wykrzywiła się bólem.

- Przepraszam, *mamma*.

- Ach, dziecko...

Obejrzałam rany i zatroskałam się. Zranienia spuchły na brzegach i zsiniały. Najbardziej niepokojąco wyglądała rana, którą zszyłam. Jeśli się nie myliłam, ropiała. Nie chciałam jednak niepokoić matki,

więc nic nie powiedziałam. Pragnęłam tylko, żeby Marco wreszcie przyszedł. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby nie pokazywał się przez kilka dni.

Później poprosiłam matkę o adres doktora Valeriniego, ale nie usłyszała mnie. Gorączka musiała znowu wzrosnąć. Tak się niepokoiłam, że odważyłabym się nawet wyjść z domu, żeby sprowadzić lekarza. W każdym razie tak mi się zdawało.

Kilka razy próbowałam przemówić do matki, ale była w malignie. Opowiadała o sukniach i klientkach, wymieniała adresy, imiona i nazwiska, wśród których rozpoznałam tylko swoje imię, mówiła o czarownicach, żeby Pan Bóg pozwolił im żyć, o inkubach i sukubach. Kiedy zaczęła majaczyć o Lilu, Lilutu, Ardat Liii i Irdu Liii, nie wytrzymałam. Włożyłam grubą, wełnianą symarę i wyszłam z domu.

Na dworze już się ściemniło. Na chwilę zatrzymałam się, po czym ruszyłam zdecydowanym krokiem ulicą. Nikogo nie było widać. Narzuciłam kaptur, tak że zakrył połowę twarzy, spuściłam głowę i powiedziałam sobie: - Zrobisz to dla matki.

Schylona przebiegłam te pięćset kroków do domu *signory* Carducci i zapukałam do drzwi. Upłynęła wieczność, zanim otworzyła.

- Carlo, to ty? - zdumiała się, kiedy mnie rozpoznała.

- Tak, *signora* - odrzekłam szybko. - Moja matka... potrzebuje lekarza. Czy wiecie, gdzie mieszka doktor Valerini?

- Oczywiście, Carlo, ale najpierw wejdź, wyglądasz na przerażoną.

- Nie, dziękuję, *signora*. Czy moglibyście sprowadzić doktora Valeriniego? Myślę, że to pilne, rzeczywiście bardzo pilne.

- Tak... eee... teraz? .

- Proszę, *signora*.

- Jest tak źle?

- Tak, *signora*, błagam!

- Dobrze, zrobię to. Nikt nie powinien mówić, że Alessandra Carducci odmawia bliźnim w potrzebie.

- Dziękuję stokrotnie, *signora*, niech was Bóg błogosławi! Odwróciłam się i popędziłam do domu, gdzie rzuciłam się bez

tchu na najbliższe krzesło. Potrzebowałam długiej chwili, żeby znowu zacząć jasno myśleć.

Dokonałam czegoś, czego nigdy bym się po sobie nie spodziewała. Byłam poza domem.

I nic mi się nie stało. Nikt mnie nie wyszydził ani mi nie zagroził. Wstałam powoli z krzesła i podeszłam do łóżka matki.

- *Mamma* - powiedziałam - doktor Valerini już do nas idzie. Nie słyszała mnie.

Zrobiłam walek ze zmoczonego w zimnej wodzie płótna, podłożyłam jej pod kark i usiadłam obok niej. Czekałam na doktora. Robiło się coraz później i później, wreszcie zmorzył mnie sen.

Doktor Valerini nie przyszedł.

Zjawił się dopiero następnego dnia w południe. Miał na głowie ten sam beret, ozdobiony sznurami pereł i agrafami. Z jego eleganckim nakryciem głowy lata obeszły się równie łagodnie jak z jego twarzą. Witając się ze mną, doktor nie dał po sobie poznać, że rozpoznaje we mnie swoją dawną pacjentkę, lecz przyjrzał się krótko mojemu znamieniu i powiedział:

- Jak słyszę, wasza matka źle się czuje?

- Tak, *dottore*, wreszcie przyszliście. Bardzo się martwię.

- W takim razie obejrzymy chorą.

Podszedł do łóżka i przyjrzał się matce badawczo. Potem podniósł jej powiekę i sprawdził puls.

Matka jęknęła i wymamrotała coś. Płonęła gorączką.

Chętnie dowiedziałabym się, co lekarz myśli, ale nie odważyłam się zakłócić badania.

- To wszystko wygląda niepokojąco - powiedział w końcu. - Szczególnie ta zeszyta rana mi się nie podoba. Kto to zrobił?

- Ja... - Zacerwieniłam się. - Ja... eee... mam nadzieję, że szew jest w porządku, *dottore*? - Serce tak mocno mi biło, że wydawało mi się, iż słyszeć je w całej izbie.

- Ściegi mogłyby być głębsze, ale poza tym to niezła robota. Na szczęście nie pytał dalej, tylko pochylił się i powąchał ranę na czole matki.

- Hm - powiedział - nie chcę was oszukiwać, *signorina*, ale zapach i barwa rany wskazują na coś niedobrego. Możliwe, że tworzy się gangrena.

- Co to takiego, *dottore*? - zapytałam przestraszona.

- Gangrena oznacza, że trujące substancje niszczą skórę i ciało. Gangrenę nazywa się także zgorzelą.

- Czy moja matka musi... to znaczy, czy ona...?

- Wszystko w ręku Boga. Gangrena łączy się często z silnymi bólami, szczególnie jeśli kość pod nią jest uszkodzona. Mam jednak nadzieję, że kość czołowa waszej matki jest cała. Macie w domu korę wierzbową?

- Tak, *dottore*, w proszku do zaparzania.

- Wybornie, tu wam jeszcze zostawię naczynie z *laudanum*. Jest to wyciąg z maku, działa silniej niż kora wierzbowa. Możecie podać matce kilka kropli, jeśli bóle będą zbyt dotkliwe.

- Dziękuję, *dottore*.

- A teraz zobaczymy, jak można zapobiec gangrenie. Najpewniejszym działaniem jest zawsze resekcja danego członka, czyli obcięcie go, ale w tym wypadku nie wchodzi to oczywiście w rachubę, bo są to rany głowy. Myślę, że zaczniemy od oczyszczającego puszczenia krwi. Potrzebuję miski.

- Dobrze, *dottore*.

Kiedy przyniosłam miskę, lekarz wziął rękę mojej matki i wyprostował ją. Potem przyłożył do niej lancet do otwierania żył. Rozległ się krótki, głuchy odgłos, matka drgnęła, ale chyba nadal drzemała w swoim świecie zrodzonym z gorączki. Ze zgięcia ręki wypłynęła krew i zaczęła kapać do miski. Poczułam dreszcze, miałam wrażenie, że wraz z krwią uchodzi z niej życie.

- Nie może być więcej niż sześć, najwyżej osiem uncji, bo zamiast oczyszczenia nastąpiłoby osłabienie. - Doktor Valerini zatamował płynącą krew tamponem z wielokrotnie złożonej gazy i zajrzał do swojej walizeczki lekarskiej. - Teraz zaczniemy właściwe działanie. - Wyjął zamknięte naczynie wielkości pucharka i pokazał mi je. - Wiecie, co tam jest?

- Nie, *dottore*.

- Zaraz zobaczycie.

Przytknął naczynie do czoła matki i zdjął pokrywkę. Natychmiast wyczołgały się z niego robaki, które wyglądały jak grube dżdżownice, tylko były oliwkowej barwy, a na grzbiecie miały żółtawy wzór.

Mimo woli cofnęłam się o krok.

Doktor Valerini pozwolił sobie na uśmiech.

- Pijawki, *signorina*. To prawda, że nie wyglądają pięknie, ale ich działanie jest błogosławione.

Pierwsze pijawki wyczołgały się już z naczynia, popęzły po czole matki i wpiły się w nie w pobliżu ran.

- Podziałają na pewno, *signorina*, są naprawdę pocziwe. Gdyby skóra była zbyt zimna, nie ukąsiłyby, nie lubią zimna. A tak wysysają krew i łagodzą zapalenie.

Zapytywałam się w duchu, czy te ugryzienia powodują ból, a doktor Valerini powiedział, jakby czytał w moich myślach:

- Ugryzienia nie są bolesne, powodują tylko lekkie pieczenie, jak przy dotknięciu pokrzyw. Jednak wasza matka chyba tego nie czuje.

- Tak, *dottore*. - Przyjrzałam się jednej z pijawek i spostrzegłam, jak faliste zgrubienia wędrują od głowy do mniej więcej połowy ciała, a podłużny korpus coraz bardziej puchnie.

- Ona pije - powiedział doktor. Skinęłam głową.

- Jak długo pijawki będą piły, *dottore*?

- Aż się nasycą. Najwyżej pół godziny. Wtedy po prostu odpadną, a ja będę musiał uważać, żeby w porę podstawić naczynie. To niewymagające zwierzątko. Taki posiłek jak dzisiejszy wystarczy im na rok.

I rzeczywiście stało się tak, jak powiedział lekarz. Po półgodzinie zebrał pijawki, zamknął naczynie i pożegnał się, mówiąc:

- Jutro znowu przyjdę.

Spełnił obietnicę i zjawił się przed południem następnego dnia.

- Jak się czuje wasza matka? - zapytał zamiast powitania. - Mam nadzieję, że lepiej?

- Nie, niestety, *dottore* - odpowiedziałam.

Rzeczywiście stan matki nie poprawił się, wręcz przeciwnie, w ostatnich godzinach prawie nie można się było z nią porozumieć. W tych rzadkich momentach, kiedy mogła jasno myśleć, skarżyła się na silne bóle.

- Podałam jej *laudanum, dottore*.

- Doskonale, ale podawajcie jej nadal także korę wierzbową, działa dodatkowo przeciw gorączce.

Znowu zbadał puls chorej i ocenił gorączkę. Potem wziął trochę uryny z naczynia nocnego i wlał ją do szklanej kolby, którą nazwał *matula*. Podniósł kolbę do światła i przyjrzał się jej zawartości.

- Soki żywotne waszej matki straciły wszelką równowagę. Trzeba będzie zrównoważyć krew, śluz, żółtą i czarną żółć.

- Tak, *dottore* - powiedziałam, nie wiedząc, jak to osiągnąć.

- Nie macie przypadkiem prawdziwej perły w domu? Zawahałam się. Matka miała z dawnych czasów broszkę z błękitnym

topazem i trzema złotymi kwiatkami, nazywanymi przez *nią fleur-de-lis*. Pośrodku każdego kwiatka tkwiła mlecznie połyskująca perła. Broszka była najbardziej wartościową rzeczą, jaką matka posiadała.

- Do czego potrzebna jest wam perła, *dottore*?

- No cóż, *signorina*, prawdziwa perła jest najdroższym, ale też najskuteczniejszym środkiem na obniżenie gorączki, jaki zna nauka. Gdybyście taką mieli, mógłbym ją sproszkować i razem z ekstraktem ze szczawiu i kilku innymi ziołami sporządzić z niej bardzo skuteczny lek.

- Poczekajcie, *dottore*.

Zdecydowałam się, że dam mu broszkę. Cóż warta jest perła wobec ludzkiego życia - pomyślałam. Wyszłam z izby i wróciłam z klejnotem.

- Czy jedna z tych pereł się nada?

- Jaki piękny motyw kwiatowy - doktor Valeririi zagwizdał z podziwem. - Wydaje mi się, że już gdzieś go widziałem. No cóż, jedna z tych trzech drogocennych pereł na pewno wywrze skutek. Dajcie mi broszkę, zatroszczę się o wyjęcie i sproszkowanie perły.

- Tak, *dottore*.

Zjawił się ponownie dopiero o zmierzchu.

- Zmieszałem wszystkie potrzebne ingrediencje i sproszkowaną perłę - powiedział rażno. - Muszę tylko zagrzać ten płyn.

- Oczywiście, *dottore*, proszę za mną.

Po drodze do kuchni zapytał o stan matki.

- Chyba bez zmian.

- Dobrze, zobaczymy.

Doktor Valerini doprowadził płyn do wrzenia i szybko zdjął go z ognia.

- Zbyt długie gotowanie osłabia siłą działania perły.

- Rozumiem, *dottore*.

Zastanawiałam się, czy użył wszystkich trzech pereł i gdzie jest reszta broszki, nie chciałam jednak o to pytać. Wobec stanu matki wydało mi się to małosłowne.

- Chodźmy do niej. - Podszedł z gorącym płynem do łóżka chorej i zbadał ją tak jak poprzednio. - Niestety żadnej poprawy. Czy matka często oddaje mocz? - Lekarz przyjrzał się zawartości nocnego naczynia.

- Trzy albo cztery razy na dzień, *dottore*. Musiałam jej także podać *laudanum*. Dużo pije, gdy jest przytomna.

- Widać to po kolorze moczu. Bardzo blady. Z moczem jest tak, *signorina*: uroskopia, jak medycyna nazywa obserwację moczu, jest nie do przecenienia przy diagnozowaniu choroby. Rozróżnia się około dwudziestu kolorów moczu, od przejrzystego jak woda źródłana, poprzez mleczny, czerwony jak malina, zielony jak jodła, aż do gołębno-szarego. Mówimy o płynnym, średnio płynnym i gęstym moczem i dzielimy słup tego płynu na trzy strefy: górną, środkową i dolną. W zależności od tego, gdzie osadzają się pęcherzyki, kropelki, chmurki, płatki *et cetera*, dają wskazówki, czego brakuje pacjentowi. W odniesieniu do waszej matki mocz sygnalizuje silne *inflammatio*, połączone z ciemnym *pus*.

Spojrzałam na niego, nic nie rozumiejąc.

- Och, wybaczcie mi, nie znacie łaciny? No cóż, *inflammatio* oznacza w języku lekarzy zapalenie, a *pus* - ropę. Myślę, że napój dostatecznie ostygł, żeby można było podać go waszej matce.

- Rozumiem, *dottore* - powiedziałam, spodziewając się, że on to zrobi. On jednak nie zabierał się do tego. Wzięłam więc płyn i napiłam matkę.

- Dobrze to robicie, *singorina*. Chorzy stracili w was pomocną siostrę miłosierdzia.

- Dziękuję, *dottore*.

- Trzeba oddać cesarzowi, co cesarskie, *honos reddatur dignis*. Polecam się łaskawej pamięci. Czeka na mnie jeszcze kilkoro innych pacjentów. *Arrivederci*.

- *Arrivederci, dottore*.

Włożył beret i wyszedł, nie mówiąc, kiedy znowu przyjdzie.

Następną noc nie zmrużyłam oka. Matka gorączkowała i niespokojnie przewracała się z boku na bok. Wciąż wołała mnie po imieniu, a kiedy podchodziłam, nie rozpoznawała mnie. Patrzyła przeze mnie, jakby wzrok jej sięgał w jakieś odległe kraje. Kilka razy połam ją cennym napojem ze sproszkowaną perłą i miałam nadzieję, że gorączka spadnie.

Nie spadała.

Dopiero nad ranem matka na kilka chwil oprzytomniała.

- Carlo, moja maleńka - wyszeptła - sprawiam ci kłopot, prawda? Ale naprawdę tego nie chcę, Bóg mi świadkiem.

- Nie wolno ci tyle mówić, *mamma*, potrzebujesz sił, żeby wrócić do zdrowia.

Nic na to nie odrzekła. Po chwili zaczęła znowu mówić:

- Jakub - szepnęła - Jakub...

Sądziłam, że znowu mówi w malignie, i zwilżałam jej suche wargi wilgotną gąbką, ale nagle zauważyłam, że jest przytomna. Powiedziała silnym głosem:

- W chorobie wyjaśniły mi się słowa z listu świętego Jakuba: „Bo przyjrzał się sobie [w lustrze], odszedł i zaraz zapomniał, jakim był”*. Myśl zawsze o tym, maleńka. Przynieś mi, że będziesz patrzeć w lustro.

- Dobrze, *mamma* - powiedziałam, wiedząc, że tego nie zrobię.

- A kiedy będziesz w nie patrzeć, powiedz głośno i wyraźnie: „*abiuro*”. Pamiętasz jeszcze, co to znaczy?

* Jk i, 24.

- Obawiam się, że nie, *mamma*.

- To znaczy „wyrzekam się”.

- Dobrze, *mamma*.

- Modliłam się o to, och, jak się modliłam, żebyś mogła się wyrzec, kiedy przyjdzie na to czas. Nieskończoną ilość razy błagałam Wszchemogącego, żeby dał ci siłę, byś mogła to zrobić, i musiałam to mówić zawsze bez duchowego oparcia, bowiem napisane jest, że do najgłębszego dialogu z Panem musi człowiek być sam, inaczej nie zostanie wysłuchany... - Zamilkła wyczerpana i odrobinę uniosła rękę, żebym mogła ją ująć, po czym mówiła dalej: - Zawsze tak bardzo się bałam, że w twoim ciele mogłaby się zagnieździć jakaś czarownica, jedna z tych straszliwych pół-kobiet, pół-demonów, leśnych lub łąkowych wiedźm, latających na miotle, kochanek diabła, ale dzięki moim modlitwom i łasce Pana pozostałaś czysta do dziś dnia.

- Tak, *mamma*. - Byłam zdania, że dość już tych szalonych słów, które aż za dobrze znałam, i wsunęłam jej dłoń pod przykrycie. -Pośpij teraz trochę.

Nie odpowiedziała, ale wkrótce po oddechu poznałam, że niespokojnie drzemie.

Kiedy się obudziłam, wstawał szary dzień. Spojrzałam na matkę i spostrzegłam, że jest przytomna.

- Potrzebujesz czegoś, *mamma*? Wczoraj prawie nic nie jadłaś, mam jeszcze trochę rosołu, chcesz?

Pokręciła głową. Był to tak słaby ruch, że ledwo go zauważyłam.

- Ja... ja... - wyszeptała.

- Tak, *mamma*? - Pochyliłam się nad nią, żeby ją lepiej zrozumieć.

- Ja... umrę.

- Nie!

- Przyprawiaj... wielebnego...

Znowu chciałam zawołać: „Nie!”, bo mówiąc o wielebnym, miała na myśli nie kogo innego niż ojca Edoarda, ale opanowałam się. Nie mogłam nie spełnić tak ważnej prośby ciężko chorej. Mimo to wszystko się we mnie wzbraniało przed wyjściem na ulicę, a szczególnie przed pójściem po ojca Edoarda. Wydawało mi się to wręcz

niemożliwe. Nagle usłyszałam kroki. Miałam nadzieję, że to Marco, mogłabym go poprosić o tę przysługę. Ale był to doktor Valerini.

- *Buongiorno*, mam nadzieję, że stan naszej pacjentki się poprawił - powiedział.

- *Dottore*, ona poprosiła o księdza.

- Och, rzeczywiście? - Valerini uniósł brwi. - Nie martwcie się za bardzo, *signorina*. Chorym często się to zdarza i bynajmniej nie wszyscy po tym umierają. Podawaliście matce napój z perłą?

- Tak, ale już się kończy. Chciałam was zapytać, *dottore*...

- Tak, *signorina*?

- Ta... eee... brosza mojej matki miała trzy perły, a wy zużyliście dopiero jedną. Jeśli nie potrzebujecie więcej pereł, chciałabym odzyskać broszkę.

- Oczywiście, oczywiście. - Doktor Valerini sprawiał wrażenie bardzo skupionego, kiedy badał puls matki. - Tak, tak. Jak tam *laudanum*, *signorina*, macie je jeszcze?

- Już bardzo mało, *dottore*.

- Dam wam trochę. Nie chcemy przecież, żeby nasza pacjentka cierpiała, prawda? - Prawda, *dottore*.

Dał mi odrobinę tynktury i rzekł:

- Więcej nie mogę na razie zrobić, musimy być cierpliwi. - Włożył beret i ruszył do wyjścia.

Był już prawie przy drzwiach, kiedy przyszło mi coś na myśl.

- *Dottore* - poprosiłam - czy moglibyście po drodze zajść do *signory* Carducci i poprosić ją, żeby przyszła? Poszłabym... poszłabym sama, ale nie chcę zostawiać matki bez opieki.

- No cóż... eeehm... - Spojrzał nieco zaskoczony, ale powiedział: - Dłaczego nie. Spełnię waszą prośbę.

Wyszedł, a ja siedziałam nadal na łóżku matki, która oddychała tak płytko, że ledwie można było to zauważyć.

Ponieważ w nocy mało spałam, musiałam się zdrzemnąć, bowiem zerwałam się gwałtownie, kiedy usłyszałam czyjś głos:

- Moja biedna Carlo, nie wiedziałam wcale, że twoja matka jest tak ciężko chora. Dopiero doktor Valerini mi powiedział. - Obok mnie stała *signora* Carducci. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Tak, *signora* - odrzekłam i szybko wstałam. - Jestem wam bardzo wdzięczna, że zaraz przyszlście. Nie jest... nie jest dobrze. Matka prosi o księdza.

- *Santi numi!* - *Signora* Carducci załamała ręce. - Gdybym o tym wcześniej wiedziała! Przecież bym...

- *Signora*, chciałam was zapytać, czy moglibyście przyprowadzić ojca Edoarda z kościoła San Rocco? Doktor Valerini mówi wprawdzie, że to nie musi wcale oznaczać najgorszego, jeśli pacjent żąda sakramentu umierających, aleja muszę spełnić życzenie matki. - I cicho dodałam: - Może to jej ostatnie życzenie.

- Moje biedne dziecko! - *Signora* Carducci uściśnęła mnie krótko i mocno i zniknęła równie nagle, jak się zjawiała.

Podeszłam do łóżka matki i zwróciłam się do niej:

- *Mamma*, słyszysz mnie? - Ponieważ się nie odezwała, zaczęłam sprzątać pokój, przyniosłam świeże prześcieradła i poduszki i prześcieliłam jej łóżko, przy czym wydało mi się, że codziennie jest lżejsza, a kiedy to robiłam, wciąż zagadywałam do niej, ale daremnie. Opróżniłam jej nocne naczynie, wstawiłam nowe świece do pięcioramiennego świecznika i uporządkowałam leki i nalewki na małym stoliku. Przyniosłam też mały domowy ołtarzyk, spodziewając się, że ojciec Edoardo może go potrzebować.

A potem uciekłam do sąsiedniej izby.

Muszę przyznać, że wydałam się sobie tchórzem, kiedy ukryłam się w pracowni, ale nie byłam w stanie znaleźć się w jednym pomieszczeniu z ojcem Edoardem. Kiedy przyjdzie, pomyśli, że mnie nie ma w domu.

Musiałam czekać godzinę, zanim się zjawił. Przez maleńką szparę w drzwiach widziałam jego czarny cień, kiedy przechodził, i słyszałam jego donośny głos:

- Czy nikogo nie ma w domu? Carlo, moja córko, gdzie jesteś? Skuliłam się w kącie pokoju za zasłoniętym lustrem i modliłam

się z całego serca, żeby ten okropny mężczyzna poprzestał na pytaniach. I rzeczywiście tak się stało. Słyszałam szuranie, wydawało mi się, że słyszę pobrzękiwanie naczyń, poznałam, że metal trafił na kamień, żeby zapalić świece, i z tego wszystkiego wywnioskowałam, że ksiądz zaczął udzielać ostatniego namaszczenia. Mimo

wzburzenia nastawiałam uszu. Strzępki modlitwy dochodziły do mnie: „Błagajmy Boga za chorą i za wszystkich, którzy ją leczą i pielęgnują... Prosimy Cię, abys dał jej nowe siły... Prosimy Cię, abys złagodził jej cierpienia...”.

Nastąpiła przerwa, po czym rozległ się znowu głos księdza: „...przeczytam teraz, jak nakazano, wiersze czternasty do szesnastego z piątego rozdziału listu Świętego Jakuba: Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili go olejem w imię Pana... Pan go podźwignie... Wyznawajcie zatem sobie nawzajem grzechy... Wielką moc posiada wytrwała modlitwa sprawiedliwego” *.

Jęk matki zagłuszył na chwilę jego słowa, ale ksiądz modlił się dalej: *Pater noster... sanctificetur nomen tuum... fiat voluntas tua...*

Mimo woli bezgłośnie odmawiałam „Ojcze nasz”. Kiedy ojciec Edoardo powiedział „Amen”, powtórzyłam to samo i przeżegnałam się. Miałam nadzieję, że matka była świadoma tego obrządku, ale raczej w to nie wierzyłam.

Z bijącym sercem nasłuchiwałam odgłosów czynności księdza i odetchnęłam, kiedy wreszcie opuścił nasz dom.

Przetrwałam to! Zadbałam, żeby matka otrzymała sakrament umierających z rąk kapłana, któremu ufała. Podeszłam do jej łóżka i usiadłam na jego skraju.

- *Mamma*, słyszysz mnie?

- ...dobrze, tak dobrze... - Jej słowa były tak ciche, że raczej je wyczuwałam, niż rozumiałam. - Jeśli mam odejść, odejdę z Bogiem.

- Tak, *mamma*.

Ujęłam jej gorącą dłoń i słuchałam dalej. Głos matki stał się mocniejszy, jakby sakrament dodał jej sił.

- Uważaj na siebie, maleńka, strzeż się... inkwizycji.

- Dobrze, *mamma*.

- ...inkwizycji... - Matka przerwała. Myślałam, że znowu usnęła, ale po chwili mówiła dalej: - Uważaj na swoją twarz, nie pokazuj jej, żeby... żeby cię nie zadenuncjowali jako czarownicy.

Jk 5, 14-16.

- Ach, *mamma*, nie mów teraz o tym.

- Nie, muszę... zeszłego roku w Rzymie spalono kobietę... oskarżycielem był Girolamo Menghi, polujący na czarownice, jest teraz... w mieście.

- Nie martw się o nic - powiedziałam pewniej, niż naprawdę się czułam. Nazwiska Menghi nigdy przedtem nie słyszałam.

- Nie pokazuj twarzy... obiecaj mi. - Ręka matki zadrżała. -Pamiętaj o znamieniu...

- Dobrze, *mamma*.

Zastanawiałam się, czy powinnam podać jej *laudanum*, ale nie sprawiała wrażenia, że ma silne bóle. Przyszło mi do głowy inne pytanie, pytanie, którego jeszcze nigdy nie zadałam, i szybko je wypowiedziałam:

- Czy ojciec mój też miał znamię, *mamma*? - Wstrzymałam oddech. Czy otrzymam odpowiedź?

- Nie, dziecko, nie...

Odpowiedziała mi! Po raz pierwszy odpowiedziała mi na pytanie o ojca. Szybko dodałam:

- Czy był przystojny?

- Tak... był przystojny. w Bez tchu pytałam dalej:

- Zawsze mówisz, że nie żyje *mamma*. Kiedy umarł?

- Myślę... myślę...

- Kiedy? -Ja...

- *Mamma*, kim był?

- Och, dziecko, zaraz... Pić...

- Poczekaj!

Zerwałam się i pospieszyłam do kuchni, żeby przynieść dzban z wodą. Dzban był pusty. W podnieceniu pobiegłam na podwórze do starej studni. Zaraz poznam imię ojca. Nareszcie, po tak długim czasie. Opuszczając wielkie drewniane wiadro, myślałam o cudownej mocy ostatniego sakramentu, o pachnącym olejku do namaszczenia, o wzmacniającej sile modlitwy i pobożnych cytatach z Biblii. Wszystko to musiało odmienić jej stan ducha. W końcu nad cembrowiną ukazało się pełne wiadro i musiałam zaprzestać rozmyślań.

Dźwignęłam naczynie i pobiegłam z nim do domu, napełniłam wielki kubek chłodną wodą i zawołałam:

- Zaraz dostaniesz orzeźwiająca, zimną wodę, *mamma*, to ci pomoże. Zrobię ci zimny okład pod kark, zobaczysz, to obniży gorączkę.

Kilka razy zanurzyłam płótno w wiadrze, żeby się dobrze ochłodziło, wyżęłam je i zawołałam:

- Już idę, *mamma!*

Z kubkiem i kompresem w rękach podeszłam do łóżka chorej. Podłożyłam jej wałek zmoczonego płótna pod głowę i przystawiłam kubek do ust.

- Napij się, *mamma*.

Jednak matka już się nie napiła. Była martwa.

WOALKA

La veletta

Nie wiem dokładnie, czy to była żałoba po matce, czy raczej strach przed publicznym pogrzebem, w każdym razie jeszcze tego samego dnia wpadłam w otchłań melancholii. Siedziałam w kącie pracowni obok zasłoniętego lustra i nie byłam zdolna jasno myśleć. Kiedy wczesnym wieczorem przybył doktor Valerini, żeby dowiedzieć się o stan matki, zastał mnie całkowicie apatyczną.

Stwierdziwszy śmierć pacjentki, zwrócił się do mnie raczej rzeczowo niż pocieszająco:

- Bóg zrzucił, że gangrena była silniejsza od niej, ale teraz ją od niej uwolnił. Śmierć jest częścią życia, na wszystko przychodzi czas.

- Tak, *dottore* - wyszeptałam.

- Zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy.

- Dziękuję, *dottore*.

- Życie trwa dalej, nadejdą jeszcze lepsze dni.

- Tak, *dottore*.

- Muszę teraz iść, jest trochę spraw do załatwienia. Trzeba wypisać świadectwo zgonu i tak dalej. Urzędy nie pytają, jak się czują krewni zmarłego. Dla nich śmierć jest takim samym aktem urzędowym jak każdy inny i też wymaga opłat. Ach, skoro już przy tym jesteśmy: lekarz nie może pracować za Bóg zapłać, musicie to zrozumieć. Macie pieniądze w domu, jak sądzę?

- Niezbyt wiele, *dottore*.

- Za moje usługi należy się... - policzył szybko - cztery i pół *scudi*. Wysokość opłaty wyrwała mnie z odrętwienia.

- Czte... cztery i pół *scudi!* - wyjąkałam. - Ale przecież macie jeszcze broszkę, *dottore!*

- Broszkę? Ach tak. Mam ją. Ale jej wartość już uwzględniłem, pozostaje jednak reszta: cztery i pół *scudi*.

Byłam oburzona. Broszka z pewnością była warta o wiele więcej, a suma, której zażądał lekarz, stanowiła dla mnie majątek. Ale co miałam zrobić? Nie mogłam odmówić.

- Nie mam tyle, mam najwyżej dwa.

- To dajcie dwa. Nikt nie będzie mówić, że wykorzystałem wasze nieszczęście.

Doktor Valerini wziął pieniądze i szybko się pożegnał. Zostałam sama. Byłam jak ogłuszona.

Wciąż na nowo zadawałam sobie pytanie, czy zrobiłam wszystko, żeby ratować życie matki. Nie wiedziałam. Nie wiedziałam również, czy doktor Valerini uczynił wszystko, co w ludzkiej mocy, by ją wyleczyć. W każdym razie nie stracił na leczeniu. Wolałam się nie zastanawiać, czy wyższe wynagrodzenie nie spowodowałoby skuteczniejszej terapii.

Tego samego wieczoru przyszła *signora* Carducci. Zalana łzami wzięła mnie w ramiona. Potem pomodliłyśmy się obie przed domowym ołtarzykiem, trzymając się za ręce.

Jeszcze później przybyła *mamma* Rosa, która nie tylko uścisnęła mnie serdecznie, ale została ze mną prawie do północy i odbyła czuwanie przy marach matki. Potem musiała jednak wracać do domu, bo miała małe dzieci.

Koło północy przyszedł Marco.

Stał w drzwiach z zakłopotaną miną. Najpierw go nie zauważyłam, a kiedy go w końcu ujrzałam, powiedziałam:

- Przez te wszystkie dni się nie pokazałeś, więc nie musisz przychodzić i teraz.

- Tak mi przykro - powiedział cicho.

- Zostawiłeś mnie w nieszczęściu.

Zrobił kilka kroków, usiadł przy mnie na łóżu zmarłej i próbował wziąć mnie za rękę.

- Carlo, proszę, zrozum mnie. Nie mogłem przyjść. Gdybym przyszedł, musiałbym przejąć odpowiedzialność za leczenie twojej matki, a to nie było możliwe...

- Powinieneś być po prostu ze mną.

- Musiałbym przejąć odpowiedzialność, a tego jeszcze nie mogłem zrobić, moje studia trwają za krótko, uwierz mi.

- Pielęgnowałam matkę bez studiów.

- To co innego. Masz naturalny talent do leczenia.

Znowu spróbował wziąć mnie za rękę i tym razem na to pozwoliłam.

- Tą ręką potrafisz sprawić więcej niż niejedyn z uczonych mężów w Ospedale della Morte. Wiem, bo widziałem, jak zszywałaś ranę na czole matki.

- Nie przypominaj mi o tym. Ciągle myślę, że coś zrobiłam źle. Powiedz mi całkiem szczerze: czy zrobiłam coś źle?

- Nie, wzięłaś zakrzywioną igłę i mocną nić, wyrównałaś brzegi rany i zeszyłaś prawidłowym szwem. Więcej nie mógłby zrobić nawet Giulio Cesare Aranzio, nasz mistrz chirurgii.

Nie całkiem wierzyłam temu, co powiedział Marco, ale bardzo chciałam uwierzyć, więc nie dopytywałam się więcej.

Marco trzymał moją dłoń. Oboje byliśmy zatopieni we własnych myślach, aż w końcu zrobiło mi się zimno, zadrzałam.

- Zostać z tobą tej nocy? - Marco puścił moją rękę i przyciągnął mnie do siebie. - Potrzebujesz teraz opieki i ochrony.

Miałam chęć odpowiedzieć: „Przez te wszystkie dni potrzebowałam tego, a ty ani razu się nie pokazałeś” i najchętniej dodałabym: „Idź i więcej nie wracaj”. Jednak nic nie powiedziałam. Bałam się zostać sama ze zmarłą matką. Obawiałam się też publicznego pogrzebu.

- Tak się lękam pogrzebu - wyznałam.

Marco nie odpowiedział, tylko zaczął mnie całować. Oswobodziłam się. - Przestań. Mówię, że się boję pogrzebu, a tobie nie przychodzi nic innego na myśl jak umizgi do mnie.

- Przecież ja cię kocham.

- Nie chcę o tym słuchać, w każdym razie nie teraz. Moja matka umarła, a ty udajesz, że nic się nie stało. Jak możesz!

Marco przybrał skruszony wyraz twarzy.

- Racja, masz wszelkie powody się na mnie gniewać. Wiesz co? Obiecuję ci, że na pogrzebie będę koło ciebie. Nie odstąpię od twego boku. Nie musisz o nic się troszczyć.

- Jednak się boję - odrzekłam i pomyślałam, że gdyby przeżył to, co ja przeżyłam z ojcem Edoardem, nie mówiłby tak. - Chciałabym się ukryć gdzieś na zawsze.

- Zapomnij o swoim znamieniu, pomyśl, że go nie ma.

- Ale ono jest, w dzień i w nocy, zawsze! Marco zastanowił się i powiedział:

- Tak, niestety to prawda. Trzeba by wynaleźć dla ciebie coś, co ukryłoby przed wszystkimi to zniekształcenie, rodzaj czapki niewidki.

- Nic takiego nie istnieje.

- Poczekaj... - Marco zerwał się na nogi. - Oczywiście, że jest coś takiego! Chwileczkę... - Pobiegł do pracowni, gdzie przez moment czegoś szukał, przewracając rzeczy, a potem wrócił do mnie z uśmiechem. - Popatrz.

W rękę trzymał czarny aksamitny beret, który matka kiedyś uszyła dla jakiejś bogatej klientki i którego nigdy nie odebrano.

- Do czego ma to służyć? - zapytałam.

- Zamknij oczy.

Posłuchałam go niechętnie i poczułam, że wkłada mi beret na głowę.

- A teraz popatrz.

Zrobiłam to i zaczęłam mrugać oczami, bo widziałam Marca jak przez mgłę. Mrugnęłam znowu i zrozumiałam, że patrzę przez woalkę.

- I co? - zapytałam, nic nie rozumiejąc. Marco nadal się uśmiechał.

- Widzisz mnie tylko w zarysach, prawda?

- Tak, ale...

- A ja prawie wcale nie widzę twojej twarzy, bo brzeg beretu i woalka rzucają na nią cień. A ponieważ nie widzę twarzy, nie widzę także znamienia. Co na to powiesz?

- Sama nie wiem.

- No, uciesz się, to jest rozwiązanie! Włóżysz na pogrzeb ten beret i nikt nie będzie widział twojej twarzy. Oddaj mi go teraz,

włożę go, a ty mi powiesz, czy widzisz moją twarz. Może to cię przekona.

Włożył nakrycie głowy, a ja o mało się nie roześmiałam, tak dziwnie wyglądał w berecie z woalką.

- No i co? Widzisz moją twarz?

- Nie, widzę tylko niewyraźne kontury - powiedziałam zgodnie z prawdą. - Ale to przy świetle świec, a jak będzie w biały dzień?

- Tak samo, Carlo, tak samo.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak właśnie myślę. Podczas pogrzebu będziesz miała beret na głowie i będziesz mogła czuć się całkiem bezpiecznie. I jeszcze coś: woalka nikogo nie zdziwi, bo na pogrzebie jest najnormalniejszą rzeczą pod słońcem.

Musiałam się z tym zgodzić.

Zgodziłam się też, żeby Marco został u mnie na noc. Nie przebiegła ona tak, jak być może sobie wyobrażał, bo między nami stał cień mojej matki.

Prawie nie pamiętam szczegółów pogrzebu. Kiedy dziś go wspominam, widzę tylko szereg obrazów i doświadczam przy tym najróżniejszych uczuć, przeważnie nieprzyjemnych. Czuję pod nogami drogę na cmentarz, widzę niosących trumnę i otwarty grób, kwiaty, ludzi biorących udział w ceremonii, widzę ojca Edoarda żegnającego się krzyżem, czuję jego wilgotną, gąbczastą dłoń, słyszę napuszone słowa, czuję ramię Marca przy boku, słyszę śpiewy żałobne, mamrotane słowa kondolencji, czuję smak hostii i ostry zapach kadzidła.

Nie, nie pamiętam szczegółów pogrzebu, a może nie chcę pamiętać. Jedyne, co sobie z całą pewnością przypominam, to fakt, że podczas ceremonii biły na mnie zimne poty i że pod osłoną woalki nie uroniłam ani jednej łzy.

Kiedy potem wróciłam samotnie do domu matki, od razu zdjęłam beret. Schowałam go na samym dnie skrzyni, bo byłam pewna, że nigdy więcej nie będę go potrzebować. Potem zaczęłam sprzątać. Zajęcie to trwało długo, bo każdy przedmiot, który brałam do ręki,

przypominał mi matkę i czas z nią spędzony. Cokolwiek robiłam, matka była przy tym obecna.

W końcu stanęłam nad rzeczami, które spakowałam przed przeprowadzką do domu wuja Marca. Stałam i myślałam, że kiedyś ta garstka przedmiotów była wszystkim, co posiadałam, i że teraz, gdybym musiała się przeprowadzić, byłoby ich o wiele więcej.

Wtedy poczułam, że nie chcę się przeprowadzać.

Zadziwiałam samą siebie, ale uczucie było silne i podpowiadało mi: „Zostań, Carlo, tu są twoje korzenie. Jeśli tu zostaniesz, wszystko będzie twoje. Dom, meble, pracownia, wszystko, aż do ostatniego gwoźdźcia w belkowaniu”.

Rozpakowałam więc uprzednio spakowane rzeczy.

Potem usiadłam przy stole w warsztacie i wypiliśmy szklanice nierozcieńczonego wina. Czułam, jak napój, do którego nie byłam przyzwyczajona, wchodzi mi w członki i ożywia mnie. Po chwili wstałam i zaczęłam wędrować po całym domu, a w każdej izbie, którą oglądałam, powtarzałam sobie: „To jest twoje”.

Poszłam do kuchni i umyłam szklanekę, a kiedy skończyłam, zaczęłam wielkie wiosenne porządki. Wywróciłam wszystko do góry nogami, sprzątałam izbę po izbie, wycierałam kurze, zamiatałam kąty, szorowałam podłogi, a z każdą czynnością dom stawał się bardziej mój.

Wieczorem, zanim przyszedł Marco, objęłam go w posiadanie.

Marco najpierw przytulił mnie i pocałował, a potem zapytał:

- Kiedy przeprowadzisz się do mojego domu?

- Chciałbyś może coś zjeść? - zapytałam wymijająco. - W piecu jest dosyć żaru, mogłabym ci odgrzać jarzyny ze słoja. Jest też chleb i porcja gorgonzoli.

- Jak możesz teraz mówić o jedzeniu? - Marco promieniał. - Teraz, kiedy możemy zaplanować naszą wspólną przyszłość i nie musimy się liczyć ze zdaniem twojej matki.

- Nie była taka zła.

- Wcale tego nie twierdzę. - Przez moment wyglądał na zbitego z tropu. - Już od tak dawna chcemy się pobrać, a teraz wreszcie możemy.

- Mówisz od miesięcy o tym, że możemy wziąć ślub na początku kwietnia, podczas ferii akademickich, ale do dziś nie ustaliłeś dnia.

- Przecież możemy to zrobić teraz.

- Teraz, kiedy moja matka umarła?

- Ależ, Carlo! - Marco załamał ręce. - Nie to miałem na myśli, przecież dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- O co?

- Ja... ja...

- Teraz te kilka miesięcy nie gra roli.

Poszłam do kuchni i zajęłam się ogniem. Potrzebowałam trochę czasu, żeby uporządkować myśli. Już drugi raz tego dnia zaskoczyło mnie jakieś przecucie. A mówiło ono: „Nie spiesz się ze ślubem”. Zawołałam przez ramię:

- Może jednak chcesz coś zjeść, Marco?

- Tym razem nie powiem nie.

Odgrzałam potrawę i przyniosłam ją w glinianej misie.

- Jadam z miski, wiesz, nie jestem tak wytworna jak klientki mojej matki, które do każdej potrawy mają specjalny złoty talerz.

- Mnie to nie przeszkadza. - Marco już zabrał się do jedzenia. -Hm, wyborne. Musisz mi przyrzec, że w moim domu będziesz też tak dobrze gotować.

- Zgoda - odrzekłam krótko, bo nie podobało mi się, że mówi o swoim domu i widzi mnie jako swoją przyszłą kucharkę. - Ja też mam dom.

- To bardzo dobrze. Sprzedasz go, pieniądze nam się przydadzą.

- Nie chcę go sprzedawać.

- Co? - Ręka Marca zawisła w połowie drogi do ust. - Ależ Carlo, po co nam dwa domy?

- Nie wiem. Wiem tylko, że zachowam mój.

Marco odłożył łyżkę. Wyglądał jak rozgniewany małżonek.

- Posłuchaj, Carlo, może się jeszcze dobrze nie zastanowiłaś? Ty i własny dom? Po pierwsze, nie potrzebujesz go, bo ja już mam dom, a po drugie, powiedz mi, jak masz zamiar utrzymać ten „swój” dom? Utrzymanie domu kosztuje, a przecież nie masz pieniędzy.

Zastanowiłam się szybko.

- Mam kilka sukien z zapasów matki, mogłabym je sprzedać, a poza tym jestem przecież krawcową. To godny zawód, który zapewnia pieniądze na życie.

- Carlo! - Marco próbował wziąć mnie za rękę, ale zabrałam mu ją. - Carlo, oczywiście masz kilka sukien twojej matki, dzięki Bogu, ale wartość tych strojów wystarczy najwyżej na pokrycie kosztów pogrzebu, zakładając, że otrzymasz przyzwoitą cenę. A jak sobie wyobrażasz wykonywanie twojego zawodu? Opowiadałaś mi o *signorze* Vascellini i jej przyjaciółkach, o tym, jak z powodu twojego znamienia wytykały cię palcami i nazywały znanie *voglia di peccato*, opowiadałaś mi też o innych damach z towarzystwa, przed którymi matka musiała cię ukrywać, mówiłaś mi, jak ograniczone i pyszne są te patrycjuszki. Naprawdę sądzisz, że mogą zostać twoimi klientkami? Nie mówiąc już o tym, że chyba sama byś tego nie chciała?

Zrozumiałam, że ma rację, ale odparłam:

- Możesz mieć rację, ale ja zachowam mój dom.

- No dobrze, zmienmy temat. Sprawę domu jakoś rozwiążemy. Kiedy się pobieramy?

Spuściłam oczy i grzebałam łyżką w jarzynach.

- Moglibyśmy się pobrać w Wielkim Tygodniu, Wielkanoc wypada w tym roku szóstego kwietnia. Co o tym myślisz?

Podniosłam wzrok. Najchętniej powiedziałabym: „Nie spieszy mi się do małżeństwa. Przez jakiś czas chciałabym być sama, zupełnie sama, w moim własnym domu. Potrzebny mi jest jakiś dystans do wszystkiego. Reszta się ułoży”. Nie chciałam jednak rozczarować Marca, bo stał na pogrzebie u mego boku, a poza tym mimo wszystko był miłym chłopcem. Byli gorsi od niego.

- W jakim kościele mielibyśmy się pobrać?

- W San Rocco.

- W San Rocco? Czy to znaczy...

- Tak, właśnie to znaczy! - potwierdził Marco z dumą. - Wykorzystałam okazję podczas pogrzebu, żeby porozmawiać z ojcem Edoardem. Był bardzo uprzejmy i zgodził się nas pobłogosławić, żebyśmy wreszcie stali się parą w oczach Boga. - Nie! - prawie krzyknęłam.

- Nie? Ależ dlaczego?

Gorączkowo szukałam słów.

- Ja... nie lubię tego kościoła. Nigdy go nie lubiłam.

- Ale przecież to taka piękna *chiesa*, twoja matka też tam zawsze chodziła. - Marco pokręcił głową. - Carlo, nie rozumiem cię. Nie wierzę, że ten kościół ci się nie podoba. Dobrze, przyznaję, że powinienem był ci pomóc przy pielęgnowaniu matki, ale już ci tłumaczyłem, dlaczego to było niemożliwe. To wszystko nie ma przecież związku z naszym ślubem. A może jednak mnie nie chcesz? - Pochylił się i pocałował mnie w usta.

Pozwoliłam mu na to. Jednak kiedy jego pocałunki stały się zbyt natarczywe, odwróciłam głowę.

- Chciałabym, żebyśmy się pobrali w innym kościele.

- Ale w którym? Zastanowiłaś się, że w takim razie nie uda nam się pobrać w Wielkim Tygodniu, jeśli wybierzemy inny kościół? Ojciec Edoardo zna ciebie i mnie, zapewniłby nam świadków i załatwił konieczne formalności. Jeśli nie zgodzisz się na ten kościół, musimy czekać do następnych wakacji akademickich na Zielone Świątki, a może nawet do końca sierpnia. Naprawdę tego chcesz?

Odetchnęłam głęboko.

- Tak, chcę - odrzekłam.

Tydzień później - wzburzone fale między nami tymczasem się wygładziły - Marco znowu zapukał do moich drzwi. Tak jak na początku naszej znajomości, miał w ręku czerwone róże. Dwadzieścia sztuk, jedna ładniejsza od drugiej.

- Wszystkiego najlepszego z okazji dwudziestych urodzin. Jeśli się nie mylę, dziś jest trzydziesty marca! - zawołał.

- Tak, dziękuję, bardzo to miłe z twojej strony - odrzekłam i wzięłam od niego bukiet. - Jakie piękne! Musiały kosztować majątek.

Marco uśmiechnął się i pocałował mnie.

- Kwiaciarka przed kościoła San Antonio była tego samego zdania. Kiedy odchodziłem, spakowała swój kram i poszła.

- Wejdz.

Kiedy wstawiałam róże do wody, Marco rozglądał się po izbach mojego domu.

- Przystawiłaś niektóre meble - stwierdził. - Teraz jest przytulniej.
Ucieszyła mnie jego pochwałą.

- Tak, stół z warsztatu nie musi już służyć jako stół do posiłków, na ścianach powiesiłam kilka obrazów, a domowy ołtarzyk matki stoi teraz w *moim pokoju*. Usiądź przy tym stoliku. Zaraz wrócę.

Kiedy wносиłam kapłona nadziewanego jabłkami i rodzynkami, miałam mieszane uczucia. Z jednej strony byłam dumna, że potrawa tak mi się udała, z drugiej budziło mój niepokój, że wydałam na nią moje ostatnie pieniądze. Nie chciałam jednak teraz o tym myśleć. Z Bożą pomocą wszystko się ułoży.

- Mam nadzieję, że kapłon będzie ci smakować - rzekłam.

- Ależ tak! - Marco zaczął dzielić rumianego ptaka i kłaść kawałki na moim i swoim talerzu.

- Są jeszcze orzechy, ser i suszone owoce.

- Znakomicie.

- Smacznego.

- Chwileczkę. - Marco zrobił szelmowską minę. - Na pewno mnie będzie smakować, ale co do ciebie nie jestem taki pewny. Ostatnio mało jesz.

Chciałam zaprotestować, ale Marco mówił dalej:

- Mam kilka nowin, które powinny wzmóc twój apetyt. Potraktuj te nowiny jako prezent urodzinowy.

- Zaciekawileś mnie.

Marco jednak jadł dalej z lubością, wystawiając moją ciekawość na próbę.

- No, mówże wreszcie.

W końcu zdecydował się uchylić rąbka tajemnicy.

- Po pierwsze - zaczął - rozmawiałem z moją matką, już kilka dni temu. Ona z kolei porozmawiała z kilkoma z jej niezliczonych przyjaciółek i wynik jest taki, że owe damy są gotowe odkupić od ciebie wszystkie suknie pozostałe po twojej matce.

- To cudownie! - Zerwałam się z miejsca i rzuciłam mu się na szyję. Przed chwilą właśnie zadawałam sobie pytanie, z czego będę żyła w najbliższych dniach, a oto znalazło się rozwiązanie.

Marco udał, że nagle naszły go wątpliwości.

- A może chciałaś sama sprzedać te suknie?

- Nie żartuj, jakbym to mogła zrobić? Po prostu droczysz się ze mną.

Marco uśmiechnął się pod wąsem.

- Miałbym raczej ochotę wziąć cię na ręce, tylko poczekaj, aż zjem. -
Zrobił znaczącą przerwę. - I dopóki ci nie opowiem o drugim prezencie.

- Drugim prezencie? Co to takiego?

- Nowina.

Musiałam wyglądać na nieco ogłupiałą, bo Marco zaczął się śmiać na całe gardło.

- No, mówże wreszcie, co to za nowina?

- Znasz matkę Floriencę?

- Dobrze wiesz, że nie znam. Co to za jedna?

- Jest przełożoną klasztoru San Lorenzo. Ten klasztor znajduje się na południowym wschodzie miasta, naprzeciw Borgo da Larenta. Poznałem ją niedawno w Ospedale della Morte. Ma wielkie serce i jest bardzo roztropna.

- I co z tego? Marco, nie dręcz mnie tak.

- Naprawdę to robię? Wcale tego nie chciałem. - Uśmiechnął się znowu w sposób, który przeważnie uważałam za miły, ale czasem mnie złościł. - No więc dobrze, zaspokoję twoją ciekawość. Klasztor San Lorenzo ma mały szpitalik, tak opowiadała mi matka Florienca. Ona i jej pobożne siostry przyjmują chorych z całej dzielnicy, czasem nawet pacjentów ze szpitala Ospedale della Morte, kiedy jest przepełniony.

- No i co?

- Matka Florienca nie ma nic przeciwko temu, żeby zatrudnić cię jako pomocnicę pielęgniarek. Pracowałabyś w szpitalu San Lorenzo i pomagała chorym ludziom.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Owszem, jak najbardziej.

- Jak to możliwe? Nie znam przełożonej ani sióstr. Nie wiem, na czym polega praca, nie znam drogi, ja... ja...

- Szybko byś się nauczyła. Jeśli chodzi o pielęgnowanie chorych, to jesteś naturalnym talentem, już ci to kiedyś mówiłem. Myślę, że

się boisz codziennie chodzić tam sama. Pomyśl jednak o berecie z woalką. Reszta się ułoży.

- Nie!

- Miałabyś pracę, własny dochód, a ponadto spełniałabyś dobre uczynki. Nie chcesz się nad tym zastanowić?

- Nie.

Cztery dni później - był Wielki Czwartek - Marco odprowadził mnie pod wysoką bramę klasztoru San Lorenzo. Wybrał ten dzień nie dlatego, że obchodzi się wtedy Ostatnią Wieczerzę Chrystusa w przededniu jego ukrzyżowania, lecz dlatego, że w Archiginnasio w czwartki nie było wykładów.

- Widzisz, droga tutaj jest bardzo prosta, Carlo - powiedział. - Pozdrów ode mnie matkę Florencę, jest naprawdę życzliwa. Przyjdę jutro do ciebie, żebyś mogła mi opowiedzieć, czy dobrze wypadła rozmowa.

- Zostań ze mną, proszę cię!

- Nie mogę, dziś jest wprawdzie wolny dzień dla studentów, ale tylko wtedy, gdy nie ma żadnych świąt ani obchodów urządzanych przez uniwersytet. Za pół godziny zacznie się msza w kaplicy Santa Maria de'Bulgari. Moim obowiązkiem jest wziąć w niej udział, już i tak jest późno. Trzymam za ciebie kciuki. *Arrivederci*.

Posłał mi całusa i oddalił się szybko.

Kiedy patrzyłam za nim bezradnie, rozległ się za mną przyjazny głos:

- Domyślam się, że jesteś Carla. Wejź do naszego domu, witamy cię.

- Zobaczyłam mniszkę w prostym czarnym odzieniu zakonnicy z klasztoru San Lorenzo, która stała w wysokich drzwiach i przywoływała mnie gestem. - Jestem siostra Abelina, opiekuję się naszym wspólnym domem, pójdź za mną.

Ruszyłam za nią przez wysokie korytarze z kolumnami, zamknięte od góry okrągłymi łukami, przeszłam, nasłuchując odgłosu własnych kroków, przez główny budynek, przemierzyłam małe patio z roślinami i szemrzącą fontanną, weszłam po schodach, minęłam kwadratowe

dormitorium z idealnie pościętymi łózkami i dotarłam do skromnie umeblowanego pokoju przeoryszy we wschodnim skrzydle klasztoru.

- Poczekaj tutaj - powiedziała siostra Abelina i oddaliła się. Miałam chwilę czasu, żeby się rozejrzeć. Biurko, na którym stała

statuetka Madonny z Dzieciątkiem, dwa krzesła, skrzynia z ciężkimi żelaznymi okuciami, kilka książek, wśród nich oprawna w skórę Biblia ze złożonymi brzegami stron, klęcznik przy oknie oraz krucyfiks na ścianie nad biurkiem - to było całe wyposażenie pokoju. Kiedy odkryłam krzyż na ścianie, przeżegnałam się automatycznie i wyszeptałam:

- Daj mi siłę, o Panie, pozwól mi znaleźć właściwe słowa, stań u mego boku, a będę cię zawsze chwaliła i czciła. Błogosławiony jesteś, Panie niebieskich zastępów...

- ...na wieki wieków amen.

Niepostrzeżenie zbliżyła się do mnie szczupła postać kobieca. Sprawiała wrażenie kruchej, ale nie słabej. Na pierwszy rzut oka jej twarz wyglądała staro i była pełna zmarszczek, jednak po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłam, że promieniuje młodzieńczą energią.

- Jestem matka Florienca - powiedziała - przeorysza pobożnych sióstr z klasztoru San Lorenzo. Właśnie przeżegnałaś się przed Bogiem, zrobiłaś to, co należy.

Ponieważ nie wiedziałam, jak mam się zachowywać wobec tak dostojnej osoby, dygnęłam i na wszelki wypadek skłoniłam głowę.

- Dziękuję, czcigodna matko.

- Zanim człowiek rozpocznie ważną rozmowę, powinien porozmawiać z Bogiem. - Matka Florienca usiadła za biurkiem i wskazała mi drugie krzesło. - Usiądź. - Jej mądre oczy spoglądały na mnie badawczo. - Siostra Abelina podała mi twoje imię, Carlo, a student medycyny Marco Carducci wiele mi o tobie opowiadał. Powiedz, kim jest dla ciebie ten młodzieniec?

- Mam dla was pozdrowienia od niego, czcigodna matko. Przeorysza zmarszczyła czoło.

- Dziękuję, ale nie o to cię pytałam.

- Wybaczcie, czcigodna matko. - Nie chciałam wspominać o stosunku, jaki mnie łączył z Markiem, ale już wiedziałam, że tego nie uniknę. - Trzy lata temu przyrzekłam mu rękę.

- ...a potem?

- Nie czuję się jeszcze gotowa do małżeństwa.

- Rozumiem. - To wyjaśnienie wystarczyło przeoryszy. - Mam nadzieję, że żyjesz w czystości?

- Tak, czcigodna matko - powiedziałam szybciej, niż zamierzałam, pragnąc w głębi duszy, żeby częste pocałunki i pieszczoty Marca nie zadały kłamu moim słowom. - Ciągłe coś przeszkadzało w zawarciu ślubu i...

- ...i ty za każdym razem zadawałaś sobie pytanie, czy nie powinnaś zachować czystości dla Boga, bowiem związenie się z nim jest najwyższym szczęściem dla kobiety. - Przeorysza skinęła łaskawie głową i spojrzała na obrączkę na swoim palcu, znak jej zaślubin z Panem. - Czy tak właśnie było?

- Tak, czcigodna matko. - Właściwie chciałam opowiedzieć o moim rozczarowaniu Markiem w czasie choroby mojej matki, ale nie widziałam powodu do poprawiania tej mądrej kobiety. Czułam, że się czerwienię, czego na szczęście nie było widać zza woalki.

- Nie spiesz się z decyzją, moje dziecko. Wsłuchuj się w siebie, sprawdzaj się, a kiedy wybierzesz Boga na oblubieńca, wiedz, że ślub z nim trwa aż po wieczność, aż do Sądu Ostatecznego, do nocy bez końca. - Przeorysza znowu łaskawie skinęła głową. - Wróćmy jednak do dnia dzisiejszego. Marco Carducci powiedział, że masz błogosławione ręce. Cóż, ręce widzę, ale nie widzę twojej twarzy. Czy mogłabyś zdjąć берет?

- Dobrze, czcigodna matko. - Zawahałam się jednak.

- Zdejmij go. Nie przystoi nosić modnego nakrycia głowy w obliczu Pana.

Wolno zdjęłam берет, obserwując twarz przeoryszy. Nawet jednym drgnięciem nie zdradziła, czy moje znamię ją zaskoczyło, przeraziło czy odstręczyło. Patrzyła na mnie tak samo jak przedtem.

- O tym nie wiedziałam - powiedziała spokojnie. - Nie wiedziałam, że Pan nałożył na ciebie to brzemię. Musisz je cierpliwie znosić. On już zadba o to, by starczyło ci sił.

- Tak, czcigodna matko.

- Dlaczego chciałabyś pomagać w naszym szpitalu?

W tym momencie mogłabym opowiedzieć, jak bardzo chcę pomagać innym ludziom, że pragnę spełniać dobre uczynki i jak najwięcej czynić dla zbawienia duszy, ale nic z tego wszystkiego nie odpowiadałoby w pełni prawdzie, dlatego powiedziałam:

- Muszę zarabiać na życie, bo jestem sama. Niedawno umarła moja matka.

- Och, tak mi przykro. Marco mi o tym nie mówił. Podaj mi swoje nazwisko, bo Marco mi go nie powiedział. Jak ono brzmi?

- Castagnolo, czcigodna matko.

- Castagnolo, Castagnolo... nazwisko wydaje mi się znajome.

- Matka była krawcową.

- Ach tak, krawcową. - Przeorysza spojrzała na mnie, jakby nie usłyszała mojego wyjaśnienia. Wydało mi się, że myślami odbiegła daleko ode mnie. Potem znowu skinęła życzliwie głową i powiedziała: - Biedna dziewczyno, będę się za ciebie modlić. I za duszę twojej matki również.

- Dziękuję, czcigodna matko.

To, że przeorysza nazwała mnie biedną dziewczyną, odniosłam do mojego znamienia i do ciosu, jakim była dla mnie śmierć matki. Nie mogłam wiedzieć, że powodem jej współczucia było coś innego, coś, o czym dowiedziałam się dużo później.

- Cóż, myślę, że powinniśmy spróbować, Carlo. Wszelako za twoją pracę nie możemy ci wiele zapłacić. Powiedzmy dziesięć *baiocci* dziennie, czyli trzy *scudi* miesięcznie. Niezbyt wiele, ale za to pracowałabyś w szpitalu tylko przed południem, popołudnia miałabyś dla siebie. Mogłabyś wtedy wrócić do swojej celi albo zająć się zwykłą klasztorną pracą, albo też brać udział w modlitwach sióstr.

- Wybaczcie, ale wolałabym mieszkać nadal u siebie w domu.

- W domu?

- Tak, czcigodna matko, w przeciwnym razie stałby pusty, a to nie byłoby dobrze.

- Cóż, chyba masz rację. Zgadza się. W końcu wszędzie można rozmawiać z Bogiem.

- Dziękuję, czcigodna matko. - Kamień spadł mi z serca. Nie zdążyłam się jeszcze przyzwyczać do nowego otoczenia, a znosić

je przez dwadzieścia cztery godziny na dobę byłoby dla mnie za dużym obciążeniem. - Bardzo dziękuję.

- Siostrze Abelino! - Przeorysza zadzwoniła małym dzwoneczkiem. Kiedy zjawiała się mniszka, przełożona poleciła: - Pokaż Carli nasz szpital i wtajemnicz ją w nowe obowiązki. Od jutra będzie nam pomagać w opiece nad chorymi.

- Tak, czcigodna matko. - Siostra Abelina skłoniła się pokornie i dała znak, żebym szła za nią.

W ten sposób zostałam pomocnicą pielęgniarek w klasztorze San Lorenzo.

Trasa z mojego domu przy Strada San Felice do klasztoru pobożnych sióstr wiodła przez pół miasta. Była to długa droga i z początku pokonanie jej kosztowało mnie bardzo wiele wysiłku. Jednak z czasem pojęłam, że ludzie na ulicach mają co innego do roboty niż wpatrywać się we mnie. Troszczyli się o własne sprawy, dopóki nie rzucałam się w oczy. A o to zadbałam. Poza beretem z woalką ubierałam się tak skromnie, jak tylko było możliwe. Uszyłam sobie suknie o prostym kroju, jakie nosiły służące i przekupki na targu, z materiałów o spokojnych barwach. Idąc, patrzyłam przeważnie w ziemię i ustępowałam każdemu z drogi. Musiałam wyglądać jak szara mysz.

Kiedy docierałam do szpitala, zmieniałam ubranie na strój bardzo podobny do habitu zakonnicy i zabierałam się do pracy.

Było nas trzy do pielęgnacji chorych. Poza mną w szpitalu pracowały siostra Marta i nowicjuszka Giade, która miała złożyć śluby jesienią. Szpitalem kierowała siostra Arianna, starsza kobieta, którą często męczyły bóle krzyża.

Ściśle współpracowałam z siostrą Martą, od której też najwięcej się nauczyłam. Była to kobieta w średnim wieku; chorzy bardzo cenili jej żywe, serdeczne obejście. Rozbudziła we mnie zainteresowanie wszystkim, co miało związek z medycyną. Nauczyła mnie, jak prawidłowo bandażować, żeby nie tylko zakrywać rany, ale też chronić je przed zabrudzeniami z zewnątrz, a ponadto żeby opatrunek wspierał członki. Uczyła mnie, jak rozpoznawać symptomy choroby, jak je rozróżniać i wyciągać z nich właściwe wnioski. Wtajemniczała

mnie w skład najważniejszych leków, objaśniała ich przygotowywanie i podawanie chorym. Pokazywała mi chwytły potrzebne przy prześcielaniu łóżek ciężko chorych i przy podnoszeniu ich, żeby mogli się posilić. Nauczyła mnie wszystkiego, co sama umiała, a nie było to mało.

Siostra Marta zachęcała mnie również do udziału w nauce łaciny dla nowicjuszek, bowiem była zdania, że jestem zbyt zdolna, by poprzestać na tym, co już umiem.

- Żeby rozumieć medyczne traktaty lekarzy i uczonych, musisz opanować język nauki, a jest nim właśnie łacina. A więc staraj się, wiem, że dasz radę - powiedziała, szturchając mnie przyjacielsko w bok.

Posłuchałam jej. Wczesnym popołudniem chodziłam na nauki siostry Claudii, nauczycielki łaciny, zajmowałam się słówkami i deklinacjami i stwierdziłam, że budowa i melodia tego języka sprawia mi radość.

Na takich zajęciach minął mi rok. Przyszło lato z gorącymi dniami i przyniosło mnóstwo pracy w szpitalu, bo niezliczona liczba ludzi cierpiała na gorączkę, wysypki i biegunki z powodu upału.

Jesienią Giade złożyła śluby zakonne podczas uroczystej ceremonii w kościele przyklasztornym i odtąd nazywała się siostrą Giorgia.

O tej porze roku coraz częściej zdarzało się, że żebracy prosili o przyjęcie do szpitala. W zamożnej Bolonii było trzydzieści tysięcy tych biednych ludzi, a większość ich nie miała dachu nad głową. Skutkiem tego były przeziębienia, wszelkiego rodzaju bóle, zapalenia pęcherza, poważne dolegliwości, które starałyśmy się zwalczać za pomocą ciepła, ziołowych naparów i nasiadówek. Jesienią każda para rąk była potrzebna, tak że przeważnie przychodziłam do domu dopiero wczesnym wieczorem.

Kiedy znalazłam się u siebie, najczęściej od razu kładłam się do łóżka i czytałam przy świecy lektury, które wypożyczała mi siostra Marta z biblioteki klasztornej, w tym dzieła Galena o teorii równowagi czterech płynów w ludzkim ciele i jego rozprawę *De febrium differentiis*, gdzie zawarł wiele wiadomości o różnych rodzajach gorączki. Ponadto dzieło anatoma Adreasa Vesaliusa na temat budowy ludzkiego ciała *De humanis corporis fabrica*, z którego dowiedziałam

się zadziwiających rzeczy, między innymi tego, że jakoby przodkami ludzi są małpy i Pigmeje. Poza tym czytałam dzieło *Liber de herbis*, kompendium wiedzy o działaniu ziół leczniczych niejakiego ojca Thomasa, żyjącego jeszcze mnicha lekarza z klasztoru cystersów Campodios w północnej Hiszpanii.

Marca widywałam rzadko. Wprawdzie odwiedzał mnie regularnie, tak jak obiecał, ale albo mnie jeszcze nie było w domu, albo spałam z utrudzenia.

Podczas nielicznych spotkań rozmawialiśmy przeważnie o medycynie. Marco, którego początkowy zapał do studiów nieco osłabł, opowiadał o wykładach i doświadczeniach, przy czym była to po większej części teoria, ja natomiast mówiłam o praktycznej pielęgnacji chorych, o ich dolegliwościach i zmartwieniach. Stwierdziliśmy, że oboje uczymy się łaciny, on z pewnym trudem, ja natomiast z łatwością.

- Kiedy raz coś zobaczę czarno na białym, od razu to zapamiętuję - powiedziała do niego, nieomal się usprawiedliwiając. Potem wymieniałam dzieła, które przeczytałam, ale nie całkiem zrozumiałam ich treść z powodu braku gruntownego wykształcenia ogólnego.

- Vesalius przeciwstawia się nauce Kościoła. Nie wierzy chyba w historię stworzenia, gdyż twierdzi, że człowiek pochodzi od małpy, z drugiej strony jednak przedstawia pogląd, że jeden z kręgów lędźwiowych małpy ma przedłużenie, którego brakuje w ludzkim szkielecie. To przecież sprzeczność, prawda? - zapytałam go.

- Hm... - odrzekł tylko Marco.

- Czy wiesz, o jakim przedłużeniu kręgu lędźwiowego mówi Vesalius?

- Nie, nie wiem.

- Jak to? Przecież przeprowadzacie sekcje u profesora Aranzia?

- Nie, nie przeprowadzamy.

Wiedziałam od Marca, że zwłoki do sekcji w dawniejszych czasach brano tylko spośród zmarłych, którzy mieszkali co najmniej trzydzieści mil od Bolonii, i że ten warunek został złagodzony w roku 1561, ponieważ brakowało ciał. Od tej pory brano również ciała ludzi mieszkających na przedmieściach, z zastrzeżeniem, że nie mogły to być osoby powszechnie szanowane.

- Czy wy, studenci, nie macie co najmniej jednego pokazu w miesiącu w pracowni waszego profesora?

- Mamy, a jakże. Ale mimo to nie wiemy wszystkiego. Pewnie dlatego, że nie stawiamy tak wielu zbędnych pytań jak ty.

Zamilkłam, dziwiąc się, dlaczego tak się rozżłościł.

- Muszę już iść.

- Powiedziałaś coś złego?

- Nie, nie. - Pocałował mnie niedbale i wyszedł.

Później przyszło mi do głowy, że pewnie chętnie porozmawiałby ze mną o naszym weselu, ale moje liczne pytania powstrzymały go od tego. Zrobiło mi się przykro. Zastanowiłam się nad tym i doszłam do wniosku, że moje medyczne zainteresowania chwilowo są o wiele ważniejsze niż moja chęć poślubienia go. Życie matki i żony może zaczekać...

Na krótko przed Bożym Narodzeniem 1572 roku zdarzyło się coś, co poruszyło mnie do głębi. Było to pewnego chłodnego, mokrego przedpołudnia. Wyrzałam przez okno izdebki z bielizną szpitalną i zobaczyłam, że na klasztorny podwórzec ostrożnie wwieziono jakiegoś chorego. Mężczyzna był cały obandażowany i trwał w pozycji, jakiej jeszcze nigdy nie widziałam. Siedział wyprostowany, z wysoko podwiązanym nagim lewym ramieniem. Ręka była ustawiona pod kątem, wewnętrzna powierzchnia dłoni spoczywała na głowie mężczyzny. Największe wrażenie jednak zrobił na mnie fakt, że istniało połączenie między jego ramieniem a nosem. Połączenie ze skrawka skóry. Z jednej strony odchodził on od bicepsa, a z drugiej przykrywał grzbiet nosa.

Chorego zdjęto z wozu i posadzono na krześle. Widziałam, jak siostra Marta rozmawia przez chwilę z woźnicą, kilka razy kiwa głową, a potem go odprawia. Jednak zauważyłam to tylko kątem oka, ponieważ nie mogłam oderwać wzroku od dziwnego płata skóry. Był bez wątpienia wycięty ze skóry chorego. Zadawałam sobie pytanie, czy takie oddzielenie skóry możliwe byłoby również na innych częściach ciała, na przykład na twarzy.

Nie dokończyłam tej myśli, w obawie, że być może jest zbyt śmiała, zamiast tego pospiesznie opuściłam izbę z bielizną i poszłam do sali chorych, gdzie pojawiła się siostra Marta i nowy pacjent.

- Mogę siostrze pomóc? - zapytałam na pozór mimochodem.

- A skończyłaś już składać bieliznę?

- Prawie - odrzekłam, mając nadzieję, że Pan Bóg wybaczy mi to małe kłamstwo.

- W takim razie istotnie możesz mi pomóc. Dzisiaj jest taki dzień, że nie wiem, w co ręce włożyć.

- Co mam robić?

- Zajmij się nowym chorym. - Marta zniżyła głos, żeby nie przeszkadzać innym. - To żebrak i ma *curtus*, okaleczenie nosa.

- Okaleczenie? Nie wiedziałam, że można coś takiego operować.

- Najwidoczniej można, ale podobno rekonstrukcja trwa długo i jest bolesna, więc wielu okaleczonych woli znosić swoją ułomność niż poddać się operacji. Myślę, że żebrakowi zapłacono za zgodę na zabieg. Profesor Aranzio, który leczy tego pacjenta, dokonał już pierwszych kroków i zademonstrował je swoim studentom, w każdym razie tak powiedział mi woźnica.

Skinęłam głową. Znałam profesora Aranzia z opowiadań Marca.

- Ponieważ profesor jest bardzo zajęty, a Ospedale della Morte wypełniony aż do ostatniego łóżka, poprosił nas, żeby chwilowo zająć się jego pacjentem. Przekazał mi, że matka przełożona wie, o co chodzi.

- Czy siostra wie coś więcej o etapach leczenia? - zapytałam z ciekawością.

- Nie. Bardzo niewielu chirurgów zajmuje się *ars reparatoria* i wszyscy zachowują ją w ścisłej tajemnicy. Przynajmniej wobec nas, zwykłych śmiertelników.

- To, co pomaga ludziom, powinno być ogólnie znane. Marta się roześmiała.

- Możliwe, ale nie zmienisz naszych profesorów. Umieść pacjenta w małej izbie obok południowego wejścia. Posadź go w łóżku pod oknem, ale nie w przeciagu. Zatroszcz się, żeby w południe dostał lekki posiłek: rosół, kurczaka i warzywa. Muszę teraz iść do matki przełożonej i zawiadomić ją, że zapowiedziany chory już się zjawiał.

Poszłam do kuchni, zamówiłam potrawy i zaniosiłam je do małej izby. Postawiłam tacę w nogach łóżka i nie wiedziałam, jak przemówić do pacjenta. Dziwiłam się sama sobie, bo w jego obecności nie

czułam żadnego skrępowania z powodu mojego znamienia, być może dlatego, że jego okaleczenie było równie ciężkie jak moje.

- Jestem Carla, przyniosłam obiad - powiedziałam. Żebak nie odpowiedział, tylko spojrzał na mnie.

Udało mi się popatrzeć na niego równie otwarcie i ku memu zaskoczeniu stwierdziłam, że jest o wiele młodszy, niż myślałam. Miał najwyżej trzydzieści lat. To, że zarabiał na chleb jako żebrak, można było poznać po jego skołtunionych, długich rudych włosach. Poza tym był czysto umyty i ogolony. Miał na sobie białą kamizelę ze sztywnego płótna, zasnurowaną z przodu i pomagającą mu siedzieć prosto. Mocne sznury i bandaże przytrzymywały jego zgiętą rękę.

- Jak się nazywasz?

- Conor - odparł i chwycił łyżkę.

- W tym domu najpierw odmawia się modlitwę przed jedzeniem - powiedziałam.

- Nie chciałem nikogo urazić - burknął. - Nie jestem przyzwyczajony do modłów.

- W takim razie ja to za ciebie zrobię. - Przeżegnałam się i wybrałam zamiast modlitwy „Anioł Pański” proste słowa, które mógłby zrozumieć:
- Pobłogosław Panie Boże te dary, które dałeś nam w swojej szczodrobliwości, i spraw, żeby posłużyły nam na pożytek duszy i ciała, amen. - Amen - powtórzył za mną Conor i wziął łyżkę do ręki. Obserwowałam go, podczas gdy jadł wolno z miski. Ostrożnie podnosił łyżkę do ust, uważając, żeby nie uderzyć się w okaleczony nos. Ponieważ siedział zwrócony twarzą do światła, miałam okazję przyjrzeć się dokładnie dziełu profesora Aranzia. Zauważyłam, że skrawek skóry odchodzący od bicepsa, przyszyty był na całej długości nosa po prawej i po lewej stronie siedmioma sztychami. Miejsca, w które wbito igłę, najwidoczniej wcześniej oznaczono. Tam, gdzie kiedyś był czubek nosa, skrawek skóry nieco odstawał, zanim przechodził na biceps. Wyglądało na to, że od skóry oddzielono płat, który miał teraz zrosnąć się z okaleczonym nosem.

Zadawałam sobie pytanie, czy to w ogóle możliwe. A jeśli tak, to w jaki sposób ze skrawka skóry ma powstać szlachetny kształt nosa? Co z dziurkami? Czy trzeba je utworzyć z luźno zwisającego

kawałka skóry? Najbardziej jednak interesowało mnie, czy miejsce pod wyciętym skrawkiem po wygojeniu będzie wyglądało tak samo jak przedtem. Gdyby tak było, zastanawiałam się, może i moja twarz po operacji byłaby znowu... Nie, nie chciałam uwierzyć w taką możliwość. Jeśli nie będę wierzyć, nie będę też sobie robić próżnych nadziei i nie rozczaruję się.

Spojrzałam na Conora i stwierdziłam, że miska jest już prawie pusta. Po raz ostatni włożył łyżkę do ust i musiał to zrobić trochę zbyt raptownie, bo trącił się w nos i skrzywił z bólu.

- Bardzo boli? - zapytałam.

- Och, można wytrzymać - odrzekł. - Na początku było o wiele gorzej. To znaczy, kiedy przecinali mi ramię.

- Przecinali? - Musiałam wyglądać na przerażoną, bo Conor uśmiechnął się ubawiony i powiedział: - Przedtem pomocnicy profesora wtarli mi w ramię ocet winny, żeby mniej bolało, ale mimo to ból był piekielny, może mi siostra wierzyć.

Pominęłam milczeniem mój awans na siostrę, bowiem za bardzo byłam ciekawa zabiegów medycznych, których na nim dokonywano, i zapytałam: - Co profesor potem dokładnie robił?

- Może nie wszystko spaamiętałem, ale spróbuję opowiedzieć: najpierw chcieli wiedzieć, w jaki sposób straciłem czubek nosa. Między nami mówiąc, stało się to podczas walki na noże. Potem ciągle mnie pytali, czy jestem zdrowy i tak dalej, ile mam lat, czy nie choruję na francuską chorobę, a gdy w końcu uwierzyli, że jestem zdrowy, zawahali się, bo twierdzili, że w czasie zimy nie można tego zrobić. Potem jednak profesor obiecał mi jednego *scudo*, jeśli zdecyduję się na operację nosa. Nie powiedziałem nie, za jednego *scudo* zgodziłbym się, żeby mi zoperowali jeszcze całkiem inne członki. - Conor uśmiechnął się dwuznacznie, ale zignorowałam to.

- A potem?

- Cóż, jak już mówiłem, przewiercili mi ramię skalpelem i gdybym wcześniej wiedział, jak to pienińsko boli, zastanowiłbym się, czy *scudo* jest tego wart, ale już było za późno. Pomocnicy profesora przeciągnęli mi kilka razy pasek tkaniny przez otwór w ramieniu, tak że usłyszałem śpiewy anielskie i zapytałem o wódkę, żeby to łatwiej

znieść, ale nic mi nie dali. Potem wyciągnęli pasek z rany i musiałem czekać wiele dni, rana ropiała, a oni mówili, że to dobra ropa i jeszcze mnóstwo innych rzeczy, a potem w końcu przyszyli mi skrawek skóry do nosa i miałem dalej czekać. Ale niedługo będzie koniec i dostanę mojego *scudo*.

- Aha. - Niewiele zrozumiałam z opowiadania Conora, dlatego zadałam jeszcze kilka pytań, ale okazało się, że pamięta tylko urywki zdarzeń, może z powodu bólu, który musiał znieść. - I co jeszcze trzeba zrobić dla twojego nowego nosa?

- Au! - Conor chciał się podrapać wolną ręką po głowie, ale chyba zrobił nieprzemyślany ruch, bo zmełł w ustach przekleństwo. - Znowu zabolalo, dlatego że kamizela się rozluźniła.

Sprawdziłam jego kamizelkę i stwierdziłam, że mimo sznurowania nie jest dostatecznie ciasna. Moje doświadczenie krawcowej podpowiedziało mi, że od dobrego dopasowania kamizelki zależy odpowiednie usztywnienie górnej połowy ciała.

- Czy tę kamizelkę zrobiono specjalnie dla ciebie?

- Nie, dlaczego? - odpowiedział pytaniem. - Nie była nowa. Przyniósł ją jeden z pomocników doktora i powiedział, że mam ją włożyć. Chyba to było wcześniej, zanim przyszyli mi kawałek skóry do nosa.

- Powinieneś mieć kamizelkę uszytą na miarę. Nawet jeśli tę zasznuruje się najmocniej, nie da ci odpowiedniego oparcia.

- I co teraz?

Zastanowiłam się. Nie sprawiłoby mi trudności uszycie dla Conora pasującej kamizeli, ale żeby ją włożyć, musiałby zdjąć starą i pozbyć się wszystkich bandaży, co w jego sytuacji nie było możliwe. Trudno, będzie musiał zadowolić się tą aż do końca leczenia.

- Teraz odniosę miskę - powiedziałam. - Mam nadzieję, że ci smakowało.

- Smakowało, jako żywo.

W następnych dniach próbowałam dowiedzieć się czegoś bliższego o jego operacji, ale bez powodzenia. Pozostał przy swoich chaotycznych wspomnieniach, z których niewiele mogłam zrozumieć. Za to

opowiadał mi mnóstwo rzeczy o bolońskich żebrakach. Pewnego razu - właśnie poprosił mnie, żebym podrapała go po plecach, gdzie sam nie sięgał - powiedział, zezując ku mnie:

- Czy wiedzieliście, siostrze, że żebractwo to ciężka praca?

- Nie - odrzekłam zaskoczona. - Zawsze myślałam, że żebrzą tylko tacy, którzy nie chcą albo nie mogą pracować.

- Żebranie mężczy, a to, co mężczy, jest pracą.

- A co tak przy tym mężczy?

- Wszystko, siostrze, wszystko! Najtrudniej jest obronić przed innymi dobre miejsce. Ja zazwyczaj siedzę w pobliżu wielkiej fontanny Neptuna na Piazza Maggiore. Wiezorami spotykają się tam pary zakochanych i gruchają ze sobą. Wiecie, siostrze, zakochani częściej sięgają do sakiewki. Ale trzeba być codziennie na miejscu. Każdego dnia, słońce czy plucha. Zakochanym mówię zawsze, że wybornie do siebie pasują, że świat nie widział jeszcze tak pięknej pary i na pewno będą mieli uroczę *bambini*, a wtedy dziewczęta chichoczą, a młodzieńcy prostują się z dumą. Tak, trzeba mieć dobre miejsce, inaczej się nie da. Co byście zrobili, siostrze, gdyby nagle ktoś zaczął wyciągać rękę na waszym miejscu?

- Nie wiem.

- Wtedy jest trudno, mówię wam. Szczególnie kiedy ten drugi jest silniejszy. Trzeba mieć wiernych przyjaciół, którzy pomogą człowiekowi, inaczej nic z tego nie będzie. No i trzeba być w organizacji. Wiecie, co to jest?

- Nie. - Opowiadanie Conora zaczęło mnie interesować.

- Organizacja to coś takiego jak cech, tylko łączy nie rzemieślników, lecz żebraków. Nie mamy domu cechowego, ale jednak jakiś dom mamy, chociaż na pierwszy rzut oka nie można go rozpoznać. Zbieramy się tam, kiedy jest coś do załatwienia. Nie jesteśmy szacowni i nie mamy tyle do stracenia co panowie mieszczańscy albo szlachetnie urodzeni, ale mamy swojego króla. I mamy własny sąd. Ten, kto zabierze innemu jego dobre miejsce, idzie pod sąd.

- Wy, żebracy, macie własny sąd? - zdumiałam się.

- A tak! Przewodniczy mu król, a kogo skazą, temu nie jest do śmiechu, możecie mi wierzyć, siostrze.

- A jakie kary wymierza król?

- Bardzo różne. Najgorsza kara to wygnanie z miasta. Za murami miejskimi nie ma co żebrać, chłopci nic nie dają, żeby nie wiem jak wyciągać rękę.

- Rozumiem.

- Teraz już wiecie, jak ważne jest dobre miejsce i dlaczego żebranie to praca.

- Tak - zgodziłam się. - Teraz już wiem.

Któregoś dnia - właśnie posypałam skrawek skóry pacjenta sproszkowaną mieszanką mirry, żywicy palmowej i żywicy indyjskiej, żeby powstrzymać wyciek ze szwów operacyjnych - Conor powiedział:

- A wiecie, siostró, co jeszcze jest trudnego przy żebraniu?

- Nie, nie wiem.

- Że zaczyna się od samego dołu. Zaczyna się tak, a potem dorabia się coraz wyższej pozycji. Ale tylko wtedy, kiedy ma się zdolności.

- To zupełnie jak w prawdziwym zawodzie?

- Żebranie to prawdziwy zawód, siostró. Dobrze wiem, bo zaczynałem od samego dołu. Musicie wiedzieć, że miałem ojca Irlandczyka, a matka była tutejsza. Nie wiem o nich za wiele, tylko tyle, że w roku czterdziestym dziewiątym umarli na rzymską gorączkę. Nie miałem jeszcze ośmiu lat i nikt się mną nie zajął, więc musiałem żebrać. Zacząłem, jak mówiłem, od samego dołu. Człek siedzi na marnym miejscu, gdzie prawie nikt nie przechodzi, i ma nadzieję na łaskawy datek, a jeśli się nie postara, to tam zostanie, to znaczy będzie siedział tam przez całe życie. Tego nie chciałem, więc dorobiłem się drugiego szczebla.

- Jakiego drugiego szczebla? - zapytałam.

- Drugi szczebel jest o wiele bardziej opłacalny, bo ma się kogoś, kto pomaga żebrać, przeważnie jakieś zwierzę. Może to być kot albo małpa, albo papuga. Coś takiego przyciąga ludzi. Podchodzą i pytają, jak się zwierzę nazywa, a zanim się odpowie, trzeba powiedzieć „jestem głodny” i wyciągnąć rękę. Przeważnie się udaje.

- Skoro mówisz o drugim szczeblu, to pewno jest i trzeci.

- Dobrze siostra zgadła. Trzeci szczebel wymaga najwięcej pracy. Nie ma się wtedy stałego miejsca, tylko stały rejon. Podchodzi się do ludzi i zagaduje ich. To nie jest łatwe, bo większość nie chce,

żeby ich zaczepiano, i nie chce też nic dawać. Dlatego nie powinno się wyglądać na żebraka, trzeba się golić i nosić czyste ubrania i buty, w miarę możliwości drogie. Najpierw trzeba się tych łachów dorobić. Ale nawet kiedy się je ma, trzeba dobierać słowa. Najlepiej podchodzić do ludzi, robić bezradną minę i mówić: „Wybaczcie, że was zaczepiam, ale jestem tutaj przejazdem, mieszkam w Rzymie. Właśnie ukradziono mi sakiewkę, może dopomoglibyście mi i dali kilka *paoli*, inaczej nie będę mógł zapłacić za obiad w austerii”. Przeważnie się udaje. Trzeba jednak stale zmieniać miejsce, inaczej ludzie cię rozpoznają. Ja wolę tkwić przy fontannie Neptuna, wtedy wiem, na czym stoję.

- Masz jakieś zwierzę? - zapytałam.

- Tak, zgadnijcie jakie.

- Nie wiem. W zgadywaniu nie jestem najlepsza.

- Więc wam powiem. To kruk, nazywa się Massimo. Mam go od pisklęcia, bardzo się do mnie przywiązał. Jest wielkim spryciarzem. Nauczyłem go nawet odróżniać srebro od miedzi.

- A to po co? Conor uśmiechnął się.

- Bo się opłaca. Kiedy mówię ludziom, że Massimo potrafi rozróżnić metale po kolorze, przeważnie nie wierzą, a wtedy trzeba poprosić, żeby wyjęli kilka monet z sakiewki i pokazali je ptakowi. Kiedy to robią, pytam Massima: „Które są srebrne?”, a on wyszukuje srebrną monetę spośród miedziaków. Oczywiście tylko wtedy, kiedy taka moneta jest. Ta sztuczka zawsze się udaje, ale kosztowało mnie wiele trudu, żeby go jej nauczyć, może mi siostra wierzyć. Ludzie są zwykle tak zdumieni, że przeważnie zostawiają mi monetę. Jak już mówiłem, Massimo to spryciarz, a to mi się opłaca.

- Gdzie teraz jest?

- Myślę, że w pobliżu. Pewnie siedzi na jakimś dachu, szelma.

- A kto się nim zajmuje?

- Nikt. On sam potrafi się o siebie zatroszczyć.

Kiedy następnego dnia zaczęliśmy znowu rozmawiać - właśnie wbiłam pierze w poduszcze Conora - opowiedział mi o innych zdumiewających przymiotach swojego kruka.

- Wiecie, siostró - zaczął - że Massimo jest nie tylko sprytny, ale i umie ostrzegać.

- Ostrzegać? Przed czym?

- Przed niebezpieczeństwem, siostró. - Conor zrobił przerwę, żeby dodać swoim słowom znaczenia. - Kiedy chodzę ulicami, przeważnie siedzi na moim ramieniu, ale czasem, gdy w mieście są jakieś niepokoje, rozkazuję mu: „Leć, Massimo, leć, zobacz, co się dzieje!”, a on wznosi się w powietrze i spogląda z góry na ulicę, czy nie ma gdzieś niebezpieczeństwa.

- Niebezpieczeństwa? - Wyglądziłam kołdrę. - To znaczy czego?

- Różnych rzeczy, siostró. Bójek, pojedynków, napadów, zwad i innych wydarzeń. Coś takiego w Bolonii jest na porządku dziennym.

- Nigdy nie przypuszczałam...

- Ale naprawdę tak jest, wierzcie mi. Wciąż się zdarza, że najemni strzelcy zastrzelą kogoś na ulicy. To się dzieje w jednej chwili, wtedy lepiej nie znaleźć się na linii strzału. Niedawno o mało nie zaplątałbym się w coś takiego. Ulicą Via Carronara szło kilku wędrowców, wyglądali, jakby nie umieli zliczyć do pięciu, aż tu nagle wyszarpują pistolety spod kaftanów i zabijają dwóch pieszych. Potem ludzie mówili, że to hrabiowie, bracia Alberto i Prospero Castelli, zwaśnieni z rodem Pepoli. Nie wiem, czy to prawda. W każdym razie mnie się nic nie stało, bo Massimo ostrzegł mnie z góry. Ma szósty zmysł i wyczuwa, kiedy gdzieś coś śmierdzi. Lata wtedy jak szalony w tę i nazad i kracze, że można go usłyszeć z dziesiątej ulicy, a ja już wiem, że trzeba zmykać.

- Jednak nie ostrzegł cię przed tym nożownikiem, któremu zawdzięczasz okaleczony nos, prawda?

- To tylko ptak, czasem mu się nie uda. - Conor uśmiechnął się poczciwie. - Dam wam dobrą radę, siostró, chodźcie zawsze głównymi, szerokimi ulicami, kiedy jesteście sami. Tam jest jako tako bezpiecznie.

- Obiecuję ci to.

- Bolonia jest kołem, jak koło wozu, siostró. Pośrodku, jak piasta, jest Piazza Maggiore, a od piasty odchodzą mocne szprychy aż do obręczy. Szprychy to główne ulice, a obręcz to mury miejskie z bramami. Jeśli będziecie chodzić po szprychach, nic wam się nie stanie.

A jeśli nawet coś będzie, to może nie trafić na was, bo tam jest mnóstwo ludzi. No i większość głównych ulic ma arkady, wiedzieliście o tym?

- Nie, nie wiedziałam. Nie znam zbyt dobrze miasta.

- Tak sobie właśnie pomyślałem. Kiedy się idzie pod arkadami, może padać deszcz, a człowiek nie zmoknie. Biedny człowiek tak samo będzie suchy jak bogacze w swoich powozach albo panowie mieszczenie pod parasolami z jedwabiu. W ogóle jeśli chodzi o bogatych i biednych, to jest tak: zarówno jednych, jak i drugich jest za wiele w Bolonii, a tych pośrednich za mało. W każdym razie tak mi się wydaje. No, ale już za wiele nagadałem, siostrzo. Dziękuję wam za opiekę i pomodłę się teraz do świętego Patryka, żeby chronił was przed złym spojrzeniem.

- Dziękuję, Conorze - powiedziała wzruszona.

- Ale najpierw sobie kimnę, dobrze?

- Dobrze.

Wyszłam z izby i cicho zamknęłam drzwi.

Następnego dnia siostra Marta oświadczyła mi, że Conora przeniosą do Ospedale della Morte. Zmartwiłam się, bo lubiłam się nim zajmować i gawędzić z nim.

- Dlaczego go przenoszą? - zapytałam.

- O ile wiem, profesor Aranzio ma wyciągnąć mu szwy i zaprezentować studentom dotychczasowy wynik kuracji.

- Nie może wyciągać szwów tutaj?

- Chyba mógłby, ale leczenie potrwa jeszcze długo. Kto wie, dlaczego ma iść do Ospedale.

- Czy następne etapy są takie niebezpieczne?

- Na to pytanie odpowiedzieć może tylko profesor. W każdym razie dobrze będzie, jeśli Conora przeniesie się do Ospedale. Gdyby miał tam umrzeć, umrze w miejscu, gdzie odpuszczone mu będą wszystkie grzechy. Nowy Ojciec Święty, Grzegorz XIII, zarządził tak osobiście.

- Amen - odrzekłam i szybko się przeżegnałam. - Mimo to chętnie zobaczyłabym zdejmowanie szwów.

Marta się zaśmiała.

- Patrzaj szewcze kopyta.

Ja się nie roześmiałam, bo bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o tej tajemniczej operacji, dzięki której odcięty kawałek skóry miał się przekształcić w nos. Ale to naturalnie nie było możliwe.

- Idź teraz do Conora, jeśli chcesz się z nim pożegnać, Carlo.

- Tak, chcę - odrzekłam i pospieszyłam do jego małej izdebki. Tam po raz ostatni przypudrowałam mu szwy pooperacyjne mirrą, suszoną żywicą palmową i żywicą indyjską, po czym delikatnie starłam proszek z twarzy Conora.

- Dobrze to robicie, siostró. Szkoda, że muszę was opuścić.

- Ja też żałuję - powiedziałam. - *Arrivederci*, Conor. Mam nadzieję, że twój nos będzie kiedyś znowu wyglądał tak jak przedtem.

- Ach - odpowiedział lekko - jeśli nie, to zawsze jeszcze będę miał *scudo* od profesora.

- To prawda - odrzekłam. - Ale może będziesz miał i to, i to.

- *Si, si* - Conor się uśmiechnął. - *Se Dio vuole*.

- *Ogni bene*.

Wróciłam do pracy w schowku z bielizną. Składałam pozostałe płótna, kiedy nagle przestraszyło mnie głośnie krakanie. Wyrzałam przez okno. Na podwórku układano Conora na wozie, a nad nim krążył duży, czarny ptak. Był to Massimo.

SZPILKA DO KAPELUSZA

Il spillone

Tego samego wieczoru siedziałam w domu i czekałam na Marca. Umówiliśmy się, że przyniesie coś do jedzenia z austerii w mieście, bo mojej spiżarni nie zaopatrywałam już od wielu dni. Jednak kiedy w końcu przyszedł, miał puste ręce.

- Wiem, że zapomniałem o jedzeniu - zawołał na powitanie - przyszło mi to do głowy, kiedy byłem o trzy kroki od twojego domu. Wiesz co, chodźmy razem na kolację do trattorii, nigdy jeszcze tego nie robiliśmy, a trattoria Da Paolo jest naprawdę dobra i tania, Paolo nie jest takim wyzyskiwaczem jak inni właściciele gospód.

- Nie - sprzeciwiłam się.

- Chodź, Carlo, nie możesz wiecznie tkwić w domu.

- Owszem, mogę.

- Carlo, Carlo! - Wyrzucił z udaną rozpaczą ręce w górę. - Czy nadal się boisz pokazywać publicznie? Przecież nie może tak dłużej być. Chodź!

- Nie.

Muszę przyznać, że o mały włos poszłabym z nim, ale zła byłam na niego za jego gapiostwo i dlatego trwałam przy swoim. Marco westchnął.

- To będziemy musieli głodować. - Usiadł przy małym stoliku i spoglądał na mnie z wyrzutem.

- Poczekaj. - Poszłam do kuchni i przyniosłam karafkę wina Lambrusco, amforę z oliwą i pół bochenka nieco czerstwego chleba. Postawiłam to na stole. - To wszystko, co mam.

- Ach, cudownie! - Marco udał zachwyconego. - To zupełnie wystarczy. Chleb z oliwą, a do tego łyk wina!

Skinęłam głową z kwaśnym wyrazem twarzy.

- Jeśli to ci wystarczy...

- Ależ naturalnie.

Marco zaczął jeść, nie czekając na mnie. Skrapiał chleb oliwą i jadł dużymi kęsami. Przysiadłam się do niego. Jakoś przeszedł mi apetyt. Marco szybko skończył posiłek, popił ostatnią kromkę chleba winem i wziął mnie za rękę.

- Powiedz, Carlo, czy ty mnie jeszcze lubisz?

Zaskoczyło mnie jego pytanie. Ostatnimi czasy nie zastanawiałam się nad moimi uczuciami do Marca. Za rzadko się widywaliśmy. Teraz zrozumiałam, że stał mi się obcy.

- No, co? Lubisz mnie chyba, prawda? Proszę, powiedz, że mnie lubisz.

- Lubię cię tak, jak cię zawsze lubiłam.

- Hurra! - Marco zerwał się na równe nogi i zaczął tańczyć wokół stołu. - Wiesz co? Ostatnio czasem myślałam, że z naszego ślubu nic nie będzie, bo ty ciągle tkwisz w tym klasztorным szpitalu.

Pomyślałam, że mogłabym mu zarzucić to samo, bo prawie codziennie chodził do Archiginnasio, ale nic nie powiedziałam. ,

- Kiedy się pobierzemy? - Marco stanął zadyszany przede mną. - Mogę już jutro pójść do ojca Edoarda i dać na zapowiedzi. Musisz się tylko zgodzić.

Przyjrzałam mu się. Przez ostatnie lata zmienił się także zewnętrznie. Jego broda trochę zgęstniała i nie było widać krost. Nie był jednak Adonisem. - Taaak - powiedziałam wolno.

- Powiedziałaś „tak”? Naprawdę to powiedziałaś? Och, jestem najszczęśliwszym mężczyzną na tym świecie!

Zaczął znowu tańczyć wokół stołu, tym razem jednak za każdym obrotem całował mnie w kark.

- Ale nie chcę brać ślubu w San Rocco.

Marco zatrzymał się gwałtownie.

- Nie w San Rocco? Och, wiem, nie lubisz tego kościoła. Ale właściwie dlaczego? Mówię ci, San Rocco jest jedną z najpiękniejszych świątyń w Bolonii. Jak myślisz, dlaczego co roku w sierpniu przeciąga tam uroczysta procesja członków cechu tkaczy jedwabiu, żeby złożyć hołd swojemu patronowi i przynieść datki i podarunki? Przecież nie dlatego, że San Rocco jest brzydkim kościołem.

- Nie chcę tam brać ślubu.

- No już dobrze, dobrze. - Marco opanował się i usiadł. - Najważniejsze, że się pobieramy. - Przechylił się przez stół i pocałował mnie w usta. - Jeśli nie tam, to gdzie chcesz brać ślub?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam - powiedziałam zgodnie z prawdą.

- To zastanów się teraz. Gdzie by ci odpowiadało? Namyslałam się przez chwilę.

- W Archiginnasio w kaplicy Santa Maria de'Bulgari.

- Och - Marco był zdumiony. - Nie sądzę, żeby to było możliwe. O ile wiem, nie udziela się tam ślubów. Nie mogłabyś wymyślić innego miejsca? No, wymień jakiś inny kościół, bazylikę, katedrę, co chcesz. Ja się na wszystko zgodzę.

- Nie spiesz się tak - powiedziałam - tego nie można załatwiać na kolanie. - Odetchnęłam z ulgą. Jak to powiedziałam do matki Floriency, naszej przeoryszy? „Nie czuję się jeszcze gotowa do małżeństwa”. Nic się nie zmieniło. - Ale przecież się pobierzemy? - Marco usiadł obok mnie. Jak zwykle objął mnie w talii.

- Kiedy znajdziemy odpowiedni kościół.

- No dobrze. - Marco postanowił nie tracić humoru. - Najważniejsze, że mnie lubisz. Wszystko inne jest mniej ważne. - Jego ręka zaczęła wędrować po moim boku ku górze, ale powstrzymałam ją.

- Chciałam porozmawiać z tobą o czymś innym.

- O czymś innym? Co może być ważniejsze od naszego ślubu? - zażartował.

- Chodzi o żebraka, którego w ostatnich dniach pielęgnowałam w San Lorenzo. - Opowiedziałam mu o Conorze i jego operacji nosa. Starłam się jak najdokładniej przedstawić wszystkie spo-

strzeżenia i opowiedzieć o objawach pooperacyjnych, po czym zapytałam: - Czy uważasz za możliwe, że jego nos da się w pełni zrekonstruować?

- Znam Conora - powiedział Marco i znowu bez powodzenia usiłował dotknąć moich piersi. - Znam też jego kruka. Każdy, kto często bywa w mieście, zna ich oboje.

- Pytałam cię, czy możliwa jest rekonstrukcja ludzkiego nosa ze skrawka skóry z ramienia.

- No cóż, to trudna sprawa. Profesor Aranzio słynie z takich operacji. Jednak nigdy nie miałem okazji przyjrzeć im się z bliska, bo są zbyt rzadkie. O ile wiem, ta metoda składa się z wielu kroków i jest długa i żmudna.

- Ale jak wygląda rezultat?

- Nie wiem. Nigdy nie widziałem zrekonstruowanego nosa. -Marco się uśmiechnął. - Ale żaden, nawet najlepiej załatany, nie będzie tak ładny jak twój.

Zignorowałam jego żart.

- Mój nos jest z lewej strony pokryty znamieniem, *voglia di vino*. Ale skoro już mówisz o moim nosie: czy uważasz, że to możliwe, by dobry chirurg usunął znamię? To znaczy, choćby częściowo, a jeśli tak, czy pod spodem wyrosłaby czysta, normalna skóra?

Marco zmarszczył czoło. Nie wiedziałam, czy się zastanawiał, czy tylko udawał, ale po krótkiej chwili powiedział:

- Niedawno profesor mówił na wykładzie, że istnieją cztery różne rodzaje skóry i wszystkie nadają się do transplantacji. Jak to było dokładnie, już nie pamiętam, bo nie notowałem. Pamiętam tylko, że najbardziej nadająca się skóra musi być jak najmniej owłosiona i nieporuszana przez mięśnie. Nie może też być tak mocno przyrośnięta jak na wnętrzu dłoni albo na stopach. To samo dotyczy czoła, bo jest ściśle powiązana z *musculus frontalis*. Rzeczywiście skóra na ramieniu najlepiej się do tego nadaje. Z zainteresowaniem przysłuchiwałam się jego wywodom, jednak były dla mnie za mało dokładne. Nie uzyskałam też odpowiedzi na moje pytanie.

- A więc nie wiesz, jak może się zregenerować miejsce, skąd zdjęto warstwę skóry?

- Nie, ale sądzę, że zależy to od grubości zdjętej warstwy.

To do mnie przemówiło. Mimo to odpowiedzi Marca uznałam za niewystarczające. Czego właściwie uczył się w Archiginnasio, skoro nie potrafi odpowiedzieć na takie łatwe pytania?

- Czy pisze się o tym w literaturze medycznej?

- Nie wiem. No, Carlo, zmieńmy temat.

- Dobrze, w takim razie zadam ci inne pytanie. Czy u was w Archiginnasio studiowała już kiedyś jakaś kobieta?

Marco się zaśmiał.

- Skąd ci przyszło do głowy tak niedorzeczne pytanie?

- Dlaczego niedorzeczne? Czy myślisz, że kobiety są za głupie, by studiować? A może ja jestem na to za głupia?

- Nie, nie, skądże znowu - pospieszył Marco z zaprzeczeniem. -Ale...

- Ale co?

- To nie jest możliwe. W każdym razie nie u nas, na wydziale sztuk wyzwolonych.

Marco wypił łyk wina, sądząc, że wyczerpaliśmy temat. Mylił się.

- Skoro nie jest to możliwe na waszym wydziale, to może są inne miejsca, dostępne dla nas, kobiet? I co to w ogóle znaczy „sztuki wyzwolone”? Studiujesz przecież medycynę, co to ma wspólnego ze sztukami wyzwolonymi?

Marco westchnął i zrobił taką minę, jakbym była uosobieniem tępoty.

- W Bolonii mamy w Archiginnasio dwa uniwersytety, które nazywa się też wydziałami. Jeden wydział to sztuki wyzwolone, gdzie uczą gramatyki, retoryki, geometrii i tak dalej, w tym również medycyny, a drugi to wydział jurystyczny, czyli prawo. Nawet gdybyś jako kobieta mogła studiować na tym drugim wydziale, na nic by ci się to nie przydało, bo nie interesujesz się prawem.

- Tak - zgodziłam się z nim, próbując ukryć rozczarowanie. -A jak jest na uniwersytetach w innych miastach?

- Wszędzie tak samo. - Marco dopił wino. - Nie sądzisz, że daleko odeszliśmy od właściwego tematu? Czy miałabyś coś przeciw temu, gdybyśmy wzięli ślub w bazylice San Petronio? Uważam, że główny kościół w Bolonii byłby dla nas odpowiedni. Poza tym przed nim stoi zawsze kwiaciarka.

- No dobrze - wymamrotałam, myśląc o niesprawiedliwości, którą musiałam znosić jako kobieta. - Posłuchaj, Marco, skoro nie mogę studiować, to czy nie mógłbyś mi przynajmniej pożyczyć swoich notatek i materiałów z wykładów? Chciałabym je sobie przepisać i uczyć się z nich.

Spojrzał na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

- Co chciałabyś? Powtórzyłam prośbę.

- Co to ma znaczyć? - Marco pokręcił głową. - Nie rozumiem. Po co ci wiedza lekarska? Nawet gdyby udało ci się ją przyswoić, nigdy nie mogłabyś zastosować jej w praktyce. Nie, nie, wybij to sobie z głowy. Weźmy ślub w San Petronio, przeprowadzisz się do mnie i urodzisz mi dzieci.

„Tak - pomyślałam - to by ci się podobało. Nadaję się tylko do rodzenia dzieci. Co roku powinnam dostarczać ci potomków, by zaspokoić twoją męską dumę, jak najwięcej *bambini*, ale bardzo proszę: bez znamion, zdrowych i płci męskiej". A głośno powiedziałam:

- Mówię poważnie, Marco.

- Carlo, Carlo, czasem cię nie rozumiem. Ale jeśli naprawdę tego chcesz, niech tak będzie.

- Och, wybornie! - Ucałowałam go porywczo. Kiedy oswobodził się z moich ramion, uśmiechnął się.

- Gdybyś mnie tak nagradzała za każdą notatkę, twoja prośba bardzo by mi się spodobała.

- Tego nie mogę obiecać.

- No dobrze, zobaczymy.

Wkrótce nadszedł dwudziesty czwarty grudnia, Wigilia, kiedy Italia pości. Włożyłam beret z woalką i poszłam z Markiem i jego matką na pasterkę. Wprawdzie oboje mieli ochotę iść do San Rocco ze względu na poruszające kazania ojca Edoarda, ale postawiłam na swoim i poszliśmy do małego kościółka Santa Maria de la Carita, za mostem nad kanałem Castiglioni. Po mszy wróciliśmy do domu matki Marca, która bardzo się ucieszyła, że wreszcie traktujemy

poważnie sprawę ślubu, i przygotowała dla nas trojga obfity posiłek. Składał się on z dwunastu gotowanych w bulionie przepiórek z *cavolo* i *carote*, do tego makaron ze znakomitym pasztetem z gęsich wątróbek i czarnymi truflami. Na deser podała *panettone* własnej roboty i mocną nalewkę owocową, żeby łatwiej strawić suty posiłek.

- Ach, *mamma*, jakie to było dobre - westchnął Marco i pogłaskał się po brzuchu. - Naprawdę już więcej nie mogę.

- Przecież ledwo co zjadłeś, chłopcze. - Tak jak wszystkie matki *signora* Carducci bała się, żeby jej syn nie umarł z głodu. - Dołóż sobie jeszcze.

- Nie dam rady.

- Ja też już nie mogę, *signora* - dodałam. - Jedzenie było takie wyborne, że chętnie bym sobie dołożyła, ale już naprawdę nic nie zmieszczę.

- Cieszę się, że się najadłaś, Carlo. - *Signora* Carducci pogłaskała mnie po ramieniu. - Musisz mi obiecać, że będziesz równie dobrze gotować dla mojego Marca.

- Ależ tak, *signora*.

- Kiedy będzie ślub? To cudowne, że chcecie się pobrać w bazylice San Petronio.

Tu wtrącił się Marco.

- Niestety nie ustaliliśmy jeszcze dokładnej daty, *mamma*. Powiedziano mi, że w zimie nie ma już wolnych terminów, a na wiosnę chcą się pobierać wszystkie pary i też nie ma już miejsc. Powiedz, Carlo, czy nie powinniśmy spróbować w jakimś innym kościele?

- Nie. San Petronio jest najpiękniejszym kościołem w Bolonii - odrzekłam obłudnie.

- Owszem. - *Signora* Carducci znowu pogłaskała mnie po ramieniu. - Rozumiem Carlę. W końcu ślub bierze się tylko raz w życiu.

Marco stłumił beknięcie.

- No dobrze, w takim razie dalej będę się im naprzykrzał, może zrobią dla nas wyjątek. Tymczasem pewnie nadejdzie lato.

- Och, miejmy nadzieję, że nie będzie to tak długo trwało, prawda, Carlo?

- Miejmy nadzieję - przytaknęłam.

Marco dotrzymał słowa i w następnych miesiącach przynosił mi swoje notatki. Były to pospiesznie nagryzmołone zdania, pojedyncze hasła albo liczby, czasem też niewielkie szkice. Wszystkie miały jedną wadę: nie bardzo mogłam je zrozumieć. Moje próby zrozumienia treści nie na wiele się zdawały, nawet kiedy zaczęłam przepisywać notatki słowo po słowie. Nie wynikało z nich żadne spójne znaczenie.

- Marco - powiedziałam któregoś wieczoru, kiedy mnie odwiedził - nie rozumiem tego. Ludzka ręka ma przecież chyba więcej mięśni, niż wynika z twoich notatek. Pod hasłem „kości nadgarstka” napisałeś tylko dziwny wierszyk:

*Czólno płynie w blasku księżyca,
W trójkacie, który nas zachwyca,
Czworokąt mały, czworokąt duży,
Trzeba mieć głowę do podróży.*

Co to ma wspólnego z dłonią? Żeby zrozumieć budowę dłoni i jej funkcje, musiałabym mieć o wiele więcej materiałów. Co ze ścięgnami, co z nerwami? Albo tutaj: piszesz o Euklidesie i Ptolemeuszu, o tym, że obaj przemyśleli zjawisko wypływu wydzieliny z oka i uznali go za prawdziwą i ostateczną przyczynę widzenia, by tak rzec, podstawę postrzegania obrazów. Nie rozumiem tego. Chyba wiedza na ten temat jest szersza? Albo to, twoje notatki na marginesie o bólu z powodu zranienia: piszesz, że przyczyna bólu leży w ciałach obcych, które znajdują się w ranie i drażnią ją, a oprócz tego powodują go także ostre substancje jak witriol albo inne żrące medykamenty hamujące krwawienie. Wszystko to bardzo pięknie, ale na pewno istnieje więcej przyczyn bólu z powodu ran. Dlaczego nic o tym nie ma w twoich notatkach?

Marco wzruszył ramionami.

- Nie da się zapisać wszystkiego. Próbowalaś kiedyś robić notatki, podczas gdy ktoś płynnie o czymś mówi, o powiązaniach lub faktach? Zanim zapiszesz jedną myśl, tamten wypowiedział już dwie następne. To nie jest łatwe, wierz mi. Do tego dochodzi fakt, że w ciągu jednej godziny wykładu profesor nie zdoła powiedzieć o wszystkim.

- Też tak myślę. Ale czy nie istnieje coś takiego jak streszczenie wykładu?

- Owszem, bywa. Czasem.

- Dlaczego tylko czasem?

- Carlo, Carlo, za dużo tych pytań. Po prostu jest tak, że nie mogę chodzić na wszystkie wykłady. Jako student mam wiele zobowiązań, święta, uroczystości, parady, i to wszystko jest co najmniej tak samo ważne jak właściwe studia.

Pokręciłam głową.

- Nie pojmuję. Ten, kto się bawi, nie może się uczyć, a jeśli cię dobrze zrozumiałam, jest ogromnie dużo wiedzy, którą *studiosus medicinae* musi sobie przyswoić. Z każdym rokiem jest jej więcej, sam mi mówiłeś, bo nauka posuwa się naprzód wielkimi krokami.

Marco niechętnie machnął ręką.

- W każdym razie nie mogę dać ci lepszych notatek, bo sam ich nie mam.

- A czy nie istnieją książki, z których można się nauczyć?

- Istnieją, ale są drogie.

- Masz je? Jeśli tak, to może mógłbyś mi je pożyczyć? Marco wstał.

- Nie, nie mogę, najnowsze książki pożyczam od moich kolegów studentów.

Wstałam również.

- Masz przecież swój spadek, więc mógłbyś chyba kupić najważniejszą literaturę?

- Mam jeszcze inne obowiązki. Życie studenckie nie jest tanie. Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one, jak to się mówi. Muszę już iść. - Pocałował mnie. - Powiedz mi, kiedy moje notatki nie będą ci już potrzebne.

- Ależ nadal są mi potrzebne - odrzekłam szybko, bojąc się, że go zranię. A poza tym pomyślałam, że lepsze nawet niedbałe notatki niż żadne.

- No dobrze, więc idę.

- Uważaj na siebie. I pozdrów matkę.

Dni biegły zwykłą koleją. Każdego ranka wyruszałam w drogę do San Lorenzo, żeby wypełniać tam swoje obowiązki, a co wieczór zajmowałam się notatkami Marca, które nadal były niedbałe, pełne luk i niewiele mi pomagały. Im mniej mogłam się z nich dowiedzieć, tym bardziej pragnęłam gruntownie poznać wiedzę medyczną ze wszystkimi jej tajnikami.

Przyłapałam się na tym, że najpierw z rzadka, a potem coraz częściej nadkładałam drogi i przechodzę obok Archiginnasio, po prostu po to, żeby poczuć atmosferę nauki, wiedzy i doświadczeń naukowych. Przez woalkę obserwowałam, jak barwnie ubrani studenci, często w towarzystwie swoich czcigodnych profesorów, wchodzą ze śmiechem i pogwarkami przez główną bramę uniwersytetu na wewnętrzny dziedziniec, i pragnęłam wmieszać się między nich, żeby zbliżyć się do źródła wiedzy. Naturalnie nie mogłam tego zrobić. W woalce już na dziedzińcu rozpoznano by mnie jako kobietę. Poza tym obawiałam się spotkania z Markiem.

Bardzo żałowałam, że nie mogę wejść do środka i bardzo się dziwiłam zmianie, która we mnie zaszła.

Stwierdziłam, że z dnia na dzień coraz pewniej poruszam się w publicznych miejscach. Nie patrzyłam już tylko w ziemię, żeby uniknąć spojrzeń innych ludzi, lecz odważałam się niekiedy spoglądać im prosto w twarz, chociaż nadal nosiłam beret z woalką. Fakt, że mogłam widzieć, nie będąc widzianą, dodawał mi odwagi. Przyglądałam się idącym z naprzeciwka i zdumiewałam się niepowtarzalnością ludzkich twarzy. Niedoskonałości, które często w ten sposób odkrywałam, ułatwiały mi życie z moją niedoskonałością.

Zrobiłam się próżna. Postanowiłam uszyć sobie nowe ubrania, które nie byłyby już tak szare i skromne jak moje obecne, doszłam bowiem do wniosku, że jeśli nie chcę wzbudzać zainteresowania, nie wolno mi się odróżniać od przechodniów. Powinnam nosić tak samo różnobarwne, wesołe stroje jak inne kobiety. Poszłam do pracowni krawieckiej i obejrzałam bele materiałów, które zostały mi po matce. Postanowiłam uszyć sobie nową symarę i nową suknię. Na suknię wybrałam wspaniały adamaszek koloru czerwonego wina, a na halkę jedwabny adamaszek ecru. Obie tkaniny

były tak wartościowe, że z pewnością przeznaczone były dla patrycjuszek, dawnych klientek matki. Nie wahałam się jednak ich użyć. Całymi nocami szyłam tę suknię, którą nazwałam „suknią Nibelungów”. Na koniec ozdobiłam lamówkę przy dekolcie podwójnym wyszyciem szklanymi perełkami, a rękawy - agrafami w kształcie lilii.

Na symarę wybrałam ciepłą, przetkaną jedwabną nitką florencką wełnę barwy pinii. Sporządziłam ją na wzór mojego starego okrycia, którego fioletowej tkaniny użyłam jako podszewki kaptura i płaszcza. Modne głębokie fałdy na plecach i rękawach miały barwę fioletowego bzu. Na zapięcie z przodu użyłam starej srebrnej klamry, którą włożyłam na pewien czas do słonej wody, a potem wypolerowałam, tak że lśniła jak nowa.

Byłam bardzo zadowolona z mojego nowego stroju i żałowałam tylko, że nie mogę obejrzeć się w lustrze.

W końcu odkryłam jeszcze łokieć atlasu, którego świeży, mocny róż rzucił mi się w oczy. Różowy atlas pasował znakomicie do piniowej zieleni symary i ciemnej bordowej sukni. Cóż jednak mogłam z niego uszyć? Łokieć materiału to niewiele i starczyłby najwyżej na jakiś mały szczegół stroju. Po namyśle zdecydowałam się na nowy beret. Miał być mniejszy niż mój stary czarny i mieć szeroki brzeg z granatowym obramowaniem. Do tego krótsza woalka, co oznaczało, że będzie widać więcej twarzy.

Ponieważ nowy beret był mniejszy niż stary, zdecydowałam się na zmianę fryzury. Upięłam wysoko włosy, przytrzymałam je odziedziczoną po matce siatką i ukoronowałam całość nowym, śmielszym nakryciem głowy, przypinając je kościaną szpilką, by zabezpieczyć je przed wiatrem. Chętnie użyłabym srebrnej szpilki, ale nie miałam pieniędzy, by ją kupić.

Miałabym także ochotę na nowe, modne buty do mojego nowego stroju, bo wydawał mi się niekompletny, ale nie chciałam o nie prosić Marca. Nadal nadkładałam drogi, by przechodzić koło Archiginnasio. Coraz częściej przemykałam się w moim nowym ubraniu obok godnego budynku i czasem wydawałam się samej sobie wałęsającą się bez celu kotką. Jednak koniecznie chciałam tam wejść. Chciałam wejść za wszelką cenę - i nie wolno mi było tego zrobić.

Mój narzeczony, który miał prawo studiować, najwyraźniej nie doceniał tego przywileju, a dla mnie, która tak bardzo za tym tęskniłam, był on niedostępny.

Świat na opak, czysta niesprawiedliwość.

Pewnego szarego, wietrznego dnia w końcu marca pomógł mi przypadek. Po wschodniej stronie Archiginnasio, za kaplicą Santa Maria de'Bulgari, odkryłam wąskie drzwi prowadzące do wnętrza budynku. Drzwi były zniszczone i prawie niewidoczne, bo od ulicy oddzielały je gęste krzewy.

Czy mam się odważyć? Rozejrzałam się. W małej bocznej uliczce, zwanej Viuzza da Ginnasio, nie było żywej duszy. Uspokoilo mnie to. Zebrałam się na odwagę i nacisnęłam zardzewiałą klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Zrobiłam krok w nieznaną - i zatrzymałam się. Walczyłam ze sobą. Odetchnęłam głęboko, zrobiłam jeszcze jeden krok - i zrezygnowałam. Nie mogłam tego zrobić. Musiałam zawrócić.

Przyszłam do domu, gdzie czekały na mnie zwykłe cowieczorne zajęcia. Zdjęłam nowy strój, rozpałam ogień pod kuchnią, ugotowałam ryż i wkroiłam do niego suszone owoce, odmówiłam modlitwę przed jedzeniem i zjadłam posiłek, nie czując jego smaku. Umyłam miskę i łyżkę, otwierałam książkę i próbowałam czytać, nie rozumiejąc ani słowa - przez cały czas myślałam o małych, zniszczonych drzwiach wiodących do wnętrza Archiginnasio.

Następnego dnia znowu się tam znalazłam, rozejrzałam się na wszystkie strony, stwierdziłam, że nikt mnie nie widzi i że drzwi są nadal niezamknięte.

Po czym uciekłam.

Powtórzyło się to jeszcze dwa razy, zanim wreszcie odważyłam się wejść do środka. Ponieważ obawiałam się, że otwarte drzwi mogłyby mnie zdradzić, zamknęłam je za sobą ostrożnie. Od razu znalazłam się w całkowitych ciemnościach. Posuwałam się naprzód po omacku i o mały włos się nie przewróciłam, gdy uderzyłam nogą o coś twardego. Zdusiłam okrzyk. Przeszkoda okazała się najniższym stopniem schodów. Zebrałam suknię i powoli zaczęłam wchodzić na górę. Od czasu do czasu jakiś schodek zaskrzypiał niepokojąco i za

każdym razem zatrzymywałam się z bijącym sercem, ale nic się nie działo. Nikt nie nadchodził. Wydawało się, że w tej części budynku nie ma nikogo.

Przypuszczałam, że schody mogą być jakimś nieużywanym wejściem. Ale wejściem dokąd? Sądząc po kierunku, musiały prowadzić do górnej, biegnącej wokół budynku loggii nad dziedzińcem Archiginnasio. Loggia ta była architektoniczną ciekawostką, o której Marco opowiedział mi po raz pierwszy przy okazji dorocznego warzenia teriaku.

Posuwałam się ostrożnie po schodach, by stwierdzić, że kończą się korytarzem, gdzie w oddali miga jakieś światelko.

I wtedy usłyszałam głosy.

Uciekać?

Nie, doszłam już zbyt daleko, żeby zawracać. A jeśli mnie odkryją? Już chciałam się odwrócić i zejść na dół, kiedy po mojej prawej ręce odkryłam drabinę opartą górną krawędzią o skraj kwadratowego otworu w sklepieniu. Widocznie wyjęto jeden kaseton z jodłowego drewna, może by go zreperować.

Gryzłam wargi w niezdecydowaniu. Najłatwiej byłoby, mówiłam sobie, zawrócić i szybko pobiec do domu. Jednak zostałam na miejscu. Wspięłam się po drabinie i znalazłam się na strychu. Odetchnęłam głęboko i rozejrzałam się. Nad sobą widziałam już tylko drewniany dach; przez szpary w nim wpadało słabe światło. Pode mną widniały kwadratowe belki, pokryte warstwą kurzu grubą na palec. Przeszłam kilka kroków w jednym kierunku, zatrzymałam się i wróciłam. Ruszyłam w drugą stronę i ponownie zawróciłam.

Czego ja tu właściwie szukam? - nie umiałam sobie odpowiedzieć na to pytanie poza tym, że chciałam być jak najbliżej Archiginnasio, równie blisko jak ci wszyscy młodzi mężczyźni, którzy chodzili tam codziennie, żeby studiować.

Znowu ruszyłam przed siebie i tym razem nie zatrzymałam się. Szłam coraz dalej i w końcu spostrzegłam, że wróciłam w to samo miejsce. A więc strychem można było obejść wokół cały budynek. Ostrożnie badałam dalej, ale wszystko, co widziałam, to kurz i drewniane belki pod stopami oraz dach nade mną.

I nagle znowu usłyszałam głosy, tym razem bardzo bliskie. Usiłowałam się zorientować, skąd dochodzą, ale tymczasem umilkły.

Odczekałam chwilę. W momencie, gdy doszłam do wniosku, że fantazja spletała mi figła, usłyszałam je znowu. Nasłuchiwałam pilnie. Był to jakby pomruk męskich głosów. Kilku głosów. Może trzech albo czterech. Nie, głosów było chyba więcej.

Ale skąd dochodziły?

Nagle zrozumiałam: dobiegały z piętra niżej. Spojrzałam pod nogi i odkryłam szparę pomiędzy kasetonami stanowiącymi sufit. Znowu zaczęłam nasłuchiwać. Bez wątpienia głosy dochodziły z dołu.

Uklękłam i pochyliłam się nad otworem. Im bardziej przybliżałam do niego twarz, tym wyraźniejszy stawał się obraz pode mną: była tam mała sala, jasno oświetlona licznymi pochodniami, pośrodku której stał marmurowy stół. Leżało na nim jakieś ciało. Zakrwawione ciało mężczyzny.

Dreszcz przebiegł mi po plecach.

Co tam się działo? Przez głowę przelatywały mi rozwichrzone myśli. Czy stałam się świadkiem sabatu czarownic, bezczeszczenia zwłok czy też wypędzania diabła? Nie, nie chciałam tak myśleć. Nie byłam taka jak moja matka, która we wszystkim widziała jakieś duchy i strachy. Byłam Carlą i znajdowałam się w Archiginnasio. Tam na dole odbywają się bez wątpienia jakieś naukowe badania. Znowu pochyliłam się nad szparą i tym razem już się nie cofnęłam.

Zauważyłam, że mężczyzna na stole jest martwy, a wokół niego stoi z tuzin młodych studentów. Łysy człowiek w zakrwawionym fartuchu wycinał skalpelem części z ciała zmarłego i podnosił je do góry, podczas gdy drugi, budzący respekt mężczyzna, dźwięcznym głosem wyjaśniał:

- To, co tu widzimy, drodzy *studiosi*, to jest serce, zwane po łacinie *cor*. Jest to organ wielkości pięści, który dzięki mięśniom pracuje jak pompa. Przyjrzyjcie mu się dokładnie. Ci spośród was, którym nieobcy jest świat roślin, stwierdzą, że kształtem przypomina jajowatą szyszkę limby, górskiej sosny.

Powoli zrozumiałam, że patrzę na małą salę anatomiczną, zwaną Scuola d'Aranzio.

Łysy mężczyzna ze skalpelem, w którym domyśliłam się prosektora, przeprowadzał sekcję pod nadzorem profesora Aranzia. Zanurzył serce w wiadrze wody i opłukał je do czysta. Potem niedbale odłożył je na mały, wyszorowany do białości stolik. Studenci po kolei podchodzili do stołu, brali serce do ręki, oglądali ze wszystkich stron, a potem odkładali na miejsce i wracali na ławy.

Profesor Aranzio, mężczyzna około czterdziestki ze szpakowatymi włosami i rysami twarzy świadczącymi o energii i silnej osobowości, wykladał tymczasem:

- Nawet jeśli niektórzy z moich cenionych kolegów naukowców nie podzielają mojego zdania, można z całą pewnością przypuszczać, że mięsień sercowy stanowi ową siłę napędową, która sprawia, że w ciele ludzkim nieustannie płynie krew. Serce jest w ogóle najważniejszym mięśniem, bez niego nie poruszałyby się kości, nie napinały ścięgna, nie zginały więzadła. Napędzana przez tę pompę krew przepływa przez cały organizm, by w końcu wrócić tajemniczymi labiryntami z powrotem do serca i podjąć znowu swoją podróż po ciele. Krew, drodzy *studiosi*, jest sokiem nad soki, od niej wszystko zależy, jej obieg jest strumieniem życia, co wiedział już słynny anatom poprzedniej generacji, Andreas Vesalius. Tu Aranzio przerwał i skinął głową poważnemu, młodszemu od siebie mężczyźnie, o którym zrazu myślałam, że jest studentem, jednak jego słowa, wypowiedziane mocnym, donośnym głosem, świadczyły o tym, że jest jednym z wykładowców.

- Tak, drodzy *studiosi* - powiedział. - Profesor Aranzio mówi o piętnastym styczniu 1540 roku, dacie, którą powinniście *zapamiętać*, gdyż weszła do annałów Bolonii: wczesnym rankiem tego godnego pamięci dnia słynny anatom Vesalius rozpoczął w kościele San Francesco szereg anatomicznych demonstracji, które trwały do końca miesiąca i odbywały się na przemian z wykładami anatoma Mattea Cortiego. Być może pomyślicie sobie, że nie było w tym nic nadzwyczajnego, jednak te pokazy były bardzo ważne, spowodowały bowiem zetknięcie się starej anatomii z nową. Inaczej mówiąc, drodzy *studiosi*, nowy sposób sekcji zwłok, która poszukuje i obiektywnie porównuje wyniki, zetknął się z tradycyjną nauką o anatomii. Z jednej strony dwudziestopięcioletni żądny wiedzy, niekonwencjonalny Ve-

salius - z drugiej Corti, wtedy już sześćdziesięcioletni, jako zagorzały zwolennik Galena uznający anatomię opisaną przez niego za *perfectissima et absolutissima* i bardziej godną zaufania niż informacje będące owocem sekcji zwłok.

- Dziękuję, drogi *dottore* Tagliacozzi - powiedział profesor Aranzio i podjął swój wykład. - Wróćmy do serca i do krwi, która zawdzięcza temu mięśniowi swój obieg. Dokładna droga, którą przebywa krew w ciele, jest nam jeszcze nieznana, mimo naszej znajomości budowy człowieka, mimo wiedzy o organach wewnętrznych. Nigdy jeszcze nikomu nie udało się zaobserwować przepływu krwi w żywym ciele. Żadne najjaśniejsze światło, nawet rozżarzona kula słońca w południe, nie zdołała tak przeświecić ciała, żeby można było widzieć wędrówkę krwi. W martwym ciele natomiast przepływ krwi ustaje. To trudność, z którą jeszcze się nie uporano. Nadejdzie jednak dzień, kiedy ktoś z nas, drodzy *studiosi*, zbada i wyjaśni tę tajemnicę, być może już wkrótce.

Profesor Aranzio wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł pot z czoła. W sali zrobiło się gorąco, nie tylko dlatego że w małym pomieszczeniu było dużo ludzi, lecz także z powodu licznych pochodni. Następnie zwrócił się ku tablicy, na której widniały rysunki, a nad nimi napisano wielkimi literami PARTES CORDIS.

- Przejdźmy teraz do budowy mięśnia zwanego sercem: rozróżniamy dwie komory, zwane lewym i prawym *ventriculum*, oraz ściankę dzielącą, zwaną *septum*. Jeśli zaś chodzi o zastawki...

Słuchałam oczarowana. Byłam ogromnie szczęśliwa, mogąc przysłuchiwać się profesorowi; każde jego słowo wryło mi się na zawsze w pamięci. Przeżywając po raz pierwszy radość poznania, obserwowałam jednocześnie studentów podchodzących kolejno do stolika. Brali serce do ręki i oglądali je.

Jako ostatni podszedł młodzieniec z bródką i pyzată twarzą. Wydał mi się znajomy, jednak musiałam spojrzeć jeszcze raz, zanim uwierzyłam własnym oczom: to był naprawdę Marco. Poruszał się z całkowitą swobodą wśród swoich kolegów, co najpierw wydało mi się dziwne, jednak powiedziałam sobie, że jest młodym mężczyzną jak każdy inny, i zaczęłam przyglądać się bliżej jego sąsiadom na ławie. Wszyscy byli młodzi, niektórzy nawet młodszy od Marca, ich rysy

twarży i mimika były bardzo zróżnicowane, gdyż znajdowali się wśród nich nie tylko mieszkańcy Italii, lecz, co w Archiginnasio było czymś zupełnie zwyczajnym, studenci z krajów po drugiej stronie Alp, a nawet z Anglii.

Podczas gdy profesor Aranzio niezmordowanie wykładał dalej, stwierdziłam, że większość twarży wygląda młodo i nic mi nie mówi. Tylko jedna wydała mi się szczególna: nie należała do studenta, lecz do doktora Tagliacozziego.

Jeszcze dziś trudno mi opisać twarz doktora. Gdybym miała to wyrazić jednym słowem, powiedziałabym, że przede wszystkim była męska. Charakterystyczna była nie tyle jego czarna, szeroka broda, ile rzucające się w oczy usta. Wrażenie męskości potęgowały wygięty łuk gęstych brwi, spokojnie i pewnie spoglądające oczy i długi, mocny nos.

Zmusiłam się do uważnego słuchania wykładu profesora i skoncentrowałam się znowu na jego słowach.

- Skoro już znamy najważniejsze części serca, słyszeliśmy wiele o jego komorach, zastawkach, przedsionkach i żyłach i wiemy, że nasz najważniejszy organ waży połowę setnej części całego ciężaru ciała człowieka, zapamiętajcie sobie, drodzy *studiosi*, wszystkie szczegóły, bowiem już na następnym wykładzie będziemy się starali zgłębić arkana naszej nowej wiedzy. Oczekuję od was, że każdy będzie mógł wygłosić referat nie tylko o sercu jako takim, lecz również o jego transcendentnym, metafizycznym znaczeniu, gdyż jest równie istotne. Bez serca nic nie byłoby ważne. Sercu przysługuje filozoficznie uchwytnie znaczenie, dzięki czemu doszedłem znowu do wielce cenionego Arystotelesa, który powiedział: „Całość jest czymś więcej niż sumą poszczególnych części”.

- Tak właśnie jest - swoim silnym, dobitnym głosem przyświadczył Tagliacozzi. - A jeżeli wam, drodzy *studiosi*, zadanie wydaje się zbyt trudne, na pociechę przytoczcie sobie inny cytat z wielkiego Arystotelesa: „Początek jest połową całości”.

Kilku młodzieńców się roześmiało. Zobaczyłam, że stukają w pulpity, i zrozumiałam, że to owacja. Pierwsi z nich już wstali i zaczęli wynosić z sali ławy i pulpity, podczas gdy inni pod nadzorem prosektora wspólnymi siłami ułożyli zwłoki na noszach na kółkach

i wyjechali z nimi na korytarz. Profesor Aranzio podszedł do doktora Tagliacozziego, poklepał go po ramieniu i powiedział coś, czego nie zrozumiałam. Obaj uśmiechnęli się, zwracając się do siebie. Wydawało się, że zapomnieli o studentach. Zajęcia się skończyły.

Z trudem oderwałam się od obrazu pode mną i szybko ruszyłam w drogę powrotną.

Miałam za sobą swój pierwszy wykład w Archiginnasio.

Byłam zaledwie od pół godziny w domu, wciąż myśląc o swych fascynujących przeżyciach, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. To był Marco.

Przeraziłam się śmiertelnie, pomyślałam bowiem, że moja samowolna wycieczka na strych uniwersytetu wyszła na jaw i Marco zjawił się, by mnie doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości, ale nie zdarzyło się nic podobnego. Marco stał w drzwiach ze swoim zwykłym uśmiechem na twarzy, trzymając ręce splecione za plecami.

- Co się stało? - zapytałam, kiedy otrząsnęłam się z przestachu.

- Ach, nic. - Marco uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że dzisiejszy dzień jest dniem szczególnym.

Chciałam potwierdzić, ale powstrzymałam się od opowiedzenia mu o moich dzisiejszych przeżyciach. Byłam pewna, że nie znalazłabym u niego zrozumienia. Zamiast tego spojrzałam nań pytająco.

- Wszystkiego najlepszego! - wykrzyknął. - Proszę, to dla ciebie! - Wyjął zza pleców ogromny bukiet róż i wyciągnął je ku mnie tak energicznie, że cofnęłam się odruchowo.

- A to z jakiej okazji? - zapytałam.

Marco odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Przestań, Carlo, chyba nie powiesz mi, że zapomniałaś o swoich urodzinach?

- Nie, eee... to znaczy, dziś był taki dzień... wypełniony po brzegi zajęciami. Dziękuję za te wspaniałe kwiaty. Wejdz.

Rzeczywiście zapomniałam o urodzinach z powodu ważnych wydarzeń, ale przecież nie musiałam mu tego mówić. Zaprowadziłam

go do pokoju z małym stołem i wstawiłam róże - było ich dwadzieścia jeden - do wazonu z wodą.

- Dasz mi coś do jedzenia? - Marco usiadł przy stole. Od pewnego czasu uważał za naturalne, że go obsługuję.

- Tylko jeśli mi pomożesz.

- No, jeśli koniecznie trzeba...

Łaskawie udał się za mną do kuchni, gdzie kazałam mu rozpalić ogień. Grzebał w palenisku, podczas gdy ja dodawałam do wczorajszej zupy jarzynowej szczypior, polentę i włoską kapustę. Potem wrzucił do ognia dwa polana i stwierdził:

- Masz nową suknię.

- Tak. - Nie zdążyłam się jeszcze przebrać. - To moja suknia Nibelungów.

- Jaka suknia?

- Nibelungów. Jak widzisz, jest czerwona jak burgund; Nibelungowie zamieszkiwali niegdyś Burgundię.

- Ach, to dlatego.

- Tak, dlatego.

- Ale ty masz pomysły! Nazwać suknię „suknią Nibelungów” tylko dlatego, że jest koloru burgunda.

- Nie podoba ci się?

- Ależ tak. Czy zupa będzie niedługo gotowa? Jestem głodny jak wilk.

Rozzłościł mnie. Nie tylko dlatego, że moja suknia była mu raczej obojętna; nie sprawiał także wrażenia poruszonego arcyciekawym wykładem w Archiginnasio, w którym tak niedawno miał przywilej uczestniczyć. Jedyne, co go interesowało, to jedzenie. Zamilkłam.

- Wyglądasz, jakbyś przed chwilą wychodziła. A może znowu miałaś tak długo dyżur u zakonnic?

- Siadaj do stołu, zaraz będziemy jedli.

Podczas posiłku Marco dopytywał się z pełnymi ustami:

- Rzeczywiście tak długo byłaś w klasztorze? Zastanawiałam się, czy powinnam mu powiedzieć prawdę, w końcu

znaliśmy się dostatecznie długo i byliśmy po słowie, lecz doszłam do wniosku, że lepiej będzie milczeć. Dobrze pamiętałam jego reakcję na moją chęć studiowania.

- Miałam jak zwykle dużo pracy u sióstr - powiedziałam i dopalam, żeby zmienić temat: - Uszyłam sobie też nową symarę.

- Nową symarę? Dlaczego?

- Stara przestała mi się podobać. Jedliśmy dalej w milczeniu.

- Uszyłam też sobie nowy beret. Różowy - spróbowałam znowu nawiązać rozmowę. - Wstałam i przyniosłam go razem z kościaną szpilką.

Marco przyglądał się temu wszystkiemu z mieszanią ciekawości i zastanowienia.

- Carlo, Carlo, dziwię się tobie: sprawiasz sobie nową suknię, nową symarę i nowy beret ze szpilką. Tego się nie robi ot, tak sobie. Co to wszystko znaczy?

Nie odpowiedziałam mu, bo zdecydowałam się poprosić go o coś, co już dość dawno leżało mi na sercu.

- Powiedz, Marco, mógłbyś mi zrobić parę butów? Może z czerwonej skóry z czarnymi obcasami? Chyba rozumiesz, że nie mogę nosić ślubnych butów do mojej nowej sukni i płaszcza.

Odłożył łyżkę i wytrzeszczył oczy.

- Mówisz poważnie?

- Tak, pamiętaj, że mam dziś urodziny.

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę. Chyba zapominasz, że studiuje? Tak - pomyślałam - jesteś na studiach, którym poświęcasz za mało czasu i wysiłku, ale które mogą ci posłużyć za wymówkę. A głośno powiedziałam:

- Marco, proszę cię.

- Naprawdę nie zdołam.

- Szkoda.

- Zrozum. - Chwycił mnie za rękę. - Nawet gdybym chciał ci uszyć buty, nie mógłbym tego zrobić. Mistrz Mezzarini, u którego pracowałem, już nie żyje, a jego warsztat od dawna jest zamknięty.

- Ach, tak - powiedziałam - w takim razie rzeczywiście się nie da.

- Powiedz, Carlo - Marco szukał odpowiednich słów - twoje nowe ubrania, prośba o nowe buty... eee... to znaczy, chyba nie wzięły się z niczego? Nie masz przypadkiem... kogoś innego?

O mało się nie roześmiałam z jego niedorzecznego przypuszczenia, ale zachowałam powagę.

- Nie mam nikogo innego - odparłam. - Po prostu miałam ochotę na nowe ubrania.

- Bardzo się cieszę! - Marco zerwał się z miejsca. - Proszę cię, zrozum, muszę już iść, chociaż masz urodziny, ale to ważna sprawa.

- Na pewno chcesz powtórzyć sobie w spokoju to, co usłyszałeś dziś na uczelni?

- Co? Eee... nie. - Zawahał się. - Jest małe przyjęcie, na które muszę pójść. Rodzice jednego z kolegów studentów mają gościa z Ferrary, kościelnego dostojnika o wielkich wpływach, nie może mnie tam zabraknąć.

- Tak - powiedziałam i serce mi się ścisnęło - to naturalnie ma pierwszeństwo.

- Prawda? Rozumiesz to? - Nie czekając na moją odpowiedź, ruszył do drzwi.

- *Arrivederci*. - Marco pocałował mnie na pożegnanie.

- *Arrivederci*. - Pocałowałam go także i przyjrzałam mu się. Jednak nie widziałam jego twarzy.

Widziałam twarz kogoś innego. Bardzo męską twarz.

Od tej pory starałam się najczęściej, jak mogłam, bywać na strychu nad Scuola d'Aranzio. Nauczyłam się pewnie poruszać w ciemnościach i godzinami klęczałam z rozpaloną twarzą nad szparą, która umożliwiała mi wgląd w inny świat: w świat wiedzy i badań naukowych. Szybko przyzwyczaiałam się do widoku rozciętych i rozczłonkowanych zwłok i bez tchu słuchałam, jak profesor Aranzio i doktor Tagliacozzi uzupełniają się podczas wykładu o częściach ludzkiego ciała. Dowiedziałam się, że płuca są podwójnym organem służącym do oddychania, zajmującym przestrzeń w piersiach po obu stronach serca, nauczyłam się, że ich kształt określa przepona i klatka piersiowa i że ich prawa część dzieli się na trzy, lewa natomiast na dwa płaty, by pozostawić dość miejsca na serce.

Obserwowałam, jak doktor Tagliacozzi swoimi pięknymi, silnymi dłońmi zrobił małe nacięcie w jednym z płatów, wetknął w otwór słomkę, po czym nadmuchał płuca, żeby pokazać, jak dużą objętość może przybrać ten organ.

Nauczyłam się wiele o wątrobie, która również dzieli się na kilka płatów; dowiedziałam się, że ani zdrowa, ani chora nie sprawia bólu, co czyni szczególnie trudnym rozpoznawanie jej chorób, i zdumiewałam się kolorem i wielkością wątroby pijaka w porównaniu do normalnej.

Dowiedziałam się także, że pęcherzyk żółciowy, który w księgach dawnych mistrzów medycyny o sokach w ludzkim organizmie określany jest jako źródło żółtej i czarnej żółci, w żadnym wypadku nie może być tak traktowany, gdyż przypisywane mu soki produkowane są w wątrobie. Sam pęcherzyk jest miejscem, gdzie często gromadzą się kamienie, sprawiające dolegliwości. Kamienie te mają kolor brązowożółty i mogą dochodzić do wielkości orzecha laskowego.

Widziałam kontury śledziony, podziwiałam czerwono-brązowe nerki w kształcie ziaren fasoli i śledziłam ich przewody prowadzące do pęcherza moczowego, oglądałam trzustkę, żołądek i niezliczone meandry jelit.

Obserwowałam, jak doktor Tagliacozzi rozcina i rozczłonkuje krok po kroku przedramię, słyszałam, jak dokładnie objaśnia wszystkie, nawet najdrobniejsze czynności, jak zaczarowana śledziłam przez kilka dni tę samą procedurę w odniesieniu do nogi, a później otwieranie czaszki.

Argusowym okiem przypatrywałam się, gdy profesor Aranzio i doktor Tagliacozzi wspólnie otwierali zwłoki, aby się dowiedzieć, czy zmarły był ofiarą napadu, czy też go utopiono, i byłam bardzo dumna, kiedy samodzielnie wywnioskowałam, obserwując wodę wylewającą się z płuc, że mężczyzna zmarł w wyniku utonięcia.

Widziałam także, jak obaj uczeni otwierają nienaturalnie zabarwione ciało człowieka, co do którego przypuszczano, że został otruty, przyglądałam się, jak stopniowo dochodzą do żołądka i wycinają jego część. Oceniali resztki niestrawionych pokarmów, wachali je i dali do zjedzenia psu, specjalnie przyprowadzonemu w tym celu, gdyż sami nie stwierdzili niczego podejrzanego. Pies pożarł resztki, po

czym ułożył się znowu w kącie, gdzie do końca demonstracji drzemał sobie spokojnie. Ponieważ nie zaszkodził mu pokarm znajdujący się w żołądku, było to dowodem, że ofiary nie otruto. Przyczyną zgonu mężczyzny musiało być coś innego.

Podczas gdy obaj uczeni przeprowadzali dalsze badania, żeby odkryć prawdziwą przyczynę śmierci, dowiedziałam się, że podobny spektakularny eksperyment po raz pierwszy został przeprowadzony w roku 1302 przez bolońskiego medyka miejskiego Bartholomea da Varignanę na ciele mężczyzny nazwiskiem Azzolino, którego zwano „czarnym Azzolino”, bo jego zwłoki w ciągu kilku godzin zabarwiły się najpierw na oliwkowo, a potem na czarno, i usłyszałam, że w wypadku Azzolina rzeczywiście chodziło o otrucie.

To wszystko i jeszcze mnóstwo innych rzeczy oglądałam na własne oczy w ciągu wielu tygodni, a każdy szczegół był dla mnie niczym objawienie.

Po wykładach biegłam, szeleszcząc suknią, do domu, a przybywszy na Strada San Felice, za najpilniejsze uznawałam zapisanie tego, co usłyszałam i zobaczyłam w Archiginnasio. Robiłam to starannie i według opracowanej przez siebie metody: wszystko, co dotyczyło organów, opisywałam oddzielnie, podobnie wszystko, co wiązało się z ruchem, jak mięśnie, ścięgna i więzadła; następnie to, co łączyło się ze szkieletem, jak kości, kręgi i żebra; potem wiadomości dotyczące przepływu krwi, jak różne rodzaje żył i tak dalej, i tak dalej.

Byłam dumna ze swoich notatek i czytałam je tak często, że ich treść mogłam w końcu opowiedzieć przez sen. Pojęłam cud współdziałania ludzkich części ciała.

Z czasem utarło się, że planowałam swój dzień według wykładów w Archiginnasio, co miało ten skutek, że zdarzało mi się nawet zaniedbywać pracę u bogobojnych sióstr matki Floriency. Siostra Marta jednak była mi nadal życzliwa, broniła mnie i pomagała zatuszować moje małe zaniedbania.

Za każdym razem, kiedy kończyłam dyżur w klasztorным szpitalu, szybko przebierałam się w codzienne ubranie, wygładzałam suknie, wkładałam beret i mocowałam go na głowie za pomocą kościanej

szpilki. Chociaż bardzo się spieszyłam, robiłam to starannie, bowiem od dobrego przytwierdzenia beretu zależała szczelność mojej woalki, która zapewniała mi bezpieczeństwo.

Dzięki Bogu droga z klasztoru do uniwersytetu nie była długa: wyszedłszy z domu zakonnicy, mijałam najpierw wysoki budynek Santa Liberata ze zdobionym szczytem, a potem szybko przebywałam łączące się z nim arkady wiodące na północ. Nieustannie towarzyszył mi szept i pomruk kanału skręcającego przy Ponte di Santa Castiglione. Następnie przy Croce de Castiglio kierowałam się w lewo i po zaledwie kilku uderzeniach serca widziałam już imponujący Palazzo deli'Archiginnasio.

Przemierzyłam tę drogę chyba ze sto razy, kiedy pewnego dnia w jednej z bocznych uliczek odchodzących od arkad odkryłam na ścianie domu zatarty napis: *Corpus in perfectio natura*. Brzmiało to obiecująco, mniej obiecująco natomiast wyglądało wejście do tego domu. Drzwi przypomniały mi wiekowy wchód, przez który w ostatnich czasach tak często wkraczałam potajemnie do Archiginnasio. Jednak w przeciwieństwie do uniwersytetu był to zwykły dom, w którym oferowano dzieła „perfekcyjne jak sama natura”. Zapalałam ciekawością, zastukałam więc kołatką i czekałam. Najwyżej wyrzucą mnie za drzwi. .

Czekałam, ale nic się nie działo.

Zastukałam jeszcze raz - nic.

Zdecydowanie nacisnęłam klamkę i weszłam do korytarza, wąskiego i słabo oświetlonego. Po lewej i po prawej stronie nie było żadnych drzwi; po kilku krokach znalazłam się w pomieszczeniu, w którym stało kilka stołów zestawionych tak, że tworzyły literę „u”. Na pierwszy rzut oka nie rozpoznałam, co leży na stołach, zauważyłam tylko, że są to liczne małe przedmioty. Właśnie chciałam podejść bliżej, żeby je obejrzeć, kiedy rozchyliła się zasłona i pojawił się człowieczek z pomarszczoną twarzą. Wszystko w nim było małe: tułów, członki, głowa. Tylko błyszczące oczy sprawiały wrażenie dużych. Spoglądały na mnie przyjaźnie. Człowieczek odezwał się równie przyjaznym głosem:

- Czy pukaliście, *signorinal* Musicie wiedzieć, że mój słuch nie jest już najlepszy. Pewnie długo czekaliście, prawda?

- Tak - odezwałam się. - Wybaczcie, że zjawiłam się nieoczekiwanie, ale napisu na ścianie domu...

- ...prawie nikt nie zauważa. - Człowieczek zachichotał. - A jeszcze mniej ludzi potrafi go zrozumieć. Kto jednak go rozumie i trafia do mnie, interesuje się rzeczami tak doskonałymi jak sama natura. Mam rację, *signorina!*

- Tak, macie rację, *signore* - odrzekłam, zdziwiona przenikliwością mojego rozmówcy.

- A teraz na pewno zadajecie sobie pytanie, jakie to rzeczy, prawda?

- Tak, *signore*. Chyba umiecie czytać w myślach.

- Ja, czytać w myślach? Hi, hi, za wielki honor dla mnie! Po prostu uprawiam swoje rzemiosło już od przeszło czterdziestu lat; długi okres, w którym miałem dosyć czasu, żeby nauczyć się wiele o ludziach w ogóle, a jeszcze więcej o moich klientach. Wy jednak stanowicie wyjątek, bo jesteście kobietą.

- Co w tym niezwykłego?

- Proszę, najpierw usiądźcie. - Człowieczek przysunął mi krzesło. - To znowu typowe dla mnie. Plotę i plotę i zapominam o roli gospodarza. Czy mogę poczęstować was kieliszkiem wina? To wino z Friaul, tutejsze Lambrusco raczej mi nie smakuje.

Chciałam odmówić, ale ponieważ już siedziałam i nie chciałam być nieuprzejma, powiedziałam:

- Rzadko pijam wino, *signore*, pozostajmy przy połowie kieliszka.

- Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem. - Człowieczek zniknął, a ja miałam okazję rozejrzeć się po izbie. Nie była wcale niezwykła: niezbyt duża i niezbyt mała, nierówno bielona, z plamami wilgoci w rogach. Na ścianach i suficie nie było fresków, nie wisały tutaj obrazy; izba wyglądała raczej smętnie.

Jednak to wszystko wynagradzały rzeczy na stołach. Były to niezliczone maleńkie przedmioty życia codziennego, obiekty sztuki i kultury, każdy miniaturowy, a mimo to perfekcyjny. *Corpus in perfectio natura* - zaczęłam rozumieć, co miał oznaczać ten napis.

- A oto wino. - Człowieczek zbliżał się z kryształowym kieliszkiem zawierającym czerwony jak ogień płyn. - To z winnych gron z Udine, o wiele piękniejszych niż inne.

- Dziękuję, *signore*. - Z uprzejmości wypiliśmy łyk i pochwaliłam smak.

- Może zapytacie, *signorina*, dlaczego nie dotrzymam wam towarzystwa przy picciu, ale muszę wyznać, że nigdy nie piję przed wieczornymi dzwonami z San Petronio. Mimo to smacznego.

- Dziękuję. - Odstawiłam kieliszek na stół i chciałam już pytać człowieczka o jego tajemniczy towar, kiedy mnie ubiegł.

- Jestem wam winien jeszcze jedno wyjaśnienie, moja droga, a mianowicie dlaczego jesteście wyjątkiem wśród moich klientów. To proste: kobiety o waszym wyglądzie bardzo rzadko przekraczają mój próg. Po pierwsze, dlatego że mieszkam na uboczu, a po drugie, nie znają łaciny i dlatego nie rozumieją napisu na ścianie mojego domu. Jeśli mimo to znaleźliście do mnie drogę, musi to mieć jakąś szczególną przyczynę.

- Wybaczcie, ale chyba się mylicie. - Muszę przyznać, że w tym momencie człowieczek wydał mi się trochę niesamowity. Wiedział za wiele i za wiele chciał się dowiedzieć. Ale skoro już wtargnęłam do jego sklepu, nie mogłam po prostu wyjść. Postanowiłam powiedzieć mu prawdę. - Pracuję jako pomocnica pielęgniarek u sióstr w San Lorenzo, stąd moja znajomość łaciny.

- Ach tak, ach tak. - Człowieczek się rozpromienił. - To wiele wyjaśnia. Nie chciałbym być zbyt wścibski, *signorina*... eee... jak się nazywacie?

- Carla Maria Castagnolo.

- Czy wolno mi zwracać się do was *signorina* Carla?

- Ależ tak, *signore*, wszyscy mówią mi Carla.

- *Va bene*. Cóż, myślę, że uprzejmość wymaga, bym też się przedstawił. Alberto Dominelli, miłośnik i kolekcjoner wszystkich małych rzeczy. Wiecie, od jakiego przedmiotu zaczęło się moje zamiłowanie? Cóż, nigdy byście nie zgadli, więc sam wam powiem. Była to istota stworzona przez boską niezgłębioną naturę: krab pustelnik. Znalazłem go jako dziecko na plaży Adria niedaleko Rawenny. Był mały niczym mrówka i wybrał sobie na mieszkanie skorupę niewiele większego ślimaka. Obserwowałem go godzinami, poznałem miejsca, które woli od innych, przestudiowałem jego zachowanie. Kiedy moje spojrzenie wyostrzyło się tak, że zacząłem

spozstrzegać małe rzeczy, odkryłem na owej plaży więcej krabów pustelników, które obserwowałem i próbowałem karmić maleńkimi okruchami chleba. Bardzo mi przypadły do serca i chciałem zabrać je ze sobą do domu, na co mi naturalnie nie pozwolono. - Człowieczek zrobił gest rezygnacji i uśmiechnął się. - Od tej pory ograniczam się do martwych przedmiotów, które jednakowoż muszą być tak perfekcyjne, jakby stworzyła je sama natura.

Przysłuchiwałam się gospodarzowi z rosnącym zdziwieniem.

- A gdzie je znajdujecie? - zapytałam.

- Och, często wcale nie muszę ich szukać, ludzie sami przynoszą mi je, żebym je sprzedał. W ciągu wielu lat rozniosło się, że mój dom jest dobrym miejscem dla wszystkiego, co miniaturowe. Zaczynamy prezentację?

- Chętnie, *signore*.

- Ponieważ mówiliśmy o krabach pustelnikach, pokażę wam kilka eksponatów, które na pewno spodobałyby się moim dawnym przyjaciółom w skorupkach. Popatrzcie, proszę.

Człowieczek wskazał na sanki z rodzaju tych, których używa się na śniegu w Apeninach, z tą różnicą, że sanki były mniejsze niż paznokieć mojego małego palca. A mimo to można było wyraźnie rozpoznać każdy szczegół. Całość wyglądała tak ładnie i tak bardzo mi się podobała, że nie mogłam oderwać od nich oczu. Gospodarz tymczasem pokazywał już następny przedmiot.

- Ten czarny powóz jest równie mały. Jest to powóz paradny, jakimi jeżdżą osoby wysoko postawione, często również najważniejsza osoba w naszym mieście, nasz szacowny gonfalonier. A to jest wóz drabiniasty do zwożenia siana, niewiele większy niż nasionko trawy, z której potem mamy siano. Albo to: rydwan, jakiego prawdopodobnie używał Juliusz Cezar podczas swojego tryumfalnego marszu na Kapitol w Rzymie.

Byłam zachwycona. - Potraficie opowiedzieć historię o każdym z eksponatów. Człowieczek zachichotał.

- Tak, tak właśnie. Z doświadczenia wiem, że każda rzecz jest o wiele ciekawsza z historią niż bez niej.

- Chyba macie rację, *signore*. Ale dla kogo albo do czego nadają się te maleńkie pojazdy, jeśli nie dla krabów pustelników?

Człowieczek zachichotał znowu i oświadczył radośnie:

- Dla pcheł, signorina.

- Pcheł? Na litość boską!

- Dobrze słyszeliście. Wszystkie te pojazdy należą do cyrku pcheł. Insekty zaprzęga się do tych wozów, by je ciągnęły. Zaprawdę ucieszny widok! Ale pozwólcie mi mówić dalej. Z waszej reakcji poznaję, że jeszcze nie znaleźliśmy właściwego obiektu. Mogę poprosić was do tego stołu? Proszę, weźcie do ręki lupę, żebyście mogli lepiej widzieć. Wiecie, co to jest?

- No cóż, *signore*, myślę, że to mała broszka.

- Słusznie, ale jaka! Przyjrzyjcie się dokładnie. Będziecie wtedy mogli rozpoznać motyw wyrzeźbiony w kości słoniowej, a pochodzący z Pisma Świętego: nakarmienie pięciu tysięcy. Albo inne broszki z innymi motywami: wesele w Kanie, adoracja złotego cielca, Ostatnia Wieczerza, miłosierny Samarytanin.

Oglądałam każdy przedmiot pod lupą i nie mogłam się napatrzeć na te z największą precyzją wyrzeźbione dzieła. Usiłowałam wyrazić podziw, ale człowieczek mówił już dalej:

- Jak się wam podoba ta pestka brzoskwini? Wryto na niej siedem grzechów głównych. Widzicie tu nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, a kiedy będziecie obracać pestkę, zauważycie kolejno nieczystość, chciwość, gniew, zazdrość, pychę i jako siódmy grzech główny *acedia*, czyli lenistwo.

Milczałam, bo zabrakło mi słów.

- Poczekajcie, moja droga, będą jeszcze mniejsze rzeczy. Przejdźmy od grzechów do cnót. Jedną z najpiękniejszych jest cierpliwość, *patientia*. Przyjrzyjcie się tej wymagającej cierpliwości grze z kabalistycznymi znakami, mieści się ona w wydrążonym ziarnku pieprzu. Jeśli wykażecie się dostateczną zręcznością, odsłoni się przed wami ukryte przysłowie. Brzmi ono: „Czym kwiaty dla ogrodu, tym przyprawy dla potraw”. Czy mogę zwrócić teraz waszą uwagę na tę cudowną chińską wydrążoną kulę? Zwie się ona „piłka-w-piłce-w--piłce-w-piłce”. Składa się z jednego jedyne kawałka zęba morsa i stanowi całość bez nijakich połączeń.

Wzięłam do ręki „cudowną kulę” i obejrzałam dokładnie ze wszystkich stron, chociaż muszę przyznać, że z powodu natłoku wrażeń

moje zainteresowanie zaczęło powoli słabnąć. Jednak tylko na chwilę, ponieważ gospodarz podniósł głos i zadał pytanie, które mnie zaintrygowało:

- Czy kiedyś lubiliście bawić się lalkami, *signorina* Carla?

- Tak, *signore*, bardzo lubiłam.

- *Formidabile*, w takim razie ta tutaj powinna się wam podobać. - Wskazał na filigranową figurkę kobiety, nie większą niż mój mały palec. - To jest lalka anatomiczna.

- Anatomiczna? - To, co mnie dotąd interesowało, zbladło wobec tego, co widziałam teraz. Lalkę zrobiono z woskowanego drewna, delikatny rysunek słojów oplatał jej ciało niczym żyły. Jej proporcje wyglądały tak prawdziwie, tak doskonale, tak naturalnie, jakby miała lada chwila wstać i przemówić.

- Weźcie ją do ręki. Zobaczycie, że kryje mnóstwo niespodzianek. Zrobiłam, jak mi radził, i bardzo ostrożnie zbadalam małą figurkę.

Krzyknęłam z zachwytem, kiedy odkryłam, że małe ręce można zdjąć, podobnie jak nogi i ładną główkę z jasnymi lnianymi włosami. Powierzchnia piersi i brzucha stanowiła pokrywkę, po której zdjęciu ukazały się miniaturowe organy: serce, płuca, wątroba, nerki, śledziona, żołądek, wszystko na swoim miejscu, nawet zawiłe meandry jelita.

- Lalka anatomiczna - powtarzałam z nabożeństwem i brzmiało to tak, jakbym odmawiała modlitwę. - Koniecznie muszę ją mieć.

Alberto Dominelli uśmiechnął się z zadowoleniem.

- A więc ta mała laleczka, będąca najdoskonalszym uosobieniem mojego motta: *corpus in perfectio natura*, przyniosła mi w końcu sukces. Jesteście interesującą, ale również trudną do oceny klientką, jeśli mi wolno tak rzec, bowiem kryjecie twarz pod woalką.

- Och, to prawda. - Zrozumiałam niezadane pytanie i szybko powiedziałam coś, co sobie przygotowałam na taki wypadek: -Siostry z San Lorenzo znajdują spełnienie w bogobojnym, czystym życiu, *signore*. Zakładanie woalki ma być symbolem wyrzeczenia się próżności.

- Naturalnie, naturalnie - odrzekł człowieczek pospiesznie. - Jak sądzę, chcielibyście zabrać tę lalkę od razu?

- Bardzo chętnie. Ile kosztuje?
- Trzy i pół *scudi*.
- Trzy i pół *scudi!!* Nie mam tyle.

W moich słowach musiało zabrzmieć bezgraniczne rozczarowanie, bowiem gospodarz po krótkim namyśle zapytał:

- A na ile was stać?

Poszperałam w kieszeni symary i wyjęłam skórzaną sakiewkę. Znajdowała się w niej zapłata za zeszły miesiąc, którą matka Florienca osobiście wyplaciła mi rano.

- Mam tylko dwa *scudi* i dziesięć *baiocchi*, nie więcej.

- No cóż, no cóż, to prawie wystarczy. Z drugiej strony jednakowoż musicie zważyć, że figurka kosztowała artystę rzeźbiarza wiele, wiele godzin pracy. Same maleńkie narzędzia, których użyto do jej zrobienia, są tak kosztowne, że mógłbym je tutaj wystawić. Hm, hm... Ach, wiecie co? Sprzedam wam tę lalkę. Nie jestem wprawdzie krezusem, ale nie chcę być także skąpcem.

Niewiele brakowało, a rzuciłabym się małemu człowieczkowi na szyję. Powstrzymała mnie jedynie myśl, że dwa *scudi* i dziesięć *baiocchi* stanowiły cały mój majątek.

- Dziękuję wam, *signore*, bardzo dziękuję!

- Cieszy mnie wasza radość. - Podał mi lalkę i w wielu uprzejmych słowach życzył miłego dnia.

Och, jak bardzo spieszyłam się do domu z moim nowo nabytym skarbem.

Nie wiem, jak często od tej pory rozbierałam anatomiczną laleczkę na części i znowu ją składałam, wiem tylko, że robiłam tak, póki nie zapamiętałam dokładnego rozmieszczenia organów. Nazwałam laleczkę Ewą, po pramatce wszystkich kobiet. Ewa nauczyła mnie dokonywać autopsji ciała człowieka w sposób bliski rzeczywistej sekcji. Nie przeszkadzało mi bynajmniej, że nie była męskiego rodzaju jak prawie wszystkie ciała leżące na stole do sekcji w Scuola d'Aranzio, gdyż dzięki wykładom wiedziałam już, że organy mężczyzny i kobiety są w zasadzie takie same, z wyjątkiem zewnętrznych i wewnętrznych narządów płciowych.

To, czego nauczyłam się dzięki Ewie, porównywałam wciąż na nowo z tym, co pokazywali podczas swoich demonstracji profesor Aranzio i doktor Tagliacozzi, a z kolei to, czego dowiedziałam się podczas wykładów, sprawdzałam na Ewie. Wiele wiadomości, które usłyszałam na strychu, zgadzało się z moimi obserwacjami na lalce, ale niektóre nie, więc za każdym razem zadawałam sobie pytanie, gdzie należy szukać przyczyny różnic.

Ponieważ nie mogłam zapytać o to ani profesora, ani doktora, ani też Ewy, zaczęłam czytać dzieła medyczne. W zdobywaniu ich pomogła mi znowu siostra Marta, która wstawiała się też za mną u matki Floriency. Miałam więc dostęp do wszystkich ksiąg klasztornych, wypożyczałam dzieła wielu dawnych mistrzów medycyny i czytałam je. Zajmując się tymi księgami, zagłębiałam się coraz bardziej w tajniki medycyny. Czytałam *Kanon* Avicenny, arabskiego medyka, znanego również pod imieniem Ibn Sina, wczytywałam się w *Aforyzmy* Hipokratesa, po czym zajmowałam się intensywnie jego przysięgą, studiowałam z wielkim zainteresowaniem wszystko, czego mogłam się dowiedzieć o Galenie: dzieła *Ars Medica*, *Decrisibus*, *De Febrium Dijferentiis*, *De Ingenio Sanitatis*, oprócz tego dzieło Vesaliusa *Fabrica*.

Czytałam gorączkowo, nie spałam aż do świtu, po zaledwie kilku godzinach snu wlokłam się zmęczona do pobożnych sióstr i niestety w czasie pracy zbyt często byłam już w myślach na moim posterunku obserwacyjnym na strychu Scuola d'Aranzio.

Jednak mimo wysiłków nie udawało mi się wyjaśnić niektórych sprzeczności w wiedzy medycznej. Dużo później miałam się dowiedzieć, że pragnienie idealnej wiedzy jest niemożliwe do zaspokojenia i że badania naukowe mają rację bym dopóty, dopóki padają pytania. Pytania jednak będą istniały zawsze, gdyż wszystkowiedzący jest tylko Bóg.

W tym okresie - był sierpień roku 1573 - wpadła mi w ręce księga, która właśnie wyszła z drukarni bolońskiego drukarza Giovanniego Rossiego. Było to na nowo opracowane dzieło, stworzone w roku 1502 przez dominikanina Silvestra Mazoliniego da Priero i noszące groźny tytuł: *Aureus tractatus exorcismique pulcherrimi et ejficaces in malignos spiritus effugandos de obsessis corporibus*.

W traktacie tym chodziło o „piękne i skuteczne egzorcyzmy przeciwko złym duchom, aby je wypędzić z ciał opętanych”, a autorem nowego opracowania był sam Girolamo Menghi, polujący na czarownice, przed którym ostrzegała mnie matka na łożu śmierci.

Lektura tego podżegającego do nienawiści traktatu nie przyczyniła się bynajmniej do wzrostu mojej pewności siebie, wręcz przeciwnie - im bardziej zagłębiałam się w zawikłany i nielogiczny sposób rozumowania Girolama Menghiego, tym większa była moja obawa, że *voglia di vino* na mojej twarzy mogłoby być uznane za znamię czarownicy, a wówczas zawleczono by mnie przed trybunał inkwizycji.

Lektura ta przyprawiała mnie o bezsenność przez wiele nocy i skłoniła do zanoszenia licznych modlitw, zanim odzyskałam względną pewność siebie. Marco, który w tym czasie kilka razy mnie odwiedzał, pomógł mi otrząsnąć się z lęku. Uśmiechnął się swoim zwykłym uśmieszkiem i powiedział:

- Carlo, Carlo, można by pomyśleć, że żyjesz w dawnych wiekach. Nie dowiedziałaś się jeszcze, że żyjemy w wieku osób wykształconych, wieku *humanistae*?

- Co to znaczy? - zapytałam, wciąż jeszcze niespokojna.

- *Humanistae* nazywamy profesorów i doktorów zasiadających na katedrach, takich jak profesor Aranzio czy doktor Tagliacozzi. Uważają oni, że człowieka od zwierzęcia odróżnia umiejętność mowy i że mowa właśnie była początkiem człowieczeństwa. Kultywowanie języka czyni nas tym, czym jesteśmy, wynosi nas nad inne organizmy i daje nam zdolność filozofowania. Język czyni nas indywidualnościami i daje nam możliwość krytycznego rozpatrywania chrześcijańskich dogmatów, na przykład nieomyłności inkwizycji. Inkwizycja jest instytucją barbarzyńską i nie pasuje do naszych czasów; uznaje to coraz więcej wykształconych ludzi w naszym kraju.

Słuchałam Marca uważnie. To, co mówił, brzmiało tak, jakby wyuczył się tego na pamięć, a nie jakby to były jego własne przemyślenia. Jednak próbował mnie uspokoić, chociaż wcale nie byłam pewna, czy Girolamo Menghi liczy się choćby odrobinę z opinią *humanistae*.

- Chciałabym, żebyś miał rację - powiedziałam.

- Bez wątpienia mam rację. Aranzio, Tagliacozzi, Aldrovandi, Cardano, Benacci, Turchi, Garzoni i wszyscy inni wykładowcy opowiadają się za człowieczeństwem. Są oczywiście wierzący jak wszyscy dobrzy katolicy, ale jednocześnie otwarci na to, co nowe.

- Oni tak twierdzą, czy to tylko twoje zdanie? - zapytałam nieufnie, ponieważ podczas słuchanych potajemnie wykładów nigdy nie usłyszałam takich słów od profesora Aranzia czy doktora Tag-liacozziego.

- Tak właśnie twierdzą. - Marco poczuł się nieco dotknięty z powodu mojej nieufności. - Wszelako nie rozpowiadają tego oficjalnie, lecz raczej w czasie wykładów odbywających się w ich prywatnych domach. Wierz mi, język jest istotą rzeczy dla każdego wykształconego człowieka, również i zwłaszcza dla studentów medycyny. Sprawność dyskusowania i argumentacji, a do tego umiejętność cytowania takich autorytetów jak Arystoteles, są znaczną częścią mojego wykształcenia. Tak mówi doktor Tagliacozzi.

To, co powiedział Marco, trochę mnie uspokoiło i zwróciło moje myśli w innym kierunku.

- Kim jest Tagliacozzi? - zapytałam i wydałam się sobie fałszywa, bo dziesiątki razy podziwiałam jego zręczność na sali wykładowej.

- Tagliacozzi jest doktorem medycyny. Jest jeszcze młody, ma około dwudziestu ośmiu lat, ale jest bardzo zdolny. Właśnie pracuje nad zdobyciem stopnia naukowego z filozofii, aby zostać doktorem obydwu nauk i dostać się do prześwieznego kolegium uniwersytetu. Dlaczego pytasz?

- Ach - powiedziałam lekko - nigdy wcześniej nie wspominałeś jego imienia. I choć była to prawda, wiedziałam, że za moim pytaniem kryje się coś więcej.

Wkrótce wróciłam do „moich wykładów”, jak je nazywałam, już choćby po to, żeby nie myśleć o inkwizycji. Wywody profesorów dalej wzbudzały moje zainteresowanie. Bez tchu obserwowałam sekcje i demonstracje. Mimo to na niektóre pytania nie otrzymywałam odpowiedzi. Dezorientowały mnie rozbieżności między tym, co ukazywała mi Ewa, moja laleczka anatomiczna, a tym, co mówili

profesor Aranzio i doktor Tagliacozzi. Zauważałam również inne sprzeczności, które próbowałam omawiać z Markiem, kiedy do mnie przychodził.

- Dowiedziałam się z książek - zagadnęłam go kiedyś - że mechaniczny napęd życiowy to siła mięśnia sercowego, w innym miejscu czytałam natomiast, że wątroba uważana jest za główne źródło życia i porównywana ze słońcem jako punktem wyjścia do stworzenia świata. Podobno sam Arystoteles tak twierdził. Jak można powołać filozofa, który myli się przy czymś tak ważnym jak serce?

Innym razem powiedziałam:

- Wciąż czytam w księgach, że Hipokrates jest uważany za twórcę teorii czterech soków. Całą materię można zgodnie z nią podzielić ze względu na właściwości: ciepło, zimno, mokro i sucho. Z drugiej strony istnieją wywody, że najważniejszym sokiem życia jest krew, ważniejszym niż trzy inne soki, bowiem bez krwi nie płynąłby żaden sok. Czy to oznacza, że Hipokrates przynajmniej częściowo się mylił?

- Jak ty dużo wiesz! - zdumiał się Marco - Przeczytałaś chyba mnóstwo książek. Moje uznanie.

- Dziękuję, ale zajmijmy się tematem ropy. Jeśli jest to zbędny i szkodliwy dla zdrowia balast, to jak można określać go jako „dobry” przy rekonstrukcji nosa? Czyżby były dwa rodzaje ropy? A jeśli tak, to czym się różnią? Po czym można poznać, o który rodzaj chodzi?

- Gdzie ty czytałaś o dobrej ropie?

- Nie czytałam, słyszałam. Conor, ten żebrak, o którym ci wspominałam, opisywał mi swoją operację i w związku z nią powiedział, że profesor Aranzio mówił o dobrej ropie po oddzieleniu płata skóry.

- Tak, tak, to możliwe. - Marco podrapał się w głowę. - Niestety nie mogę się wypowiadać na ten temat. Wiesz co? Czasem mi się wydaje, że to ty zamiast mnie bierzesz udział w wykładach w Scuola d'Aranzio.

- Nie żartuj - obruszyłam się i z trudem przybrałam obojętny wyraz twarzy.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że teoria humoralna kryje w sobie również rzeczy niezrozumiałe. Ale to już sama zauważyłaś. Może więc ropa nie jest zbędnym i szkodliwym balastem, lecz tylko ropą, niczym więcej.

- Ale czy jest dobra, czy zła?

- Nie wiem. - Marco wzruszył ramionami. - Może czasem się zmienia, raz jest dobra, a raz zła, w zależności od choroby.

- Sądzisz, że choroba określa charakter wydzielin? To możliwe, ponieważ organy reagują rozmaicie na dolegliwości cielesne.

- Tak, masz chyba rację. - Marco przyjrzał mi się znowu z mieszaniną podziwu i nieufności. - Nie mogę sobie wyobrazić, że to wszystko wyczytałaś z książek.

- Nie wierzysz mi? - Udałam obrażoną, ale nie mogłam przecież opowiedzieć Marcowi o moich wycieczkach na strych Archiginnasio. Już choćby dlatego, że mógłby się kiedyś wygadać i niechcący zdradzić moją tajemnicę.

- Wierzę ci, naprawdę. - Marco się uśmiechnął. - Kiedy spoglądasz na mnie taka obrażona, nic innego mi przecież nie pozostaje. Ale może ułagodzi cię moja obietnica, że przy najbliższej okazji zapytam profesora Aranzia o dobrą i złą ropę. Ach, właśnie mi się przypomniało, że być może będzie to już jutro, bo profesor i doktor chcą właśnie jutro zaprezentować w Scuola d'Aranzio pacjenta, któremu przeprowadzają rekonstrukcję nosa. Ma to być prezentacja aktu czwartego i piątego.

- Rekonstrukcja nosa? - wyrwało mi się. - Muszę to zobaczyć! Marco przyjrzał mi się ciekawie.

- Wiesz przecież, że nie możesz tam pójść.

- Oczywiście - powiedziałam szybko - wiem.

- To dobrze.

Następnego dnia podczas wszystkich swoich zajęć myślałam o rychłej rekonstrukcji nosa. Tak mnie to rozpraszało, że siostra Marta poczuła się zmuszona wziąć mnie w końcu na rozmowę.

- Posłuchaj, Carlo - powiedziała - wiesz, że cię lubię, ale jeśli nie zmienisz swojego postępowania, będę musiała powiedzieć o tym matce przełożonej.

- Przecież pomyliłam tylko dwa albo trzy lekarstwa - próbowałam ją ułagodzić.

- Pomyliłaś lekarstwo wzmacniające serce ze środkiem przeczyszczającym i zamiast maści pobudzającej krążenie krwi użyłaś balsamu

na rany. - Marta pokręciła głową. - Carlo, mówię poważnie. Jeśli nie potrafisz się skoncentrować, nie ma dla ciebie miejsca w szpitalu. Zastanów się tylko, jak niebezpieczne może być podanie pacjentowi niewłaściwego lekarstwa. Nie, nie, jeśli się nie poprawisz, będziesz musiała się stawić u przeoryszy.

- Tak, siostró Marto - powiedziała cicho. - Ma siostra rację.

- Powiedz, co się z tobą dzieje? W ostatnich miesiącach jesteś taka nieobecna. Jeśli masz jakieś kłopoty, powiedz mi. Umiem słuchać.

Milczałam.

- Bóg też umie słuchać. Może powinnaś zwierzyć się Jemu.

- Dobrze, siostró. Obiecuję, że to już się nie powtórzy.

- To najważniejsze. - Marta poklepała mnie krzepiąco po ramieniu i odeszła.

Wczesnym popołudniem zakończyłam dyżur, znacznie później, niż miałam nadzieję, bo do szpitala przywieziono dwa nagłe wypadki. Najchętniej wyszłabym o zwykłej porze, ale po upomnieniu siostry Marty nie mogłam sobie na to pozwolić.

Spieszyłam się bardzo, zdejmując strój roboczy i wkładając zwykłe ubranie. Szybko zapięłam haftki i zawiązałam delikatne sznurki mojej sukni Nibelungów, narzuciłam symarę i na koniec włożyłam beret, pospiesznie mocując go kościaną szpilką. Wybiegłam z klasztoru i pomknęłam przez miasto, by w końcu dotrzeć do Viuzza da Ginnasio, która dzięki Bogu jak zwykle była pusta. Wspinając się z wprawą po ciemku na swoje stanowisko obserwacyjne, zapytywałam siebie z lękiem, jak wiele straciłam z zapowiadanej demonstracji.

Obraz, który ujrzałam, nie dał mi odpowiedzi na to pytanie, jednak zobaczyłam mężczyznę może trzydziestopięcioletniego, który siedział pośrodku sali na krześle. Miał na sobie kamizelkę, jaką widziałam u Conora, był mocno zabandażowany i trzymał zgiętą rękę nad głową. Na miejscu, gdzie zwykle stał marmurowy stół do sekcji, tłoczyli się teraz studenci i wpatrywali się ciekawie w mężczyznę. Żał mi go było, bo nie tylko od dawna musiał cierpieć silne bóle, ale czuł się pewnie jak zwierzę wystawione na pokaz.

Za jego krzesłem stało dwóch studentów, z których jednym był Marco. Obok niego znajdował się stolik, na którym leżał szereg

błyszczących instrumentów. Wywnioskowałam z tego, że Marco i jego kolega mają asystować przy zabiegu. Rozpoznałam profesora Aranzia, trzymającego się nieco z boku i najwidoczniej niechętnego ingerować w zabieg, oraz młodego doktora Tagliacozziego. Tego dnia miał na sobie czarny, układany w głębokie fałdy kaftan podkreślający jego szczupłą talię, plisowaną białą kryzę zgodnie z hiszpańską modą i dopasowane nogawice. Poczułam miły dreszcz, kiedy usłyszałam jego wyraźny, mocny głos:

- ...to tyle o pierwszych trzech aktach spośród siedmiu, na które dzielimy zabiegi przy rekonstrukcji nosa, drodzy *studiosi*. Przejdźmy teraz do aktu czwartego, który ma być przedmiotem dzisiejszej demonstracji.

Tagliacozzi zrobił krótką przerwę; łysy prosektoz włożył mu lniany fartuch.

- Podzielcie się na dwie grupy z lewej i prawej strony naszego chorego, drodzy *studiosi*, żeby każdy z was dobrze widział... Tak, znakomicie. Zanim rozpocznę właściwą operację, chciałbym wspomnieć, że aktu czwartego zwykle dokonuje się przed południem przy jasnym blasku dnia, kiedy pacjent jest wypoczęty i najedzony. Przed operacją podaje się lekkie potrawy, na przykład ryż i gotowany drób, które nie pozostawiają wiele balastu w jelitach.

Przy słowie „jelita” dwóch albo trzech studentów zachichotało głupawo. Tagliacozzi spojrzał w ich kierunku i zmarszczył brwi, po czym podjął wywód: - Jelita chorego powinny pracować każdego dnia, a w razie potrzeby należy je łagodnie do tego skłonić. Nocne powietrze jest przy tej operacji równie szkodliwe jak deszczowa pogoda albo wiatr z południa. Pacjent nie powinien zbyt długo spać, bowiem za wiele snu napełnia głowę wilgocią. - Tagliacozzi zrobił przerwę i rozejrzał się pytająco po studentach. - Czy ktoś wie, dlaczego wilgoć jest tak szkodliwa w naszym wypadku? - Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, udzielił jej sam: - Gojenie rany przedłuża się wskutek nadmiernego dopływu wilgoci do tej partii skóry i wilgoć drażni płaty, które mają się zrosnąć.

Kilku studentów mruknęło potwierdzająco.

- Dlatego też przy operacji niemałą rolę odgrywa pora roku. Za najlepszą uznawana jest wiosna, gdyż jest ciepła, łagodna i sucha.

Pogląd ten dzielił również Celsus, który w siódmej księdze swojego dzieła *De medicina* obszernie opisuje zalety wiosny przy gojeniu się ran.

- Słusznie - wtrącił profesor Aranzio. - Widzicie, drodzy *studiosi*, dzisiaj przy dokonywaniu aktu czwartego rekonstrukcji nosa nie dopełniliśmy aż trzech warunków: nie ma dziennego światła, nie jest to przedpołudnie i nie mamy wiosny. Mimo to dla doktora Tagliacozziego i dla mnie było ważne, żeby właśnie dziś pokazać wam ten etap operacji. Doktor Tagliacozzi przeprowadzi demonstrację z niezwykłą precyzją, jaka go cechuje, i na pewno zrobi to skutecznie.

- Dziękuję, *professore* - rzekł młody doktor. - W takim razie zacznym. Najpierw jednak chciałbym poprosić o więcej światła.

Jeden ze studentów ustawił kilka pochodni blisko chorego.

- Dziękuję. Zaczynamy akt czwarty. Marco, proszę najmniejszy skalpel ze stołu. - Doktor wziął narzędzie, podszedł do chorego i powiedział: - Nasz pacjent nazywa się Messer Giancarlo de'Bonfigli i jest kupcem jedwabiu z gminy San Mamolo. Przepraszam was, *signore*, że dopiero teraz podałem wasze imię, ale w czasie całej procedury chciałbym wam się jak najmniej naprzykrzać. Powiem tylko tyle: czas, gdy byliście więźniem tej procedury, zaraz dobiegnie końca. Przetnę płat skóry łączący wasze ramię z nosem. Nie powinniście poczuć żadnego bólu, chociaż w skrawku skóry jest jeszcze życie.

De'Bonfigli zamknął oczy na znak, że zrozumiał. Doktor Tagliacozzi, ze skalpelem w ręce, zwrócił się znowu do studentów:

- Słyszeliście, drodzy *studiosi*, co powiedziałem do pacjenta. Odetnę kawałek skóry dłuższy o półtora cala od długości nowego nosa. W ten sposób uzyskam dosyć skóry, by później uformować dziurki w nosie. Uważajcie teraz pilnie, co będę robił.

Potem wszystko poszło bardzo szybko. Doktor Tagliacozzi przyłożył skalpel i naciął skórę przy samym ramieniu. Rozłączył w ten sposób ramię i nos.

- To wszystko, drodzy *studiosi*. Proszę zdjąć bandaż.

Teraz nadszedł czas Marca i jego kolegi. Rozciąli płótna i paski dające oparcie ciału pacjenta, choć nie szło im to zbyt sprawnie. Najwidoczniej brakowało im zręczności, jaką zdobywa się, pracując codziennie w szpitalu.

Kiedy de'Bonfigli mógł po prawie dwudziestu dniach opuścić rękę, z ust wydobyło mu się westchnienie ulgi.

- *Grazie a Dio* - powiedział ochryplym głosem i chciał obmacać płat skóry na twarzy, ale doktor mu w tym przeszkodził.

- Proszę tego nie robić, *signore*, nie traćmy czasu. Im szybciej nastąpi akt czwarty, tym łatwiej będziecie się mogli normalnie poruszać.

Messer de'Bonfigli skinął posłusznie głową, a doktor Tagliacozzi kazał Marcowi podać sobie narzędzie, które wyglądało jak mały pilnik.

- Mam tu narzędzie działające podobnie jak tarka, której gospodynie używają do tarcia owoców - wyjaśnił. - Posłuży ono do odświeżenia płata skóry od spodu. Chodzi o to, by uczynić go szorstkim. To samo zrobię z kikutem nosa, który później, z wykorzystaniem odstającego płata skóry uformuję w zgrabny nos. Messer de'Bonfigli stracił jego koniec w czasie pojedynku, miał jednakże tyle szczęścia, że kość nosowa, *os nasale*, nie została uszkodzona. Czy ktoś może mi opowiedzieć o tej kości? - Tagliacozzi rozejrzał się wokoło.

Zgłosił się jeden z młodszych studentów.

- Jest to jedna z parzystych kości twarzoczaszki, *dottore* - powiedział.

- - Doskonale. Może wiesz o tym coś więcej, Luca? Student zastanowił się i odrzekł:

- *Os nasale* jest częścią grzbietu nosa, a tym samym górnej ściany jamy nosowej.

Doktor Tagliacozzi skinął głową z zadowoleniem. Przez ten czas zręcznie odświeżył płat skóry od spodu oraz kikut nosa; wydawało się, że pacjent nie cierpi zbytnio z tego powodu.

- Przejdziemy teraz do aktu piątego. Odstający kawałek skóry przycisnę do górnej wargi i przyszyję go do niej, żeby później można było z niego zrobić dziurki w nosie i *septum*. Co to jest *septum*?

- Przegroda nosowa, *dottore* - zawołał Luca.

- Dobrze, w tym wypadku *septum nasi*, ale życzylibym sobie, żeby odpowiadali także inni. - Doktor Tagliacozzi nie poczekał na reakcję swoich studentów, lecz poprosił o igłę i nitkę i zaczął realizować to, co zapowiedział, objaśniając niektóre czynności. Jako krawcowa oceniłam, że robi to szybko i zręcznie. Najwidoczniej wykonywał tę pracę nie po raz pierwszy. - Czy to boli, *signore*?

- Nie, prawie wcale - odrzekł Messer de'Bonfigli niewyraźnie, bo zabroniono mu poruszać górną i dolną szczęką. - Ta kamizelka o wiele bardziej mi dokuczała.

- Kamizelka? - rzucił doktor Tagliacozzi nieuważnie, bo musiał się koncentrować na swoim zajęciu.

- To było takie niewygodne, *dottore*. Prawie nie mogłem się ruszać, cisnęła mnie i wpijała mi się w ciało, no i nie leżała dobrze.

- Tak, tak, te kamizelki sprawiają nam czasem kłopoty. - Doktor Tagliacozzi nie chciał zbytnio zagłębiać się w tę sprawę; starannie zawiązał każdy ze szwów, po czym wyprostował się. - Teraz nastąpi ostatni krok aktu piątego. Za pomocą bandaży ułatwię zrośnięcie się ostatniego kawałka skóry. Zanurzymy najpierw opatrunek w białku jajka, wodzie różanej, żywicy palmowej i glince z wyspy Lemnos. Po wygojeniu się nastąpi akt szósty. Przewidziane jest *insitio columnae*, czyli przytwierdzenie *septum*, zwanego również przegrodą nosową. Potem będzie miało miejsce powolne, stopniowe poprawianie kształtu nosa przez nakładanie szablonów, zwanych *tectoria*; równocześnie do nosa wprowadza się rurki, zwane *tubuli*, z ołowiu, srebra albo złota. Nie chcę jednak uprzedzać faktów, drodzy *studiosi*. Omówię z profesorem Aranzem, kiedy nastąpi akt szósty, i na czas was o tym zawiadomię. W każdym razie akt szósty i końcowy siódmy odbędą się również tutaj, bowiem Messer de'Bonfigli uprzejmie wyraził na to zgodę.

Do tej chwili ledwo ważyłam się oddychać, tak bardzo pochłaniało mnie to, co działo się pode mną, teraz zaś, kiedy doktor Tagliacozzi zapowiedział koniec wykładu, poczułam lekkie rozczarowanie. Mogłabym godzinami wsłuchiwać się w jego dźwięczny głos i przyglądać jego zręcznym ręką. Nagle zauważyłam, że beret zaczyna zsuwać mi się z głowy i grozi upadkiem.

Chwyciłam go, bowiem na moim tajnym posterunku nie chciałam za żadne skarby świata wydać nawet najcichszego dźwięku. Ostrożnie poprawiłam beret i sądziłam, że sprawa została załatwiona, myliłam się jednak bardzo.

W ciszy rozległ się wyraźny dźwięk.

To spadła moja kościana szpilka. Leżała teraz na jednej z belek stropowych.

Sięgnęłam po nią szybko, zbyt szybko, bowiem wyśliznęła mi się z palców i spadła przez szczelinę w stropie prosto do sali Scuola d'Aranzio.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy wysyłałam strzeliste modły do niebios i prosiłam, żeby nikt nie zauważył skutków mojej niezręczności. Jednak los mi nie sprzyjał - ktoś zauważył. Był to Marco. Szpilka leżała u jego stóp; schylił się, by ją podnieść.

- Co tam macie, panie studencie? - zapytał doktor Tagliacozzi. On też zauważył to zdarzenie i podobnie jak Marco patrzył teraz na sufit, dokładnie w moim kierunku.

Cofnęłam się z lękiem. A jednak musiałam jeszcze raz spojrzeć w dół.

- Ach - powiedział Marco lekko - to tylko szpilka do kapelusza. To nic takiego.

- Szpilka do kapelusza?

- Tak właśnie, *dottore*. Wypadła mi... eee... z kieszeni.

- To dlaczego patrzyliście na sufit? - Doktor Tagliacozzi zmarszczył czoło i, spoglądając w górę, powiedział: - Szpilka mogła spaść również z wyższego miejsca, niekoniecznie z waszej kieszeni, mój drogi Marco, w takim razie musiałyby jednakowoż...

- O czym panowie mówią, panie kolego? - Profesor Aranzio zbliżył się do nich, otoczony przez kilku studentów.

- Nagle pojawił się tutaj ten przedmiot - doktor Tagliacozzi wyjął Marcowi szpilkę z ręki - który niewątpliwie jest damską szpilką do kapelusza. Ponieważ przedtem go nie było, zgadujemy, Marco Carducci i ja, skąd się mógł wziąć, prawda, Marco?

- Tak jest, *dottore*. - Marco się zaczerwienił.

- Miałem właśnie wyrazić przypuszczenie, że szpilka mogła spaść z sufitu, ale w takim razie musiałby być w nim jakiś otwór.

- Tam! - krzyknął niespodziewanie jeden ze studentów. - Widzę tam szparę! - Wskazał dokładnie w moim kierunku.

Wszyscy spoglądali teraz w górę, ku mnie. Wprawdzie nie mogli mnie zobaczyć, ale byli coraz pewniejsi, że szpilka spadła na nich z góry. Zaczęli mówić wszyscy naraz.

- Założę się, że na górze ukrywa się jakaś kobieta! - zawołał Luca wśród powszechnego gwaru.

- Jakże to?

- Niemożliwe!
- Sprawdźmy więc!
- Ach, skądże znowu!
- Dobrze, sprawdźmy!

Zastygłam z przerażenia. Zdarzyło się coś, o czym nigdy nie ważyłam się pomyśleć: studenci wykryli, że ktoś ich obserwuje. I to kto? Kobieta! Biada mi, jeśli mnie znajdą! Musiałam uciekać. Natychmiast!

Pospieszyłam do drabiny i zaczęłam szybko schodzić. Zaplątałam się w sukni, z rozpaczy omal nie krzyknęłam, uwolniłam się, dotarłam do stóp drabiny, popędziłam w kierunku schodów, biegłam i biegłam, lecz w panice obrałam zły kierunek. Setki razy wędrowałam tędy z absolutną pewnością, a tym jednym jedynym razem, kiedy było to tak ważne, pomyliłam się. Wybrałam drogę w prawo, na loggię nad dziedzińcem, i nagle znalazłam się w pełnym świetle dnia. Rzuciłam się do tyłu, mrugając oczami, które z trudem przyzwyczajały się do blasku.

Kiedy już mogłam coś widzieć, ujrzałam ich: gromada studentów biegła wąską loggią prosto ku mnie, z Markiem na czele. Zobaczyłam jego wzburzoną twarz i krople potu na czole. A potem zauważyłam, jak jego oczy rozszerzają się z przerażenia.

Marco mnie rozpoznał.

Zatrzymał się nagle. Odwrócił się, wyprostował, by zatrzymać kolegów, ci jednak runęli na niego. Potknął się, odepchnięto go do tyłu, podniósł się znowu, tłum porwał go ze sobą i napierał na niego. Przycisnął go do poręczy, napał jeszcze silniej. Marco rozpaczliwie machał rękami, ale nie znalazł oparcia. Z krzykiem spadł w dół i z głuchym odgłosem uderzył o kamienie dziedzińca. Jego koledzy umilkli natychmiast i z przerażeniem spoglądali w dół. Marco leżał na dziedzińcu, dziwnie skurczony, niby zepsuta lalka.

Dreszcz wstrząsnął jego ciałem, a potem Marco znieruchomiał.

CZEŚĆ 2

Gaspare

KAMIZELKA

Il panciotto

Nie pamiętam, jak tego dnia, kiedy zginął Marco, doszłam do domu. Wiem tylko, że wybiegłam z Archiginnasio, jakby mnie furie goniły, dobiegłam do wąskiej bocznej uliczki, mając przed oczami jedynie nieżywego Marca leżącego na ziemi. To było jak koszmar sen.

Pamiętam dopiero wieczór, kiedy leżałam na łóżku i wpatrywałam się w sufit z wyblakłymi freskami. Kiedyś patrzyłam na nie w malignie i wydawało mi się, że postaci z historii stworzenia się poruszają. Jednak tego wieczoru widziałam tylko jedną twarz. Była okrągła niczym księżyc w pełni i miała bródkę: twarz Marca.

Już nigdy go nie zobaczę. Nigdy nie usłyszę jego słów, nigdy nie podaruję mi z uśmiechem bukietu róż.

Zaczęłam szlochać. Nagle dotarło do mnie znaczenie tego, co się zdarzyło. To było jak cios pięścią. Najpierw straciłam matkę, a teraz zginął Marco. Byłam sama, nie miałam już nikogo na świecie. Płakałam i szlochałam godzinami, skarżyłam się na los i swoje nieszczęśliwe życie.

Jeszcze większe niż moja rozpacz były wyrzuty sumienia. Marco podniósł szpilkę z podłogi Scuola d'Aranzio i od razu rozpoznał, że jest moja. Zarówno szpilka, jak i jego podejrzenie, że wiedzę medyczną zdobyłam nie tylko z książek, pozwoliły mu dojść do wniosku, że to ja znajduję się na strychu. Przytomnie usiłował zwieść doktora

Tagliacozziego, który być może pomyślał o czymś podobnym. Później chciał dotrzeć do mnie przed swoimi kolegami, aby mnie chronić. Próbował ich zatrzymać i umarł za mnie.

A ja, ja go nigdy naprawdę nie kochałam. Musiało tak być, bo inaczej dlaczego cieszyłabym się w duchu z odkładania terminu ślubu? Ach, byłam złym człowiekiem!

Płakałam dalej. O którejś nocnej godzinie zapukano do drzwi i stanęła w nich *signora* Carducci, matka Marca, cała we łzach i równie zrozpaczona jak ja. Wiadomość o śmierci syna dostała dopiero późnym wieczorem i pospieszyła do mnie.

- Ty też płaczesz? - zawołała, padając mi w ramiona. - Dostałaś już wiadomość?

- Tak - skłamałam i wydałam się sobie nędznicą. Ale cóż miałam powiedzieć?

- Kto ci ją przyniósł, dziecko?

- Jego kolega. - Odwróciłam się, bo nie mogłam spojrzeć w oczy kobiecie, która już nie zostanie moją teściową.

- W takim razie wiesz wszystko. Och, jakie to straszne! Co się tam naprawdę stało? Krążą słuchy, że ktoś się tam wkradł, jakaś kobieta, i że jej na próżno szukali. Co za bzdura, kobieta w sali wykładowej Archiginnasio! A Marco, mój Marco zginął. To nie mogła być wola Boża! To niepojęte! Dziś rano był jeszcze w domu, jak zawsze radosny, a teraz...

Signora Carducci rzuciła się na moje łóżko i szlochała gwałtownie. Wiedziałam, że jej ból jest o wiele większy, o wiele głębszy niż mój. Był to ból matki. Straciła męża i pozostałe dzieci, a teraz rozpaczała po swoim ostatnim dziecku, które było sensem jej życia. Zaprawdę to ona miała powód do rozpacz, nie ja. Myśl ta dodała mi sił. Usiadłam przy niej na łóżku i objęłam ją ramieniem. Siedziałyśmy tak dłuższą chwilę. W końcu *signora* Carducci przestała płakać i uspokoiła się. Poszłam do kuchni, gdzie zagrzałam na ogniu trochę Lambrusco.

- Wino wam dobrze robi, *signora* - powiedziałam, podając jej szklankę. - Ja też się trochę napiję.

Piliśmy gorące wino małymi łykami. *Signora* Carducci zaczęła urywanym głosem opowiadać o Marcu, o jego dzieciństwie i drobnych,

zabawnych zdarzeniach w ich rodzinie, gdy żył jeszcze jej mąż. Opowiadała o pierwszych krokach Marca i pierwszych słowach, mówiła, że był spokojnym dzieckiem, że wczesnie ząbkował i przy karmieniu nieraz ją ugryzł. Potem przeszła do jego młodości, opowiadała to i owo i zachwycała się jego dobrym zdrowiem. Przy tej myśli ogarnął ją znowu żal i zaczęła gwałtownie szlochać. Kołysałam ją w ramionach i pocieszałam.

- Jesteś dobrą dziewczyną, Carlo - powiedziała, pociągając nosem

- byłąbyś dobrą żoną dla mojego Marca, to pewne. Ale oto przyszedł do niego anioł śmierci i teraz jestem zupełnie sama.

- Nie, *signora* - zaprzeczyłam - nikt na tym świecie nie jest sam, kiedy ma Boga w sercu, wy też się o tym przekonacie. - W tej chwili wierzyłam w swoje słowa, bo chciałam w nie wierzyć.

- Jesteś dobrą dziewczyną.

- Proszę, *signora*, nie mówcie tak.

- Dlaczego? Nieraz myślałam, że z twojej winy odwlekało się wesele, ale teraz zmieniałam zdanie.

- Chcecie jeszcze wina, *signora*!

- Nie, dziękuję, dziecko. Chyba już pójdę. Chcę iść do San Rocco, pomodlić się za mojego Marca i zapalić świecę. Ojciec Edoardo ma dzień i noc otwarty kościół. Nie chciałabyś pójść ze mną, może będziemy miały szczęście i wielebny tam będzie?

- Nie.

- Naprawdę nie? - *Signora* Carducci spojrzała na mnie z troską.

- Na pewno pomogłaby ci rozmowa z Wszechmogącym.

- Mam w domu ołtarzyk mojej matki. Wolałabym zostać tutaj.

- Naturalnie, dziecko, rozumiem cię. W takim razie idę. Dziękuję ci za pociechę. - Pocałowała mnie w policzek i zniknęła w mroku.

- *Arrivederci, signora* — odrzekłam.

Dopiero następnego ranka, po źle przespanej nocy, do mojej rozpacz dołączył się strach. Nagle przebiegła mi przez głowę myśl, że któryś z kolegów Marca może rozpoznać mnie przy najbliższej okazji na ulicy. Wyskoczyłam z łóżka i zaczęłam niespokojnie krążyć po domu. Jak wyglądało to wtedy w loggii? Marco leżał bez ruchu

i przez dłuższą chwilę na nim skupiona była uwaga wszystkich. A potem? Co zdarzyło się potem? Jak duża była odległość między mną a prześladowcami?

Czy na pewno mnie nie rozpoznali?

Nie, raczej nie, uspokajałam sama siebie. Miałam przecież na głowie beret z woalką kryjącą moje rysy. Ci, którzy byli winni nieszczęścia, powinni się bać bardziej niż ja.

Ale co się stało z moją szpilką do kapelusza? Próbowałam przypomnieć sobie sytuację w Scuola d'Aranzio i doszłam do wniosku, że ma ją doktor Tagliacozzi; w każdym razie to on ostatni trzymał ją w ręce. Czy szpilka może mnie zdradzić?

Też nie. Doktor nie wiedział przecież, że jest moja. A poza tym mnie nie znał. Nigdy mnie nie spotkał, a już ja się zatroszczyłam o to, żeby tak pozostało.

Przestałam uporczywie krążyć po domu i usiadłam przy małym stoliku. Zjadłam coś, nie wiedząc, co jem, i zastanawiałam się, w jaki sposób mogłabym bezpiecznie nadal uczestniczyć w wykładach doktora. Nie byłam jednak w stanie nic wymyślić. Wciąż na nowo powracałam do mojego beretu z woalką. Woalka rzucała się w oczy, nosiło ją niewiele kobiet w Bolonii, z wyjątkiem panien młodych i zakonnice. Mogła mnie zdradzić przy pierwszej okazji, ponieważ musiało ją widzieć wielu kolegów Marca.

A być może i doktor Tagliacozzi.

Kiedy doszłam do tego wniosku, poczułam całkowitą bezradność. Naturalnie mogłam w przyszłości chodzić po ulicach bez woalki, ale za nic w świecie bym się na to nie zdobyła. Paraliżował mnie nie tylko wstyd, ale i strach, że ludzie zaślepieni jak Girolamo Menghi, polujący na czarownice, mogą uznać mój defekt za znamię grzechu, *voglia di peccato*, i oskarżyć mnie przed trybunałem inkwizycji. Miałam żywo w pamięci ograniczoną *signorę* Vascellini i jej równie ograniczone przyjaciółki.

Inna możliwość to już nigdy nie opuszczać domu i aż do końca swoich dni spędzać czas między kuchnią, izbą sypialną i pracownią. Tego jednak też nie chciałam.

Trzecia możliwość nie wydawała się o wiele lepsza niż dwie poprzednie, ale była najmniejszym złem. Wstałam więc i wprowa-

dziłam swój plan w czyn. Dołożyłam do ognia pod kuchnią, żeby palił się mocniej. Potem przyniosłam берет z woalką, suknię Nibelungów i symarę i po raz ostatni spojrzałam na moje ulubione ubranie, zanim je spaliłam.

Następne dni przyniosły mi wiele cierpień, nie tylko z powodu mojego nieczystego sumienia, ale także dlatego, że *signora* Carducci odwiedziła mnie jeszcze dwa razy, żeby dzielić ze mną swój ból. Pewnie nadal uważała mnie za „dobrą dziewczynę”, ale ja byłam innego zdania. Moje kłamstwa wobec niej, moja obłuda i stałe udawanie, że o niczym nie wiem - wszystko to doprowadziło do tego, że gardziłam sobą i o mały włos nie zdradziłam prawdy. Nie zrobiłam tego jednak. Dzisiaj być może postąpiłabym inaczej, ale wtedy sądziłam, że prawda nic dobrego nie przyniesie.

- Na pewno przyjdiesz jutro na pogrzeb mojego Marca - powiedziała *signora* podczas drugiej wizyty. - Rozmawiałam już z ojcem Edoardem, obiecał wygłosić wzruszające kazanie. Ach, mój biedny Marco... - Znowu wybuchnęła płaczem, a ja, chcąc nie chcąc, wzięłam ją w ramiona. Owszem, było mi jej żal, ale za bardzo byłam zajęta sobą i swoimi troskami, żeby odczuwać tyle współczucia, na ile zasługiwała.

- Tak, przyjdę - obiecałam. Jako narzeczona Marca musiałam być na pogrzebie. W duszy bardzo się jednak bałam spotkania z ojcem Edoardem, tak bardzo, że gorączkowo szukałam jakiejś wiarygodnej wymówki.

- Jesteś dobrą dziewczyną - powtórzyła *signora* Carducci.

W dniu pogrzebu pomoc przyszła z nieoczekiwanej strony. Wczesnym rankiem zapukała do moich drzwi siostra Marta i powiedziała:

- *Pax tecum*, Carlo.

- Pokój niech będzie z tobą - odrzekłam.

- Otrzymałyśmy wiadomość, że umarł twój narzeczony, i chcemy wyrazić ci nasze szczere współczucie. Niezbadane są drogi Pana.

- Tak - powiedziałam ostrożnie.

- Wszystkie jesteśmy sercem z tobą, ale uważamy, że w twoim położeniu najlepiej by ci było u nas w klasztorze. Powinnaś podjąć znowu pracę w szpitalu i chwalić Boga.

- Tak - powtórzyłam.

- I to od dzisiaj. Matka przełożona przysłała mnie, żebym cię z sobą zabrała.

- Czy to bardzo pilne, czy muszę...

- Kiedy matka przełożona o coś prosi, to zawsze jest pilne, wiesz przecież.

- Naturalnie - odrzekłam i poczułam bezgraniczną ulgę. Wezwanie przez matkę przełożoną było rozkazem, który przyszedł bardzo w porę. Dla *signory* Carducci, której będzie mnie brakowało podczas pogrzebu, miałam dostateczne wytłumaczenie.

- Dobrze, idę - powiedziałam.

- Wszystko w życiu ma swoją dobrą stronę - powiedziała mi matka przełożona pół godziny później. Siedziała ze złożonymi dłońmi za biurkiem i spoglądała na mnie swoimi dużymi, mądrymi oczami. - Tam, gdzie jest cierpienie, jest także światło. Może twój Marco został wezwany przez Pana, żeby dać ci okazję do zaślubienia Jego?

- Być może, wielbna matko - odrzekłam. Siedziałam naprzeciwko niej i nie wiedziałam, co zrobić z rękami.

- Rozważ to sobie w spokoju. Boża kraina daje wiele możliwości, czasem niespodzianie otwiera się droga, której przedtem nie było widać. Sprawdź, czy chciałabyś nią pójść.

- Tak, wielbna matko.

- Potrzebujesz teraz dużo sił. Zdobądź je w modlitwie i przekaż je naszym chorym. Służba w szpitalu cię wzmocni. Siostra Marta wspominała... no cóż... że w ostatnim czasie praca nie przychodziła ci łatwo. Jestem pewna, że teraz się to zmieni. Nie sądzisz?

- Z pewnością, wielbna matko.

- W takim razie dobrze. Po południu odprawimy mszę za wieczny spokój duszy Marca Carducciego. Myślę, że najlepiej przed kolacją. Przyjdiesz, prawda?

- Tak - powiedziałam szybko. - Oczywiście, wielbna matko. Właściwie planowałam przeznaczyć popołudnie na szycie nowych ubrań, przede wszystkim beretu, gdyż stary czarny, należący jeszcze do matki, już się nie nadawał do noszenia, ale naturalnie nie mogłam się sprzeciwić woli przełożonej.

- A więc dobrze. Możesz odejść, córko.

Wybór koloru moich nowych strojów zależał nie tyle od mojego gusta, lecz od tego, jakie materiały po matce mi zostały. Nie było ich dużo, ponieważ większość ich zużyłam już wcześniej. Po dłuższych poszukiwaniach znalazłam jeszcze kawałek pięknego adamaszku barwy ochry z dekoracyjnym wzorem w owoce granatu. Chciałam uszyć z niego suknię, ale materiału nie wystarczyłoby już na mocno rozszerzoną spódnicę; musiałabym się zadowolić węższym krojem. Żał mi było szerokiej spódnicy, bo znalazłam także kilkadziesiąt fiszbinów, które mogłyby posłużyć do jej usztywnienia.

Wpadł mi za to w ręce skrawek krwistoczerwonego aksamitu, wystarczający na stanik sukni. Obie części miał później połączyć ozdobny szew, tak jak nakazywała moda.

Szukałam jeszcze innych materiałów, ale bez wielkiego powodzenia. Znalazłam mnóstwo czarnej wełny dobrej jakości, pochodziła bowiem z Florencji. Jednak czerń nosili wówczas tylko czcigodni panowie, ci, którzy przestrzegali coraz bardziej rozpowszechniającej się mody wzorowanej na hiszpańskim dworze.

Doktor Tagliacozzi często ubierał się na czarno.

Szybko odpędziłam tę myśl, bowiem doktor Tagliacozzi nic mnie nie obchodził.

Czarny materiał wystarczyłby na symarę. Nie mogła to być jednak sama czerń. Na szczęście znalazłam jeszcze kilka łokci przejrzystej tafty, z której mogłam zrobić bufiaste rękawy do sukni koloru ochry, a jeśli wykorzystalabym materiał oszczędnie, wystarczyłby jeszcze na pasek do czarnej.

Wciąż nie całkiem zadowolona, zaczęłam znowu szukać i ku mojemu zaskoczeniu znalazłam trzy pary rękawów: jedne były czarno-niebieskie, drugie w czerwono-zielone paski, a trzecie w kolorach tęczy. Wszystkie rękawy były trochę za długie, ale skrócenie ich nie byłoby dla mnie trudne. Postanowiłam nosić te rękawy nie tylko na zmianę do czarnej sukni, ale także do czarnej symary. Wprawdzie nigdy jeszcze nie widziałam płaszcza z wymiennymi rękawami, ale nie chciałam chodzić tylko w smutnej czerni.

Dotąd nie rozwiązałam jednak najważniejszego problemu - potrzebowałam nowego beretu z woalką. Kawałek przejrzystej tafty

nadałby się chyba na woalkę, ale beretu z tego kawałka nie mogłabym uszyć. Najchętniej zrobiłabym go z błękitnego materiału, aby harmonizował z kolorem tęczy na rękawach, ale niczego błękitnego nie miałam. Znalazłam jeszcze tylko kawałek szarego atłasu, resztkę, którą pewnie przez zapomnienie zostawiła matce jakaś klientka. Szary? Dlaczego nie, zastanawiałam się, gdyż oprócz tej resztki odkryłam jeszcze złotą brokatową taśmę. Nie była nowa, co można było poznać po tym, że prawa strona była trochę wypłowiała, jednak wewnętrzna lśniła jeszcze jak nowa. Jeśli odwrócić ją na lewą stronę, zastanawiałam się, i kilkakrotnie opaszę nią szary beret, powstałoby znakomite nakrycie głowy, prawie równie piękne jak wspaniały beret doktora Valerinięgo przybrany sznurami pereł i agrafami...

Jeszcze tego samego dnia zaczęłam szyć sobie nową garderobę. Kosztowało mnie to prawie trzy tygodnie ciężkiej nocnej pracy, zanim wykończyłam wszystkie stroje tak, że byłam z nich zadowolona. Podczas przymierzania zaobserwowałam coś nieoczekiwanego -okazało się, że ostatnio trochę urosłam, a moje piersi się powiększyły. Przyjrzałam im się. O ile mogłam stwierdzić, miały nienaganny kształt. Bardzo chciałam obejrzeć swoje piersi od przodu i z boku, podobnie jak chętnie zobaczyłabym się nago od góry do dołu, ale *brutto nemico*, „wstrętny wróg”, nie pozwalał mi na to. Nie odważyłam się go odsłonić.

Mimo to byłam pewna, że mam piękne nowe ubrania. Napełniło mnie to dumą, bo jeszcze raz udało mi się zrobić z resztek coś szynkowego. Włożyłam żółtawą suknię z adamaszku z krwistoczerwonym stanikiem i paradowałam w niej po domu. Przeszłam przez wszystkie izby, aż na pierwsze piętro, wróciłam na dół, obracałam się wkoło, potem zrobiłam to samo w czarnej sukni, czarnej symarze, a na końcu w szarym, połyskującym złotem berecie. Wielokrotnie wymieniałam barwne rękawy, jedne przypinałam do jednej sukni, inne do drugiej, łączyłam wszystko ze wszystkim i w końcu byłam tak zadowolona, że najchętniej wybiegłabym od razu na ulicę, żeby pokazać się przechodniom w nowych strojach.

Czy jednak powinnam się na to odważyć? Czy mogłam być pewna, że moi prześladowcy, którzy mnie z pewnością szukali, zaniechali ścigania mnie?

Nie, nie miałam żadnej pewności.

Mimo to nadal musiałam chodzić po bolońskich ulicach, bo siostry oczekiwały mnie codziennie w zakonnym szpitalu.

Być może była to więc tylko kwestia czasu, kiedy prześladowcy zwrócą uwagę na kobietę w woalce.

Miałam teraz wprowadzić nowy beret i nową woalkę, ale na ulicach Bolonii rzadko widywało się kobiety zawoalowane, tak rzadko jak krowy na Piazza Maggiore...

Czy powinnam na wszelki wypadek przeprowadzić się do sióstr, żeby uniknąć niebezpiecznej drogi? Dobra matka Florienca zaproponowała mi to podczas naszej pierwszej rozmowy. Gdybym mieszkała w budynku klasztornym, spała w dormitorium i pracowała w szpitalu, nigdy nikt by mnie tam nie odkrył.

Tylko czy naprawdę chciałam mieszkać u zakonnic? Nie, nie chciałam. Z drugiej strony musiałam za wszelką cenę zapobiec temu, by rozpoznał mnie ktoś na ulicy. Przez całą noc rozważałam tę sprawę i podjęłam decyzję. Chciałam nadal chodzić do klasztoru i jednocześnie zrobić wszystko, żeby mnie nikt nie rozpoznał. Wybiorę trasę, na której nie spotyka się studentów, i zdecyduję się na pory, w których panowie *studiosi* prawdopodobnie nie pojawiają się na ulicach.

W następnych dniach wcieliłam moją decyzję w czyn. Wyruszałam już o piątej rano, w porze, kiedy nawet najpilniejsi studenci jeszcze śpią, i chodziłam nie jak dawniej prosto przez śródmieście, lecz wybierałam znacznie dłuższą drogę wzdłuż murów miejskich. Nikt nie zauważył tej zmiany, nawet obserwująca mnie siostra Marta, bowiem przychodziłam do szpitala o zwykłej porze.

Po południu, kiedy studenci mieli jeszcze wykłady, ruszałam w tę samą długą drogę. Za każdym razem odczuwałam głęboki smutek, gdyż była to pora, kiedy swego czasu przysłuchiwałam się wykładom w Scuola d'Aranzio.

Profesor Aranzio był dobrym nauczycielem. Doktor Tagliacozzi również. Wbrew woli często o nim myślałam. Za każdym razem, kiedy nakładałam opatrunek, widziałam jego zręczne ręce, a gdy jakiś chory się do mnie zwrócił, wydawało mi się, że słyszę jego mocny, czysty głos. Byłam przekonana, że te uciążliwe wspomnienia

z czasem zbledną, myliłam się jednak. Doktor Tagliacozzi nie schodził mi z myśli.

Zacząłam wyliczać sobie wszystkie jego cechy, które mi się nie podobały, ale oprócz tego, że uważałam jego czarne ubranie za sztywne i nudne, nic mi nie przychodziło do głowy.

Cała reszta bardzo mi się podobała.

Jednak nie była to najważniejsza sprawa. Doktor Tagliacozzi był nieważny, jego ręce też, tak samo głos. Wszystko było nieważne.

Ważne było natomiast pytanie, czy powinnam znowu potajemnie uczęszczać do Archiginnasio, bowiem regularnie słuchałam wykładów przez ponad osiem miesięcy i przywykłam do codziennego zdobywania wiedzy. Brakowało mi Scuola d'Aranzio.

Jednak moje pragnienie nie mogło się spełnić i było wręcz śmieszne. Stare drzwi, przez które wślizgiwałam się do budynku, na pewno dawno zaryglowano, brakujący kaseton w suficie wstawiono i uszczelniono szparę, przez którą obserwowałam, co się dzieje w sali wykładowej. Nie, droga do Archiginnasio była dla mnie na zawsze zamknięta.

Mimo to ciągle myślałam o fascynujących demonstracjach. Szczególnie o ostatnich, kiedy pokazywano akt czwarty i piąty rekonstrukcji nosa Messera de'Bonfigli. Przypomniałam sobie, że doktor Tagliacozzi zapowiedział akt szósty i końcowy siódmy, i że nastąpi to pewnie już wkrótce. Ponownie w Scuola d'Aranzio.

Tym razem jednak beze mnie.

Jak mogłabym zapewnić sobie dostęp do nauki i wiedzy? Przecież musi się znaleźć jakiś sposób!

W końcu przysłała mi do głowy pewna możliwość. Możliwość, którą natychmiast odrzuciłam.

Moje myśli jednak uparcie do niej wracały, nie mogłam się od nich uwolnić. Chcąc nie chcąc, zajmowałam się tą sprawą, analizowałam ją i roztrząsałam, aż wreszcie doszłam do wniosku, że szaleństwem byłoby wcielenie jej w czyn.

Szaleństwem, na które chciałam się odważyć.

Pewnego czwartku, dnia wolnego od zajęć dla studentów, stanęłam przed głównym wejściem do Archiginnasio. Wiedziałam, że tego

dnia nie ma wykładów, ale wiedziałam również, że mogą być wyjątki, na przykład seminaria dla *studiosi* słabszych w nauce. Seminaria takie zwykle były prowadzone przez młodszych nauczycieli, a nie przez profesorów, którzy cenili sobie wolne czwartki. Czekałam więc na niego.

Nadszedł niebawem, jak zwykle ubrany na czarno, otoczony studentami, którzy swoim zachowaniem i mową chcieli mu się przypodobać. Ich obecność o mało nie odwiodła mnie od mego zamiaru, ale zebrałam całą odwagę i zawołałam nieśmiało:

- Doktorze Tagliacozzi...

Zaledwie to powiedziałam, już tego żałowałam, ale było za późno. Doktor się zatrzymał, a wraz z nim wesoła grupka studentów.

- Tak, o co chodzi? - zapytał swobodnie, po czym przyjrzał mi się z ciekawością.

- Ja... chciałabym z panem porozmawiać, *dottore*.

Podszedł do mnie i stwierdziłam, że z bliska wygląda jeszcze lepiej niż z daleka. Zmieszało mnie to, tym bardziej że nadal uważnie mi się przyglądał.

- Czy my się znamy, siostró...? - zapytał, marszcząc czoło.

- Znajomość to byłoby za wielkie słowo, *dottore*. Jestem siostra Carla - wyjaśniłam szybko i poprawiłam biały kornet. Było to nakrycie głowy podobne do tych, które nosiły mniszki z San Lorenzo.

Kornet i symara były częścią mojego planu, a równocześnie gwarancją bezpieczeństwa, gdyż mniszki, jak sądziłam, nie poszukiwano jako winnej śmierci Marca.

- Siostra Carla? No cóż, możliwe, że gdzieś się już spotkaliśmy, chociaż nieczęsto bywam w szpitalu klasztornym. Jeśli się znamy, proszę o wybaczenie, że was nie pozdrowiłem, ale pozwólcie mi na uwagę, że woalka nie ułatwia mi zadania.

Kilku studentów zachichotało, a ja pragnęłam posłać ich wszystkich do diabła.

- Noszenie woalki jest symbolem odżegnania się od próżności - powiedziałam z największą godnością, na jaką się mogłam zdobyć.

- Rozumiem, siostró. Mówiliście, że chcecie ze mną porozmawiać?

- Tak, *dottore* - odrzekłam. - Jeśli pozwolicie, to w cztery oczy.

- Zaciekawiacie mnie. - Doktor wyglądał na rozbawionego. - Mniszka, która chce mówić ze mną w cztery oczy, tego jeszcze nie było.

Kilku studentów znowu się roześmiało, ale doktor ruchem ręki przywołał ich do porządku.

- Spokój, drodzy *studiosi*. Wracajcie do domu i poczytajcie książki. Jutro zobaczymy, czy dodatkowa nauka się wam przydała.

- *Arrivederci, dottore* - rozbrzmiało z różnych stron i młodzi mężczyźni rozeszli się powoli.

Poczułam ulgę.

- No i cóż takiego, siostrze Carlo, jest tak ważne, że wymaga rozmowy w cztery oczy?

Przygotowywałam się sto razy w myślach na to pytanie i znajdowałam najbardziej pasujące, trafne i przekonujące odpowiedzi, teraz jednak znikły bez śladu z mojej pamięci. Wahałam się i wreszcie wydusiłam z siebie trzy marne słowa:

- Chodzi o kamizelkę.

- O kamizelkę? Nie bardzo was rozumiem.

- Kamizelkę potrzebną przy rekonstrukcji nosa.

- Aha, o to chodzi. - Po jego wyrazie twarzy poznałam, że nie traktuje mnie zbyt poważnie.

Zagryzłam usta, zirytowana swoim brakiem elokwencji.

- Wiem, że czasem są trudności z tymi kamizelkami, *dottore*. Pacjentom jest w nich bardzo niewygodnie, kamizelka uciska ich i z pewnością pozostawia odgniecenia i krwiaki. Sądzę, że dobra kamizelka przyczyniłaby się do lepszych wyników leczenia.

- Zdumiewacie mnie. Skąd wiecie o trudnościach z kamizelkami operacyjnymi i dlaczego was to obchodzi?

- Słyszałam o nich od studenta Marca Carducciego - skłamałam, mając nadzieję, że zabrzmie to przekonująco. - Mieszkał w sąsiednim domu obok domu mojej matki. Niestety podobno niedawno tragicznie zginął.

- Tak, to prawda. - Na twarz doktora padł cień. - Był miłym chłopcem, chociaż czasem bardziej wymownym niż pracowitym.

- W jaki sposób zginął? - zapytałam tak swobodnie, jak to tylko było możliwe, i w napięciu czekałam na odpowiedź.

- Nie słyszeliście o tej historii? Pół miasta o tym mówi. Był to dziwny i tragiczny wypadek. Ktoś znajdował się na strychu nad Scuola d'Aranzio, gdzie przeważnie wykładam, i obserwował z góry mnie i moich studentów. Przez przypadek zwróciliśmy na to uwagę i studenci chcieli schwytać winowajcę. Podczas pościgu za nim zrobił się taki tłok, że Marco wypadł przez balustradę loggii.

- Pokój jego duszy - wymruczałam i przeżegnałam się szybko. - Będę się za niego modlić. Czy nie macie jakiegoś podejrzenia, kim mógł być ten potajemny obserwator?

- Nie, siostrze, poruszamy się po omacku. Istnieją wprawdzie wskazówki, że mogła to być kobieta, ale ja w to nie wierzę. Żeby wspiąć się na strych, potrzeba dużej odwagi i zręczności, więcej, niż można przypisać słabej kobiecie.

Najchętniej przekonałabym go, że jest w błędzie, ale pominęłam jego uwagę milczeniem. Poczułam niezmierną ulgę, w duszy mi śpiewało: „Nie mają pojęcia, kto to był, nigdy się tego nie dowiedzą!”. Jednak doktor Tagliacozzi szybko przywołał mnie do rzeczywistości.

- Czy istnieje jakiś szczególny powód waszego zainteresowania kamizelką operacyjną? - zapytał.

Wyprostowałam się.

- Tak, *dottore*.

- Czy wolno mi spytać jaki?

- Mogłabym uszyć wam lepszą kamizelkę. Doktor wydawał się dobrze bawić.

- Mniszka miałaby uszyć kamizelkę?

- Zanim poszłam do San Lorenzo, uczyłam się krawieckiego fachu.

- Aha.

Po raz pierwszy mój rozmówca naprawdę się zainteresował.

- Myślicie, że naprawdę potrafilibyście to zrobić? Wielu mistrzów igły próbowało tego zadania i nikomu się nie udało. Nawet najdokładniejsze przymiarki nie pomagały. Dlaczego właśnie wam ma się udać to, co nie udało się innym?

- Potrafię to zrobić - odrzekłam. - Pozwólcie mi spróbować.

- Hm. - Doktor Tagliacozzi potarł podbródek, a ja czekałam w napięciu na jego decyzję. - No cóż, najwyżej się nie uda. Zawsze

powtarzam, że należy być otwartym na wszelakie nowości, i dlatego się zgadzam. Jak chcecie to zrobić, siostrzo?

- Myślałam, że przyjrzę się kilku używanym kamizelkom, zanim zabiorę się do pracy. Na pewno przechowujecie je w Archiginnasio. Chodźmy do środka, żebym mogła je obejrzeć.

- To niemożliwe - odrzekł doktor szybko i zdecydowanie. - Wprawdzie jesteście mniszką, siostrzo Carlo, i dlatego macie szczególną pozycję, ale w końcu jesteście tylko... eeehm... chciałem powiedzieć, jesteście także kobietą, a kobietom zabrania się wchodzenia do miejsc, gdzie się naucza i przeprowadza badania naukowe.

- W takim razie zróbcie wyjątek.

- Ja miałbym zrobić wyjątek? Przeceniacie moje uprawnienia. Jeśli byłoby to w ogóle możliwe, musiałyby zgodzić się na to generalny wikariusz arcybiskupa, jego eminencja Giovanni Andrea Caligari, który jest jednocześnie kanclerzem wszystkich profesorów i studentów Archiginnasio, ale sądzę, że powód jest zbyt błahy, by się do niego zwracać.

Byłam innego zdania, ale powiedziałam tylko:

- Bez kamizelek nie mogę nic zrobić, *dottore*. To tak samo, jakbym chciała przeprowadzić sekcję zwłok bez zwłok.

- Oho, siostrzo, widzę, że trafiła kosa na kamień! Naturalnie macie rację. Poślę wam do klasztoru kilka używanych kamizelek.

- Nie.

- Nie? Dlaczego? Przecież nie możecie oglądać ich na ulicy?

- Nie... Chciałabym je obejrzeć w domu mojej matki, w jej pracowni krawieckiej.

- Gdzie to jest?

- Przy Strada San Felice.

- Zgoda, a co będzie, kiedy je obejrzyście?

- Zaproponuję poprawki.

- Gdzie? Również w domu waszej matki? Czy oczekujecie, że was tam odwiedzę? - Nie... naturalnie, że nie. - Myśl, że *signora* Carducci mogłaby zobaczyć doktora Tagliacozziego wchodzącego i wychodzącego z mojego domu, wcale mi się nie uśmiechała.

- W takim razie jak to sobie przedstawiacie?

- Ja... ja...

- Jak widzę, jeszcze się nad tym nie zastanawialiście.

- Tak... to znaczy nie... - O mało nie rozplakałam się z wściekłości. Właśnie teraz, gdy udało mi się rozmawiać z doktorem, mój pomysł zbliżenia się znowu do nauki i badań mógł spalić na panewce.

- W takim razie powiem wam, jak zrobimy: przyślę wam do domu trzy albo cztery kamizelki, które przechowuje pedel. Będziecie mogli zapoznać się z ich krojem, a za tydzień powiecie mi, co chcielibyście zmienić i, mam nadzieję, poprawić.

- Dobrze, *dottore!* - Miałam ochotę rzucić mu się na szyję.

- *Va bene*, oczekuję was zatem następnego czwartku, powiedzmy o tej samej porze, przy Via delie Lame.

- Przy...

- Ach, racja, nie znacie mojego adresu. Mój dom jest trzeci od Porta delie Lame, po prawej stronie. Na pewno go nie przeoczycie. A teraz wybaczcie, trochę się spieszę. - Skłonił się lekko i ruszył w kierunku Piazza Maggiore.

- Dobrze - odrzekłam zbita z tropu. - Dobrze, *dottore*.

Jeszcze tego samego wieczoru zjawił się u mnie posłaniec z Ar-chiginnasio i przekazał mi duży rulon z workowego płótna. Rozwiązałam sznury i zajrzałam ciekawie do środka, nie znalazłam jednak żadnej wiadomości od doktora Tagliacozziego. Przełknęłam rozczarowanie, mówiąc sobie, że nie ma powodu do pisania listów, ponieważ omówiliśmy już wszystko, co ważne.

Znalazłam za to cztery kamizelki, które wyglądały na bardzo zużyte. Stwierdziłam, że są lniane, robione na miarę. Ich krój przypominał krój kubraka, tyle tylko, że nie miał fałd.

Po pierwszych oględzinach postanowiłam się nieco posilić, zanim zabiorę się do pracy, bowiem wiedziałam, że czekają mnie długie noce przy szyciu. Poszłam do kuchni i zajrzałam do pustej ostatnimi czasy spiżarni. Miałam tylko kilka jajek i trochę resztek. Zrobiłam z tego *novo strapazzato* według przepisu mojej matki. Wbiłam jajka na patelnię, wymieszałam je z odrobiną wody i mleka, po czym dodałam soli i utartego parmezanu. Ponieważ lubiłam jajeczne potrawy

z zieleniną, dodałam trochę drobno posiekanych i uduszonych ziół. Wzięłam te, które miałam: wrotycz i szałwię oraz trochę soku z farbownika lekarskiego. Kilka razy zamieszałam, żeby potrawa nie zrobiła się za gęsta, i usiadłam do stołu.

Mimo sprawdzonego przepisu danie nie bardzo mi smakowało, zjadłam więc tylko kilka kęsów i przeszłam do pracowni. Na dużym stole rozłożyłam jedną z kamizelek i obejrzałam ją ze wszystkich stron. Składała się z dwóch części przednich i jednej tylnej; szwy były po bokach i na ramionach. Rozpinała się i zapinała z przodu za pomocą skórzanych pasków. Do tego z lewej i z prawej strony na tej samej wysokości znajdowało się osiem pętelek. Były lekko wystrzępione przez paski. To należało poprawić w pierwszej kolejności. Postanowiłam wzmocnić pętelki grubym ścięciem.

Potem jednak zastanowiłam się. Wszystko po kolei, powiedziałam sobie. Najpierw należy określić, jakie wymagania powinna spełniać kamizelka operacyjna. Powinna dawać oparcie, nie tamując oddechu, być mocna, ale nie ocierać, dopasowana, ale nie powinna cisnąć -krótko mówiąc, powinna być jak druga skóra.

Kamizelka, którą trzymałam w rękach, w żadnym razie nie spełniała tych wymagań.

Zabrałam się więc do pracy i, tak jak przewidywałam, kilka następnych nocy spędziłam w pracowni. Nie mam zamiaru opisywać poszczególnych etapów i wielu prób, które podejmowałam, powiem tylko, że była to długa, trudna praca, zanim tydzień później mogłam pójść z nową kamizelką w wiklinowym koszu mojej matki do mieszkania doktora przy Via delie Lame, żeby zaprezentować mu swoje dzieło.

Dyskretnie dopytaj ąc się w klasztorze, dowiedziałam się, że doktor Tagliacozzi pochodzi ze starej, bardzo zamożnej bolońskiej rodziny. Jego dziadek Georgio był powroźnikiem, a ojciec, Giovanni Andrea - tkaczem satyny. Jego cech, podobnie jak cechy tkaczy jedwabiu i kupców jedwabnych, należały do najznaczniej szych cechów w Bolonii, swoje bogactwo miasto zawdzięczało od wieków właśnie jedwabowi.

Siedziba rodziny Tagliacozzich nie zadawała kłamu tym opowieściom. Ze swoim pierwszym, paradnym piętnem, zwanym *piano nobile*,

półpiętrzem, dwoma wyższymi piętrami i tarasem na dachu jako zwieńczeniem budowla przypominała raczej pałac niż kamienicę. Kunsztowne fryzy i freski ze złotymi elementami zdobiły górną część fasady; balkony z bogato rzeźbionymi drewnianymi balustradami, nad którymi w lecie rozpinano lniane daszki chroniące przed słońcem, ozdabiały dolną część domu koloru terakoty. Na każdym piętrze było po kilka dużych gotyckich okien.

Powoli zbliżyłam się do budynku, podziwiając herb nad głównym portalem, i dotarłam do potężnych, dwuskrzydłowych drzwi. Zastukałam ciężką kołatką z brązu i po chwili drzwi się otwały.

Właściwie oczekiwałam, że pojawi się w nich doktor Tagliacozzi, ale kiedy zobaczyłam starszego mężczyznę w liberii, uświadomiłam sobie, że taka rodzina naturalnie musi mieć służbę.

- Siostra Carla?

- Tak, to ja.

- Nazywam się Adelmo. Jestem osobistym służącym doktora. Proszę za mną. Adelmo szybko podreptał przez dużą sień i ruszył marmurowymi schodami na pierwsze piętro. Schody były następnym dowodem zamożności tej rodziny, ponieważ marmur i inne drogie rodzaje kamienia nie występują w pobliżu Bolonii, dlatego prawie wszystkie domy budowano tu z cegły. Niewielu stać było na sprowadzanie drogich materiałów budowlanych z daleka.

- Poczekaście przez chwilę, siostró, pan doktor zaraz przyjdzie. Gdybyście czegoś potrzebowali, zawołajcie mnie.

- Dziękuję, ale nic mi nie trzeba.

- Jak sobie życzycie.

Adelmo zniknął i zostawił mnie samą. Rozejrzałam się i stwierdziłam, że jestem w komnacie średniej wielkości, w której znajdował się ciężki stół z ośmioma krzesłami. Krzesła miały toczony, wysokie poręcze i były koloru hebanu. Poczułam się nieco zagubiona, usiadłam więc na jednym z krzesel i nadal się rozglądałam. Na wszystkich ścianach rozwieszono kunsztownie tkane kobierce z motywami przedstawiającymi etapy produkcji jedwabiu, poczynając od gąsienic poprzez kolejne fazy obróbki włókna aż do krosien tkackich i wizerunku jaskrawoniebieskiego baldachimu z herbem miasta, które pyszniło

się wszelakimi jedwabnymi produktami. Jediną przerwę między kobiercami stanowił kominek, na którego gzymsie stało około tuzina małych figurek z terakoty. Przyjrzałam się dokładniej i stwierdziłam, że są to nosy o różnych rozmiarach i kształtach. Tak mnie to zaskoczyło, że wstałam i podeszłam bliżej. Wzięłam do ręki jeden z czerwono-brązowych nosów i przyglądałam mu się dłuższą chwilę. Bez wątpienia ten, kto je uformował, zrobił to z zamiłowaniem i dokładnością.

- Widzę, że siostra potrafi docenić moje usiłowania twórcze. Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam pana domu. Było mi trochę nieprzyjemnie, że przyłapał mnie na ciekawości, on jednak podszedł do mnie z uśmiechem i wyjął mi figurkę z ręki.

- Z pewnością zadajecie sobie pytanie, o co tutaj chodzi. No cóż, to nosy moich pacjentów, a dokładniej nosy, które zaproponowałem im jako nową ozdobę twarzy, zanim spróbowałem wymodelować je *in natura*.

- Czy to są projekty późniejszych rekonstrukcji? - zapytałam, nadal jeszcze nieco zmieszana.

Doktor Tagliacozzi skinął głową.

- Dokładniej mówiąc, są to projekty szablonów, które mają uformować nos z płata skóry z ramienia.

- Nos z płata skóry? - Udałam niewiedzę.

- Wyjaśnienie tego zajęłoby nam dużo czasu, siostrze. Pozostanę przy stwierdzeniu, że terakotowe nosy są projektami szablonów zwanych *tectoria*.

- Ach tak. Ale jeśli dobrze policzyłam, jest to tylko dwanaście projektów nosów, a nosy ludzkie mają przecież tysiące kształtów?

Doktor Tagliacozzi zrobił rozbawioną minę, którą już znałam.

- Najwidoczniej chce siostra dokładnie poznać zagadnienie. Cóż, pragnąłbym, żeby moi studenci mieli taką żądzę wiedzy. Tuzin projektów zupełnie wystarczy, by nadać kształt wszystkim nosom tego świata. Wywodzi się on z liczby trzy, którą spotykamy w chrześcijańskiej Trójcy, i mnoży się przez cztery, odpowiadające liczbie pór roku albo fazom rozwoju człowieka. Otrzymujemy liczbę dwanaście, która z kolei odpowiada liczbie apostołów.

Chciałam zgłosić zastrzeżenie, że związek tych wszystkich liczb z nosem wydaje mi się niezbyt logiczny, ale zmilczałam. Zamiast tego rzekłam:

- To bardzo skomplikowane, *dottore*.

- Zanim to dokładniej wyjaśnię, pozwólcie mi spróbować choćby odrobinę wejść w rolę dobrego gospodarza. - Doktor Tagliacozzi zawołał Adelma i zażądał pieczywa i wina. Kiedy służący je przyniósł, usiedliśmy. Doktor uniósł kieliszek i przepił do mnie, po czym znowu uważnie mi się przyjrzał.

- *Salute*, na zdrowie, siostró.

- Na zdrowie, *dottore*.

- Powiedzieliście - podjął doktor po chwili - że moje wywody

0 nosie są skomplikowane, teraz więc chcę wam powiedzieć, dlaczego nie mogą być proste. Nos jest najbardziej wystającą częścią twarzy, co możecie potraktować również dosłownie. Ma on szczególną rolę przy współpracy całego ciała. Do twarzy należą konieczne do życia organy, które umożliwiają człowiekowi nie tylko widzenie, słuchanie

1 mówienie, ale także jedzenie, wacanie i smakowanie.

- Nie pomyślałam o tym, *dottore*.

- Poza tym twarz zdradza wiek, płeć, a nawet pochodzenie danej osoby. Pomyślcie o wyrazie twarzy, z którego można wyczytać bardzo wiele, czasem nawet wszystko. Temu, kto umie patrzeć, twarz zdradzi, czy kryje się za nią dobry czy zły człowiek, wesoły czy smutny, poważny czy lekkomyślny. Wierzcie mi, twarz odzwierciedla duszę.

- Wierzę wam, *dottore* - odrzekłam, myśląc o własnych obserwacjach, których dokonywałam pod ochroną woalki.

- Po twarzy dobry medyk może rozpoznać choroby, służy mu ona jako podstawa diagnozy. Pomyślcie tylko o żółtej cerze, która może sygnalizować zapalenie wątroby, o fioletowej, kiedy konieczne jest puszczenie krwi, czy też o zielonkawej, wskazującej na zatrucie.

- Tak, *dottore* - powiedziałam. Przypomniałam sobie jego wywody w Scuola d'Aranzio; niemal z nabożeństwem wsłuchiwałam się w jego mocny, czysty głos.

- Nie rozmawiajmy jednak dłużej o chorobach. Właśnie mówiłem o tym, jak wiele zdradza nam wyraz twarzy, pod warunkiem że

możemy ją widzieć. Wy, droga siostrzo Carlo, również dziś kryjecie przede mną swoje oblicze. - Doktor Tagliacozzi uśmiechnął się leciutko. - Czy mam stąd wnosić, że jesteście szczególnie podatni na próżność i musicie stale z nią walczyć?

- Ja... ja... - Zmieszał mnie nagły zwrot w rozmowie.

- A może uparte zasłanianie twarzy woalką ma inną przyczynę?

- Tak... eee... nie.

Doktor uśmiechnął się szerzej, z wyrazem przewagi, która zaczęła mnie złościć mimo mojego zmieszania.

- To nie wasza sprawa.

- A może jednak? W końcu jesteśmy czymś w rodzaju partnerów w interesach. Mogę...? - Szybkim ruchem podniósł woalkę do góry i spojrzał mi prosto w oczy.

Cofnęłam się gwałtownie. Najróżniejsze uczucia walczyły we mnie o pierwszeństwo: wstyd, gniew, strach, oburzenie. Byłam zmieszana i jak odurzona. W końcu gniew zwyciężył.

- Jak śmieliście podnieść moją woalkę!

- Jak śmieliście tak mnie oszukiwać!

- Ja was nie oszukiwałam!

- A jednak tak. Odgrywaliście przede mną mniszkę, żeby mieć powód do noszenia woalki. Tymczasem wcale nią nie jesteście, jesteście tylko pomocą pielęgniarską. Dowiadywałem się w klasztorze.

- Jak śmieliście...

- Nie zaczynajcie od nowa. Dowiadywałem się w klasztorze, podobnie jak i wy to robiliście. Jesteście Carla, pomocnica pielęgniarek, powszechnie lubiana i ogromnie zainteresowana medycyną. Bądźcie pewni, że dowiadywałem się tego w sposób bardzo dyskretny, możecie być również pewni, że sprawa kometa i woalki pozostanie między nami. Ponieważ nie mamy sobie nic do zarzucenia, proponuję zawarcie pokoju.

- Wyciągnął do mnie prawicę, a mnie nie pozostało nic innego, niż tylko podać mu rękę. Jeśli miałabym być szczerą, byłam zadowolona, że skończyła się oszukańcza gra z kornetem. Odetchnęłam głęboko i spojrzałam na niego. Tym razem wydało mi się, że jego uśmiech jest wolny od wszelkiej pychy, po prostu miły.

- Nie przeszkadza wam moje znamię? - zapytałam.

- Jakże miałyby mi przeszkadzać? Wiedziałem, że macie *voglia di vino* na twarzy. Pozwolicie, że upnę woalkę? Pozwoliłam i odrzekłam:

- A więc przez cały czas wodziliście mnie za nos, celowo zwróciliście uwagę na twarze i ich cechy, tylko po to, żeby mnie w końcu zdemaskować.

- Ależ, Carlo, wy mnie łudziliście i ja was łudziłem, nic więcej. Proszę, nie dąsajcie się już na mnie. - Udał skrucę, z czym było mu bardzo do twarzy.

- Nie nazywajcie mnie Carlą.

- Wybornie, pani pielęgniarko.

- Teraz jeszcze ze mnie drwicie, to już lepiej mówcie „Carlo”.

- Bardzo chętnie... Carlo. Cóż, tak dużo mówiliśmy o nosach i twarzach, że omal nie zapomnieliśmy o przyczynie naszego spotkania. Powiedzcie, jak się ma rzecz z kamizelką operacyjną, czy macie jakieś pomysły na poprawienie jej?

Zamiast odpowiedzi wyjęłam gotową kamizelkę z kosza i rozłożyłam ją na stole.

- Tak - powiedziałam - już je wcieliłam w życie.

Doktor Tagliacozzi popatrzył przez krótką chwilę na moje dzieło i zaczął się śmiać.

- Dlaczego się śmiejecie? Ta kamizelka nie jest żartem, kosztowała mnie kilka nocy pracy.

- Wybaczcie, Carlo, ale ona ma kaptur.

- Owszem, i nie bez powodu. W tym okresie, kiedy odcięta skóra zrasta się z nosem, ciało pacjenta potrzebuje mocnego oparcia. Dotychczasowe kamizelki wspierały tylko korpus, a nie dawały oparcia głowie. Moja kamizelka może to robić, właśnie dzięki kapturowi.

- Jestem pod wrażeniem, najwidoczniej wieleście nad nią rozmyślali.

Nie podjęłam tego wątku, lecz tłumaczyłam dalej:

- Kaptur jest najbardziej rzucającą się w oczy poprawką, ale jest jeszcze kilka innych. - Wyjęłam z kosza drugą kamizelkę, jedną z używanych, i położyłam ją obok nowej. - Możemy to stwierdzić przez porównanie, *dottore*. Stara kamizelka jest z lnu, moja natomiast z ręcznie robionego płótna żaglowego. Stara ma tylko osiem haftek do

zapinania, moja natomiast trzydzieści dwie, a więc cztery razy więcej, i dzięki temu zapewnia mocniejsze i bardziej równomierne oparcie.

- To ciekawe.

- Oprócz kilku drobnych poprawek kroju obejrzyjcie także plecy. - Odwróciłam kamizelkę i wskazałam na fragment poniżej łopatek. - Macie tu na całej szerokości pięć fiszbinów wszytych pionowo, które dają dodatkowe oparcie plecom.

- Fiszbinów?

- Co w tym dziwnego? Trzeba było kobiety, żeby wpaść na ten prosty pomysł.

- W istocie, możecie mieć rację.

- Wszycie fiszbinów, nawiasem mówiąc, było możliwe jedynie dzięki użyciu mocniejszego płótna żaglowego. No cóż, *dottore*, to są najważniejsze poprawki. - Spojrzałam na niego i stwierdziłam z zadowoleniem, że mądry, pewny siebie, światowy doktor po raz pierwszy nie może znaleźć słów.

- To o wiele więcej, niż oczekiwałem, Carlo - rzekł w końcu. - Myślałem, że poinformujecie mnie o możliwych poprawkach, a wy przysłiście z gotową kamizelką. Jestem pod wrażeniem, jak już mówiłem.

- Dziękuję, *dottore* - powiedziałam.

- Musielibyśmy jednak wypróbować nową kamizelkę, bo z pewnością wiecie, że teoria to jedno, a praktyka drugie.

- Nowa kamizelka z kapturem została już wyprobowana, *dottore*, przez trzy dni i trzy noce. - Co mówicie, Carlo? - Uśmiechnął się znowu ubawiony. - Chyba nie chcecie twierdzić, że wcisnęliście się sami w to cudowne dzieło? Jak widzę... eeehm... to chyba nie byłoby możliwe.

Zmieszana odwróciłam wzrok. Było mi nieprzyjemnie, że uczynił aluzję do mojego biustu.

- Kamizelkę nosił żebrak Conor. Znam go z jego pobytu w naszym szpitalu i myślę, że i wy go znacie, bo Conor był pacjentem waszego kolegi, profesora Aranzia.

- Naturalnie, przypominam sobie. Leczenie jego okaleczonego nosa się powiodło i było także bardzo pomocne przy kształceniu moich studentów. Jak on się czuje?

- Jest prawdziwym mistrzem życia. Nosił kamizelkę na swoim stałym miejscu na Piazza Maggiore i wychwalał jej idealny krój, co mnie nie dziwi, bowiem przymierzałam ją na nim. Musiał wprawdzie ścierpieć niejedną drwinę z powodu swojego odzienia, ale nic go to nie obchodziło, ponieważ monety często pobrzękiwały w jego kapeluszu. Ode mnie także dostał kilka *baiocchi* za swoje usługi. Za te pieniądze chciał kupić garść cukru i kilka jajek, żeby je ugotować dla Massima, swojego kruka, bo to jego ulubione jedzenie.

- Jesteście niezwykłą kobietą, Carlo.

- Czy mogę opuścić woalkę?

- Ależ naturalnie. Powiedzcie, jak mam się wam odwdzięczyć, oprócz tego, że oddam wam pieniądze dla Conora?

- Nie chcę pieniędzy.

- Ależ... tyle waszego trudu, pomysłów, trzeba to przecież wynagrodzić! Zawstydzacie mnie, Carlo. - I naprawdę zrobił skruszoną minę, którą już znałam i z którą było mu tak bardzo do twarzy.

- Nie jesteście mi nic winni, *dottore*, chyba że planujecie niedługo rekonstrukcję nosa u jednego z waszych prywatnych pacjentów. W takim razie chętnie uszyłabym mu kamizelkę i przymierzyła ją tutaj.

Przyglądałam mu się w napięciu, bowiem jeśli powiedziałaby „nie”, mój kontakt z medycyną ograniczałby się dalej tylko do pracy w szpitalu. No i nigdy bym go już nie zobaczyła.

Doktor Tagliacozzi milczał i zastanawiał się. - Powiedzcie coś.

- Jak się wydaje, macie dobre pomysły nie tylko co do kamizelek - rzekł Tagliacozzi z uśmiechem. - Zgoda. Kiedy tylko będę miał kandydata do tej trudnej operacji, dam wam znać.

O mało nie wykrzyczałam głośno mojej radości. Udało się!

- Dobrze - powiedziała jak umiałam najspokojniej. - Wracam więc do domu. Życzę wam miłego wieczoru, *dottore*.

- Nawzajem, Carlo. Poczekajcie, odprowadzę was do drzwi. Odprowadził mnie do wyjścia, mówiąc o rzeczach nieważnych

w porównaniu do naszej wcześniejszej rozmowy, więc puszczałam to mimo uszu. Raz zatrzymał się i wskazał na wpółotwarte drzwi, za którymi starsza dama we wspaniałej zielonej sukni z atłasu wyjaśniała coś Adelmowi.

- To moja matka - powiedział.

- Wasza matka?

- Tak, mieszkam z nią w tym domu. Pewnie udziela wskazówek dotyczących małej uczy, którą wydaje dziś wieczorem. Ma być makaron z sosem z krabów, nerki cielęce na grzankach, udka młodych królików, ryby morskie w sosie, omlet z warzywami, rolada daktylowa, ciasto z marcepanem i Bóg wie co jeszcze.

Skłoniłam się uprzejmie w kierunku wytwornej damy, ale *signora* Tagliacozzi nie spostrzegła mnie, pewnie była zbyt zajęta. Za chwilę staliśmy pod masywnymi drzwiami wyjściowymi.

- *Arrivederci*, Carlo - powiedział trochę sztywno.

- *Arrivederci, dottore* - odrzekłam i wyszłam.

Spiesząc długą drogą do domu wzdłuż murów miejskich, przywoływałam na pamięć każdy szczegół naszej rozmowy i cieszyłam się z jej wyniku. Od czasu do czasu jednak radość tłumila odrobina gniewu na przystojnego doktora, który śmiał dowiadywać się o mnie w klasztorze.

Nie zadałam sobie pytania, dlaczego to robił.

Minął tydzień, potem drugi i trzeci. Każdego dnia czekałam na wiadomość z Via delie Lame, ale nic nie nadchodziło. Wreszcie na krótko przed Bożym Narodzeniem dostałam list, który przyniósł posłaniec w takiej samej liberii, jaką nosił Adelmo. Drżącymi rękami złamałam pieczęć i przeczytałam, co napisał swoim wyraźnym, prostym pismem doktor Tagliacozzi:

Szanowna Carlo!

Mam nadzieję, że dobrze się Wam wiedzie. Z przyjemnością wspominam popołudnie spędzone razem z Wami w moim domu. Życzę Wam spokojnych świąt Bożego Narodzenia i błogosławieństwa Bożego na Nowy Rok, w którym, miejmy nadzieję, nadarzy się okazja do wykorzystania kamizelki z kapturem, którą wymyśliliście.

Wasz oddany Gaspare Tagliacozzi

Pod spodem była nazwa miasta, data i nic więcej. Ogarnęły mnie mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyłam się z wiadomości od niego i życzeń - jedno i drugie świadczyło o tym, że nie zapomniał o naszej umowie - z drugiej zabolął mnie chłodny ton listu. Tłumaczyłam sobie jednak, że doktor w końcu się odezwał i kontakt nie urwał się zupełnie. Poznałam też jego imię: Gaspare... Złożyłam papier i chciałam wejść z powrotem do domu, ale posłaniec zawołał:

- *Signorina!*

Zupełnie o nim zapomniałam.

- Czego jeszcze chcesz?

- Wybaczcie, *signorina*, ale mam poczekać na odpowiedź.

- Na odpowiedź? - Jeszcze raz przebiegłam wzrokiem list, zastanawiając się, co mogłabym odpowiedzieć Gasparemu. Przychodziły mi do głowy tysiące rzeczy, ale żadna nie wydawała się właściwa. W końcu rzekłam do biednego posłańca, który drżał z zimna:

- Przekaż swojemu panu, że dziękuję mu za wiadomość i także życzę spokojnych świąt.

- Do usług, *signorina*. - Posłaniec odetchnął z ulgą i pospieszył z powrotem.

Westchnęłam i weszłam do domu.

W Boże Narodzenie roku 1573 praca przeplatała się z modlitwą i samotnością, przy czym najwięcej było samotności. Wprawdzie w Wigilię byłam w kościele z *signorą* Carducci, zjadłyśmy też później razem w moim domu makaron z wędzonką z dzika, ale obie czułyśmy, że nie mamy już sobie zbyt wiele do powiedzenia. Być może również dlatego, że nie zjawiłam się na pogrzebie Marca. Obydwu nam go brakowało, ale most, który kiedyś zbudował między nami, przestał istnieć.

Pozostawała praca w szpitalu w San Lorenzo. W zimnej porze roku liczba pacjentów rosła, potrzebna była każda para rąk. Między świętami a Nowym Rokiem w sali chorych zjawiła się nagle przeorysza wraz z profesorem Aranziem. Wstrzymałam oddech i o mały włos nie rozlałam zupy, którą karmiłam gorączkującego pacjenta, pomyślałam bowiem, że tam, gdzie jest profesor, niedaleko powinien też

być jego przyjacielem, doktor Tagliacozzi. Czekano mnie jednak z rozczarowaniem. Przeorysza i profesor przyszli sami i we dwoje wolno przechodzili od łóżka do łóżka, pocieszając pacjentów krzepiącymi słowami.

Obok pielęgnacji chorych w szpitalu było dużo prac porządkowych na terenie klasztoru, co powodowało, że prawie codziennie pracowałam w innym miejscu. Raz byłam w pralni, potem w szwalni, w warsztacie, w kuchni, w bibliotece - byłam wszędzie, a jednak nigdzie, bo w myślach znajdowałam się przez cały czas we wspaniałym domu terakotowej barwy u doktora Tagliacozziego i przymierzałam pacjentowi kamizelkę z kapturem. Paliłam się do wypróbowania swojego dzieła i z wielkim trudem koncentrowałam się na monotonnej pracy w szpitalu.

Wreszcie - był już luty 1574 roku - pewnego wietrznego wieczoru przed moim domem zjawił się posłaniec. Wiadomość, którą mi przyniósł, była równie krótka jak radosna:

Mam pacjenta, przybądźcie jutro o piątej po południu na Via delie Lame.

G. T.

Byłam uszczęśliwiona, nie mogłam się doczekać spotkania. Następnego dnia Adelmo przywitał mnie z poważną miną:

- Dzień dobry, sestro Carlo - powiedział. - Chodźcie łaskawie za mną.
- Znowu podreptał przodem, jednak tym razem nie poprowadził mnie schodami na górę, lecz do sali na parterze w pobliżu wejścia. Pomieszczenie było jasne i przestronne, ale bez żadnych ozdób. Stało tam łóżko, na którym siedział jakiś mężczyzna. Mógł dobiegać czterdziestki, bo jego twarz nie była już twarzą młodzieńca. Między oczami a ustami zamiast nosa znajdował się kikut z dwiema nierównymi dziurkami. Nie był to piękny widok. Żeby pokryć zmieszanie, przedstawiłam się:

- Jestem Carla Castagnolo - powiedziałam i dodałam pytanie, które zadaje się we wszystkich szpitalach na początku rozmowy: - Jak się dziś czujecie?

- Wcale nieźle - burknął pacjent - gdyby nie ta przeklęta bezczynność.

- Tak, rekonstrukcja nosa długo trwa.

Ponieważ nie wiedziałam, co miałabym jeszcze powiedzieć, usiadłam na brzegu łoża i zbadałam puls chorego. Był równomierny. Nie mogłam zbadać pulsu na drugiej ręce, gdyż ramię mężczyzny spoczywało na postumencie z geometrycznymi ornamentami. Ujrzałam, że wewnętrzna strona ramienia ma dwa podłużne nacięcia. Tworzyły one coś w rodzaju mostu z płata skóry, który u góry i u dołu był jeszcze połączony ze skórą ramienia. Pod tym płatem przeciągnięto pas lnianego płótna i zawiązano go po zewnętrznej stronie. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna miał podwiązane ramię.

- Nazywam się Silvestro Badoglio.

- Moje imię już znacie.

- Jestem z zawodu geometrą.

- To chyba ciekawa praca.

- Nie, wcale.

- Ach tak?

- O nic tak bardzo nie kłóć się ludzie jak o podział gruntów,

- Nie wiedziałam.

- Tak właśnie jest.

- Skoro wy tak mówicie...

- Muszę jeszcze poczekać tydzień, zanim wreszcie sprawa z nosem posunie się naprzód. - Jak doszło do okaleczenia?

- Napad.

- Współczuję panu.

- Tak, tak.

Rwąca się rozmowę przerwało zjawienie się doktora Tagliacozziego, ubranego znowu na czarno, jednak z różowym koronkowym kołnierzem przy kubraku, co odejmowało mu trochę sztywności.

- Jak widzę, poznaliście się już - zawołał dobrodusznie. - Jak się dziś czujecie, *signore!*

- Całkiem nieźle, *dottore*, gdyby nie ta przeklęta bezczynność.

- Tak, tak, bezczynność to obok bólu najgorsza wada tego leczenia.

- Puls *signora* Badoglia jest normalny - wtrąciłam.

Doktor przez chwilę sprawiał wrażenie zaskoczonego. Może zapomniał, że byłam nie tylko krawcową, ale i pielęgniarką w szpitalu. Szybko się jednak opanował i rzekł:

- Siostra Carla jest mi wielką pomocą. Zaraz was zmierzy, *signore*, żeby mogła uszyć wam kamizelkę z kapturem.

- Kamizelkę? - zapytał nieufnie Badoglio.

- Wyjaśniałem wam już, *signore*, że do trzeciego i czwartego aktu operacji niezbędna jest kamizelka.

- Tak, ale jeszcze tydzień będę musiał nosić bandaż przeciągnięty przez ramię. Sami to mówiliście, *dottore*. Nie dałoby się tego zrobić prędzej?

W oczach lekarza zamigotała iskierka niezadowolenia.

- Wszystko wymaga czasu. Jak już wam mówiłem, płat skóry na ramieniu przechodzi proces dojrzewania, porównywalny z czterema stopniami wieku człowieka. Proces zaczyna się od *pueritii*, okresu bezpośrednio po nacięciu, kiedy przeciąga się pas lnu pod płatem skóry, żeby wywołać zapalenie i - wspomagane przez okłady i maści

- pożyteczne ropienie. Potem następuje *eductio*, kiedy rana zaczyna wysychać, a jeszcze później - zabliznienie zwane *adolescentia*, odpowiadające *aetas vmlis* - wiekowi męskiemu, natomiast *senectus*

- wiek starczy stanowi zakończenie, kiedy płat skóry robi się suchy i zwiędły. Ale tak daleko jeszcze nie doszliśmy. Proszę o cierpliwość. Na początku leczenia zwracałem wam uwagę, że operacja jest długotrwała i uciążliwa. Pamiętajcie o tym, jaka nagroda was czeka.

- Dobrze, *dottore* - Badoglio sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

- A teraz siostra Carla obmierzy was, żeby wam uszyć kamizelkę operacyjną.

- Dobrze, *dottore* - powtórzył pacjent.

- Siostrze Carlo, będę potrzebował kamizelki dokładnie za tydzień. Będziecie mogli się tu zjawić przed południem?

- Myślę, że mi się uda, będę tylko musiała odpracować mój dyżur w szpitalu, ale jestem pewna, że matka przełożona się zgodzi.

- *Va bene!* A więc zobaczymy się, tak jak się umówiliśmy. Wybaczcie, ale bardzo się spieszę. Skinął głową mnie i pacjentowi i szybko opuścił salę. Oboje trochę się zdziwiliśmy, ale udałam, że zachowanie doktora jest zupełnie zrozumiałe, i zabrałam się do dzieła. Obmierzając starannie *signora* Badoglia, usiłowałam stłumić lekką urazę z powodu zachowania doktora.

Moje niezadowolenie trwało przez cały tydzień. Wprawdzie powtarzałam sobie, że doktor Tagliacozzi na pewno miał poważne powody, by tak szybko odejść, ale byłam zdania, że powinien był poczekać przynajmniej do końca obmierzania pacjenta. Trwało to nie dłużej niż kwadrans, a ja specjalnie w tym celu przyszedłam.

Z drugiej strony, mówiłam sobie, doktor jest bardzo zajęтым człowiekiem, no i przeprosił. Czego więc od niego wymagam? Nie wiedziałam czego, i próbowałam skoncentrować się na przygotowywaniu kamizelki. Po czterech dniach była gotowa, ale miałam wątpliwości, czy będzie od razu pasowała. Żadna krawiecka robota nie obędzie się bez przymiarki, mówiłam sobie, a kamizelka operacyjna nie jest wyjątkiem.

Dlatego niewiele myśląc, zapakowałam moje dzieło do wiklinowego kosza i wyruszyłam w drogę do domu w kolorze terakoty. Okrążyłam wielkim łukiem kościół San Rocco leżący na mojej trasie, a kiedy stanęłam przed domem, miałam nadzieję spotkać doktora Tagliacozziego.

Niestety nie było go.

Musiałam więc zrobić przymiarkę bez niego. Na szczęście *sig-nore* Badoglio był tym razem bardziej rozmowny. Opowiedział mi, jak doszło do napadu. Przybył do dzielnicy San Tommaso, aby spotkać się z przyjaciółmi i trochę się zabawić. O późnej godzinie rozbawiony wyruszył w drogę do domu, kiedy kilku zamaskowanych napastników wybiegło z bocznej ulicy i rzuciło się na niego. Momentalnie pokonali go, powalili na ziemię, skopali i obrabowali z pieniędzy. Wszystko to było okropne, ale zwyczajne, bo nocami na ulicach Bolonii często dochodziło do napadów. Naprawdę złe było to, że kiedy uciekali, rzucił za nimi kilka soczystych wyzwisk. Wrócili, najwyższy z nich wyciągnął sztylet i jednym ciosem obciął mu nos. Śmiejąc się, rozdeptali zakrwawiony skrawek ciała i uciekli.

Od tej pory Silvestro Badoglio myślał tylko o jednym: za wszelką cenę zyskać nowy nos.

- Doktor uformuje wam idealny nos - zapewniłam go, chociaż nie byłam tego pewna. Jednak podtrzymywanie optymizmu chorego należy do obowiązków dobrej pielęgniarki i miałam w tym wprawę.

Schowałam kamizelkę z kapturem do kosza, życzyłam pacjentowi wszystkiego najlepszego i opuściłam dom doktora.

Kiedy trzy dni później zjawiłam się znowu, znalazłam Badoglia i doktora w innej sali. Znajdowała się ona na piętrze, bezpośrednio pod tarasem na dachu, a jej okna wychodziły na południe.

- Drogi *signore* Badoglio - mówił doktor, kiedy weszłam - żałuję, że na dzisiejszy drugi i trzeci akt nie mogłem zaprosić swoich studentów, ale naturalnie akceptuję wasze życzenie dyskrecji... O, jesteście już, siostrzo Carlo, zapewne dziwicie się, że zabieg odbędzie się dzisiaj w innej sali, ale żeby operacja się udała, niezbędne jest suche powietrze, a tak bywa raczej na górnych piętrach niż bezpośrednio nad wilgotnym gruntem.

- Rozumiem - odrzekłam.

- Mamy szczęście, że *signore* Badoglio w porę wyzdrowiał, bo przedwczoraj i wczoraj cierpiał na biegunkę, wywołaną przez czynniki zwane *discrasia* albo *cacochymia* soków humoralnych, jak mówimy my, medycy. Popsuła się ich jakość, czyli odpowiedni skład, jednak dzięki kilku skutecznym lekom przywróciliśmy właściwe proporcje. Zanim zaczniemy akt drugi, proszę was o włożenie pacjentowi kamizelki operacyjnej.

- Tak jest, *dottore*. - Wyjęłam moje dzieło z kosza i podeszłam do Badoglia. - Pochylcie się trochę do przodu, *signore*, będzie mi łatwiej włożyć wam kamizelkę - powiedziałam.

- Uważajcie na lewe ramię - dodał doktor Tagliacozzi. - Każde zbyt mocne dotknięcie może zagrozić powodzeniu naszej misji.

Badoglio mruknął coś i pozwolił sobie pomóc przy wkładaniu kamizelki.

- Siostrzo Carlo, nałóżcie pacjentowi także kaptur i zasznuруйте kamizelkę.

Uczyłam, jak mi polecono, i od razu Badoglio siedział na krześle tak prosto, jakby kij połknął.

Doktor Tagliacozzi obszedł go dokoła i sprawdził ze wszystkich stron, jak leży kamizelka.

- Wybornie! - brzmiał jego sąd. - Należy się wam pochwała, siostrzo.

- Dziękuję, *dottore*.

- A teraz muszę was poprosić, żebyście opuścili salę.

Nie czekając na moją odpowiedź, zaczął układać instrumenty w misie.

Nie ruszyłam się z miejsca.

Po chwili podniósł wzrok i zauważył, że nie wyszłam. Zmarszczył czoło.

- Siostro, dziękuję wam za przygotowanie kamizelki, udała się znakomicie i na pewno będzie nam dużą pomocą. Teraz jednak...

- Chciałabym podawać wam instrumenty, *dottore*.

- To nie jest potrzebne, muszę was poprosić...

- Pozwólcie mi zastąpić nieobecnego *ministra*.

- Skąd wiecie, że do następnych aktów potrzebny jest *ministrus!*

- Po prostu wiem. Doktor mienił się na twarzy.

- Może porozmawiamy o tym za drzwiami. - Wziął mnie za ramię i wyprowadził z sali. Ledwo znaleźliśmy się na korytarzu, wybuchnął: - Jak śmieliście nie posłuchać mojego polecenia!

- Jak śmieliście potraktować mnie tylko jako dostarczycielkę kamizelek!

- Wcale was tak nie potraktowałem!

- Obchodziliście się ze mną jak z prostą krawcową, i to na oczach waszego pacjenta!

- Co za nedorzeczność!

- Poprzednim razem nie byliście nawet uprzejmi poczekać do końca przymiarki, chociaż specjalnie po to przyszłam. Nie wierzę, że tak samo się zachowujecie wobec waszej matki...

- Jak śmiecie...

- Nie zaczynajcie od początku. Proszę, pozwólcie mi asystować przy operacji. Wszystko mi jedno, jak mnie nazwiecie, *ministra*, *assista* czy nawet krawcowa, najważniejsze, żebym mogła być przy zabiegu.

- Nigdy!

- Dobrze, w takim razie idę do sali i zdejmuję pacjentowi kamizelkę. Jest moja, mogę z nią zrobić, co zechcę, bo nie zapłaciliście za nią.

- Jak możecie...! Wyciągnęłam do niego dłoń.

- Już raz się pogodziliśmy, pamiętacie? Dlaczego teraz nie mogłoby nam się to udać?

Spojrzał na mnie zaskoczony, niemal z podziwem, i jego rysy się wygładziły. Po chwili uśmiechnął się rozbawiony i powiedział:

- *Caspita*, Carlo! A to dopiero! Potraficie bronić swojego zdania. Niech będzie, zrobię dla was wyjątek. Ale nie wyobrażajcie sobie za wiele. Robię to tylko dlatego, że *ministrus* odmówił mi przed godziną. On też ma biegunkę.

- Dobrze, *dottore* - powiedziałam łagodnie.

- Zanim wejdziemy, muszę zapytać, czy naprawdę czujecie się na siłach, by wypełnić to zadanie. Wymaga ono zarówno siły, jak i zręczności. Asystujący, który robi błędy, jest gorszy niż brak asysty.

- Od kilku lat pracuję w szpitalu zakonnym, *dottore*, i wiele już tam przeżyłam, nie tylko pięknego i miłego.

- A więc zaczynajmy.

Wróciliśmy do sali, gdzie *signore* Badoglio oczekiwał nas z zaciekawieniem. Zupełnie jakbyśmy się umówili, udawaliśmy, że nic nie zaszło. Doktor Tagliacozzi poprosił mnie po cichu, żebym przesunęła stół z instrumentami tak, by pacjent go nie widział. Potem kazał mi ustawić się też obok stołu i na żądanie podawać mu niezwłocznie instrumenty: skalpele, nożyce, igły i inne.

- Nie obawiajcie się, *signore* - powiedział spokojnie. Z jego ataku wściekłości nic już nie pozostało. - Zrobiłem wiele takich operacji.

- Nie boję się, *dottore*, cieszę się, że wreszcie coś się dzieje -burknął Badoglio.

- Wybornie. Po tym, jak akt pierwszy odbył się w odpowiednim czasie i płat skóry dojrzał, po tym, jak dziś rano umyto was jak należy i ogolono, niech rozpocznie się akt drugi. - W głosie doktora było coś uroczystego, brzmiało to tak, jakby wykladał swoim studentom. Następnie przysunął do Badaglia postument z geometrycznymi ornamentami.

- Połóżcie lewe ramię na postumencie, *signore*, wewnętrzną stroną do góry. Tak, dobrze. Przetnę teraz płat skóry w kształcie mostka od strony ramienia, tak że będzie otwarty z trzech stron, nie powinniście przy tym wiele poczuć.

Badoglio skinął głową.

- To oznacza, że płat skóry będzie teraz zwisał jedynie od strony zgięcia łokcia. Zrozumieliście?

- Tak, *dottore*.

Z wielką uwagą przysłuchiwałam się słowom doktora. Nie byłam pewna, czy dokładnie opisując swoje czynności, zwracał się tylko do pacjenta, by go uspokoić. Sądziłam raczej, że robił to, by ułatwić mi asystowanie. Byłam mu za to wdzięczna.

- Siostrze, skalpel z uchwytem z rogu.

Podaliśmy mu go, a on szybkim, zręcznym ruchem odciął płat skóry od strony ramienia.

- To na razie tyle, *signore*. Widzicie, że to miejsce nawet nie krwawi. Zdejmijcie teraz rękę z postumentu i odprężcie się, zanim zacznie się akt trzeci.

Doktor Tagliacozzi obszedł pacjenta dokoła i usiadł na krześle po jego prawej stronie.

- Zanim zacznie się łączenie płata skóry z kikutem nosa, który to etap nazywam *copulare*, trzeba odświeżyć, to znaczy poskrobać skórę kikuta wokół dziurek od nosa. Ten krok nazywa się *narium excoratio*. Siostrze, podajcie mi mały nożyk z okrągłą klingą i przytrzymajcie od tyłu głowę pacjenta.

Podaliśmy mu nożyk i doktor szybkimi ruchami podrapał pole operacyjne. Badoglio zniósł to z otwartymi ustami, tylko raz czy dwa mocno zaczerpnął powietrza.

- Wierzchnią warstwę skóry musimy usunąć, *signore*, bowiem inaczej nic by się nie zrosło. Zaraz skończę. No, gotowe. Siostrze, podajcie mi tampon i kawałek płótna, żebym mógł zetrzeć krew. Czy nadal czujecie się dobrze, *signore*? - Tak, tak.

- Weźmiemy teraz kawałek przezroczystego pergaminu i przyłożymy do kikuta nosa. Siostrze, podajcie mi czerwony ołówek i przytrzymajcie znowu głowę pacjenta. Dziękuję.

Doktor Tagliacozzi przyłożył pergamin do podrapanego kikuta nosa i odrysował jego kształt. Oddał mi ołówek, a ja podałam mu nożyce, które wydawały mi się odpowiednio duże. Doktor wziął je bez wahania i wyciął obrysowany kawałek pergaminu.

- Jesteśmy więc gotowi. W ten sposób powstał wykrój, według którego przytniemy płat skóry z ramienia.

Przysunął znowu postument do krzesła pacjenta, kazał mu położyć na nim rękę i dalej pracował, przykładając wykrój do skóry i przycinając ją odpowiednio.

- Czy to boli, *signore*?

Badoglio wydał coś w rodzaju chrząknięcia, co można było zrozumieć jako zaprzeczenie.

- Przytnę skórę w jej nowym kształcie z małym zapasem, gdyż odciąć można zawsze. Teraz zszyję kikut nosa z kawałkiem skóry. Najpierw jednak musimy odświeżyć również i skórę. Poproszę jeszcze raz nożyk, siostró.

Podałam mu go, a on powtórzył całą procedurę, którą wykonał wcześniej na kikucie nosa. Kiedy skończył, podniósł wzrok i powiedział uroczystym tonem, którego użył już przedtem:

- *Signore, signorina*, zaczynam najważniejszą część rekonstrukcji. Chciałam podać mu wygiętą igłę z nitką, ale powstrzymał mnie.

- Chwileczkę, siostró, musimy najpierw starannie ułożyć lewą rękę pacjenta w dobrej pozycji. Proszę, *signore*, wyciągnijcie ją do przodu, zegnijcie łokieć, bardziej... jeszcze bardziej... dobrze. A teraz połóżcie dłoń wewnętrzną stroną do dołu na głowie i niech tam zostanie. Musicie wiedzieć, że pozostanie tak przez osiemnaście, a może nawet dwadzieścia dni i nocy, w każdym razie tak długo, aż obie części się zrosną. Jak zapewne widzicie, luźny kawałek skóry wisi teraz tuż przed waszą twarzą, tak że muszę go jeszcze tylko przyszyć do kikuta nosa. Siostró, proszę teraz o igłę, i przytrzymajcie z całej siły głowę naszego pacjenta.

- Dobrze, *dottore*.

Kiedy doktor zaznaczał miejsca wkłucia igły, nagle zaczął wykladać po łacinie: — *Igitur in virili aetate constitutum, atque tum, ubi iam penitus obduruit, et iam fleet incipit, validum satis, atque ad sus-tinendam operationis vim apprime munitum, traducem oportet ampere, et cum curtis partibus novo insitionis, consortio copulare.*

- Co mówiliście, *dottore*? - W przeciwieństwie do mnie (do tej pory zdążyłam już nauczyć się łaciny) Badoglio najwidoczniej nią nie władał.

- Wybaczcie, *signore*, czasem zwycięża we mnie nauczyciel akademicki. Powiedziałem: „Kiedy nastąpi *aetas virilis*, skrawek skóry stwardnieje i zacznie się przystosowywać, tak że będzie dostatecznie mocny i gotowy do zniesienia operacji. Nadeszła pora, żeby połączyć skrawek ze zniekształconymi partiami ciała w nowej wspólnocie. Właśnie to teraz zrobię.

Przez następne pół godziny doktor Tagliacozzi milczał, bowiem był zbyt zajęty starannym szyciem. Zaczął od środka. Kiedy skończył, zawiązał nitki i zadzwonił na służącego.

Adelmo zjawił się natychmiast, jakby na to czekał.

- Każ wnieść łóżko *signora* Badoglia na górę, operacja zaszła tak daleko, że nie potrzebujemy już tyle miejsca.

- Do usług.

Adelmo skłonił się i wkrótce dwóch silnych mężczyzn wniosło łożo.

- Ustawcie je tak - zarządził doktor - żeby był wygodny dostęp z dwóch stron i żeby *signore* Badoglio mógł widzieć okno. .

- Tak jest, panie.

- Dziękuję, Adelmo, możecie wszyscy odejść. Zaraz też zwrócił się do mnie.

- Zaprowadzimy teraz naszego pacjenta do łóżka. Trzymajcie mu, proszę, nadal mocno głowę. *Signore* musi siedzieć, siedzieć wyprostowany, a my za pomocą kilku bandaży i opatrunków unieruchomimy mu ramię na kilka tygodni. To bardzo ważne, bowiem gdyby ręka nawet odrobinę się poruszyła, szwy nie wygoiłyby się i cała operacja by się nie udała.

- Dobrze, *dottore*, naturalnie.

- Przygotowałem bandaże, zamoczone uprzednio w białku jajka, wodzie różanej, żywicy palmowej i glince z Lemnos. Potrzebujemy bandaży na pierś, pod pachy, na ramię i łokieć. Wszystkie są równie ważne, dopiero ich współdziałanie przy odpowiednim usztywnieniu członków doprowadzi nas do celu.

- Tak jest, *dottore*.

Trwało to jeszcze dobrą chwilę, zanim *signore* Badoglio był tak opatrzony, że jego bandaże i opatrunki wytrzymały krytyczną ocenę doktora.

- Skończyliśmy - powiedział w końcu do pacjenta. - Teraz musicie być cierpliwi, patrzcie przez okno i podziwiajcie czerwone dachy Bolonii, z których powodu nasze piękne miasto nazywane jest *la rossa*. Obserwujcie gołębie w locie, śledźcie drogę słońca po nieboskłonie i nasłuchujcie dzwonów z San Rocco. Przede wszystkim jednak myślcie o swoim wyzdrowieniu, módlcie się o to, kiedy zadzwonią dzwony, wówczas Wszechmogący obdarzy was pięknym nowym nosem.

- Dziękuję, *dottore* - powiedział Badoglio ze wzruszeniem.

- To jeszcze nie wszystko. Próbujcie zasnąć. Jeśli nie będziecie mogli, dajcie znać Adelmowi. Poda wam lekarstwo, które działa również wtedy, kiedy pacjent siedzi, i spowoduje łagodną drzemkę. A teraz wybaczcie, że ja i siostra Carla odejdziemy. *Guarisci presto*, zdrowiejcie szybko.

Doktor wziął mnie za ramię i wyprowadził z sali. Za drzwiami zatrzymał się i spojrzał na mnie uważnie.

- Muszę przyznać, że byliście bardzo dzielni, Carlo.

- Czy mogę być obecna przy następnych aktach, *dottore*? - Była to jedyna rzecz, o której mogłam teraz myśleć.

Tagliacozzi zawahał się, po czym powiedział:

- Tak.

Rzuciłam mu się na szyję.

- Dziękuję, *dottore*, dziękuję! - Z radości nie zauważyłam, jak wielkiego nietaktu się dopuściłam. Nietakt ów jednak nie został źle przyjęty, gdyż przez chwilę doktor trzymał mnie mocno w objęciach.

Akty czwarty i piąty rekonstrukcji nosa odbyły się tak samo, jak potajemnie zaobserwowałam w Archiginnasio, i dlatego asystując doktorowi, nie popełniłam ani jednego błędu.

Odtąd zdarzało się, że oboje po zabiegu rozmawialiśmy przez chwilę prywatnie i coraz częściej myślałam, że nie było mi bynajmniej nieprzyjemnie, kiedy przez krótką chwilę trzymał mnie w ramionach. Były to naturalnie zbędne myśli i starałam się ich jak najszybciej pozbyć.

Kiedy płat skóry dojrzał i został oddzielony od ramienia, a odstający kawałek przygięty za pomocą bandaży do dołu i przygotowany do przyrośnięcia, doktor Tagliacozzi powiedział do Badaglia:

- Drogi *signore*, już tylko kilka dni cierpliwości, a będziemy mogli wymodelować przegrodę i dziurki w nosie. To właśnie będzie akt szósty. Jednak przedtem wasza cierpliwość zostanie nagrodzona. Chodźcie, proszę, za mną.

Zaprowadził swojego pacjenta do sali z kominkiem, na którego gzymsie stał tuzin modeli nosa, i powiedział nie bez dumy:

- Te egzemplarze przedstawiają, co ma do zaoferowania nowoczesna chirurgia. Nie każdy model będzie się dla was nadawał, ale kilka z nich tak. Proszę, wyszukajcie sobie nos, jaki by wam najbardziej odpowiadał.

Badoglio otworzył szeroko oczy ze zdumienia, wymruczał coś w rodzaju: „To niemożliwe, niemożliwe” i po dłuższym szukaniu wybrał model.

Doktor Tagliacozzi wziął go do ręki.

- Cóż, *signore*, ten kształt odpowiada zapewne dość dokładnie kształtowi waszego poprzedniego nosa, co mnie nie dziwi. Większość pacjentów decyduje się w podobny sposób. Chcieliby mieć to samo, co kiedyś mieli.

- Tak, tak.

Kilka dni później doktor wymodelował przegrodę, którą to czynność nazwał *insitio columnae*, i uformował dziurki w nosie.

- To był akt szósty. Nasze usiłowania, by oddać naturze to, co tak nieszczęśliwie straciła, powoli zbliżają się do końca - oznajmił doktor i jego głos zabrzmiał znowu tak, jakby wykladał w Scuola d'Aranzio. - Mam tu dwie *tubuli* ze złota oraz *tectorium* odlane z brązu. *Tubuli* to rurki, które wprowadzę do dziurek nosa, żeby zachowały dobry kształt. *Tectorium* zaś to szablon, według którego poleciłem zrobić wybrany przez was model. Szablon ten jest konieczny, żeby urzeczywistniło się wasze pragnienie idealnego nosa.

- Jak długo będę musiał chodzić z tymi... rzeczami? - zapytał Badoglio nieufnie.

- Około dwóch lat.

- Dwa lata?! - zawołał pacjent. - Czy to się nigdy nie skończy? Doktor Tagliacozzi skrył uśmiech.

- Uspokójcie się, *signore*, ten szablon będziecie nosić tylko nocą, rurki tak samo.

- Kiedy będę mógł wrócić do domu?

- Zaraz, *signore*.

- Zaraz? Tak nagle?

Doktor pozwolił sobie jednak na uśmiech.

- Jak to nagle? Leczenie trwało cztery miesiące. Życzę wam wszystkiego najlepszego, drogi *signore*. Mimo waszego temperamentu byliście przez cały czas miłym pacjentem. Noście *tectorium* i *tubuli* nocą i co trzy miesiące zgłaszajcie się tu, w moim domu, żebym mógł obserwować postęp w modelowaniu. Wkrótce zadowolony Badoglio wyszedł, a ja powiedziałam: - *Dottore*, to było sześć aktów, a wy kilkakrotnie mówiliście o siedmiu. Jaki jest akt siódmy?

- Usiądźcie, Carlo. - Znajdowaliśmy się w sali z kominkiem i piliśmy wino za szczęśliwe zakończenie leczenia. - Odpowiem wam na to pytanie: akt siódmy polega na używaniu szablonów i trwa, jak już powiedziałem *signorowi* Badogliowi, pełne dwa lata.

- Rozumiem.

- *Salute*, Carla.

- *Salute*, *dottore*.

Nastąpiła przerwa w rozmowie, a ja pomyślałam znowu o wykroczeniu, którego się dopuściłam wobec niego. Może być, że i on o tym myślał, bo przyglądał mi się w swój zwykły sposób. Żeby pokonać narastające zmieszanie, zapytałam:

- A dlaczego używacie ciągle... hmm... pewnych metafor, kiedy mówicie o kolejnych etapach leczenia? Zmiany w płacie skóry określacie jako dojrzewanie, etapy leczenia - jako fazy ludzkiego życia, połączenie płata skóry z ramienia z nosem nazywacie zjednoczeniem, *copulatio*. Zdradźcie mi, czy robicie to celowo?

- Ależ naturalnie, droga Carlo. Wybierane przeze mnie porównania mają nawiązywać do biblijnych liczb i zjawisk. Na przykład sześć aktów odpowiada sześciu dniom, kiedy to Bóg stworzył świat, a akt siódmy, akt oczekiwania na ostateczny rezultat, odpowiada siódmemu dniowi stworzenia, dniowi odpoczynku, niedzieli. Dla wykształconych pacjentów - a większość ich ma dobre wykształcenie - te terminy mają podwójne znaczenie: mają uzmysławiać podobieństwo między naturą a *ars chirurgica*, między boskim tworzeniem a tym, co jest

możliwe dla człowieka. Pacjenci powinni wiedzieć, że chirurg wykorzystuje wprawdzie istniejącą materię, jednak dzięki swojej zręczności udaje mu się stworzyć coś więcej niż tylko dzieło sztuki, może nawet coś, co zasługuje na *admiratio*.

Wątpiłam, czy Silvestro Badoglio przyswoił sobie ten sposób rozumowania, zakończenie leczenia jednak przypomniało mi najważniejsze pytanie, które miałam zadać doktorowi.

- *Dottore* - powiedziałam, uprzednio wypiwszy duży łyk wina dla dodania sobie animuszu - czy wezwiecie mnie do następnej rekonstrukcji nosa?

Przyglądał mi się przez chwilę, kołysząc w ręku kielich z winem, spojrzał na mnie znowu, zmarszczył brwi i powiedział:

- Nie.

- N... naturalnie. Tak też myślałam. - Odwróciłam wzrok i próbowałam nie okazać bezgranicznego rozczarowania. - W każdym razie dziękuję wam za możliwość współpracy, sprawiła mi, no cóż... sprawiła mi wiele radości. Chciałam wstać, jednak Tagliacozzi powstrzymał mnie słowami:

- Dla mnie też nasza współpraca była bardzo przyjemna i dlatego wcale nie myślę jej zakończyć. - Co mówicie? - Zmieszana usiadłam z powrotem. Na twarzy doktora ukazał się znowu uśmiešek rozbawienia, który z jednej strony bardzo lubiłam, z drugiej jednak wzbudzał we mnie gniew. Tagliacozzi uśmiechał się coraz szerzej i w końcu powiedział:

- Na pytanie, czy wezwę was znowu do rekonstrukcji nosa, odpowiedziałem „nie”, bowiem nie będzie następnej rekonstrukcji.

Siedziałam bez ruchu i w oczach musiałam mieć wielki znak zapytania, gdyż doktor roześmiał się głośno i mówił dalej:

- Wszelako będzie następna operacja. Wczoraj spotkał mnie zaszczyt, ponieważ zgłosiła się do mnie na konsultację wysoko postawiona osoba, hrabia Paolo Emilio Boschetti z Modeny. Ma trzydzieści trzy lata i cierpi z powodu złamania i skręcenia lewej ręki. Obie te przyczyny doprowadziły do tego, że nie może ani wyprostować, ani zgiąć łokcia. Hrabia powiedział, że rękę uprzednio chyba źle złożono, ale teraz ma nadzieję na poprawę. Powiedziałem mu, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc. Jutro

ma przyjść znowu na badanie, żebym mógł postawić dokładną diagnozę.

- A ja mam...

- Owszem, Carlo, przywiązuję dużą wagę do waszej obecności. Przyjmuję, że w szpitalu sióstr zajmowaliście się już wieloma złamaniami?

- Naturalnie, *dottore*. - Mój początkowy gniew z powodu kolejnego zartu moim kosztem dawno już się rozwiął. - Kiedy mam się stawić?

- Przyjdźcie około trzeciej po południu.

- Bardzo chętnie, *dottore*, bardzo chętnie! *Arrivederci*.

- *Arrivederci*, Carla.

Wyfrunęłam z domu doktora jak na skrzydłach.

Niespełna dobę później zobaczyłam znowu doktora Tagliacozziego.

Na konsultację wybrał salę pod tarasem na dachu, którą już znałam. Hrabia siedział na krześle, tak jak przedtem *signore* Badoglio. Był niskim, dość korpulentnym jak na swój młody wiek mężczyzną, co widać było, gdy się rozebrał. Skórę miał białą niczym brzuch ryby, był też silnie owłosiony, również na plecach. Mimo tych defektów urody miał minę, jaką często mają szlachetnie urodzeni - wyrażała mieszaninę zarozumiałości i znudzenia.

Uszkodzone ramię miało deformacje i widoczne blizny po źle zagojonych ranach. Doktor Tagliacozzi uniósł ostrożnie łokieć pacjenta i rzekł:

- Tu zrosło się coś, co nie powinno było się zrosnąć, drogi hrabio.

- Co mówicie? - odezwał się dostoyny pacjent nosowym głosem.

- Zanim odpowiem, przedstawię wam siostrę Carlę. Pracuje w szpitalu zakonnym San Lorenzo i ma duże doświadczenie ze złamaniami.

- Spóźniła się.

Hrabia nie uważał za stosowne przywitać się ze mną, prawie na mnie nie spojrział. Nie dość tego: jego zarzut był niesprawiedliwy. To on przyszedł za wcześnie, a więc był niepunktualny.

- Wybaczcie, hrabio. - Doktor zignorował jego nietakt. - Czy możecie podnieść ramię i jednocześnie zgiąć łokieć?

Pacjent spróbował, ale nie udało mu się tego zrobić. Mogły być tego trzy powody: zanik mięśni wskutek braku ruchu, ból przy poruszaniu ręką lub niedostateczne usiłowania hrabiego. W każdym razie z pewnym zadowoleniem spostrzegłam, że jego zblazowana mina zmieniła się pod wpływem bólu.

- Siostrzo Carlo, przyrządźcie, proszę, trochę *laudanum*, żeby hrabia nie odczuwał dolegliwości, kiedy będę badał rękę. - Doktor przerwał i spojrzał na pacjenta. - Aby postawić właściwą diagnozę, musimy podjąć trud zginania i prostowania ręki. Nie mogę wam tego niestety oszczędzić.

- Róbcie, co uważacie za stosowne. - Na czole hrabiego pojawiły się krople potu.

Ja tymczasem zmieszałam w odpowiedniej proporcji alkohol z opium. Hrabia połknął miksturę z kwaśną miną. Oczekaliśmy chwilę, aż *laudanum* zacznie działać. Czas płynął wolno, bowiem hrabia milczał, nie zdradzając ochoty do rozmowy. Potem zaczęło się badanie polegające nie tylko na zginaniu i prostowaniu ręki. Hrabia musiał poruszać wszystkimi palcami, chwycić przedmioty, związać dłoń w pięść, poruszać nadgarstkiem. Doktor Tagliacozzi wciąż na nowo obmacywał miejsce złamania, oglądał je ze wszystkich stron, wachał, a nawet przykładał doń ucho. Brakowało tylko polizania rany, wtedy użyłby do postawienia diagnozy wszystkich pięciu zmysłów.

Ale i tak potrafił ją postawić.

- Niestety nie mam dla was dobrych wieści, hrabio. Nie uda się całkowicie przywrócić wszystkich funkcji ręki, a to z dwóch powodów: po pierwsze, kość źle się zrosła, a po drugie, w ścięgnach mięśni, które są konieczne do zginania i prostowania ręki, znajduje się ciecz wodnista.

- Wolałbym usłyszeć od was coś bardziej pomyślnego, *dottore* - powiedział hrabia przez nos. Zabrzmiało to tak, jakby doktor Tagliacozzi był osobiście odpowiedzialny za złą wiadomość.

Jednak Tagliacozzi nie dał się zbić z tropu.

- Ponieważ nie jest możliwe skorygowanie pierwszej wady - wyjaśnił - mogę leczyć tylko drugą. Bardzo mi przykro. Nie chcę was zwodzić, hrabio: wasz łokieć, jak już mówiłem, nie będzie mógł

się zupełnie sprawnie poruszać, lecz obecny stan można znacznie poprawić, kiedy zlikwidujemy płyn w ścięgnach za pomocą odpowiednich leków.

- Uważacie, że to możliwe?

- W przeciwnym wypadku bym tego nie zalecał.

Tą uwagą doktor utarł wreszcie nosa hrabiemu, i to z najnaturalniejszym uśmiechem na świecie. Podziwiałam go.

- Niech więc tak będzie.

- Wybornie, hrabio. Siostra Carla da wam *laudanum*, gdybyście znowu mieli bóle. Wystarczy łyżeczka. Jeśli się zgodzicie, spotkamy się pojutrze, najlepiej w porze wieczornej mszy, a więc o szóstej po południu. Może w waszym domu znajdzie się jakaś współczująca dusza, która w tym samym czasie będzie się modliła za skuteczną terapię.

- *A Dio piacendol*

Hrabia wstał i zaraz zjawił się służący, by pomóc mu się ubrać. Doktor i ja czekaliśmy, póki się nie pożegnał, a potem wypiliśmy tradycyjny kieliszek wina w sali z kominkiem i modelami nosów.

- *Dottore*, do czego będę wam potrzebna przy tym leczeniu? - zapytałam, kiedy już wznieśliśmy toast. - Dzisiaj tylko zmieszałam *laudanum*. Każdy by to potrafił.

- Możliwe, droga Carlo. - Doktor się uśmiechnął. - To jednak, czego będzie wymagała terapia, będzie o wiele trudniejsze i dlatego potrzebuję waszej pomocy.

- Co będzie takie trudne?

- *Salute*, Carlo.

- A więc co będzie trudne?

- Pozwólcie, że was zaskoczę. *Salute*.

- *Salute, dottore*. Czasem jesteście jak ostryga.

- Ostryga? No cóż, jeśli nawet, to z wami jako perłą.

Byłam wniebowzięta z powodu ostatnich słów doktora; nastrój ten trwał przez cały następny dzień, po południu jednak zakłóciło go przybycie posłańca, którego już znałam. Przybył od doktora Tagliacozziego i tym razem podał mi nie list, lecz paczkę.

- Dziękuję. Czy poczekaasz na odpowiedź?
- Nie, *signorina*, miałem wam tylko życzyć dobrego dnia. *Arrivederci*.
- Skłonił się lekko i odszedł.

Weszłam do domu i z radosnym oczekiwaniem otworzyłam paczkę. Zawierała list i książkę. List od doktora Tagliacozziego brzmiał:

Droga Carlo!

Dziś rano dostałem wiadomość od hrabiego z Modeny. Hrabia prosi mnie, żeby moja asystentka nie nosiła woalki podczas zabiegów. Nie pytajcie mnie, co sądzę o tej prośbie, jednak nie da się uniknąć jej spełnienia. Być może książka, którą wam przysyłałem, będzie kluczem do tej zagadki.

Cieszę się na jutro.

G. T.

Z ciekawością wzięłam do ręki ciężką księgę oprawną w skórę. Nosiła tytuł *Secreti diversi*, jej autorem był Gabriele Falloppio. Doktor Tagliacozzi przewidywał, że tytuł „Rozmaite tajemnice” niewiele mi powie, i dlatego dołączył do książki kilka słów wyjaśnienia. Wynikało z nich, że Falloppio zmarł w roku 1562 i aż do tej pory wytwarzał i sprzedawał w Padwie specjalny olejek na porost włosów. Jego klientki pochodziły przeważnie z Wenecji, ale także z Padwy, Bolonii i Ferrary, i oprócz olejku stosowały opracowaną również przez niego metodę rozjaśniania włosów. Środek ten jednak był tak silny, że wielu kobietom wypadały włosy, co, jak doktor ironicznie zauważył, mogło być spowodowane celowo, żeby zwiększyć sprzedaż olejku. Falloppio, który poza tym był pracowitym medykiem i chirurgiem, zawsze krytycznie odnosił się do rekonstrukcji nosa, ponieważ przez całe życie uważał *ars reparatoria* za ingerencję w dzieło Boże i polecał zamiast tego sztukę szminkowania się. Księga ta była, według słów doktora, zbiorem recept i przepisów, również z dziedziny kosmetyki, a więc zawierała wskazówki, jak mogłabym zatuszować moje znamię.

W miejscu, gdzie autor objaśniał tajemnice sztuki szminkowania się, doktor Tagliacozzi umieścił zakładkę.

Nie chciałam tego czytać. Nie chciałam czytać ani całej książki, ani wybranych fragmentów, bo byłam bardzo zła. Zamknęłam księgę i rzuciłam ją w kąt.

Postanowiłam, że następnego dnia nie pójdę do domu doktora.

Naturalnie poszłam, ale, jak zapewniałam sama siebie, tylko po to, żeby wygarnąć doktorowi, co o tym myślę. Zjawiłam się prawie dwie godziny przed umówioną godziną, żeby zażądać od niego wyjaśnień i natychmiast wyjść.

Kiedy Adelmo zaprowadził mnie do gabinetu pod tarasem na dachu, nie traciłam czasu.

- Tu macie waszą książkę, nie potrzebuję jej! - zawołałam i cisnęłam doktorowi księgę pod nogi.

W ostatnim momencie zdążył schwycić tom.

- Ojej, czemu tak gwałtownie, Carlo?

- Jak śmieliście przysłać mi takie haniebne dzieło!

- Haniebne? Miałem najlepsze chęci...

- Tak, haniebne! A jak inaczej nazwać pisaninę, która z całą powagą zachęca kobiety do stosowania środka na rozjaśnianie włosów, po którym włosy wychodzą!

- Ale tych środków wcale nie trzeba używać...

- A ja mam smarować sobie twarz jego wymysłami, po których skóra zaczęłaby schodzić mi płatami, czy jak to sobie wyobrażacie?

- Ależ Carlo, proszę...

- Możliwe, że mieliście najlepsze chęci, ale uważam to za obrazę, żebym z powodu tego jakiegoś hrabiego musiała szminkować sobie twarz!

- Carlo - Doktor uśmiechnął się lekko. - Już kilka razy się pogodziliśmy, pamiętacie? Dlaczego nie miałyby się nam to udać i tym razem? Nie chciałem was dotknąć, naprawdę. Uważałem pomysł zamalowania waszego znamienia za dobry, nie tylko z powodu hrabiego, lecz w ogóle. Chyba że chcecie przez całe życie ukrywać się za woalką?

- Na pewno nie będę się smarować wytworami tego Falloppia - powiedziałam trochę udobruchana.

- W takim razie będę musiał zrezygnować z waszej pomocy.
Zamilkłam.

- Sami widzicie, że tego też byście nie chcieli.

- Ja... ja...

- Tak?

Walczyłam ze sobą, czy powinnam to powiedzieć, bo nigdy z nikim z wyjątkiem Marca o tym nie rozmawiałam, jednak w końcu wybuchnęłam:

- Nawet gdybym chciała, to nie mogłabym się uszminkować, bo... bo nie mogę patrzeć w lustro!

Spojrzał na mnie i z powagą pokiwał głową.

- Rozumiem. Rozumiem was bardzo dobrze, Carlo, przede wszystkim jako lekarz. Wiem, że istnieją opory, których nasz duch nie potrafi przezwyciężyć. Bywają chorobliwe lęki, które, podobnie jak wy, musi codziennie znosić wielu ludzi. Niektórzy boją się morza, inni nie cierpią zapachu czosnku, jeszcze inni lękają się pajaków albo innych stworzeń. Wspólne dla tych wszystkich ludzi jest to, że nie panują nad swoimi lękami.

- Nie chcę być chora!

Tagliacozzi podszedł do mnie i wziął mnie za rękę.

- Wszyscy jesteśmy w mniejszym lub większym stopniu chorzy, Carlo. Jeden chorobliwie zazdrości swojemu sąsiadowi, inny stale się boi, że nie zamknał drzwi, jeszcze inny w kółko opowiada to samo, nie zdając sobie z tego sprawy. Wszyscy mają swój los, swoje cierpienia i ułomności i bardzo rzadko my, lekarze, potrafimy im naprawdę pomóc.

- Nie mogę i nie chcę smarować twarzy szminką.

- Dobrze już, dobrze. - Mocniej uściskał mi rękę. Miał ciepłą, silną dłoń, czułam się z nią bezpiecznie. - Chodźcie ze mną.

Zaprowadził mnie na dół aż na *piano nobile* i kazał mi poczekać pod drzwiami. Stałam tam i zastanawiałam się, co doktor zamierza ze mną zrobić, ale szybko wyszedł, uśmiechnął się i zaprosił mnie do środka.

Stało tam wielkie łóżko z kolumnami, ze wspaniałym baldachimem i lustrem. Lustro było prawie tak wysokie jak kolumny łóżka i szerokie na szerokość ramion - i nie było niebezpieczne.

- Widzicie, lustro nic wam nie zrobi. Zakryłem je kapą. Rzeczywiście wielka adamaszkowa tkanina w kolorze złota przykrywała dokładnie *brutto nemico*, a ja odetchnęłam.

- Nic wam się nie stanie, poza tym jestem przy was.

- I co teraz? - zapytałam nieśmiało.

- Teraz siadajcie na łożu i czekajcie na to, co nadejdzie. Usiadłam, ale zaraz się zerwałam.

- Nie chcę, to się nie godzi...

Popchnął mnie łagodnie z powrotem na łoże.

- To sypialnia mojej matki. Jest najsurowszą przyzwoitką, jaką można sobie wyobrazić, nawet kiedy jest nieobecna. Nic się wam nie stanie.

- Co macie zamiar zrobić?

- Zaraz się dowiecie.

Usiadł przy mnie i przyciągnął bliżej mały stolik z różnymi naczynkami.

- Co to jest?

- Chwileczkę. Zamknijcie oczy.

Posłuchałam go i poczułam, że zdejmuje mi beret z woalką. Przez chwilę nic się nie działo, słyszałam tylko, że przesuwają jakieś tygielki czy garnuszki, i nagle poczułam coś wilgotnego na znamieniu. Otworzyłam gwałtownie oczy i zobaczyłam go z białą poduszczką z waty w ręce.

- Co robicie?

- Szminkuję was.

- Nie!

Chciałam wstać, ale znowu popchnął mnie na łoże.

- Pozwólcie mi, będziecie zdumieni rezultatem. Posłuchałam go niechętnie.

- Co to za substancja?

- Biel ołowiowa. Jeśli się ją równo nałoży, twarz wygląda równomiernie blado. Zobaczycie, szybko schnie, a poza tym bardzo przyjemnie chłodzi twarz.

- Skąd to wszystko wiecie?

- Od mojej matki. To do niej należą te utensylia. Przyznaję, że nie znam się na nich za bardzo, ale na bieli ołowiowej się znam.

Pozwoliłam, by wysmarował mi całą lewą stronę twarzy tym mazidłem, przy czym, chcąc nie chcąc, musiałam zamknąć oczy. Kiedy skończył z lewą połową twarzy, powiedział:

- Trzeba posmarować też prawą połowę, bo zbyt widoczna jest różnica pomiędzy stroną pomalowaną a naturalną barwą waszej skóry.

- Jaka jest moja skóra?

- Prześliczna, Carlo. Czysta, gładka, o lekko oliwkowym odcieniu. - Musnął palcami mój policzek, a mnie przeszedł dreszcz. - Cudowna, Carlo. - Poglaskał mnie jeszcze raz. Po chwili powiedział: - Właściwie wasza skóra jest zbyt piękna, by pokrywać ją bielą - ale ja prawie go nie słyszałam, gdyż zawładnął mną czar tej chwili.

Szmkował mnie dalej, jakby nic nie zaszło, a kiedy skończył, powiedział:

- A teraz usta. Mam czerwoną koszenilę.

- Koszenilę, *dottore!*

- To czerwony barwnik, jeśli się nie mylę, uzyskiwany z wysuszonych, zmielonych owadów, zwanych czerwcami kaktusowymi, żyjącymi w Nowym Świecie na ostach i kaktusach. Barwnik ten gotowany w wodzie z siarką daje w rezultacie uwodzicielską czerwień dla kobiecych ust.

Nie byłam zachwycona, że jakiś owad ma barwić moje usta, ale pozwoliłam doktorowi nanieść koszenilę na moje wargi za pomocą miękkiego pędzla z sierści kuny. Potem przez moment nic się nie działo. Otworzyłam oczy i zapytałam:

- Co robicie?

- Przyglądam się wam.

Spojrzał na mnie w sposób, który już znałam i który za każdym razem budził mój niepokój. Nie wiedziałam, co robić, zamknęłam więc z powrotem oczy i powiedziałam:

- Z pewnością biel ołowiowa i koszenila znajdują się w księdze *Secreti diversi!*

- Z pewnością - odparł doktor.

- A więc jedno i drugie jest trucizną?

- Tak.

- W takim razie nie...

Chciałam mówić dalej, ale nie mogłam, bo Gaspare mnie pocałował. Dotknął wargami moich warg, a zrobił to tak łagodnie i delikatnie, że pomyślałam, iż tak smakuje miód. Potem przyszło mi do głowy, że to, co odczuwam, jest o wiele słodsze od miodu, i zastanowiłam się, co może być słodsze, ale nic mi nie przychodziło na myśl. Nie mogłam się skupić, sformułować żadnej myśli, bo Gaspare wciąż mnie całował. Wydało mi się, że szczęście wypełnia wszystkie moje członki, ciepłe, błogie, zupełnie mi nieznane. W końcu Gaspare oderwał się ode mnie i powiedział:

- Biel ołowiowa jest tylko odrobinę trująca - i całował mnie dalej.
- To dobrze - zdołałam powiedzieć.

Hrabia Paolo Emilio Boschetti z Modeny także tego dnia przyszedł za wcześnie i o mały włos nas nie zaskoczył, gdyż po tym, co między nami zaszło, Gaspare potrzebował sporo czasu, by mnie na nowo uszminkować. Ledwo udało nam się przed przyjściem hrabiego przemknąć do sali, gdzie doktor przyjmował pacjentów, i udawać, że od dawna na niego czekamy.

- Mam nadzieję, że leczenie zacznie niebawem przynosić owoce - powiedział Boschetti przez nos, kiedy już pozdrowił Gasparego i obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem.

- Wszystko w rękę Boga, hrabio. Ja na pewno uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Chwileczkę cierpliwości, a pokażę wam istotny środek dla waszej kuracji.

Gaspare zadzwonił dzwonkiem i natychmiast zjawił się Adelmo. Doktor udzielił mu po cichu kilku wskazówek, służący skinął głową, wyszedł i wkrótce pojawił się znowu, trzymając w rękach cynową misę. Zawartość misy nie wyglądała zachęcająco, była czerwona jak krew i popłątana.

- Co to jest? - chciał wiedzieć hrabia.

- To wnętrzności świeżo zabitej owcy, jeszcze ciepłe. Od dziś będziecie musieli codziennie zanurzać w nich na godzinę przedramię razem z łokciem. Musicie być na czczo, żeby nie osłabiać oddziaływania wnętrzności. Po upływie godziny trzeba będzie na trzydzieści minut zanurzyć rękę w gorącej kąpieli, wzbogaconej wieloma ziołami.

Następnie umyjemy ją w ciepłym winie i osuszymy. Trzeba będzie także ją ćwiczyć; pokażę wam ćwiczenia, a potem będziecie musieli robić je sami. Na zakończenie należy namaścić rękę *unguentum*, które specjalnie skomponowałem dla regeneracji waszych nerwów.

Hrabia nie odpowiedział, ale po jego twarzy można było poznać, że zrobiło to na nim wrażenie. Szybko jednak wróciła jego arogancja.

- Wnętrznosci owcy dla mojej ręki? - odezwał się przez nos. - Czy jesteście pewni, że to dobry środek?

- Zalecają to Cardano, Aldrovandi, Sacchi i inni sławni medycy, hrabio. Zaczynamy kurację? Wnętrznosci są jeszcze ciepłe.

Hrabia niechętnie zgodził się na to, że bym podwinęła mu rękaw i zanurzyła jego przedramię w czerwonej masie.

- Bardzo dobrze - powiedział Gaspare. - Musicie być cierpliwi, drogi hrabio. Zawsze mówię, że cierpliwość to połowa sukcesu. A teraz wybaczcie, że opuścimy was na godzinę, siostra Carla i ja.

Nie czekając na odpowiedź swojego zarozumiałego pacjenta, wziął mnie pod ramię i wyprowadził z sali.

- Niech ten pan zostanie przez chwilę sam na sam ze sobą i swoją dolegliwością. - Doktor uśmiechnął się lekko. - Dzięki temu my też możemy być sami. - Objął mnie silnymi ramionami i pocałował.

- Ale... Gaspare - powiedziałam nieśmiało, bo jego imię jeszcze z trudem przechodziło mi przez usta - czy to nie jest nieuprzejmie na tak długo zostawiać go samego? - Naturalnie, że tak - potwierdził doktor wesoło. - Niech się przez chwilę posmaży w swojej arogancji. Och, twoją szminkę znowu trzeba poprawić. Chodźmy do sypialni matki.

Chociaż propozycja mi się podobała, zaprotestowałam:

- Ale jeśli twoja matka nas...

- Jeśli nas przyłapie na szminkowaniu? Nie martw się, matka nie przyjdzie, jej pokój jest niezamieszkały. Wyprowadziła się w roku 1564, po śmierci ojca. Nie mogła żyć w domu, w którym spędziła wiele szczęśliwych lat u boku męża.

- Ale ten pokój...

- ...musiał pozostać niezmienny. Upierała się przy tym, wyprowadzając się. Czasem odwiedza mnie i sprawdza, czy wszystko stoi na swoim miejscu.

- A więc mogłaby przyjść także dzisiaj. Czy nie powinniśmy być ostrożniejsi?

- Ależ nie! - Gaspare roześmiał się. - Matka jest bardzo zajęta kobietą. Handluje gruntami, i to z powodzeniem. Dzisiaj jest w miasteczku Bazzano, żeby kupić tam ziemię. Na pewno nie wróci do Bolonii przed wieczorem.

Wspięłam się na palce i pocałowałam go.

- To dobra wiadomość - wyszeptałam.

Następny miesiąc, kiedy hrabia z Modeny przychodził codziennie, wspominam z największą przyjemnością. Moje życie rozgrywało się między szpitalem sióstr, gabinetem pod tarasem na dachu a sypialnią *signory* Tagliacozzi.

Przekonałam się, że Gaspare jest nie tylko dobrym lekarzem, ale także uważającym i niezmordowanym kochankiem. Podziwiałam go i ubóstwiałam, gdyż wkrótce po pierwszych zabiegach pozostawił mi wolną rękę, co napełniało mnie ogromną dumą. Pamiętałam, żeby codziennie dostarczano świeże wnętrzności owcy, dbałam, żeby hrabia dostatecznie głęboko zanurzał w nich rękę, i kąpałam ją potem w gorącym naparze, który przygotowywałam z największą dokładnością według przepisu doktora. Przepis ten brzmiał następująco:

Weź trzydzieści funtów lugu, sześć garści korzeni malwy, sześć garści korzeni dzikiego ogórka razem z połową rozłupanej czaszki owcy. Gotuj tę mieszaninę, aż ilość cieczy zmniejszy się do jednej trzeciej, dodaj po dwie garście purpurowej bukwicy zwyczajnej, świeżej mięty, łagodnego rumianku i słodkiej koniczyny, zagotuj wszystko jeszcze raz i stosuj, kiedy jest jeszcze gorące.

Tak jak mi polecono, myłam następnie rękę hrabiego ciepłym winem i osuszałam ją białymi ręcznikami. Potem następował szereg ćwiczeń, które hrabia niechętnie wykonywał pod moim kierunkiem, a jeszcze potem smarowałam mu rękę *unguentum* - rodzajem maści. Jego zblazowane i często grymaśne zachowanie nie robiło na mnie najmniejszego wrażenia, bo myślałam tylko o Gasparem.

To, co z nim przeżywałam, było tak potężne, tak niesłychane, tak grzesznie piękne, jak nigdy dotąd sobie nawet nie wyobrażałam. Opanowało mnie uczucie szczęścia i napełniało mnie pogodą i zadowoleniem albo, jak powiedziałby Gaspare, powodowało, że wszystkie moje soki harmonizowały ze sobą. Najchętniej nosiłabym przed sobą wielki szyld z napisem: „Jestem szczęśliwa!”. Naturalnie jednak tego nie robiłam. Zamiast tego starałam się być jak najuprzejmiejsza dla hrabiego i jak najpilniej wypełniać swoje obowiązki u sióstr.

Gaspare, który w tym okresie wiele podróżował, wychwalał mnie pod niebiosa, a nawet przedstawił swojej matce. Nazywała się Isabeta Quaiarina, była kobietą po pięćdziesiątce, szczupłą i o surowej urodzie. Rzuciła okiem na moją ubieloną twarz i odwróciła wzrok ze znudzeniem. Jednak to lekceważenie niezbyt mnie dotknęło, bowiem wyobraziłam sobie, co by było, gdyby wiedziała, że jestem dla jej syna nie tylko pielęgniarką i że świetnie znam jej sypialnię.

Kiedyś, gdy przyjemnie zmęczeni leżeliśmy w jej wielkim łóżu z kolumnkami, powiedziałam do Gasparego:

- Jaka jest właściwie różnica między smoczą krwią*, a krwią owcy?
- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdumiał się doktor.
- Właśnie pomyślałam o hrabi i jego niechęci do owczych wnętrzności.
- Powinnaś teraz myśleć o innych rzeczach - odparł i pocałował mnie w szyję.
- Jaka jest między nimi różnica? Musi być jakaś przyczyna, z której powodu wnętrzności owcy redukują ciecz wodnistą w ścięgnach i mięśniach, natomiast ususzoną na proszek smoczą krew stosuje się do sporządzania maści gojących. Muszą więc być jakieś różnice, a jeśli tak, to jakie?
- Ach, moja mała ubielona dziewczynko. - Gaspare pocałował mnie znowu. - Kiedy mnie tak pytasz, wydaje mi się, że jestem w Scuola d'Aranzio.
- A więc przyjmijmy, że tam jesteśmy.

* Smocza krew - żywica drzewa o nazwie dracena smocza; wypływając, żywica utlenia się na kolor czerwony; dostępna w postaci proszku lub grudek (przyp. red.).

- No dobrze, i tak nie potrafię ci niczego odmówić. Wiedz zatem, że różnice te polegają na różnym oddziaływaniu, a znajomość tego oddziaływania wynika z doświadczenia, opierającego się na obserwacji.

- Dlaczego więc wnętrzości dowolnej młodej owcy służą do likwidowania cieczy wodnistej, natomiast smocza krew, używana do maści, musi być specjalnego rodzaju?

- Odpowiedź brzmi tak samo: doświadczenie. - Gaspare widział, że nadal nie jestem przekonana, wyjaśniał więc dalej: - Jeśli chodzi o smoczą krew, to panuje przekonanie, że *drago di Santo Janni*, rodzaj jaszczurki żyjącej na wyspie Santo Janni na Morzu Tyrreńskim, dostarcza najlepszego soku.

- Ale dlaczego?

- Bo tak już jest, moja ubielona dziewczynko. Znowu mnie pocałował i nie zdołałam już dalej pytać.

Innym razem zastanawiałam się, dlaczego istnieje dobra i zła ropa, ale Gaspare nie dał mi bardziej zadowalającej odpowiedzi niż swego czasu Marco. Powtórzył tylko: „Doświadczenie”.

Taka odpowiedź mi nie wystarczała. Uważałam, że gdyby zamiast zbierania doświadczeń i obserwowania zgłębiało się przyczyny zjawisk, zrozumienie zależności w medycynie byłoby dużo lepsze. Nie powiedziałam jednak tego i pogłaskałam Gasparego po długim nosie z małym garbkiem pośrodku.

- Twoje modele nosów z terakoty są bardzo piękne - rzekłam.

- Mhm. - Gaspare już prawie zasypiał. : - Ale czy są potrzebne?

- Co mówisz? - Doktor ocknął się i spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

- Przecież mówiłeś, że te modele służą za podstawę późniejszych *tectoria*, to znaczy szablonów z brązu?

- Tak, jak najbardziej. I co w związku z tym?

- Jeśli istnieje tylko dwanaście modeli dla późniejszych szablonów, w takim razie jest też tylko dwanaście różnych szablonów?

- Bardzo to bystrze zauważyłaś.

- A więc skoro szablony są identyczne z modelami, zadaję sobie pytanie, dlaczego nie pokazujesz ich od razu pacjentom. Za pomocą

szablonów mogliby sobie równie dobrze wyobrazić kształt swojego nosa, a ty oszczędziłbyś sobie jednego etapu pracy, nieprawdaż?

- No cóż, w teorii masz rację.

- Więc dlaczego nie przekształć teorii w praktykę? Przecież tak byłoby prościej.

Gaspare westchnął z żartobliwą rozpaczą.

- Leżę w łóżku z piękną młodą kobietą o ciele ideału, które mogłoby być wzorem dla Wenus, ale na tym ciele tkwi głowa, która o wiele za dużo myśli. - Pocałował mnie. - Jesteś nie tylko moją małą ubieloną dziewczynką, lecz także niezmiernie ciekawską dziewczynką. Dlaczego?

- Bo jestem ciekawa. Ciekawość to podstawa wszelkiej nauki, jak ktoś powiedział. Uważam, że ma rację, i sądzę, że jako kobieta mam takie samo prawo do ciekawości jak mężczyźni.

- Naturalnie.

Gaspare uznał rozmowę za zakończoną i chciał się odwrócić, żeby jeszcze trochę podrzemać, zanim przyjdzie pora na zabieg hrabiego, ale mu nie pozwoliłam. Pogłaskałam go po policzku i zajrzałam mu w oczy.

- Uważam, że są mądrzy mężczyźni, tak jak ty, i głupi, tak jak hrabia, i że z kobietami jest tak samo. Nie są wcale gorsze od mężczyzn, w żadnej dziedzinie, są równie inteligentne i moim zdaniem to bardzo niesprawiedliwe, że nie wolno im studiować w Archiginnasio, ja...

- Ach, o tym mówisz.

- Tak, właśnie o tym. Mężczyźni zagarniają dla siebie wszystkie prawa, chcą mieć wszystko tylko dla siebie!

- A cóż to za dziwna teoria? Sama ją wymyśliłaś?

- Nie, wymyśliła ją Christine de Pizan, weneckanka, która później mieszkała we Francji. Napisała książkę *Miasto kobiet*, w której upomina się o prawa kobiet.

Gaspare zmarszczył czoło.

- Christine de Pizan? Nigdy o niej nie słyszałem.

- Chyba powinieneś być słyszeć. Jej ojcem był ni mniej, ni więcej tylko Tommaso di Benvenuto da Pizzano, który do roku 1356 pracował jako profesor astrologii na tutejszym uniwersytecie.

- Ach, tak. - Wiadomość ta wywarła wrażenie na Gasparem. -Mimo to zostawmy tę damę w spokoju. Sami też powinniśmy odpocząć.

- Christine de Pizan twierdzi, że kobiety z natury nie są podległe mężczyznom, tylko nie mają tych samych możliwości co oni. Ja też jestem tego zdania.

- Bardzo dobrze. A teraz daj mi jeszcze chwilę pospać.

Podczas ostatniego zabiegu hrabia z Modeny zapytał:

- Co będzie, jeśli nie nastąpi dalsza poprawa stanu mojej ręki, *dottore!* Nie mam zamiaru zadowolić się tym, co dotychczas osiągnęliśmy.

Gaspare zacisnął usta, co, jak już wiedziałam, oznaczało irytację.

- Mówiłem wam na początku kuracji, hrabio, że całkowite wyzdrowienie nie jest możliwe. Jednakże jeśli chcecie próbować wszystkiego, co się da, polecam wam pobyt w Padwie i kąpiele błotne. Również regularne kąpiele w miąższu winogron powinny wzmocnić waszą rękę.

- Czy to wszystko?

- Tak, z wszelkimi innymi życzeniami zwróćcie się, hrabio, do Boga.

- Jak pan uważa, *dottore*.

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszeliśmy od hrabiego, bowiem nigdy więcej się nic pojawił.

ŻMIJA

La vipera

Przez cały ten czas byłam zakochana. Kiedy nadeszła wiosna, rozpoczął się okres warzenia teriaku. Zdarzenie to przewyższały rangą jedynie coroczne targi jedwabiu na Piazza Maggiore.

Gaspare był jedną z najważniejszych osób przy wytwarzaniu tego panaceum, zwanego też *antidotum*, środka leczącego wszystkie choroby, który między innymi miał działać cuda przeciwko ospie i zatruciom. Doktor był mistrzem w przygotowywaniu najważniejszego składnika teriaku, a mianowicie mięsa żmii. W swoim domu przeprowadzał sekcję węży, w której ku mojej wielkiej radości mogłam brać udział. Aby usprawiedliwić moją obecność przed studentami, Gaspare oświadczył im to samo, co powiedział hrabiemu z Modeny - że jestem siostrą Carlą ze szpitala klasztorowego San Lorenzo i mam duże doświadczenie z leczniczymi wywarami. Młodzieńcy, spośród których kilku znałam z widzenia z pobytów w Archiginnasio, nie przyglądali mi się długo, bo uważali zakonnice za nudne i niewarte uwagi. Mnie to jednak bardzo odpowiadało.

Gaspare kazał wstawić do sali pod tarasem stół i krzesła. Na powitanie swoich *studiosi* podniósł ze stołu dwie martwe żmije.

- Czy ktoś z panów widzi różnicę między nimi? Studenci zaprzeczyli, a doktor wyjaśnił:

- Zanim zaczniemy sekcję, musimy się dowiedzieć, z jakim zwierzęciem mamy do czynienia. Wiedźcie zatem, że żmija w mojej

lewej ręce z kilku powodów nie nadaje się do teriaku. Jest to ciężarna samica, sam jej stan wystarcza, by ją wykluczyć. Poza tym jest to tak zwana żmija morska z wybrzeża koło Rawenny, która do tego została złapana nie na wiosnę, jak należy, lecz jeszcze w czasie mrozów. Dobre żmije, których możemy użyć, to zawsze żmije z gór, zabite wtedy, gdy Słońce stoi w znaku Byka. Teriak wytwarzany z morskich żmij powoduje u pijących go ogromne pragnienie.

- Ogromne pragnienie nie jest wcale złe - zawołał jakiś wesolek, ale Gaspare podniósł rękę i natychmiast powrócił spokój.

- Nie należy też chwytać żmij zaraz po ich wyjściu z nor, bowiem kiedy w zimie przebywają pod ziemią, gromadzą w swoim ciele wszystkie trujące i szkodliwe składniki, które potem wydzielają. Po opuszczeniu nory muszą przez pewien czas mieć swobodę, żeby mogły pęłzać i cieszyć się powietrzem, a także jeść to, do czego są przyzwyczajone. Należy też podkreślić, że do teriaku najlepiej nadają się węże świeżo złowione. Czy wszystko jasne, drodzy *studiosi*?

Studenci potaknęli.

- W takim razie odłożymy ciężarną żmiję i zajmiemy się drugą. Spełnia ona wszelkie warunki, żeby powędrować do kotła na dobry teriak.

Kilku studentów się roześmiało.

- Siostra Carla będzie mi asystować przy sekcji i podawać konieczne instrumenty, prawda, siostrze? - Tak - odparłam trochę zmieszana.

- A więc zaczynamy.

Gaspare rozciągnął żmiję na stole i wykładał dalej:

- Około czterech *dito*... Kto wie, jaką szerokość ma *dito*?

- Mniej więcej szerokość małego palca, *dottore*.

- Słusznie. A więc po cztery *dito*, licząc od głowy i ogona, trzeba oddzielić od ciała, jeżeli wąż jest długi. Ten jest długi, więc to zrobimy. Siostrze, proszę mi podać większy skalpel. Dziękuję. Skalpel, drodzy *studiosi*, musi być bardzo ostry, w innym przypadku żyłaste ciało żmii nie da się przeciąć. Oba odcięte końce należy wyrzucić, są bowiem twarde i mają mało mięsa, a poza tym są najbardziej trującymi częściami ciała żmii. Poza tym należy pamiętać, że najlepsze żmije po odcięciu głowy i ogona jeszcze przez chwilę się poruszają

i tracą dużo krwi. W naszym wypadku jednak nie będzie to miało miejsca, bowiem nasz egzemplarz jest już od pewnego czasu martwy. Proszę teraz o szczególną uwagę, usunę wnętrzności, tłuszcz i skórę. Pozostałe mięso należy trzykrotnie starannie umyć, proszę, siostrze Carlo.

Musiałam przezwyciężyć wstręt, by wziąć do ręki śliskie ciało węża i zanurzyć je w drewnianym cebrzyku. Potem włożyłam je na chwilę do innego naczynia, które, jak oznajmił Gaspare, zawierało czystą wodę źródlaną. W tym momencie doktor przerwał, żeby dać studentom okazję do pytań. Pytali gorliwie i pilnie notowali.

Gaspare pracował jak zwykle szybko i zręcznie, a studenci wyciągali szyje. Ja również śledziłam z zainteresowaniem jego ruchy, ponieważ nigdy przedtem nie widziałam takiej sekcji.

W końcu doktor oświadczył, że na tym koniec. Odpowiedział jeszcze tylko na pytanie, po czym poznał, że pierwsza żmija była ciężarna. Uśmiechnął się i podniósł do góry jajko z ciała żmii.

- Po tym, moi panowie. Wracajcie bezpiecznie do domu. Następny wykład odbędzie się jutro na powietrzu, a dokładniej na dziedzińcu przed moim domem. Proszę o punktualność.

Kiedy młodzieńcy rozeszli się, a utensylia potrzebne do wykładu pochowano, chcieliśmy jak zwykle napić się wina w pokoju z kominkiem, ale zastaliśmy tam niespodziewanie matkę Gasparego.

- Czekałam na ciebie - powiedziała chłodno.

- *Mamma*, to ty? Cieszę się, że cię widzę. Dlaczego się nie zapowiedziałas, byłbym kazał coś przygotować! Siostra Carla...

- Siostra Carla ma z pewnością wiele pracy w klasztorze. Chcę omówić z tobą ważne sprawy. Chodźmy do małej biblioteki na półpiętrze.

Gaspare popatrzył na mnie, wzruszył ramionami i zanim pospieszył za matką, szepnął do mnie:

- Do wieczora, moja ubielona dziewczynko?

- Do wieczora - odszepnęłam.

Kiedy wieczorem leżeliśmy obok siebie i patrzyliśmy w górę na baldachim nad łóżem z kolumnami, powiedziałam do Gasparego:

- Myślę, że twoja matka mnie nie lubi.

- Ależ nie, po prostu cię nie zna, to wszystko.

- Najwyraźniej nie chce mnie poznać.

- Proszę, moja ubielona dziewczynko, żadnych poważnych rozmów. Lepiej mnie pocałuj.

Jak zwykle pocałowałam go najpierw w garbek na nosie, a potem w usta.

- No, już lepiej. Nie bierz matce za złe, że była taka lakoniczna. Już taka jest. Z pewnością jeszcze się poznacie.

- Odnosi sukcesy, muszę to przyznać, nawet jeśli traktuje mnie jak powietrze. Jest najlepszym dowodem na to, że kobiety tyle samo umieją i są równie wartościowe jak mężczyźni.

- Skoro tak twierdzisz...

- U żmij jest chyba inaczej.

- O czym ty znowu mówisz?

- Samiczki żmij nie są dobre do wytwarzania teriaków, sam tak powiedziałeś.

- A, o to ci chodzi! Musisz wiedzieć, że jest dokładnie odwrotnie: właśnie samiczki świetnie się do tego nadają, nie samce.

- Ale samiczka była...

- W ciąży, tak, i dlatego się nie nadawała.

- A ta druga...?

- Też była samiczką, ale nie była w ciąży, i dlatego była przydatna, zwłaszcza że spełniała wszystkie inne warunki.

Gaspare przyciągnął mnie do siebie, ale chociaż zwykle jego namiętne pieszczoty bardzo mi się podobały, tego dnia nie miałam na nie ochoty.

- Co twoja matka mówi na to, że mężczyźni jakoby umieją wszystko lepiej? - zapytałam.

- Jej to nie interesuje. Moja *mamma* jest niezwykła. Ma dużo pieniędzy.

- Aha. Czy to oznacza, że ten, kto ma pieniądze, jest z zasady mądrzejszy, nawet jeśli jest kobietą?

- Może tak, a może nie. - Gaspare się roześmiał.

- A co chciała z tobą omówić? - Właściwie nie miałam zamiaru zadawać tego pytania, ale muszę przyznać, że byłam bardzo ciekawa.

- Co dostanę, jeśli ci powiem?

- To szantaż.

- Nazwij to, jak chcesz.
- No, dobrze. - Pocałowałam go w garbek na nosie.
- To nie wystarczy.
- Skoro jestem twoją małą ubieloną dziewczynką, to ty jesteś moim małym łakomczuszkim - powiedziałam i pocałowałam go w usta.
- No, nareszcie - odrzekł z zadowoleniem.
- No więc?
- Co chcesz wiedzieć?
- Co twoja matka musiała z tobą koniecznie omówić?
- No cóż, podarowała mi coś, co dzięki jej mądrym posunięciom udało jej się korzystnie kupić.
- To znaczy co?
- Dom na własność.

Następnego dnia, tuż przed godziną trzecią, zwykłą porą popołudniowych wykładów, Gąspare kazał zgromadzić na środku podwórca stos węgla drzewnego i zawiesić nad nim kociołek ze źródlaną wodą. Spreparowana poprzedniego dnia żmija znajdowała się już w kotle. Kiedy studenci zgromadzili się w komplecie, powitał ich i własnoręcznie rozpałił ogień.

- Dzisiaj, drodzy *studiosi* - rozpoczął wykład - będziemy kontynuować nasze zgłębianie tajemnic wytwarzania najważniejszego składnika teriaku. Naturalnie nie możemy zająć się szczegółowo sztuką warzenia naszego *panaceum*, ale myślę, że ta mała wycieczka nam wystarczy. - Odwrócił się do Adelma, który czekał w pobliżu, i zawołał: - Rozdaj miechy młodym panom, niech się dobrze przyłożą, żeby ogień osiągnął wyższą temperaturę. W ten sposób wzmocnią też swoje duchowe siły. *Mens sana in corpore sano*, jak to się pięknie mawia.

Kilku studentów zebrało się wokół ognia i z całej siły pracowało miechami, aż żar zmienił kolor z ciemnoczerwonego na czerwony, potem jasnoczerwony, a w końcu jaskrawożółty.

- Zauważyliście coś szczególnego, drodzy *studiosi*?
- Temperatura ognia wzrosła, *dottore* - zawołał jeden z nich.

- Słusznie, ale nie to miałem na myśli.

Studenci zaczęli się naradzać, ale nie mogli odgadnąć, o co chodziło Gasparemu. Ja też zadawałam sobie pytanie, co doktor chce usłyszeć. Nie pozostawił nas jednak długo w niepewności i powiedział:

- Temperatura wzrasta, a ogień nie dymi dzięki zastosowaniu węgla drzewnego. Okoliczność ta jest szczególnie ważna przy produkcji teriaku. Najlepszym paliwem jednakże są gałęzie winorośli.

Studenci notowali, a Gaspare kontynuował wykład, sypiąc do kotła sól, a potem wrzucając kilka pęczków zielonego kopru zerwanego tego samego dnia.

- Nie zawsze jednak należy dodawać soli - zastrzegł - a mianowicie nie wtedy, gdy żmija schwyta w suchych miejscach w pobliżu morza albo słonych jezior.

Potem musieliśmy poczekać, aż woda się zagotuje, a Gaspare wykorzystał ten czas na zadawanie pytań studentom o rzeczy, o których mówił wczoraj. Kiedy wreszcie woda z mięsem żmii zawrzała, powiedział:

- Teraz dolejemy trochę zimnej wody - i poprosił mnie, żebym to zrobiła.

- *Dottore*, dlaczego zagotujecie wodę, żeby ją zaraz ostudzić? - zapytał ze śmiechem jeden z młodzieńców.

Tu Gaspare zrobił coś, co robią czasem wszyscy dobrzy nauczyciele - skierował pytanie z powrotem do studentów, żeby sami mogli się nad tym zastanowić. I rzeczywiście jeden z nich zawołał:

- Pewnie woda powinna się gotować bardzo krótko, *dottore*?

- Tak, właśnie - potwierdził Gaspare z zadowoleniem. - Czy ktoś wie, po czym można poznać, że żmija nadaje się do dalszej obróbki? - Tym razem jednak odpowiedział sam: - Po tym, że mięso łatwo oddzielić od kręgosłupa, tak jakbyśmy je mieli jeść. Należy to robić bardzo ostrożnie, drodzy *studiosi*, żeby w mięsie nie pozostały drobne kości. Gdyby tak się stało, trzeba je wyjąć z kotła. My jednak ugotowaliśmy naszą żmiję w odpowiedniej temperaturze i dlatego nie popełnimy tego błędu.

Młodzieńcy pokiwali głowami.

- I jeszcze jedno, drodzy *studiosi*: wiedźcie, że dzisiejsze przygotowania służą jedynie demonstracji, gdyż przy prawidłowym warzeniu teriaku należy włożyć do kotła wiele żmij. Często się zdarza, że jedne są mniejsze, a drugie większe. W takim wypadku mniejsze należy wyjąć wcześniej, gdyż ich mięso rozpadłoby się i zmieszało z kośćmi, podczas gdy większe nie byłyby jeszcze ugotowane. Jak widzicie, sztuka gotowania jest tutaj ogromnie ważna. Zależy od niej doskonałość - albo też niedoskonałość - późniejszego rezultatu.

Gaspare odczekał chwilę, pozwalając młodzieńcom zrobić notatki, a potem opowiadał o wiośnie w ogóle, a o powietrzu w szczególności. Mówił, że powietrze, obok ognia i wody, odgrywa istotną rolę w sporządzaniu teriaku. Spośród czterech żywiołów najważniejsza jednak jest ziemia, w niej bowiem dojrzewają węże, bez których teriak nie byłby tym, czym jest.

Przez ten czas mięso żmii doszło już w kociołku i Gaspare wyjął je drewnianymi szczypcami. Położył blade ciało węża na dużym, wysłużonym kamieniu młyńskim, żeby jego *studiosi* mogli dobrze się przyjrzeć, jak dokładnie oddziela mięso od szkieletu. Kiedy już to uczynił, podniósł głos:

- Mam tu móźdierz, w którym rozdrobnię mięso. Potem dodam ugotowany chleb. Chleb musi być dobrze przefermentowany i upieczony z najczystszej i najświeższej mąki. Czy ktoś ma pytania? -Gaspare przyjrzał się młodzieńcom, ale nikt nie zabrał głosu. - No dobrze, czy ktoś wie, ile chleba trzeba wziąć? Nie możecie tego wiedzieć, drodzy *studiosi*, bo nawet wielcy naukowcy spierają się w tej materii. Niektórzy dodają tyle samo chleba co mięsa żmii, inni nieco mniej, a jeszcze inni tylko jedną trzecią. Galen, wielce szanowany dawny mistrz medycyny, dodawał czasem tylko jedną czwartą wagi mięsa, a nawet jedną piątą. Właśnie jedną piątą dodaje się tradycyjnie w Bolonii, jak zapewnił mnie Messer Luca Ghino, mój czcigodny nauczyciel. Grecki medyk Crito natomiast, działający w Rzymie, brał, zgodnie z zaleceniem Galena, tylko jedną uncję chleba na dziesięć żmij. Ale wystarczy już liczb, wróćmy do chleba i jego właściwości. Musi być także starannie ugotowany, a potem wysuszony, w przeciwnym wypadku bowiem teriak mógłby być zbyt

kwaśny. Mam tu kilka tak przygotowanych kawałków. - Gaspare podniósł je wysoko, ale nie spostrzegłam w nich niczego szczególnego. - W żadnym wypadku nie wolno rozdrabniać chleba razem z mięsem, dlatego zrobimy to oddzielnie. - Wziął małą tarkę, startł na niej pewną ilość chleba i zmieszał go z rozdrobnionym mięsem. - Kiedy wszystko się połączy, drodzy *studiosi*, weźmiemy tę pastę i sporządzimy z niej tak zwane *compressi*, czyli coś w rodzaju małych tabletek.

Wskazał kilka płaskich foremek i polecił mi, żeby umieścić w nich jasną masę. Zrobiłam to za pomocą małej szpatułki, a kiedy skończyłam, wykladał dalej:

- Tabletki powinny być bardzo cienkie, żeby łatwo schły. Proces suszenia przebiega najlepiej na strychu wychodzącym na południe, żeby tabletki otrzymywały jak najwięcej ciepła. Ale uwaga: promienie słoneczne nie powinny padać bezpośrednio na nie i należy je często przewracać z jednej strony na drugą, żeby nie wysuszyły się za bardzo. Trzeba to robić przez piętnaście dni. Aecjusz natomiast, ceniony medyk grecki, uważał, że strych może wychodzić również na północ. Tak czy owak, kiedy *compressa* dobrze wyschnie, należy ją nasączyć opobalsamem uzyskiwanym z drzewa z Gileadu, rośliny spotykanej w Azji Mniejszej. Nasączenie chroni tabletkę przed zepsuciem. Aecjusz zalecał, żeby nasączyć ją od razu po uformowaniu, a doktorzy naszego pięknego miasta dokładnie się do tego stosowali.

Tabletki należy przechowywać w naczyniu z cyny, szkła, złota albo szlachetnego srebra, natomiast jeśli cyna zmieszana jest ze srebrem, nie nadaje się do użytku, gdyż ta mieszanka wywołuje zwykle pewnego rodzaju pleśń, która pogarsza jakość tabletek. W każdym razie najlepiej jest warzyć teriak natychmiast po sporządzeniu tabletek, ale jeśli tabletki przechowywane są starannie, można je stosować nawet do trzech lat albo i dłużej, pod warunkiem że biała pleśń, która powstaje na nich z upływem czasu, będzie ścierana czystą szmatką.

Po tym długim wywodzie Gaspare uśmiechnął się i powiedział:

- Drodzy *studiosi*, niektórym z was wytwarzanie tabletek może się wydać bardzo skomplikowane, ale muszę wam powiedzieć, że w rzeczywistości jest ono jeszcze bardziej złożone, a ponadto pod-

kreślam, że *compressi* są wprawdzie jądrem każdego skutecznego teriaku, ale stanowią tylko jeden ze składników wśród dziesiątków innych. Dla pogłębienia tego, co dziś widzieliście i słyszeliście, polecam wam lekturę podręcznika o sporządzaniu teriaku dla aptekarzy z Neapolu. Wydał go przed dwoma laty w Wenecji mój przyjaciel Marc Antonio Ulmi. To tyle, drodzy *studiosi*. Skoro więc zostaliście już wprowadzeni w tajniki produkcji teriaku, będziecie mogli łatwiej śledzić proces rzeczywistego wytwarzania tego *panaceum* na dziedzińcu Archiginnasio. Ta oficjalna ceremonia odbędzie się następnej niedzieli i oczekuję, że wszyscy weźmiecie w niej udział. Ponieważ jak zwykle jest otwarta dla publiczności, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyście zjawili się w towarzystwie rodziców, krewnych lub przyjaciół. Na dziś kończymy zajęcia. Zobaczymy się jutro rano o dziewiątej w Scuola d'Aranzio.

W sobotę siedziałam z Gasparem w sali kominkowej. Rozejrzałam się i zapytałam:

- Gdzie się podziało dwanaście modeli nosów, które stały na gzymsie kominka?

- Zabrałem je. Odpowiedź Gasparego wypadła dość lakonicznie.

- Dlaczego?

- Przekonałaś mnie, że są zbędne.

- Och, nie wiedziałam.

- A więc już wiesz.

- No cóż... - zawahałam się i zrozumiałam, że Gaspare odebrał to jako coś w rodzaju swojej porażki. Chciałam mu powiedzieć, że nie ma racji, wyczułam jednak, że sprawiłabym mu tym jeszcze większą przykrość. Zdziwiłam się, bo niewiele jeszcze wiedziałam o mężczyznach i ich pragnieniu, by zawsze mieć słuszość. Powiedziałam tylko:

- Wierz mi, że modele bardzo mi się podobały.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- Miło mi, że to mówisz, moja ubielona dziewczynko.

Przez chwilę milczeliśmy.

- Ty... Gaspare...? Znowu się uśmiechał.

- Kiedy się tak do mnie zwracasz, zwykle czegoś ode mnie chcesz. Co to takiego?

- Nazywasz mnie swoją ubieloną dziewczynką. Czasem myślę o tym, co powiedziałeś, że biel ołowiowa jest trucizną.

- No, nie tak bardzo. Dlaczego o to pytasz?

- Bo... bo ja...

- Mów śmiało.

Wyjął mi kieliszek z ręki, żeby mnie przytulić.

- Co cię dręczy, moja ciekawska dziewczynko?

- Chciałam cię prosić, żebyś mnie uwolnił od mojego znamienia.

Gaspare zmarszczył czoło.

- To znaczy miałbym usunąć znamię operacyjnie?

- Tak, bardzo cię proszę.

- Szczerze mówiąc, już od pewnego czasu liczyłem się z tą prośbą.

- I... co ty na to?

Gaspare westchnął, po czym nagle zaczął się śmiać.

- To twój ogień, ubielona dziewczynko, twoje oddanie, twoja namiętność! Dlaczego miałbym usuwać coś, czemu zawdzięczam tyle rozkoszy?

Pocałował mnie, ale ja poczułam się zmieszana i zraniona. Wszystkiego mogłam oczekiwać, ale nie takiej odpowiedzi. Przypomniał mi się nieszczęsny Marco, mój narzeczony, który kiedyś powiedział, że widzi nie tylko znamię na mojej twarzy, lecz także jej piękno, moje piękno wewnętrzne. Gaspare natomiast ograniczał naszą miłość tylko do strony fizycznej. Zesztywniałam.

- Naprawdę tak uważasz? Gaspare uśmiechnął się.

- Och, chyba powiedziałem coś złego? Ale to miał być komplement.

- Pomożesz mi? Gaspare spoważniał.

- Nawet gdybym chciał, nie dałbym rady. Dobrze wiesz, że nikt nie zna się lepiej na przeszczepianiu skóry niż ja. Ze starych indyjskich

rycin wiem, jak to wygląda, kiedy rekonstruuje się nos za pomocą skóry z czoła. Nie mówiąc o tym, że skóra musi być obrócona wokół własnej osi, żeby ją potem przyszyć do kikuta nosa, nie wspominając także i o tym, że rezultat wygląda niezadowolająco, taki zabieg pozostawia trójkątną bliznę na czole. Podobnie głębokie byłyby ślady na całej twojej lewej stronie twarzy. Wierz mi, byłyby to zamiana twarzy ze znamieniem na twarz z bliznami. Nie, pozostań przy szmince. To się sprawdziło, robi wytworne wrażenie i - uśmiechnął się jeszcze szerzej - przyzwyczailem się do tego.

Przełknęłam ślinę, żeby powstrzymać łzy. To, co powiedział Gaspare, brzmiało niestety aż nazbyt przekonująco. Słomka, której się uchwyciłam od razu, gdy go poznałam, właśnie się złamała. Nie mógł mi pomóc. Musiałam pomóc sobie sama, przekonując siebie, że nie mogę mieć w życiu wszystkiego i powinnam być zadowolona, że kocha mnie taki przystojny, sławny mężczyzna. Mimo to łzy płynęły, niezależnie od mojej woli czy mojej odwagi; płynęły i płynęły, podczas gdy Gaspare trzymał mnie w objęciach i usiłował pocieszyć.

- Wiesz co? - powiedział w końcu i, nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Pójdziemy jutro na ceremonię warzenia teriaku. Wezmę cię do Archiginnasio, bo to jest wydarzenie, w którym mogą brać udział także kobiety.

- Naprawdę to zrobisz?

Wytarłam nos i ten pomysł wreszcie mnie pocieszył. Znowu pomyślałam o Marcu, moim biednym Marcu, który przedstawiał mi to wydarzenie w tak kuszących barwach.

- Naprawdę - odparł Gaspare. - Moja matka zresztą też będzie.

- Twoja matka...?

- Nie bój się, nie pójdziemy tam razem z nią. Matka wykorzysta to wydarzenie, by spotkać się z kilkoma partnerami w interesach. Ale na pewno ją tam spotkamy. Włóż coś ładnego.

- Dobrze, włożę.

Gaspare i ja staliśmy w morzu ludzi, wysoko w loggii nad dziedzińcem Archiginnasio, i obserwowaliśmy z góry pilną krzątanicę przy

teriaku, gdzie wszystko wyglądało równie kolorowo i było równie głośne jak w opowieściach Marca. Do tego dochodził jeszcze zapach niezliczonych ziół znajdujących się na przybranych girlandami wozach, pachniały też zioła warzące się i parujące w wielkich kotłach oraz liczne kulki, poduszeczki i woreczki, mocno woniejące fiołkami, jaśminem, różami, lawendą, bergamotką, drewnem sandałowym albo cedrowym, których używały damy, by stłumić zapach potu. Ja też miałam taką torebkę, skrytą głęboko za dekoltem, chociaż jej zapach był o wiele mniej natrętny. Z braku pieniędzy sama zrobiłam mieszankę z szaławii ogrodowej, tymianku i mchu. Moje domowej roboty pachnidło wydawało mi się bardzo mizerne, ale Gaspare powiedział, że aromat ten doskonale do mnie pasuje. Tego świątecznego dnia miałam tak dobry humor, że mu nawet uwierzyłam.

Nie mogłam się napatrzeć herbom i flagom, ogromnym popiersiom Hipokratesa i Galena, trzymających w rękach dwie wielkie majolikowe czary, do których miano wlać gotowy teriak. Wszędzie słychać było śmiech, okrzyki i śpiewy. Przez cały czas dobiegał nas dźwięk *la scolara* - wielkiego dzwonu z San Petronio, a nieustanny gwar setek głosów przypominał brzęk pszczoł, który, jak mi się wydawało, słyszałam przed wielu laty w domu przy Strada San Felice.

Spełniło się moje marzenie. Byłam w Archiginnasio, w świątyni wiedzy, badań naukowych i nauczania, i to przy boku powszechnie szanowanego mężczyzny.

- Chodź, zejdziemy na dziedziniec - powiedział w pewnej chwili Gaspare. - Tam będziemy mogli obserwować wszystko z bliska.

Na widok mnóstwa woźnych i porządkowych zapytałam:

- Ale czy nam wolno? Gaspare zaśmiał się z dumą.

- Nie zapominaj, moja ubielona dziewczynko, że znajdujesz się u boku doktora medycyny, Gasparego Tagliacozziego.

Miał rację. Na dole przed barierą wystarczyło jego skinienie, żeby nas przepuszczono. Weszliśmy na dziedziniec wyłożony karmazynowym adamaszkiem, który wydał mi się podobny do areny. Tutaj wszystko było jeszcze bardziej intensywne: hałas, zapachy, wołania i rozkazy.

- *Professore*, czy mogą przedstawić wam siostrę Carlę ze szpitala San Lorenzo? - usłyszałam nagle słowa Gasparego. Przed nami stał chyba pięćdziesięcioletni mąż, którego biała jak mleko broda sprawiała dziwne wrażenie przy młodzieńczych rysach twarzy. Był kosztownie odziany i mimo wiosennej pogody miał futrzany kołnierz z lisa.

- Ulisse Aldrovandi - powiedział, lekko się kłaniając.

- Bardzo mi miło - odrzekłam zmieszana. W najśmielszych marzeniach nie mogłam się spodziewać, że stanę twarzą w twarz z tak sławnym człowiekiem.

- Doktor Tagliacozzi opowiadał mi o waszych medycznych zdolnościach i wychwalał was pod niebiosa - rzekł Aldrovandi z uśmiechem.

- Zaiste tak było - potwierdził Gaspare.

- Dziękuję - odrzekłam. - Ogromnie mi miło. Przypomniało mi się, co Marco opowiadał o profesorze, o jego

zapale zbieracza, jego miłości do oryginalnych eksponatów, jego namiętnej hodowli i doskonaleniu ziół leczniczych. Jakby odgadując moje myśli, uczony powiedział:

- Zioła na teriak są w tym roku dobre lub bardzo dobre, niestety jednak nie znakomite. Każdy mógł się o tym przekonać w ogrodach i sadach San Salvatore, gdzie w ostatnich dniach aptekarze jak zwykle wystawiali je na widok publiczny.

- Również w tym roku profesor należy do wybranych *protomedici* odpowiedzialnych za ocenę ziół i dopuszczenie ich do produkcji teriaku - wyjaśnił Gaspare.

- Owszem, tak - potwierdził Aldrovandi, chociaż nie wyglądał przy tym na uszczęśliwionego. - Zostałem wybrany przez szacownych kolegów z uniwersytetu, natomiast aptekarze bolońscy najchętniej posłaliby mnie do wszystkich diabłów. Panowie *farmacisti* nie lubią zbyt tych, którzy oceniają ich herbaria i zagląдают im przez ramię przy przygotowywaniu leczniczych środków.

- Wasza praca jest na pewno bardzo ważna, *professore* - powiedziałam z przekonaniem.

- To zależy. Z jednej strony tak, bowiem cena za uncję teriaku została w tym roku ustalona na dwadzieścia *baiocchi*, co przy

przewidywanej ilości pięciuset funtów oznacza niewyobrażalnie duży zysk, z drugiej jednakże praca ta przeszkadza mi w moich ulubionych zajęciach, a mianowicie zbieractwie i ogrodnictwie. W moim ogrodzie ziołowym w Palazzo Publico w tym roku dojrzewają wyjątkowo dobrze *amomum* i *costus*.

Musiałam mieć pytanie w oczach, bowiem profesor poczuł się zmuszony do wyjaśnień.

- *Amomum*, szanowna siostrze, to rzadkie zioło podobne do kar-damonu, *costus* natomiast jest pojęciem zbiorczym dla kilku roślin z dużą zawartością olejków aromatycznych. Przydatności obydwu ziół do produkcji teriaku nie da się przecenić. Niestety panowie *farmacisti* są innego zdania. Jak już mówiłem, najchętniej wysłaliby mnie do diabła, ja natomiast czasem pragnąłbym, żeby ich ukamienowano.

Gaspare uśmiechnął się ubawiony, gdyż wiedział o sporze między aptekarzami a Aldrovandim z powodu tych ziół.

- Każdy może się złościć, *professore*, to nie jest trudne. Ale złościć się na właściwego wroga, w odpowiedniej mierze, w odpowiednim czasie, odpowiednim celu i w odpowiedniej formie nie jest łatwo.

- ...mówi Arystoteles, tak, tak, wiem. Jesteście chodzącą encyklopedią, drogi *dottore*. - Aldrovandi nie wziął mu chyba za złe jego uwagi. - No cóż, przynajmniej zdrowie mi dopisuje.

- Rad to słyszę.

- Trzeba mi iść dalej. Zaraz nastąpi dodawanie ziół, muszę przy tym być. Było mi miło was zobaczyć, *dottore*, a także poznać was, siostrze Carlo. - Aldrovandi uprzejmie skinął głową, ruszył w kierunku ubranych na zielono służących i zniknął nam z oczu.

Potrzebowałam kilku chwil, aby pojąć, co mi się właśnie przydarzyło - oto jeden z najślynniejszych medyków i badaczy przyrody w Italii, mający katedrę medycyny i zielarstwa w Archiginnasio, właśnie zapewnił mnie, że się ucieszył, mogąc mnie poznać! Czy była to czysta uprzejmość, zwykły frazes, czy też wynik tego, że znajdowałam się w towarzystwie Gasparego?

Jeszcze nad tym rozmyślałam, gdy zapoznano mnie z następnym dostojnikiem, który przedstawił się jako Cristoforo *Colberti*, *farmacista*

i właściciel apteki Del Monte w pobliżu Mezzo della Citta, w samym centrum miasta. *Signore* Colberti z postawy przypominał mi bardzo Alberta Dominello, miłośnika, zbieracza i posiadacza małych przedmiotów. Był jedynie młodszy i bardziej kolorowo ubrany. Nie miał zmarszczek, za to prawdziwą lwią grzywę na głowie. Jego siwe włosy wymykały się spod beretu i sterczały niby druty.

- Dostarczam teraz zioła do klasztoru - oznajmił, kiedy już mu powiedziano, kim jestem. - Także zioła przeciwko bólom pleców siostry Arianny. Jak ona się czuje?

- Niestety, niezbyt dobrze - odpowiedziałam.

- Powinna robić dodatkowo ćwiczenia rozciągające, to czasem czyni cuda.

- Tak, możliwe - odrzekłam, bowiem nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Albo spróbować nacierań świeżym teriakiem - wtrącił Gaspare.

- Niezły pomysł - odparł Colberti. Spróbowałam nieco ożywić rozmowę.

- Czy w tym roku użyto ziół leczniczych *amomum* i *costus* do teriaku? Profesor Aldrovandi zdaje się przywiązywać do nich wielką wagę.

Colberti przejechał dłonią po swojej grzywie.

- Dotknęliście bolesnego problemu, siostrzo! Te zioła są stałą kością niezgody między profesorem a nami, aptekarzami. Profesor chce koniecznie, żeby dodawano je do teriaku, my natomiast jesteśmy temu przeciwni.

- Ale dlaczego?

- Odpowiedź jest prosta: ponieważ te zioła nigdy nie były używane w tym celu i powinno tak być również w tym roku, z pomocą boską.

Nie chciałam mieszać się do sporu, więc milczałam. Colberti zaś ciągnął:

- Bardzo szanuję profesora Aldrovandiego, jego autorytet jako naukowca nie ulega kwestii, rozumiem też, że jako *protomedico* musi dbać o zachowanie powagi uniwersytetu i przestrzegać jego praw. Jednak pozwólcie mi na uwagę, że skoro dba o dawne prawa, nie powinien sam ich naruszać i szkodzić im przez dodawanie nowych ziół.

- Jestem pewien, że profesor ma poważne przesłanki, aby tak postępować - powiedział Gaspare łagodząco.

- Bardzo możliwe, ale profesor ma za zadanie, przy całym szacunku, jedynie nadzorować proces warzenia teriaku. Właściwą pracę wykonujemy my, aptekarze, a nie wolno nam nawet ustalać ceny teriaku, bowiem zastrzegli sobie do tego prawo gonfalonier i starszyzna miasta. Jestem tylko farmaceutą, który nie studiował sztuk wyzwolonych, jednakowoż zadaję sobie pytanie, dlaczego taki profesor jak Ulisse Aldrovandi, który chce się kierować jedynie doświadczeniem i wychwala bezstronne badanie natury, nagle chce wrzucić do teriaku dwa nowe zioła. Przecież w recepturach nie powinno się nic zmieniać. Jak uważacie, *dottore*, chyba mam odrobinę racji?

- Ale czy i Aldrovandi nie ma odrobiny racji, kiedy chce wypróbować coś nowego?

- No cóż...

- A więc jeżeli obie strony mają odrobinę racji, to obie także nieco błędzą. Tyle możemy stwierdzić.

- Czy to jedna z waszych arystotelesowych mądrości, *dottore*? Gaspare się roześmiał.

- Nie, to tylko próba uświadomienia wam, że siostra Carla i ja nie jesteśmy dobrymi adresatami waszych skarg. Profesor Aldrovandi jest moim przyjacielem, mam też dobre stosunki z wami. Wyłączcie mnie więc z tego sporu. Może kiedyś sprawa się rozwiąże. - To możliwe, *dottore*. Colberti przejechał dłonią po swojej lwiej grzywie i spojrzał na mnie. - Niektórym ten spór może się wydać śmieszny, siostrze, ale w końcu chodzi o najskuteczniejszy środek, jaki kiedykolwiek wynalazła medycyna. Teriak jest *panaceum*, *antidotum*, *arcanum*, *electuarium*, *mithridatum* i *balsamum Vitalis* w jednym, nic nie dorównuje mu znaczeniem, również jeśli chodzi o cenę. Bez sprzedaży teriaku musiałbym zamknąć swoją aptekę.

- Oczywiście, *signore* - rzekłam, chociaż miałam wrażenie, że nie powinnam zabierać głosu.

- Sprzedaż moich żmij także nie była zadowalająca. No cóż, muszę wrócić na swoje stanowisko przy prawym kotle. Nie było łatwo je zdobyć. Jeszcze nie wszystko stracone, może znajdzie się

kupiec na moje pozostałe towary. - Colberti skłonił się i zniknął w tłumie.

Nagle zniknął także Gaspare. Ogromnie się złękłam, zmusiłam się jednak do zachowania spokoju. Nie zrobiłam nikomu nic złego, więc i mnie nikt nic nie zrobi. Przez chwilę przemierzałam bez celu dywan z czerwonego adamaszku, aż w końcu zobaczyłam Gasparego. Stał w tym samym miejscu loggii, skąd przedtem obserwowaliśmy warzenie teriaku, i rozmawiał z matką.

Zawahałam się przez chwilę, ale zebrałam całą odwagę i przecisnęłam się przez tłum na górę. Kiedy dotarłam do obojga, czekałam na przerwę w rozmowie i nieśmiało postąpiłam do przodu.

- *Buongiorno, signora* - wyrzekłam. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Chciałam się tylko przywitać.

- *Buongiorno.* - Matka Gasparego przyjrzała mi się. W jej oczach było coś taksującego, jakby sprawdzała, czy jestem godna rozmowy z nią. Nie wiedziałam, jak wypadła jej ocena, bowiem zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Hmmm, *signora* - powiedziałam, starając się nie stracić odwagi - Gaspare... to znaczy wasz syn powiedział mi, że ta dziś będziecie. Macie na sobie zieloną jak salamandra suknię z atłasu, którą już raz podziwiałam, i dlatego... dlatego mam dla was prezent.

Otworzyłam kosz z wikliny, który przez cały czas miałam ze sobą, i wyciągnęłam dużą chustę na ramiona. Była również zielona, nieco jaśniejsza niż suknia *signory* i doskonale harmonizowała z zielonym atłasek. Poświęciłam całą noc na jej uszycie, a jako przybranie wymyśliłam coś oryginalnego.

- Jak widzicie, *signora*, wyszyłam na chuście wizerunek Atlasa dźwigającego sklepienie niebieskie i Herkulesa, syna tytanów, przynoszącego mu złote jabłka z ogrodu Hesperyd. Pomyślałam sobie, że haft i ta historia będą dobrze pasować do takiej atłasowej sukni jak wasza.

- Dlaczego mi to dajecie? - *Signora* Tagliacozzi uniosła brwi. Robiła to podobnie jak jej syn.

- No cóż... - gorączkowo szukałam właściwych słów i postanowiłam po prostu powiedzieć prawdę. - *Signora*, ja... pragnęłabym, żebyście mi byli przychylni.

- No, no. - Matka Gasparego wzięła chustę, przyjrzała jej się i przełożyła przez rękę. - Bardzo to uprzejmie z waszej strony, dziękuję. - Nadal mi się przypatrywała, jakby chciała zapytać: Czy jeszcze coś? Zrozumiałam.

- Zejdę... zejść na dół - rzekłam.

- Dobrze - powiedział Gaspare. - Zaraz przyjdę.

Po chwili odnalazł mnie wśród tłumu i objął ramieniem.

- Muszę wracać do domu, moja ubielona dziewczynko - powiedział - matka poprosiła mnie, żebym załatwił dla niej kilka rzeczy.

- Tak, naturalnie - odparłam, czując rozczarowanie, bowiem z chęcią zostałabym dłużej. Razem przepychaliśmy się do wyjścia, co było niezmiernie trudne, bo coraz więcej ludzi chcących zobaczyć dodawanie ziół do teriaku dążyło do Archiginnasio. Gaspare był silnym mężczyzną, więc udało mu się utorować drogę i przeprowadzić nas cało przez tłum. Odzyskałam orientację i poznałam, gdzie jesteśmy. Znajdowaliśmy się u stóp wysokich schodów wiodących w górę do loggii nad dziedzińcem. Obok jednego z filarów schodów zobaczyłam ją - leżącą na ziemi chustę, którą kilka minut temu podarowałam *signorze* Tagliacozzi. Nie było wątpliwości, że to moja chusta, bowiem łatwo można było rozpoznać haft z Herkulesem.

- *Caspita!* A to dopiero! - Śmiech Gasparego brzmiał nieco sztucznie.

- Co się stało? Matka musiała zgubić tę piękną chustę. Wezmę ją i oddam jej.

- Dobrze - powiedziałam.

W tej chwili pojęłam, że zostawiła chustę celowo.

Wieczór tego bogatego w wydarzenia dnia spędziłam nie u Gasparego, lecz u siebie.

Chciałam być sama, żeby przemyśleć zdarzenie z chustą i wyciągnąć wnioski. Poza tym miałam jeszcze inny zamiar - chciałam przeprowadzić sekcję żmii. Kiedy Gaspare rozmawiał z matką, poszłam do pana Colberti i kupiłam od niego jednego z węży. Na szczęście nie zapytał, po co mi wąż, lecz tylko zapewnił, że to dobry, świeży towar.

Teraz ciało żmii spoczywało przede mną na dużym stole w pracowni krawieckiej, a obok *leżały* trzy skalpele, o które wcześniej się postarałam. Przywołałam w pamięci wykład Gasparego i postępowałam dokładnie tak, jak on demonstrował to swoim studentom. Od czasu do czasu zaglądałam do notatek, zwłaszcza kiedy robiłam pierwsze cięcia. Choć ta czynność była dla mnie nowa i niezwykła, wydawała mi się w jakiś sposób bliska, może dlatego że przeprowadzałam ją już setki razy w wyobraźni.

Sekcja mnie uspokoiła. Przeżycie z chustą bardzo mnie zraniło. Chciałam jak najlepiej, a moje dobre chęci zostały w grubiański sposób odrzucone. Jeśli się nie myliłam, matka Gasparego „zgubiła” chustę specjalnie w miejscu, gdzie musiałam ją zauważyć. Jasna wskazówka, że pogardza mną i moim prezentem.

Wypreparowałam wnętrzności żmii, przyjrzałam się jej organom i próbowałam je rozpoznać.

Dlaczego signora Tagliacozzi tak szorstko mnie odprawiła? Przecież nic jej nie zrobiłam, wręcz przeciwnie, zawsze byłam wobec niej uprzejma, a nawet dałam jej prezent. Czy to był strach matki, że straci syna na rzecz młodszej kobiety? Nie mogłam sobie tego wyobrazić, zwłaszcza że Gaspare nie był jedynakiem. Miał brata Francesca i pięć siostr, spośród których Giulia i Giovanna były mniszkami w klasztorze San Bernardino e Marta.

Odsłoniłam organy płciowe żmii i poznałam po podwójnym organie kopulacyjnym, że wąż jest płci męskiej. Potem rozłożyłam przed sobą wszystkie wypreparowane części, przyjrzałam się małym narządom, białawemu mięsu i kręgom szkieletu i zadałam sobie pytanie, który z tych elementów może czynić teriak nieprzydatnym. Nic nie wyglądało na chore albo nienormalne. Byłam pewna, że wąż jest zdrowy. Dogmat, że tylko samiczki nadają się do produkcji *panaceum*, wydał mi się nieprzekonujący i przestarzały.

Spostrzegłam, że moje rozważania utknęły w martwym punkcie i zadałam sobie pytanie, dlaczego mam tak wiele wątpliwości co do prawd uznawanych przez naukę za absolutne. Dlaczego tak jest? Dlaczego wiele rzeczy jest takimi, jakimi jest?

Dlaczego signora Tagliacozzi mnie nie lubi?

Może nigdy się tego nie dowiem. Postanowiłam zakończyć badania i iść spać. Tego wieczoru nie brakowało mi Gasparego.

- Własnoręcznie przeprowadziłaś sekcję żmii? - zapytał mnie Gaspare następnego wieczoru. Leżał nago obok mnie w łóżu *signory* Tagliacozzi i spoglądał na mnie rozbawiony. - Dlaczego?

- Chciałam się tego nauczyć.

- Ale po co?

- Po co wschodzi słońce? Po co ptaki znoszą jaja? Po co wieje wiatr? Po prostu jest tak, że chcę to umieć. Ty przecież też chciałeś się kiedyś tego nauczyć i zrobiłeś to. Tak samo jest ze mną.

- Ależ ubielona dziewczynko, nie złość się od razu. Chciałem tylko powiedzieć, że jak na kobietę to, co zrobiłaś, jest raczej nietypowe.

- Chciałabym dokonywać sekcji nie tylko węży, marzę o samodzielnej rekonstrukcji nosa ze wszystkim siedmioma aktami, a ty masz mi w tym pomóc.

- To niemożliwe. Ten zabieg mogą wykonywać tylko medycy, a ty nie jesteś medyczką.

- Bo wy, mężczyźni, nie pozwalacie mi studiować.

- Znowu zaczynasz? - Gaspare westchnął. Potem wyjaśniał mi długo i zawile, dlaczego mężczyźni i kobiety mają inne zadania w życiu, że tak było od zawsze, że chce tego Bóg, papież, Kościół i w ogóle wszyscy.

Mimo to nie ustępowałam.

- Geometrę Badoglia leczyłeś prywatnie tu, w swoim domu, a ja ci pomagałam. Dlaczego nie moglibyśmy tego powtórzyć?

- To byłoby zupełnie co innego, bo to ty operowałabyś skalpelem, a nie tylko podawałabyś mi narzędzia. Poza tym każdy natychmiast poznałby, że leczy go kobieta, a ja napytałbym sobie biedy.

Gaspare chciał zakończyć rozmowę i przytulić mnie, ale nie pozwoliłam na to i powiedziałam:

- Nie, nie każdy.

Doktor zmarszczył brwi.

- Jak to rozumiesz?

- Ślepiec by mnie nie poznał. Myślałby, że moje ręce to twoje.

- Wybacz, ale ten pomysł jest śmieszny.

- Ja wcale nie żartuję. Muszę spróbować. Zapytam żebraka Conora, czy nie ma jakiegoś ślepego kolegi z kikutem nosa. Jeśli tak, powiem, że sławny doktor Tagliacozzi uleczy go za darmo z jego kalectwa w celach naukowych. Nikt się nie dowie, że w rzeczywistości to ja będę operowała.

- Nie, to niemożliwe.

- Jak chcesz.

Chociaż stanowczość nie przyszła mi łatwo, wstałam i zaczęłam się ubierać. Celowo robiłam to powoli, żeby dać Gasparemu okazję do zmiany zdania, ale on się nie odzywał. Wreszcie - byłam już przy drzwiach i myślałam, że wszystko przypadło - wyrzekł jednak to słowo.

- Poczekaj!

Między zgodą Gasparego a rozpoczęciem leczenia upłynęły jeszcze dwa miesiące. Potrzeba było mego wielkiego uporu, niejednej łzy i anielskiej cierpliwości, zanim w końcu usiadł przed nami na krześle drobny, ułomny, niewidomy mężczyzna. Przysłał go do nas Conor. Mężczyzna przedstawił się jako Fabio Wiecznie Płaczący i zdradził nam, że członkowie jego cechu nazywają się *allacrimanti*. Był jednym z najbrzydszych mężczyzn, jakich w życiu widziałam, a jednocześnie budził wielką sympatię, gdy jego nieforemna twarz wykrzywiała się w promiennym uśmiechu. Aby uprawiać swoją sztukę, musiał pić bardzo wiele wody.

- Bez wody nie ma płynu, bez płynu nie ma łez, bez łez interes nie idzie, siostrze - oświadczył z szelmowskim wyrazem twarzy. - Tylko jeśli łzy płyną nieprzerwanie, ludzie mi współczują i pozbywają się kilku *paoli*.

Fabio był jednym z wielu bolończyków wyjętych spod prawa i żyjących w cieniu bogaczy. Członkiem cechu żebraków, mistrzów przetrwania, bezwartościowych i nieważnych w oczach władz, i może

właśnie dlatego Gaspare zaakceptował go jako „swojego” nowego pacjenta.

Nie przeczuwałam wówczas, jak wielkie serce ma Fabio i jak ważną rolę odegra w moim życiu.

- W jaki sposób straciłeś nos? - zapytałam go w czasie przygotowań do aktu pierwszego.

Zwrócił ku mnie swoje ślepe oczy i odpowiedział:

- To historia, której lepiej nie opowiadać, siostrze. Kiedy ktoś ma taką twarz jak ja, zagląda często w otchłanie ludzkich dusz, a to, co tam zobaczy, zbyt łatwo odbija się na umyśle człowieka. Nie znam was jeszcze na tyle, by wiedzieć, ile prawdy zdołacie znieść.

Zamiast mnie odpowiedział Gaspare:

- Potrafisz się pięknie wyrażać, Fabio. Czegoś takiego nie uczy się na ulicy. Skąd pochodzisz?

- Słusznie powiedzieliście, *dottore*. Jestem dzieckiem ulicy. Spędziłem na niej trzydzieści jeden lat, z czteroletnią przerwą. W tym okresie pocilem się w gimnazjum, koniugowałem, deklinowałem oraz recytowałem Cezara i Owidiusza.

- Dlaczego nie zostałeś w szkole?

- To historia, której lepiej nie opowiadać, *dottore*. Kiedy ktoś wygląda tak jak ja, zagląda często w otchłanie dusz ludzkich, a to, co tam zobaczy, zbyt łatwo odbija się na umyśle człowieka. Nie znam was jeszcze na tyle, by wiedzieć, ile prawdy zdołacie znieść.

Zrozumieliśmy, że Fabio nie ma jeszcze do nas dość zaufania, żeby opowiedzieć nam coś więcej o swoim życiu. Swoją odmowę wygłosił jednak z tak szelmowskim i rozbajającym uśmiechem, że nie mogliśmy się na niego gniewać. - No cóż - powiedziałam - najwyraźniej nie odczuwasz lęku przed kolejnymi etapami operacji. Jak widzisz...

- Nic nie widzę, siostrze.

- Och, przepraszam, daruj... Z pewnością poczułeś, że na lewe ramię przyłożyliśmy ci okłady nasączone octem i wywarem z ziół, żeby zmniejszyć krwawienie w akcie pierwszym. Niezbędne instrumenty leżą ułożone w misie, a bandaż został już wcześniej namoczony w białku jajka, wodzie różanej, żywicy palmowej i glince z Lemnos. Normalnie musiałabym teraz zawiązać ci oczy, żeby

oszczędzić ci widoku skalpela, ale naturalnie w twoim wypadku nie jest to konieczne.

- Macie rację, siostrze. Ale całkiem ślepy nie jestem, widzę dużo rzeczy uszami.

Potrzebowałam chwili, żeby pojąć, co Fabio ma na myśli. Potem odrzekłam:

- Jeśli jesteś gotów, doktor wytnie ci teraz płat skóry.

- Wybornie, siostrze. Nie boję się. *Dottore*, czyńcie swą powinność. Umówiliśmy się z Gasparem, że akt pierwszy zostanie dokonany jeszcze przez niego, żeby na początku nie wzbudzić w Fabiu wątpliwości, kto wykonuje kolejne kroki.

- Uspokój się i odpręż, Fabio - powiedział Gaspare. - Siostra Carla będzie mi asystować, a ja przyłożę się do skalpela.

- Zaczynajcie, *dottore*.

Ramię ślepeca spoczywało wyciągnięte na kolumnie w geometryczne wzory. Zaczęłam pracę i podniosłam skórę w miejscu operacji za pomocą kleszczy. Są one najważniejszym instrumentem przy rekonstrukcji nosa, dlatego chcę je opisać. Składają się z dwóch szerokich ramion z poprzecznymi szparami długimi na pięć cali. Przykłada się otwarte kleszcze do bicepsa i ściska w taki sposób, że ramiona chwytają spory kawałek skóry i tworzą z niej fałd.

Tak właśnie zrobiłam. Fabio nawet się nie skrzywił, Gaspare natomiast wziął do ręki narzędzie o obosiecznym ostrzu w kształcie wąskiego, ostro zakończonego liścia i wsunął je w jedną ze szpar w ramieniu kleszczy. Skalpel przebił fałd skóry, po czym operator wysunął ostrze przez szparę w drugim ramieniu kleszczy. Prowadząc ostrze wzdłuż obu szpar, rozszerzył nacięcie, po czym wyciągnął nóż i powiedział do mnie:

- Proszę otworzyć kleszcze, siostrze.

Zrobiłam, co mi polecił, fałd wygładził się i powstał w ten sposób płat skóry, tworzący rodzaj mostka, połączony na końcach ze skórą ramienia.

- Koniec operacji na dzisiaj - powiedział Gaspare. - Czy bardzo cię boli, Fabio?

- Bolało już bardziej, *dottore*.

- Jesteś bardzo mężny. Nie wszyscy pacjenci są tacy. Gaspare poprosił o sondę, podniósł nią płat skóry i przeciągnął przez otwór pas lnianego płótna.

- Co teraz robicie, *dottore!*

- Pod płatem skóry powinno się teraz wywiązać *inflammatio*, pożądane zapalenie, po którym nastąpi pożądane zropienie. W ten sposób przygotowuje się płat skóry do przeszczepu. - Gaspare zawiązał lniany pas i oznajmił: - Był to akt pierwszy, po nim nastąpi jeszcze sześć kolejnych. Przed następnym aktem muszą minąć dwa tygodnie, żeby płat skóry odpowiednio dojrzał.

Był środek lata, kiedy zaczęłam akt drugi. Nad dachami Bolonii powietrze drgało od upału. Było tak gorąco, że nawet zdrowi cierpieli z powodu wysokich temperatur. Fabio jednak znosił kurację z obojętnością, ba, z pogodnym spokojem, a i upał zdawał mu się nie przeszkadzać. Choć jego drobne ciało było kalekie, miał chyba dużą odporność. Za każdym razem, kiedy pytaliśmy: „Bardzo cię boli?” - odpowiadał: „Bywało gorzej. Częściej płaczę, ale nie z powodu dolegliwości. Po prostu nie chcę wyjść z wprawy jako *allacrimanto*”.

Żeby Fabio nie zauważył, kiedy zastąpię Gasparego, umówiliśmy się, że Gaspare najpierw powie do niego kilka słów, zrobi kilka gestów, a potem oddali się bezszelestnie o parę kroków, podczas gdy ja równie bezszelestnie podejść do Fabia i będę udawać, że jestem Gasparem. Milczeliśmy, żeby jego doskonały słuch niczego nie odkrył. Zgodnie z tym planem przeprowadziłam w następnych tygodniach wszystkie etapy operacji, od oddzielenia płata skóry i odcięcia go aż do przysycia do kikuta nosa.

W okresie między poszczególnymi etapami leczenia Gaspare opowiadał wiele istotnych rzeczy o *curtorum chirurgia*, jak nazywał chirurgię okaleczeń. Mówił, że już w starożytnych Indiach podejmowano się takich zabiegów, jednak ich rezultaty pozostawiały wiele do życzenia. Sztuka przeszczepiania „ciała na ciało” przywędrowała w ciągu setek lat najpierw na Sycylię, a potem stała się znana w całej Italii.

Pewien człowiek, nazywany Branca, czyli Starszy, i jego syn Antonio mieli posiąść sztukę chirurgii formującej już w pierwszej połowie piętnastego wieku w Katanii.

Istnieje kilka zapisków na temat operacji Branców. Wynika z nich, że ojciec pobierał ciało potrzebne do rekonstrukcji z twarzy poszkodowanego, jego syn natomiast z mięśnia ramienia, żeby nie powodować okaleczenia twarzy. W rozcięte ramię, bezpośrednio w ranę, wciskał kikut nosa i tak trwale go tam mocował, że pacjent nie mógł nawet pokręcić głową. Ta metoda, twierdził Gaspare, jest oczywistą niedorzecznością, gdyż okaleczony mięsień nie zastąpi czubka nosa. Podobnie niedorzeczne jest rekonstruowanie nosa za pomocą skóry świni, chociaż kilku mądrali uparcie twierdzi, że to możliwe.

Andrea delia Croce, lekarz o podobnie niedorzecznych poglądach, potępia całkowicie chirurgię formującą i odbudowującą. Zaleca, żeby przyszywać natychmiast odcięty fragment nosa i położyć na nim żywe kurczę albo gołębia, żeby zapobiec wychłodzeniu rekonstruowanego organu.

Inaczej natomiast ma się sprawa z rodziną Viano z Tropei: jej członkowie nie byli szarlatanami. Bracia Piętro i Paolo już dziesiątki lat temu mieli jakoby robić wszystko prawidłowo, przynajmniej ogólnie rzecz biorąc. Nie zadbali jednak o udokumentowanie szczegółów swojej sztuki, a prawdziwa sztuka składa się właśnie ze szczegółów i z piękną uzyskanego rezultatu. Podobno twierdzi tak również wielki Giulio Cesare Aranzio.

Na równe uznanie jak bracia Viano zasługuje zdaniem Gasparego Heinrich von Pfolzpeundt, niemiecki lekarz, który napisał rodzaj instrukcji, jak należy postępować, kiedy mamy do czynienia z nosem odgryzionym i połkniętym przez psa. Pfolzpeundt zaleca zamiast *tubuli* wypełnione woskiem dudki ptasich piór.

Należałoby również wspomnieć o niewielkich rezultatach operacji albo ich braku w wypadku tak znanych lekarzy jak Ambroise Paré, Borgarucci, Daza Chacon, a nawet Vesalius. Przyczyn należy szukać w tym, że albo nie przeprowadzali wcale tego rodzaju operacji - a więc nie powinni zabierać w tych sprawach głosu - albo zalecali błędne wykonanie rekonstrukcji.

Po Fabiu nie można było poznać, czy nie nudził się, gdy doktor udzielał tych obszernych wyjaśnień. Siedział zawsze z uprzejmą miną na łóżku, czasem się śmiał i płakał jednocześnie, żeby ćwiczyć swoje kanaliki łzo we.

Ja natomiast przysłuchiwałam się wywodom Gasparego z wielkim zainteresowaniem i zapamiętywałam każde nazwisko i każde słowo.

Pod koniec roku 1574 nadeszła wreszcie oczekiwana wielka chwila - przeprowadziłam akt szósty i wręczyłam Fabiowi *tectorium* do nocnego formowania nosa i *tubuli* do tworzenia jego dziurek.

- Teraz niechaj się odbędzie akt siódmy i ostatni - powiedziałam.

- Dziękuję wam, siostrze.

- Tobie także dziękuję, Fabio. Byłeś bardzo dzielnym pacjentem, nigdy nie skarżyłeś się na ból.

- Miewałem już większe bóle.

- Wiem, już to mówiłeś. Domyślałem się, że wiążą się one z otchłaniami ludzkiej duszy, w które często musiałeś zaglądać. Czy znasz mnie już wystarczająco dobrze, żeby mi zdradzić, jakie to otchłanie?

Fabio spojrzał na mnie oczami ślepego.

- Tak, myślę, że tak, siostrze. Jesteście niezwykłą młodą kobietą. Zawsze powtarzam, że istnieją trzy rodzaje bólu: dolegliwość, cierpienie i tortura. Tortury są najgorsze. Musiałem je znosić z rąk inkwizycji. Oprawcy rzucili mnie na ławę tortur i podwiesili mi stopy, a potem posmarowali solą podeszwy i przyprowadzili kilka kóz, które zlizwały sól. Najpierw trochę mnie to łaskotało, bo miały szorstkie języki, tylko tyle. Kiedy kozy zlizwały już sól, posypali mnie nią znowu i kozy znowu lizwały. Z łaskotek zrobiło się drapanie, a potem jakby ścieranie na tarce. Zlizwały mi skórę ze stóp, a potem żywe mięso, lizwały i lizwały, aż ich niezmordowane języki dotarły do kości. Od tej pory utykam.

Z całej siły starałam się nie zwymiotować. To, co usłyszałam, było tak obrzydliwe, tak potworne, że ledwo w to wierzyłam. Poznałam jednak Fabia dostatecznie, żeby wiedzieć, że nie kłamie.

- Zrobili mi to, bo ktoś na mnie doniósł. Oszczercy mieli ułatwione zadanie, ponieważ kiedy ktoś wygląda tak jak ja, z łatwością można

go uznać za heretyka. I tak miałem szczęście, że mnie w końcu wypuścili. Byłem chyba za małą płótką, żeby się mną dłużej zajmować.

Milczałam, myśląc o swoim znamieniu i polującym na czarownice Girolamie Menghim, przed którym tak usilnie ostrzegała mnie matka.

- Ależ, siostrze, tak to siostrę poruszyło? Nie chciałem. Myślałem...

- Nie mówmy już o tym - powiedziałam gwałtowniej, niż chciałam. - Mam nadzieję, że rekonstrukcja nosa przynajmniej trochę wynagrodziła ci doznaną krzywdę.

- Jak najbardziej, siostrze, jak najbardziej. Czuję, że nos jest teraz bardzo piękny. Jeśli tak można powiedzieć, przeprowadziliście operację plastyczną.

- To nie ja, Fabio, ja tylko asystowałam - odrzekłam, wstydząc się swojego kłamstwa.

Równocześnie rozejrzałam się za Gasparem, ale nie było go w sali. Fabio uśmiechnął się leciutko.

- Siostrze, ja przecież wiem. Od razu po akcie pierwszym zauważyłem, że to wy mnie operujecie. Świetnie to widziałem.

- Widziałeś? - zdumiałam się. - Myślałam, że jesteś ślepy.

- Owszem, ale mimo to widzę. Pamiętacie, na początku powiedziałem, że potrafię widzieć uszami? Mogę też widzieć nosem albo dotykiem. Dzięki nim wiem, czy i kto znajduje się w izbie.

- I co chcesz teraz zrobić? - zapytałam bezradnie.

- Naturalnie nic. Chcę wam z serca podziękować i powiedzieć, że kiedyś się odwdzięczę. Nie mam wprawdzie pieniędzy, ale zdarzają się w życiu chwile, kiedy jeden człowiek potrzebuje drugiego. Gdybyście kiedyś potrzebowali pomocy, ja się zjawię.

- Dziękuję, Fabio. - Mąciło mi się w głowie, bowiem rozmowa przybrała taki obrót, że mnie zaniepokoiła i przestraszyła. - Dziękuję - powtórzyłam. - Mam nadzieję, że ta operacja...

- Wszystko zostanie między nami. Cóż mógłbym zarzucić kobiecie, która tak dobrze operuje? Kobiety mają przecież zręczniejsze ręce. Jest na świecie wielu, których moglibyście zoperować, siostrze.

- Któż to taki?

- Pozbawieni praw, głodujący, żebracy, mistrzowie przeżycia, biedacy, uciskani. Jest ich w Bolonii ponad dziesięć tysięcy, a każdy z nich jest mniej lub bardziej ułomny.

- Tak - odrzekłam - swego czasu Conor mi o tym opowiadał. Nie sędzę jednak, żebym znalazła czas, by im pomóc. Codziennie pracuję w szpitalu klasztornym San Lorenzo.

- Naturalnie. Może się jednak siostra nad tym zastanowi. Życzę szczęścia.

- Ja tobie również, Fabio.

Uklonił mi się, co z powodu jego małego wzrostu i garbu zrobiło komiczne wrażenie, powtórzył jeszcze raz: „Życzę szczęścia!” i szybko wyszedł z sali.

Zdejmując pościel z łóżka i sprzątając instrumenty, zadawałam sobie pytanie, gdzie może być Gaspare. Jego obecność przy siódmym i ostatnim akcie byłaby zupełnie naturalna, więcej jeszcze - potrzebna. Ponieważ nie znajdowałam odpowiedzi na to pytanie, odpędziłam od siebie bezpłodne rozważania i ruszyłam na poszukiwanie doktora. Przypuszczałam, że jest tak jak zwykle w pokoju kominkowym, zesłam więc po schodach. Kiedy przechodziłam galerią obok biblioteki, usłyszałam głosy Gasparego i jego matki.

W pierwszym odruchu miałam zamiar pójść dalej i poczekać na niego w sali z kominkiem, jednak się rozmyśliłam. Nie będę przemykać się potajemnie obok jego matki, byłam na to za dumna. Poza tym odrzuciła mój prezent. Chciałam się przekonać, jak się zachowa, kiedy przed nią stanę.

Podeszłam do uchylonych drzwi i zatrzymałam się, żeby poprawić fryzurę i wygładzić suknię. Może też potrzebowałam chwili, żeby zebrać się na odwagę. Wtedy niechcący usłyszałam ich rozmowę.

- Właściwie chciałbym tu nadal mieszkać - mówił Gaspare.

- Nie bądź głupcem, nowy dom znajduje się w dzielnicy San Giacomo de'Carbonesi, dużo bliżej Archiginnasio niż ten. Droga na uniwersytet byłaby dużo krótsza.

- Ale mnie się tu podoba.

- Domyślam się dlaczego.

Kiedy usłyszałam te słowa, wyprostowałam się. Nie było wątpliwości, że *signora* Tagliacozzi miała na myśli mnie. Chciałam wejść do sali, ale *signora* mówiła dalej:

- Nie mam zamiaru wygłaszać ci kazań, synu, ale sam wiesz, że swój dobrobyt zawdzięczasz mnie i moim kupieckim zdolnościom. Nie mógłbyś wyżyć za swoje sto *libbre* rocznie.

- Nie wypominaj mi stale mojego ubóstwa.

- Ty sam nigdy o nim nie myślisz! Nie zapominaj, że nie jesteś jeszcze profesorem zwyczajnym jak Aranzio i inni uczeni zarabiający setki *libbre*. Zawsze wspierałam cię materialnie, ostatnio w sierpniu zeszłego roku, kiedy urodziło się dziecko twoje i Isabelli de'Sementi. Kosztowało mnie niezłą sumkę, żeby zatuszować skandal. Bez mojej pomocy musiałbyś poślubić kobietę biedną jak mysz kościelna.

- *Mamma*, proszę cię, zostaw te stare historie...

- Jeszcze nie skończyłam. Zrozum wreszcie, że chcę tylko twojego dobra. Kiedy mnie się dobrze powodzi, powodzi się też tobie. Mogę dostać za ten dom znakomitą cenę, a pieniędzy potrzebuję na zapłacenie za nowy dom. Poza tym wiem, że nowy bardzo podoba się Giulii.

Giulii? Rozmowa stawała się coraz bardziej tajemnicza. Gaspare nigdy mi nie wspominał o swoich miłostkach, ja też nigdy o to nie pytałam. Może dlatego że obawiałam się własnej zazdrości, która byłaby śmieszna. Dlatego nie zraniła mnie wiadomość, że przed naszym związkiem Gaspare został ojcem dziecka, które spłodził z tą jakąś Isabellą.

Kim jednak była Giulia? Na odpowiedź nie musiałam długo czekać, bo *signora* Tagliacozzi mówiła dalej:

- Uważam, że miesiąc po ślubie to najwyższy czas, byście wprowadzili się do waszego nowego domu...

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Miałam wrażenie, że ktoś usuwa mi ziemię spod stóp. Zatoczyłam się i przytrzymałam ściany.

- Nie wiem, na co czekasz. Wniosła okazały posag, upewniłam się o tym w porę, no i kochasz ją, sam mi mówiłeś...

Nie mogłam już dłużej wytrzymać i, potykając się, wpadłam do biblioteki, gdzie zobaczyłam *signorę* Tagliacozzi w czerwonej sukni.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa. Słyszałam za to *signorę* mówiącą swoim ostrym głosem, a każde jej słowo odczuwałam jak uderzenie obuchem.

- Jesteście dla siebie stworzeni, nie tylko ja tak myślę, również rodzice Giulii. Giuliano Carnali i jego krewni należą do jednej z najznakomitszych rodzin w Bolonii. Pieniądze, grunta i szczęście połączyły się tu w zbawienny sposób. Przecież kochasz Giulię?

- Tak, naturalnie, *mamma*, ja...

Nie słyszałam dalszych słów Gasparego, bowiem czerwona suknia *signory* Tagliacozzi zmieniła kształt, zaczęła rosnać i rosnać, przemieniła się w czerwoną chmurę, rozpostarła na całą salę i ogarnęła mnie z szumem.

Krzyknęłam i wyrzuciłam ręce do góry, żeby obronić się przed atakiem, ale na próżno - zabrakło mi sił. Chmura przewróciła mnie i upadłam na podłogę. Zemdlałam.

LISTY

Le letteri

Ocknęłam się i spojrzałam w twarz Gasparego. Patrzył na mnie z poważną miną, bez śladu swego zwykłego uśmiešku. Nad jego głową widziałam spłowiałe freski na suficie mojego domu, Adama, Ewę, węża i jabłko. Nie pojmowałam, co się ze mną dzieje. W końcu jednak dotarło do mnie, że leżę we własnym łóżku, a Gaspare pochyla się nade mną.

Nagle wszystko sobie przypomniałam.

- *Grazie a Dio!* - powiedział. - Ocknęłaś się.

Czułam, że wewnątrz sztywnieję, i odwróciłam głowę, żeby go nie widzieć.

- Bardzo się o ciebie martwiłem.

„Tak - pomyślałam z goryczą - martwiłeś się, myśląc o swojej Giulii, którą poślubiłeś potajemnie za moimi plecami i skonsumowałeś swoje małżeństwo. Kto wie, co z nią robiłeś, udając, że mnie kochasz i nazywając mnie swoją ubieloną dziewczynką”.

- Moja ubielona dziewczynko, nie wiem, co usłyszałaś z tej rozmowy...

Milczałam. Nie chciałam z nim rozmawiać. Niczego tak nie pragnęłam, jak tego, żeby sobie poszedł, a jednocześnie chciałam, żeby został, czułam bowiem, że jeśli teraz wyjdzie, nigdy nie wróci.

- A więc wszystko słyszałaś. No cóż, jest zupełnie inaczej, niż sądzisz. Małżeństwo w moich kręgach to nie to, co myślisz.

- Zawiodłeś moje zaufanie, nigdy ci tego nie wybaczę!

- Wierz mi, takie małżeństwo nie jest niczym więcej niż formalną umową, aranżowaną przez rodziny albo jeszcze kogoś innego. Nie ma to nic wspólnego z miłością...

To, o czym Gaspare tak mnie zapewniał, było w wielu wypadkach prawdą. Zwykle działo się tak, że przyszła oblubienica w towarzystwie kobiet ze swojej rodziny składała kilka tygodni przed ślubem formalną wizytę u matki narzeczonego, żeby się poznać.

Kiedy nadchodził dzień ślubu, zaproszeni goście cieszyli się muzyką, zabawą i napojami w domu narzeczonej, po czym odbywała się ceremonia religijna i w obecności świadków podpisywano notarialnie sporządzoną intercyzę. Jednym z najważniejszych punktów tej umowy było porozumienie w sprawie posagu.

Potem posilano się znowu i tańczono, a około północy dwoje gości odprowadzało młodą parę do łóżnicy wśród mniej lub bardziej sprośnych uwag i życzeń.

Czasem panna młoda wprowadzała się do domu męża dopiero po tygodniu lub dwóch. Oprócz pieniędzy i mebli wносиła do nowego domu bogatą wyprawę, a więc suknie, futra i perły, ale także dywany, bieliznę stołową, srebra, drogocenne szkła, talerze i dzbanki, do tego bieliznę pościelową, kołdry i poduszki i inne przedmioty codziennego użytku.

Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć, czy w wypadku Gasparego i Giulii Carnali też tak było. Później dowiedziałam się, że wniosła do małżeństwa posag w wysokości pięciu tysięcy *libbre* i w ten sposób znacznie poprawiła sytuację materialną Gasparego.

Nie wierzyłam, choć bardzo chciałam wierzyć, że on jej nie kocha.

- Kochasz ją - powiedziałam.

- Moja ubielona dziewczynko, proszę cię...

- Nie nazywaj mnie tak.

- Dobrze, Carlo, mogę zrozumieć twoje wzburzenie, ale wierz mi, że to małżeństwo zostało zaaranżowane przez moich rodziców. Już całą wieczność temu, żył jeszcze mój ojciec i przyjaźnił się z Giulianem Carnali, robili przez wiele lat wspólne interesy.

- To nie jest odpowiedź.

- No więc dobrze: kocham ciebie, tylko to jest ważne. Giulia jest tylko piękną młodą kobietą.

Mogłabym się tym zadowolić, gdybym nie widziała wyrazu twarzy Gasparego. Jego mina mówiła mi, że z pewnością czuje coś do swojej żony. I to mi wystarczyło.

- Opuść mój dom.

- Moja ubielona dziewczynko, ja...

- Wyjdź natychmiast z mojego domu.

Kiedy wyszedł, wcisnęłam głowę w poduszki i zaczęłam rozpaczliwie płakać.

Nie wiem, jak spędziłam noc, wiem tylko, że kilka razy przykładalam nóż kuchenny do nadgarstka, jednak za każdym razem cofałam się przed odebraniem sobie życia. Nie dlatego że Bóg zabrania samobójstwa, lecz po prostu dlatego że, prawdę mówiąc, za bardzo się bałam.

Tym bardziej czułam się podle. Byłam słaba, miałam gorączkę, kiedy koło południa ktoś zapukał do moich drzwi. Dreszcz przeleciał mi po plecach, gdyż pomyślałam, że może to Gaspare. Dreszcz strachu i nadziei.

Naciągnęłam kołdrę na głowę i najchętniej rozpląnęłabym się w powietrzu.

Nie był to jednak Gaspare, lecz siostra Marta.

- Zdziwiłam się, że nie zjawiłaś się w szpitalu - powiedziała, kiedy już przywitała mnie słowami „*pax tecum*”. - Chciałam sprawdzić, czy nie przydarzyło ci się znowu coś złego, jak wtedy, kiedy zginął twój narzeczony.

- Nie - zaprzeczyłam - nikt nie zginął.

- *Laudetur Jesus Christus* - powiedziała siostra Marta i przeżegnała się.

- *In aeternum* - odrzekłam machinalnie.

- Ale coś jest przecież nie w porządku. Musi być jakiś powód, dla którego nie przyszłaś dziś rano do klasztoru.

- Ja... źle się czuję.

- Właśnie widzę. - Marta odzyskała zwykłą energię. - Najlepiej zostań w łóżku i wypoć się. Ślepy by dostrzegł, że masz gorączkę.

Zrobię ci okłady na łydki, potrafią zdziałać cuda. A na przygnębienie dostaniesz grzane wino z miodem. Wzmacnia zmysły i duszę.

Krzątała się pilnie między mną a kuchnią; sama jej obecność już mnie uspokajała.

Kiedy zrobiła wszystko, co było do zrobienia, odmówiła modlitwę przy moim łóżku i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Muszę już iść, Carlo, matka przełożona na pewno zadaje sobie pytanie, gdzie się podziałam. Powiem jej, że masz gorączkę i musisz przez kilka dni zostać w łóżku. Zajrzę jeszcze do ciebie. Zostań z Bogiem!

- Idźcie z Bogiem, sestro! - odrzekłam, a ona pocałowała mnie w czoło i wyszła energicznym krokiem.

Dopiero po siedmiu dniach byłam w stanie podjąć pracę w szpitalu. Zaraz pierwszego ranka wezwała mnie do siebie przeorysza, matka Florienca.

- Cieszę się, że lepiej się czujesz - powiedziała na powitanie. Mała i niepozorna, siedziała jak zwykle za swoim biurkiem. Przyglądała mi się mądrymi oczyma, delikatnie gładząc dłonią figurę Madonny z Dzieciątkiem.

- Dziękuję, wielbna matko.

- Ciągłe jeszcze masz chorobę wypisaną na twarzy. A może to... zmartwienie?

Zadawałam sobie pytanie, ile dociekliwa przeorysza wie o mnie i Gasparem, gdyż widziano nas kilkakrotnie razem na mieście, nie tylko podczas warzenia teriaku. Szybko zastanowiłam się, kto może wiedzieć coś o naszym związku, jednak oprócz Adelma, no i *signory* Tagliacozzi, nikt nie przychodził mi na myśl, a co się tyczy ich obojga, byłam pewna, że żadne z nich - już choćby ze względu na Gasparego - nie zdradziło tajemnicy. Pytanie matki przełożonej musiało być więc raczej ogólnej natury.

- Dobrze się czuję, wielbna matko.

- Kiedy mówiłam o zmartwieniu, miałam na myśli też twoje nieczyste sumienie.

A więc wiedziała! Spuściłam wzrok, oczekując najgorszego.

- Doszło do moich uszu, że kilkakrotnie asystowałaś doktorowi Tagliacozzemu przy operacjach w jego domu. Jest to błogosławiona praca i nie mogę mieć do tego zastrzeżeń, zwłaszcza że doktor cieszy się nieskazitelną opinią. Wzbudza jednak moje zastrzeżenia to, że kilka razy nazwał cię publicznie „siostrą Carlą”, co bez wątpienia czynił w dobrej wierze. Twoje zaniedbanie, Carlo, polega na tym, że nie wyjaśniłaś mu swojej prawdziwej funkcji. Zrobiłaś to z próżności i dumy. Powinnaś była mu powiedzieć, że jesteś tylko pomocnicą pielęgniarki.

- Tak, wielbna matko - odrzekłam i próbowałam nie dać poznać po sobie, jak bardzo mi ulżyło.

- Odmów więc trzy „Zdrowaś Maryjo” i zabierz się znowu do pracy. Zgłoś się do siostry Marty. Ona wie, co jest najpilniejszego do zrobienia. Skłoniłam się i wyszłam z izby.

Służba w szpitalu pomogła mi w przeżyciu następnych dni. Pogrążyłam się w pracy i modlitwie i codziennie spędzałam w klasztorze o wiele więcej godzin, niż ode mnie oczekiwano. Posunęłam się nawet do tego, że postępowałam zgodnie ze słowami psalmu: „Siedem razy na dzień wysławiam Ciebie z powodu sprawiedliwych Twych wyroków”*, „Wstaję o północy, aby Cię wielbić za słuszne wyroki Twoje”** i odmawiałam razem z innymi siostrami liturgię godzin: jutrznię, prime, tercję, sekstę, none, nieszpory i kompletę, które w swoim dwudziestoczterogodzinnym rytmie odwracały uwagę od mego strapienia i dodawały mi sił. Pomagały nie myśleć o Gasparem, który tak bardzo mnie zawiódł i nie był wart tego, by się znowu pojawić w moim życiu.

Tę odrobinę czasu, która mi pozostawała, spędzałam, uzupełniając notatki o przeprowadzonych przeze mnie operacjach, moich doświadczeniach i trudnościach oraz rozważałam możliwości doskonalenia się.

* Ps 119,164.

** Ps 119,62.

Potem zaczęłam znowu czytać. Zajmowałam się podstawami patologii i metodami leczenia najróżniejszych chorób. Czytałam teksty wszystkich autorów, które mogłam zdobyć, studiowałam *Kodeks Majmonidesa*, powtarzałam *Kanon Awicenny* i *Aforyzmy Hipokratesa*, zagłębiałam się w dzieła Awerroesa, hiszpańsko-arabskiego filozofa i lekarza, znanego również pod mianem Ibn Ruszd, czytałam jego dzieła *Colligiet* i *De Medicinis Simplicibus* i zajmowałam się jego komentarzami do dzieł Arystotelesa.

Oprócz tego poznawałam poglądy Arystotelesa na temat logiki, filozofii, retoryki i nauk przyrodniczych i dowiadywałam się rzeczy zdumiewających. Poznałam jego tezę, według której kryształowe sfery utrzymują planety na ich drogach, a przy tym są niczym łupiny cebuli, które okalają Ziemię. Wielokrotnie spoglądałam w gwiazdziste zimowe niebo nad Bolonią, nie mogłam jednak zobaczyć niczego podobnego. Nieco rozczarowana odłożyłam Arystotelesa.

Wiosną roku 1575, kiedy cała dzielnica uniwersytecka pachniała ziołami do teriakum, poczułam żal. Nigdy już nie będę miała okazji do obserwowania barwnego tłumu na dziedzińcu Archiginnasio. Moja melancholia zwiększyła się jeszcze, kiedy pewnego dnia stwierdziłam, że skóra twarzy swędzi mnie i piecze. Przez kilka dni nic z tym nie robiłam, gdyż nie byłam w stanie przejrzeć się w *brutto nemico*. W końcu domyśliłam się, że winna jest temu biel ołowiowa, którą codziennie smarowałam twarz. Zatrulałam sobie skórę. Starłam się pozbyć dolegliwości, stosując kąpiele parowe z rumianku, ale nie było widocznej poprawy. Mądra siostra Marta, której się z tego zwierzyłam, też nie potrafiła mi nic doradzić.

Byłam zrozpaczona, kiedy nadszedł dzień warzenia teriakum i przypomniały mi się wszystkie obrazy z poprzedniego roku. Z mieszaniną żalu i złości myślałam o Gasparem, ale także o profesorze Aldrovandim i o Cristoforze Colbertim, farmaceucie i właścicielu apteki Del Monte.

Kiedy przypominałam sobie Colbertiego, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Może on mógłby mi pomóc? Postanowiłam do niego dotrzeć.

Miałam szczęście, bo zastałam go w jego aptece.

- *Buongiorno, signore* - powiedziałam, ukryta za woalką. - Nie wiem, czy mnie sobie przypominacie?

Colberti przesunął dłonią po swojej lwiej grzywie, przyjrzał mi się i odrzekł:

- Jeśli się nie mylę, jesteście ową młodą damą, którą poznałem w zeszłym roku jako towarzyszkę doktora Tagliacozziego, nieprawdaż?

- Macie dobrą pamięć, *signore*.

- Którą też się chlubię. - Colberti pozwolił sobie na uśmiech. - Na dziedzińcu Archiginnasio kupiliście ode mnie żmiję, męskiego rodzaju, jeśli się nie mylę. Prawdopodobnie dla doktora Tagliacozziego, mistrza sztuki sekcji.

- Tak właśnie było - odrzekłam.

- Co was do mnie sprowadza?

Opowiedziałam o moim zatruciu bielą ołowiową i pokazałam mu, przełamując swój opór, twarz z *voglia di vino*.

- A więc dlatego nosicie woalkę, *signorina*; zadawałem sobie pytanie, dlaczego. Czy sami coś przedsięwzięliście?

- Próbowałam kąpieli parowych z rumianku, *signore*. Niestety z mizernym rezultatem. - A czy doktor Tagliacozzi zalecił wam coś jeszcze? - Nie, *signore*.

- To mnie dziwi, ale to nie moja rzecz. Cóż, z zatruciem bielą ołowiową nie należy żartować. Ten kosmetyk jest dla skóry równie niebezpieczny jak rtęć. Zaleciłbym wam zabrać się do tej choroby z dwóch stron. Weźcie najpierw apulijską oliwę z oliwek, jest najlepsza, jaką można dostać, szczególnie jeśli pochodzi z miejscowości na południe od Bari. Oliwki powinny być zbierane ręcznie, przy czym na każdym palcu powinien być róg kozy. Oliwę tę wcierajcie codziennie w skórę. Oliwa apulijska uspokaja i łagodzi podrażnienia. Ponadto, aby przyspieszyć proces leczenia, należy ożywić krążenie krwi pod skórą. Należałoby zastosować w tym celu maść z tłuszczu z wełny owczej zmieszanej ze sproszkowanym pieprzem.

- Jesteście pewni, że te środki zadziałają?

- Ależ siostró Carlo! - obruszył się Colberti.

- Proszę, nie nazywajcie mnie siostrą.

- O, dlaczego?

- To... brzmi tak formalnie. Mówcie po prostu „Carlo” albo *signorina*, jeśli łaska.

- Naturalnie. Proszę, oto wasze lekarstwa. Droga do wyzdrowienia waszej skóry nie będzie łatwa. Przychodźcie do mnie regularnie, żebym mógł sprawdzać, czy nie należy zmienić lub wzmocnić leków.

- Dobrze, *signore*.

- Będziecie musieli zapłacić za leczenie, ale pamiętajcie, że nie jest to terapia lekarska. Daję wam tylko dobrą radę, nic więcej. W innym wypadku działałbym wbrew surowym prawom mojego cechu.

- Tak, naturalnie, *signore*.

- I pozdrówcie ode mnie doktora Tagliacozziego, kiedy go zobaczycie.

Chciałam odpowiedzieć, że nigdy go nie zobaczę, ale zmilczałam. Zapłaciłam za lekarstwa i mruknęłam „*arrivederci*”.

- *Arrivederci, signorina*.

W następnych miesiącach kilkakrotnie chodziłam do *signora* Colbertiego i zawsze były to miłe chwile, zwłaszcza że stan mojej skóry stopniowo się poprawiał. Jediną nieprzyjemną rzeczą było to, że Colberti często mnie zagadywał o Gasparego, sądząc, że nadal się spotykamy.

- Jakie zdanie ma doktor Tagliacozzi o niesłychanym postępku Aldrovandiego? - zapytał mnie pewnego razu.

- O czym mówicie, *signore*?

- Aldrovandi wcielił w tym roku swój pomysł w czyn i samowolnie dodał do teriaku oba zioła: *amomum* i *costus*.

- Och, nic o tym nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- W takim razie może też nie wiecie, że postępek Aldrovandiego wywołał największe oburzenie wśród członków cechu farmaceutów. Ostrzegaliśmy go usilnie przed tym krokiem, ale w jakiejś chwili podczas dwóch dni mieszania, gotowania i odważania udało mu się wrzucić do kotła te niepotrzebne rośliny. Teriak jest już od pewnego czasu gotowy, a my jesteśmy skazani na sprzedawanie produktu, o którego jakości nie jesteśmy przekonani.

- Ach tak - odrzekłam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. -
Przykro mi, ale trochę się spieszę i muszę już iść. *Arrivederci, signore.*

- *Arrivederci, signorina.*

Innym razem Colberti opowiedział mi, że on i kilku jego kolegów od niedawna sprzedają własny teriak, sporządzony według starej dobrej metody. Szacowni profesorowie Alberghini, Zibetti i Beato w funkcji *priora* oraz profesor Aldrovandi jako *protomedico* zostali z zachowaniem wszelkich form poproszeni o pozwolenie sporządzenia niezbędnych do produkcji teriaku tabletek z mięsa żmij. Aldrovandi jednakowoż zapobiegł wydaniu pozwolenia pod mało przekonującym pretekstem. Twierdził, że żeńskie osobniki przeznaczone na *compressi*, były w ciąży, kilka żmij było nawet rodzaju męskiego, a ponadto pora roku była jakoby nieodpowiednia do zabijania żmij.

- Ach tak - powtórzyłam, zastanawiając się nad neutralną odpowiedzią. - Moja skóra nieco już się poprawiła dzięki waszym lekarstwom.

- To mnie cieszy - rzekł farmaceuta.

- *Arrivederci, signore* - powiedziałam.

- *Arrivederci, signorina.*

Również podczas mojej trzeciej wizyty - nadszedł już październik - Colberti nie mógł przestać mówić o postępkach Aldrovandiego. Opowiadał bardzo żywo, co chwila przesuwając ręką po czuprynie, że on i jego koledzy złożyli skargę na zachowanie Aldrovandiego u kierownictwa akademii. Sporządzony przez nich teriak został uwarzony wedle starych, tradycyjnych przepisów, a tym samym był bez zarzutu, w przeciwieństwie do mikstury profesora, którą bez oficjalnego pozwolenia zafałszowano ziołami *amomum* i *cos tus*.

Jednak Aldrovandi się nie poddawał. Według słów Colbertiego udało mu się obronić swoją samowolę za pomocą fałszywych argumentów i spowodować zakaz sprzedaży teriaku aptekarzy, między innymi dzięki temu, że oskarżył farmaceutów o zawiść. Aptekarze

wysłali kilka listów do kierownictwa akademii z prośbą, żeby mogli nadal warzyć własny teriak. Nie uzyskali jednak zgody. Zdecydowali się więc na ostatnią próbę i stawili się osobiście w akademii, co wbrew oczekiwaniom dało pomyślny wynik - wreszcie doczekali się sprawiedliwego sądu. Przekonali do swoich racji nawet głowę miasta, czcigodnego gonfaloniera.

- Na pewno bardzo was to uradowało, *signore* - powiedziałam uprzejmie, chociaż nieustanny spór dorosłych mężów o dwa zioła wydawał mi się raczej dziecinny.

- Oczywiście! Decydującym argumentem było to, że żaden z koryfeuszy Italii nie zalecał używania *amomum* i *costus*.

- Ach tak?

- A jak wasza skóra, *signorina*! Gadam i gadam i zapominam o przyczynie waszej wizyty.

- Skóra chyba się wygoiła.

- Bardzo mnie to cieszy! Pozwólcie, że popatrzę. Tak, rzeczywiście, znakomicie. Hoho, nikt nie może powiedzieć, że aptekarze w Bolonii nie znają się na medycynie!

- *Arrivederci, signore.*

- *Arrivederci, signorina.*

Na początku grudnia otrzymałam list. Wręczył mi go posłaniec, którego liberię znałam aż nadto dobrze. Przybył od Gasparego. Najpierw nie chciałam przyjąć listu, ale potem powiedziałam sobie, że przecież zawsze mogę go wyrzucić po przeczytaniu. Weszłam do domu, złamałam pieczęć i przeczytałam linijki tekstu napisanego spiczastym pismem Gasparego:

Droga Carlo,

jak wolno płynie czas, kiedy nie można się zobaczyć! Mam nadzieję, że Twój gniew z czasem osłabł. Żyję jak przedtem swoim życiem, ale bardzo mi Ciebie brakuje.

W tym miejscu chciałam wrzucić list do ognia, czułam bowiem, jak mnie rozstraja, ale nie potrafiłam. Musiałam przeczytać do końca.

Chętnie zobaczyłbym się z Tobą, ubielona dziewczynko, choćby tylko po to, żeby oddać ci rzeczy znajdujące się jeszcze w moim domu, a mianowicie lalka ubrań i szpilkę do kapelusza.

Zawsze Twój Gaspare

Co on napisał? Że ma moją szpilkę do kapelusza?

Czułam, że zaczynam drżeć na całym ciele i zrobiłam coś, czego nigdy dotąd nie robiłam: wypłam duży łyk wina na pusty żołądek.

Jednak drzenie nie minęło.

Czy to możliwe, że Gaspare ma moją szpilkę?

Naturalnie, że możliwe, odpowiedziałam sobie. Widziałaś przecież, jak wyjmował Marcowi z ręki kościaną szpilkę i mówił, że może spadła z sufitu. Poza tym słyszałaś wyraźnie, jak mówił o szpilce do kobiecego kapelusza. Zupełnie możliwe, że ją zatrzymał.

Drzenie powoli mijało. Nieco uspokojona, zastanawiałam się, czy to możliwe, by wiązał ją ze mną?

Odszukałam w pamięci wspomnienie tragicznej śmierci Marca i doszłam do wniosku, że Gasparego przy tym nie było. Nie mógł więc mnie zobaczyć.

W takim razie nie wiązano mnie jednoznacznie ze szpilką. Może jednak coś podejrzewano? Być może dlatego że stale chodziłam w berecie wymagającym mocowania za pomocą szpilki? A może dlatego że interesowałam się tak bardzo wszystkim, co miało związek z medycyną?

Jeśli jednak istniały podejrzenia, dlaczego Gaspare nigdy mi o tym nie powiedział?

Mnóstwo pytań, na które nie znałam odpowiedzi.

Powiedziałam sobie, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zbadać gruntownie tę sprawę. Wyszłam za próg, gdzie czekał na mnie posłaniec Gasparego, i rzekłam:

- Powiedz swemu panu, że odwiedzę go jutro wieczorem około szóstej.

Kiedy następnego dnia zbliżyła się szóstka po południu, gorzko żałowałam, że zapowiedziałam swoją wizytę w domu koloru terakoty. Zrobiłam to jednak i nie było odwrotu.

Z bijącym sercem stałam pod drzwiami i czekałam, aż mnie wpuszczą. Od moich ostatnich odwiedzin minął rok, a przez ten czas wiele się zdarzyło.

Jak Gaspare teraz wygląda? Jaki strój ma na sobie? Z zamyślenia wyrwał mnie głos Adelma.

- *Buonasera, signorina Carla.*

Służący wyraźnie się ucieszył, że znowu mnie widzi. Podreptał przodem, do pokoju z kominkiem, zapytał, czy sobie czegoś życzę, skinął głową, kiedy zaprzeczyłam, i zniknął.

Rozejrzałam się i stwierdziłam, że wszystko wygląda tak samo jak przed rokiem. Pośrodku stał nadal czarny jak heban stół i krzesła o wysokich oparciach, a wszystkie ściany pokryte były kobiercami przedstawiającymi wytwarzanie jedwabiu w Bolonii.

Usiadłam. Zaraz przyjdzie Gaspare i przywita się ze mną. Czułam, jak mocno bije mi serce. Prześliznęłam się spojrzeniem po stole i po gzymsie kominka, na którym niegdyś stały modele nosów. Na kominku leżało coś, co wyglądało na szpilkę. Zerwałam się, żeby się przyjrzeć z bliska temu przedmiotowi, lecz w tym samym momencie rozległy się kroki.

W drzwiach ukazała się młoda kobieta. Była odziana w drogie suknie i miała wytworny makijaż, jakby szła na raut albo bal. Miała na sobie jasnozieloną suknię z jedwabnego aksamitu, z podwyższoną talią, dekoltem odsłaniającym ramiona i szerokimi, bufiastymi rękawami. Stanik ozdabiały kunsztownie wyszyte lilie w dwóch odcieniach złota. Wszystkie kolory cudownie harmonizowały z jej ciemnoblonde wysoko upiętymi włosami.

Była prawdziwą pięknoscią. Podeszła do mnie z uśmiechem i powiedziała:

- Jestem *signora* Tagliacozzi, wy jesteście z pewnością *signorina* Carla, która często asystowała mojemu mężowi przy operacjach?

- Tak, to prawda - odparłam, starając się zrobić to uprzejmie, chociaż trudno mi było oswoić się z tym, że ta młoda kobieta, chyba niewiele starsza ode mnie, przedstawiła się jako *signora* Tagliacozzi.

- Mąż zaraz przyjdzie. Prosił o odrobinę cierpliwości.

- Naturalnie - odparłam.

- No cóż - powiedziała po chwili milczenia, kiedy dyskretnie usiłowałyśmy się nawzajem ocenić - to chyba jednak potrwa trochę dłużej.

- Najwidoczniej - odrzekłam.

Młoda kobieta uśmiechnęła się nieśmiało.

Nie wiem dlaczego poczułam nad nią przewagę, być może z tego powodu, że najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, co łączyło mnie z Gasparem, a może z powodu jej daremnych usiłowań, żeby wydać się pewną siebie panią domu. A może po prostu było mi jej żal, bo miała taką sekutnicę teściową.

- Muszę się jeszcze zająć kilkoma sprawami. Czy coś wam przysłać?

- Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba - odrzekłam, zerkając na gzymś kominka.

- A więc zostawiam was samą. - W jej głosie brzmiała ulga. Kiedy opuściła pokój, podeszłam do kominka i przyjrzałam się

z bliska tajemniczemu przedmiotowi. Była to rzeczywiście szpilka do kapelusza. Nie ulegało wątpliwości, że moja.

Znowu zadałam sobie pytanie, czy Gaspare mógłby udowodnić moje potajemne wizyty i obserwacje w Archiginnasio, i znowu doszłam do wniosku, że nie. Mówiłam sobie, że szpilka była jedynie pretekstem do nawiązania ze mną kontaktu. Zwłaszcza że nie zostawiłam u niego żadnych swoich rzeczy.

A gdyby naprawdę chciał mi coś udowodnić? W takim wypadku szpilka stanowiłaby *corpus delicti*. Musi więc zniknąć. Nie namyślając się długo, zdjęłam ją z gzymś i wrzuciłam w ogień. Płomienie zapłonęły żywiej. Widziałam, jak szpilka zmienia kolor, kurczy się i w chwilę później w jej miejscu był już tylko czerwony żar.

- Wybacz, że kazałem ci czekać. - Przede mną stał Gaspare. Serce podskoczyło mi w piersi. Wyglądał tak jak zwykle, ubrany w drogie czarne sukno, którego powagę osłabiały jedynie białe koronkowy kołnierz i fioletowe fałdy na rękawach. Uśmiechał się uśmiechem, który tak dobrze znałam.

Był to uśmiezek, który mnie w równym stopniu pociągał i onieśmiał.

- Twoja... twoja żona jest bardzo piękna - rzekłam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Tak, to prawda. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. Najwidoczniej nie o niej chciał rozmawiać.

- Jesteście szczęśliwi?

- Cóż, szczęśliwi... Jak wiesz, małżeństwo w moich kręgach często nie jest niczym więcej niż ugodą, związkiem z rozsądku, by tak rzec, unią finansową.

- Uważam, że powinna wziąć udział w naszym spotkaniu. Jest bardzo miła.

- Moje małżeństwo jest jedynie ugodą.

- Już to mówiłeś. - Zadawałam sobie pytanie, czy przez ostatni rok o mnie też mówił w tak lekceważący sposób.

- Ach, Carlo, o czym my rozmawiamy! Zacznijmy jeszcze raz od początku: cieszę się, że przyszłaś. Naprawdę się cieszę! Usiądź, zamówię coś do picia.

Zawołał Adelma i poprosił o dzban naszego ulubionego wina.

- A teraz opowiadaj, co się z tobą działo - zażądał, kiedy wypiliśmy pierwszy łyk.

Najpierw jąkałam się, ale potem coraz płynniej opowiadałam o moich kłopotach z bielą ołowiową, a on słuchał uważnie, po czym przeprosił mnie za pomysł zastosowania tego środka i zadał kilka medycznych pytań.

- Czy Colberti polecił ci jakieś dobre lekarstwo? Opowiedziałam mu o środkach, które mi dał.

- Brzmi to przekonująco i dzięki Bogu wyzdrowiałaś. Tak, Colberti to solidny *farmacista*, jego apteka jest jedną z najlepszych w mieście. Czasem jest wprawdzie nieco samowolny, ale może aptekarze muszą tacy być. Potem zaczęliśmy rozmawiać o operacjach, które przeprowadził w ubiegłych miesiącach, a ja jak zwykle przysłuchiwałam mu się chciwie. Dokonał nie tylko rekonstrukcji nosa, ale także rekonstrukcji górnej i dolnej wargi. Metoda była w zasadzie ta sama. Podczas operacji pomagali mu dwaj *ntinistri*: jeden trzymał głowę pacjenta,

a drugi podawał instrumenty. Ale żaden z nich nie był tak zręczny jak ja...

Czas mijał, było prawie tak jak dawniej. A jednak wyczuwało się między nami napięcie, które brało się nie tylko z tego, że jego żona znajdowała się pod tym samym dachem i być może zadawała sobie pytanie, o czym rozmawiamy. Było też coś innego; dobrze wiedziałam co, ponieważ spostrzegłam, jak często jego spojrzenie wędruje do gzymsu kominka, gdzie położył szpilkę do kapelusza.

- Muszę iść, Gaspare, już czas kolacji.

- Zostań jeszcze chwilę, tak dobrze nam się rozmawia.

Też tak uważałam. Uczciwie mówiąc, rozmowa sprawiała mi ogromną przyjemność, a myśl o tym, że Giulia Carnali, jego niewątpliwie bardzo uprzejma żona, miała przywilej jedzenia z nim kolacji, a potem wspólnego robienia całkiem innych rzeczy, podczas gdy ja samotnie wracałabym na Strada San Felice, napełniała mnie zazdrością.

- To niemożliwe. Chyba że jestem zaproszona do was na kolację? Zaśmiał się ze zmieszaniem.

- Niezły pomysł, ale dziś to niemożliwe. Może innym razem.

- Może. - Wstałam szybko i ruszyłam do drzwi.

- Poczekaj chwilę.

- Na co? - zapytałam niewinnie. V- Podejdź do kominka.

- Do kominka? Po co, właśnie chciałam...

- Zimno na dworze, ogrzej się przez chwilę, zanim wyjdiesz na ulicę.

- Skoro nalegasz...

Zbliżyłam się do kominka i z wielkim trudem zrobiłam obojętną minę, podczas gdy on przesuwiał dłonią po gzymsie. Mruczał przy tym coś, czego nie rozumiałam.

- Mówiłeś coś?

- Tak, ogrzej się. - Gaspare schylił się i na próżno szukał między szczapami drewna.

- Szukasz czegoś?

Wyprostował się. Na jego twarzy ukazał się uśmiezek: już wiedział.

- Znalazłaś ją - powiedział.

- O czym mówisz?

- Ach, Carlo, doskonale wiesz, że mówię o twojej szpilce do kapelusza.

- Szpilce? Jakiej szpilce?

- Musiałaś ją wziąć. Leżała na gzymsie kominka, dobrze pamiętam. Chciałem ci ją oddać.

- Przepraszam cię, ale mówisz zagadkami. Mam tylko jedną szpilkę, tę, którą znasz. - Wskazałam swój beret, gdzie tkwiła następczyni zgubionej szpilki.

- Jesteś pewna?

- Naturalnie.

Szybko opuściłam woalkę, nie chcąc, żeby mi spojrzał w twarz. A więc naprawdę domyślał się, że to ja byłam ową nieznaną, która potajemnie słuchała wykładów w Scuola d'Aranzio. Zastawił na mnie pułapkę.

Gdybym w nią wpadła, byłabym do końca życia zdana na jego łaskę i niełaskę.

Czy powodem tego była chęć podporządkowania mnie sobie, czy jedynie pragnienie poznania prawdy, które cechowało go jako uczonego?

Jedno było pewne - zastawiając pułapkę, niczym nie ryzykował, ponieważ gdyby się nie udało, mógł powiedzieć, że po prostu chciał się ze mną spotkać.

I tak właśnie zrobił.

Roześmiał się i tak szybko wziął mnie w ramiona, że nie zdążyłam temu zapobiec.

- Ależ zrozum! Potrzebowałem jakiegoś pretekstu, żeby cię tu zwabić. Zawsze można polegać na kobiecej ciekawości, nieprawdaż? Przyszłaś i to jest najważniejsze.

- Puść mnie, proszę. Posłuchał niechętnie.

- Zanim wyjdiesz, chcę ci powiedzieć, że ciągle cię...

- Bądź zdrow, Gaspare - powiedziałam i szybko wybiegłam.

Minął tydzień pełen zajęć. Jak zwykle w mokrej i zimnej porze roku miałam moc pracy w szpitalu. Dzięki niej udawało mi się nie myśleć o Gasparem, o jego podstępie ze szpilką ani o próbie zapew-

nienia mnie przy pożegnaniu, że wciąż mnie kocha. Powtarzałam sobie, że jest szczęśliwy w małżeństwie, że ma prześliczną, a do tego miłą i zamożną żonę, że jest mężczyzną na zawsze zajęтым i że nie ma czego szukać w moim życiu.

Jednak niebawem, na krótko przed świętami Bożego Narodzenia - właśnie udało mi się odzyskać względną równowagę ducha -posłaniec w liberii stanął znowu u moich drzwi. Podał mi list i jak zwykle czekał na odpowiedź. Gaspare pisał:

Droga Carlo,

z pewnością, się dziwisz, że znowu do Ciebie piszę, ale powodem tego listu jest bardzo pilna sprawa, wymagająca jak największej dyskrecji. Proszę Cię, potwierdź przez posłańca, że odwiedzisz mnie dziś wieczorem o ósmej w moim domu i zjesz z nami kolację.

Zawsze Twój Gaspare

Moim pierwszym odruchem było odmówić, gdyż miniony tydzień pokazał mi, jak wiele Gaspare jeszcze dla mnie znaczy. Spotkanie z nim znowu wywołałoby u mnie duchową rozterkę. Ta sprawa była zamknięta. Odetchnęłam głęboko i rzekłam do posłańca:

- Przekaż twojemu panu, że dziś wieczór nie mogę przyjść.

Zarzucałam sobie niestałość i słabość, złorzeczyłam sobie, ale tego samego wieczoru stanęłam pod domem Gasparego i zastukałam do drzwi. Adelmo odebrał ode mnie symarę i zaprowadził mnie do sali na parterze, której kiedyś używano jako pokoju do pisania listów. Była rozświetlona tuzinami świec. Świece stały na stole nakrytym dla trzech osób; siedziała przy nim żona Gasparego. Znowu była wystrojona, jakby wybierała się na bal. Dodatkowo wyskubała sobie zgodnie z modą włosy znad czoła, żeby wyglądało na wyższe i piękniejsze.

Kiedy mnie zobaczyła, podniosła się i wyszła mi naprzeciw. Podała mi rękę i powiedziała:

- Miałam nadzieję, że przyjdziecie mimo odmowy, *signorina*, i dlatego kazałam wszystko przygotować. Niestety nie wiem, jaki jest powód waszego przybycia, bowiem mój mąż robił z tego wielką tajemnicę, ale na pewno najpierw zjemy razem kolację.

- Dziękuję, *signora*.

- Kiedy wychodziłam za mąż, wyprosiłam u rodziców Luigiego Baptista. Jest prawdziwym mistrzem kuchni i należy w pewnym sensie do mojego posagu. Dziś wieczorem stanął dla nas przy piecu.

- Giulia Carnali uśmiechnęła się filuternie i po raz pierwszy nie wyglądała na onieśmioną moją obecnością.

- Dziękuję, lubię dobrze zjeść, *signora*.

- Niech menu będzie zatem niespodzianką.

Usiadłyśmy, a chwilę później zjawił się Gaspare, który tego dnia nie ubrał się jak zwykle w czerń, lecz miał na sobie ciemnogrnatowy kaftan. Jego obramowany koronką kołnierzyk jaśniał cytrynowożółto i stanowił jaskrawy kontrast z granatem.

- Jak widzisz, dotrzymałem obietnicy i zaprosiłem cię na kolację

- zawołał, siadając do stołu. - Będzie...

- Pst! - Giulia Carnali poufałym gestem położyła mu rękę na ramieniu.

- Menu ma być niespodzianką. Już się rozpływałam nad Luigim Baptistem. - Słusznie, moja droga, słusznie.

Gaspare zaklaskał w dłonie i pojawiło się kilku nieznanym mi służących. Najwidoczniej przybyli do domu Gasparego razem z Giulią Carnali. Wnieśli półmiski i tace i podali tak wykwintne potrawy jak sałaty z *pinzimonio*, ostrym sosem z oliwy, pieprzu i soli, jaja przepiórcze z suszonymi śliwkami, ravioli po genueńsku z nadzieniem z cielęciny, wieprzowiny, mózdzku cielęcego, jajek, miękiszu chleba, parmezanu, botwiny i przypraw, piersi bażanta z *frutta candita*, risotto z suszonymi prawdziwkami, szafranem i szałwią, później mortadelę na gorąco z owocami mirtu i wyśmienitą gorgonzolę.

Przy serze Gaspare, który przez cały czas nieprzerwanie gawędził, opowiedział legendę o wynalezieniu gorgonzoli. Legenda głosiła, że pewnego młodego dojarza podczas wieczornego udoju odwiedziła uwodzicielska dziewczyna, która oderwała go od dojenia i aż do rana tak zajmowała, że śmiertelnie zmęczony połączył świeże mleko ranne

z odstałym wieczornym, z czego powstał zupełnie nowy rodzaj sera, który przyjaciele dojarza na pamiątkę braku spoczynku tej nocy nazwali *stracchino di gorgonzola*.

Na zakończenie podano deser. Do kolacji serwowano trzy rodzaje win o pełnym smaku w kolorze rubinu, ponadto moszcz i wodę perfumowaną.

Był to niesłychany zbytek i jeszcze jeden dowód na to, dlaczego Bolonia często bywała nazywana *la grassa* - tłusta. Nie można było zjeść więcej niż po odrobinie z każdego dania. Jednak te porcyjki, które jadłam, były najwykwintniejszymi potrawami, jakie kiedykolwiek miałam w ustach.

- *Salute*. - Gaspare znowu podniósł kielich, aby trącić się ze mną i z żoną. - Nie ma nic lepszego nad obfitą ucztę. Jednak nawet najgłodniejszy człowiek w końcu się naje, a potem zaczyna się proza życia.

Spojrzał na żonę, a Giulia Carnali zrozumiała, o co mu chodzi.

- Czuję, że powinnam zostawić was samych - rzekła z uśmiechem. - Mam nadzieję, że posiłek wam smakował, *signorina*?

- O, tak - potwierdziłam. - Proszę, przekażcie waszemu kucharzowi wyrazy uznania. Jest mistrzem w swoim fachu.

- Możecie mu to sami powiedzieć, *signorina*, właśnie wchodzi. Na pewno chce się dowiedzieć, czy wszystko was zadowoliło.

Luigi Baptisto był starszym, zaskakująco chudym mężczyzną. Sprawiał wrażenie raczej artysty niż kucharza i kiedy wysłuchał z godną miną moich pochwał, powiedział:

- Dziękuję wam, dziękuję wam bardzo, *signorina*, bowiem dobry kucharz jest równocześnie poetą, ażeby mógł recytować wiersze, co chroni go przed nudą i zmęczeniem, geometrą, by zręcznie formować i układać okrągłe, kanciaste, małe i duże smakołyki odpowiednio do danej potrawy i półmiska, matematykiem, żeby się nie mylić przy liczeniu misek i garnków, malarzem, aby swoim pieczeniom i sosom nadać właściwy, apetyczny kolor, medykiem, ażeby odróżniać potrawy lekkostrawne i ciężkostrawne i podawać je w odpowiedniej kolejności, chirurgiem, żeby osiąść sztukę rozbierania mięsa i ryb, a także filozofem, by mieć pojęcie o naturze potraw, porach roku oraz

o silniejszym lub słabszym żywiole ognia. Krótko mówiąc, dobry kucharz musi być wszechstronny. Powinien być pogodny jak jego sztuka, jednocześnie gorzki i słodki.

Luigi Baptisto najwidoczniej lubił móc się pochwalić swoimi zaletami; przypuszczałam, że często dawano mu ku temu sposobność jako zapłatę za jego kunszt.

Kucharz skłonił się i zniknął, pani domu także zbierała się do odejścia.

- Życzę wam przyjemnego wieczoru, *signorina* - powiedziała uprzejmie.

Kiedy wyszła, Gaspare odchrząknął.

- No cóż, Carlo, nie wiem, czy będzie to dla ciebie przyjemny wieczór. W każdym razie będzie to na pewno najważniejszy wieczór w twoim życiu. - Gaspare popatrzył na mnie niezwykle poważnie.

- O co chodzi? Gaspare wypił łyk wina.

- Jeśli mam być szczery, nie wiem, jak mam to powiedzieć. Może więc najlepiej powiem prosto z mostu: w imieniu profesora Aldrovandiego chciałbym cię poprosić, żebyś wypełniła tajną misję.

- Proszę?

- Tak, dobrze słyszałaś, proszę cię, abyś pojechała w tajnej misji do Wenecji do doktora Maurizia Sangia. Jest to bardzo zdolny medyk i znany nie tylko w Italii jako koryfeusz w dziedzinie wytwarzania teriaku.

- Aha. - Na razie niewiele z tego rozumiałam.

- Pozwól, że ci wyjaśnię. Może przypominasz sobie, że w zeszłym roku na dziedzińcu Archiginnasio spotkaliśmy kolejno profesora Aldrovandiego i dziś dobrze ci już znanego aptekarza Colbertiego. Obaj panowie są mili i uprzejmi. Mają tylko różne zdania, co być może zauważyłaś. Podczas gdy Aldrovandi koniecznie chce dodawać do teriaku zioła *amomum* i *costus*, Colberti i jego *farmacisti* robią wszystko, by temu przeszkodzić. Spór trwa już od miesięcy. Raz Aldrovandi wyglądał na zwycięzcę, kiedy udało mu się w tym roku dodać swoich ziół, to znów wygrywali aptekarze, którzy zwrócili się osobiście do gonfaloniera. Ostatnio oni są górą. Teriaku uwarzonego

przez *protomedico* Aldrovandiego nie wolno sprzedawać, a teriak aptekarzy tak.

- Wszystko to ładnie pięknie - odrzekłam - i naturalnie słyszałam o tym sporze, ale co ja mam z tym wspólnego? A przede wszystkim: co ciebie to obchodzi?

- Profesor Aldrovandi jest moim przyjacielem, należał bowiem do moich najważniejszych sprzymierzeńców i zwolenników, kiedy miano mi nadać tytuł naukowy. Jemu przede wszystkim zawdzięczam, że w roku 1570 z całym ceremoniałem zostałem uznany za doktora medycyny. Poza tym w tym roku wypowiedział się za nadaniem mi stopnia naukowego z filozofii.

- Rozumiem, ale dlaczego profesor nie pojedzie sam do Wenecji, skoro ta sprawa jest dla niego tak ważna?

- Jakże miałby pojechać? Nie może przecież przerwać swoich wykładów na tydzień lub dwa, a nawet gdyby to uczynił, aptekarze zaraz by to wywąchali i mu przeszkadzili.

- W takim razie powinien wysłać kogoś ze służby do tego doktora... hmm... jak on się nazywa?

- Sangio.

- ...do doktora Sangia. Jaką rolę on gra w tym wszystkim? Gaspare uśmiechnął się, na pół z rozbawieniem, na pół ze znużeniem.

- Wiedziałem, że będziesz miała wiele pytań. Ale naturalnie masz do tego prawo, ponieważ prosimy cię o trudną podróż. Wiedz zatem, że służący albo zaufany Aldrovandiego nie wchodzi w grę, ponieważ jego zniknięcie też wzbudziłoby podejrzenia. Poza tym oni się do tego nie nadają, bo nie mają żadnej wiedzy medycznej. Nie, nie, musi jechać ktoś, kto jest zorientowany w naukach medycznych i czyjej nieobecności, jeśli można tak powiedzieć, nikt nie zauważy.

- I wtedy pomyślałeś o mnie. Jednakowoż i moją nieobecność ktoś zauważy. Zapominasz chyba, że jestem pomocnicą pielęgniarek w szpitalu zakonnym San Lorenzo.

- Nie, nie zapominam. Mogłabyś poprosić matkę przełożoną, żeby cię zwolniła na dwa tygodnie, byś mogła odwiedzić siostrę twojej matki w Padwie.

- Skąd wiesz, że mam tam ciotkę?

- Sama mi powiedziałaś.

To prawda. Kiedyś mu o tym wspomniałam.

- A więc mam kłamać dla ciebie i profesora Aldrovandiego, z którym nie mam nic wspólnego, i pojechać do Wenecji?

- Zrób to dla mnie - powiedział Gaspare cicho. Pochylił się i ujął mnie za rękę.

Szybko mu ją zabrałam. Musiałam się bardzo starać, żeby pod jego spojrzeniem pozostać twardą. Aby wzmocnić stanowczość odmowy, mówiłam sobie, że sprawę ze szpilką do kapelusza uknuł z wyrachowania.

- Nie, nie zrobię tego.

- Proszę cię.

- Co takiego posiada ten doktor Sangio, czego profesor Aldrovandi koniecznie potrzebuje?

- Wiedzę, Carlo. - Gaspare wziął mnie znowu za rękę i tym razem jej nie wyrwałam. - Sangio ma doświadczenie z ziołami *amomum* i *costus* w teriaku. Jest jedynym autorytetem, który może udowodnić naukowo ich działanie. Wie o tym bardzo niewiele osób, nasi *farmacisti* nie mają o tym pojęcia, ponieważ Sangio nie robi wiele hałasu wokół swojej osoby. Jest człowiekiem, którego głos się liczy, może nawet jest decydujący, bo w młodości studiował w Bolonii i z owych czasów zna wikariusza generalnego i gonfaloniera. Byli kolegami ze studiów, chociaż gonfalonier według medyków studiował jedynie prawo. Gdyby Maurizio Sangio sporządził dokument potwierdzający dodatkowe działanie ziół *amomum* i *costus*, najprawdopodobniej spowodowałoby to wygraną Aldrovandiego. Przywróciłoby mu dobre imię, nieco nadszarpnięte przez tę historię.

- A co ja bym z tego miała? Poza uciążliwą i w dodatku niebezpieczną podróżą? - Dałbym ci dwóch strażników miejskich. Są najemnikami i nie pytają, dokąd i po co jadą, kiedy chodzi o jakąś podróż. Nic by ci więc nie zagrażało. Dałbym ci list polecający do doktora Sangia, a on przyjąłby cię z otwartymi ramionami.

- Ale dlaczego ja, właśnie ja?

- Podaliśmy ci już powody, Carlo. Poza tym jesteś kobietą. Nikt nie domyśli się, że pomagasz Aldrovandiemu.

Pomyślałam o Cristoforze Colbertim, moim aptekarzu, który bardzo mi pomógł przy zatruciu bielą ołowiową. Niewdzięcznością byłoby przyczynić się do jego klęski w sprawie teriaku. Z drugiej jednak strony dobrze zarobił na lekarstwach dla mnie...

- A jeśli powiem nie?

- Zrób to dla mnie - powtórzył Gaspare, a ja odwróciłam wzrok, bo inaczej rzuciłabym mu się na szyję, tak nieodparcie mnie pociągał.

- Nie podoba mi się też, że profesor nie poprosił mnie o to osobiście. Powinien przynajmniej być przy naszej rozmowie.

- Proszę cię, Carlo...

- Może... może jednak to zrobię.

- Wspaniale, jesteś cudowna! - Przyciągnął mnie do siebie i pocałował, zanim zdążyłam mu przeszkodzić.

Oswobodziłam się, oddychając ciężko, i wysunęłam z jego objęć. Pomyślałam o jego żonie, miłej, uprzejmej i niczego nieprzeczuwającej. Nie zasługiwała na to, co się przed chwilą stało.

- Dobrze, zrobię to. Ale pod warunkiem, że to się nie powtórzy!

- Wspaniale, jesteś wspaniała! - Gaspare przyjrzał mi się. -Wiedziałem, że takie zadanie może ci się spodobać. Nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych. Jestem z ciebie dumny.

- Nie musisz.

- Jak uważasz. Najważniejsze, że się porozumieliśmy. Wszystko zorganizuję tak, żebyś mogła wyruszyć do Wenecji w styczniu. Tylko... jest jeszcze jedna sprawa, o której powinnaś wiedzieć.

- Co takiego?

- No cóż, w Wenecji panuje dżuma.

MASKA WENUS

La maschera di Venere

Nie wiem, co mną powodowało, że dotrzymałam słowa i wyruszyłam do Wenecji. Chyba postradałam zmysły, żeby się dobrowolnie decydować na podróż do zadżumionego miasta. A jednak uczyniłam to. Być może sądziłam, że jestem to winna samej sobie. Może też był inny powód - w głębi serca spodziewałam się chyba, że Gaspare będzie mnie kochał przez całe życie, jeśli dla niego podejmę się takiej niebezpiecznej podróży.

Tak czy inaczej, pewnego ranka w końcu stycznia 1576 roku wyruszyłam konno do Wenecji w towarzystwie dwóch żołnierzy. Mój koń był dobrodusznym wałachem z ogromną głową i dlatego wołano go Capo. Niósł na grzbiecie damskie siodło, na którym trzymałam się niezbyt pewnie, bo nigdy przedtem nie jeździłam konno. Żołnierze, Luca i Manuel, byli małomównymi pacholkami; ponuro gapili się przed siebie i najwyraźniej nie mieli ochoty na rozmowę.

Gdy wyjechaliśmy z miasta przez Porta Mascarella w kierunku północnym, z naszych ust dobywały się białe mgiełki oddechu; było bardzo zimno. Luca jechał na czele. Był starszym od swego towarzysza, nieokrzesanym drabem z czerwoną jak ogień blizną na czole. Ja jechałam jako druga, a naszą małą karawanę zamykał Manuel, żyłasty pacholek z kudłatą brodą. Szły z nami jeszcze dwa osły dźwigające broń, namioty, żywność i inne przybory, wśród nich kilka

książek, ponieważ chciałam wykorzystać pięciodniową podróż na lekturę medycznych tekstów.

Na moje kilkakrotnie powtórzone pytanie, dlaczego nie jedziemy obok siebie - droga była dostatecznie szeroka - Luca odpowiedział w końcu niechętnie:

- Taki szyk jest najbezpieczniejszy, *signorina*, jeden z przodu, drugi z tyłu, oba osły z prawej i z lewej, a wy pośrodku.

Dał swojemu koniowi ostrogę i nadal jechał na czele.

Nasz pierwszy popas miał być w Malalbergo, miasteczku położonym na północny wschód od Bolonii, o którym nigdy przedtem nie słyszałam. Odwróciłam się i zapytałam Manuela, jak długo będziemy jechać, mając nadzieję, że jest nieco rozmowniejszy niż jego towarzysz, ale odpowiedział równie niechętnie:

- Siedem albo siedemnaście godzin, *signorina*, któż by to wiedział.

- Ale chyba wiecie, jak to daleko?

- Czasem daleko, a czasem blisko, zależy, którądy się jedzie.

- A dlaczego nie pojedziemy najkrótszą drogą? - spróbowałam zmusić go do rozmowy.

- Bo dłuższa droga jest czasem krótsza, a krótsza - dłuższa.

- Nie rozumiem.

- Nie musicie. Polegajcie na nas.

Dalsza rozmowa wydawała się niemożliwa. Zacisnęłam usta, niezadowolona ze skąpej odpowiedzi, i dałam za wygraną. Doszłam do wniosku, że Manuel miał na myśli, iż okrężna droga bywa czasem szybsza niż prosta. Potwierdziło się to jeszcze tego samego przedpołudnia. Wskutek dużych opadów deszczu drogi były rozmokłe i wiele pojazdów utknęło w błocie. Zagradały drogę, nie było sposobu, żeby przejechać. - Widzicie, dłuższa droga jest czasem krótsza - powiedział Manuel zarozumiale, zupełnie jakby się cieszył, że jego przepowiednia się sprawdziła. Bez protestów pojechałam za Luką objazdem. Około południa postanowiłam przerwać milczenie.

- Jedziemy już pięć albo sześć godzin, chciałabym odpocząć.

- Jeszcze mało ujechaliśmy, *signorina*. - Luca wcale nie zamierzał stanąć, ale ja miałam już dosyć nieuprzejmości moich towarzyszy i powiedziałam:

- Jestem głodna. Chcę zrobić przerwę i zrobić. Pamiętajcie, że zapłacono wam za to, żeby dowieźć mnie zdrowo i cało do Wenecji. A więc dbajcie o to, bym się dobrze czuła. Stajemy!

Spojrzeni na siebie i powiedzieli pokornie:

- Jak uważacie, *signorina*.

Zsiedli z koni, obrządzili je i zawiesili im worki z owsem u pysków. Potem wydobyli swój prowiant, rozpostarli derkę na ziemi i zaczęli jeść.

Na mnie nie zwracali uwagi.

- Byłabym wam wdzięczna, gdybyście zdjęli moją żywność z konia, żebym i ja mogła coś zjeść - powiedziałam, z trudem się opanowując.

Znowu spojrzeli po sobie i Manuel odparł:

- Chętnie to zrobię, *signorina*, choć jako żywo nie dostaliśmy grosza za wyładowywanie prowiantu i karmienie was.

Nic na to nie odrzekłam, lecz poczekałam, aż zrobił, co mu poleciłam, usiadłam na własnej derce i zjadłam mój własny prowiant. Gdybym nie była na nich tak wściekła, chyba bym się rozplakała. Nie chciałam jednak sprawić im satysfakcji.

Po południu jednostajność równinnego kraju zaczęła mnie nużyć. To, co w lecie było zieloną trawą łąk i pastwisk, zdrową paszą znakomicie toczącą bydło, teraz przygnębiało smętną szarością. Droga była błotnista, przez co jechaliśmy powoli. Dopiero późnym wieczorem, na godzinę przed północą, dotarliśmy do Malalbergo, miejsciny, która tylko dlatego miała jakieś znaczenie, że leżała przy drodze do Ferrary. Byłam głodna i zmęczona, po wielogodzinnej jeździe wszystko mnie bolało.

Mieszkańcy miasteczka spali już głębokim snem, jednak Luca nic sobie z tego nie robił. Oświetlał pochodnią wszystkie domy po kolei, aż znalazł gospodę. Nazywała się *L'ostello per la sosta* - Gospoda Spokojnego Odpoczynku. Brzmiało to obiecująco, nie potwierdziło się jednak, gdyż zaspany gospodarz nie obdarzył nas zaufaniem. Najpierw polecił mi pokazać pieniądze i dopiero wtedy zrobił się nieco gościnniejszy i jako tako zajął się nami, osłami i końmi. Izba, którą mi przydzielił, znajdowała się w bezpośredniej bliskości latryny, z której smród nie pozwalał mi spać.

Następnego ranka wyruszyliśmy skoro świt po zjedzeniu ledwo letniej, cienkiej zupy. Luca i Manuel nie byli tego dnia bardziej rozmowni niż poprzedniego, lecz przynajmniej mieliśmy więcej szczęścia, jeśli chodzi o drogę. Na ostatnich milach przed Ferrarą była wybrukowana, co umożliwiło nam szybszą jazdę. Moi towarzysze przestali rygorystycznie przestrzegać szyku i obaj jechali na czele. Kilka razy nawet się zaśmiali. Ze strzępków rozmowy dochodzących od czasu do czasu do moich uszu rozumiałam, że obiecują sobie w Ferrarze wesoły wieczór z odwiedzinami w domu rozpusty.

Było mi to obojętne. Z czasem pogodziłam się, że podróż nie sprawia mi przyjemności; spodziewałam się też, że w Wenecji będzie jeszcze gorzej. Przynajmniej gospoda w Ferrarze była czysta, a jedzenie smaczne. Zamówiłam *tortelli di zucca*, pierożki z dynią, migdałami i kandyzowaną gorczycą, które kazałam posypać *par-migiano reggiano*. Do tego zjadłam trochę *salama da sugo*, znakomitej wędliny z tych okolic. W sumie był to prosty, ale wyśmienity posiłek, który wynagrodził mi dotychczasowe niewygody, zwłaszcza że i wino, *lambrusco mantovano*, aromatyczny trunek pachnący owocami i korzeniami, bardzo mi smakowało.

Droga do Rovigo następnego dnia była nieco przyjemniejsza, nie tylko dlatego że od czasu do czasu zza chmur ukazywało się słońce, ale i dlatego że przyzwyczaiałam się do siedzenia w siodle i nie bolały mnie już pośladki. Z czasem oswoiłam się z milczeniem Luki i Manuela, jednak tego dnia wydawali mi się szczególnie nierozmowni. Może z powodu wielkiego kaca, a może nie zadowolili ich pobyt w burdelu. W gospodzie w Rovigo, jedynej w mieście, po raz pierwszy udało mi się poczytać trochę literatury medycznej. Często cytowany Galen ułatwił sobie sprawę w swoich rozważaniach o dżumie, radził bowiem: „*Cito longe fugas et tarde redeas*”, co znaczy po prostu tyle, by jak najszybciej brać nogi za pas, kiedy się zacznie, i jak najpóźniej wracać. To zalecenie nie było zbyt pomocne, miałam bowiem wręcz przeciwne zadanie.

Więcej obiecywałam sobie po lekturze dysertacji, która ukazała się w Niemczech przed zaledwie ośmioma laty pod tytułem *De vera curandae pestis ratione* Johanna Pistoriusa Młodszeo. Podawał on wiele sposobów pielęgnowania chorych na dżumę i dokładnie je

opisywał. Interesowało mnie szczególnie, jak postępować z pojawiającymi się w tej chorobie guzami, zwanymi bubo, zanotowałam więc kilka uwag, by je omówić z doktorem Sangiem. Wyobrażałam go sobie jako bladego, uprzejmego mola książkowego, ze słabym wzrokiem od czytania i pisania, i z ciałem, które z powodu wieku utraciło sprężystość.

Gaspare zapewniał mnie, że Sangio jest bardzo uczynnym człowiekiem, w każdym razie tak mu mówiono, bowiem sam nie miał przyjemności go poznać. Tym bardziej był ciekaw mojej relacji.

- Jestem pewien, moja ubielona dziewczynko, że sławny doktor ci pomoże - powiedział, zanim wręczył mi pismo polecające i osobisty list od profesora, choć chyba miał na myśli, że Sangio pomoże profesorowi Aldrovandiemu.

Czytałam do późna w noc, aż wreszcie obrazy Gasparego, profesora Aldrovandiego i Johannesesa Pistoriusa rozplynęły się przed moimi oczyma, litery zaczęły tańczyć i zapadłam w niespokojny sen.

Następnego dnia niewiele zobaczyłam ze wspaniałości Padwy -nie widziałam ani bazyliki Świętego Antoniego, ani placu Prato della Valle, ani też pomnika Gattamelaty na koniu; ominęła mnie przyjemność oglądania kaplicy Scrovegnich z przepięknymi freskami Giotto, jak też słynnego uniwersytetu. Szybko przemierzyliśmy wieczorne ulice, aż stanęliśmy na popas w *locanda* w pobliżu murów miejskich.

Następnego ranka zaczął się ostatni dzień naszej podróży. Za ledwie po paru milach od opuszczenia miasta zaczęliśmy spotykać na drodze ludzi, którzy zachowywali się inaczej niż wszyscy, których dotąd widywaliśmy. Nie byli podróżnymi ani kupcami, ani też rolnikami czy kurierami - byli uciekinierami. Uciekali przed dżumą. Twarze ich wyrażały paniczny strach. Z rozszerzonymi z lęku oczami próbowali ratować swój skromny dobytek, uciekając pieszo, konno albo w pojazdach podskakujących na wybojach.

- Zawracajcie! - wołali do nas - zawracajcie, jeśli wam życie miłe! Wenecja umiera, jest mnóstwo ofiar!

Im dalej jechaliśmy, tym większa była liczba zmarłych, o której mówiono. Z tuzinów zrobiły się setki, z setek tysiące. Z każdą nową liczbą czułam, jak zwiększa się niepokój moich milczących towarzyszy. „

Po południu znaleźliśmy się dziesięć mil od Wenecji. Czuło się już zapach morza - i zapach śmierci. Przynosił go wiatr. Nigdy dotąd nie czułam takiej woni, ale wiedziałam, że to woń rozkładu.

- Powinniśmy tutaj zrobić popas i przenocować, *signorina*
-powiedział Luca.

- Ależ jesteśmy już tylko kilka mil od Wenecji - sprzeciwiłam się.

- Czy dojedziemy tam dzisiaj, czy jutro - włączył się Manuel -dżumie to nie robi różnicy. Powinniśmy tu przenocować.

Zgodziłam się niechętnie. Jeśli mam być szczerą, to i mnie się nie spieszyło, by przybyć do rządzanego przez czarną śmierć miasta. Uwiązaliśmy zwierzęta i zabrali się do szykowania obozu. Luca i Manuel pomagali mi, zdejmowali juki z grzbietów zwierząt i rozstawili mój namiot. Dziwiłam się ich niezwykłej uprzejmości, ale nie zastanawiałam się nad nią zbyt długo. Poprosiłam ich, żeby rozpalili ognisko, i to także zrobili bez szemrania.

Po skromnym posiłku złożonym z chleba i sera zagłębiłam się znowu w lekturze, bo uznałam to za najlepszy sposób, by zapomnieć na pewien czas o Wenecji i oczekujących nas tam okropnościach. Pomyślałam, że pomoże mi w tym łyk lambrusco. Wstałam i podeszłam do swoich bagaży, ale w żadnej z sakw nie znalazłam wina. Zrozumiałam, dlaczego Luca i Manuel tak chętnie mi pomagali. Wykorzystali okazję, aby mnie okraść. Z gniewem popatrzyłam na leżących nieco dalej przy ognisku drabów. Jak przypuszczałam, pili wino, ani chybi moje. Chciałam podejść do nich i zażądać wyjaśnień, ale rozmyśliłam się. Naturalnie zaprzeczyliby, a ja wyszłabym na głupią, bowiem nie mogłam im nic udowodnić. Nie, lepiej było nic nie mówić. Poza tym jutro i tak się ich pozbędę. Poczytałam jeszcze chwilę Pistoriusa i zasnęłam mimo kłopotów i trosk.

W nocy obudziłam się, bo poczułam pilną potrzebę. Wieczorem zamiast wina piłam wodę, pewnie za dużo. Wstałam po cichu i skryłam się w krzakach. Stamtąd usłyszałam, jak tych dwóch ze sobą rozmawia, cicho i nieco bełkotliwie. - Ta zakwefiona sowa jest uczona - mówił Luca - bardzo uczona. - Uczona i mądra jak wszystkie sowy - Manuel zachichotał. - Bardzo mądra...

- Tak, bardzo mądra.

- Mądra i ma kupę grosza. Sam widziałem.

- Tak, tak, hyp - czknał Manuel. - Odkąd to sowy potrzebują pieniędzy, hyp?

- Ho ho ho, nie potrzebują wcale, po co im one?

Najpierw nie bardzo rozumiałam, o czym mówią, i właśnie chciałam się wycofać, kiedy nagle pojęłam: mówią o mnie! „Zakwefiona sowa” to ja!

Zmieniłam zdanie - postanowiłam zostać na miejscu i podsłuchać, co mówią; musiałam przecież wiedzieć, co zamierzają.

- Odbierzemy jej pieniądze, a potem... krrr. - Manuel przejechał palcem po szyi. Przeszedł mnie dreszcz, a Luca odrzekł:

- Myślisz, że możemy ukręcić jej szyję? Ktoś w Bolonii może się dowiedzieć, a my wpadniemy. Lepiej zabawmy się trochę z sową, jest apetycznym ptaszkiem, nawet jeśli ma piętno grzechu na twarzy.

- Zabawić się? Czemu nie, ale potem ukatrupimy, żeby nie mogła gadać na nas. Kiedy ktoś o nią zapyta, powiemy po prostu, że dostała dżumy w Wenecji. Ukatrupimy ją, zabierzemy pieniądze i znikamy. Tylko głupiec jedzie dobrowolnie do Wenecji. Tak, tak, tylko głupiec. Ale najpierw golnijmy jeszcze po jednym i pokimajmy trochę, na wzmocnienie, ho ho ho, a o świcie się nią zajmiemy.

- Hyp... po co tak długo czekać, brachu? - Luca oblizał się ze smakiem.

- Chcę zobaczyć po dniu jej cycki, obydwu, i jej małą czarną dziurkę. Po prostu masz więcej zabawy, kiedy coś przy tym widzisz, pojmujesz?

- Pojmuję.

- *Salute.*

- *Salute.*

- Ho ho ho, za kobitki!

- Za kobitki!

Gadali tak jeszcze przez chwilę, w końcu jednak zaczęli chrapać. Na sztywnych nogach, drżąc na całym ciele z zimna i strachu, wróciłam do ogniska. Podsyciłam ogień i trzymałam nad nim dłonie, a kiedy ciepło z wolna rozpląnęło się po moich członkach, próbowałam się uspokoić. Zmusiłam się do jasnego myślenia i spostrzegłam, że moje

przerażenie stopniowo się zmniejsza. Dopóki łotrzy śpią, mówiłam sobie, nic mi nie grozi. Ale co ja mam począć?

Uciekać, dołączyć do rzeszy uciekinierów, wmieszać się w tłum, stać się niewidzialna i w ten sposób wrócić do Bolonii?

Nie, tak się nie godzi. Złożyłam obietnicę i chciałam jej dotrzymać.

Więc co robić? Od razu wyruszyć do Wenecji? Zbyt ryzykowne. Nawet jeśli ci dwaj łajdacy nie usłyszą mojego odjazdu, najpóźniej jutro rano ruszą za mną w pościg, dogonią mnie jeszcze przed miastem kanałów, zgwałcą i zamordują.

Znowu poczułam rozpacz. O mało się nie rozplakałam, ale zaplanowałam nad łzami. Nie byłam już dzieckiem, nie byłam małą Carłą, którą można upokarzać i pomiatać. Chciałam się bronić. Chciałam opanować sytuację.

I opanuję ją...

Wzięłam swoje książki i trochę żywności, zapakowałam do jednej sakwy i przemknęłam się do Capa, który czekał na mnie, przywiązany do drzewa. Pogłaskałam go po szyi, przemówiłam doń uspokajająco, chociaż mnie samej daleko było do spokoju, i przewiesiłam sakwę przez jego grzbiet. Capo odpowiedział mi, strzygąc uszami. Byłam mu wdzięczna, gdyż część jego spokoju udzieliła się i mnie.

- Poczekaj, Capo - powiedziałam - zaraz wrócę.

Podeszłam do osłów, gdzie na ziemi leżały części uzbrojenia i inne przedmioty. Przez chwilę przebierałam w nich po cichu. W końcu znalazłam to, czego szukałam. Była to zapasowa podkova. Zimny metal ciążył mi w dłoni, kiedy skradałam się w kierunku łotrów. Leżeli na plecach, z mieczami u boków, i chrapali z otwartymi ustami. Podeszłam do nich, serce waliło mi jak młotem. Nie wiedziałam, czy potrafię, ale musiałam to zrobić. Zamachnęłam się i uderzyłam Lucę w głowę. Zacharczał, drgnął, przewrócił się na bok i przestał chrapać.

Czy... czyja go...? Wolałam nie kończyć tej myśli. Nie chciałam mieć na sumieniu morderstwa. Ostrożnie pochyliłam się nad jego głową. Owionął mnie kwaśny odór wina. Wyteżyłam słuch. Tak! *Grazie a Dio*, usłyszałam cichy, płytki oddech. Nie zabiłam go, tylko pozbawiłam przytomności. O to mi właśnie chodziło.

Kilka sekund później już nieco odważniej zrobiłam to samo Manuelowi. Wydał jęk i ucichł.

Zabrałam broń obu łajdaków i wrzuciłam ją do pobliskiej rzeczki. Następnie poszłam do ich koni i osłów. Kolejno odwiązałam zwierzęta i dałam im po mocnym klapsie. Konie stały przez chwilę, jakby nie rozumiejąc, że są wolne, a potem pokłusowały w noc. Osły podążyły za nimi. Tylko Capo stał, spokojnie strzygąc uszami.

- Chodź, Capo - powiedziałam.

Wzięłam go za cugle i ruszyłam pieszo do szerokiej drogi zbudowanej jeszcze przez Rzymian. Wtedy nazywała się Via Aemilia i cała okolica przyjęła tę nazwę. Nie o tym jednak myślałam. Krok za krokiem posuwałam się naprzód, żałując, że jestem za słaba, by włożyć na konia ciężkie damskie siodło.

Capo i ja szliśmy bardzo wolno. Kiedy zaczęło świtać, dzieliły mnie od dwójki opryszków dwie albo trzy mile. Była to pora, o której Luca chciał mnie zgwałcić. *Va 'a ramengo!* Niech ich diabli!

W pewnej chwili na poboczu zobaczyłam pień drzewa. Dzięki niemu wpadłam na pewien pomysł.

- Prrr, Capo!

Walach zatrzymał się posłusznie. Podprowadziłam go tak, by stanął tuż przy pniu, wdrapałam się na nań i przerzuciłam nogę przez szeroki koński grzbiet. Postanowiłam jechać dalej konno bez siodła, po męsku. Nie obchodziło mnie, co sobie pomyślą ludzie na drodze; pewnie zresztą nie zwrócą na to uwagi, bo zajmowały ich zupełnie inne rzeczy.

Jeszcze przed południem znalazłam się kilka mil od celu. W zapachu wiatru od morza coraz bardziej czuło się odór śmierci. Na skraju drogi zaczęły się pojawiać ciała. Capo mijał je ze stoicką obojętnością, a ja usiłowałam zachować opanowanie w obliczu tego nieszczęścia i trwogi, które uświadamiałam sobie z coraz większą siłą. Im bliżej miasta byliśmy, tym bardziej rosła liczba uciekinierów, których dościgła zaraza. Niczym ośmiornica o tysiącu macek chwytiała uciekających, powalała ich na ziemię i zabijała z niszczycielską siłą. Widziałam ludzi, którzy zastygli w ruchu, ludzi, którzy zdawali się spać, czemu zadawał kłam odór ich gnijących, wzdętych ciał, ludzi w łachmanach, w drogocennych szatach i całkiem nagich. Ludzi

z grozą w oczach, z wyciągniętymi rękami, jakby prosili o pomoc, i z otwartymi ustami, jakby sami sobie śpiewali pieśń śmierci. W rzeczywistości jednak nigdy już nie zaśpiewają.

Capo kroczył niewzruszenie, jakby wiedział, dokąd ma mnie zawieźć. Byłam mu za to wdzięczna. Gdyby go nie było, może i ja zaczęłabym uciekać.

Powtarzałam sobie, że i tak nie mogę uciec przed dżumą. Gdziekolwiek się znajdę, może mnie doścignąć, a jeśli doścignie, zabije albo - gdy będę miała szczęście - pozostawi przy życiu. Wszystko jedno, czy pojedę dalej, czy nie...

Z takimi myślami przeprowiłam się przez lagunę do Wenecji i byłam zdziwiona, że na ulicach nie widzę żadnych straży. Po prostu ich nie było. Zamiast tego zauważyłam kilku nędznie odzianych mężczyzn ładujących trumny na czółno. Wydało mi się to dziwne, więc zapytałam jednego z nich:

- Dokąd wieziecie trumny?

- Na wyspę cmentarną.

- I tam ich pochowają?

- Tak właśnie, *signorina*. I jeśli nie chcecie też zostać pogrzebani, lepiej stąd wyjedźcie. Wenecja nie jest teraz dobrym miejscem do życia.

Nic nie odpowiedziałam na jego radę i pytałam dalej:

- Wiesz może, gdzie mieszka doktor Sangio? Podobno jest jednym z najbardziej znanych lekarzy w mieście.

- Tak, to prawda. Mieszka daleko, we wschodniej części dzielnicy Dorsoduro. - Mężczyzna wskazał mi drogę i opisał dom. - Macie szczęście, *signorina*, że nie musicie przekraczać Canale Grandę, teraz nie jest łatwo o gondolę.

- Dziękuję. Zostańcie z Bogiem.

Ruszyłam we wskazanym kierunku i po pewnym czasie rozpoznałam dom doktora. Jego kolor przypomniiał mi dom Gasparego, był jednakże węższy i sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego. Ze swoimi wspaniałymi fryzami i kunsztownymi freskami pamiętał chyba lepsze dni. Zsiadłam z konia i przywiązałam go do wysmukłej kolumny, po czym stanęłam pod łukiem głównej bramy i zastukałam kołatką w kształcie głowy lwa. Przez chwilę nic się nie działo.

Właśnie chciałam zapukać znowu, kiedy drzwi się otworzyły. Służący przyjrzał mi się i zapytał:

- Tak, proszę?

- Nazywam się Carla Maria Castagnolo, chciałabym się spotkać z doktorem Sangiem.

- Doktor Sangio nie może teraz nikogo przyjąć. Służący chciał zamknąć drzwi, ale powiedziałam szybko:

- Przyjechałam specjalnie z Bolonii. Mam do twego pana list polecający od doktora Tagliacozziego i list od profesora Aldrovan-diego. Proszę spojrzeć. - Podniosłam w górę oba zalakowane pisma, mając nadzieję, że przekonają służącego.

- Obawiam się, że doktor Sangio mimo to nie będzie mógł was przyjąć. Dajcie mi listy, doręczę mu.

- Nie, nie mogę ich oddać nikomu prócz doktora. Są bardzo ważne. Sługa znowu mi się przyjrzał. Wyglądało na to, że nie wie, co robić.

- No dobrze, wejdźcie, jeśli jesteście tu z taką ważną misją. Proszę, chodźcie za mną.

Poprowadził mnie przez patio, a potem zewnętrznymi schodami na górę. Zatrzymał się na drugim piętrze.

- Tu po lewej jest jeden z pokojów gościnnych. Rozgośćcie się tam, ale nie obiecujcie sobie zbyt wiele. Naprawdę nie wiem, czy doktor Sangio was przyjmie.

- Mam za sobą długą drogę. Będę czekać, póki nie porozmawiam z doktorem. - Usiadłam na krześle obok łóżka. Ponieważ sądziłam, że doktor zajmuje się w swoim domu jakimś ważnym pacjentem, zapytałam:

- Jak sądzisz, kiedy zakończy pracę?

- Obawiam się, że nie mogę udzielić wam żadnej informacji.

- W takim razie sama zapytam doktora.

Sługa nic na to nie odpowiedział. Krzątał się po izbie, poprawił koldrę na łóżku, przetrzepał poduszki i nalał wody do miednicy.

- Co ty robisz?

Znowu nie odpowiedział. Kontynuował swoje czynności, po czym odezwał się:

- Przyniosę wam lekki posiłek, zajmę się też waszym koniem. To gościnny dom. Przynajmniej był taki w normalnych czasach.

Zostawił mnie samą i wkrótce wrócił z tacą. Sprawiał wrażenie przystępniejszego, kiedy bowiem przygotowywał jedzenie, powiedział:

- Wybaczcie, *signorina* Carla, że się nie przedstawiłem. Mam na imię Daniele. Będę się wami zajmował, gdy będziecie czekali na doktora. Jeśli coś się nie uda, nie bądźcie na mnie gniewni.

- Dlaczego miałabym się na was gniewać?

- Jestem jedynym służącym w domu, wszystkich innych zabiła plaga.

Potrzebowałam chwili czasu, by zrozumieć, że słowem „plaga” określił dżumę. Śmiertelna choroba nie zatrzymała się nawet przed progiem domu lekarza. Nie należało się jednak temu dziwić: czarnej śmierci nie obchodziło, czy ktoś jest mądry czy głupi, bogaty czy biedny, młody czy stary. Zabijała wszystkich bez wyjątku.

- Współczuję wam, Daniele.

- Dziękuję, *signorina*. Jak widzę, macie ze sobą książki. To dobrze, bo może minąć sporo czasu, zanim doktor Sangio was przyjmie. Jeśli w ogóle was przyjmie.

- Cóż miałyby mu w tym przeszkodzić?

- Obawiam się, że nie mogę udzielić wam odpowiedzi.

Nie pytałam więcej. Czułam, że wprawiałabym w ten sposób Danielego w zakłopotanie, a chciałam mu tego oszczędzić, gdyż był miłym człowiekiem. Zjadłam coś z przyniesionego posiłku, który składał się z kilku oliwek, niewielkiej ilości wędliny i kilku kromek chleba. Daniele odgadł chyba moje myśli, bo powiedział usprawiedliwiająco:

- Dżuma wszystko paraliżuje, *signorina*. Handel prawie ustał. Na placach pusto, a na rynku brak towarów. Każdy bierze, co chce, a władze przyglądają się temu bezradnie. Wenecja, nasza ukochana *Serenissima*, głoduje i umiera.

Wiedziałam, że Wenecjanie nazywają swoje miasto *Serenissima*; przydomek ten pochodzi od łacińskiego słowa *serenus*, czyli pogodny, wesoły, spokojny. Żaden z tych przymiotów nie był w tej chwili cechą miasta. Widziałam to na własne oczy.

- Pozostawię was teraz samą, *signorina*, zaraz będzie wieczór. Gdybyście czegoś potrzebowali, zadzwońcie. Mam dobry słuch, przyjdę natychmiast.

- A więc mam tu przenocować?

- A gdzież mielibyście spać? W Wenecji nie ma już chyba żadnej otwartej gospody.

Nie przyszło mi to do głowy. Pomysł, żeby nocować bez zaproszenia w obcym domu, wzbudził moje wątpliwości.

- Nie chcę się narzucać. Mogę zapłacić za nocleg.

- Doktor Sangio byłby niezadowolony. Jak już mówiłem, to gościnny dom.

- No dobrze, dziękuję ci. W takim razie zobaczę się z doktorem jutro.

- Może jutro, *signorina*, a może nie.

Daniele odszedł i zostawił mnie samą z moimi myślami. Nie potrafiłam pojąć zachowania gospodarza domu. Najwidoczniej był obecny, ale nie chciał, żeby mu przeszkadzano. Nie rozumiałam dlaczego. Na przeczytanie moich listów i danie mi odpowiedzi potrzebowałyby kilku minut.

Coś było nie w porządku, nie wiedziałam tylko co. Zjadłam posiłek i napiłam się wina Valpolicella. W końcu położyłam się do łóżka, zapaliłam świecę i zagłębiłam się w lekturze Pistoriusa.

Obudziłam się w nocy, bo świeca wypaliła się i z sykiem zgasła. Otaczały mnie ciemności. Potrzebowałam dobrej chwili, zanim przypomniałam sobie, gdzie jestem. Próbowałam znowu zasnąć, ale mi się nie udało. Nocne odgłosy tego domu były mi obce. Słyszałam skrzypienie drewnianych belek, gwizd wiatru i prychanie kota. Wydawało mi się nawet, że słyszę czyjś szloch. Próbowałam zatkać uszy, z całej siły starałam się zasnąć, ale im bardziej się starałam, tym mniej chciało mi się spać. Przewracałam się do rana z boku na bok i uradowałam się, kiedy blade promienie zimowego słońca rozjaśniły izbę.

Wstałam i umyłam się, jak to robiłam każdego ranka. Znałam powszechnie panujące przekonanie, że woda przenosi zaraźliwe choroby; zwłaszcza w czasach zarazy przestrzegano przed myciem ciała. Ja jednak nic sobie z tego nie robiłam. Czułam się świeższa i bardziej wypoczęta, kiedy byłam czysta.

Gdy już się przyodziałam, chciałam zadzwonić na Danielego, ale usłyszałam pukanie do drzwi.

- Wejdz, Daniele - powiedzialem zdecydowanie. Postanowilam sobie, ze dzisiaj nie dam sie juz zbyc. Chcialam rozmawiac z doktorem Sangiem teraz, zaraz. - Posluchaj, Daniele... - Urwalam ze zdumieniem.

Przede mną stał nie służący, lecz postawny mężczyzna około pięćdziesiątki, pan w każdym calu. Był dobrze zbudowany, nie miał brzucha, odzienie jego było uszyte z wytwornego czarnego sukna podobnie jak ubrania Gasparego. Głowa gospodarza domu przypominała głowę rzymskiego imperatora, tylko że w jego spojrzeniu nie widać było władczej dumy, lecz mgiełkę żalu.

- Jestem doktor Sangio - powiedział. - A wy jesteście *signorina* Carla. Witam w moim domu. Wybaczcie, że dopiero teraz znalazłem czas, żeby się z wami przywitać.

- Z pewnością mieliście ku temu ważne powody - powiedzialem, starając się zachować uprzejmość.

- W rzeczy samej.

Chciałam go zapytać jakie, lecz coś mnie powstrzymało. Spojrzał na mnie taksującym wzrokiem, który zatrzymał się na chwilę na mojej twarzy przesłoniętej woalką.

- Mam nadzieję, że mieliście dobrą noc.

- Dziękuję, *dottore*.

Rozmowa się rwała, doktor bowiem zdawał się błądzić myślami gdzieś daleko. Nieruchomo wpatrywał się w coś poza mną, widziałam, jak poruszają się mięśnie jego twarzy. Nagle jednak podjął rozmowę swoim głębokim głosem:

- Czy wolno mi spytać, co was do mnie sprowadza? Daniele mówił mi, że macie list polecający od doktora Tagliacozziego? - Tak, *dottore*.

Podalam mu list Gasparego. Sangio *złamał* pieczęć. Obserwowałam go z ciekawością, kiedy czytał, jednak nie mogłam poznać po jego wyrazie twarzy, co myśli.

- Znacie treść listu? - zapytał.

- Nie, *dottore*. Wiem tylko, że chodzi o dwa dodatkowe zioła do teriaku.

- Tak, właśnie. Doktor Tagliacozzi pisze, że jest jeszcze drugi list od profesora Aldrovandiego, w którym profesor prosi mnie o pisemną opinię w tej sprawie.

- Proszę, *dottore*.

Doktor Sangio przeczytał drugi list, nie dając poznać po sobie, co sądzi o zawartej w nim prośbie.

- Aldrovandi prosi mnie o pisemną opinię na temat konieczności zastosowania *amomum* i *costus* w teriaku. No cóż, zobaczę, co się da zrobić.

- *Grazie, dottore*. Mam osobiście dostarczyć waszą opinię do Bolonii.

- Tak, Tagliacozzi wspomniał o *tym* w liście. Czujcie się jak u siebie w domu, *signorina*, i okażcie nieco cierpliwości. Niestety nie mogę... - Zawahał się. - Niestety muszę... - Przetarł ręką oczy. - Wybaczcie mi, proszę, wybaczcie... - Szybkim krokiem wyszedł z izby.

Popatrzyłam za nim. Jego zachowanie było bardzo zagadkowe.

- *Signorina* Carla, przyniosłem śniadanie. - Daniele patrzył z poważną miną za swoim odchodzącym panem. - Cieszę się, że doktor tak rychło znalazł dla was czas. Po dzisiejszej nocy trudno się było tego spodziewać.

- Co masz na myśli?

Daniele rozstawiał śniadanie na małym stoliku.

- Jak widzicie, *signorina*, ugotowałem dla was jajko. Szczęśliwy przypadek. W sąsiedztwie kręci się kilka bezpieczeństwa kur, udało mi się jedną z nich namówić, żeby zniosła jajko w naszej kuchni.

- Dziękuję, Daniele. O czym przedtem mówiłeś?

- Doktor ma za sobą ciężką noc, *signorina*. I, jeśli pozwolicie, ja także.

- Co się stało, Daniele? Chciałabym się wreszcie dowiedzieć, czemu jesteś taki tajemniczy.

- Rozumiem was, *signorina*. No cóż, dlaczego miałbym to przed wami ukrywać, skoro już spotkaliście się z doktorem i z pewnością pozostaniecie przez kilka dni w naszym domu. Małżonka doktora, *signora* Ginevra, zmarła tej nocy na dżumę.

Ach! Potrzebowałam kilku chwil, żeby pojąć wagę słów Danielego. A więc żonę doktora zabiła dżuma. Doktor przez cały czas siedział przy łożu śmierci swojej małżonki, pocieszał ją, pielęgnował, troszczył się o nią, podczas gdy ja wyobrażałam go sobie jako nieuprzejmego

mola książkowego, dla którego praca była ważniejsza ode mnie, jego gościa! Ze wstydu chętnie zapadłabym się pod ziemię.

- Bardzo, bardzo współczuję wam i waszemu panu - wykrztusiłam wreszcie.

- Teraz już wiecie, *signorina*.

- Chyba już nie jestem głodna.

- Mimo to zostawię wam jedzenie. Jeśli chcecie, wrócę później i sprzątnę naczynia. Doktor prosił mnie, żebym poszukał jakiegoś księdza. Niestety nie ma już prawie księży, bo ani przed nimi, ani też przed ich modlitwami plaga się nie cofa. - I dodał bardziej do siebie niż do mnie: - Mój Boże, jak to wszystko się skończy? - po czym szybko wyszedł.

Zostałam sama ze śniadaniem, na które nie miałam apetytu, i nie wiedziałam, co dalej robić. W końcu zjadłam jajko i stwierdziłam, że było bardzo dobre, nie za twarde i nie za miękkie. Patrzyłam na resztę potraw, ale ich nie widziałam, ponieważ przed oczami miałam doktora Sangia przy łożu umierającej żony. Czy zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby ją uratować? Na pewno. To musiało być dla niego straszne: oprócz żałoby po żonie odnieść porażkę jako lekarz. Jak bym mu mogła pomóc? I czy w ogóle mogę mu pomóc? Raczej nie, pomyślałam trzeźwo. Mogłam mu tylko wyrazić współczucie. Natychmiast,

Wstałam, poprawiłam suknię i włosy, a także beret i woalkę i ruszyłam na poszukiwanie doktora. Zaglądałam do wielu pustych pokojów, aż wreszcie znalazłam go w małej, jasnej izbie, skąd rozciągał się wspaniały widok na Canale Grandę i Pałac Dożów. Siedział na brzegu łoża, na którym leżała jego zmarła żona, i modlił się z zamkniętymi oczami. Potem pocałował jej woskową twarz, wstał i podszedł do otwartej skrzyni z odzieniem.

- *Dottore*, czy nie przeszkadzam?

Nie wydawał się zaskoczony, że przyszedłam.

- Nie, nie, wejdźcie, *signorina* - powiedział znużonym głosem.

- *Dottore*, jeśli pozwolicie, chciałabym coś wyjaśnić. Kiedy wczoraj stanęłam pod waszymi drzwiami, nie wiedziałam, że wasza żona umiera. Gdybym to wiedziała, nie niepokoiłabym was. Proszę, przyjmijcie moje gorące wyrazy współczucia, niech Bóg da wam siłę i nadzieję.

Przeżegnałam się i chciałam odejść, ale Sangio powiedział:

- Dziękuję wam. Proszę, zostańcie. Nie ma już wielu, którzy mogliby okazać mi współczucie. Prawie wszyscy moi przyjaciele i znajomi nie żyją.

- To straszne.

- Tak. Ale jeszcze straszniejsze jest to, że nie mam już żadnej rodziny.

- Zostaliście zupełnie sami? - rzekłam współczująco.

- Tak, moje dzieci umarły przed wielu laty, nie na dżumę, lecz na *febris immobilis*, niezwykle zaraźliwą chorobę. - Wpatrzył się w skrzynię, jakby czegoś szukał, po czym mówił dalej: - *Febris immobilis* zaczyna się podobnie jak dżuma wielkimi guzami, nie pojawiają się one jednak pod pachami ani w pachwinach, tylko na rękach i nogach i są zwiastunami całkowitej niemożności poruszania się...

Zrobił znowu przerwę, ale nie odezwałam się, ponieważ miałam nadzieję, że będzie mówił dalej i w ten sposób uwolni się choć na chwilę od swojego bólu.

- Po unieruchomieniu przychodzą nagłe wymioty i wysoka gorączka, po czym człowiek szybko umiera. Nauka jest bezsilna wobec tej kary boskiej, podobnie jak wobec wielu innych chorób. Po północnej stronie Alp, na *Alma Mater* w Wiedniu, gorączka ta nazywana jest również „chorobą ziarenek prosa”, od występujących podczas niej wyprysków.

- Nigdy nie słyszałam o tej chorobie, *dottore*.

- Nikt nie może wiedzieć wszystkiego. Wy jednakowoż, jak przeczytałem w liście Tagliacozziego, jesteście bardzo sprawnym chirurgiem. Czy wolno mi zapytać, jak do tego doszło?

- To długa historia, *dottore* - odrzekłam wymijająco, ale jemu wystarczyła ta odpowiedź.

- Jedna z moich trzech córek też chciała zostać chirurgiem, a dokładnie rzecz biorąc, medyczką. Chciała zostać wielką uzdrowicielką, tak jak uzdrowicielki z Salerno. - Przez twarz przemknął mu uśmiech. - Zainteresowanie medycyną miała chyba po mnie. No cóż, odmowa immatrykulacji, uczeni panowie, zmarszczone czoła i zdumienie młodą kobietą, która się ośmieliła dążyć do

akademickiego wykształcenia - to wszystko zostało jej oszczędzone, gdyż wcześniej zmarła. Przynajmniej na to przydała się ta przeklęta febra.

- Bardzo, bardzo wam współczuję.

Znałam aż za dobrze to, o czym mówił doktor. Poczułam więc ze zmarłą dziewczyną.

- Jej wielkie marzenie się nie spełniło. W tych piekielnych czasach marzenia w ogóle przestały się spełniać. - Doktor wpatrzył się znowu w skrzynię. - Tę zieloną suknię moja żona szczególnie lubiła. Chciała, żebym ją w niej pochował.

- To na pewno będzie możliwe, *dottore*.

- O, nie. - Uśmiechnął się boleśnie. - Moja żona nosiła tę suknię jako młoda dziewczyna. Dziś już raczej na nią nie pasuje. Jej nocny strój musi być jej śmiertelną koszulą.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Daniele zawołał od drzwi:

- *Dottore*, przyprowadziłem księdza, ojca Ernesta. Doktor podszedł do okna i odkrzyknął:

- Dziękuję, ojcze, że znaleźliście dla mnie czas. Poczekajcie, proszę, zaraz schodzę. - Potem zwrócił się znowu ku mnie: - Jeśli chcecie, możecie mi towarzyszyć.

- Nie, dziękuję, *dottore* ~ powiedziałałam. - Muszę zrobić coś innego.

Spędziłam następną noc w domu doktora, a rano gospodarz zaprosił mnie na wspólne śniadanie.

Wyglądał lepiej niż podczas naszego pierwszego spotkania, może dlatego że wreszcie udało mu się wyspać. Mimo to prawie nie tknął potraw, więc i ja niewiele jadłam. Nasza rozmowa krążyła głównie wokół jego walki z zarazą, którą to walkę, jak twierdził, z kretesem przegrywał.

- Wiecie, Carlo - powiedział - często myślałem o tym, żeby przestać wychodzić z domu i nie pomagać już chorym, bo i tak, i tak umierają. Ale zawsze powtarzałem sobie, że kto nie próbuje ratować życia, nie jest wart miana lekarza. Próbuję więc wciąż na nowo i czasem, bardzo rzadko, udaje mi się wyrwać dzumie jakąś ofiarę.

- Rozumiem wasze zniechęcenie, *dottore*, ale mimo wszystko wam zazdroszczę. Zgodziłabym się wziąć na siebie niepowodzenia wszystkich lekarzy, żeby tylko wolno mi było kiedyś zostać medyczką.

- Nie mówcie tak. - Doktor uśmiechnął się. - Lepiej coś zjedzcie. Jeszcze nic nie jedliście.

- Tak samo jak wy.

- Ja to co innego, jestem starym człowiekiem i nie potrzebuję wiele. Poza tym muszę dopilnować pogrzebu żony, a nawet nie wiem, czy nasz grób rodzinny na wyspie cmentarnej jeszcze istnieje.

- Dlaczego miałyby nie istnieć, *dottore*?

- Nie wiem. Chwilami wydaje mi się, że z Wenecji nie pozostanie kamień na kamieniu i kiedy plaga dżumy przestanie nas nękać, nasze miasto będzie musiało powstać od nowa. A teraz wybaczcie mi, chcę jeszcze raz spojrzeć na moją żonę, zanim ją zabiorą.

- Czy mogę pójść z wami?

- Naturalnie.

Poszliśmy do izby z pięknym widokiem, w którym zmarła leżała na marach. Doktor sprawiał wrażenie opanowanego, kiedy jednak weszliśmy do komnaty, jego zachowanie się zmieniło. Na twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, potem niedowierzania, a w końcu radości.

- Nie do wiary - wymruczał. - Kto to zrobił?

- Ja - powiedziałam z uśmiechem. - Było to całkiem proste; musicie wiedzieć, że kiedyś wyuczyłam się krawiectwa. Nieco zmienić krój, tu wypuścić, tam zeszyć, i ostatnie życzenie waszej żony mogło się spełnić.

Nie było to jednak takie proste, jak mówiłam. Musiałam odwołać się do wszystkich swoich umiejętności, do mojego krawieckiego oka, a wreszcie siły fizycznej. W innym wypadku, mimo pomocy Danielego, nie udałoby mi się wcisnąć sztywnych z powodu *rigor mortis* członków zmarłej w suknię. Ale doktor nie musiał tego wiedzieć.

Nic nie powiedział, tylko podszedł do mnie z błyszczącymi oczami i przycisnął mnie do piersi.

- Sami nie wiecie, co dla mnie zrobiliście - powiedział.

Uśmiechnęłam się z zażenowaniem.

- Teraz przynajmniej rozumiecie, *dottore*, dlaczego jestem niezłym chirurgiem.

Nie brałam udziału w pogrzebie na wyspie cmentarnej. Uznałam, że będzie taktowniej nie narzucać się ze swoim towarzystwem. Wdowiec powinien spędzić ostatnie chwile sam na sam ze swoją żoną. Okazało się, że miałam rację - doktor zapewnił mnie po pogrzebie, że cicha rozmowa z małżonką dała mu wiele siły. Rozmawiał z nią o wielu rzeczach: o dniu, kiedy się poznali, ich weselu, o dzieciach, o pięknych dniach z przeszłości. Teraz jest gotów podjąć na nowo walkę z zarazą.

- Powinniście się trochę oszczędzać, *dottore*. Macie za sobą ciężki czas.

- Ale przed sobą wiele pracy. Chyba że chcecie pójść za mnie do miasta, na ulice, gdzie leżą nieszczęśni chorzy?

Jego pytanie było bez wątpienia retoryczne, ale podchwyciłam je i powiedziałam:

- Tak, chciałabym wam towarzyszyć. Jeśli mam być medyczką, to wręcz powinnam.

- To nie wchodzi w grę. Jesteście młoda i piękna, mimo waszej *voglia di vino*. Macie całe życie przed sobą.

- Zauważyliście moje znamię?

- Mam oczy lekarza. I jako lekarz chcę wam powiedzieć: znamię nie jest najgorszą rzeczą, można z nim żyć, nie bojąc się o swoje zdrowie. To nic w porównaniu z kaleką nogą czy guzem w piersi. Nie, nie, zostańcie grzecznie w domu, ta jesteście bezpieczni.

- Nalegam na to, żeby wam towarzyszyć.

- Naprawdę tego chcecie?

- Tak, *dottore*.

- Jesteście równie uparci jak moja córka. Jej także nie mogłem niczego odmówić. Jednak zanim się zgodzę, chciałbym pokazać wam ubiór lekarza zadzumionych. Jest ciężki, niewygodny, człowiek się w nim poci. Kiedy go zobaczycie, będziecie się mogli jeszcze wycofać.

Zaprowadził mnie do sali, gdzie przyjmował chorych, podszedł do wysokiej szafy i otworzył ją.

- Tu widzicie chyba najważniejszą część tego ubioru, maskę.

Był to dziwny aparat - maska z dwoma otworami na oczy i wydłużeniem podobnym do dziobu kruka. W dziobie tym, jak mi pokazał, pod otworami służącymi do oddychania znajdował się kłęb najróżniejszych ziół.

- Zioła bronią przed szkodliwymi substancjami z powietrza, przy czym każdy lekarz zadżumionych preferuje własną mieszankę - wyjaśnił doktor. - Ja biorę liście laurowe, jałowiec, pinię, igły z modrzewia i sosny w proporcji po jednej części lauru i modrzewia i po dwie części pozostałych ziół. Trzeba dokładnie wymieszać wszystkie składniki, a potem zanurzam jeszcze całą mieszankę w wodach płodowych.

- W wodach płodowych, *dottore!* - zapytałam ze zdumieniem.

- Właśnie tak. W wodach zmarłych kobiet, chorych na dżumę. Wypreparowałem płody z ciał matek i zbadałem je, czy nie są zarażone, ale u żadnego z nich nie wykryłem charakterystycznych guzów. Doszedłem zatem do wniosku, że dżuma może dotknąć matkę, ale nie musi dziecka. Dlaczego? Sądzę, że przyczyna leży w wodach, w których znajduje się płód. Płyn działa niczym nieprzenikalny mur ochronny. Jest to własność, którą wykorzystałem.

- Czy to może być przyczyną tego, że choroba dotychczas was nie zaatakowała?

- Jeśli Bóg chce, żebym żył, będę żył; jeśli nie chce, zabierze mnie do siebie. - Doktor wzruszył ramionami. - Los lekarza jest zawsze w ręku Boga, może bardziej niż los każdego innego człowieka, w naszym cechu bowiem oplakujemy najwięcej zmarłych.

Powąchałam zioła i poczułam silny, świeży i cierpki zapach lasu.

- A teraz kilka słów o okularach lekarza zadżumionych. Muszą być równie szczelne jak maska - ciągnął doktor. - Popatrzcie, z boków mają kawałki skóry ciasno przylegające do twarzy.

- Tak, widzę - odrzekłam.

Odłożył okulary i maskę i wyjął z szafy obcisłą skórzaną koszulę i także rajtuzy.

- Noszę je pod wierzchnim ubraniem, są dobrze dopasowane, żeby uszczelnić pory w skórze, przez które mogą się dostać szkodliwe substancje. Na to wszystko wkładam długą pelerynę, do tego jeszcze

skórzane rękawice i skórzany kapelusz. Te wysokie buty też są ze skóry. W ten sposób w czasie leczenia unikam wszelakiego zetknięcia się z powietrzem.

- Chodzenie w tym ubraniu przez cały dzień musi być męczące - rzekłam. - Czy ono na pewno się przydaje?

Doktor westchnął.

- Nie uwierzycie, jak często zadawałem sobie to pytanie. Nikt nie potrafi na nie odpowiedzieć. W każdym razie jest to pewna ochrona przed zetknięciem własnego ciała z dżumą.

Lekarz powiesił odzienie z powrotem w szafie.

- Niestety trzeba się pogodzić z tym, że siejąca śmierć zaraza pociąga za sobą zdziwienie obyczajów. Widziałem, jak matka wzdragała się, by czuwać przy chorym dziecku, widziałem też, jak mąż wyrzucił żonę z domu, gdyż sądził, że jest zarażona. Przyglądałem się bezradnie, jak żebracy i włóczędzy okradali umierających na ulicach. Kiedy szaleje śmierć, ludzie stają się bezwzględni.

- Wierzę wam.

- A więc pytam jeszcze raz: czy chcecie mi towarzyszyć?

- Tak - odrzekłam. - Chcę.

Następnego dnia wyruszyliśmy z doktorem na ulice Wenecji. Zdobył dla mnie skórzane odzienie i maskę z dziobem. Maskę dokładnie przylegała do twarzy, odzienie natomiast musiałam sobie dopasować. Było to dziwne uczucie: otulona ciężką skórą wędrowałam wąskimi uliczkami i rozglądałam się za potrzebującymi pomocy. Każde z nas miało długi kij, który, jak wyjaśnił mi doktor, miał dwie funkcje: po pierwsze służył do potrącania chorych, leżących bez ruchu, żeby zobaczyć, czy jeszcze żyją, a po drugie pomagał w opędzaniu się od zbyt natrętnych pacjentów, którzy często wisieli na doktorze niczym winne grona.

Było zimno, grabarze uwijali się na ulicach, wkładali zwłoki na wóz i transportowali je w kierunku kanału. Doktor sprawdzał każdego ze zmarłych, czy rzeczywiście nie żyje. Raz zdarzyło się, że musiał powstrzymać grabarzy.

- Ten człowiek jeszcze żyje - powiedział głuchym, stłumionym przez maskę głosem. - Dajcie mu czystej wody i zawieźcie do mojego domu. Później się nim zajmę.

- Co zrobicie z tym chorym, *dottore!* - zapytałam, kiedy grabarze wykonali jego polecenie.

- Jeśli jego stan zdrowia na to pozwoli, otworzę guzy i opatrzę rany. Reszta jest w ręku Boga.

- Czy nie możecie zrobić dla niego czegoś więcej? W dysertacji Johannes Pistoriusa czytałam między innymi, że wysuszona treść guzów może być podstawowym składnikiem skutecznego lekarstwa.

- Jestem innego zdania. Lepiej usunąć ropę z guzów. Im więcej chorych soków opuści ciało chorego, tym lepiej. Znam dysertację Pistoriusa. Wspomina on tam także o miąższu owoców ugotowanych razem z płatkami róży, w co wierzy niejaki doktor Nostradamus. Moim zdaniem jest to coś dla łakomczuchów, a nie skuteczne lekarstwo.

- A co sądzicie o naukach Paracelsusa, który twierdzi, że można leczyć według znaków przyrody?

- Macie na myśli pogląd, że rośliny z liśćmi w kształcie serca pomagają na choroby serca, sok z pięciornika łagodzi choroby krwi, a orzech włoski, podobny do mózgu ludzkiego, leczy bóle głowy?

- Tak właśnie, *dottore*.

- W takim razie czerwone buraki, które kształtem i kolorem przypominają guzy chorych na dżumę, musiałyby pomagać na tę chorobę. Ale tak nie jest, jak uczy mnie doświadczenie. Buraki o mocnym kolorze są po ugotowaniu zdrowym pożywieniem, ale niczym więcej. Pozostaje nam więc przygnębiająca wiedza, że wybór środków, których możemy użyć w terapii, jest bardzo niewielki. Już zmniejszenie niebezpieczeństwa zarażenia byłoby skromnym sukcesem.

- Jak to robicie, *dottore!*

- Upieram się przy tym, by izba chorego była porządnie okadzona kadzidłem, a rodzina regularnie płukała sobie usta i ręce octem lub winem. Ach, właśnie w tym domu mogą się jeszcze znajdować chorzy.

- Po czym to poznajecie?

- Po białym krzyżu narysowanym kredą na drzwiach. Wskazuje on, że ktoś już w tym domu umarł, a równocześnie ostrzega innych

o niebezpieczeństwie zarażenia. Nas jednak to nie dotyczy. Pójdę przodem.

Ruszyłam za nim i rzeczywiście w domu znaleźliśmy mężczyznę z małym synkiem. Chłopiec miał wysoką gorączkę i narzekał na pragnienie. Ojciec wydawał się jeszcze zdrowy.

Doktor odkrył kołdrę, przez chwilę oglądał czerwono-czarne guzy, sprawdził język i oczy, nieznacznie pokręcił głową i zwrócił się do mężczyzny:

- Postawcie obok chłopca czystą wodę, ale nie zbliżajcie się zbyt do niego, trzymajcie się co najmniej na odległość ramienia. Powiedzcie mu, żeby starał się głośno mówić, byście nie musieli pochylać się nad łóżkiem.

- Tak, tak, *dottore* - wyjąkał mężczyzna - zrobię wszystko, co każecie. Cała moja rodzina już umarła, pozostał mi tylko ten chłopiec. To całe moje życie. Błagam was, wyleczcie go!

- Co ma się stać, stanie się. Pamiętajcie, żeby okna w izbie chorego otwierać tylko od północnej strony, bo południowy wiatr przynosi niebezpieczne miazmaty.

- Dobrze, *dottore*.

- Odchodzę. Starajcie się sami zachować zdrowie, jedzcie tylko lekkie potrawy jak warzywa i drób, płuczcie usta wodą z octem. Nie zapominajcie, że wasz syn ma tylko was.

- Tak, *dottore*.

- Polecam was Bogu. Zajrzę ta jutro. Kiedy wyszliśmy, doktor powiedział: - Najgorsza jest bezradność. Tylko Wszechmogący wie, ile bym dał za skuteczne lekarstwo.

- A więc nie ma żadnego?

- Należę do niewielu z mojego cechu, którzy przyznają, że nie ma.

- Sądzicie, że wszystkiemu są winne miazmaty dżumy?

- Tak i nie, *signorina*. Używam słowa „miazmaty”, by nazwać to, co bez wątpienia atakuje chorego. Ta tajemnicza substancja wnika w ciało, może przez śluzówki, może przez skórę, może nawet przez oczy, i natychmiast zaczyna walkę z wewnętrznymi organami, co skutkuje gorączką, czarnym nalotem na języku i tworzeniem się guzów. W ciągu niewielu dni pokonuje ciało człowieka,

prawie zawsze. Według mojej oceny dżumę przeżywa tylko pięć osób na sto.

Tego dnia jeszcze przez wiele godzin chodziliśmy po mieście i widzieliśmy niezliczone cierpienia i tragedie. Wprowiłam się szybko i sama badałam zarażonych, rozmawiałam z nimi, jeśli jeszcze mogli mówić, pocieszałam ich, kazałam ich poić i dbałam o to, żeby przykrywać ich ciepłymi derkami. Szybko zauważyłam, że liczba chorych na ulicach była większa niż tych, którym wolno było umrzeć we własnym łóżku. Przyczyną tego był powszechny strach przed zarażeniem. To, że mąż wypędził chorą żonę z domu, jak opowiadał doktor, bynajmniej nie było pojedynczym przypadkiem. Na ulicach leżały całe rodziny, ponieważ współmieszkańcy pozbyli się ich z domu. Chorzy ciągle błagali lekarza, by kazał ich przyjąć z powrotem do domu, a on musiał zamykać przed nimi serce. Oddzielenie chorych od zdrowych było najważniejszym nakazem chwili.

Długo po zachodzie słońca wróciliśmy wreszcie do domu doktora, gdzie czekało już na nas czworo chorych. Leżeli na słomie w izbie na parterze, koło każdego z nich stało naczynie z wodą. Zadbał o to Daniele.

Po skromnym, pospiesznym posiłku przy blasku kilku lamp zaczęliśmy otwierać guzy. Było to odrażające, ale konieczne zajęcie, przy którym znowu zadawałam sobie pytanie, dlaczego rozróżnia się w medycynie dobrą i złą ropę. Ta była bez wątpienia zła.

Pracowaliśmy do późnej nocy, przy czym troje nieszczęśników zmarło na naszych oczach, a tylko młoda kobieta imieniem Mirjam żyła jeszcze około północy. - Jeśli przeżyje do pojutra do północy - powiedział doktor - pokona chorobę.

Podał jej środek na zmniejszenie gorączki i poprosił mnie o sporządzenie posilnego bulionu. Miała go popijać, kiedy tylko zdoła.

W końcu życzyliśmy sobie nawzajem spokojnej nocy i postanowiliśmy wczesnym rankiem wyruszyć znowu na ulice Wenecji.

Przez kilka następnych dni wychodziliśmy z domu i zajmowaliśmy się skazanymi na śmierć. Jeśli sądziliśmy, że chory ma szansę przeżycia, przewożono go do domu doktora, weneckie szpitale bowiem

były przepełnione. Nocami operowaliśmy chorych, aż powieki same opadały na oczy, a następnego dnia wstawaliśmy po to, by znów podjąć walkę.

Z każdym dniem sprawy miały się gorzej, bowiem choroba zdziesiątkowała również grabarzy, a tych niewielu, którzy pozostali przy życiu, nie radziło sobie z nawałem pracy. Zaprzestano kursów na wyspę cmentarną. Wkrótce ulice pełne były ciał zmarłych, wydawało się, że każdy dom wyrzuca je ze swojego wnętrza, a nieszczęśników, którzy jeszcze żyli, zamykano w ich czterech ścianach, czekali, aż umrą, i chowano pod deskami podłogi.

Ciała leżały również na skraju ulic, na skrzyżowaniach, na wałach nadbrzeżnych - żadne miejsce nie było od nich wolne, umierano wszędzie. Zmarli długo czekali na pochówek, a polegał on na tym, że wrzucano ich do pospiesznie wykopanych dołów. Inni, szczęśliwsi, otrzymywali sakrament umierających, by znaleźć wieczny pokój w masowych grobach.

Wielokrotnie używana trumna, której ruchome dno umożliwiało wrzucanie ciał do dołów, dawno już się rozleciała; nie było już też komu nosić trumien. Nastąpiły okrutne czasy. Niezliczone pałace stały puste i wprost zapraszały do grabieży, jednak niewiele rabowano, bowiem zaraza nie oszczędziła i złodziei.

Mimo wszelkich wysiłków dżuma rozprzestrzeniła się coraz szerzej, również dlatego że nikt nie kontrolował przestrzegania zaleceń lekarzy. Nie słuchano nawet surowego nakazu, by pić tylko czystą wodę, chociaż cała ludność wiedziała, że niektóre studnie, na przykład dwie obok kościoła SanfAngelo Raffaele, wykopano specjalnie w tym celu.

Znachorzy i szarlatani przeżywali złote czasy. Bezwstydnie wykorzystywali desperację mieszkańców Wenecji, obiecywali im wyzdrowienie w ciągu jednej nocy i za wielkie sumy sprzedawali zropaczonym ludziom bezużyteczne amulety i fałszywe relikwie.

Była to istna apokalipsa w mieście zwanym niegdyś *Serenissima*, bowiem umierali nie tylko ludzie, ale i konie, psy, koty i szczury. Słyszałam również opinie, że dżuma zabija nawet drzewa.

To, że sama przeżyłam, do dziś uważam za cud. Cudem było też uratowanie przez Wszechmogącego Mirjam, młodej kobiety, którą

zajmowaliśmy się wspólnie pierwszego wieczoru. Należała do niewielu, którym udało się pokonać chorobę.

- Dlaczego Mirjam przeżyła, Maurizio? - zapytałam doktora, gdyż z czasem w naturalny sposób zaczęliśmy zwracać się do siebie po imieniu. Zbliżyło nas powszechne nieszczęście.

- Jej odporność była większa niż żarłoczność zarazy, nie ma innego wytłumaczenia. Poza takim, że Bóg nie chciał jej jeszcze wziąć do siebie. Zdumiewające, jak szybko wraca do zdrowia. Powiedziała mi, że chce z nami zostać i pomagać przy pielęgnacji chorych, bo nie ma już nikogo na świecie.

- To dobra wiadomość. Potrzebujemy każdej pary rąk.

- Tak, Carlo.

Jak cenna była pomoc Mirjam, okazało się kilka dni później, kiedy Maurizio pewnego ranka nie mógł wstać z łóżka. Miał atak słabości. Codzienna służba na ulicach Wenecji, wielogodzinne nocne operacje, szybko przetykane posiłki podkopały jego siły.

- Zostań przy mnie, Carlo - powiedział, kiedy go zbadałam i dzięki Bogu nie znalazłam żadnych objawów dżumy. - Dla ciebie także byłoby dobrze, gdybyś raz się wyspała. Poza tym nie chciałbym, żebyś sama chodziła po ulicach.

- Czy na moim miejscu pozostałbyś w domu?

- Proszę cię, Carlo. Wzięłam go za rękę.

- Wiesz przecież, że muszę iść. Mirjam będzie do ciebie zaglądać. Jutro albo pojutrze poczujesz się lepiej i będziesz mógł znowu się mną opiekować, kiedy wyjdziemy na ulicę.

- Carlo, jesteś niepoprawna.

- Też tak myślę.

Zostawiłam go i ruszyłam na codzienny obchód. Miałam swoją trasę, którą dotąd chodziłam, tego dnia jednak wybrałam inną drogę. Wiodła ulicami, których dotąd nie znałam, i zaułkami podobnymi raczej do ścieżek, niewiele szerszymi niż ramiona potężnego mężczyzny. Okolica ta wydawała mi się przyjazna, bo wyjątkowo nie zobaczyłam ani jednego nieboszczyka. Na rogu siedział na kamieniu

mężczyzna o nieforemnym ciele. Przypominał wielką kluskę, co podkreślała jeszcze jego ogolona głowa i biała peleryna.

Podeszłam do niego, ponieważ chciałam zobaczyć, czy nie ma symptomów choroby, ale zdawał się tylko spać.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

Drgnął przerażony i wpatrzył się we mnie. Zauważyłam, że jest p wiele młodszy, niż przypuszczałam, mógł mieć około dwudziestu lat. Zobaczyłam też, że jest okaleczony - brakowało mu czubka nosa.

- Jak może się czuć człowiek, którego diabli przynieśli do tego miasta?
- odpowiedział jasnym, lekko zachrypłym głosem. - Jestem głodny i spragniony, *dottore*.

- Nie jestem lekarzem - odrzekłam.

- Dlaczego więc nosicie taki ubiór?

- To nie twoja sprawa - odpowiedziałam bardziej szorstko, niż zamierzałam.

- Jesteście kobietą, prawda?

- Zgadłeś. Nie mam przy sobie jedzenia, jak możesz się domyślić. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Mężczyzna znowu wpatrzył się we mnie.

- Taaak - powiedział wolno. - Moglibyście.

- Co takiego?

- Potrzebuję pani.

- Słucham?

- Powiedziałem, że potrzebuję pani. Weźcie mnie na służącego, jestem pewien, że bylibyście dla mnie dobrzy. Ja też byłbym dobry dla was.

- Postradałeś zmysły? - Rozbawiła mnie myśl, że mogłabym zostać panią tego tłuściutkiego młodzieńca i roześmiałam się.

- Widzicie, rozśmieszyłem was. Dobry sługa rozśmiesza swoich państwa. Weźmiecie mnie?

- Nie. Muszę iść dalej.

- Poczekajcie, pani. Mówię poważnie.

- Możliwe.

Grubas zaczął mi działać na nerwy. Nie wykazywał żadnych oznak choroby. Nie mogłam nic dla niego zrobić.

- Z Bogiem!

- Nazywam się Latif, co oznacza „stworzenie Allaha”, i jestem eunuchem z haremu sułtana Murada III. Może niewiele wiecie o osmańskich sułtanach, pani, ale większość jest okrutna. Pod rządami Selima II, zwanego Pijakiem, zostałem jako czterolatek pozbawiony męskości. Jeśli dobrze liczę, było to w roku 1559 według chrześcijańskiego kalendarza. Wskutek intrygi zostałem oskarżony o kradzież. Jaka była kara, widzicie na mojej twarzy. Mogłem potem uciec przez morze, ale okrutny los sprawił, że znalazłem się w Wenecji.

Muszę przyznać, że jego przemowa zrobiła na mnie wrażenie, zaraz jednak powiedziałam sobie, że była zbyt gładka i dlatego pewnie nieprawdziwa.

- Nie mogę cię wziąć - powiedziałam. - A jeśli nawet bym cię wzięła, nie mogłabym ci płacić.

- Pani...

Odwrociłam się od niego i pospieszyłam do następnego zaułka. Były tam małe opuszczone warsztaty, w których w lepszych czasach wytwarzano garnki i patelnie, gotowano mydło albo zwijano wełnę. Zwróciłam uwagę na jedną manufakturę. Wytwarzano tam najróżniejsze maski karnawałowe. Przyszło mi do głowy, że czas zabaw właśnie się zaczyna, ale oczywiście teraz *carnevale* w Wenecji był nie do pomyślenia. Na fasadzie domu napisano *La maschera*. Weszłam do środka.

Jak było do przewidzenia, w środku nie było żywego ducha. Zaraza i tutaj zebrała swoje żniwo. Za to masek było co niemiara. Przedstawiały oblicza wszelkich możliwych rodzajów; niczego podobnego nigdy przedtem nie widziałam. Była wśród nich nie tylko maska z dziobem, jaką sama nosiłam, ale także maski z uchwytem, maski zakrywające połowę twarzy i maski na brodę we wszystkich kolorach tęczy. Maski uśmiechały się, śmiały się całą gębą, płakały, dęsały się albo groziły, ale jedna z nich przewyższała wszystkie. Leżała w kącie i olśniła mnie złotym blaskiem. Była to maska Wenus, bogini miłości, pożądania i piękna. Wzięłam ją do ręki i oglądałam z podziwem. Dotykałam chłodnej, ale nie zimnej, gładkiej powierzchni; spostrzegłam, że ten dotyk w niewyjaśniony sposób uspokoił i pobudził moje zmysły. Nie mogłam się powstrzymać, zdjęłam skórzany kapelusz, maskę i okulary i przy-

mierzyla ją. Przylegała do mojej twarzy, jakby była dla mnie stworzona. „Cudowna” - szepnęłam.

Jednak moment oczarowania szybko minął. Niechętnie zdjęłam maskę i odłożyłam na miejsce, bowiem nie należała do mnie. Wcisnęłam na głowę ekwipunek lekarza dżumy i wyszłam ze sklepu.

Myślałam o niej przez cały dzień, także wieczorem, gdy spotkałam się z Mauriziem. Z jego oczu zniknął wyraz zmęczenia; doktor sprawiał wrażenie wyspanego i odprężonego.

- Znowu czuję się jak dawniej - powiedział żywo. - Co też może działać odrobina wypoczynku!

- Tak, wyglądasz o wiele lepiej.

- Mogę wyrywać drzewa.

- Nie przesadzaj, proszę. Jeszcze przez kilka dni powinieneś się oszczędzać.

- Nie ma mowy. Czy dziś wieczorem nie operujemy? Nie przysłałaś mi dziś żadnych chorych do domu.

- Tak się złożyło.

Zacząłam zdejmować skórzany strój i odstawiłam kij i torbę lekarską. Po południu operowałam dwóch chorych na ulicy. Uczyniłam to anonimowo pod ochroną swojej maski. Rozcinałam im guzy. Była to ostatnia, bezskuteczna próba wiania w nich nadziei. Nie chciałam zabierać ich do domu z powodu stanu Maurizia, o czym on nie musiał wiedzieć.

- Chodźmy więc na kolację. Przyjaciel z Parmy przysłał mi prawdziwy skarb: szynkę. Cud prawdziwy, że doszła. Daniele zaraz ją poda.

- Lepiej nie jedz za wiele szynki, weź także jarzyny i oliwki - powiedziałam, kiedy Daniele podał nam aromatyczne plastry na cynowym talerzu. - Nie powinieneś zbytnio obciążać żołądka.

- Mówisz prawie jak moja żona.

- Ach, cóż znowu. - Z zadowoleniem skonstatowałam, że Maurizio po raz pierwszy w naturalny sposób wspomniął o swojej żonie. Dochodził do siebie. - Co dziś widziałaś? Czy znowu było tylu zmarłych?

- Tak - powiedziałam zgodnie z prawdą. - Wydaje mi się, że ciągle ich przybywa.

Zmieniłam temat, żeby pomyślał o czymś innym, i opowiedziałam o manufakturze *La maschera* i masce Wenus.

- Maski są wyrazem duszy i uczuć - powiedział. - Maska Wenus pasowałaby do ciebie, bo ty też promieniejesz urodą.

- Ach, cóż znowu - powtórzyłam, usiłując ukryć radość z powodu komplementu. - Odłożyłam ją na miejsce. Nie należała do mnie i nie mogłam jej sobie przywłaszczyć.

- Rozumiem. Może jednak trzeba to było zrobić.

- No cóż, już za późno.

Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę i po raz pierwszy od wielu dni udaliśmy się wcześniej na spoczynek.

Następnego ranka na próżno próbowałam zatrzymać Maurizia, ażeby nie szedł ze mną do miasta.

- Jestem już zdrowy - powiedział. - Wierz mi, zbadałem całe swoje ciało, szukając objawów dżumy, ale nic nie znalazłem.

Chciałam odrzec, że mimo to powinien zostać w domu, ale nie zdążyłam, bo zjawił się Daniele i zameldował:

- Wybaczcie, *signorina* Carla, ale pod drzwiami stoi jakiś grubas i chce rozmawiać z wami.

- Jaki grubas? - zapytał Maurizio.

- Mówi, że nazywa się Latif i koniecznie chce się widzieć z lekarką zadżumionych - powiedział Daniele, wznosząc ręce w geście zdziwienia.

- Wprowadź go - rzekł Maurizio, zanim zdążyłam zgłosić zastrzeżenia.

Był to rzeczywiście eunuch Latif, który znalazł drogę do domu Maurizia. Kiedy stał przed nami, nieforemny, prawie wypełniający drzwi, zobaczyłam dopiero, jaki to olbrzym.

- Pozdrawiam was, pani, i was, *dottore* ~ powiedział swoim wysokim głosem.

- Pani? - zdziwił się Maurizio. - Powiedziałaś „pani” do *signoriny* Carli?

- On chciałby być moim sługą - wyjaśniłam.

- Sługą?

- Tak, ale ja nie potrzebuję sługi. Poza tym nie mogę sobie na niego pozwolić, już mu...

- Stop, nie tak szybko.

Maurizio zastanowił się przez chwilę i powiedział:

- Sługa to niezły pomysł dla samotnej młodej kobiety. Posłuchaj, Latif: słowo „sługa” bierze się od „służyć”, a służy się niekoniecznie za pieniądze. Robi się to chętnie albo wcale. Czy mam rację?

- *Dottore*, jesteście mądrym człowiekiem! - Okrągłe oczy Latifa zabłyśły. - Naturalnie macie rację. Jednak sługa, który pracuje bez zapłaty, jest niewolnikiem. Chcecie mnie uczynić niewolnikiem mojej pani?

- Nie jesteś ani moim sługą, Latif, ani niewolnikiem i nigdy nie będziesz.

- W takim razie muszę poprosić doktora, żeby mnie wziął na służbę, ale najpierw pozwólcie, że dam wam prezent. Myślę, że już go widzieliście. - Uroczyście sięgnął pod swą obszerną białą szatę i wyjął złotą maskę Wenus.

- Skąd ją masz? - zapytałam zaskoczona.

Latif uśmiechnął się i wymownie wzruszył ramionami.

- Jak wam mówiłem, jestem stworzeniem Allaha i Allah polecił mi przynieść wam tę maskę. Weźmiecie mnie teraz na służbę?

Popatrzyłam na Maurizioa. Moje spojrzenie musiało chyba wyrażać bezradność, bo uśmiechnął się i powiedział:

- Spełnij jego życzenie.

- Ależ ja nie mam pieniędzy!

Latif zrobił jeden szybki krok, aż deski podłogi zajęczały.

- Odtąd to będzie już moja sprawa, pani! Jestem bardzo pracowity. Jeśli zrobicie mnie swoim sługą, zawsze będziecie mieli pieniądze. Proszę, oto wasza maska.

Zanim zdążyłam mu przeszkodzić, wcisnął mi ją do ręki i skłonił się głęboko. - Dzięk... dziękuję - wyjąkałam.

- Latif może mieszkać w izbie obok izby Danielego - powiedział Maurizio. - Jak długo będziesz chciała, Carlo.

- Ale kiedyś będę musiała wrócić do Bolonii, Maurizio. Wiesz przecież.

- Wiem i dlatego nie byłoby źle, gdybyś miała tak okazałego towarzysza jak Latif. Skoro już mówimy o Bolonii: wykorzystałem wczorajszy dzień, by napisać opinię dla profesora Aldrovandiego. Jest dosyć długa. Już dawno chciałem to załatwić, ale sama wiesz, co ostatnio się działo.

- Tak - odrzekłam - wiem.

Rzeczywiście już nieraz zadawałam sobie pytanie, kiedy Maurizio chwyci za pióro, ale nie chciałam go naciskać. To, że zrobił to tak szybko, także mi się nie podobało.

- Dlaczego zioła *amomum* i *costus* są tak bardzo potrzebne w teriaku?

- zapytałam. - W Bolonii rozgorzała niemalże wojna religijna na tym tle.

- Nie dziwi mnie to - odrzekł Maurizio. - Przez pół życia eksperymentowałem, aż osiągnąłem jednoznaczny wynik: bez tych ziół teriak jest skuteczny, ale z nimi jest jeszcze skuteczniejszy. Bardzo prosty rezultat. To tak jak z drożdżami: piwo i ciasto nadawałyby się bez nich do jedzenia, ale z nimi stają się dopiero tym, czym powinny być. Podobnie napisałem w mojej opinii. Oczywiście użyłem bardziej naukowych sformułowań, żeby zrobić wrażenie na wątpiących i wypełnić swoje zadanie. - Maurizio się uśmiechnął. - Ludzie mają skłonność do tego, by proste uważać za prostackie, a skomplikowane za mądre. *Meno dici, meno sbagli* - im więcej się mówi, tym bardziej się błądzi.

- Tak właśnie jest. - Skinęłam głową ze zrozumieniem. Poczułam smutek. - W takim razie będę musiała jutro, a najpóźniej pojutrze wyruszyć w drogę do domu.

Maurizio położył dłoń na mojej dłoni.

- Nie zrozum mnie źle. Gdyby to zależało ode mnie, mogłabyś wcale nie odjeżdżać, tylko zostać tutaj i cieszyć moje oczy swoim widokiem. Ale ja cię znam: namawianie cię do tego nic by nie dało. Z równym skutkiem mógłbym próbować zawracać rzekę kijem. Nie zatrzymuję cię zatem i z ciężkim sercem pozwalam ci odjechać. Przedtem jednak pójdziemy do kogoś, kto nas zaprosił.

- Zaprosił? Nas oboje?

- W najbliższą niedzielę, a więc za trzy dni, oczekuje nas zaraz po mszy w swoich prywatnych apartamentach doża wenecki.

- Masz na myśli Alvisiego Moceniga I?

- Właśnie jego.

- Ależ czego on od nas chce? Maurizio wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Myślę, że zdąży nam to powiedzieć. Do tej chwili musimy pracować. Przygotuj się, Carlo. A ty, Latifie, idź do Danielego, niech ci przydzielą izbę.

- Tak, panie. - Latif skłonił się i odszedł.

Wkrótce potem znowu przemierzaliśmy ulice, a niedola, którą tam widzieliśmy, kazała nam zapomnieć o zaproszeniu doży.

W niedzielę dwudziestego piątego lutego 1576 roku Maurizio i ja, odziani w nasze najlepsze stroje, kazaliśmy się przewieźć gondolą przez Canale Grandę. Moje obawy, że nie dostaniemy gondoli, rozproszył ze śmiechem mój ojcowski przyjaciel.

- Posłuchaj, Carlo, rozkaz doży równa się rozkazowi boskiemu. Tylko zarządzenia papieża albo cesarza i królów mają podobną wagę.

Był to piękny dzień. Drobne fale z pluskiem rozbijały się o burty gondoli, a rześki wiatr od morza oczyszczał ciało i duszę. W dobrym nastroju dopłynęliśmy do kei przy placu Świętego Marka i z przyjemnym uczuciem oczekiwania przeszliśmy pod pałac doży. Przemierzaliśmy wewnętrzny dziedziniec, miejsce, gdzie od wieków odbywały się wspaniałe ceremonie koronowania dożów, wspięliśmy się po schodach, zwanych Scala dei Giganti, aż do wewnętrznych komnat, minęliśmy ogromne rzeźby Merkurego i Neptuna, uosabiających potęgę i bogactwo *Serenissimy*, po czym powitali nas wartownicy, którzy poprowadzili nas dalej, przez kilka obszernych sal.

Wszystkie urządzone były z niesłychanym przepychem. Ognista czerwień, soczysta zieleń i intensywny błękit obok wspaniałych złotych ornamentów przytłaczały nas i onieśmiały. Podziwialiśmy kobierce nadzwyczajnej urody, wiszące na ścianach. Obrazy na sklepieniach namalowali najświetniejsi włoscy malarze; ukazywały one motywy służące jednemu celowi - gloryfikacji Wenecji.

Wreszcie nasza droga skończyła się pod drzwiami sali z mapami, gdzie straż pozdrowiła nas po raz wtóry i gestem zaprosiła do środka.

W komnacie czekała nas niespodzianka - nie byliśmy jedynymi gośćmi. Jedenasto mężów w drogich szatach siedziało w krzesłach; pokasływali, szurali nogami i rozmawiali po cichu. Chyba wszyscy czekali na dożę. Maurizio pokazał zaproszenie, po czym nam również przydzielono miejsce. Usiedliśmy i Maurizio wyszeptał:

- To koledzy lekarze. Zebrała się tu śmietanka naszego weneckiego cechu.

- Co to może oznaczać?

- Nie wiem, ale rychło się dowiemy. Doża właśnie idzie.

Surowo wyglądający mężczyzna w purpurowej pelerynie z gronostajowym kołnierzem i wielkimi, rzucającymi się w oczy złotymi guzikami, wkroczył godnym krokiem przez boczne drzwi. Na głowie miał oznakę swojej władzy - *como*, rodzaj sztywnego kapelusza z czubem wydłużonym na kształt rogu skierowanym ku tyłowi, a pod nim czapeczkę z cieniutkiego białego lnu, sięgającą uszu. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego stroju i nieustannie wpatrywałam się w dożę.

Maurizio dał mi lekkiego szturchańca, co przypomniało mi o dobrym wychowaniu. Odwróciłam wzrok od doży i spojrzałam na szóstkę jego służących w czarnych strojach. Mieli uroczyste miny, trzymali się sztywno i każdy z nich miał w rękach po dwie granatowe brokatowe poduszki.

Messer Alvise Mocenigo I, najjaśniejszy osiemdziesiąty piąty doża *Serenissima Repubblica di San Marco*, najmożniejszy z możliwych, zwycięzca bitwy pod Lepanto, przeszedł ku przedniej części komnaty, gdzie zajął miejsce na złotym krześle pod mapą morską zajmującą całą ścianę. Oczy jego wędrowały po rzędach siedzących; widok ten zdawał się go cieszyć. Gestem polecił sługom zamknąć drzwi. Odchrząknął i zaczął mówić:

- *Buongiorno, professori e dottori*. Cieszę się, że przyjęliście moje zaproszenie. Ponieważ wszyscy wiecie, co jest powodem tego zgromadzenia, oszczędzę sobie długich wstępów.

Spojrzałam pytająco na Maurizia, ale wruszył ramionami. Najwidoczniej otrzymał tylko zaproszenie, bez żadnych wyjaśnień.

- Wenecja, nasza ukochana *Serenissima*, przechodzi teraz najcięższe dni od czasów niszczącej zarazy w roku 1348. Podobnie jak

wtedy, kiedy gnębiła nas dżuma, która przyszła z nad Morza Czarnego na wschodzie, dzisiaj także oplakujemy tysiące ofiar. Soki życiowe naszego miasta grożą wyschnięciem, żadnemu statkowi nie wolno opuścić portu ani do niego wejść. Drogi lądowe są zamknięte, nie docierają dostawy żywności. Jedyne, co jeszcze posiadamy, to skąpe zapasy w spichlerzach i morskie stworzenia w lagunie. Z każdym dniem, który zsyła Bóg, jest nam ciężej.

Przemawiał jeszcze przez chwilę, opisując beznadziejne położenie Wenecji, które wszyscy znaliśmy aż za dobrze. W końcu, kiedy niektórzy ze słuchaczy nieco się znużyli, podniósł głos i powiedział:

- Ale i tym razem zaraza minie, i tym razem nasza *Serenissima* wcześniej czy później odzyska swoje szlachetne miano. Zanim to nastąpi, upłyną może tygodnie, może miesiące, ale nasza Wenecja jest silna. *Serenissimę* zwą królową mórz, jest bowiem, niczym niezatapiały od tysiąca lat statek, uosobieniem odwagi i wytrwałości. - Uczynił pauzę i mówił dalej: - To, że Wenecja jest niezwyciężona, zawdzięczamy wszyscy wam, medycy weneccy, którzy codziennie walczyli o przetrwanie naszych obywateli. Należy czcić takich ludzi jak wy, będących dowodem, że odwaga i wola przeżycia nas nie opuszczają. Rada Dziesięciu i ja postanowiliśmy więc w obecności *avogado di comun* wręczyć wam w dowód wdzięczności medale i dyplomy uznania.

Jeszcze raz otwarły się boczne drzwi, tym razem po to, żeby wpuścić kilka najznamienitszych osób spośród weneckich znakomitości. Byli to mężowie, których nazwiska wiązały się nierozdzielnie ze świetnością miasta. Jeden po drugim brali medale do ręki, przekazywali je doży, który wywoływał nagrodzonych i zawieszał im medale na szyi. Każdy doktor lub profesor otrzymywał też dyplom i nagrodzony wracał na swoje miejsce.

Maurizia wywołano jako jednego z ostatnich. Przeszedł na przód sali i odebrał nagrodę. Potem znów usiadł koło mnie, z uśmiechem na twarzy, i wyszeptał:

- Doża poprosił mnie, żebym po uroczystości pozostał jeszcze chwilę, razem z moją towarzyszką.

- Co by to mogło znaczyć?

- Nie wiem.

Musieliśmy poczekać jeszcze przez pewien czas, ponieważ po rozdaniu medali doża nie mógł sobie odmówić krótkiej pogawędki z doktorami i profesorami i życzyć im wszelkiej pomyślności, a przede wszystkim zdrowia i odporności na zarazę.

Wreszcie Maurizio podszedł ze mną do doży, który wciąż siedział na swoim złotym krześle i przywołał nas łaskawym gestem.

- *Dottore* - powiedział - jak może przeczytaliście, wasz medal nosi napis *Fortitudine et Constantia pro Venetia, Anno 1576*, jednakowoż doszło do moich uszu, że w tych dniach nie tylko wy dowiedliście odwagi i wytrwałości w pracy dla miasta, ale że w podobny sposób wyróżniła się i wasza asystentka. - Zwrócił się wprost do mnie i zapytał uroczyście: - Jak się zwiecie, *signorina*?

- Carla Maria Castagnolo, wasza ekscelencjo - odrzekłam z bijącym sercem. Miałam na sobie jedną z prostych sukien, które zabrałam w podróż do Wenecji, i wstydziłam się tego.

- *Signorina* Carla, może dziwicie się, że znam wasze zasługi, a nie znam waszego nazwiska. Bądźcie pewni, że w normalnych warunkach wiedziałbym o was wszystko, ale ten czas nie jest normalny. Mimo to wieści o waszej niez mordowanej służbie przy boku naszego sławnego doktora Sangia dotarły do mnie za pośrednictwem mieszczan Wenecji. Żałuję, że nie mogę wręczyć wam medalu, ale tego mi nie wolno. Jesteście wybornym chirurgiem, ale nie medykiem. No i jesteście kobietą. Mimo to Wenecja chciałaby się wam odwdziaczyć, przyjmijcie zatem ode mnie ten oto woreczek ze stoma *scudi d'oro* - po dziesięć *scudi* za każdy palec waszych błogosławionych rąk. - Wziął skórzany woreczek od jednego ze służących i podał mi go. - To tylko pieniądze, ale mogą wiele zdziałać, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Wenecja umie doceniać swoich przyjaciół, *signorina* Carla.

- Dziękuję wam, ekscelencjo - wyszeptałam.

- Czy mógłbym jeszcze coś dla was zrobić?

- Nie, ekscelencjo.

- A może jednak - usłyszałam głos Maurizia. - Wybaczcie, ekscelencjo, że się wtrącam, ale *signorina* Carla chce w najbliższych dniach wyjechać do Bolonii, swojego rodzinnego miasta. Potrzebuje specjalnego pozwolenia, żeby mogła opuścić Wenecję.

- Otrzyma je.

- Będzie jej towarzyszył sługa Latif, osmański eunuch, okrutnie okaleczony na twarzy, który musiał uciekać przed siepaczami Murada III. Czy *Serenissima* mogłaby go uchronić przed możliwymi prześladowaniami?

- Nie jestem przyjacielem Osmanów. Wszystko, co od nich pochodzi, jest złe. Razem z Hiszpanami i wojskami papieża pobiliśmy ich pod Lepanto. Nie upłynęło jeszcze od tego czasu nawet pięć lat i znowu próbują rozszerzyć obszar swego panowania. W porównaniu z nimi wielogłowa hydra jest niewiniątkiem.

- Tak, ekscelencjo.

- Każdy wróg Osmanów jest naszym przyjacielem. Nawet jeśli to tylko sługa. Zadbam więc o to, by ów Latif otrzymał uwierzytelniony dokument stwierdzający, że jest na służbie u *signoriny* Carli, a ponadto jest przyjacielem Wenecji. To może mu pomóc.

- *Sissignore*, tak jest, ekscelencjo - powiedzieliśmy jednogłośnie z Mauriziem.

Alvise Mocenigo I uśmiechnął się lekko.

- Wenecję pokonała zaraza, ale miasto jeszcze umie dziękować swoim przyjaciołom. Możecie odejść. Niech was Bóg błogosławi.

- *Parimenii*, ekscelencjo. - Pokłoniliśmy się głęboko i wyszliśmy z komnaty.

Upłynęły jeszcze dwa dni i w końcu nadszedł czas pożegnania. Staliśmy na wewnętrznym dziedzińcu domu Maurizia, a ja doznawałam sprzecznych uczuć.

- Mam nieczyste sumienie - rzekłam. - Cokolwiek zrobię, będzie źle. Jeśli wyjadę, zostawię cię na pastwę losu, jeśli zostanę, nie wypełnię swojego zadania.

- Nie zostawiasz mnie na pastwę losu - odrzekł Maurizio. - Dałaś mi o wiele więcej, niż mogłem oczekiwać.

- Nie mów tak, proszę.

- Ale to prawda.

Daniele, który trzymał cugle Capa i ogromnego mularza, energicznie pokiwał głową.

- *Dottore* ma rację, *signorina*. A może jeszcze się zastanowicie i zostanieie?

- Nie - powiedziała bardziej szorstko, niż zamierzałam. - Muszę wracać, nic na to nie poradzę. Dacie sobie beze mnie radę, bo teraz będzie was wspierała Mirjam.

Tego argumentu nie mogli zbić ani Daniele, ani Maurizio, nie raniąc Mirjam, która była obecna przy rozmowie. Odezwał się natomiast Latif, który stał, sapiąc, obok swego muła:

- A ja będę wspierał moją panią i uważał, żeby nie ukradziono jej pieniędzy od doży.

- Hola, hola - rzekłam - a skąd ty wiesz, że doża obdarował mnie pieniędzmi?

- Dobry sługa musi wiedzieć wszystko, pani.

- Dobry sługa może i powinien wiedzieć wszystko, ale nie powinien o tym mówić - upomniał go Maurizio.

- Dobry sługa umie milczeć - dodał Daniele. - Wiem coś o tym.

- Cnota zaczyna się od milczenia - powiedziała Mirjam.

- Masz ci los, wszyscy przeciwko mnie. - Latif z udaną rozpaczą spojrział ku niebu. - Ale powiadam wam: kowadło przywykło do uderzeń młota. Moja pani będzie mogła polegać na mnie w każdym momencie. Kiedy wreszcie ruszymy?

Roześmialiśmy się, a Maurizio powiedział:

- Chodź jeszcze ze mną na słowo, Carlo. - Poszedł przodem, a ja ruszyłam za nim.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Proszę, to dla ciebie. - Podał mi skórzaną torbę, której ciężar mnie zaskoczył.

- Co to jest?

- Niespodzianka.

Otwarłam torbę i ujrzałam cały szereg lśniących instrumentów: skalpeli, sond, haków, piłek, nożyc i igieł.

- Komplet narzędzi chirurgicznych! - wykrzyknęłam zdumiona. - Nie mogę tego przyjąć! - Musisz przyjąć, chyba że chcesz jeszcze bardziej utrudnić mi rozstanie. - Maurizio się uśmiechnął.

- Ależ to niemożliwe.

Wyjmowałam instrumenty jeden po drugim i sprawdzałam ich ostrość i budowę.

- To jeden z najwspanialszych prezentów, jakie kiedykolwiek otrzymałam. Ale skąd masz pewność, że będę mogła ich użyć w Bolonii? Bolonia to nie Wenecja, nie ma tam wyjątkowej sytuacji tak jak tu.

- Ten, kto ciałem i duszą jest medykiem tak jak ty, na pewno znajdzie na to sposoby.

- Dziękuję, Maurizio.

- Ja też ci dziękuję. Za wszystko.

Zamilkliśmy i przez chwilę usiłowaliśmy pokryć zmieszanie, przyglądając się instrumentom. Wreszcie odezwał się mój przyjaciel.

- Nie ma rady, Carlo, obawiam się, że musisz jechać. Jeśli teraz nie wyruszysz, nie wyruszysz nigdy.

- Tak, Maurizio - odrzekłam. - Też tak sędzę.

- Chodź tutaj. - Lekarz wstał i objął mnie. - Może to dziwnie zabrzmiało, ale z tobą był to szczęśliwy czas. W tobie wróciła do mnie moja córka, przynajmniej na krótko. Pomogłaś mi odzyskać równowagę. Jestem ci za to nieskończenie wdzięczny.

Milczałam, bo łzy napłynęły mi do oczu.

- Uważaj na siebie, nie chciałbym stracić jeszcze jednego drogiego mi człowieka.

- Obiecuję, że będę uważać, Maurizio.

- To dobrze. - Szybko pocałował mnie w usta. - Bądź zdrowa, Carlo, i daj mi znać, kiedy już dotrzesz szczęśliwie do Bolonii. Bądź zdrowa.

- Bądź zdrow, Maurizio.

Odsunęliśmy się od siebie i wyszliśmy do pozostałych, każde z nas zatopione we własnych myślach.

Daniele i Mirjam życzyli mi szczęśliwej podróży, a Latif dosiadł już muła.

- Dziękuję - powiedziałam - niech was Bóg błogosławi. Oby zaraza was oszczędziła.

- Was także, *signorina* Carla.

- Ruszamy, Latif.

- Nareszcie, o pani, nareszcie!

ZIEMIA

La terra

Powrót do Bolonii zajął mi tylko cztery dni. Podróż do Wenecji była uciążliwa, natomiast droga powrotna przebiegła sprawnie. Podczas podróży Latif okazał się energicznym, choć czasem nieco przemądrzałym towarzyszem, który jednak bardzo poważnie traktował swoje obowiązki służącego.

Gdy pierwszego dnia dzięki przepustce Alvisiego Moceniga bez trudności wydostaliśmy się z Wenecji, rzekł do mnie:

- Najgorsze mamy za sobą, pani, siedlisko dżumy zostało za nami. Od tej pory cieszymy się każdym dniem. - Rozciągnął swe potężne ciało, klepnął zachęcająco muła i łypał zadowolony czarnymi, okrągłymi oczami. Zdawał się nie dostrzegać trupów leżących na skraju drogi. - Dlaczego nie zdejmujecie welonu, pani? Jeszcze ani razu nie widziałem dobrze waszej twarzy.

Nie odpowiedziałam.

- Pani?

- Niechętnie pokazuję twarz.

- Ależ dlaczego? Twarz jest odzwierciedleniem duszy, a wasza dusza jest dobra, od razu to zauważyłem, chociaż przy naszym pierwszym spotkaniu nosiliście tę okropną maskę dla ochrony przed dżumą.

Westchnęłam. Wobec faktu, że od tej chwili będę spędzać z nim życie, pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy odkryje moje znamię. Równie dobrze mogłam mu je pokazać od razu.

Zdjęłam beret i popatrzyłam na niego.

- Na Allaha, macie, pani, hmm... niezwykłą twarz.

- Można to i tak określić.

- Och, nie zrozumcie mnie źle. Uważam, że jest ładna, ma jedną połowę rubinową, drugą kryształową. Nie każda niewiasta może się poszczycić taką ozdobą.

Ponieważ nie znałam go jeszcze zbyt dobrze, nie mogłam wykluczyć, że chciał mi się tylko przypodobać, aczkolwiek porównanie z kamieniami szlachetnymi wydało mi się nader efektowne.

- Urodziłam się z tym znamieniem - powiedziałam, wkładając beret. - Ale ty z pewnością nie przyszedłeś na świat z okaleczonym nosem. Jakże to się stało?

- W pałacu Topkapi, pani, dużo się dzieje, ale żadne wiadomości o tym nie przedostają się na zewnątrz.

- A co to za pałac?

- To siedziba sułtana w Konstantynopolu. Nazywają go Yeni Sarayi. To właściwie całe miasto, a jego sercem jest harem. Żyją tam setki kobiet.

- Opowiedz mi o nim więcej.

- Chętnie, pani, ale nie teraz. Wybaczcie mi, proszę. - Latif zatrzymał muła i stękając, zsunął się z siodła. Następnie sprawdził położenie słońca i zniknął za niewielkim pagórkem. Patrzyłam za nim zdumiona, gdy nagle usłyszałam osobliwy, gardłowy, monotony zaśpiew: *Allah akbar... ashadu annaha lahilaha illallah... lahila U Allah Mohammad ressul Allah... anna... illallah...*

Nic z tego nie rozumiałam i zapytałam Latifa o jego dziwne zachowanie, gdy już do mnie wrócił.

- Modliłem się, pani. Wyznaję wiarę muzułmańską, muszę zatem przyzywać i sławić Allaha Litościwego, Allaha Miłosiernego pięć razy dziennie.

- Nie wiedziałam.

- No to teraz już wiecie. Czy wy nie modlicie się regularnie?

- Ależ tak, zazwyczaj. - Pomyślałam o godzinkach sióstr z San Lorenzo i o tym, że nie potrafiłam czerpać zbyt wiele ze wspólnej modlitwy. Uważałam, że klepiąc religijne formułki, myśli się

o wszystkim, tylko najczęściej nie o Bogu. A na to On nie zasłużył. Wołałam się modlić, kiedy naprawdę czułam taką potrzebę.

- Jaka jest Bolonia, pani?

Zastanowiłam się. Jeszcze nigdy nie proszono mnie, bym opisała moje rodzinne miasto.

- No więc Bolonia ma wszystkie przywary i zalety człowieka. Wołają na nią *la grassa*, „tłusta”, bo w jej murach obficie się jada, albo *la dotta*, „uczona”, gdyż tu ma siedzibę najstarszy uniwersytet w Europie. Ale równie dobrze można by ją nazwać *la brada*, „szalona”, *la splendida*, „wspaniała”, bądź *la iniqua*, „niesprawiedliwa”. Charakter nadają jej ludzie w ich różnorodności.

- To brzmi tak, jakby każdy mógł tam robić, co chce...

- Niekiedy, o wiele za często, tak się dzieje.

- Mimo to nie troskajcie się, pani, gdyż teraz ja jestem przy was.

Wieczorem Latif rozbił dwa namioty, jeden mały dla mnie i duży dla siebie, i oświadczył, że dzięki temu zaoszczędzimy pieniądze na noclegu. Powiedział, że rozpali piękny ogień i podgrzeje zupę.

- Jaką zupę? - spytałam zaskoczona, gdyż jako prowiant wieźliśmy ze sobą tylko chleb, ser i trochę wina.

- Zupę, którą wcześniej kupiłem w tej małej wiosce. Przypomniałam sobie, że parę godzin temu mijaliśmy jakąś osadę i zatrzymaliśmy się tam na popas.

- W ogóle tego nie zauważyłam.

- I tak miało być, pani. Chciałem wam zrobić niespodziankę. Zupę kupiłem od pewnej starej chłopki. Targowała się, jakby od tego zależało zbawienie jej duszy, ale ostatecznie udało mi się uzyskać korzystną cenę.

- Czyżbyś miał jakieś pieniądze?

- Ależ tak, przecież wiecie, pani. *Sto scudi d'oro* od doży.

- Co?! Wzięłaś moje pieniądze, żeby zapłacić za zupę? - wykrzyknęłam oburzona. - Jak mogłeś?!

- Ależ pani. - Latif wydawał się przestraszony. Po chwili spojrzał na mnie niewinnym wzrokiem. - Ja przecież wydałem te pieniądze dla nas. Czy to nie było słuszne?

- No cóż. - Szukałam właściwych słów. - To, że kupiłeś strawę dla nas obojga, z pewnością nie było złe. Ale te sto *scudi* należy do mnie. Powinieneś mnie spytać, zanim zacząłeś je wydawać.

- Tak, pani. Bardzo mi przykro.

- No to ile zapłaciłeś w końcu za tę zupę?

- Tylko piętnaście *scudi*, pani.

- Co takiego?! Powtórz to jeszcze raz!

- Piętnaście *scudi*...

- Czyś ty oszalał?! Czy ty w ogóle wiesz, ile jest wart jeden *scudo d'oro*? Mógłbyś za niego przez miesiące, ach, co ja mówię, przypuszczalnie nawet przez pół roku kupować dla nas każdego dnia zupę! Dałeś się wykiwać tej starej! - Z każdym wypowiedzianym zdaniem robiłam się coraz bardziej zła, i z każdym zdaniem Latif zdawał się coraz bardziej kulić. Stał przede mną jak kupka nieszczęścia. Sprawiał wrażenie tak skruszonego, że prawie zrobiło mi się go żal. - Wygląda na to, że nie jest najlepiej z twoją obrotnością, którą się tak chełpiłeś.

- W Domu Szczęśliwości dostawałam tylko nieduże pantoflowe, pani.

- Pantoflowe?

- Tak nazywa się w haremie kieszonkowe. Z tego powodu moja wiedza na temat wartości różnych monet nie jest może zbyt duża. Ale następnym razem, przysięgam wam na Allaha Sprawiedliwego, Nieprzekupnego, niech pokarze swym gniewem tę starą, zrobię to lepiej!

- Zrób najpierw zupę - powiedziałam.

Po jakimś czasie, gdy Latif na próżno usiłował skrzesać ogień krzemieniem i kawałkiem żelaza, aż w końcu musiał postarać się o ogień z niedalekiej zagrody, usiedliśmy i posililiśmy się.

To była najdroższa zupa w moim życiu.

Drugiego dnia naszej podróży zagadnęłam Latifa o pałac Topkapi, gdyż ciekawiło mnie, co tam przeżył.

- Ach, pani - powiedział - Dom Szczęśliwości, jak zwą harem, nie kryje w sobie zbyt wiele szczęścia. W każdym razie nie dla

takiego nic nieznaczącego eunucha, jakim byłem ja. Stałem najniżej w hierarchii, a moim zadaniem było nacierać olejkami różanymi ramiona jednej z ulubionych nałożnic sułtana. Ta konkubina, *kadine*, jak ją nazywano, była nadzwyczaj swarliwa i zamieniała mi życie w piekło. Nazywała się Afet, co oznacza „piękna kobieta”, ale także „katastrofa”. Oba te znaczenia idealnie do niej pasowały.

- Musiałeś tej Afet masować tylko ramiona? - upewniałam się.

- Tak, za nogi odpowiedzialny był drugi eunuch, za tułów trzeci, a za głowę jeszcze inny. Masażysta głowy musiał mieć szczególnie delikatne ręce, gdyż przy najdrobniejszej niezręczności narażał się na chłostę. Do wszystkiego, do każdej czynności w Domu Szczęśliwości był osobny służący, nie tylko do pielęgnowania ciał konkubin.

- To musi być bardzo szczególny dom.

- Gdy się tam mieszka, wydaje się zupełnie normalny. Hierarchia wchodzi człowiekowi w krew, w każdym razie tak się zwykle dzieje.

- Co masz na myśli?

- No cóż, pani - Latif wyszczerzył zęby - jest pewnie tak, że nie zawsze byłem tak pokorny, jak by sobie tego życzył Kizlar Agasi. Aby uprzedzić wasze zapytanie: Kizlar Agasi jest naczelnikiem czarnych eunuchów. Nie darzył mnie sympatią, podobnie jak Afet.

- Czy to im dwojgu zawdzięczasz swój okaleczony nos?

- No cóż, pani, pewne jest, że wam zawdzięczam wyratowanie z Wenecji, tej jaskini dżumy. Ale teraz wybaczcie, nadszedł czas, bym słaawił Allaha. - Zatrzymał swego muła, zsiadł z niego, stękając, i sięgnął pod swą obszerną szatę. Ku memu zaskoczeniu wyciągnął stamtąd coś w rodzaju grubego szala w kolorowe wzory, a widząc me pytające spojrzenie, wyjaśnił: - To mój dywanik modlitewny, pani. Noszę go zawsze na sobie, owinięty ciasno wokół ciała, żeby go przypadkiem nie zgubić. - Potem poszukał odpowiedniego miejsca, skierował dywanik na wschód i odprawił swe modły.

- Myślę, że to dobre miejsce na popas. Pozwólcie mi rozłożyć końską derkę, abyśmy mogli usiąść i coś zjeść - powiedział, kiedy skończył się modlić. - Ale przecież jeszcze nie ma południa.

- To nie szkodzi, pani. Jeśli chodzi o jedzenie, słucham zawsze swojego żołądka.

- Ale mój żołądek mówi mi, że jeszcze nie pora. Latif przekrzywił głowę.

- Może nasze żołądki powinny to same rozstrzygnąć, pani? Wasz milczy, a mój burczy. Zdaje mi się, że ma lepsze argumenty.

Roześmiałam się.

- Widzicie, rozśmieszyłem was. Dobry sługa zawsze doprowadza swych państwa do śmiechu.

- Już to mówiłeś.

- To możliwe, pani. Odpocznijmy teraz?

- No dobrze, jeśli koniecznie chcesz.

Po południu opowiadał mi znów o swoim życiu w haremie. Mówił o wytwornych cudzoziemskich potrawach, których wyrafinowanie przypominało dekadentkę rzymską ucztę, o sztuce kaligrafii, śpiewu i tańca, o zwyczajach kąpielowych Murada III i jego wyszukanej goście, jeśli chodzi o kobiety, o architekturze pałacu Topkapi, jego salach, jego czterech dziedzińcach i prowadzących do nich bramach, o wspaniałych meczetach Stambułu, spośród których wyróżnić trzeba meczet Sulejmana z jego sześcioma minaretami, a w końcu o dogmatach wiary muzułmańskiej, jak również o zadowoleniu i poczuciu bezpieczeństwa, jakie daje ona swym wyznawcom.

Odparłam, że wiara chrześcijańska zapewnia to w takiej samej mierze, i razem doszliśmy do wniosku, że różnice między tymi dwoma religiami wcale nie są tak duże, jak się utrzymuje, zwłaszcza że w przypadku Wszechmogącego i Allaha chodzi wszak o jednego i tego samego Boga.

Następnie mówił o strojach, które nosi się na dworze sułtana, i wprowadził mnie w nowy, nieznany świat form, kolorów i krojów. Opisywał to wszystko w najżywszy sposób i nie poprzestał na teorii, ale uparł się, by pokazać mi, jak kunsztownie wiązać turban.

- Istnieją różne sposoby, pani - powiedział - w zależności od tego, czy używa się jednego pasa materiału, czy więcej. Pozwolicie? - Zawinął mi wokół głowy pas różowej tkaniny i klasnął zadowolony w dłoń, ujrawszy efekt swych wysiłków. - Poczekajcie,

pani - rzekł - mam ze sobą małe lusterko, polerowaną mosiężną płytkę. Zdziwicie się, jak dobrze wam w tym nakryciu głowy. Chciał podejść do swego muła, ale go powstrzymałam.

- Zostaw, Latif, siadaj. Opowiedz mi więcej o turbanach.

- Jak sobie życzyacie, pani. Ale szkoda, że nie chcecie się obejrzeć. Zapewniam, że urodą przewyższacie Szecherezadę.

- A kto to jest?

- Szeherazada? Ach prawda, nie możecie przecież tego wiedzieć. Chodzi o młodą kobietę opowiadającą *Alf laila waleila*. Jej słuchaczem był król Szachrijar, który miał okrutny zwyczaj poślubiania każdego dnia nowej dziewczycy, by następnego dnia kazać ją ścinać, bo już po jednej nocy małżonka go nudziła. Mądra Szeherazada potrafiła swymi opowieściami tak przykuć uwagę króla, że nie mógł wydać rozkazu jej zabicia. Była tak sprytna, że za każdym razem pozostawiała historię niedokończoną, obiecując, że dokończy ją następnego wieczoru. W ten sposób zrobiła się z tego tysiąc i jedna noc. A potem Szeherazada pokazała królowi trzech synów, których urodziła mu przez ten czas. Szachrijar był zachwycony, pełen podziwu dla jej mądrości i darował jej życie.

- Piękna opowieść o kobiecie opowiadającej historie - rzekłam.

- Nieprawdaż? Jeśli chcecie, mogę wam opowiedzieć kilka z jej baśni. Nie chwaląc się, mam w tym pewną wprawę.

Ponieważ nie zgłaszałam sprzeciwu, opowiedział mi z *Alf laila waleila* pouczającą „Historię o pobożnym człowieku i jego dzbanie masła”, „Historię o kupcu i papudze” oraz „Historię o skąpcu i dwóch chlebach”. Gdy skończył, spytał, nawiązując do sytuacji:

- Co myślicie o krótkim odpoczynku, pani?

- Nic - odpowiedziałam i tym razem nie dałam się przekonać.

Trzeciego dnia naszej podróży stało się dla mnie jasne, że Latif nie chce mówić o okaleczeniu swego nosa, kiedy go bowiem spytałam, co mieli z tym wspólnego Afet i Kizlar Agasi, odpowiedział wymijająco i zaczął się rozwodzić nad hierarchią panującą w pałacu Topkapi.

- Na pierwszym i najwyższym miejscu stoi naturalnie sułtan, pani - wyjaśniał, podczas gdy powoli zmierzaliśmy drogą na południe

dnie. - Drugą najważniejszą osobą jest matka sułtana, *valide sultan*, której wpływy są niezwykle duże, gdyż to ona wyszukuje *ikbal* do sypialni jej syna.

- *Ikbal*? Czy to są... nierządnicze? - spytałam.

- Wybaczcie, pani, ale skąd taka myśl? - Latif się zaśmiał. - To służebnice w haremie, na które wybiera się oczywiście tylko najpiękniejsze i najwytworniejsze dziewczęta. Nie pochodzą z Imperium Osmańskiego, jak moglibyście sądzić, lecz ze wszystkich krain tego świata. Widziałem dziewczęta o rudych włosach z Anglii, blondynki z krain skandynawskich i czarnowłose z wybrzeży piratów berberyjskich. Widziałem kobiety z włosami kręconymi i gładkimi, krótko- i długowłose. Nie ma włosów, których bym nie widział, zresztą dotyczy to nie tylko głowy.

Nie chciałam zgłębiać tego tematu i zapytałam:

- A kto znajduje się w hierarchii po matce sułtana?

- Księżniczki, pani. Pod warunkiem, że są osmańskiej krwi. Nazywane są *sultana* i prowadzą życie, którego nudy nie przewyższy nic, może z wyjątkiem zbytku, którym są otoczone. Ale wierzcie mi, i luksus może się znudzić. Wyobraźcie sobie, że nie ma niczego, co musielibyście robić sami. Niczego, zupełnie niczego, łącznie z najbardziej intymnymi czynnościami, które trzeba wykonywać codziennie.

Również o tym nie miałam ochoty rozmawiać, spytałam zatem:

- A dalej? Kto stoi niżej w hierarchii?

- Potem jest pierwsza żona, *haseki*. Jest szczególnie ważna, gdyż to ona urodziła następcę tronu. Zresztą wszyscy potomkowie sułtana są z prawego łoża, ale następca tronu jest tylko jeden. Dzięki niemu jego matka któregoś dnia sama stanie się *valide sultan*. Mądrym i rozważnym jest zapewnić sobie jej przychyłność. Ja niestety nie zawsze postępowałam zgodnie z tą regułą.

- A czegoż to się dopuściłeś?

- Ach, nie warto o tym mówić, pani. Posłuchajcie lepiej, jak się ma rzecz dalej. Po pierwszej żonie idą konkubiny, które, jak już mówiłem, nazywamy *kadine*, następnie znane już wam służebnice w haremie, *ikbal*, a dalej uczennice w haremie, które pracują jako niewolnice w pałacu. Zdobywają wiele umiejętności, kształcą się

w sztuce czytania i pisania po turecku, do tego często uczą się włoskiego bądź hiszpańskiego, osiągają biegłość w szyciu i hafciarstwie, ćwiczą taniec, śpiew i grę na instrumentach. Gdy ich edukacja jest zakończona, zazwyczaj poślubiają wysokiego rangą dostojnika, o ile nie zostaną w haremie. Niżej od nich znajdują się już tylko niewolnice do pracy, które również pochodzą z krajów niewiernych, zakazane jest bowiem niewolenie muzułmanów.

- A jak ma się rzecz z eunuchami?

- Są pozbawieni męskości, jak zapewne wiecie, dlatego też są jedynymi mężczyznami, którym wolno wkraczać do domu dla kobiet. Ich ciało jest miękkie, ich dusza spokojna, pomijając nieliczne wyjątki. Najwyższy wśród nich jest Kizlar Agasi. Znaczeniem dorównuje *kadine*, ale z tym może być różnie w zależności od sułtana. Większość eunuchów jest czarnoskóra, ja natomiast jestem biały. - Latif uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem. - Byłem, by tak rzec, białą owcą pośród kastratów Murada III.

- Powoli zaczynam sobie wyobrazać twoje położenie. - Uśmiechnęłam się i dodałam: - Mówiłeś o spokojnych eunuchach i o tym, że zdarzają się wyjątki. Powiedziałeś też, że nie układało ci się dobrze z *valide sultan*. Co miałeś na myśli?

- Nie chciałbym o tym mówić.

- Czyżbyś miał tajemnice przed swoją panią?

- Nie, nie, to jest zbyt mało ważne, by było tajemnicą. O wiele ważniejsze jest, że żołądek domaga się posiłku. Dzień się chyli ku wieczorowi, powinniśmy poszukać miejsca na nocleg.

- No dobrze, niech będzie, jak proponujesz.

Także czwartego dnia naszej podróży Latif nie chciał opowiadać o swych kłopotach w haremie Murada III, więc dałam mu spokój. Po trosze z przekonania, że wcześniej czy później sam zacznie o tym mówić, a po trosze dlatego że z każdą chwilą zbliżaliśmy się do mojego rodzinnego miasta i moje myśli wybiegały już naprzód. Przez pewien czas jechaliśmy równolegle do rzek Reno i Saveny, które zaopatrują Bolonię w wodę, obserwowaliśmy, jak monotonię pustej równiny coraz częściej przełamwały domy i zagrody, już z daleka

słyszeliśmy gwar wielkiego miasta, dostrzegaliśmy pierwsze z jego wysokich wież i wreszcie wczesnym wieczorem dotarliśmy do niego, zatrzymując się przed Porta Mascarella, tą samą bramą, przez którą wyjeżdżałam z Bolonii. Strażnicy byli tuż przed zmianą warty, toteż nie zainteresowali się nami zbyt. Dali znak, byśmy przejechali, a ja pokierowałam wiernego Capa prosto do Via delie Lame, gdzie w swym domu w kolorze terakoty z pewnością czekał już na mnie pełen niepokoju Gaspare.

Zsiadłam i poleciłam Latifowi, by czekał i pilnował naszych zwierząt. Do drzwi drobnymi kroczkami zbliżył się Adelmo.

- Rad jestem, że wróciliście zdrowi z zadżumionej Wenecji, *signorina* Carla! - powiedział, skłoniwszy się nisko. - Mam nadzieję, że mieliście przyjemną podróż?

- Dziękuję, Adelmo. - Szczegółową relację chciałam zachować dla Gasparego. Byłam ciekawa jego miny, kiedy wręcę mu opinię, której zdobycie kosztowało mnie tyle trudu i niebezpieczeństw. -Zaanonsuj mnie, proszę, doktorowi Tagliacozziemmu.

Adelmo skrzywił twarz z wyrazem ubolewania.

- Doktor jest niestety chwilowo nieobecny, *signorina*. Jest tylko jego małżonka. Czy mam was...

- Nie, dziękuję.

Z trudem udało mi się ukryć rozczarowanie, ale powiedziałam sobie, że to najnormalniejsza rzecz na świecie, że nie zastałam Gasparego. Nie może przecież przesiadywać każdego wieczoru w domu, czekając na to, że może akurat wrócić z Wenecji. Zastanowiłam się szybko, co mam zrobić w tej sytuacji. A potem powiedziałam:

- Proszę przekazać doktorowi wyrazy szacunku z wiadomością, że od dziś jestem z powrotem w Bolonii i że go nie zastałam. Spróbuję jeszcze raz jutro wieczorem. Gdyby i wtedy miał być zajęty, proszę, by mnie o tym uprzedził. - Tak jest, *signorina* Carla.

- Capo i muł mojego służącego pozostaną tutaj.

- Eee... tak, oczywiście. - Jeśli Adelmo zdziwił się, że mam służącego, to tego nie okazał. - A co z bagażem, *signorina*?

- Również tu pozostanie. Jest zbyt ciężki, by Latif mógł go dźwigać sam. Przyślij mi go jutro rano wozem do domu.

- Tak jest, *signorina*, chętnie, *signorina*.

Adelmo, kłaniając się, zniknął, a wkrótce pokazał się służący, który odprowadził niewzruszonego Capa i muła do stajni za domem. Po chwili zjawiał się drugi sługa i zabrał gdzieś nasz bagaż, który Latif przekazał mu zapraszającym ruchem ręki.

- Co teraz będzie, pani? - spytał.

Wpatrywałam się w cenną opinię Maurizia, której rzecz jasna nie wypuściłam z ręki, i odrzekłam:

- Teraz udamy się na Strada San Felice. Tam stoi mój dom. Ale ostrzegam cię, nie spodziewaj się wielkopańskiej rezydencji. Jestem wprawdzie obywatelką Bolonii, ale nieszczególnie zamożną.

- Zapominacie o osiemdziesięciu pięciu *scudi d'oro* od doży, pani. Jeśli dobrze zrozumiałem, to ogromna suma.

Tak było w istocie. Poprowadziłam go skrótem przez pola do mojej ulicy.

- Hałas miasta coraz bardziej tu cichnie - stwierdził w drodze zasapany Latif. Na czole perlił mu się pot, eunuch nie przywykł bowiem chodzić na piechotę więcej niż sto kroków.

- Tak - odparłam - kiedyś te odgłosy przypominały mi brzęczenie pszczoł.

- To piękne porównanie, pani. Jeśli już mówimy o pszczołach: niestety nie umiem latać. Czy nie moglibyście iść trochę wolniej?

Zwolniłam nieco, i sapanie obok mnie ucichło. Po kilku krokach Latif podjął rozmowę:

- Czy Bolonia zawsze jest taka głośna, pani?

- Tak, nawet dużo głośniejsza. Mamy dziś drugi marca, za cztery dni jest ostatni dzień karnawału, *martedì' grasso*, jak tu mówimy, i całe miasto staje na głowie. A wraz ze środą popielcową zaczyna się post.

- Proszę, nie mówcie mi o poście, o mało się dziś nie zagłodziłem, i bolą mnie stopy!

- Czy mam ci przypomnieć, że to ty się uparłeś, żeby zostać moim służącym?

- Lepiej nie, pani. Nie znalazłbym na to żadnej mądrej odpowiedzi. Szliśmy w milczeniu, aż wreszcie stanęliśmy przed moim domem.

- To *tu* - rzekłam. - Tutaj będziesz ze mną mieszkał.

Latif stanął, sapnął i przewrócił oczami. A potem rzekł tonem głębokiego przekonania:

- Zaprawdę, pani, rzeczywiście nie jesteście zamożni.

Następnego ranka - Latif spał w niewielkiej izdebce obok pomieszczenia na sprzęty gospodarcze - pokazałam mu dom. Choć zazwyczaj byłam z niego bardzo dumna, tego dnia wydał mi się niezwykle ubogi, zapewne dlatego że mimo woli porównywałam go z niezmiernym bogactwem pałacu Topkapi, odmalowywanym przez Latifa w najżywszych barwach. Pokazałam mu pomieszczenia na dole, z kuchnią, pracownią i ustępem, objaśniłam, jak działają piec i okna, i wytłumaczyłam znaczenie zblakłych ze starości scen z Księgi Rodzaju na suficie.

- W Koranie także jest historia stworzenia świata - skomentował. Na piętrze znajdowały się jeszcze trzy pomieszczenia, powstałe

dzięki podwyższeniu domu. Był tu także wąski balkon wychodzący na dziedzińce ogród na tyłach budynku. W ogrodzie znajdował się jedyny luksus, jakim mógł się poszczycić mój dom: studnia z chłodną, kryształowo czystą wodą.

Latif obejrzał wszystko jak najdokładniej, wypróbował wygodę mebli do siedzenia, ocenił garnki, naczynia i sztuce, przesunął ręką po wełnianych dywanach, obejrzał obrazy w pozbawionych ozdób ramach, dotykał tkanin ubraniowych w pracowni, aż w końcu wyraził swe wrażenia w zdaniu, które wypowiedział już poprzedniego dnia:

- Zaprawdę, pani, nie jesteście zamożni.

Bez wątpienia miał rację, mimo to jego uwaga trochę mnie uraziła.

- Nigdy nie twierdziłam, że jest inaczej.

- Na Allaha Wybaczącego, Wymazującego Grzechy! Oczywiście, że nie, pani! Moje miejsce jest u waszego boku. Jakże mógłbym was porzucić w tym niebezpiecznym mieście!

- Aż tak niebezpieczne to ono nie jest. Dlatego wybiorę się teraz sama do klasztoru San Lorenzo. Opowiadałam ci chyba, że pracuję tam w szpitalu. I tak na razie zostanie. Nie wiem, kiedy wrócę. Odbierz bagaż, który przyśle Adelmo, i pochowaj rzeczy tam, gdzie ci pokazałam. Kup coś do jedzenia, chleb, ser, kielbasę i jarzyny.

Na początek to wystarczy. Ale uważaj, żebyś za wszystko nie zapłacił więcej niż parę *baiocchi*. Sklepy znajdziesz na ulicy wiodącej w kierunku miasta.

- Tak, pani, uczynię wszystko wedle waszego życzenia. Wyszłam, by zameldować się z powrotem u matki przełożonej

i podjąć swoją służbę. Droga przez miasto była uciążliwa, gdyż wszędzie tłoczyli się rozbawieni ludzie. Śmiali się, żartowali i śpiewali na całe gardło. Do miasta przybyli kuglarze, trefhisie, połykacze ognia, żonglerzy i antypodyści, którzy pokazywali swe sztuczki na każdym rogu. Garkuchnie wyrosły jak grzyby po deszczu, pod arkadami oferowali swój towar sprzedawcy masek.

Było już prawie południe, gdy mogłam rozpocząć pracę w szpitalu, zdawszy matce przełożonej krótką relację o okropnościach, które przeżyłam w Wenecji. Podziękowała Bogu za to, że pozwolił mi przeżyć, i powinszowała mi. Następnie odesłała mnie do siostry Marty do sali chorych.

Po południu zaczęło przybywać pacjentów. Na zatłoczonych ulicach ludzie łamali ręce i nogi i doznawali różnych innych obrażeń - nie miałyśmy chwili wytchnienia. Dopiero pod wieczór mogłam zakończyć dyżur. Ponieważ miałam przy sobie opinię Maurizia, postanowiłam nie iść do domu, lecz prosto do Gasparego. Znowu przeciskałam się przez ciżbę. Zdało mi się, że o tej porze całe miasto wyległo na ulice, jakby chciało z nocy zrobić dzień. Spocona i wyczerpana dotarłam w końcu do domu w kolorze terakoty. Wpuścił mnie jakiś człowiek, w którym dopiero po uważnym przyjrzeniu się rozpoznałam Adelma, gdyż miał na sobie kostium arlekina.

- Pan doktor i jego małżonka wydają dziś wieczór małe przyjęcie - wyjaśnił. - Przybyło kilku dostojnych profesorów z Archiginnasio. Nie wiem, czy mogę im przeszkodzić.

- Czyżbyś nie powiedział wczoraj doktorowi o mojej wizycie? -zapytałam zdumiona.

- Powiedziałem, *signorina*. Doktor cieszy się, że wróciliście cali i zdrowi. Tyle że z tego powodu nie mógł odwołać przyjęcia.

- Chcę z nim pomówić. - *Signorina* Carla, nie wiem...

- Chcę z nim pomówić, natychmiast.

- Ależ tak, ależ tak. - Adelmo znikł, pozostawiając mnie w stanie rozdrażnienia. Wydawało mi się to jakoś niestosowne, że Gaspare uctował, podczas gdy ja w Wenecji narażałam dla niego życie. Z drugiej strony, musiałam to przyznać, uroczystość była z pewnością zaplanowana od dawna. Postanowiłam nie psuć sobie tym humoru, zastanawiałam się więc, za co się mógł przebrać. Nie dane mi było pozostawać w tej niepewności zbyt długo, gdyż pojawił się w przebraniu fauna, jako staroitalski bóg dzikiej natury. Na głowę nałożył perukę z blond lokami, a poza tym był nagi, *wyjąwszy* skąpą przepaskę ze skóry niedźwiedzia na biodrach. Tors miał wygolony i wymalowany w lubieżne symbole, fallusy i sromy. W prawej ręce trzymał dziesięciostrunową lutnię.

- Bądź pozdrowiona, ubielona dziewczynko! - wykrzyknął z ozywieniem. - Czy przywiozłaś to, o co cię prosiłem?

- Tak - powiedziałam - mam opinię.

- Daj mi.

Chciał przeczytać dokument, ale nie pozwoliłam mu.

- Ta opinia ma posłużyć profesorowi Aldrovandiemu, toteż uważam, że on pierwszy powinien ją przeczytać.

Gaspare zaśmiał się rozbawiony.

- Jestem jego przyjacielem. Przyjaźń to jak jedna dusza w dwóch ciałach, jak powiada Arystoteles. Ulisse mi ufa, inaczej nie zwróciłby się do mnie w tej sprawie. Chcę sprawdzić, czy to, co pisze doktor Sangio, jest przydatne.

- Naturalnie, że jest przydatne!

- Oj oj, a czemu tak porywczo? Czyżbyś to *czytała*? ~ Nie, ale jestem pewna, że jego praca jest znakomita.

Nie odpowiedział, a ja miałam okazję przyjrzeć mu się bliżej, podczas gdy on czytał. Zastanawiałam się, co mnie drażniło w jego przebraniu, ale nie umiałam tego dokładnie wyrazić. Przypuszczalnie była to jego nagość, która kiedyś należała tylko do mnie, a którą teraz prezentował całemu otoczeniu.

- Opinia spełni swoje zadanie - rzekł po jakimś czasie. - Mój przyjaciel może być zadowolony. To jest oręż, którego mu brakowało, by pognębić aptekarzy.

- Wolałabym sama wręczyć mu to pismo - powiedziałam.

- A czemuż to, moja ubielona dziewczynko?

- Może chciałabym, żeby mi osobiście podziękował? Uważam, że przynajmniej tyle mam prawo oczekiwać.

Gaspare potrząsnął głową.

- Chyba jesteś zbyt surowa, ubielona dziewczynko. Uczyniłaś przysługę jemu i zarazem mnie. Dziękuję ci. Nawet bardzo ci dziękuję, i to ci musi wystarczyć.

Pomyślałam o wszystkich tych niebezpieczeństwach, na które się narażałam w zadżumionej Wenecji, o tysiącach zmarłych i o niewyobrażalnym nieszczęściu, które tam widziałam; nędza, żałoba, rozpacz, wszystko to tylko po to, bym teraz została odprawiona krótkim podziękowaniem.

- Uważasz, że nie jestem dla was odpowiednim towarzystwem? Roześmiał się.

- To nie tak. Ale zastanów się sama. Tam w środku trwa szalona zabawa, a ty wchodzisz w ubraniu z ulicy, idziesz prosto do Ulissego i domagasz się oficjalnych podziękowań. To przecież do ciebie nie pasuje. I tak nie wypada.

- Wobec tego przyprowadź go tutaj.

- Ubielona dziewczynko, spróbuj się postawić w mojej sytuacji. Jestem tu gospodarzem i muszę zrobić wszystko, aby Ulisse miał udany wieczór, zwłaszcza że potrzebuję go jako protektora przy przyjęciu mnie do kolegium medycyny i filozofii. *Manus manum lavat*, rozumiesz?

Nie, nie rozumiałam. Rozumiałam tylko, że tego wieczoru nie byłam mile widziana, i czułam, jak narasta we mnie gniew.

- Pojmuję - rzekłam. - Bądź zdrow. Odwróciłam się na pięcie i pobiegłam do domu.

Humor nie poprawił mi się także po powrocie, gdy zobaczyłam, że Latif zrobił wprawdzie zakupy, ale nie przygotował kolacji.

- Co ty właściwie robiłaś przez cały dzień? - ofuknęłam go szorstko.

- Zrobiłem zakupy, pani.

- Widzę. A poza tym?

- Modliłem się.

- O ile wiem, musisz się modlić tylko pięć razy dziennie. Co robiłeś w pozostałym czasie?

- Zawierałem znajomość z kupcami i rozmawiałem z całą masą innych ludzi. Oni wszyscy byli bardzo mili, kiedy im powiedziałem, że zostaliśmy sowicie obdarowani przez dożę i że jesteśmy niebiedni.

- Co, rozgłaszałeś im, że...

- Ależ oczywiście, pani. Kto ma pieniądze, ten ma szacunek. A ja chciałem służyć najbardziej szanowanej *signorinie* w całej Bolonii.

Powiedział to tak uroczystym tonem, że musiałam się roześmiać.

- Jesteś niemożliwy, Latif.

- Być może, pani. Ale doprowadziłem was do śmiechu. Dobry sługa doprowadza swych państwa do śmiechu.

Następnego dnia była niedziela, siódmy dzień tygodnia, dzień odpoczynku, wolny od pracy. Ale nikt w Bolonii nie myślał o odpoczynku, gdyż miasto opanował *carnevale*. *Carnevale* to stan wyjątkowy u ludzi, i we wszystkich dziedzinach życia stanowi to całkowite przeciwieństwo dni roboczych - to ta pora roku, gdy rządzi rozrzutność, a nie oszczędność, to czas nieumiarkowania, jeśli chodzi o rozkosze ciała i grzeszne uciechy. Słowo „karnawał” pochodzi od *carne*, „mięso”. Kryje się za tym nie tylko apetyt na obfite potrawy, ale i żądze cielesne, innymi słowy uciechy i szalony zmysłów, za które odbywa się pokutę w następujących potem wyrzeczeniach.

To wszystko objaśniłam Latifowi, a on powiedział:

- My, muzułmanie, też mamy czas wyrzeczeń, pani, to miesiąc postu ramadan. Ale niestety nie poprzedza go szalona zabawa. Allah nakazał nam przez cały rok jeść z umiarem i nie pić alkoholu, a o świtaniu, gdy tylko można rozróżnić nitkę czarną od białej, rozpocząć poszczenie.

- Możesz dalej tak żyć, ale skoro już jesteś w Bolonii, powinieneś także poznać karnawał. Wyobraź go sobie jako wielką zabawę, podczas której wszystko staje na głowie. Ulice i place zamieniają się w sceny, serce miasta w publiczny teatr, a bolończycy, aktorzy jak i widzowie, obserwują te błazeństwa z balkonów okolicznych domów.

- Och, pani, czy chcecie przez to powiedzieć, że całkiem obcy ludzie mogą przyjść do naszego domu i będą z balkonu oglądać widowisko?

- Raczej nie. - Musiałam się roześmiać z jego przerażenia. - Mieszkamy tuż przy murach miejskich, gdzie nigdy nie trafiają wielkie parady. Tu jest spokojniej, dopiero po kilkuset krokach w kierunku centrum miasta Strada San Felice się ożywia.

- Allahowi Wszechwiedzącemu niech będą dzięki!

- Ja także jestem z tego rada, gdyż w przeciwnym razie musiałabym powstrzymywać intruzów, obrzucając ich zgniłymi jajami. Naturalnie tylko na niby, jak tego wymaga obyczaj.

- Musielibyście rzucać na niby zgniłymi jajami? Wybaczcie, pani, ale wy, Włosi, to osobliwy lud.

- Jeśli masz ochotę, to wmieszaj się potem w ten osobliwy lud. Zobaczysz szalone gry w piłkę, błazenady i parodie, i jeszcze wiele więcej. Będziesz świadkiem zabaw z zamienionymi rolami, w których zwierzę zamienia się w człowieka, kobieta w mężczyznę albo syn w ojca. Możesz asystować w specjalnym sądzie karnawałowym, odgrywanym przez „rząd” i „bezzład”. Rząd występuje tu w postaci tłustego głupca z czerwoną gębą, który kłóci się z kościstą, ponurą babą - bezzładem. Ponura baba reprezentuje zbliżający się okres wyrzeczeń, zakończenie karnawału we wtorek wieczór i Wielki Post od środy popielcowej do Wielkiejnocy. Powinieneś to kiedyś obejrzeć.

- Nie, pani, lepiej nie. Nie lubię być popychany przez pospólstwo.

- Rozumiem. W takim razie możesz opróżnić półki w kuchni i pozamiatać za nimi. Mógłbyś także wyszorować cynowe talerze i kubki, a wreszcie oczyścić porządnie piec od góry do dołu.

- Tak, pani. - Głos Latifa nie zdradzał zbytniego entuzjazmu. Służący snuł się po pokoju z miotłą od kurzu w ręce i ospale wodził nią po sprzętach. Udawałam, że nie zwracam na niego uwagi, i pochyliłam się nad śniadaniem, które tego ranka składało się z chleba z chrupiącą skórką, oliwy i jajecznicy z solą i rozmarynem. Do tego piłam świeżą wodę ze studni za domem.

- Jeśli się dobrze zastanowię, pani - powiedział Latif i przerwał swą krzątaninę - to karnawał boloński z pewnością jest częścią całkiem szczególnej kultury.

- Chyba masz rację.
- Nikt nie powinien sądzić, że nie interesuję się kulturą.
- Nie, absolutnie. - Domyślałam się, do czego zmierza.
- Może jednak powinienem pójść do miasta i obejrzeć ten rozgardiasz.
- Ale przecież jeszcze przed chwilą byłeś temu całkowicie przeciwny.
- Musieliście mnie źle zrozumieć, pani. Byłem tylko odrobinę przeciwny, nie więcej.
- No dobrze, więc idź.
Minęła chwila, podczas której Latif znowu wzniecał kurz miotełką.
- Zrobię to, pani - oświadczył. - Ale tylko wtedy, gdy będziecie mi towarzyszyć.
- To wykluczone.
- Dlaczego?
- Dlatego że, dlatego...
- Boicie się, że w tym rozgardiaszu mogłaby zostać odkryta rubinowa połowa waszej twarzy?
Nie podejrzewałam Latifa o taką subtelność. Byłam zaskoczona.
- Może masz rację.
- Oczywiście, że mam rację, pani. - Usiadł przy mnie i uśmiechnął się półgębkiem. - Przeważnie mam rację. Ale nie musicie się bać. Pomyślcie o złotej masce Wenus, którą wam podarowałem w Wenecji. Możecie ją nałożyć i pójść jako bogini piękności.
- Nie.
- Szkoda, pani. Byłbym dumny, gdyby wolno mi było towarzyszyć tak powabnej kobiecie jak wy.
- Bzdura. - Dokończyłam jajecznicę i odsunęłam talerz.
- Naprawdę szkoda.
- Już to mówiłeś.
- Wielka, wielka szkoda!
- Latif, proszę!
- Czy nie moglibyście się jeszcze raz zastanowić, pani?
- Nie.
- W tej masce naprawdę wyglądacie pięknie.
- Nie próbuj pochlebstw. Ale przyjmijmy... hmmm... że bym ją założyła, za co ty byś się przebrał? -

Latif uśmiechnął się promiennie.

- Za to, czym jestem, pani: za eunucha. Tłustego, łysego i z wysokim głosem. Każdy to od razu rozpozna i będzie się pytał, jak udało mi się stworzyć tak doskonałe przebranie.

- To możliwe.

- Zatem idziemy?

- Tak, w imię Boże.

To wszystko, co mówiłam Latifowi o karnawale, wiedziałam tylko z opowiadań, dlatego nie umiałam odpowiedzieć na wiele pytań, które mi zadawał w drodze do miasta. Ale to nie miało znaczenia. Zbyt wielki tłum był wokół nas, zbyt głośny gwar dochodził do naszych uszu. Daliśmy się nieść ludzkiej fali, uważając, by się nie stracić z oczu. W pewnym momencie usłyszałam Latifa, dyszącego:

- Pani, proszę, ja już nie mogę, muszę usiąść! Znajdowaliśmy się na Piazza Maggiore, zawołałam więc do niego:

- Chodźmy do fontanny Neptuna, będziesz mógł odpocząć na jej skraju!

Rzeczywiście udało nam się tam dotrzeć, ale brzeg fontanny był cały obsadzony ludźmi i nikt nie miał zamiaru posunąć się, żeby zrobić miejsce grubemu eunuchowi. Wobec tego Latif po prostu opadł ciężko na ziemię, gdzie jak skała wśród morskiej kipieli stawiał czoła naporowi tłumowi. Ja jednak nie zdołałam się przeciwstawić ludzkiej rzece, toteż wkrótce zostałam przez nią porwana i wylądowałam pod Palazzo del Podesta, gdzie pośród wrzasku odegrano scenę powieszenia owych dwóch nieszczęsnych mężczyzn, którzy w roku 1538 ponieśli tam sprawiedliwą karę, gdyż zdradzili sekrety produkcji jedwabiu. Aby zrozumieć lepiej tę okrutną karę i jej coroczne przypominanie, trzeba wiedzieć, że wytwarzanie jedwabiu to jedna z najbardziej lukratywnych profesji w mieście, z około trzydziestoma robotnikami, którzy każdego roku wytwarzają ponad trzysta tysięcy funtów tego cennego towaru.

Rzecz jasna ludzie nie myśleli teraz o genezie tej sceny; radowali się po prostu widokiem odgrywanej męki przestępców, którzy wśród entuzjastycznych okrzyków ciągle na nowo byli wieszani, wydając

przy tym okropne dźwięki i miotając przekleństwa, a do tego racząc publiczność niewybrednymi kawałami.

Chociaż cały ten rwetes wydał mi się zrazu okropny, po jakimś czasie uznałam, że jest całkiem zabawny. Ludzie cieszyli się, że mogą zapomnieć o codziennych troskach, i ja też się tak poczułam. Przyłapywałam się na tym, że śmiałam się z rzeczy, których zazwyczaj wcale nie uważałam za śmieszne, i sama się sobie dziwiłam, jakich znaczeń nabierał nagle dla mnie każdy banał. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam o Latifie, ale uspokajałam się, że da sobie radę beze mnie i sam trafi do domu.

Przy tylnej ścianie San Petronio, ukosem naprzeciwko Archiginnasio, dostrzegłam rozpiętą w powietrzu linę, na której stał *acrobata*. Przed sobą trzymał drążek, aby utrzymać równowagę, i poruszał się drobnymi kroczkami. Ludzie ryczeli zachwyceni, podczas gdy on balansował na linie coraz pewniejszym krokiem. Lina miała go zaprowadzić do jednego z dużych okien wysoko w murze San Petronio.

Jego ryzykowny występ stał się jeszcze bardziej niebezpieczny, gdy paru wyrostków skrytych za maskami zwierząt i demonów zaczęło się zabawiać, obrzucając go z dołu kamykami. Kilka dosięgło celu, co wywołało ryk zachwyty, ale akrobata nie spadł. Szedł tylko coraz szybciej i w końcu dotarł bez szwanku do otwartego okna, gdzie wciągnęły go pomocne dłonie.

Młodzieńcy w maskach zawyli rozczarowani, gdyż zwierzyna im się wymknęła, podczas gdy większość widzów odetchnęła z widoczną ulgą i natychmiast zwróciła się ku innym atrakcjom.

Już zbliżał się taneczny korowód postaci w maskach symbolizujących przeciwieństwa. Noszący je ludzie przedstawiali najróżniejsze alegorie: śmierć i dziewczynę, ogień i wodę, anioła i diabła, nimfę i Bachusa, melancholię i swawolę. Przybierali pozy, odgrywali sceny i muzykowali w najdziwszy sposób, i cały czas roztrącani byli przez skąpo ubrane dziewczęta, które obsypywały ich kwieciami i wieńcami. Nadeszły dalsze pary: Arlekin i Kolombina, Niebo i Ziemia, Słońce i Księżyc...

Nie mogłam się napatrzeć na barwną różnorodność tych symboli, przy których moja maska Wenus wydawała mi się raczej skromna.

Ale uczucie, że ją noszę, nie dało się porównać z niczym. Przylegała gładko i chłodno do mojej twarzy i dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Zaczęłam żartować, śpiewać i tańczyć z zamaskowanymi osobami wokół mnie, przy czym, ku mojemu zaskoczeniu, słyszałam ciągle męskie głosy, które wykrzykiwały w moją stronę komplementy, jak *Bella donna!*, *Sventola!* albo *Donna affascinante!*

Poczułam, że się rumienię, ale pod moją maską byłam cudownie bezpieczna. Stawałam się śmielsza, wręcz zuchwała, i dawałam figlarne odpowiedzi; obejmowano mnie i całowano nie tylko w maskę, ale i w inne miejsca. Śmiałam się i pozwalałam na to, śmiałam się i śmiałam, bo byłam jak odurzona.

Widziałam, jak Słońce i Księżyc wzięły się pod rękę i podeszły do Nieba i Ziemi, widziałam, jak te cztery postaci spoglądały na siebie, poruszały się i rozmawiały ze sobą. Ujrzałam, jak Niebo i Księżyc wkrótce utworzyły nową parę, która wcale nie pasowała do siebie, ale nic sobie z tego nie robiła, widziałam też, jak Słońce i Ziemia w przeciwieństwie do tamtych nie były sobie przychylne, gdyż jeły sobie nawzajem wygrażać i wymyślać. Śmiałam się z tego, gdyż myślałam, że to część zabawy. Myślałam tak nawet wtedy, gdy oboje dobyli mieczy, i śmiałam się, słuchając, jak Ziemia rozgniewana ryknęła:

- No już, rusz swój tyłek, obróć się! - i zrobiła wypad. Słońce zręcznie odparowało atak i wykrzyknęło:

- Sam się obróć. Tak, kręć się wokół mnie!

- Nigdy! Chcesz zakwestionować ustanowiony przez Boga porządek i zarzucić kłamstwo Pismu Świętemu?

- Chcę, żebyś krążyła wokół mnie, mała Ziemi! - szydziło Słońce pod swą maską.

- Słońce wschodzi i zachodzi nad Ziemią, tak samo ty zaraz zajdziesz!

- Ziemia zrobiła zwód, by dosięgnąć Słońca, ale ono się uchyliło i zaatakowało. Miecz trafił w ramię przeciwnika. Ziemia jęknęła, z rany popłynęła krew.

Thum gapiów, którzy sądzili, że to wszystko to tylko błazenada, wrzasnął zachwycony i śmiał się z niepowodzenia Ziemi.

Ja jednak przestałam się śmiać. Zobaczyłam, że utarczka słowna przerodziła się w prawdziwą walkę, i poznałam, że ranę Ziemi trzeba

potraktować poważnie. Podczas gdy gapie ciągle się śmiali, a potem powoli pociągnęli dalej, podbiegłam do Ziemi, która kucnęła, dysząc i trzymając się za ramię. Miała na sobie płaską jak talerz maskę i zielono-brązową szatę, z której wypływała ciurkiem krew. Jedno spojrzenie wystarczyło mi, by się zorientować, że potrzebna jest pilnie pomoc. Rozejrzałam się.

- Ten człowiek jest ranny! - krzyknęłam najgłośniejszym głosem, jak mogłam. - Potrzebuję pomocy!

Paru pijanych mężczyzn zbliżyło się do mnie. To byli ci sami, którzy wcześniej rzucali kamieniami. Maski zsunęły im się z twarzy i zwisały na piersiach, wrzeszczeli słynną pieśń karnawałową, którą śpiewa się żarliwie w całej Italii:

Quant'e bella giovinezza Che si fugge tuttavia: Chi vuol esser lieto, sia, di doman non c'e certezza!

Ja jednak miałam co innego na głowie, niż wysłuchiwanie pieśni o młodości, nawet jeśli pochodziła spod pióra słynnego Lorenza di Medici, „il Magnifico”. Krzyknęłam do chłopaków:

- Hej tam, chodźcie ta, potrzebuję paru krzepkich rąk.

Jeden z nich, nieokrzesany typ z dziobatą twarzą, odpowiedział z obleśnym uśmiechem:

- Ja mam silne ręce, *bella*, gdzie chcesz je poczuć?

- Tego człowieka trzeba stąd zabrać, proszę, pomóżcie.

- Pomóż sobie sam, to i Bóg ci pomoże.

Wyrostki, zataczając się, przeszły obok, a ja zrobiłam ostatnią próbę:

- Założę się, że nie zdołacie ponieść tego człowieka nawet sta kroków, bo tacy jesteście pijani.

~ Ho ho, gołąbeczka staje się zadziorna - odezwał się ten nieokrzesany. - Słyszeliście?

- Słyszeliśmy, Luca, słyszeliśmy. - Pozostali zaśmiali się głupkowato.

- A co dostaniemy, jak to zrobimy? - spytał Luca, który o dziwo nie wydawał się już tak pijany.

- Każdy po całusie.

- Brzmi nieźle, ho ho, ale bez maski, jeśli wolno prosić.

- Hmm, no dobrze, niech będzie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- No dobrze, to złapcie się, chłopcy. - Poleciał swoim dwóm kompanom, by ze splecionych rąk zrobili rodzaj krzeselka i kazał Ziemi usiąść na nim. - Dokąd, *bella*?

To pytanie zadawałam sobie przez cały czas i zdecydowałam, żeby zanieść Ziemię do mnie do domu. To było jedyne rozwiązanie, gdyż wszystkie szpitale w mieście przepelnione były chorymi.

- Strada San Felice - powiedziała i nakazałam Ziemi, by z całych sił uciskała ręką ranę.

- Strada San Felice? To daleko - sarknął jeden z tragarzy.

- Nie dasz rady? - spytałam go. - Jeśli tak, to lepiej powiedz od razu, zastąpię cię.

Oczywiście poszedł dalej, a ja uśmiechnęłam się pod maską. Dotarliśmy do mojego domu, gdzie Ziemia została położona na przygotowanym naprędce posłaniu ze słomy.

- A teraz chcemy całusa - powiedział Luca - albo sami go sobie weźmiemy.

- Tak - zachichotał zdyszany jeden z tragarzy - całus i jeszcze coś więcej.

- Zaraz go dostaniecie - powiedziała i stanęłam przed nimi. - Natychmiast. - Zerwałam z twarzy maskę i patrzyłam na nich, nie spuszczając z nich wzroku.

Rozdziawili usta i wyglądali przy tym jak beczące owce. Mało brakowało, żebym się roześmiała na ich widok, ale sytuacja była zbyt poważna.

- Znamię grzechu - wydusił z siebie jeden - znamię diabelskie, *Yoglia di diavolo*. - Cofnął się otrzeźwiony.

- Ciągłe jeszcze chcecie całusa? - wycedziłam.

Oddalili się szybko, a ja założyłam z powrotem maskę i podeszłam do posłania, na którym jęczała Ziemia.

- Kim jesteście? - zapytałam.

- A kim wy jesteście? - usłyszałam pytanie wypowiedziane władcym tonem.

- W moim domu ja zadaję pytania, a zatem: Kim jesteście? Ziemia zdrową ręką zdjęła maskę, a ja ujrzałam gąbczastą twarz czterdziestoletniego mniej więcej mężczyzny.

- Jestem Helvetico, wyświęcony ksiądz *Ordo fratrum Praedicatorum*, zakonu kaznodziejskiego albo dominikanów, jeśli to wam łatwiej zrozumieć, prawa ręka i protokolista jego świątobliwości inkwizytora Baldassarego Savellego.

Już same duma i arogancja w jego głosie wystarczyłyby, aby mnie speszyć, ale hasło inkwizytor sprawiło, że stężałam. Przypomniały mi się słowa matki, która na łożu śmierci tak gorąco przestrzegała mnie przed prześladowcą czarownic Girolamem Menghim.

- Teraz, gdy już wiecie, kim ja jestem, i wy się ujawnijcie. Kim jesteście?

- Jestem Wenus, bogini piękności, i pomagam wam. To musi wam wystarczyć.

- Wydajecie się mieć wiedzę medyczną. Czy należycie do jakiegoś zakonu, czy też jesteście uzdrowicielką?

- Jestem Wenus, jak widać po mojej masce. - Mój głos tylko pozornie brzmiał mocno, gdyż toczyłam wewnętrzną walkę, czy w ogóle powinnam pomagać inkwizytorowi. Tysiące myśli naraz tłoczyło się w mojej głowie, włącznie z pomysłem opuszczenia domu i ucieczki z Bolonii, ale zobaczyłam, że spod ręki Helvetica ciągle wypływa krew, i to przywołało mnie do rzeczywistości.

Równie rzeczywiste było stękanie dobiegające od drzwi, które usłyszałam w tej samej chwili. Latif wszedł wyczerpany, zdumiał się na widok obcego, i pierwsze, co zrobił, to opadł na krzesło przy stole.

- Możesz od razu wstać, Latif - powiedziałam - i przynieść mi nożyczki, płótno i miskę z gorącą wodą.

- Nie dam rady, pani - odrzekł głuchym głosem. - Jestem nieżywy.

- Jesteś bardzo żywy i natychmiast zrobisz to, co ci każę!

- Tak jest, pani! - Latif zerwał się wystraszony i, potrząsając głową, powlókł się do kuchni. Jeszcze nigdy nie słyszał mnie tak surowej.

Gdy dostałam to, o co prosiłam, rozcięłam kostium Helvetica i zbadałam jego ranę. Tętnica ramienna zdawała się uszkodzona, nie był to dobry znak. Mogłam spróbować ją zeszyć, ale rezultat był niepewny. Pewniejsze było wypalenie rany. Tylko czym?

Ale może jednak lepiej zeszyć? Ostatecznie byłam krawcową i znałam się na moim fachu. Poza tym niedawno francuski chirurg, Ambroise Pare, wynalazł metodę podwiązywania naczyń krwionośnych, która sprawdziła się przy amputacjach.

Co powinnam zrobić? Jeśli chciałam być dobrą lekarką, nie mogłam się wahać, musiałam działać szybko. Zresztą utrata krwi u Helvetica była bardzo duża.

- Latifie - powiedziałam, podjąwszy decyzję - idź do kuchni i wetknij pogrzebacz do żaru. Rozżarz uchwyty, naciskając mocno miech.

- Nie wiem, czy podołam, pani.

- Podołasz.

- Co zamierzacie? - zapytał Helvetico słabym głosem.

- Zapewne już się domyślacie, wasza wielbność. Wypalę wam ranę.

- Proszę, nie!

- Czyżbyście się bali? Muszę użyć żegadła, nie ma innej rady. Chyba że wolicie się wykrwawić na śmierć.

Helvetico milczał, a życie uchodziło z niego z każdą kroplą krwi.

Modliłam się bezgłośnie, by Latif się pospieszył; nie mogłam czekać za długo. Wreszcie się zjawił z rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Wzięłam deskę kuchenną i dałam ją Hel-veticowi.

- Możecie ją gryźć, gdy ból stanie się nie do wytrzymania.

- Jesteście okrutni.

- Czynię to, co konieczne.

Kazałam Latifowi zapalić latarnię i przytrzymać z całej siły ramię księdza. Następnie zdecydowanym ruchem przycisnęłam rozżarzony uchwyty do rany. Helvetico wydał zdławiony krzyk, zasyczało i za-

dymiło, w powietrzu rozszedł się zapach spalonego mięsa, ale wyglądało na to, że wypalona rana przestała krwawić.

Helvetico jęczał i mówił coś, ale nie rozumiałam słów, ponieważ wciąż miał między zębami deskę.

- Już po wszystkim - powiedziałam najspokojniej, jak mogłam. - Krwawienie ustało. Wyjmijcie deskę z ust, abym mogła wam wlać nieco *laudanum*. To przywróci *eucrasję* waszych soków humoralnych, uśmierzy ból i pozwoli wam zasnąć.

Helvetico nie odpowiedział, ale posłuchał.

Dałam mu łyżkę tynktury z opium i posmarowałam wypalone miejsce maścią na rany. Następnie starannie przewiązałam ramię. Zdałam sobie sprawę, że nie pomagam mu chętnie, i zbeształam się za to. Ale nie potrafiłam inaczej.

Wkrótce potem rzuciłam się na łóżko w swoim pokoju. Napięcie ze mnie opadło. Dałam upust emocjom i rozplakałam się jak dziecko, jednak możliwie cicho, z nadzieją, że Latif tego nie usłyszy. Nie miałam jednak pewności, gdyż w którymś momencie zdało mi się, że dosłyszałam wzdychanie dochodzące zza moich drzwi.

Wzdychanie, które bardzo pasowało do Latifa.

Ponieważ mój pacjent wymagał opieki, w poniedziałek i wtorek musiałam zrezygnować z udziału w karnawale. Pociągnęło to również za sobą kilka nieprzyjemnych rozmów. Helvetico pytał mnie bezustannie, kim jestem, a ja za każdym razem mówiłam w odpowiedzi:

- Jestem Wenus, widzicie to po masce, którą noszę. Zdawałam sobie sprawę, że wcześniej czy później z łatwością

będzie się mógł dowiedzieć mojego prawdziwego nazwiska, ale chciałam stawić czoła jego władczej postawie.

Poza tym bałam się bardzo, że mógłby zobaczyć moje ogniste znamię.

Któregoś razu, gdy zmieniałam mu opatrunek, zapytałam, dlaczego wdał się w zwadę ze Słońcem, a on odpowiedział:

- Ziemia jest płaska jak tarcza, a ten głupiec temu zaprzeczał. Dlatego musiałem go ukarać.

- Czyżbyście nie mieli innych argumentów niż miecz?

- Moje argumenty stoją w Piśmie Świętym. Jest napisane: ...*Pośle On swych aniołów z trąbą o głosie potężnym, i zgromadzą Jego wybranych z czterech stron świata, od krańca do krańca nieba**.

- Dla mnie brzmi to raczej jak opis kierunków świata, a nie tarczy.

- Nie uzurpujcie sobie prawa do interpretowania Biblii! A może studiowaliście teologię?

- Nie, nie studiowałam. I wcale nie jestem pewna, czy by mi na to pozwolono jako kobiecie - odparłam, wiążąc końce bandaża.

- Moje pytanie było retoryczne. Ziemia to tarcza, a Słońce ją okrąża.

- Arystoteles był w tej kwestii odmiennego zdania.

- A cóż wy możecie wiedzieć o Arystotelesie! Jego teza brzmiała, że Ziemia jest centrum wszechświata, przy czym w sposób oczywisty wynika z tego, że wszystkie inne ciała niebieskie krążą wokół niej.

- Z pewnością macie rację, wasza wielbność. - Zauważyłam, że znów zirytowałam się na mojego pacjenta. Dlatego też mówiłam dalej, chociaż może rozumniej byłoby milczeć. - Ale w traktacie *O niebie* Arystoteles mówi też, że Ziemia jako centrum jest okrągła.

- A skąd to możecie wiedzieć?

- Przeczytałam.

- Potraficie czytać po grecku?

- Znam tłumaczenie łacińskie.

- Kim wy jesteście?

- Już odpowiedziałam na to pytanie. I powiadam wam, że Arystoteles podał dwa przekonujące argumenty na kulistość Ziemi: po pierwsze fakt, że cień Ziemi podczas zaćmienia Księżyca zawsze wydaje się okrągły, a po drugie, u statku wylaniającego się zza horyzontu zawsze najpierw widać żagle, co jest spowodowane krzywizną Ziemi.

- To wymysły. Nie chcę dłużej o tym dyskutować, inaczej nie będę mógł czuć do was wdzięczności. Jesteście dziwną kobietą, a ja jeszcze odkryję waszą tożsamość, podobnie jak każę ustalić nazwisko Słońca, które chce doprowadzić *ad absurdum* treść Pisma Świętego. Przekażę Słońce inkwizycji, jakem Helvetico.

* Mt 24, 31.

- Jak chcecie, wasza wielbność - wydusiłam z siebie i szybko wyszłam z pokoju. Strach prawie mnie sparaliżował, ponieważ przypomniałam sobie Fabia *allacrimanto* i tortury z kożą.

Innym razem, gdy Helvetico odkrył, że Latif jest muzułmaninem, rzucił pogardliwą uwagę o stworzonej przez Mahometa religii, a mój sługa zawołał wzburzony:

- Utrudniacie nam bardzo, mojej pani i mnie, obowiązek gościnności. Muszę wam przypomnieć, że jesteście wprowadzicie ważnym człowiekiem, ale wobec wielkości Mahometa niczym więcej niż pyłkiem na wietrze.

- Jak śmiesz, sługo! Mahomet też był tylko człowiekiem.

- Ale był prorokiem i obdarzył nas światłością, panie! Nauczał nas, byśmy sławili Allaha, jedyne władcę niebios i ziemi.

Słuchając tych słów, Helvetico nie posiadał się z gniewu. Teraz odwrócił się do mnie:

- Powiedzcie waszemu bezczelnemu słudze, że jest poniżej mojej godności spierać się z nim o coś, o czym nie ma pojęcia. Jedyna uświęcająca religia to wiara katolicka.

- Naturalnie - odrzekłam, by go uspokoić. Nie mogłam się jednak powstrzymać od tego, by dodać z niewinną miną: - Uważam, że nie można zarzucać Mahometowi, że był tylko człowiekiem, ostatecznie Jezus też jest opisywany w Biblii jako syn człowieczy.

- Jezus z Nazareta jest synem Bożym i tym samym istotą boską, wszystko inne to szarlataneria, którą rozpowszechniał także ten Marcin Luter. To podły heretyk, nic więcej, człowiek zaślepiony, który powinien był skończyć na stosie, albowiem przypisywał on naszemu Zbawicielowi następujące atrybuty: *humanitas, infirmitas, stultitia, ignominia, inopia, mors, humilitas*, czyli człowieczeństwo, słabość, naiwność, wstyd, niedoskonałość, śmiertelność, małość. - Helvetico popatrzył wyzywająco na Latifa. - Ale może być, że w Koranie te wszystkie cechy jawią się jako warte starań.

Niewiele brakowało, a Latif rzuciłby się z pięściami na księdza, ledwo zdołałam go powstrzymać.

- Już dobrze, Latif - powiedziałam. - A wy, wasza wielbność, powinniście się teraz trochę przespać, abyście prędzej wydobrzelili.

Myślałam, że doprowadziłam do zawieszenia broni między nimi, ale myliłam się, gdyż jeszcze tego samego dnia moje talenty rozjemcze zostały ponownie wystawione na ciężką próbę, gdy Latif, który zazwyczaj odprawiał modły w ogrodzie za domem, tym razem odstąpił od swoich zwyczajów i rozłożył dywanik tuż pod drzwiami Helvetica. I tak się stało, że mój pacjent, rozsierzony, musiał wysłuchiwać hymnów pochwalnych na cześć Allaha: *Allah akbar... ashadu annaha lahilaha illa'llah...*

Gdy to się działo, ja znajdowałam się na piętrze i zeszłam dopiero, gdy Latif był już w środku modlitwy. Jedno spojrzenie wystarczyło, by ogarnąć sytuację, ale nie mogłam i nie chciałam przeszkadzać mojemu słudze w jego rozmowie z Allahem. To nie byłoby właściwe, czułam to.

Minęła długa chwila, nim wreszcie skończył i z niewinną miną zabrał się do zwijania swego dywanika. Helvetico zaczerpnął głęboko powietrza, ale zanim zdołał wylać swą złość, co bez wątpienia jeszcze bardziej zaogniłoby sytuację, wypchnęłam Latifa z pomieszczenia.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego! - ofuknęłam go.

- To człowiek o brzydkiej duszy, pani. Obraził Koran.

- Bez wątpienia. Ale czy właściwe jest odpłacać pięknym za nadobne? W waszej świętej księdze z pewnością znajduje się miejsce, które tego zabrania. Idź teraz do kuchni i rób, co do ciebie należy. Jestem na ciebie bardzo zła.

Do Latifa dotarło znaczenie tego, co zrobił, i spuścił oczy.

- Nie chciałem was rozgniewać, pani, ale my, muzułmanie, mamy prawo bronić naszej religii.

- Nie chcę tego kwestionować, ale posunąłeś się zdecydowanie za daleko. A teraz zrób coś pożytecznego w kuchni.

- Dobrze, pani.

Poszłam do Helvetica i powiedziałam mu:

- Chciałabym, aby w moim domu panował pokój. Właśnie skarciłam Latifa. Mam nadzieję, że sprawa jest zakończona.

- Żądam, by służący otrzymał dotkliwą karę.

- Oczywiście, wasza wielebność. - Sprawdziłam opatrunek Helvetica i aby zmienić temat, rzekłam: - *Deo gratias*, mieliście dużo szczęścia. Rana była głęboka, ale niewielka. Dlatego mogłam ją

dobrze wypalić. Proces gojenia jest zadowalający, ani śladu *inflammatio*, nie widzę nawet, by sączył się z rany płyn surowiczy.

Zamruczał coś, ciągle jeszcze nieudobruchany.

Ujęłam jego ramię, zgięłam je i wyprostowałam, chociaż Helvetico jęknął przy tym z bólu.

- Myślę, że jutro, w środę popielcową, będziecie już na tyle podleczeni, że będziecie mogli z powrotem objąć służbę u jego eminencji
- rzekłam.

- To już coś.

- Uważam, że to bardzo dużo.

- No cóż, skoro tak mówicie.

Jakoż późnym popołudniem następnego dnia jego wielbność Helvetico podniósł się z łoża i przy mojej pomocy przywdział swój kostium karnawałowy. Zrobił to z niejakim trudem i z zaciśniętymi zębami, a gdy już go włożył, zapytał:

- Co się stało z tym kostiumem? Ledwie go poznaję.

- Połatałam go i przenicowałam. Inaczej musielibyście znów paradować po ulicach jako Matka Ziemia.

- Bardzo roztropnie - powiedział kwaśno. Nie przyszło mu do głowy, żeby mi podziękować. Zamiast tego zdawał się szukać słów, może też rozglądał się za Latifem. Wiedząc jednak o ich wzajemnej wrogości, wysłałam mego sługę, by pozałatwiał sprawunki.

- No cóż - odezwał się wreszcie Helvetico - zapewne dziwiliście się, że podczas pobytu w waszym domu nie wymieniałem żadnych wiadomości z jego eminencją.

Rzeczywiście tak było, ale nic nie powiedziałam.

- Jest tak, hmm... że jego eminencja nie musi koniecznie wiedzieć o tym, co mi się przydarzyło. Jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- Nadażam za wami.

- To dobrze. - Chrząknął. - Pójdę teraz i odwiedzę mego kuzyna, który mieszka w Bolonii. Będę więc mógł zgodnie z prawdą powiedzieć, że byłem u niego, gdyby ktoś pytał, gdzie się podziewałem. Czy to także zrozumieliście?

- Tak sędę - powiedziałam i powstrzymałam się od uwagi, że taka półprawda niczym się nie różni od kłamstwa, i że *mendacium*, kłamstwo, przez niektórych uważane jest za ósmy grzech śmiertelny. Ale wiedziałam, że to bezcelowe.

- Ufam w waszą dyskrecję. Kościołowi nie służyłoby, gdyby ten incydent przedostał się do publicznej wiadomości. Podobnie jak wam zaszkodziłoby, gdybyście chcieli rozmawiać z kimś o moim pobycie u was. - Tak, wasza wielebność - powiedziałam i zawstydziłam się swego tchórzostwa. Dlaczego nie miałam tyle odwagi, by rzucić mu w twarz, jak niskie i godne pogardy jest jego zachowanie!

- To dotyczy też waszego służącego, tego pomyłonego poganina. Milczałam, zaciskając ręce w pięści. Nie spotkałam jeszcze kogoś takiego jak ten ksiądz, może z wyjątkiem ojca Edoarda.

- Jeśli to wszystko, wasza wielebność, to idźcie z Bogiem.

- Nie, to jeszcze nie wszystko. - Mierzył mnie zimnym wzrokiem. - Ciągle jeszcze jesteście mi winni odpowiedź, kim jesteście.

- Nie jestem wam nic winna.

- Tak samo zatajacie przede mną, skąd pochodzi wasza wiedza medyczna. - Uniósł rękę w obronnym geście. - Wiem, wiem, opowiadaliście, że pracujecie jako pomoc w szpitalu, ale to wyjaśnienie mi nie wystarcza, zwłaszcza że posiadacie torbę lekarską z instrumentami medycznymi. Mam podejrzenie, że potajemnie pracujecie jako medyczka. Brak mi na to dowodów, ale gdybym chciał, mógłbym je łatwo zdobyć. Nie zapominajcie o tym.

- Cóż to za haniebne zachowanie! - Nie mogłam się już powstrzymać, musiałam dać upust swemu oburzeniu. - Tak, pracowałam jako medyczka! Tak, nawet pracowałam potajemnie jako medyczka! A wiecie, przy jakiej to było okazji? Gdy niejaki Helvetico, wedle tego, co sam mówił, wyświęcony ksiądz, dominikanin, prawa ręka protokolisty inkwizytora, jego świątobliwości Baldassarego Savellego, raniony mieczem leżał na ziemi i groziło mu wykrwawienie na śmierć. Co byście zrobili na moim miejscu, wasza wielebność? Czy poszlibyście dalej? Czy nie zachowalibyście się jak miłosierny Samarytanin? Ja w każdym razie nie poszłam dalej, gdyż myślę i działam prosto i po ludzku, i zgadzam się z Dantem Alighieri, który powiedział:

Kto widzi nieszczęście i czeka, aż go poproszą o pomoc, ten jest równie zły, jak gdyby jej odmówił.

- Przyznaję, że mi pomogliście.

- Uratowałam wam życie! Gdyby mnie tam nie było, nie stalibyście tu teraz. A jedyne, co wam przychodzi do głowy, to przyznać, że wam pomogłam?

- No dobrze, jeśli koniecznie chcecie to usłyszeć: uczyniliście miły Bogu uczynek, lecząc mnie, Jego sługę na ziemi. Ale jednocześnie zgrzeszyliście przeciwko Niemu, gdyż wykonaliście usługę, która zastrzeżona jest dla chirurgów albo medyków. Módlcie się do Niego, aby rozważył wasze zasługi i przewiny i nie pokarał was zbyt surowo.

- Słucham? Naprawdę tak myślicie? - Nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam.

- Módlcie się - rzekł tylko Helvetico. A potem przeżegnał się spieszenie i wyszedł.

Po tym incydencie potrzebowałam wielu dni, aby odzyskać wewnętrzny spokój. W tym czasie dużo myślałam o moim przyjacielu, który był mi jak ojciec - o dzielnym, bezinteresownym Mauriziu. W porównaniu z tym, co przeżyłam z Helvetikiem, ciężki okres w zadżumionej Wenecji wydał mi się harmonijny i piękny. Na szczęście był jeszcze Latif. Nie odstępował mnie prawie na krok i cały czas starał się mnie rozbawić na swój pogodny, ufny sposób.

Mimo to wkrótce potem wydarzyło się coś, co od nowa zburzyło mój spokój. Wpadła mi w ręce pewna księga, dzieło bezlitosnego łowcy czarownic, Girolama Menghiego, która została wydana przez księgarza i drukarza Giovanniego Rossiego. Napisana była po włosku i nosiła tytuł: *Compendio deWarte essorcistica, et possibUita delie mirabili, etstupende operationali delii demoni, e dei malefici. Con U remedij opportuni alle infirmata malefici.*

Lektura tego kompendium na temat sztuki egzorcyzmów ponownie wprowadziła mnie w przerażenie. I jakbym nie była wystarczająco przygnębiona, Latif zwierzył mi się kilka dni później ze swojego podejrzenia, że nasz dom jest pod obserwacją. Zrazu nie chciałam w to uwierzyć, ale to była prawda - dwóch nieznanym mężczyzn

snuło się wokół domu mniej lub bardziej jawnie; niekiedy znikali na parę godzin, aby znów się pojawić.

Od początku było dla mnie jasne, że ich obecność zawdzięczam niegodziwemu Helveticowi. Całe dni i noce upływały mi w ogromnym lęku, bałam się podejść do okna, oczyma duszy widziałam się w więzieniu, przesłuchiwana i prowadzona na stos, i gdyby nie Latif, to chyba postradałabym zmysły.

- Pani - rzekł - z tego wszystkiego, co opowiedzieliście mi o człowieku z brzydką duszą, wynika, że jest on bardzo zainteresowany tym, by utrzymać w sekrecie swą ranę i pobyt w naszym domu. Nie może was więc zadenuncjować, w każdym razie nie oficjalnie. Najwyżej za pośrednictwem osób trzecich kazał rozsiewać jakieś oszczerstwa. Akurat tyle, by władze musiały zareagować. Nie więcej.

- Ale tymczasem na pewno się dowiedział, jak się nazywam i kim jestem - rzekłam zrozpaczona.

- No to co? A niech sobie wie! Co mu z tego przyjdzie, dopóki żyjemy tu sobie spokojnie i nie wadzimy nikomu? Nic. Nie może wam niczego udowodnić, co najwyżej, że był przez was leczony, ale, jak już mówiłem, będzie się strzegł, by tego nie rozgłaszać. Nie, nie, pani, ten człowiek z brzydką duszą nie ma nic przeciwko wam. Jest tylko małostkowy i mściwy.

- Obyś miał rację - powiedziałam z westchnieniem.

- Mam rację, pani. Zaufajcie mi.

Obserwacja domu przez dwóch nieznajomych przeciągała się. Był to czas, w którym nie ułatwiałam Latifowi życia. Raz byłam pełna lęku przed tym, co przyniesie przyszłość, płakałam i wyrzekałam na swój los, to znowu byłam milcząca jak głaz i apatyczna. A przez cały czas nieznośna.

Latif był jednak wytrwały. Niestrudzenie dodawał mi otuchy, objawiając przy tym ogromną pomysłowość.

- Wiecie, pani - powiedział któregoś ranka - że upłynął już blisko miesiąc, od kiedy tych dwóch szpicli po raz pierwszy rzuciło mi się w oczy?

Nie odpowiadałam i wpatrywałam się w sufit. Latif jednak nie dawał za wygraną. Następnego ranka podjął kolejną próbę:

- I znowu minął dzień, a wam nie spadł włos z głowy. Nazajutrz powiedział:

- I znowu nic, pani. Obejrzałem sobie tych dwóch osobników tak, żeby niczego nie zauważyli. Mają miny, jakby się zastanawiali, co to wszystko ma znaczyć. Nic wam z ich strony nie grozi. Ten cały cyrk niedługo się skończy, wiercie mi.

Trwało to kilka dni, wreszcie mu powiedziałam:

- Bardzo to szczytne, Latifie, że chcesz mi dodać otuchy, ale nic tu nie pomożesz. Dopóki noszę to znamię, dopóty znajduję się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Pani - odpowiedział Latif - przed tygodniem skończyliście dwadzieścia cztery lata, to radosny dzień, ale niestety nie było wam do świętowania. Jednak Allah Sprawiedliwy, Najwyższy, zadba o to, byście przeżyli następne dwadzieścia cztery lata.

- Gdybym tylko mogła w to uwierzyć.

- Z ręką na sercu: czy ja się kiedykolwiek omyliłem? Wzruszyłam ramionami.

- Sami widzicie. Muszę teraz wyjść, załatwić kilka spraw. Najpóźniej koło południa będę z powrotem.

- Ostatnio nigdy cię nie ma w domu.

- Tak, pani, niekiedy chodzę do miasta. Ale nie zapominajcie: pobożne siostry z San Lorenzo oczekują regularnie na wiadomości, jak się czujecie, aby się za was modlić, a poza tym trzeba kupić to i owo, żebyśmy mieli czym napęłnić żołądki.

- Naturalnie, masz rację.

Kilka dni później Latif podszedł do mnie wczesnym rankiem w kuchni, szczerząc zęby w uśmiechu, i poprosił, bym go wzięła pod rękę.

- A po co, Latifie?

- Nie pytajcie, pani, chodźcie ze mną. - Podprowadził mnie do okna i kazał wyrzeć na dwór.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Popatrzyłam na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Nic nie widzicie, pani, prawda? - W jego głosie brzmiał triumf. - A to dlatego, że nasi dwaj prześladowcy zniknęli.

Zakryłam usta rękami.

- *Per Dio!* Wygląda na to, że masz rację.

- Nieprawdaż? A najpiękniejsze, pani, jest to, że już nigdy nie wrócą.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Gdyż osobiście o to zadbałem.

- Mówisz zagadkami.

Zamiast odpowiedzi Latif nalał mi szklaneczkę wina.

- Gdybym nie był muzułmaninem, pani, trąciłbym się teraz z wami, ale niestety musicie wypić sami.

Wzięłam szklanekę, ale po chwili ją odstawiłam.

- Powiedz mi najpierw, co się dzieje. Ukrywasz coś przede mną, znam cię przecież.

- Najpierw musicie wypić za mnie.

- No dobrze. *Salute*, twoje zdrowie, Latif. A teraz gadaj.

- Słuchajcie zatem, pani: udało mi się znaleźć zleceniodawców naszych natrętnych obserwatorów. Nie było to wcale proste i wymagało sporo wypytywania i bieganiny. Biegałem, jak byście powiedzieli wy, chrześcijanie, od Annasza do Kajfasza, aż w końcu znalazłem ich w Palazzo del Podesta. To paru podejrzanych urzędników, którzy z pewnością otrzymali ładną sumkę za to, żeby kazać nas szpiegować. Porozmawiałem z nimi, a oni byli na tyle głupi, żeby mi zdradzić, że ciąży na was podejrzenie wykonywania heretyckiej pracy jako medyczka. No cóż, ode mnie panowie dostali troszkę więcej do swoich lepkich łap, żeby raz na zawsze zapomnieli o tym podejrzeniu. Koniec końców była to całkiem prosta sprawa.

- Czy to znaczy, że ich przekupiłeś? - Sięgnęłam po wino, gdyż teraz naprawdę czułam potrzebę, by się napić.

- Oczywiście, pani. - Latif promieniał.

- A skąd wzięłeś pieniądze? To wszak z pewnością nie było tanie, spowodować u urzędników taką zmianę nastawienia?

- Macie całkowitą rację, pani. Ale na szczęście było jeszcze trochę pieniędzy od doży. Użyłem ich w tym celu.

- Wzięłaś moje pieniądze?
- Nasze pieniądze, pani.
- Mówiłam ci już wielokrotnie, że te pieniądze należą do mnie. Nie możesz tak po prostu nimi dysponować!
- Tak, pani. - Latif udawał skruszonego. - Wybaczcie mi. Z pewnością wolelibyście być nadal pod obserwacją.
- Wiesz doskonale, że nie. - Musiałam się roześmiać. - Ty spryciarzu!
- No widzicie, pani, rozśmieszyłem was. Dobry służący umie rozśmieszyć swoich państwa.

PLATEK UCHA

Il lobulo

Byłam jak odmieniona, gdy się okazało, że szpicle rzeczywiście nie pokazali się więcej. Przestałam się lękać o swoje życie i mogłam z zapałem kontynuować pracę u sióstr. Matka Florienca, dobrotliwa przełożona, ujęła moje dłonie i powiedziała:

- Wszystkie się za ciebie modliłyśmy, Carlo. Dziękuję Najwyższemu, że zechciał cię uwolnić od złej gorączki piersiowej.

Omam nie spytałam, co za gorączkę ma na myśli, ale na szczęście w porę przypomniałam sobie, od kogo mogła mieć te informacje. Zatem tylko opuściłam z pokorą głowę.

- Wyglądasz blado. Poproś siostrę Martę o niezbyt ciężką pracę.

- Dobrze, czcigodna matko.

Nadszedł maj, a z nim okres zabaw i uroczystości. Gdy tylko pozwalała na to praca, wychodziłam na ulicę pod osłoną beretu z woalką i cieszyłam się barwnym życiem wesołych bolończyków. Jak każdego roku, na Piazza Maggiore odbywały się targi jedwabiu, a w Archiginnasio nadzwyczaj ważna procedura wytwarzania teriaku. Nie liczyłam na to, że jako kobieta będę miała wstęp do budynku, ale szczęście mi sprzyjało. Spotkałam Cristofora Colbertiego, właściciela apteki Del Monte, i w jego towarzystwie pozwolono mi wejść na obszerny dziedziniec wyłożony karmazynowym adamaszkiem.

Jak zawsze krzątano się tu w pośpiechu, wszystko było już przygotowane do warzenia remedium na wszelkie dolegliwości.

- Długośmy się nie widzieli, *signorina* - rzekł Colberti przyjaźnie, gdy stanęliśmy przy jego stoisku. - Czy nie potrzebujecie znów żmij? W tym roku towar jest przedni.

- Nie, dziękuję bardzo, jestem tu zupełnie przypadkowo. Colberti zdawał się nie zauważać mojej powściągliwości i z westchnieniem kontynuował:

- Wysoka jakość żeńskich osobników żmij jest niestety jedynym powodem do radości w tym roku. Kłopoty z profesorem Aldrovandim i jego dwoma całkowicie nieprzydatnymi ziołami *amomum* i *costus* ciągną się w nieskończoność. Jak jeden człowiek może spowodować tyle zamętu! Pomyślcie tylko, doszło do naszych uszu, że uzyskał od niejakiego doktora Sangia opinię na temat niezbędności jego leków, a ten doktor Sangio to rzekomo największa znakomitość w dziedzinie sporządzania teriaków. - Colberti potrząsnął głową i przejechał ręką po włosach. - Ale nie wierzę w to, bo nigdy wcześniej nie słyszałem o tym człowieku. A wiecie, co jest tu najdziwniejsze?

- Nie - odrzekłam.

- Ta osobliwa opinia została ponoć przywieziona z Wenecji. Gdyby to nie było takie smutne, to można by się z tego śmiać, w Wenecji bowiem, jak wiadomo, od dawna panuje dżuma. Kto, ja się pytam, byłby tak szalony, żeby pojechać tam dobrowolnie po ten papier?

- Nie wiem - odpowiedziałam i byłam szczęśliwa, że woal zakrywa moją twarz.

- Nikt, powiadam. Dlatego jest wykluczone, by takie pismo w ogóle istniało. Mimo to nie cichną plotki, mówi się też, że wikariusz generalny, gonfalonier i senat o tym wiedzą. A jakby tego było mało, Aldrovandi zwrócił się podobno nawet do jego świątobliwości Grzegorza XIII. - Ponownie przesunął ręką po włosach, i raptem się roześmiał. - Ale co ja tu gadam, *signorina*, z pewnością zanudzam was takimi głupstwami. Powiedzcie lepiej, jak się miewa wasza skóra. Mam nadzieję, że dobrze.

- Tak, dziękuję, *signore*. - Byłam rada, że wreszcie zmienił temat, i z wdzięcznością podjęłam rozmowę. Opowiedziałam mu,

że w zasadzie nie stosuję już bieli ołowiowej, a w domu często noszę złotą maskę. Tego ostatniego zwyczaju nabrałam w karnawale i jest to bardzo przyjemne.

- Maską! Czemu nie? - wykrzyknął żywo Colberti, układając leżące przed nim żmije tak, by zachęcały do kupna. - Czy przygotowaliście odpowiednio jej wewnętrzną stronę?

- Co macie na myśli? - spytałam.

- No, jeśli byście natarli maskę od wewnątrz, powiedzmy, sproszkowanym talkiem, to jednocześnie moglibyście zrobić coś dla pielęgnacji skóry twarzy. Sproszkowany talk to podstawa najlepszego pudru, nie wiedzieliście?

- Nie, *signore*.

- Talk musi jednak pochodzić z masywu Świętego Gotarda w kraju konfederatów, bo tylko tamtejszy towar jest naprawdę dobry. Mógłbym wam sporządzić z tego puder, który jest miękki i odporny na wodę. W ten sposób mielibyście jeszcze większą korzyść z waszej maski.

- A ile by taki puder kosztował? Colberti machnął ręką.

- To zależy od ilości, ale w każdym wypadku tylko parę *baiocchi*, nie więcej. Odwiedźcie mnie jutro lub pojutrze w moim sklepie, wtedy będę miał dla was gotowy preparat.

- Dziękuję - powiedziałam i chciałam się pożegnać, obawiałam się bowiem, że Colberti znowu skieruje rozmowę na swój ulubiony temat, czyli zioła. Ponadto miałam wyrzuty sumienia, że moją podróżą do Wenecji z pewnością zaszkodziłam jemu i innym *farmacisti*.

- Już mnie chcecie opuścić! - wykrzyknął z udanym zaskoczeniem. - Interesy idą źle i myślałem, że wasza obecność przyniesie mi trochę szczęścia. Poza tym oczekuję łąda moment doktora Tagliacoz-ziego. Przypuszczam, że się ucieszy, widząc was.

Chciałam mu powiedzieć, że ja się nie ucieszę, i czmychnąć po szybkim *&rrivederci*, ale było już za późno.

- *Buongiorno* - usłyszałam za sobą głos Gasparego. - Jak widzę, *signore* Colberti, macie uroczego gościa przy stoisku.

- Tak właśnie, *dottore*, tak jest - zapewnił go aptekarz. - *Signorina* zamierzała właśnie odejść, ale gdy usłyszała, że macie przyjść do mojego stoiska, zmieniła zdanie, nieprawdaż?

Zanim to sprostowałam, Gaspare powiedział:

- *Signorina* Carla i ja nie widzieliśmy się od dłuższego czasu, gdyż wydarzyło się to i owo, tym bardziej jestem wdzięczny losowi, że we właściwym momencie doprowadził mnie we właściwe miejsce. - Skłonił się przede mną z galanterią, podczas gdy na ustach błąkał mu się cień uśmiechu, który tak dobrze znałam.

Mimo woli zadawałam sobie pytanie, czy to właśnie ten uśmiech tak mnie wabił do Archiginnasio, ale prędko odsunęłam tę myśl na bok. Z pewnością tak nie było. Gdy wróciłam z Wenecji, Gaspare potraktował mnie jak prostą dziewczkę, i nie potrafiłam tego zapomnieć.

On jednak ciągle się uśmiechał.

- Rad jestem was widzieć - mówił. - Upłynęło dużo czasu, odkąd asystowaliście mi w mojej pracy. Zbyt dużo.

Milczałam, walcząc ze sobą. Z jednej strony miałam ochotę natychmiast odejść, z drugiej jakieś niewidzialne więzy zdawały się mnie trzymać na miejscu. W końcu powiedziałam:

- Tak, czas mija.

- W istocie! Ach, skoro już o tym mówimy: czy mielibyście czas, by pomóc mi przy operacji w przyszłą niedzielę?

Chciałam odpowiedzieć, że nie, ale Gaspare już mówił dalej:

- Chodzi o bardzo interesujący przypadek, przypadek, jakiego jeszcze nigdy nie miałem. Wasza obecność byłaby bardzo przydatna.

- Nie wiem, czy moje obowiązki w szpitalu pozwolą mi na to.

- A o co chodzi? - zapytał Colberti.

- Na ten temat obowiązuje mnie milczenie.

- Ach tak, naturalnie. Czy mógłbym zaproponować wam coś z mojej oferty, *dottore!* Jak widzicie, zmije tego roku nadają się szczególnie dobrze do przeprowadzenia sekcji przed waszymi *studiosi*. Są świeże, płci żeńskiej, z całą pewnością niezapłodnione, i wszystkie bez wyjątku pochodzą z gór. - Tak, dziękuję - odrzekł Gaspare grzecznie - wezmę trzy. Muszą jednak mierzyć co najmniej dwa łokcie. - Wybrał okazy i ponownie zwrócił się do mnie: - Naprawdę potrzebuję waszej pomocy, *signorina*. Operacja jest ryzykowna, a pacjent to ważna persona. Czy mogę na was liczyć?

~ Obawiam się, że to niemożliwe - odpowiedziałam sztywno.

Oczywiście następnej niedzieli stawiałam się przed domem w kolorze terakoty i z bijącym sercem czekałam w sieni, zapewniając sama siebie, że przyszedłam jedynie z powodu tajemniczej operacji.

Jakże się oszukiwałam!

Chciałam znów zobaczyć Gasparego; jego czar nade mną ciągle jeszcze trwał.

A on go wzmacniał. Przywitał mnie przyjaźnie, gawędził o modzie, o pogodzie, o cenach i najnowszych ploteczkach i przez cały czas zachowywał się tak, jak gdyby między nami nigdy nie pojawił się żaden fałszywy ton.

- Operacja - powiedział poważnie - to nie był pretekst, by cię zobaczyć. Naprawdę cię potrzebuję.

- O co chodzi?

- Chodzi o ucho.

- Ucho? - spytałam zaskoczona.

- Kiedy patrzysz w ten sposób, wyglądasz szczególnie czarująco, zupełnie zapomniałem. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Tak, naprawdę chodzi o ucho, ale nie o zwyczajne ucho. Można rzec, że o wolebny organ słuchu.

Ponieważ wciąż patrzyłam na niego pytającym wzrokiem, kontynuował:

- Ścisłej mówiąc, chodzi o brakujący fragment ucha, który mam zrekonstruować u jego ekscelencji wikariusza generalnego, który jest jednocześnie kanclerzem i najwyższą instancją dla wszystkich profesorów, doktorów i studentów Archiginnasio. - A co się stało?

- Jego przewielebna ekscelencja został napadnięty. Było to w lasku dwie albo trzy mile od Porta Mascarella, gdy dwóch bezbożnych opryszków zatrzymało jego powóz i kilkoma strzałami zabiło eskortę. Wyciągnęli ekscelencję z powozu i zażądali biżuterii i pieniędzy. Najwyraźniej on nie spełnił dostatecznie szybko ich życzenia, gdyż jeden z tych łotrów złapał go za włosy i odciął mu płatek ucha. Obrabowanego puścili wolno. Cierpiąc straszliwy ból, dotarł do miasta, gdzie rana została natychmiast opatrzona.

- Ciężko uwierzyć w tę historię - rzekłam z powątpiewaniem. - Nigdy nie słyszałam o takim napadzie, a przecież cała Bolonia by o tym mówiła.

- Incydent został zatuszowany. Jego ekscelencja nie jest wolny od próżności, chciałby uchodzić za silnego, nietykalnego dostojnika Kościoła, a utrata części ucha do tego obrazu nie pasuje. Oficjalnie udał się kilka dni temu do Rzymu, aby objąć na pewien czas stanowisko drugiego papieskiego sekretarza, nieoficjalnie jednak znajduje się w moim gabinecie poniżej tarasu na dachu. Chętnie rozpocząłbym od razu pierwszy akt *ars reparatoria*, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Owszem, mam coś przeciwko temu - powiedziałam. - Chciałabym najpierw się dowiedzieć, co mam robić, ponieważ nigdy nie asystowałam przy takiej operacji. Poza tym zastanawiam się, dlaczego to w ogóle trzeba robić. Braku płatka ucha w ogóle się nie zauważy, jeśli jego ekscelencja będzie nosił długie włosy.

- Właśnie takie nosi. Ale, jak powiedziałem, jest nader próżny i nienawidzi defektów ciała. Ponadto obawia się szyderstw. A jeśli chodzi o twoje pytanie względem operacji, mogę cię zapewnić, że w zasadzie przebiega ona jak rekonstrukcja nosa, tyle że skóra nie jest pobierana z ramienia, ale z partii za uchem.

- Wyjaśnij mi poszczególne etapy.

- Domyślałem się, że będziesz się przy tym upierała - westchnął. - Chodź ze mną do pokoju kominkowego, tam ci wszystko wyjaśnię.

Zaprowadził mnie do pokoju, w którym tak często dawniej przesiadywaliśmy, zaproponował mi wino i naszkicował na kartce papieru poszczególne etapy operacji.

- Muszę ci wyznać - powiedział - że nigdy jeszcze nie przeprowadzałem takiego zabiegu, ale w teorii wszystko jest bardzo proste. Należy tylko uważać przy wycinaniu płata skóry za uchem, żeby nie naruszyć głównej tętnicy. Gdyby mi się to przydarzyło, musisz natychmiast powstrzymać krwawienie okładem z białka.

- Dobrze. Ale jest jeszcze coś, czego nie rozumiem. Kiedy będziesz wycinał skórę, musisz uwzględnić większą płaszczyznę, mniej więcej dwa razy większą, żeby można ją było zawinąć pod spód w formie płatka. Płatek ucha odstaje swobodnie, ma przednią i tylną stronę.

Gaspare był zaskoczony, popatrzył na mnie i uderzył się ręką w czoło.

- Że też o tym nie pomyślałem! Sama widzisz, jak ważna jest twoja pomoc. - Chciał mnie pocałować, ale odchyliłam głowę na bok. Trochę zawiedziony rzekł: - Jestem pewny, że w trakcie operacji sam bym na to wpadł, ale tak jest oczywiście lepiej. Im dokładniej zabieg jest zaplanowany, tym pewniejszy sukces. Ale teraz chodź, chciałbym to mieć za sobą. - Próbował mnie ująć pod ramię, ale ja dalej siedziałam.

- Czy jego ekscelencja wie, że będę ci asystować? - spytałam.

- Nie. - Gaspare już znowu się uśmiechał. - To zresztą nie jest potrzebne, bo zamierzam go uśpić.

- A jakim sposobem?

- *Za pomocą spongia somnifera.*

- Czy to ta gąbka nasączana środkiem do narkozy, o której tyle się ostatnio słyszy?

- Właśnie ta.

- Opowiedz mi o niej.

- Carla, Carla! - Gaspare popatrzył w sufit z udaną rozpaczą. - Zawsze chcesz wszystko wiedzieć jak najdokładniej, co? No więc słuchaj: gąbka, która powinna pochodzić z morza pomiędzy greckimi wyspami Cyklady, jest zanurzana w mieszaninie składającej się z opium, cykuty, soku morwy, mandragory oraz szaleju, i wykładana do suszenia w słonecznym miejscu. Po wyschnięciu nadaje się do użycia. Zanim się jej użyje, trzeba ją zwilżyć wodą, by wytworzyły się odurzające opary, które usypiają pacjenta.

- Dlaczego gąbkę najpierw się suszy, przecież można by jej użyć od razu po nasączeniu?

- To prawda, ale nie zawsze jest dosyć czasu, by przygotować miksturę, na przykład w nagłym wypadku. Dlatego lepiej spreparować gąbkę wcześniej.

- To brzmi przekonująco.

- Jeśli dama nie ma dalszych pytań - powiedział Gaspare z kpiącym uśmiechem - to czy możemy się teraz udać na górę do jego ekscelencji?

Poszliśmy na piętro i pod drzwiami do pokoju chorego Gaspare poprosił mnie, bym chwilę poczekała. Wezwie mnie dopiero, gdy pacjent zaśnie. Skinęłam głową, ale nie mogłam się powstrzymać

od zerkania przez szparę w drzwiach i obserwowania, co się dzieje w pokoju.

Wikariusz generalny, poważny mężczyzna z posiwiałymi włosami, siedział na łóżku, wyprostowany jak świeca, i mruzczał modlitwę. Gaspare odczekał grzecznie, aż tamten skończy, a potem coś do niego powiedział. Widziałam, jak jego eksceleńcja kiwnął głową i z zaleknioną miną opadł na poduszki. Gaspare tymczasem chwycił przygotowaną gąbkę o drobnych porach, zanurzył ją w miseczce z wodą, wycisnął i odczekał chwilę. Gdy gąbka zaczęła wydzielać odpowiednią ilość oparów, podetknął ją pacjentowi pod nos, nakazując, by kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza. Już przy piątym czy szóstym wdechu ciało wikariusza generalnego zwiotczało. Gaspare wydawał się zadowolony i obrócił głowę pacjenta stroną ze zranionym uchem do światła. Potem się wyprostował i rzekł:

- Teraz możesz wejść, Carlo, na pewno już stoisz pod drzwiami. Darowałam sobie odpowiedź, podeszłam do niego i wprawnym

spojrzeniem ogarnęłam przygotowane instrumenty. Wszystko leżało na swoim miejscu. Gaspare rozpoczął procedurę, a ja, przewidując każdy jego krok, podawałam mu narzędzia we właściwej kolejności. Tego dnia operacja obejmowała wycięcie skrawka skóry, odświeżenie okolic zranienia, złożenie i przycięcie płata oraz przyszycie go w odpowiednim miejscu. Gdy Gaspare wziął w tym celu igłę i nitkę, odezwałam się:

- Zastanawiałam się, jak można by uzyskać szczególnie czysty szew w miejscu połączenia brzegów rany, i wydaje mi się, że może się to udać przy zastosowaniu szwu ciągłego za igłą.

- Chcesz zastosować jakąś nową technikę szycia? Akurat teraz, gdy przypadek jest taki ważny? Nie, lepiej nie.

- Proszę, pozwól mi spróbować. Wiesz, że jestem z zawodu krawcową, znam się na szyciu. Szew ciągły za igłą jest lepszy niż stosowany do tej pory szew pojedynczy.

- *Sutura interscissa* była do tej pory wystarczająco dobra, więc będzie dobra i dzisiaj.

- Proszę, pozwól mi zrobić chociaż ze dwa wkłucia, a sam zobaczysz, że mam rację.

Gaspare ustąpił, a ja pokazałam mu, o co mi chodzi.

- *Caspita*, to dobre - przyznał. - Dlaczego pokazujesz mi to dopiero dziś?

- Może dlatego, że w głębi serca pozostałam małą krawcową i nie miałam odwagi.

Gaspare się roześmiał.

- Ta technika jest naprawdę bardzo dobra. Czy mogę nauczyć jej moich studentów?

- Oczywiście - rzekłam i poczułam dumę.

- Wobec tego możesz dokończyć szycie.

W trakcie wszystkich tych zabiegów jego ekscelencja niemal się nie poruszał, oddychał spokojnie i zdawał się nic nie czuć. Gdy było po wszystkim, powiedziałam:

- Jeśli to miał być pierwszy akt, to co nastąpi teraz? Wydaje mi się, że rekonstrukcja jest właściwie zakończona?

Gaspare przeciągnął się, gdyż przez cały czas pracowaliśmy schyleni.

- Rzecz jasna drugi akt. Polega on na zdjęciu szwów po upływie tygodnia. Akt trzeci przewiduje ostateczny proces gojenia, który trwa około pół roku. W tych miesiącach pacjent musi przestrzegać surowej diety i unikać wysiłku fizycznego. Po tym czasie skóra nowo uformowanego *lobulo* nie powinna się niczym różnić od skóry reszty ucha. - Czy będę mogła mu usunąć szwy? - spytałam.

- Tak - odparł Gaspare po chwili zastanowienia - ale tylko pod warunkiem, że potem będziemy się częściej widywać.

- To szantaż.

- Oczywiście. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Wydaje mi się, że pacjent odzyskuje przytomność - powiedziałam, aby skierować rozmowę na mniej kłopotliwe tory.

Gaspare uniósł powiekę śpiącego.

- Nie, jeszcze nie jest przytomny.

- Jak długo będzie trwał u niego ten stan?

- Trudno to dokładnie określić. Płyn w *spongia somnifera* potrafi robić przykre niespodzianki. Jeśli jest za słaby, pacjent nie jest dostatecznie uśpiony, jeśli za mocny, może zasnąć na wieki. Niezależnie od tego przy złym dawkowaniu mogą wystąpić zaburzenia serca i oddychania. Aby jednak odpowiedzieć na twoje pytanie: brak

przytomności będzie trwał tak długo, aż go przerwę. W tym celu użyję również gąbki, tym razem nasączonej octem winnym. Pary octu winnego w nosie obudzą nawet umarłego.

Swe wyjaśnienia wcielił w czyn. Po chwili wikariusz generalny zaczął dyszeć i kaszeć. Jego powieki zatrzepotały, a Gaspare powiedział:

- Szybko, opuść teraz pokój. Zadbam o to, żeby jego ekscelencja zezwolił na twoją obecność, gdy przyjdzie pora na zdjęcie szwów.

- Dobrze - szepnęłam i wymknęłam się. Wszystko odbyło się bardzo szybko, ale nie przeszkadzało mi to, bowiem moje serce się radowało.

Znowu zobaczę Gasparego.

- Doktor Tagliacozzi opowiadał o was wiele dobrego - powiedział do mnie następnej niedzieli wikariusz generalny, podczas gdy Gaspare pomagał mu usiąść na łóżku. - Nie mógł się nachwalić waszej pobożności, waszej zręczności w pielęgnowaniu chorych i waszej... dyskrecji.

- Wasza ekscelencja może na mnie polegać - wyszeptałam, dygając nisko.

- *Benissimo*. Jednakowoż doktor Tagliacozzi nie powiedział mi, że nie ujrzę waszej twarzy

- Proszę o wybaczenie, ja, ja...

- *Signorina* zaraz zdejmie beret z woalką - zapewnił spieszenie Gaspare.

Nie pozostało mi nic innego, jak spełnić jego polecenie. Uczyniłam to, ociągając się i z wielkim zawstydzeniem, a moja prawa połowa twarzy tak się przy tym zaczerwieniła, że niemal dorównywała lewej ze znamieniem.

Jego ekscelencja patrzył przez chwilę skonsternowany, po czym z przyzwyczajenia przeżegnał się.

- Jak widzę, wasza twarz jest oszpecona. Ale nie wadźcie się ze swym losem, Bóg tak chciał, podobnie jak było Jego wolą, by przykuć mnie do łóża choroby Tak, a zatem, hmm... czy usuwanie szwów będzie trwało długo?

Jego głos miał zabrzmieć zdecydowanie, ale ja dosłyszałam w nim niepewność. To mi pomogło przewyciężyć własne onieśmienie i powiedziałam:

- Pozwólcie, że najpierw obejrzę operowane miejsce. - Zdjęłam ostrożnie opatrunek i uważnie obejrzałam dzieło Gasparego. Płatek ucha był lekko obrzmiały i zaczerwieniony, ale bez wątpienia dobrze zrosnięty. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku - powiedziałam. - Szwy nie będą przysparzały trudności; operowane ucho już wkrótce nie będzie się niczym różnić od drugiego.

- Naprawdę? - Jego ekscelencja spojrział pytająco na Gasparego. Było mi przykro, że potrzebował jego potwierdzenia, by uwierzyć w moje słowa, ale nie dałam nic po sobie poznać.

- Pozwólcie mi teraz wyciągnąć szwy - poprosiłam. - To prawie nie będzie bolało.

- Z Bożą pomocą - wymruczał jego ekscelencja i zamknął oczy. Chwilę później szwy były usunięte. Jego ekscelencja chciał dotknąć swego nowego płatka ucha, ale prosiłam go, by tego zaniechał.

- Jeszcze nie całkiem skończyłam - rzekłam.

Pacjent znowu spojrział pytająco na Gasparego, a ten ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Musicie mieć jeszcze odrobinę cierpliwości - wyjaśnił - ale możecie już rzucić okiem na to, co my lekarze nazywamy *lobulus auricularis*. Proszę bardzo.

Jego ekscelencja wziął lusterko i przejrzał się w nim.

- W rzeczy samej, bardzo ładnie - zabrzmiał po chwili jego sąd. -Bóg wysłuchał moich modlitw.

Po tym pozwolono mi dokończyć dzieła. Nałożyłam kojącą maść i nowy, lżejszy opatrunek.

Gdy skończyłam, pacjent rzekł:

- Dziękuję wam, *dottore*, dziękuję wam bardzo za wasze umiejętności.

- To była dla mnie przyjemność, ekscelencjo, proszę mnie uważać za swego sługę - odpowiedział Gaspare z głębokim ukłonem.

Zacisnęłam usta i sprzątnęłam resztki opatrunku. Jego ekscelencja chrząknął i gestem przywołał Gasparego do siebie. Ściszym głosem mówił:

- Jak mi wiadomo, niedawno, zdaje się, że to było szesnastego maja, kilku wysoko postawionych obywateli uroczyście zaprzysięgło, że jesteście urodzonym z prawego łóża obywatelem miasta Bolonii. Tym samym spełniliście ostatni warunek, by otrzymać nominację do godności doktora medycyny i filozofii uniwersytetu oraz zostać przyjętym do prześwietnego grona kolegów obu tych stopni. Wedle mojej wiedzy stanie się to przypuszczalnie pod koniec listopada.

Gaspare promieniał. Następnie skłonił się - trochę za nisko, moim zdaniem - i wykrzyknął:

- Ekscelencjo, tą wiadomością uczyniliście ze mnie najszcześniejszego człowieka w Bolonii!

- Ale to ma pozostać między nami.

- Oczywiście, ekscelencjo, o niczym nie wiem.

- Znakomicie. Wyznam szczerze, że chętnie udzieliłem zgody na waszą nominację, zwłaszcza że poparli was tacy nieposzlakowani mężowie jak Ludovicus de Rofini, Matheus de Ocelli, Augustinus de Bargelinis i paru innych. Naturalnie nie zapominając o profesorze Ulissem Aldrovandim, który wreszcie zdaje się zakończył swój spór z aptekarzami. No cóż, najwyższa pora, po tym, gdy on i jego oponenci zostali w Rzymie upomniani osobiście przez jego świętobliwość, by zaniechali sporu.

- Jestem absolutnie waszego zdania, ekscelencjo. - Gaspare podsunął pacjentowi poduszkę pod plecy i spytał: - Czy mógłbym przynieść wam coś orzeźwiającego do picia?

- To byłoby miłe.

Gaspare rzucił mi rozkazujące spojrzenie. Ale ja miałam już dosyć. Panowie zachowywali się przez cały czas tak, jakby mnie nie było. Nie byłam mężczyzną, a więc dla nich nie istniałam, chociaż moja praca przyczyniła się w niemałym stopniu do udanej rekonstrukcji ucha.

Musiałam dać upust mojej irytacji, która coraz bardziej we mnie narastała.

- *Arrivederci* - wydusiłam z siebie i wybiegłam z pokoju. Niech wychwalany pan doktor sam pójdzie po napój dla jego ekscelencji! ^{Ni}e jestem lokajem!

Trzęsąc się z gniewu, opuściłam dom w kolorze terakoty i spiesznym krokiem wróciłam do domu.

- Co z wami, pani? - spytał mnie Latif godzinę później. Przyszedł z zakupów i od razu rozpoznał stan mojego ducha.

- Nic - odpowiedziałam i otworzyłam jedną ze swoich książek. Latif podszedł bliżej.

- Kiedy czytacie, pani, widzę to, a kiedy nie czytacie, też widzę. W tej chwili nie czytacie, chociaż trzymacie w rękach otwartą książkę. Znam to. Litery stoją na swoim miejscu, ale zasłaniane są przez obrazy, które człowieka irytują. Powiedzcie mi, co się wydarzyło?

- Nic - powtórzyłam.

Latif przewrócił oczami i znikł w kuchni. Próbowałam czytać, ale było dokładnie tak, jak powiedział mój służący. Widziałam litery i zarazem ich nie widziałam. Dlatego odłożyłam książkę - dzieło Hildegardy z Bingen pod tytułem *Causae et curae* - i chciałam pójść do Latifa, by mu powiedzieć, że ma rację. Jednak po drodze do kuchni coś mi przeszkodziło. Ktoś zastukał energicznie do drzwi.

- Zostaw, Latif, sama otworzę! - zawołałam i otworzyłam.

Na zewnątrz stał Gaspare. Choć na to czekałam, byłam zaskoczona, gdyż jeszcze nigdy nie przyszedł do mnie na Strada San Felice. Bez żadnego wstępu zaczął z poważną miną:

- Poleciałem ci, byś przyniosła coś do picia jego ekscelencji, i to cię rozgniewało. Nikt nie żałuje tego bardziej niż ja, gdyż powinienem kazać to zrobić Adelmowi.

- W rzeczy samej, tak powinieneś być uczynić - rzekłam chłodno.

- To był błąd. Wybacz mi, proszę. Wiadomość o mojej nominacji do stopnia doktora dwóch specjalności była dla mnie niezmiernie ważna i wytrąciła mnie z równowagi. Całe ostatnie lata pracowałem na to, i wreszcie się udało.

- Moje gratulacje.

- Dziękuję. Do pełni szczęścia brakuje mi jeszcze tylko Carli, która już się na mnie nie gniewa.

Ja jednak ciągle się gniewałam.

- Gdybym była mężczyzną, nie potraktowałibyście mnie tak. To krzyżująca niesprawiedliwość.

- Tak, zapewne masz słusność.

Milczałam, walcząc ze sobą. Fakt, że Gaspare w pewnym stopniu przyznał mi rację, nieco mnie udobruchał.

- Proszę. - Teraz się uśmiechnął. - Chciałbym naprawić swój błąd i sam przynoszę coś orzeźwiającego. - Zamaszystym ruchem wyjął spod swego czarnego kaftana kolorową, wyszywaną perłami piłeczkę z materiału.

- Perfumowana kula? - spytałam.

- Z bardzo orzeźwiającym zapachem! Powąchaj tylko, jak aromaty lawendy, bergamotki i cytryny łączą się w niepowtarzalną kompozycję.

Podsunał mi kulę pod nos, a mnie nie pozostało nic innego jak ją powąchać.

- No i czym pachnie? Zgodą? Musiałam się roześmiać.

- Tak, troszkę. - Ujął mnie pomysł Gasparego, by przynieść mi coś orzeźwiającego w postaci pachnącej kuli. Wydarzenia w jego domu nagle nie wydały mi się już takie straszne. Przypuszczalnie byłam przewrażliwiona, może też nazbyt porywcza, a w każdym razie zbyt niepewna siebie, by zignorować zachowanie obu panów.

- Czy mogę wejść? Od dawna chciałem zobaczyć twój dom.

- No dobrze, wchodź. - Odsunęłam się na bok i poprowadziłam go do stołu w jadalni. - Usiądź.

- Ładnie tu masz - powiedział, zanim usiadł. Patrzyliśmy na siebie i wiedzieliśmy oboje, że mój dom, w przeciwieństwie do jego, jest tylko nędzną chatką, ale nie wzięłam mu za złe tej przesady, gdyż miał dobre intencje.

- Latif! - zawołałam, a gdy mój sługa wystawił głowę zza drzwi kuchennych, powiedziałam: - Przyszedł doktor Tagliacozzi, zjemy razem posiłek.

- Doktor Tagliacozzi? Ach tak. - Latif chciał się wycofać, ale zatrzymałam go.

- Przygotuj nam coś dobrego, pan doktor jest *ta* po raz pierwszy.

- Nie wiem, czy starczy dla dwóch osób.

~ Na pewno coś wymyślisz.

- Dobrze, pani.

Gdy czekaliśmy na rezultat sztuki kulinarnej Latifa, rozmowa niezbyt się kleiła. Byłam, muszę to przyznać, zakłopotana, gdyż po śmierci Marca nie odwiedził mnie tu żaden mężczyzna. Poza tym cały czas musiałam myśleć o tym, że Gaspare jest żonaty. Nie wypadało przebywać z nim sam na sam. Gdy sięgnął po moją rękę, spytałam:

- Jakże się miewa twoja żona?

- Giulia? Sądzę, że dobrze. Widujemy się rzadko. Ona ma swoje przyjaciółki, a ja mam swoją pracę. - Niechętnie puścił moją rękę. Jego głos brzmiał obojętnie.

- Czy macie już dzieci?

- Dzieci? - zaśmiał się smutno. - W jaki sposób? Już od dawna nie dzielimy łóża. - Znowu chwycił i uściskał moją rękę.

- Zupa, pani!

Gaspare i ja podskoczyliśmy jak przyłapana zakochana para. Latif zbliżył się na paluszkach, trzymając w rękach dużą wazę.

- Co dobrego nam przyniosłeś? - spytał Gaspare protekcjonalnie. Zmierzył wzrokiem mojego służącego i dodał: - Masz interesujący nos - czy raczej to, co z niego pozostało. I chyba lubisz dużo jeść.

Latif udał, że go nie słyszy, i powiedział do mnie:

- Nie byłem przygotowany na niczyją wizytę, pani. Dlatego mogłem ugotować tylko zupę z resztek.

- Nic nie szkodzi - wmieszał się Gaspare. - Na pewno będzie nam smakować, nieprawdaż, ubielona dziewczynko? - Myślę, że tak.

Latif zmarszczył czoło i napełnił talerz doktora po brzegi.

- Miejmy nadzieję, *dottore*.

- A co to w ogóle za zupa? - zapytał Gaspare ze śmiechem.

- Nie ma specjalnej nazwy, ugotowałem ją z resztek wołu. Mina Gasparego zachmurzyła się na chwilę. Bez wątplenia nawykł do bardziej wyrafinowanej kuchni. Ale potem zawołał:

- Z pewnością wyczarowałeś coś dobrego, nawet jeśli widok nie jest zbyt zachęcający.

W rzeczy samej zupa nie wyglądała apetycznie. Jeszcze nigdy Latif nie zaserwował mi czegoś takiego. Chciałam mu powiedzieć, żeby ją zabrał, ale Gaspare mnie uprzedził:

- Zostaw - powiedział żartobliwym tonem. - Odegram rolę degus-tatora. - Zamaszystym ruchem sięgnął po łyżkę i skosztował. - Hmm, smakuje nieco, hmm, szczególnie, bardzo ostro i kwaskowato. I ma szczególną konsystencję.

- Słuszna uwaga, *dottore* - rzekł Latif, a w jego oczach dostrzegłam coś, co mi się nie spodobało. - Są w niej nie tylko resztki mięsa, ale też zmielone kości.

- Jak to?

- Ponadto chrząstki, ścięgna, skóra i kopyta. Ale oczy, *dottore*, te będą wam szczególnie smakować, to prawdziwy rarytas.

Tego już było za wiele.

- Co ci przyszło do głowy? - krzyknęłam. - Jak śmiesz podawać nam odpadki! Zabierz to natychmiast z powrotem i zrób coś innego!

- Tak, pani! - zawołał Latif przestraszony. Odwrócił się, potknął i wylał całą zawartość wazy. Gorąca breja rozlała się na jedwabne nogawki mojego gościa. Gaspare skoczył na równe nogi, krzycząc:

- Co robisz, durniu!

- Wygląda na to, że oblałem was zupą, *dottore*. Tylko Allah, Wszechwiedzący, Wszystkiego Świadomy, zna miarę mojego ubolewania.

- Zejdź mi z oczu, Latif! - zażądałam, próbując jednocześnie zetrzeć chustką wstrętną ciecz ze spodni Gasparego. Niewiele to dało i czułam się bardzo nieprzyjemnie. Gaspare jednak zdawał się tymczasem uspokoić.

- Najchętniej zdjąłbym pantalon - rzekł rozbawiony - żeby można je było dokładnie wyczyścić. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie... eee... to znaczy, tak! Nie mam przecież zapasowych spodni dla ciebie.

- Szkoda, moja ubielona dziewczynko. No dobrze, zatem proszę o wybaczenie. - Opuścił pokój, a ja zostałam sama. Latif też się nie pokazał, ale po jakimś czasie usłyszałam, jak hałasuje w kuchni. Zawołałam do niego:

- Jak mogłeś mi to zrobić! Najpierw gotujesz to świństwo, a potem wylewasz je doktorowi na ubranie i nawet nie masz zamiaru przeprosić!

- Bardzo mi przykro, pani - powiedział zupełnie zmienionym głosem. Zobaczyłam, jak wchodzi, i poznałam, że to wcale nie Latif, lecz Gaspare, który owinął się w jedną z powiewających szat mojego sługi.

Oślupiałam.

- Podobam ci się? - zapytał Gaspare z uśmiechem. - Przyznaję, że to ubranie jest na mnie trochę za duże, słoń by się w tym zmieścił, ale nic innego nie wpadło mi do głowy.

Jego widok był tak niezwykle, żeby nie powiedzieć śmieszny, że odebrało mi mowę. Gdzie się podziała jego godność, o którą zawsze był tak dbały? Zdawał się całkowicie odmieniony. W końcu wyjąkałam:

- A... a Latif? Co on na to? Gaspare się roześmiał.

- Nie wiem, odprawiłem go. Twój sługa ma kupić parę produktów na porządną *minestrone* i nie wracać przed wieczorem. - Usiadł blisko mnie i objął mnie ramieniem. - Do takiej chwili tęskniłem od miesięcy.

Odsunęłam się od niego, chociaż czułam to samo.

- Opowiedz mi, co u ciebie słychać - powiedziałam.

- Nie mam zbyt wiele do opowiadania. Ciężko pracuję, usiłuję przybliżyć moim studentom sekrety medycyny i upijam się z nimi często.

- Upijasz się z nimi?

- A co mi pozostaje! - Gaspare znowu się do mnie przysunął. - W domu snuję się tylko ponury.

Podejrzewałam, że to tylko część prawdy, miał bowiem liczne obowiązki, spotykał się regularnie ze swymi kolegami lekarzami, chodził na bankiety i jubileusze, na zebrania i uroczystości wszelkiego rodzaju, ale bardzo chciałam wierzyć w to, co mówił.

Nie zdając sobie sprawy z upływu godzin, gawędziliśmy o dawnych czasach, które, gdyby się dobrze zastanowić, wcale nie były tak odległe. Rozmawialiśmy o tym, jak się poznaliśmy, i o sztuce chirurgii, jak usuwać okaleczenia przez przeszczepianie skóry, mówiliśmy o wymyślonej przeze mnie kamizelce z kapturem, która znalazła już powszechne zastosowanie, o sekcji żmij ogólnie, a w szczególności

o teriaku, i przede wszystkim o mojej pierwszej wykonanej własnoręcznie rekonstrukcji nosa, przeprowadzonej z sukcesem u Fabia Wiecznie Płaczącego. Jedyne, o czym nie rozmawialiśmy, to historia ze szpilką do kapelusza.

W czasie tej rozmowy przysuwaliśmy się do siebie coraz bliżej, a ciepła, podniecająca tęsknota, której już od tak dawna nie odczuwałam, objawiła swą przemożną siłę i owładnęła mną całkowicie. Nie potrafiłam i nie chciałam się przed nią bronić. Chciałam być szczęśliwa, pragnęłam czuć bliskość mężczyzny, jego ciało, jego zapach i jego siłę...

W którymś momencie pocałowaliśmy się namiętnie i Gaspare szepnął mi do ucha:

- Ubielona dziewczynko?

- Tak? - wyszeptałam.

- Naprawdę nie dzielę już łóża z moją żoną.

Zaczął się dla mnie czas szczęścia i spełnienia. Gaspare odwiedzał mnie regularnie w moim domu, jadł i pił ze mną, śmiał się i żartował i nierzadko zostawał na noc. Myślę, że oboje byliśmy w jakimś sensie szaleni, jak bywają tylko zakochani. Czasami, rankiem, gdy Gaspare budził się przy mnie, zadawałam sobie pytanie, czy tak już będzie zawsze, ale wcale nie chciałam znać odpowiedzi. Żyliśmy chwilą obecną, cieszyliśmy się dobrym jedzeniem, które gotowałam dla nas obojga, dla pokrzepienia ducha zamawialiśmy do domu muzykantów albo rozmawialiśmy o najnowszej modzie, przy czym Gaspare tonem najgłębszego przekonania utrzymywał, że kolor miłości to czerń - w końcu on ubiera się na czarno i jest we mnie zakochany. Ja z kolei upierałam się przy czerwieni, gdyż czerwony był kolorem mojej nowej sukni, którą sobie uszyłam, sukni marzenia, ze śmiałym dekoltem, z kosztownego jedwabiu, który podarował mi Gaspare.

Na takich szczęśliwych drobiazgach upłynęło lato, przyszła jesień, a nasza miłość wciąż była tak gorąca jak pierwszego dnia.

Nadszedł dzień 26 listopada, kiedy Gaspare został oficjalnie mianowany doktorem dwóch fakultetów, a jego nowy status został uwieczniony w *Libro confidenziale* w Archiginnasio. Po inauguracji,

trwającej cały dzień i celebrowanej przy wtórze grzmiących dzwonów *la scholar*, nastąpiły zabawy i bale, urządzone z niesłychanym przepychem. Gaspare zapraszał na nie do swego domu tylko pierwsze rodziny w Bolonii i prawie wszyscy skorzystali z zaproszenia. Tańczono, muzykowano, deklamowano i ucztowano tak wystawnie, jak można sobie tylko wyobrazić. Jego nowi koledzy profesorowie, na czele z Aranziem i Ałdrovandim, obdarowali go cennym futrem z lisów, które od tej pory miał nosić podczas każdego wykładu na znak swej nowej godności.

To był cudowny czas, który miał tylko jedną małą wadę: uczestniczenie we wszystkich tych uroczystościach było mi wzbronione, gdyż u boku Gasparego stała Giulia, jego piękna małżonka.

Mówiłam sobie jednak, że wszystko w życiu ma swoją cenę, i godziłam się z sytuacją.

Także Latif przysparzał mi nieco zmartwień, zawsze bowiem, gdy gościł u mnie Gaspare, pokazywał się od swojej najbardziej nieznośnej strony. Był małomówny i krnąbrny, sprzeciwiał mi się albo w ogóle nie przychodził, gdy był wzywany. Tłumaczył się zawsze tym, że musi odprawiać swe modły. Ja jestem wprawdzie jego panią, mówił, ale Allah Wszechwiedzący, Wszystko Widzący, jest panem nad panami i gdy wzywa na modlitwę, Latif musi Mu być posłuszny.

Przyjmowałam jego wyjaśnienie, ale czasem miałam wrażenie, że zamiast pięciu razy rozkłada swój dywanik w kierunku Mekki co najmniej dziesięć. Zagadnięty na ten temat odrzekł, że nie liczy, jak często Allah domaga się modlitwy i że muszę to zrozumieć.

Nie rozumiałam. Podobnie jak nie rozumiałam, dlaczego nie lubi Gasparego. Po kilku próbach doprowadzenia do zmiany jego nastawienia dałam za wygraną i, jeśli czas mi pozwalał, uciekałam do moich książek. Kto potrafi czytać, temu z każdą stroną książki otwiera się nowy świat. Jedną z moich ulubionych pisarek stała się Hildegarda z Bingen. Podziwiałam jej doświadczenie, wiedzę i życiową mądrość.

Także Trotula, sławna medyczka z dawnej szkoły w Salerno, poruszała mnie swymi dziełami do głębi. Z bijącym sercem czytałam *Passionibus Mulierum Curandorum*, obszerną rozprawę o sztuce lekarskiej dla kobiet, z której po raz pierwszy dowiedziałam się o podziale na dni płodne i niepłodne w kobiecym cyklu.

Po tej lekturze zaczął we mnie dojrzywać pewien plan, plan śmiały, którego wynikiem, gdyby się powiódł, chciałam zrobić Gasparemu niespodziankę.

Było niedzielne popołudnie, wietrzny dzień grudniowy. Zjedliśmy posiłek, w którego przygotowanie włożyłam wiele serca i siedzieliśmy przy stole, trzymając się za ręce.

- Masz taką szczęśliwą minę, jakbyś zjadła nie tylko *agnello alforno* z jarzynką z bakłażana, ale też pobłogosławioną przez Pana mannę.

Zamknęłam oczy i powiedziałam:

- Pocałuj mnie. Pocałował.

- O co chodzi? Nagle zrobiłaś się taka uroczysta.

- Pan pobłogosławił nie tylko mannę - powiedziałam i ze wzruszenia zwilgotniały mi oczy. - Także moje łono. Wyobraź sobie, jestem brzemienna.

- Jesteś...

- Tak, mam całkowitą pewność. Pocałuj mnie jeszcze raz.

Gdy pocałunek nie nastąpił, otworzyłam oczy i ujrzałam skonsternowaną twarz Gasparego.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział.

- Nie cieszysz się? Będziemy mieli dziecko!

- Tak, naturalnie, w zasadzie się cieszę. Ale pomyśl o konsekwencjach. Wiesz przecież, że jestem osobą publiczną.

Otrzeźwiona rzekłam:

- Z pewnością, ale na wszystko znajdziemy jakieś rozwiązanie. Najważniejsze jest przecież dziecko.

- Zapewne masz rację. - Wreszcie mnie pocałował i powiedział: - To znaczy, że to wina Giulii.

- Co masz na myśli?

- To, że nasze małżeństwo jest bezdzietne. Roześmiałam się.

- To przecież nic dziwnego, skoro nie dzielisz z nią łoża.

- Naturalnie, masz rację - powtórzył. - To absolutnie pewne, że jesteś brzemienna?

- Ależ oczywiście! Kobieta czuje takie rzeczy. Poza tym nie mam menstruacji. - Nie uznałam za konieczne powiedzieć Gasparemu, że

wykorzystałam wiedzę Trotuli, by znaleźć się w odmiennym stanie. - Masz ochotę na deser? Zrobiłam słodkie ciasto z kandyzowanymi owocami.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

- Jak myślisz, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka? Mnie się zdaje, że chłopiec. Ty jako ojciec dziewczynki... nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Ach tak, naprawdę nie możesz? - Gaspare sprawiał wrażenie, jakby był trochę nieobecny.

- Nie, bo wyobraź sobie, że byłaby dziewczynka i miała twój nos.

- Mój nos nie jest przecież wcale brzydki.

- Tego nie powiedziałam. Ale jest bardzo wydamy. - Złożyłam na nim lekki pocałunek i zaczęłam sprzątać ze stołu, gdyż Latif znowu się nie pokazywał. - Chciałbyś jeszcze trochę wina?

- Tak, dziękuję. - Gaspare podsunął szklanekę, a ja dolałam mu wina.

- Tak bym chciała wiedzieć, co się urodzi - powiedziałam. - Choćby ze względu na imię. Zaczęłam się już zastanawiać, jak nazwiemy naszego syna. Co myślisz o Giancarlu? Uważam, że Giancarlo brzmi ładnie, są w nim trzy różne samogłoski.

- Tak, całkiem ładnie - odrzekł Gaspare.

- Podobałby mi się także Massimo, uważam, że ładne imię dla chłopca musi zawierać co najmniej trzy różne samogłoski. Jak myślisz?

- Nie wiem. Nie uważam, żeby samogłoski były takie ważne. - Gaspare bębnił palcami o stół. - Przykro mi, ale muszę już iść.

- Tak nagle?

- Czy nie uprzedziłem cię? Niestety tak. Jutro mam ważny odczyt, do którego muszę się przygotować. Chyba to rozumiesz?

- Oczywiście - powiedziałam, usiłując nie dać po sobie poznać rozczarowania. - Nie mógłbyś jednak zostać jeszcze trochę i zjeść ciasta?

- Nie, naprawdę nie. - Gaspare dopił wino i podniósł się. - To cudowne, że będziemy mieli dziecko, ale niech to na razie pozostanie naszą tajemnicą. W każdym razie tak długo, aż wyjaśni się wszystkie sprawy. Zgoda?

- Tak - powiedziałam. - Najważniejsze, że ty też się cieszysz.

- Oczywiście. Tylko nie widać tego po mnie. Tymczasem, moja ubielona dziewczynko. - Ucałował mnie, włożył beret i poszedł.

Minęło kilka dni, podczas których nie miałam żadnych wieści od Gasparego. Ale nie martwiłam się, ponieważ już nieraz tak bywało. Poza tym wypełniała mnie tylko jedna myśl - o tym maleńkim życiu, które rosło w moim ciele. Chłopiec miał się nazywać Giancarlo, tyle na razie było dla mnie pewne. Bezustannie dotykałam swego brzucha, aby go poczuć, ale był jeszcze za mały. Zaczęłam więc z nim rozmawiać, podobnie jak rozmawiałam jako dziecko z lalką Bellą. „Giancarlo, mój maleńki - szeptałam - słyszysz mnie? Tu twoja mama, musimy się oboje postarać, żebyś urósł i przyszedł zdrowy na świat, prawda?”.

Odpowiedzią, jak sobie wmawiałam, były jedynie ledwie odczuwalne drgnienia.

Kiedy powiedziałam Latifowi o moim błogosławionym stanie, otworzył szeroko oczy i rzekł:

- Pani, to jest dobra wiadomość, gdyż Allah kocha wszystkie dzieci, wszystko jedno, kto jest ojcem. Ale teraz musicie się szczególnie oszczędzać. Zaparzę wam napój, który nauczyłem się przyrządzać w Yeni Sarayi. To was wzmocni.

- Dziękuję, Latifie. - Usiadłam wygodnie na łóżku i czekałam, słuchając, jak on zaaferowany krząta się w kuchni. Gdy wrócił z parującym płynem, zapytałam: - A co w nim jest?

- Wyciąg z róży cynamonowej, pani, i jeszcze parę innych składników.

Wzięłam kubek i upiłam łyk.

- Smakuje wam, pani?

- Napój jest jeszcze trochę za gorący, ale korzenny i mocny, i - popatrzyłam na Latifa - zdaje się nie zawiera resztek mięsa.

- Nie sądźcie, pani, że chciałem zostać zdrajcą soli. - Zaśmiał się zmieszany.

- Zdrajcą soli? A cóż to znaczy? Mówisz zagadkami, Latifie.

- Ależ dlaczego, pani? Każdy przecież wie, że to określenie oznacza tego, kto zdradza zasadę gościnności. Ja jednak niechcący źle dobrałem składniki, gdy odwiedził nas doktor Tagliacozzi.

- Tak też to można określić. W każdym razie postawiłeś mnie w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Oby to się więcej nie powtórzyło.

- Tak, pani, będę się modlił do Allaha Dobrotliwego, Przebaczającego, aby w przyszłości lepiej prowadził moją rękę.

Wypiłam jeszcze jeden łyk naparu i poczułam, jak ogarnia mnie przyjemne zmęczenie. Senna, opadłam na poduszki i zasnęłam.

Obudziłam się, gdy Latif dotknął lekko mojego ramienia i powiadomił mnie, że u drzwi stoi posłaniec.

- Ma wiadomość, pani, którą chce wyjawić tylko wam.

- Powiedz mu, że już idę.

Posłaniec w liberii był mi znany. Przybywał od Gasparego i przekazał mi, abym przyszła wieczorem do trattorii Da Paolo, gdzie jego pan oczekuje mnie o godzinie siódmej.

- O co chodzi? - spytałam.

- Tego nie wiem.

- Dobrze, zatem przekaż swojemu panu, że będę punktualnie. Wieczorem poszłam do trattorii, którą znałam jeszcze z czasów,

gdy żył mój zacny Marco. Paolo, niski, gruby gospodarz w śnieżnobiałym fartuchu, powitał mnie z wielką serdecznością, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

- Łaskawy pan doktor siedzi z tyłu w niewielkiej salce - powiedział i mrugnął znacząco okiem. - Wydaje się, za pozwoleniem, nieco zdenerwowany. Mam wrażenie, że ma wam coś ważnego do powiedzenia.

- Dziękuję, Paolo.

Podeszłam do Gasparego, który czekał na mnie z poważną miną.

- Czy coś się stało? - spytałam. - Dlaczego spotykamy się tu, a nie u mnie w domu? - Zjedzmy coś najpierw. - Gaspare pocałował mnie i pomógł mi usiąść, a potem zamówił jeden z pysznych makaronów Paola.

- To skręcane kluski na kształt spirali - rzekł - coś bardzo specjalnego, jak zapewnił mnie gospodarz. Do tego podaje delikatną duszoną kapustę, którą doprawia świeżo zmieloną gałką muszkatołową. Próbowalaś już kiedyś gałki muszkatołowej?

- Nie. Dlaczego spotykamy się tutaj?

Paolo przyniósł jedzenie, a Gaspare powiedział:

- Na razie *buon appetito*, moja ubielona dziewczynko. Zjedliśmy z przyjemnością, do tego piliśmy wino Frascati koloru słomki.

- Co powiesz na smak gałki muszkatołowej? - spytał Gaspare.

- Bardzo korzenny i aromatyczny - odparłam i znów spojrzałam na niego pytającym wzrokiem.

- No więc - zaczął - widzę, że chcesz koniecznie wiedzieć, dlaczego jesteśmy tutaj. Aby być całkiem szczerzy, uznałem to miejsce za najwłaściwsze, aby przeprowadzić tę rozmowę.

- Jaką rozmowę? O co chodzi, powiedz wreszcie, co się dzieje!

- Pst, nie tak głośno, ubielona dziewczynko. No więc, chodzi o twoje dziecko.

- Nasze dziecko.

- Naturalnie, wybacz. - Gaspare upił łyk Frascati i odprawił Paola, który chciał mu natychmiast dolać. - Nie sądz, proszę, że nie cieszę się z twojej ciąży...

- Giancarlo ma się dobrze. Ja też.

- Giancarlo?

- Nie pamiętasz? Rozmawialiśmy przecież o imionach dla chłopców. Jeśli się zgodzisz, to nasz synek będzie się tak nazywał. - Ujęłam Gasparego za rękę i ścisnęłam ją. - Czy u ciebie wszystko w porządku, taki jesteś spięty? Cieszysz się chyba z naszego dziecka?

- Tak, pewnie. Cieszę się, w końcu jestem ojcem... nieprawdaż?

- Czyżbyś wątpił?

- *Sanfiddio*, oczywiście że nie. Chcę zrobić wszystko, żeby, eee, Giancarlovi niczego nie brakowało.

- Bogu dzięki, a ja już myślałam... - Łzy napłynęły mi do oczu. - To, co powiedziałaś przed chwilą, sprawiło, że jestem bardzo szczęśliwa. Bardzo, bardzo szczęśliwa. Czy ty wiesz, jak często w ostatnim czasie pragnęłam być przy tobie? Ale oczywiście to było niemożliwe. Za każdym razem powtarzałam sobie: jeśli już nie jestem jego żoną, to chcę mieć przynajmniej jego cząstką, krew z krwi i kość z kości! Teraz to się ziściło, a ty chcesz uczynić wszystko dla naszego syna. Kocham cię. To znaczy: my cię kochamy! - Pochyliłam się i pocałowałam Gasparego w usta. On chrząknął i rzekł:

- Ja też się cieszę. To znaczy, że przyjmiesz pieniądze?

- Pieniądze?

- Na wychowanie i wykształcenie. Będę ci dawał co miesiąc wystarczającą sumę dla małego, aby mógł się wychowywać na odpowiednim poziomie.

- To bardzo miłe z twojej strony. Do tej pory w ogóle nie myślałam o pieniądzach.

- Sądzę, że dwanaście *scudi* wystarczy.

- Dwanaście *scudi* to o wiele za dużo.

- Lepiej trochę za dużo niż za mało. Pomyśl o tym, że być może nie będziesz już mogła chodzić do sióstr z San Lorenzo.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zbliżył się Paolo, i tym razem Gaspare pozwolił dolać sobie wina. Mnie Paolo także chciał nalać, ale odmówiłam. Musiałam myśleć o Giancarlu.

- No to wspaniale, wszystko załatwione - powiedział Gaspare, opróżniwszy kielich duszkiem. - Ale jest jeszcze jedna rzecz, przy której proszę cię o zrozumienie. Chciałbym, abyś zachowała milczenie na temat tego, kto jest ojcem dziecka. Również dziecko, chciałem powiedzieć Giancarlo, nie powinno się o tym dowiedzieć.

- Nie mówisz tego poważnie!

- Och, niestety tak. Rzadko bywam bardziej poważny. Pomyśl o mojej pozycji społecznej. To by w najwyższym stopniu zaszkodziło mojej reputacji, gdyby wyszło na jaw, że jestem ojcem nieślubnego dziecka. No i Giulia także nie może się niczego dowiedzieć. To nie byłoby dobre dla... hmmm... naszego małżeństwa. Zrozum to, proszę.

- Nie, nie rozumiem. - Nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie powiedział. - W ogóle tego nie rozumiem. Nie byłbyś jedyną wysoko postawioną osobistością z *bastardo*. Nie znam nikogo, czyja kariera by na tym ucierpiała. Gaspare, kochany, proszę, uznaj swojego syna, uznaj swoje ojcostwo. - Obawiam się, że nie mogę.

- Proszę, nie musisz tego rozgłaszać wszystkim naokoło, ale czy Giancarlo naprawdę ma dorastać, nie wiedząc, kto jest jego ojcem? Ja sama tego doświadczyłam, nie zapominaj o tym. Do dzisiaj nie wiem, kto mnie spłodził. Proszę, oszczędź tego naszemu synowi.

- To niemożliwe.

- Niemożliwe?! - Moje przerażenie powoli przeradzało się w gniew.
 - Dobrze słyszałaś. W ostatnich dniach bardzo dużo o tym rozmyślałem. Nie chcę, i tak ma zostać.
 - Czy to twoje ostatnie słowo?
- Gaspare wahał się i na krótką chwilę zapaliła się we mnie iskierka nadziei. Ale potem powiedział:
- Istnieje jeszcze jedno rozwiązanie. To byłoby najprostsze i zlikwidowałoby cały problem.
 - Nie!
 - Proszę, nie krzycz. Inni goście mogą nas usłyszeć. To naprawdę byłoby najłatwiejsze, gdybyś zażyła naparu z korzenia jałowca sabiń-skiego. Ten napój to skuteczny, od wieków sprawdzony środek. Tylko dawka nie może być za silna. Mógłbym ci...
 - Nie, nie, nie!
 - Carla, proszę! Można by też zastosować mocny sok cytrynowy. Sposób użycia soku jest nieco uciążliwy...
 - Nie, nie, nie! - Wyrzucałam z siebie gniew, rozpacz i rozczarowanie.
- Ty tchórze, ty mały, nędzny tchórze!
- Teraz to już naprawdę za wiele! - Gaspare zerwał się i zakrył mi usta.
- Będiesz milczała, ty głupia babo! Co jest złego w aborcji?! Codziennie odbywają się ich dziesiątki w Bolonii, setki w całej Italii, tysiące na całym świecie, a ty tak się wydzierasz z tego powodu.
- Nie. - Powiedziałam to bardzo cicho, gdyż raptownie opuściły mnie wszystkie siły. Poczułam zawroty głowy i znowu zobaczyłam wielką czerwoną chmurę lecącą na mnie, jak wtedy w pracowni, gdy *signora* Donace krzyczała na moją matkę, a czerwona chmura podchodziła bliżej i bliżej, wypełniała całą izbę, groziła, że mnie udusi, i w końcu pogrzebała mnie pod sobą.
- Straciłam przytomność.

CZEŚĆ 3

Latif

TRZCINOWA RURKA

La canna

Utworzyłam oczy i ujrzałam zatroskaną twarz Latifa. - Allanowi niech będą dzięki! - zawołał. - Odzyskaliście zmysły, pani.

- Co się stało? - wyszeptałam. - Gdzie ja jestem?

- W waszym łóżku, pani. - Latif wyprostował się, a ja zobaczyłam znane mi tak dobrze sceny stworzenia świata na suficie mojej sypialni. To mnie uspokoiło, choć gdzieś w głębi czułam silne napięcie. Próbowałam odgadnąć, skąd pochodziło, ale nie znalazłam odpowiedzi. Coś się wydarzyło, ale nie wiedziałam, co.

- Chce mi się pić - powiedziałam.

- Nic dziwnego, pani - odpowiedział Latif. - Byliście trzy dni w krainie za granicą snów. Ale teraz, Allahowi niech będą dzięki, Łaskawemu, Miłosiernemu, wreszcie się obudziliście. Chciałem już wezwać doktora Valeriniego albo siostrę Martę z San Lorenzo, ale tak jest lepiej, bo, jak wiecie, jestem słaby w nogach. Przygotowałem wam napój z róży cynamonowej, wypijcie go teraz.

Upiłam ostrożnie łyk gorącego naparu, który podsunął mi do ust, i poczułam jego ożywcze działanie.

- Mówisz, Latifie, że spałam trzy dni?

- Tak, pani, ściśle mówiąc, dwa dni i trzy noce. Trzeci dzień właśnie się zaczyna. Dziękuję Allahowi, że nie wezwał was do siebie.

- A czemuż miałby to robić?

- Też Go o to pytałem. Przyzywałem Go cały czas i tłumaczyłem Mu, jakim dobrym człowiekiem jesteście, nawet jeśli czasem macie skłonność do skąpstwa i nie docenicie moich umiejętności kucharskich. To było bardzo wyczerpujące, pani, gdyż za każdym razem musiałem rozwijać mój dywanik modlitewny, a potem go zwijać, a klęczenie i pokłony przychodzą mi wszak z trudem. Ale myślę, że Allah zrozumiał moje słowa, inaczej nie spodobałoby Mu się z powrotem obudzić was do życia. Czy chcecie jeszcze trochę napoju z *róży*!

- Nie, dziękuję. Powiedz mi, jak się znalazłam w łóżku, bo nie mogę sobie przypomnieć.

Latif przewrócił oczami.

- To było wieczorem, wyszliście, a ja czekałem na was. A potem przyszedł ten gospodarz z trattorii, nazywa się Paolo, z wózkiem, a na tym wózku leżeliście wy. Byliście nieprzytomni, a Paolo powiedział, że klóciliście się z doktorem Tagliacozzim, tak strasznie głośno, że można was było słyszeć na ulicy, ale doktor rzekł, że nic wam niby nie jest, chociaż wy wciąż krzyczeliście i dygotaliście na całym ciele. Doktor dał mu napiwek i poprosił, by odwieźć was do domu. I ten Paolo tak właśnie zrobił. Od tego czasu siedzę przy waszym łóżu i martwię się, pani.

- Dziękuję, Latifie - wymamrotałam. — To dobrze.

- Co się stało, pani, dlaczego się odwracacie?

Nie odpowiedziałam. Wspomnienie wróciło z nagłą i uderzyło mnie z całą siłą. Tak mnie zabolalo, że nie mogłam wykrztusić ani słowa.

Leżałam cały dzień w łóżku, nic nie jadłam, nic nie piłam, nie rozmawiałam też z Latifem. Byłam tak apatyczna, że mój biedny sługa całkiem upadł na duchu.

- O, gdybym tylko miał włosy! - zawodził. - Przynajmniej miałbym co rwać z głowy. Co mam zrobić, żebyście przerwali milczenie?

Nie odpowiadałam. W końcu Latif zrobił rzecz zdumiewającą. Poszedł do pokoju obok i przyniósł stamtąd mały domowy ołtarzyk, przed którym moja matka prowadziła swoje żarliwe rozmowy z Bogiem. Postawił go przede mną i powiedział:

- Allah Wszechwiedzący, Wszystkiego Świadomy, zdołał was obudzić z trzydniowego snu, pani, może Bóg chrześcijan potrafi skłonić was do mówienia. Proszę, spróbujcie się pomodlić.

- Nie, to niepotrzebne - wymruczałam ledwo dosłyszalnie.

- Och, pani! - Latif z radości klasnął w dłonie. - A więc jednak możecie jeszcze mówić! Kto by pomyślał, że Bóg chrześcijański tak szybko zdziała cud! Co się stało, że dziś rano tak nagle odebrało wam mowę?

Spojrzałam na niego i wyczytałam w jego twarzy radość, troskę i - wierność. Jeszcze nigdy nie zauważyłam u niego takiego wyrazu. Wyprostowałam się i postanowiłam opowiedzieć mu, co się stało, gdyż zasłużył na to, chociaż był tylko służącym.

- Nagle wszystko mi się przypomniało - rzekłam. - Ktoś zażądał ode mnie, bym uśmierciła Giancarla, mojego małego synka.

- Co? - Latif z przerażenia zakrył sobie usta dłonią. - Kto tego od was żądał?

- Doktor Tagliacozzi. To on jest... ojcem małego Giancarla.

- Ten najniewiemiejszy ze wszystkich niewiernych! Ech, wybaczcie, pani, ale ten człowiek jest bardzo zły. Wiem, że ciągle przychodził do naszego domu, wiem też, że wy z nim... ale to teraz nieważne. W każdym razie zgrzeszył. Jak ciężko, to wie tylko Allah, gdyż powiada Mahomet, że już po czterdziestu dniach w owoc łona kobiety zostaje tchnięta dusza, i to przez anioła. Wasz synek na pewno ma już duszę, pani, i choćby dlatego usunięcie ciąży jest niemożliwe.

- Wolalabym umrzeć, niż spędzić płód. Kocham Giancarla.

- Allah kocha wszystkie dzieci, jak mówiłem, a ja kocham Allaha, a więc kocham też wszystkie dzieci, łącznie z waszym synkiem.

- Dziękuję, Latifie.

- Musicie jeść, pani, inaczej opadniecie z ciała. Mam chleb, szynkę i czarne oliwki. Już po nie idę.

Przyniósł potrawy, a ja zjadłam, chociaż nie czułam głodu. Latif chciał przynieść więcej, ale odmówiłam.

Daj mi lepiej moje książki - powiedziałam. - Dzieła Hildegardy z Bingen i Trotuli z Salerno.

Dlaczego akurat te, pani? Macie przecież tyle książek.

- Hildegarda i Trotula to były silne, uczone i niezależne kobiety, i ja też chciałabym być taka.

- Zgoda, pani. Uważam, że uczone już jesteście.

Dwa dni później w Bolonii święcono Boże Narodzenie. Jak każdego roku, wszyscy zdążali do kościoła na pasterkę, ja jednak zostałam w domu z Latifem. Zabronił mi daleko chodzić, i w ogóle troszczył się o mnie jak kwoka.

Nie odstępował mnie na krok, a jego towarzystwo było mi miłe, bo był zabawny i pełen energii i odrywał mnie od smutnych myśli. Tak samo jak ja nabrał zwyczaju rozmawiać z Giancarlem. Robił to często, a słowa, które mówił, wywoływały czasem mój uśmiech.

- *Buonasera*, mój mały - powiedział wieczorem dwudziestego czwartego grudnia. - Myślisz, że nie mogę cię widzieć w brzuchu, ale mylisz się, gdyż wyraźnie zobaczyłem, jaką minę zrobiłeś do twojej mamy, gdy zganiła mnie za nieudane ciasto. Nie należy wykrzywiać się do mamy, słyszysz, nawet jeśli przygana była może troszkę niepotrzebna.

Pogroziłam Latifowi palcem.

- Ciasto naprawdę nie było dobre. Lepiej kup szybko jakieś gotowe. Zjemy je, a potem będziemy świętować Boże Narodzenie, chociaż jesteś muzułmaninem.

- Nie wiem, czy Allah to pochwali, pani.

- Rozwiń swój dywanik i spytaj go.

- Dobrze, pani.

Późno wieczorem siedzieliśmy razem, jedliśmy kupione ciasto i słuchaliśmy niemilkających dzwonów w kościołach Bolonii. Zapaliłam więcej świec i spróbowałam zagrać na gambie jakiś niedługi utwór, bo pomyślałam, że spodoba się małemu. Gdy skończyłam, Latif z pełnymi ustami powiedział:

- Boże Narodzenie jest bardzo nastrojowe, pani. Można spokojnie świętować częściej. Dziękuję Allanowi, że pozwolił mi uczestniczyć w tym święcie.

- A dlaczegożby miał ci nie pozwolić? Także w Koranie występuje nasz Pan Jezus, tyle że tam nazywa się *Isa bin Maryam*, Jezus, syn Maryi.

- Bardzo dużo wiecie, pani.

- Dużo czytam.

Latif spałaszował ostami kawałek ciasta i popił wodą aromatyzowaną rozmarynem.

- Wiem, że zaczęliście czytać nową książkę. Jaki ma tytuł?

- *De humano foeto*. Mówi o ludzkim płodzie i została napisana przez profesora Aranzia. Bardzo ciekawe dzieło i mam nadzieję, że wiele z tej wiedzy uda mi się spożytkować dla dobra małego Giancarla.

- Też mam taką nadzieję, pani.

- Postanowiłam, że skupię się tylko na ciąży i zbliżającym się porodzie. Cała reszta jest nieważna.

- Rozumiem, pani.

- Zaraz na początku roku chcę pójść do przełożonej San Lorenzo i poprosić ją o dłuższy urlop. Powiem jej, że potrzebuję czasu na wewnętrzne skupienie, aby dojść do ładu ze sobą. Chcę rozpocząć nowe życie, życie, które będzie płynęło spokojnie i bez wstrząsów; mam już dosyć rozczarowań.

- Ja także musiałem znieść w życiu wiele rozczarowań, pani. Dlatego pozwólcie mi być u waszego boku.

Rok 1577 zaczął się tak, jak sobie zaplanowałam. Uregulowałam sprawy, które zamierzałam uregulować, i żyłam z Latifem z dala od świata, na Strada San Felice. Ku mojemu zdumieniu sługa, który, tak jak i wcześniej, nie przejawiał talentów kulinarnych i gospodarskich, odkrył w sobie smykałkę do prac rzemieślniczych. Pewnego dnia zaskoczył mnie, gdy zdyszany wtaszczył do mojej sypialni kołyskę.

- Dla Giancarla, pani - powiedział. - Sam ją zrobiłem. Obejrzałam kołyskę ze wszystkich stron. Zbita była z piniowych

desek, miała dobre proporcje i pomalowana była w zabawne, kolorowe figury.

- Jest prześliczna - powiedziałam. - Giancarlo się ucieszy. Latif postawił kołyskę koło mojego łóżka.

- Kiedy to właściwie będzie, pani?

Chodzi ci o poród? Mój synek przyjdzie na świat najprawdopodobniej w połowie lipca.

- Mam nadzieję, że go nie przestraszę.

- Co masz na myśli?

Latif postukał się znacząco w kikut nosa.

- Ach, o to ci chodzi. To mu nie będzie przeszkadzać. Niemowlę nie odróżnia tego, co ładne, od tego, co brzydkie.

- Widzicie, pani, sami to powiedzieliście: jestem brzydki!

- Ależ nie. - Szukałam właściwych słów. Absolutnie nie chciałam urazić Latifa, toteż powiedziałam: - Przecież ja też jestem oszpecona.

Latif popatrzył na mnie smutno.

- U was to co innego. Wy macie połowę twarzy kryształową i drugą rubinową, ja natomiast mam tylko dziurę. Nie moglibyście spróbować operacji?

W rzeczy samej często myślałam o tym, by przeprowadzić u niego rekonstrukcję nosa, ale za każdym razem przestraszona zarzucałam ten pomysł. Z powodu jego taszy - to raz, z powodu jego skłonności do biadolenia i awanturowania się - to dwa. Postanowiłam nie dawać mu konkretnej odpowiedzi. Zamiast tego powiedziałam:

- Jak właściwie doszło do okaleczenia twojego nosa? Już parę razy cię o to pytałam, ale ty zawsze wymigiwałeś się od odpowiedzi.

- Ach, pani. - Latif popatrzył z komiczną desperacją. - To najsmutniejszy rozdział mojego żywota. Czy naprawdę muszę o tym mówić?

- Myślę, że już najwyższa pora. Lekarz, który miałby dokonać operacji, musi wiedzieć wszystko o swoim pacjencie, a zwłaszcza o tym, jak doszło do schorzenia. Tylko wtedy może skutecznie pomóc.

- Dobrze więc, pani. Opowiem o tym, ale nie jest to chlubna karta w moim życiu. Zachowałem się bardzo głupio i zostałem za to dotkliwie ukarany.

- Usiądź, Latifie, i nie spiesz się. Słucham.

Latif umieścił swe obfite ciało na solidnym krześle i zaczął opowieść:

- Jak wiecie, pani, byłem nic nieznaczącym eunuchem w Yeni Sarayi sułtana Murada III. Sam sułtan był człowiekiem znośnego charakteru, czego nie można powiedzieć o jego pierwszej głównej żonie, *haseki*. Jest kapryśna jak mimoza i niebezpieczna jak szerszeń. A niecierpliwa! Z jej oczu strzelają błyskawice, gdy przy wypełnianiu

jej rozkazów następuje choćby najdrobniejsze opóźnienie. Zazwyczaj nie miałem z nią do czynienia - byłem zbyt nieznaczącym pyłkiem - ale pewnego upalnego sierpniowego dnia w przedostatnim roku dopadł mnie pech, musiałem bowiem zastąpić jej osobistego sługę od poruszania wachlarza.

- A któż to jest, sługa od poruszania wachlarza? - zapytałam.

- Już wam przecież opowiadałem, pani, że w Yeni Sarayi do każdej najdrobniejszej czynności jest osobny człowiek, a więc także ktoś, kto owiewa *haseki* chłodnym powietrzem. Jednakże moja ręka nie miała zbytnej wprawy w tej sztuce, z której to przyczyny pierwsze ruchy wachlarza ze strusich piór wykonywałem dość niezdarnie i za wolno. A potem stało się, co musiało się stać. Ona mnie zgromiła, że mam wachlować szybciej, a ja w moim szaleństwie odrzekłem: „Tak jest, najjaśniejsza pani. Czynię, co w mojej mocy, ale trawa nie urośnie szybciej, kiedy ją ciągnąć”.

- Trawa nie urośnie szybciej, kiedy ją ciągnąć? Cóż to za osobliwe wyrażenie?

- To arabskie przysłowie, pani. Oznacza, że wszystko potrzebuje czasu. W krajach Zachodu istnieje podobna sentencja, brzmi chyba: każda rzecz w swoim czasie. Myśl, która się za tym kryje, jest bardzo mądra, byłem jednak na tyle głupi, że wypowiedziałem ją wobec *haseki*. Moja wypowiedź była w najwyższym stopniu *haram*, co znaczy mniej więcej tyle co „zakazana” czy „niedopuszczalna”. Tym bardziej że to zdanie wymknęło mi się w trakcie oficjalnego wystąpienia *haseki*. Kilka osób stojących nieopodal je usłyszało i zaczęło chichotać, zasłaniając usta ręką. Latif przerwał, sapnął i upił duży łyk wody, by zwilżyć usta.

- Napij się wina - powiedziałam życzliwie. - Wino rozwiązuje języki lepiej niż woda, zwłaszcza przy przykrych tematach.

- Nie, pani, tylko nie wina! Jako muzułmaninowi nie wolno mi pić alkoholu. To już wolę dalej opowiadać. A więc, po moim niesłychanym nietakcie nic się zrazu nie wydarzyło. Przez parę dni myślałem, że ujdzie mi to na sucho, ale naturalnie się myliłem, gdyż *haseki* zemściła się okrutnie. Nie zrobiła tego sama, lecz wysłała dwoje swych szczególnie zaufanych pomocników. Byli to wspomniana już przeze mnie Afet, jedna z ulubionych konkubin sułtana, i Kizlar

Agasi, naczelnik czarnych eunuchów. Zastawili na mnie pułapkę, w którą na oślep wpadłem. Trzy dni po tym, gdy pozwoliłem sobie na niestosowną uwagę wobec *haseki*, Afet poleciła, żebym po upiększającej kąpieli natarł jej ramiona olejkiem różanym. To nie było nic niezwykłego, gdyż robiłem to każdego dnia, ale musicie wiedzieć, że jest bardzo wiele rodzajów olejku różnej jakości, i tego dnia miałem użyć najcenniejszego, jaki był w całym pałacu. Uzyskuje się go wyłącznie z krwistoczerwonych róż, a na uzyskanie paru jego kropeł potrzeba wiele wozów wyselekcjonowanych kwiatów. Używałem tego olejku z należnym respektem. Podczas gdy wmasowy-wałem go ostrożnie w delikatną skórę Afet, zjawił się Kizlar Agasi i zameldował, że sułtan życzy sobie rozmawiać z konkubiną Afet. Afet skłoniła się ze czcią i niezwłocznie usłuchała rozkazu. Wychodząc, poleciła mi, bym zaniósł drogocenny olejek do jej sypialni, gdzie miałem na nią czekać.

Wziąłem zatem złoty flakonik z olejkiem i zaniósłem do jej sypialni. Gdy tam przyszedłem, jeden z jej służących wezwał mnie, bym zaniósł olejek do salonu konkubin. Znowu usłuchałem, a stamtąd musiałem zanieść olejek do pomieszczeń, gdzie przechowywano olejki, balsamy i esencje. Potem musiałem się udać jeszcze gdzieś indziej, i jeszcze raz, i jeszcze. Wy nazwalibyście to chyba Odyseją, tyle że absolutnie nie byłem tego świadom, chociaż coraz bardziej mnie to dziwiło. Ta wędrówka zakończyła się wreszcie przed jedną z potężnych bram prowadzących do miasta, gdzie ku mojemu zaskoczeniu przystąpił ku mnie Kizlar Agasi.

- A gdzież to ci tak pilno, Latifie? - spytał słodziutkim głosem. - Chyba nie chcesz bez zezwolenia opuścić pałacu?

Dopiero w tym momencie domyśliłem się, że chcieli mi splatać przerażającego figla. Pospiesznie zaprzeczyłem i wyjąkałem coś o moim błąkaniu się po rozlicznych budynkach, ale Kizlar Agasi zdawał się nie słuchać moich słów, tylko zapytał:

- A co to za złoty flakonik trzymasz tam pod szatą? Wyjaśniłem, że to olejek do masażu Afet, i znów zacząłem się usprawiedliwiać, ale tamten potrząsnął głową i rzekł:

- Nigdy nie słyszałem tak zuchwałych kłamstw. Powiem ci, co się stało: ukradłeś drogocenny olejek, chciałeś go wynieść ukradkiem

z pałacu i sprzedać na bazarze, żeby podwyższyć swoje pantoflowe. Hańba ci, nie jesteś godzien być służącym szlachetnej Afet! Straż!

Natychmiast zjawili się dwóch żołnierzy pałacowych. Złapali mnie i wrzucili do najgłębszego lochu w pałacu. Krzyczałem i płakałem, przysięgałem, że jestem niewinny, ale oni się tylko śmiali i zamknęli drzwi. Siedziałem więc w ciemnym, zimnym pomieszczeniu i z rozpaczki waliłem pięściami w ściany, ale jedynymi istotami, które słyszały moje błagania, były szczury.

Nie chcę was nużyć dalszymi szczegółami, pani, powiem jeszcze tylko, że trzeciego dnia moich cierpień zakomunikowano mi, że dopuściłem się zdrady i zostanę ukamienowany przez miejski motłoch, co miało stanowić wielką łaskę, gdyż zazwyczaj złodzieje są torturowani na śmierć. Jednakże w wieczór mojego ukamienowania Allah musiał się nade mną zlitować, gdyż sprawił, że moi dwaj strażnicy się upili i ze złośliwością, właściwą tylko pijanym, wyciągnęli mnie z mojej celi, by zabawić się ze mną w „egzekucję”. Rzucali we mnie kamieniami, ale były małe i na dodatek źle celowali, tak że nie zdołali mi wyrządzić krzywdy. To ich rozsierdziło, jeden wyciągnął miecz, wybełkotał, że teraz on jest moim katem, i kilka razy machnął nim tuż przed moją twarzą. To się spodobało drugiemu i zaczął go naśladować, podczas gdy ja musiałem stać sztywno jak kij z plecami przy ścianie. No cóż, pani, możecie sobie wyobrazić, co się stało. Gdy czubek mojego nosa spadł na ziemię, ryknęli śmiechem, uderzali się po udach i pili dalej, podczas gdy mnie po twarzy ciekła krew. Ale, jak powiedziałem, Allah był przy mnie. Zadbał o to, by moi oprawcy z piekła rodem dalej pili i w którymś momencie padli bez przytomności na ziemię. To dało mi możliwość ucieczki. Allah Litościwy, Miłosierny, prowadził mnie i mimo moich obrażeń udało mi się dobiec do portu i ukryć się na statku, który następnego ranka wypływał do Wenecji. Wenecja to piękne, radosne miasto, jak dobrze wiecie, ale ledwo tam dotarłem, dzuma objęła ją śmiertelnym uściskiem. Ja także padłbym pewnie ofiarą zarazy, gdybyście nie przybyli wy, pani. Będę wam za to wdzięczny po wsze czasy.

Przypomniałam sobie, jak to na początku nie byłam zachwycona pomysłem, by zatrudnić go jako służącego, ale zachowałam tę myśl dla siebie, a głośno rzekłam:

- Rada jestem, że opowiedziałeś mi wszystko. Z pewnością nie przyszło ci to łatwo. Jeśli mam ci operować nos, musisz wiedzieć, że to też nie będzie dla ciebie łatwe. Korektura okaleczonego nosa to długotrwały proces, trwa miesiącami. Kto chce go przetrwać, musi okazać silną wolę i dużo cierpliwości. I musi umieć znosić ból. Jesteś pewny, że to wytrzymasz?

- Wielki ból, pani?

- Tak, byłoby kłamstwem powiedzieć, że nie.

- O, pani, myślę, że moje okaleczenie nie jest jednak tak okropne, jak mi się wydawało.

- No to wszystko jasne. Wracaj zatem do pracy.

Następnego ranka Latif wydawał się głęboko pogrążony w rozmyślnościach. Krążył wokół mnie, a gdy go spytałam, co się z nim dzieje, odpowiedział:

- Przespałem się jeszcze ze sprawą operacji, pani. Myślę, że mógłbym się na nią odważyć, gdybym wiedział, jaki będę musiał znosić ból.

- Tego nikt ci nie potrafi dokładnie powiedzieć. Ale jeśli chcesz, opowiem ci o przewrotnej naturze bólu.

- Tak, pani, to by może było pomocne. Odłożyłam na bok szycie i powiedziałam:

- Ból to *phaenomenon*, którego uczeni do dziś nie rozumieją do końca, gdyż nie można go ani zobaczyć, ani dotknąć, ani usłyszeć, ani poczuć węchem, a jednak bez wątplenia istnieje. Zazwyczaj idzie w parze ze zranieniem. Są jednak też bóle, które występują chronicznie bez widocznej przyczyny albo pojawiają się od czasu do czasu, jak świdrujące bóle głowy. Niektórzy uczeni zaprzeczają jednak, by w tym wypadku chodziło o prawdziwy ból, twierdzą oni, że prawdziwy mogą powodować wyłącznie rany.

Ja nie należę do tej grupy. Pewne jest, że ból ma bardzo zróżnicowaną naturę i że w znacznym stopniu zależy od osobowości udrećzonej nim osoby. Może być tępy, ostry, kłujący, szarpiący bądź palący. Dociera on, takie jest zdanie wielu uczonych, od miejsca

zranienia poprzez włókna nerwów do szyszynki w mózgu. Ten proces można porównać z pracą zakrystiana w kościelnej wieży: w momencie, w którym ciągnie on linę, na drugim końcu rozbrzmiewa dźwięk dzwonu.

Latif kiwał głową. Słuchał mnie jak zaczarowany.

- I im gorsza rana, tym głośniejsze dzwoni, pani?

- Mniej więcej. Ja jednak nie wierzę w tę hipotezę, widziałam już bowiem niewielkie, niepozorne rany, które były nieporównanie boleśniejsze niż znacznie większe. Słyszałam też o żołnierzach, którzy nadal cierpieli ból, chociaż ich rany były dawno zagojone. Nawet amputowane kończyny mogą boleć, na przykład przy zmianie pogody. Jak już mówiłam, ból to *phaenomenon*.

- Tak, pani. Może się więc zdarzyć, że dzwony podczas mojej operacji nie będą dzwoniły zbyt głośno?

- Może tak być. Ale to mało prawdopodobne. W każdym wypadku dałabym ci medykamenty uśmierzające ból.

- Tak, pani. Zakładając, że w najbliższych dniach odegrałabyś rolę zakrystiana, to kiedy mój nos nadawałby się znów do pokazania?

- Sześć aktów tej procedury - zastanawiałam się głośno - trwa z reguły cztery do pięciu miesięcy. Najpóźniej w połowie czerwca powinienem mieć wszystko za sobą.

Latif podrapał się po głowie.

- To by się dobrze składało.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli, że to by się dobrze składało w czasie. Giancarlo przyjdzie na świat w lipcu. Mógłbym go wtedy powitać z moim nowym nosem. Przyjemna myśl! Myślę, że Allah Rozumny, Dobrotliwy też tak uważa. Kiedy mnie zoperujecie?

Zabieg oczywiście nie odbył się tak szybko, jak to sobie wyobrażał Latif. Pierwszą przyczyną były ogromne rozmiary kamizelki z kapturem, którą musiałam dla niego uszyć i w wielu miejscach specjalnie wzmocnić, drugą zaś, że operacja wymagała szczególnych instrumentów. Znalazłam więc wytwórcę pęset i narzędzi. Człowiek ów nazywał

się Salvatore Pestini i mieszkał w chylącym się ze starości domu, który wydał mi się znajomy. Stojąc przed nim, zrozumiałam dlaczego. Tutaj miał niegdyś swój sklep Alberto Dominelli, ów wątyły stary człowiek, który sprzedał mi Ewę, moją ukochaną lalkę anatomiczną. Jednak szyld *Corpus in perfectio natura* ustąpił miejsca innemu. Można tam było teraz przeczytać: *Instrumenti et machinae*.

Weszłam do środka, gdzie przywitał mnie otyły mężczyzna o wylupiastych oczach. Wszystko w nim było mięsiste z wyjątkiem rąk - te były drobne i delikatne, i najwyraźniej bardzo zręczne, gdyż wytwory jego sztuki leżące na półkach i w gablotach wyglądały na wykonane nienagannie. Zapytałam o Alberta Dominellego, a kupiec wyjaśnił niechętnie, że nie może już słuchać tego pytania. Każdy chce wiedzieć, co się stało z tym starym człowieczkiem, a przecież nie jest tajemnicą, że rok temu przeniósł się na tamten świat. Przeprosiłam za moją niewiedzę i wyjaśniłam, że niebawem będę musiała asystować przy sztukowaniu nosa i otrzymałam zlecenie nabycia specjalnych szczypiec z poprzecznie biegnącymi szczelinami w szczękach.

- Tak, mam coś takiego - odparł.

- Obawiam się, że nie - powiedziałam. - Podczas pierwszego aktu operacji mam za zadanie przystawić szczypce do ramienia i ścisnąć, aby można było wyciąć płat skóry w formie mostka. Problem w tym, że pacjent ma wyjątkowo grube ramiona, a ja jestem tylko słabą kobietą. Dlatego potrzebuję dużych szczypiec z chwytakami, które mają na końcu regulowany mechanizm zaciskowy, co odciąży mi rękę przy trzymaniu.

- Rozumiem - rzekł mistrz Pestini - ale czegoś takiego nie ma.

- Dlatego tu jestem. Może moglibyście wykonać takie szczypce? Chirurg przeprowadzający operację myślał o wielostopniowym mechanizmie zaciskającym, mniej więcej takim. - Wyciągnęłam kartkę, na którym sangwiną narysowałam szkic.

- A kto jest operatorem?

Tego pytania się obawiałam. Powiedziałam:

- O tym nie wolno mi mówić, pacjent jest osobą znaną w mieście i nalega na absolutną dyskrecję.

- Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nosicie woalkę. Nie wolno mi was poznać, nieprawdaż?

- Otóż to - rzekłam i zawstydziłam się swojego kłamstwa. Pestini jednakże zdawał się niczego nie zauważyć i pochylił się nad rysunkiem.

- Hmm, to chyba da się zrobić, ale zamknięcie jest bardzo nietypowe.

- Proszę, zróbcie ten instrument.

Opisałam mu wielkość i poszczególne, wymiary, jakich potrzebowałam. W końcu zgodził się wykonać narzędzie w ciągu tygodnia, pod warunkiem że wpłacę zaliczkę. Zrobiłam to i wkrótce się pożegnałam. Wychodząc, słyszałam, jak mruczał do siebie:

- W rzeczy samej, bardzo nietypowy instrument, bardzo nietypowy.

Na temat sześciu aktów rekonstrukcji, którą wykonałam u Latifa, nie mam zbyt wiele do powiedzenia, poza tym, że mój sługa okazał się zaskakująco dzielny. Jęczenie i stękanie z powodu uciążliwości zabiegu, których się obawiałam, zostały mi prawie oszczędzone. Latif siedział na łóżku jak na tronie, niczym potężny Budda, miał na sobie dodatkowo usztywnioną kamizelkę z kapturem, co znosił z wielką godnością, i mówił:

- Mały Giancarlo ledwie zauważy, że mam nowy nos, czyż nie, pani?

- Jak wszystkie niemowlęta, z początku będzie szukał tylko ciepła, mleka i poczucia bezpieczeństwa - odparłam z uśmiechem - ale później nic w twojej twarzy nie wyda mu się niezwykle. Oczywiście jeśli wszystko pójdzie dobrze.

- Myślicie, że tak będzie, pani, mimo że nie jestem w stanie rozwinąć dywanika i odmówić przepisowych modlitw?

- Ale przynajmniej ustawiłam twoje łóżko tak, by było skierowane na Mekkę, a twój dywanik rozłożyłam w jego nogach.

- Tak to też wytłumaczyłem Allahowi.

- Z pewnością wszystko będzie dobrze.

Pewna trudność wynikła jednak na początku drugiego aktu, gdy Latifowi nie wolno już było opuszczać łóżka, a wkrótce poczuł bardzo ludzką potrzebę. Była to jedna z tych sytuacji, z którymi w szpitalu u siostr miałam do czynienia tysiące razy, dlatego też nie

zastanawiając się długo, przyniosłam płaskie metalowe naczynie, które z niejakim trudem wsunęłam mu pod siedzenie, po czym opuściłam pokój, by zająć się czymś innym. Później wróciłam, wyciągnęłam naczynie i zobaczyłam, że jest puste. Latif siedział na łóżku i przewracał oczami.

- Cóż to? Potrzebujesz środka na przeczyszczenie? To nic takiego. Każdemu może się zdarzyć obstypacja.

- To nie to, pani.

- A co?

Latif, zawsze tak rozmowny, tym razem miał kłopot z wysłowieniem się.

- No mów już. - Specjalnie przybrałam szorstki ton, dodając: -Zapomnij, że jestem twoją panią, pomyśl po prostu, że jestem siostrą, która cię pielęgnuje.

- Tak, pani - powiedział cicho. - Czy moglibyście mi przynieść moją trzcinową rurkę?

- Twoją trzcinową rurkę? Nawet nie wiedziałam, że masz coś takiego. A po co ci ta rurka?

- Przynieście mi ją po prostu, pani.

Kręcąc głową, opuściłam pokój i po jakimś czasie znalazłam to, czego potrzebował Latif. Wziął rurkę z wyraźną ulgą i poprosił, bym poczekała za drzwiami. Miałam zrozumienie dla jego wstydlivości, ale nie miało to wielkiego sensu, skoro wcześniej czy później i tak będę mogła obejrzeć produkty jego przemiany materii. Nic jednak nie powiedziałam.

Po kilku dniach przypomniałam sobie o tym i spytałam Latifa:

- Do czego była ci potrzebna ta rurka?

- Ach, to nic ważnego, pani.

- Nic ważnego? No już, mów, o co chodzi? Pacjent nie może mieć tajemnic przed swoim lekarzem.

- Ja, ja... - Tak?

- Jestem eunuchem, jak wiecie.

W rzeczy samej, nie była to dla mnie żadna nowość, ale milczałam i nie ponaglałam Latifa.

- My, eunuchy, jesteśmy wykastrowani.

- Tak, to oczywiste. - To także wiedziałam. O ile mi wiadomo, kastracja polegała na usunięciu jąder. Co to miało wspólnego z trzciniową rurką, było dla mnie niepojęte.

- Potrzebuję... potrzebuję rurki do oddawania moczu. Ciągle jeszcze nie rozumiałam.

Latif zmagął się ze sobą i w końcu rzekł:

- Kiedyś i tak byście się tego dowiedzieli, pani. Mogę więc powiedzieć to od razu. U mnie... tam na dole nic nie ma. Zupełnie nic. Podczas kastracji wszystko zostało usunięte, by się tak wyrazić, z korzeniami. Dlatego potrzebuję rurki do oddawania moczu.

Byłam wstrząśnięta, a zarazem osobliwie poruszona. Nigdy bym nie pomyślała, że mój rezolutny sługa cierpi z powodu takiej niehumanitarnej przypadłości. Szukałam słów, by pomóc mu przetrwać zakłopotanie, ale nic nie przychodziło mi do głowy. W końcu powiedziałam:

- Moja rubinowa i kryształowa połowa także przysparzają mi zmartwienia. Nie wiem, czy ci opowiadałam, ale był taki czas,

kiedy regularnie smarowałam się białą ołowiową, żeby nie zwracać na siebie uwagi wśród ludzi. W ostatnich dniach jednak obie połowy twarzy swędzą mnie tak bardzo, jakby pokąsał mnie rój komarów.

- I myślicie, że to skutek tego bielidla?

- Tak przypuszczam. Biel ołowiowa jest toksyczna, to mogą być spóźnione następstwa.

- Nie wiedzieliście o tym wcześniej?

- Owszem, wiedziałam. Żeby być szczerą, używałam jej także ze względu na doktora Tagliacozziego.

- Ten okropny człowiek! Oby Allah sprawił, by odpadła mu ręka. Bardzo mi was żal, ale jako lekarka znacie pewnie jakiś środek przeciwko świądowi?

- Sprawdzonym środkiem jest ponoć talk, ale w tym momencie go nie mam.

Latif się zastanowił. Nagle jego twarz się rozjaśniła.

- No przecież! - wykrzyknął. - Opowiadaliście mi, że nacieraliście waszą złotą maskę talkiem, żeby nie drażniła skóry twarzy. Powinniście ją nosić.

- Sama nie wiem.

- Zróbcie to, pani, proszę. Przy okazji uradujecie moje serce, gdyż jak zapewne pamiętacie, maska to prezent ode mnie.

- No dobrze, spróbuję.

Od tej pory zakładałam maskę, z początku ze względów zdrowotnych, a później, gdy świad ustał, ponieważ coraz bardziej się do niej przyzwyczajałam. Narodziło się z tego między mną a Latifem żartobliwe powitanie. Za każdym razem, gdy rankiem podchodziłam do jego łóżka, mówił:

- Dzień dobry, droga Wenus!

Był to zwrot, który właściwie nie przystoi służącemu, ale nasz wzajemny stosunek w okresie, gdy byłam brzemienna, stał się dużo bardziej zażyły, i dlatego nie miałam nic przeciwko temu. Poza tym Latif był jedynym mężczyzną, jakiego widywałam, i taki niewinny, codzienny komplement miał na mnie zbawienne działanie.

- Dzień dobry, droga Wenus! - przywitał mnie pewnego ranka w trakcie trzeciego aktu zabiegu. - Jak się czujecie, wy i mały Giancarlo?

- Giancarlo ma się dobrze, tyle że chyba za nic ma potrzebę snu swojej mamy, bo nocą jest szczególnie ruchliwy. Kopie i harcuje w moim brzuchu tak mocno, że rzadko kiedy udaje mi się spać.

- Czy mam z nim porozmawiać, pani? Roześmiałam się.

- Myślisz, że to pomoże?

Latif popatrzył szelmowskim wzrokiem.

- Kto wie, Giancarlo i ja dobrze się rozumiemy. To ze względu na niego spróbowałam schudnąć. Nie chciałam, żeby przestraszył się takiego wielkiego, grubego mężczyzny jak ja.

- Ty schudłeś? - zdumiałam się. - A gdzie niby?

- Dopiero próbowałam, pani, i te próby jeszcze się nie zakończyły. Jeśli tak się Allahowi spodoba, to niebawem będę szczuplejszy. Jednak do tej pory jeszcze nigdy nie spodobało mu się uczynić mnie chudszy, mimo moich licznych starań.

- Zawsze byłeś taki gruby?

- Ależ nie, pani! Jako dziecko byłem wiotki jak topola, a cerę miałem jak mleko. Może uwadze Allaha umknęło, że w Yeni Sarayi przez wiele lat musiałem kosztować potraw, zanim spożył je sułtan. To było jeszcze za czasów Selima II, słusznie zwanego Pijakiem. Jego największym zmartwieniem było, że zostanie otruty po pijanemu. Dlatego, zanim spożył pierwszy kęs, kazał próbować potrawy tuzinowi ludzi. Żeby mieć całkowitą pewność, zatrudniał w tym celu mężczyzn i kobiety w najróżniejszym wieku, ale także dzieci. Jednym z tych dzieci, które wołano po prostu *taygun*, czyli „dziecko”, byłem ja.

- I co dalej? - pytałam.

- No cóż, pani, od tamtej pory jestem taki, hmm, korpulentny, mimo moich rozlicznych starań, by schudnąć. Kto bowiem raz osiągnął pokaźną wagę, ten zostaje taki przez całe życie, choćby jadł nie wiem jak mało.

- Czy to znaczy, że już zawsze będziesz taki gruby?

- O nie, pani, wcale nie. Zaraz jutro zacznę głodówkę.

Naturalnie Latif nie schudł ani grama, co jednak zdawało mu się nie przeszkadzać - przeciwnie, cały czas był w doskonałym humorze, gdyż bóle prawie ustąpiły, a proces gojenia przebiegał zadowalająco. Tym bardziej byłem zaskoczona, gdy rankiem przed rozpoczęciem czwartego i piątego aktu przywitał mnie grobowym głosem:

- Dzień dobry, pani - choć miałam na sobie maskę.

- A gdzie twoje zwykłe powitanie? - zapytałam.

- Dzień dobry, droga Wenus - poprawił się. Słowa te jednak odklepał jak uczeń recytujący wiersz.

- Co się dzieje? - zapytałam. - Żle spałeś? - Nie.

- Masz bóle?

- Nie.

- Jesteś głodny?

- Nie, nie, pani. To nic takiego.

Usiadłam koło niego na brzegu łóżka i zrobiłam najpierw to, co robiłam zawsze wczesnym rankiem - sprawdziłam, czy bandaż i pasy na jego twarzy dobrze się trzymają, zmierzyłam puls, obejrzałam

język i skontrolowałam, co zrobił w nocy do metalowego naczynia. Potem powiedziałam:

- Twojemu ciału nic nie dolega, więc coś, co cię dręczy, musi się dziać w twojej głowie. No już, mów, o co chodzi.

- Jesteście bardzo dobrym chirurgiem, pani.

- Dziękuję. Ale chyba nie to chciałeś mi powiedzieć.

- Nie... to znaczy tak. Czekałam.

Po chwili Latif podjął kolejną próbę.

- Chodzi o tę trzciniową rurkę, pani. Wiecie już, do czego jej potrzebuję.

- Tak, naturalnie.

- No więc, pomyślałem, że byłoby pięknie, gdybym nie musiał jej już używać. Chodzi mi o... - zrobił wymowną pauzę.

- Nie musisz więcej mówić. Rozumiem, czego byś chciał.

Latif rozumował logicznie. Spodziewał się, że skoro można zrekonstruować nos, to może uda się to też z członkiem. Ale niestety, wedle całej mojej wiedzy nie było to możliwe.

- To niestety nie... - zaczęłam i natychmiast przerwałam, bo Latif wpatrywał się we mnie tak błagalnym wzrokiem, z taką nadzieją, że nie miałam serca pozbawiać go złudzeń - ...jest takie proste -dokończyłam. - Nie wiem, czy to się w ogóle da zrobić. Ale przejrzę moje księgi, a potem ci powiem.

- Dobrze, pani. Dziękuję! - Oczy Latifa rozblęły.

- Ale teraz zajmijmy się twoim nosem.

Bardzo ostrożnie oddzieliłam płat skóry od ramienia i oswobodziłam Latifa z usztywniających bandaży. Przez dwadzieścia dni siedział w łóżku z przygiętym do głowy ramieniem, teraz wreszcie mógł je opuścić. Pomogłam mu przy tym, bo mięśnie osłabły wskutek braku ruchu. Następnie jeszcze raz dokładnie obejrzałam miejsce operacji i stwierdziłam z zadowoleniem, że skrawek skóry wszędzie dobrze przyrósł, a spora jego część wystawała znad okaleczonego nosa.

- Wszystko jest na najlepszej drodze - powiedziałam. - Teraz odświeżę kikut nosa i spodnią część zwisającego płata skóry narzędziem przypominającym tarkę. Możesz znieść ten ból? - spytałam, robiąc zabieg.

- Tak, pani.

Latif chciał poruszyć oswobodzonym ramieniem w obie strony, ale zabroniłam mu tego, bo musiałam się skupić. Po wykonaniu wszystkiego, co trzeba, powiedziałam:

- Tym samym zakończony został czwarty akt, niechaj się zacznie piąty. Nastąpi teraz modelowanie nosa.

- Nareszcie, pani! Oby Allah prowadził pewnie waszą rękę. Przycisnęłam na próbę zwisający z nosa kawałek skóry do górnej

wargi, aby mieć absolutną pewność, że później można będzie z niego uformować *septum* i dziurki nosa. Ostrożnie zszyłam płat, co Latif zniósł nieporuszony. Następnie unieruchomiłam wszystko za pomocą bandaży, które związałam na potylicy. Uważałam na to, by przylegały dobrze, ale nie za ściśle.

- Skończyliście, pani?

- Na dzisiaj tak. Do przymocowania *septum*, do szóstego aktu, upłynie jeszcze dziesięć albo dwanaście dni.

- A ja myślałem, że wszystko będzie skończone dziś. ?

- Cierpliwości, Latifie, cierpliwości.

Latif musiał poczekać jeszcze dziesięć dni, zanim wystający płat skóry dobrze przyrósł. Wykorzystałam ten czas, by przestudiować moje księgi w poszukiwaniu przykładów operacji rekonstruujących członek metodą *per insitionem*, czyli przeszczepu. Robiłam to zazwyczaj nocą, kiedy i tak nie mogłam spać, bo w moim brzuchu harcował Giancarlo.

Nie znalazłam jednak ani jednego opisu takiego zabiegu. Latifa, który co jakiś czas pytał mnie, jak się rzeczy mają, pocieszałam, mówiąc mu, że ciągle jeszcze sprawdzam możliwości; zdawałam sobie sprawę, że nie jestem wobec niego szczerą. Aby uspokoić sumienie, zrobiłam to, o czym myślałam od miesięcy - napisałam do Maurizia, mojego dzielnego, opiekuńczego przyjaciela, który tak heroicznie walczył z dżumą w Wenecji. Zdałam mu pokrótce relację z tego, co się ze mną od tamtej pory działo, nie wspominając jednak wystawionej przez niego opinii na temat działania ziół *amomum i costus*, wyraziłam nadzieję, że miewa się dobrze, a na koniec

zadałam pytanie, czy wie coś o możliwościach rekonstrukcji penisa. Wyjaśniłam, że chodzi o Latifa, mojego służącego, którego z pewnością pamięta. Zakończyłam list życzeniami wszelkiej pomyślności, po czym go wysłałam.

Ten, kto wysyła list do Wenecji, zazwyczaj otrzymuje odpowiedź w ciągu sześciu lub ośmiu dni, ale od Maurizia nic nie nadchodziło. Ani w okresie przed szóstym aktem, ani kiedykolwiek później. Nigdy więcej nie miałam otrzymać od niego znaku życia. Wtedy jednak jeszcze tego nie wiedziałam, toteż nie martwiłam się zbytnio.

Po dziesięciu dniach ukołam niecierpliwość Latifa i rozpoczęłam szósty akt. Uformowałam dziurki nowego organu powonienia i zabrałam się za mocowanie *septum*. Wraz z utworzeniem nowej przegrody nosowej część operacyjna całej procedury została zakończona. Wetknęłam do dziurek drewniane *tubuli* i nałożyłam na nowy nos formujące *tectorium*. Następnie kazałam Latifowi pójść do pracowni i spojrzeć w *brutto nemico*.

- Jestem bardzo zdenerwowany, pani! - powiedział. - Pójdźcie ze mną, proszę.

- Nie - odparłam - Musisz to zrobić sam. Ja nie mogę spoglądać w lustro.

- A tak, chyba już mi to mówiliście. Z pomocą Allaha musi się powieść i bez was. Ciężkim krokiem powłókł się do sąsiedniego pokoju i stanął. Mimowolnie nadstawiłam uszu, ale nic nie usłyszałam.

- Musisz wyciągnąć *tubuli* i zdjąć *tectorium*, inaczej nic nie zobaczysz - zawołałam do niego, chociaż to przecież było oczywiste.

Znowu nic. A po chwili okrzyk.

- Allah dokonał cudu! Cud! Cud! Cud...

Latif wciąż wykrzykiwał to słowo. Była to dopiero moja druga rekonstrukcja, ale wyglądało na to, że udała się znakomicie.

- Pani! - Latif wbiegł z powrotem do pokoju. - Wybaczcie, jeśli przed chwilą o was zapomniałem. Naturalnie i wy sprawiliście cud. Z pomocą Allaha, jeśli mogę się tak wyrazić. Dziękuję, dziękuję wam!

- Chętnie to zrobiłam, Latifie. Przez dwa lata musisz jeszcze zakładać na nos kształtujący model, a potem będziesz miał twarz zupełnie jak dawniej.

- Niech Allah, władca Kaaby, ześle wam długie życie, pani.

- Jestem szczęśliwa, jeśli ty jesteś szczęśliwy. Ale pamiętaj: tam, gdzie jest słońce, tam i cień, gdzie góra, tam dolina, a gdzie szczęście, tam też cierpienie.

- Och, pani, co macie na myśli? - Latif przewracał oczami.

- Mówię to niechętnie, ale teraz przyszedł chyba odpowiedni moment. Pytałeś mnie, czy istnieje szansa na to, że kiedyś nie będziesz musiał używać trzcinowej rurki, i odpowiedź brzmi: nie. Nie znalazłam żadnych przykładów odbudowania męskiego członka z żywej tkanki, co jasno wskazuje na to, że taki zabieg nie jest możliwy. Jest jeszcze iskierka nadziei, napisałam bowiem do doktora Sangia w Wenecji. To nie tylko specjalista od zwalczania dżumy i znawca leczniczych ziół, ale także anatom o imponującej wiedzy. Być może wie coś o takiej śmiałej operacji.

- Tak, pani, może. - Latif zamknął oczy. Potem je otworzył i powiedział: - Ale jesteśmy zgodni co do tego, że jest to bardzo, bardzo mało prawdopodobne, czyż nie? - Ponieważ nie odpowiadałam,

ciągnął: - Człowiek powinien się cieszyć z tego, co ma, a ja mam nowy nos. Poza tym nie należy zbytnio wystawiać na próbę dobroci Allaha.

- Tak - rzekłam. - To dotyczy także Boga chrześcijan. W ten sposób zamknęliśmy ten temat na zawsze.

Latif był bardzo dumny ze swego nowego nosa. Już kilka dni po tym, gdy zobaczył go po raz pierwszy w *brutto nemico*, spieszyło mu się, by pokazać go publicznie. Utwierdziłam go w tym zamiarze.

- Oczywiście idź, świeże powietrze przyczyni się do tego, że zrekonstruowana skóra upodobni się do otaczającej ją skóry - powiedziałam.

Cieszyłam się, że zostanę sama z Giancarlem. Był dopiero początek czerwca, ale już kilka razy czułam w podbrzuszu przeszywające bóle pojawiające się falami i zastanawiałam się, czy to mogą być bóle porodowe. Chcąc zapobiec temu, aby synek opuścił moje bezpieczne łono przed terminem, dużo leżałam i oszczędzałam się, jak tylko

mogłam. Jadłam wyłącznie lekkostrawne pokarmy, czytałam przyjemne lektury, grałam na gambie i wymyślałam melodie, które, jak mi się wydawało, podobały się Giancarlovi. I rozmawiałam z nim.

- *Cocco mio* - mówiłam - nie spiesz się tak. Jeszcze jest czas. Gdybyś się zjawił teraz, nie byłbyś jeszcze całkiem gotowy, słyszysz?

Gdy podzieliłam się z Latifem moimi spostrzeżeniami, bardzo się przeraził i uznał, że powinnam się oddać pod opiekę lekarza.

- Doktor Valerini jest już wprawdzie stary, ale byłoby dobrze go wezwać - powiedział.

- Nie - odparłam. - Nie za bardzo lubię doktora Valeriniego. To ktoś, kto zbyt ceni pieniądze pacjenta.

- Wobec tego sprowadzę akuszerkę, pani.

- Przynieś mi lepiej szklankę wody i daj spokojnie poleżeć. Chce mi się pić.

- Pani, naprawdę się o was martwię - nie ustępował Latif, przyniósłszy wodę. - Macie bardzo duży brzuch, jakby w środku było dwóch Giancarloów, a nie jeden. Czy nie byłoby lepiej...

- To tylko wody płodowe - uspokajałam go. - Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, to zostań ze mną.

Przysiadł przy mnie i co chwila chwycił się za czubek swego nowego nosa, pytając:

- Pani, jak się czujecie?

Westchnęłam w głębi ducha i pomyślałam, że mężczyźni jako towarzystwo dla brzemiennych kobiet zaprawdę nie są szczególnym wsparciem. Wreszcie rzekłam:

- Jeśli chcesz jeszcze coś zrobić, to przygotuj mi uspokajający napój. Ukoj mnie i małego.

Zerwał się, pobiegł najszybciej, jak mógł, do kuchni i równie prędko wrócił.

- Jak się go robi, pani?

- Bierzesz środek uspokajający w proszku i rozpuszczasz go w ciepłej wodzie. Składa się on z mandragory, rumianku i chmielu. Znajdziesz wszystko w szafce z instrumentami medycznymi.

- Dobrze, pani.

Piłam przygotowany przez niego płyn małymi łykami, oparta wygodnie na łóżku. Latif ponownie przysiadł się do mnie i znowu zaczął wypytywać, jak się czuję.

- Przynieś mi książkę *De Humano foeto* profesora Aranzia -poprosiłam.

- Szukacie tam czegoś, pani?

- Tak. A kiedy mi ją już przyniesiesz, pozwól mi trochę poczytać, a potem się prześpię. Wszystko będzie dobrze.

Poszedł, przyniósł książkę, a potem zniknął, na wpół zatroskany, na wpół obrażony. Ale ja potrzebowałam trochę spokoju. Otworzyłam dzieło Aranzia i poszukałam rozdziału, w którym opisuje on swe doświadczenia z przedwczesnymi porodami. Nie obiecywałam sobie zbyt wiele po jego lekturze, ponieważ z powodu Giancarla już wielokrotnie go studiowałam, znalazłam jednak dwie wskazówki, które wcześniej umknęły mojej uwadze. Bardzo duża ilość wód płodowych, pisał profesor Aranzio, ma nierzadko związek z przedwczesnym porodem, podobnie jak infekcja w obrębie waginy. Jego wywody nie uspokoiły mnie bynajmniej, zwłaszcza że od kilku dni cierpiałam na lekkie *inflammatio* w kanale rodnym. Nie wpadaj w popłoch, powiedziałam sobie. Co mężczyzna może wiedzieć o rodzeniu? To wprawdzie profesor, ale przecież tylko mężczyzna.

Moje myśli powędrowały od profesora do jego najlepszego ucznia, Gasparego Tagliacozziego. Na myśl o tym, który chciał się pozbyć mojego małego Giancarla, choć to krew z jego krwi, wszystko mi się w brzuchu ścisnęło. Znowu poczułam rwące bóle, regularne i tak silne, że nie mogłam złapać tchu. Tym razem byłam pewna, że to bóle porodowe, i zaczęłam odmawiać modlitwę, w której prosiłam Wszechmogącego o pomoc. Z trudem podniosłam się i powlokłam do fotela porodowego, który kupiłam jakiś czas temu. Kilka razy zawołałam Latifa, ale nie przychodził. Gdzie on się podziewał? Siedziałam zboląła w niewygodnym fotelu, z na pół podkurczonymi nogami, i próbowałam myśleć o czymś innym, rozmawiając z Giancarlem.

- Mój maleńki - jęczałam - po co się tak spieszysz? Dlaczego nie chcesz się jeszcze trochę wstrzymać? Świat, który cię tu czeka, jest hałaśliwy, brudny i niesprawiedliwy. - Rzecz jasna nie otrzymałam

żadnej odpowiedzi, ale nie przejmowałam się tym i mówiłam dalej:

- Jeśli już koniecznie chcesz, to przyjdź teraz, pomogę ci, będę przeciw, kiedy przyjdzie pora, pomogę ci, tak... na pewno, i chcę być dla ciebie silna, tylko dla ciebie, mój maleńki.

Te i inne rzeczy mruczałam do siebie, co jakiś czas wołając Latifa, coraz bardziej zrozpaczona, gdyż nie chciałam być sama. Przyszła mi do głowy pewna myśl, która już wcześniej się pojawiała, ale zawsze ją odsuwałam: czy mój mały Giancarlo też będzie miał szpecące czerwone znamię?

- Latif! - krzyknęłam. - Latif! Gdzie się podziewasz?

- Tu jestem, pani. - Mój sługa stał w drzwiach, dysząc prawie tak samo ciężko jak ja, a jego wysoki głos ze zdenerwowania brzmiał jeszcze cieniej. - Byłem u doktora Valeriniego, pani, ale on nie może przyjść, zmarł wczoraj, jak powiedzieli mi sąsiedzi. Podobno na serce. Szukałem innego lekarza w dzielnicy, ale żadnego nie znalazłem.

- Zostaw, to nie takie ważne - stęknęłam i próbowałam okryć swoje odsłonięte podbrzusze. Przez głowę przemknęła mi myśl, jak podobnie toczą się losy: niedawno podczas rekonstrukcji nosa to Latif musiał przezwyciężyć swą wstydlivość przede mną, a teraz sytuacja się odwróciła.

Latif taktownie udał, że nie dostrzega mojej nagości, i zawołał:

- Pani, koniecznie chciałem znaleźć dla was jakiegoś lekarza. Pobiegnę do domu w kolorze terakoty, do doktora Tagliacozziego, bo pomyślałem, że jako ojciec naszego małego Giancarla pierwszy powinien wam pomóc. Ale kiedy tam dotarłem, powiedziano mi, że wyprowadził się wraz z żoną do nowego domu w parafii San Giacomo de'Carbonesi, ale gdzie dokładnie, tego nikt nie wiedział. Pobiegnę więc z powrotem, by poszukać akuszerki, ale to też mi się nie udało.

- Zakrył rękami twarz. - Och, pani, do niczego się nie nadaję.

- Wcale tak nie jest, przynieś mi... - Chciałam prosić Latifa o czyste płótno, ale w tym momencie spłynął mi po nogach strumień ciepłej cieczy i zrozumiałam, że pękł pęcherz płodowy. Jednocześnie poczułam przeszywający ból, tak ostry, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Omalże straciłam przytomność. - Latif - dyszałam

- Latif!

- Nie bójcie się, pani - zawołał. - Spróbuję sam być lekarzem. Nie mogę niczego obiecać, ale parę razy zdarzyło mi się być przy tym, jak któraś ze służących w haremie rodziła.

Ból był tak silny, że ledwie go słuchałam, ale Latif mówił dalej:

- Musicie bardzo szybko oddychać, pani, musicie ziajać, i często wstrzymywać oddech, i przeć. Przy parciu chodzi o to, żeby cała wasza siła skoncentrowała się w podbrzuszu. Spróbujcie, a ja w tym czasie przyniosę czyste, gorące ręczniki.

Jak przez mgłę widziałam go, jak wychodzi, podczas gdy ja starałam się zastosować do jego rad. Parłam i ziajałam, i znowu parłam. W którymś momencie zobaczyłam, jak wraca z całą masą utensyliów, jak krząta się, wyciera podłogę, mówi coś do mnie i kładzie mi na brzuchu swoje wielkie ręce.

- Jest! - krzyknął po chwili trwającej wieczność. - Jest główka Giancarla! Teraz już nic nie może się stać, pani, bo dziecko jest ułożone prawidłowo, i w którymś momencie musi wyjść.

Jego pewność dodała mi otuchy. Parłam i ziajałam, i parłam zgodnie z jego zaleceniami, i gdy dziś to wspominam, trwało to całą wieczność, zanim w pewnym momencie poczułam ogromną ulgę, raptowne osłabienie potężnego napięcia, i usłyszałam okrzyk radości Latifa:

- Pani, to naprawdę chłopiec, mały Giancarlo!

- Czy on jest... czy ma...? - wydyszałam.

- Nie, pani, nie ma rubinowej połowy twarzy, jeśli o to pytacie. Jest bardzo mały, ale foremny. - Ujął mojego synka za maleńką nóżkę, podniósł do góry i dał mu klapsa. Odpowiedzią był płacz, który dla mnie zabrzmiał jak muzyka. Łzy napłynęły mi do oczu.

- Och, Boże, tak Ci dziękuję...

- Płuca ma, jak słyszycie, pani! - zawołał Latif wesoło. - Nasz mały ma wszystko, co trzeba, także to, co czyni z niego chłopaka. Zaraz przetnę pępowinę, a potem go wytrę i zawinę.

~ Dziękuję, Latif - wyszeptałam. - Jesteś wspaniały.

W rzeczy samej tak było. Zajmował się mną i maleństwem, jakby niczego innego w życiu nie robił, zajął się łóżyskiem, które wyszło trochę później, umył mnie, dał mi pić i pomógł mi wrócić do łóżka. Czułam się śmiertelnie wyczerpana, gdy wreszcie włożył mi w ramiona

maleńką istotkę, a ja uszczęśliwiona szeptałam raz po raz imię: Giancarlo, Giancarlo, Giancarlo...

Potem rozplakałam się ze szczęścia.

A Latif płakał ze mną.

To, o czym muszę teraz napisać, było najsmutniejszą rzeczą, jaka mnie spotkała w całym moim życiu. Wspominałam już, że Giancarlo przyszedł na świat za wcześnie, ale nie to mnie martwiło, gdyż nierzadko się zdarza, że dziecko rodzi się cztery czy sześć tygodni przed terminem. Niepokoiło mnie to, że jest taki maleńki. Był znacznie mniejszy niż inne noworodki i od początku bardzo słaby.

Dziwiło mnie to, gdyż w moim łonie poruszał się całkiem energicznie - energiczniej i częściej, niżbym chciała. Ta myśl nieco mnie pocieszała i mówiłam sobie, że będzie szybko rósł i nadrabiał opóźnienia w rozwoju. Także Latif, który nie odstępował mnie na krok, był tego zdania.

- Pozwólcie mu tylko dobrze ssać, pani - mówił. - Wtedy na pewno urośnie.

- Giancarlo, *cocco mio* - szeptałam - słyszałeś, co Latif powiedział? Musisz dobrze ssać. Wtedy będziesz duży i uradujesz swoją mamę.

Kłopot w tym, że Giancarlo nie miał siły ssać. Ciągłe się zachłystywał, dławił i kaszłał, a jego maleńkie paluszki rozcapierały się przy tym, jakby chciał wzywać pomocy. Ale co ja mogłam zrobić? Jak mogłam pomóc dziecku, które było za słabe, żeby ssać dosyć mleka?

Modliłam się do Boga, by miał w opiece moje maleństwo, by dał mu siłę do ssania pokarmu, który miałam dla niego w takiej obfitości. Latif tymczasem wzywał Allaha i na swój sposób prosił o to samo. Natarł małego słomą, by pobudzić w nim siły witalne. Ja sama próbowałam coś zdziałać, stosując słaby roztwór kamfory i wykonując okrężne ruchy na piersiach Giancarla. Ale ani jedno, ani drugie nic nie dało.

Wezwana położna obejrzała mojego synka, osłuchiwała mu serduszko rurką, sprawdziła jego reakcje - wszystko, co sama już robiłam, i doszła do takiego wniosku:

- Wasz syn nie ma wielkiej woli życia. Jeśli będzie ssał, wszystko będzie dobrze, jeśli nie...

Lekarz, którego sprowadził Latif, wypytał mnie szczegółowo o przebieg ciąży, uniósł zatroskany brwi i z ważną miną wygłaszał mądrości o sile strumienia życia w ogólności, a o jego naturze u nowo narodzonych w szczególności. Co trzeba zrobić, żeby pomóc mojemu maleństwu, tego nie powiedział.

A tymczasem Giancarlo robił się coraz słabszy. W mojej bezradności przypominałam sobie Martę, energiczną, doświadczoną siostrę ze szpitala San Lorenzo. Może ona coś poradzi? Posłałam Latifa do klasztoru, a siostra Marta zjawiała się przed upływem godziny. Przywitała mnie znakiem krzyża i była na tyle taktowna, by nic nie powiedzieć na temat grzechu, którym się obarczyłam, rodząc nieślubne dziecko. Nie zadawała żadnych pytań, tylko obejrzała małego i zbadała go gruntownie. A potem padła na kolana przed domowym ołtarzykiem mojej matki i spłotła ręce w modlitwie, gdyż więcej i ona nie potrafiła zrobić. Błagała Boga, aby zesłał tej małej istotce siły. Modliła się długo i żarliwie i byłam jej za to nadzwyczaj wdzięczna. Ale nic to nie pomogło.

- Co ja mam teraz zrobić, Latifie? - pytałam zrozpaczona, a on odpowiadał, równie zrozpaczony:

- Nie wiem, pani, możemy tylko żywić nadzieję, że Allahowi Wybawicielowi spodoba się zachować nasze maleństwo przy życiu.

Trzeciego dnia po porodzie zjawił się ktoś, kogo nigdy bym się nie spodziewała: ojciec Edoardo z parafii San Rocco, ów sługa boży, który wiele lat temu wypędzał ze mnie diabła. Gdy zobaczyłam księdza, strach mi ścisnął gardło, ale potem zauważyłam, że to już stary człowiek, który przestał wzbudzać we mnie grozę.

- Słyszę, że Pan wystawia cię na ciężką próbę, moja córko - powiedział, mierząc mnie wzrokiem.

- Tak, wasza wielbność - rzekłam ze ściśniętym sercem.

- Jesteś dorosłą kobietą. - W jego głosie brzmiało jakby lekkie rozczarowanie. - A teraz wydałaś na świat dziecko grzechu, które nie chce żyć i może umrzeć nieochrzczone. Ochrzczę je, aby było podobne Jezusowi Chrystusowi, aby przystąpiło do wspólnoty z Nim i leżało do Niego. To jest moim obowiązkiem.

- Tak, wasza wielbność.

- Najpierw jednak muszę odesłać stąd twojego służącego, gdyż jak słyszałem, nie jest on wyznawcą naszej jedynie uświęcającej wiary.

Gdy Latif wyszedł, rzucając pełne wyrzutu spojrzenia, ojciec Edoardo przystąpił do odprawiania obrzędu. Mówił dużo o łasce bożej i świętym sakramencie chrztu, wygłaszał swe kazanie długo i żarliwie, potem pokropił maleńką główkę wodą święconą, ochrzcił mego syna imieniem Giancarlo, po wszystkim zaintonował nieco ochrypłym głosem *In dulci jubilo* i po jeszcze jednej modlitwie zakończył przeciągłym amen.

- Dziękuję wam, wielbny ojcze - powiedziała cicho i w głębi serca wybaczyłam mu. Wcześniej czułam do niego wstręt za jego lubieżność, ale teraz doceniłam, że przyszedł do mnie w tej ciężkiej sytuacji. - Dziękuję także w imieniu Giancarla.

- Nie dziękuj mnie, lecz Panu, który prowadził moje kroki do tego domu, moja córko. - Wyciągnął rękę, by mnie dotknąć, ale ja cofnęłam się odruchowo, tak że musiał zmienić zamiar. Przeżegnał się i powiedział: - Ochrzciłem twoje dziecko z radością. W dużej mierze przez wzgląd na twoją biedną matkę, która przez całe życie była kobietą bogobojną. Co się jednak tyczy ciebie, córko, to powinnaś wyznać swoje grzechy i oczyścić swą duszę. Po tym będziesz znowu pojednana z Bogiem, On jest bowiem miłosiwny, a jego dobroć jest nieskończona.

- Tak, wielbny ojcze. - Dygnęłam z wysiłkiem.

- Z błogosławieństwem Wszechmogącego Giancarlo będzie żył... albo umrze. Bądź Jego wola.

Przeżegnał się ponownie i poszedł.

Już dwa dni później znów zobaczyłam ojca Edoarda. Przyszedł, gdyż mój maleńki, kruchy, ukochany nade wszystko synek wydał ostatnie tchnienie. Oślepnęłam od łez, rozpaczałam, jak nie rozpaczała nigdy wcześniej żadna matka na świecie, wykrzykiwałam mój ból, miotałam się po domu, waliłam w ściany i przeklinałam niesprawiedliwość tego świata. Potem zapadałam się bezsilnie w sobie, już tylko jęczałam, skarżyłam się, dygotałam, by po chwili rzucać się od nowa.

Byłam jak oszalała, rozpaczałam do całkowitego wyczerpania, aż wreszcie opadłam z sił.

- Twój służący mnie sprowadził, moja córko - rzekł ojciec Edoardo. - Stała się wola Pana, zdecydował zabrać Giancarla do siebie. Ale on nie umarł, niech to ci będzie pociechą. On żyje. Idzie tylko po drugiej stronie drogi. Któregoś dnia, gdy i ty przetniesz tę drogę, znowu się z nim połączysz.

Nie odpowiadałam. Nie byłam w stanie. Z pustym wzrokiem, siedziałam zobojętniała na łóżku.

- Giancarlo umarł jako chrześcijanin, moja córko. Chrześcijanin, który przez swą śmierć łączy się ze śmiercią Jezusa, rozumie ją jako przejście do Jezusa i jako wstęp do życia wiecznego.

- Tak - szepnęłam ledwo dosłyszalnie.

- Módl się, córko, zanim namaszczę twojego Giancarla i udzielę mu ostatnich sakramentów.

Wyprawiam cię w drogę, bracie w Chrystusie, w imię Boga Ojca Wszchemogącego, który cię stworzył, w imię Jezusa Chrystusa, Jego syna jednorodzonego, który cierpiał za ciebie, w imię Ducha Świętego, który się rozlał nad tobą.

Niech dziś już będzie dla ciebie przygotowane miejsce w pokoju, twoje mieszkanie u Boga, w świętym Syjonie.

Ojciec Edoardo wciąż się modlił, a jego słowa przelatywały nade mną jak wody Reno i Saveny. Namaścił mojego synka i zapalił kadzidło, mówiąc monotonnym głosem i sprawiając wrażenie gorliwego, ale ja w ogóle go nie dostrzegałam. Widziałam tylko mojego małego Giancarla, mój skarb, mojego słodkiego synka, ale w którymś momencie, gdy ceremonia się zakończyła, jego twarzyczkę przesłoniła mna twarz, duża i gruba, z nowym nosem. - Nie ma go, pani - rzekł Latif. - Nie ma kapłana fałszywej wiary, ale zanim poszedł, czuł się zmuszony zamienić ze mną kilka słów, wy bowiem, pani, nie byliście w stanie rozmawiać. Spytał mnie, co ma być z naszym małym, i ja powiedziałem mu, co ustaliliśmy: Giancarlo, światło naszych serc, ma znaleźć wieczny spoczynek obok waszej matki. Zgodził się z tym, ale gdy mu powiedziałem, że nie czujecie się na siłach, by wziąć udział w pochówku, nie był zachwycony. W końcu jednak parę dobrych argumentów

z naszej sakiewki do jego skarbonki na datki zdołało go udobruchać. Mam wam przekazać, że Bóg jest z wami, jak długo modlicie się ze szczerego serca. Odejmie wam ból na ten czas. A gdy cierpienie się skończy, macie pójść na grób Giancarla, zapalić świeczkę i zmówić trzy „Zdrowaś Maryjo”. To wszystko miałem wam powiedzieć.

- Dziękuję, Latifie - wyszeptałam.

- Prześpijcie się trochę, pani.

- Spróbuję. Ale dzwony kościoła San Pietro biją dziś wyjątkowo donośnie. Jakby każde ich uderzenie wnikało mi prosto w serce.

Dzień później dowiedziałam się, dlaczego dzwony z San Pietro dzwoniły tak głośno i wytrwale. Chrzczono tam niemowlę, dziewczynkę imieniem Isabetta. Było to pierwsze dziecko Gasparego Tagliacozziego i jego żony Giulii.

PLAGIAT

Il plagio

Chciałabym znów nosić maskę, Latifie - powiedziałam. Mój sługa przewrócił oczami.

- Czy swędzi was teraz strona rubinowa czy kryształowa, pani?

- Żadna. Z moją skórą jest wszystko w porządku. Chciałabym po prostu poczuć znów maskę i jej uspokajające działanie, po tym, gdy w połogu nie... - Przerwałam. Wszystko, co wiązało się ze śmiercią Giancarla, z trudem przechodziło mi przez usta.

- Już po nią idę, pani.

Latif przyniósł mi złotą maskę. Nałożyłam ją i od razu poczułam chłodną, przyjemną gładkość, która dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

- Ma takie dobroczynne działanie - powiedziałam, spodziewając się zwyczajowego powitania „dzień dobry, droga Wenus”. Ale nie usłyszałam go. Latif zdawał się wyczuwać, że nie byłam usposobiona do żartów.

Zamiast tego powiedział:

- Jeśli o mnie chodzi, pani, to nie musicie nosić maski przez cały czas, chociaż to prezent ode mnie. Po pierwsze, wolę, kiedy mogę patrzeć wam w twarz, a po drugie, w języku arabskim jest takie powiedzenie: pąk nie powinien zasłaniać piękności kwiatu.

- Czy to był komplement?

- Oczywiście, pani. - Latif wydawał się nieco zakłopotany. -A po trzecie chciałem z wami gdzieś pójść.

- Chciałeś ze mną gdzieś pójść? A dokąd to chcesz ze mną pójść?

- To tajemnica, pani.

- Zdradź mi ją.

- Tylko wtedy, gdy włożycie beret z woalką i wyjdziemy razem. Zważcie, że już od bardzo dawna nie wychodziliście za próg i pora to zmienić.

- To prawda. Może masz rację. Nie wiem jednak, czy mam siły na dłuższą przechadzkę.

- Tym się nie kłopotcie, pani. W razie potrzeby wesprę was. Opuściliśmy dom i poszliśmy w kierunku miasta. Był przepiękny

letni poranek, ptaki świergotały w koronach drzew, a słońce słało uśmiechy z bezchmurnego nieba. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie widziałam radosne twarze. Ludzie rozprawiali, śmiali się i promienieli zadowoleniem. Miałam wrażenie, że wszystkimi tymi znakami Bóg daje mi do zrozumienia, że jednak warto żyć.

Przed Palazzo Publico stało paru żebraków, ale nie było wśród nich ani Fabia, ani Conora. Przywitali się z Latifem, a on odpowiedział na ich pozdrowienie - Znasz tych mężczyzn? - spytałam.

- Zdażyłem już poznać wiele osób - odpowiedział ogólnikowo. Skręciliśmy w prawo na Piazza Maggiore i tu także kilka osób skinęło Latifowi na powitanie.

- Co to wszystko ma znaczyć? Dokąd mnie prowadzisz?

- Cierpliwości, pani. Zaraz będziemy na miejscu. Minęliśmy wielką fontannę Neptuna i po jej lewej stronie ujrzałyśmy

Archiginnasio z jego potężną bramą wejściową. Myślałam, że chce mnie tam zaprowadzić, ale on szedł prosto, cały czas w kierunku południowym, oddalając się od śródmieścia. Dotarliśmy do dzielnicy, w której wiele domów chyliło się ze starości, niektóre już popadły w ruinę. Przed jednym z takich domów zadyszany Latif wreszcie się zatrzymał. Był to dwupiętrowy pałac, który lata świetności miał już za sobą. Fasada kruszyła się, drzwi wypadały z zawiasów, a markizy nad oknami zwisały podarte. Wyglądało na to, że nikt tu nie mieszkał. Tylko zniszczony szyld z napisem *Banco di pegni* zdradzał, że na parterze znajduje się lombard.

- Po co tu przyszliśmy? - zdziwiłam się. _ Wejdźcie ze mną, pani.

Ociągając się, poszłam za moim sługą, który zdawał się świetnie znać to miejsce.

- Nazywamy ten dom Casa Rifugio, pani.

- Co za „my”? I co ten dom ma wspólnego ze schronieniem? -Mrugałam oczami, gdyż robiło się coraz mroczniej. Latif schodził przede mną po skrzypiących schodach do piwnicy. Nagle usłyszałam głośne skrzeczenie tuż nad uchem. Wzdrygnęłam się ze strachu i niemal upadłam, ale Latif się roześmiał.

- Najwidoczniej cieszą się, że przyszliście, pani.

Pchnął drzwi i ukazała się słabo oświetlona sala. Przy długim stole siedziały jakieś postaci. Dostrzegłam najróżniejsze twarze, strapione, blade, naznaczone cierpieniem, zdeformowane i brzydkie, ale wszystkie podobne do siebie w wyrazie oczekiwania, z jakim się we mnie wpatrywały. Żadna z nich nie była mi znana, poza jedną.

- Witamy w królestwie żebraków - powiedział Conor. Massimo, siedzący mu na ramieniu, zatrzepotał skrzydłami i zakrakał.

Musiałam mieć skonsternowany, by nie powiedzieć niemądry, wyraz twarzy, bo tu i ówdzie dał się słyszeć chichot.

- Twój nos wygląda nieźle - wydusiłam wreszcie. Conor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Otoczono go kiedyś dobrą opieką pielęgniarską. Zrobiła to niejaka siostra Carla. Do dziś jestem jej za to wdzięczny.

- Co tu robisz? - spytałam.

- Czekam na was, podobnie jak Massimo, który już was zaanonsował, i moi przyjaciele.

Rozejrzałam się i oprócz długiego stołu dojrzałam w pomieszczeniu jeszcze inne sprzęty. Na tylnej ścianie stały trzy wymoszczone słomą prycze, na których jednak nikt nie leżał, z boku znajdowało się palenisko ze szczypcami i pogrzebaczem, przy którym krzątał się jakiś kościsty starzec, za nim stało kilka beczek z zapasami żywności, półka z garnkami, miskami i patelniami, a po prawej stronie trójnożny cebrzyk na węgiel, wieszak, na którym wisiało parę wytartych kurtek i spodni, oraz stabilny, oświetlony siedmioramiennym świecznikiem stolik pomocniczy.

Mój wzrok zatrzymał się na stoliku, ponieważ leżał na nim kompletny zestaw narzędzi chirurgicznych. Za stolikiem znajdowały się ledwo widoczne drzwi, które właśnie się otworzyły.

Wszedł przez nie Fabio Wiecznie Płaczący, tyle że teraz nie płakał, ale uśmiechał się od ucha do ucha.

- To był mój pomysł, żeby was tu zaprosić, sestro - powiedział i usiadł obok Conora. Poruszał się przy tym z taką pewnością, jakby nie był niewidomy.

- Nie nazywaj mnie siostrą - poprosiłam. - Mów do mnie lepiej „*signorina*” albo „*signorina Carla*”.

- Jak sobie życzyacie, *signorina Carla* - rzekł Fabio nieco zdziwiony. - No, więc z pewnością zastanawiacie się, dlaczego się *tu* znaleźliście i co to wszystko ma znaczyć. I naturalnie wszystkiego się dowiecie. Ale proszę najpierw usiąść. Ty też, Latif.

Usiedliśmy.

- Pozwólcie teraz, że przedstawię wam wszystkich obecnych. Obok mnie siedzi Conor, którego rzecz jasna już znacie. Jest najważniejszy w naszej wspólnocie i nazywamy go królem. Może was to zdziwi, ale chyba Conor opowiadał wam kiedyś, że my, żebracy, mamy swojego króla. Jeszcze do niedawna był to ktoś inny, ale gdy umarł, chcieliśmy Conora na króla. Ma wielkie doświadczenie we wszystkich rodzajach sztuki żebraczej, a przy tym jest dostatecznie młody i silny, by pełnić tę funkcję.

- Otóż to - odezwał się Conor z niezwykłą powagą. - Ale nie przesadzajmy. Jestem równy pomiędzy równymi. Poza tym w Bolonii jest wielu królów. Mój teren to śródmieście. Ono najlepiej się nadaje dla żebraków.

- Król rozstrzyga o wszystkich istotnych sprawach naszego życia - mówił dalej Fabio - on też decyduje, kto ma wstęp do Casa Rifugio. Zgodził się natychmiast, by was zaprosić, prawda, Conorze?

- Tak właśnie było.

- O co właściwie chodzi? - spytałam.

- Cierpliwości. Czy napijecie się wina?

- Nie, dziękuję, pora jest jeszcze dość wczesna. Ale może kubek wody.

Fabio skinął ręką i za chwilę stanęła przede mną woda. On sam też wypił łyk, a ja przypomniałam sobie, że zawsze musiał pić dużo płynów, by móc wykonywać swój zawód jako *allacrimanto*.

- Obok króla istnieje też rada żebraków - mówił dalej Fabio. - Życzeniem Conora było, by przedstawić wam jej członków. Zatem zaczynamy. Jako pierwszego mamy tu Ludovica, specjalistę od malowania twarzy. Potrafi tak sprawnie posługiwać się pudrem, farbami i krwią zwierzęcą, że każdy uwierzy, iż właśnie padł on ofiarą napadu, i okaże litość.

Ludovico zdawał się być wesołym osobnikiem, gdyż mrugnął do mnie i kiwnął głową.

- Po nim jest Salvatore, nasz człowiek ze złodziejskim fartuszkiem. To część garderoby, która pozwala w istotny sposób podwyższyć sumę uźebranych grosików. Wiecie, *signorina*, co to jest złodziejski fartuszek?

- Nie.

- Salvatore, wytłumacz to.

- Nic prostszego. - Salvatore miał głos jak zardzewiałe żelazo. - Jak widzicie, *signorina*, noszę sprany, niebieski fartuch bez jednej kieszeni. Zgadza się?

- Tak.

- Nieprawda. - Salvatore wskazał pod spód górnej części fartucha. - Tu jest kieszeń. Nikt by się jej tam nie spodziewał, nie mówiąc już o tym, by ją wymacał, ale ona tam jest, i nawet coś kryje. Proszę bardzo. - Wręczył mi broszkę, którą natychmiast rozpoznałam jako moją własność. - No więc teraz już znacie zalety złodziejskiego fartucha, *signorina*. Lub też, jeśli wolicie, jego wady. To zależy od punktu widzenia.

Salvatore usiadł wśród ogólnego śmiechu. Fabio też się śmiał.

- Teraz Latus, jak go nazywam po łacinie, gdyż, jeśli go nie hamować, zapędza się w rozwlekłe tyrady. Prawda, Latoś?

Nazwany tym imieniem człowiek był jeszcze młody i miał pucłowatą twarz.

- Jestem bardzo rozmowny - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - Ale nie przy użyciu ust.

- Nazywamy go Latus Flatus - oświecił mnie Fabio. - Jest flatolista, specjalistą od kunsztownego puszczenia wiatrów, i dzięki tej umiejętności potrafi wygrywać najrozmaitsze melodie. Naturalnie szczególnie intratna jest jego profesja w okresie karnawału, gdy pierdzi melodię *Quant'e bella giovinezza*, ale i poza karnawałem takim sposobem wydmuchiwanie powietrza można zarobić niejednego *baioccho*.

- Może mała próbka, *signorina!* - spytał Latoś.

- Nie, dziękuję - rzekłam spieszenie.

- Następnie mamy Teofila, mysiego tancmistrza. Teofilo to przyjaciel wszystkich myszy. Jedzą mu z ręki i tańczą dla niego w lilipucich kolorowych kostiumach przedstawiających przeciwieństwa, jak ogień i woda, anioł i diabeł, noc i dzień i tak dalej. Jazda, Teofilo, pokaż swoją trzódkę.

Człowiek od tańczących myszy otworzył stojącą przed nim ozdobioną intarsją hebanową szkatułkę i wydał cichy gwizd. Ze skrzynki wychynął różowy, szpiczasty nosek. Za nim pojawiła się cała mysz w kostiumie anioła, a za nią inne myszy. Było ich razem dziesięć pociesznych gryzoni, i wszystkie poruszały się do melodii, którą gwizdał mysi tancmistrz. Przy odrobinie wyobraźni można było w tym rozpoznać skoczny taniec, gajardę. Gdy myszki na gwizd z powrotem znikły w swym domku, Fabio wyliczał dalej:

- To jest Sberleffo. Nazywamy go tak, gdyż jak nikt inny potrafi stroić miny. Jego sztuka polega na takim wykrzywianiu twarzy, że każdy albo się śmieje, albo wszyscy są bliscy łez. To ostatnie szczególnie pobudza szczodrość ludzi. No już, Sberleffo, pokaż, co potrafisz.

Tamtemu nie trzeba było powtarzać dwa razy. W okamgnieniu zmienił swą twarz, jakby ugniatały ją niewidzialne ręce. Stulił usta w kształt rybiego pyska, dalej i dalej, aż osiągnęły groteskowe rozmiary, a potem, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, włożył w usta nos. Wyglądał tak przezabawnie, że musiałam się roześmiać.

- Widzicie, *signorina*, to działa.

- W rzeczy samej, Fabio.

Sberleffo, który, pomijając długi nos, miał zupełnie zwyczajną, nijaką twarz, robił dalsze grymasy, na które jednak nikt już nie zwracał uwagi.

- Dalej mamy jeszcze Giuseppego, to odcinacz sakiewek, co znaczy ni mniej, ni więcej, że odcina bogaczom sakiewki od paska, oraz Alfonsa, który połyka płomienie i ziejże ogniem. Myślę, że nie muszą dawać to dowodu swych umiejętności.

- Nie, to nie jest konieczne - rzekłam.

- W ten sposób poznaliście już wszystkich, *signorina*. Wszystkich, oprócz jednego. To ten stary mężczyzna, który tam z tyłu miesza nad paleniskiem zupę. Nazywa się Icyk Rosenstern. Jest Żydem

1 formalnie prowadzi lombard na górze od ulicy. Icyk, chodź no tu.

Ponieważ stary nie podszedł od razu, Fabio zawołał głośniej:

- Icyk, podejdiesz to?! - Starzec zbliżył się, powłócząc nogami, podczas gdy Fabio mówił dalej: - Jest głuchy. Ale nie zaprosilibyśmy was tutaj, gdyby to było jego jedyne schorzenie. - Zanim zdołałam spytać, co miała znaczyć ta uwaga, Fabio mówił dalej: - Icyk pracował wcześniej jako żebrak i domokrażca, ale od kiedy nogi odmawiają mu posłuszeństwa, pomaga w domu. Poza tym, jak już wspomniałem, używa swego nazwiska na potrzeby lombardu. Jako Żyd może w ten sposób zarabiać na chleb. Obejrzyjcie, proszę, jego plecy. Skarży się na guz po prawej stronie, który sprawia mu straszny ból.

- Szalom, tak właśnie jest - wymamrotał Icyk, który tymczasem stanął przede mną.

- Czy to z tego powodu kazaliście mnie sprowadzić przez Latifa? - spytałam.

- Pani - zamiast Fabia odpowiedział Latif - pomyślałem, że ten, kto jak wy, ma na twarzy stronę rubinową i stronę kryształową, najprędzej będzie współczuł biednym i uciśnionym tego miasta.

- Mówisz tak, jakbyś był jednym z nich...

- To się nawet w pewnym sensie zgadza, *signorina* - wtrącił Conor. - Pomogliśmy trochę Latifowi, kiedy chciał się dowiedzieć, kto śledzi wasz dom, a on w zamian masował nam w zimne dni ręce i nogi. To dobry masażysta.

Latif machnął lekceważąco ręką, ale widać było, że ucieszył się z pochwały.

- Icyk - powiedziałam - zdejmij koszulę, żebym mogła obejrzeć ten guz. - Gdy powtórzyłam prośbę głośniejszym głosem, stary Żyd usłuchał i powiedział:
- Oj oj, mam to paskudztwo na plecach już od dawna.
- Od jak dawna?
- Jeśli powiem, że od pół roku, to bym przesadził, jeśli powiem, że od miesiąca, to by było za mało.

Zadowoliliłam się tą odpowiedzią i poprosiłam starego, by usiadł na ławie. Następnie kazałam przynieść tyle latarni, ile się tylko da, i obejrzałam przyczynę bólu. Był to ropień uszypułowany, umiejscowiony na wysokości prawej łopatki. Ponieważ kręgosłup Icyka w górnej partii wykrzywiony był na zewnątrz, więc miejsce to przy każdym ruchu narażone było na ocieranie przez odzież, co powodowało ostry ból.

Ropień był bardzo nabrzmiąły, skóra wokół niego silnie zaczerwieniona, gorąca i napięta. W środku miał otwór, jednak toksyny w formie ropy wydostawały się z niego bardzo skąpo, zgodnie z naturą ropni. Potrzeba byłoby ostrego instrumentu albo dobrej sondy, aby dotrzeć w głąb do nasady ropnia i usunąć całkowicie zjadliwe płyny.

Ogłosiłam diagnozę, a Conor powiedział z godnością:

- Pomyśleliśmy sami, że to coś poważnego i że będziecie potrzebować dobrych instrumentów, *signorina*, toteż o wszystko się zatroszczyliśmy. - Wskazał na stół z metalowymi narzędziami. - Pochodzą z Ospedale della Vita, bo Icyk tak sobie życzył. Narzędzia z Ospedale della Morte uważa za niedobre, podobnie jak przedmioty z Farmacia della Morte, ze względu na tę śmiertelną nazwę, rozumiecie?

- Tak, rozumiem - odparłam, wiedziałam bowiem, że rywalizacja między Szpitalem Śmierci a Szpitalem Życia trwała niemal tak długo jak same te instytucje. Ospedale della Morte bynajmniej nie zawdzięczał swej nazwy żadnej zaradzie, która zdziesiątkowała ludność Bolonii. Nazwy obu szpitali pochodziły od nazw dwóch zakonów, które swego czasu je założyły. Pobożni bracia *Arciconfraternità di Santa Maria della Morte* odwiedzali regularnie więzienia, aby nieść pociechę skazanym na śmierć i towarzyszyć im w drodze na szubienicę. Rozpoczęli tę praktykę w roku 1336, podczas gdy członkowie

Confraternity della Vita prowadzili swój szpital od sześćdziesięciu lat. Powiada się, że Della Vita zawdzięcza swą nazwę temu, iż pacjenci cierpiący na wszelkie możliwe choroby odzyskiwali tam zdrowie w zadziwiającym tempie. Nic więc dziwnego, że Icyk wolał być operowany przy użyciu instrumentów ze Szpitala Życia.

Nie chciałam wiedzieć, czy Conor i jego ludzie kupili je, czy nie. Obejrzałam je dokładnie i uznałam, że stan narzędzi nie pozwala na ich użycie.

- Posłuchaj, Conor - powiedziałam - jeśli mam operować tym zjstawem, to trzeba go oczyścić. I to nie tylko dlatego, że na tych szczypcach uwiecznił się twój kruk.

- Instrumenty, których używa *signorina* Carla, zawsze muszą lśnić czystością, wiem to z mojej własnej operacji. - Fabio postukał się w nos, podkreślając swe słowa.

- To prawda - potwierdził Latif. - Przy mojej rekonstrukcji też tak musiało być.

- Wobec tego wyczyśćcie narzędzia - powiedziałam. - Najlepiej zrobić to gorącą wodą i piaskiem do szorowania. Wielu chirurgów uważa wprawdzie, że czyszczenie instrumentów jest zbyteczne, gdyż podczas operacji i tak się pobrudzą (to też powód, dla którego panowie medycy najczęściej nie myją przedtem rąk), ale moje doświadczenie mówi mi, że rany goją się lepiej, gdy nie wchodzą w kontakt z brudem.

Zrobiono, jak sobie życzyłam. Zażądałam jeszcze więcej świec, gdyż po raz pierwszy operowałam nie przy świetle dziennym, a gdy guz z ropniem był już dostatecznie oświetlony, ujęłam skalpel.

- Życzę wam zręcznej rączki i dużo szczęścia. Sobie także - powiedział Icyk zduszonym głosem, gdyż musiał się zgiąć i pochylić do przodu.

- Wybrałam najostrzejszy skalpel, gdyż im jest ostrzejszy, tym mniej bolesne cięcie - rzekłam.

- Oj, oj.

Otworzyłam ropień, a potem wzięłam długie, cienkie narzędzie z ostrymi końcówkami, którym wniknęłam w głąb ogniska zapalnego i odsłoniłam kanał. Gdy tylko zelżał ucisk z zewnątrz, wytrysnęła z niego żółta ciecz, co jeszcze wzmocniłam, naciskając ropień z boków.

Kiedy miałam pewność, że wszystkie toksyny opuściły ropień, nałożyłam na ranę lekki kompres i mocno ucisnęłam.

Stary, który przez cały czas trwania tej procedury mruczał do siebie „Powodzenia Icyk, powodzenia”, teraz zapytał:

- Czy już po wszystkim?

- Tak, na razie - odpowiedziałam. - Możliwe, że zejdzie jeszcze trochę ropy, ale najgorsze za wami.

- Niech niebiosy wam błogosławią.

- Dobrze by było, gdyby za dwa dni ktoś mógł obejrzeć ranę i zmienić opatrunek.

Conor pogłaskał Massima, który siedział mu na kolanach, i z ważną miną rzekł:

- Dobrze by było, gdybyście wy mogli to zrobić, siostrze, to znaczy *signorina*. Wahałam się.

- Byłoby w ogóle dobrze, gdybyście mogli zostać naszą medyczką, *signorina*. Często chorujemy, bo dużo przebywamy na dworze. Miewamy też gorączkę i inne choroby oraz obrażenia z bójek, w które się wdajemy, niekiedy bardzo poważne.

Oczy wszystkich skierowane były na mnie.

- Co o tym myślicie?

Ponieważ w dalszym ciągu milczałam, Conor powiedział:

- Moglibyśmy wam tu urządzić coś w rodzaju oddziału szpitalnego, ze wszystkim, czego potrzebujecie do pracy.

Myśl o własnym małym szpitaliku - nawet w najskromniejszych warunkach - i możliwość pracowania jako medyczka była nader kusząca. Nareszcie mogłabym zastosować zgromadzoną wiedzę, tak jak zawsze tego pragnęłam, i nikt by nie mógł mi w tym przeszkodzić, skoro swoją działalność prowadziłabym w ukryciu, w podziemiu.

- Muszę mieć czas na zastanowienie - powiedziałam.

- Naturalnie. - Conor zdawał się nieco zawiedziony, choć starał się nie dać tego po sobie poznać. - Macie rację, *signorina* - odezwał się Fabio. - To byłby dla was nowy, może też ryzykowny krok, ale pomyślcie także, jakie korzyści wiązałyby się z tym dla was: nikt by się wam nie wtrącał do leczenia, byłibyście panią dla siebie w sprawach medycznych. Wasze zręczne

ręce mogłyby robić to, do czego zawsze się rwały, a wy mielibyście pacjentów, którzy byliby wam więcej niż wdzięczni. - To prawda, Fabio - odrzekłam.

_ Zastanówcie się, *signorina*. I pamiętajcie: prawdziwi przyjaciele są jak melony, wśród sto znajdzie się tylko jeden dobry. A my wszyscy jesteśmy wam życzliwi.

- To prawda - potwierdził Connor.

- Tak właśnie jest - rzekł stary Icyk. Inni kiwali głowami.

- Chciałabym się teraz pożegnać. Głowę mam pełną myśli, ale obiecuję, że wkrótce podejmę decyzję.

- *Arrivederci, signorina* - rzeki Conor, a inni też mnie pożegnali.

Minęły prawie dwa tygodnie, a ja ciągle się jeszcze wahałam, czy powinnam zostać lekarką żebraków, czy nie.

Oferta mi pochlebiała, wiążące się z nią korzyści z wykonywania sztuki lekarskiej także trafiały mi do przekonania. Zastanawiałam się, dlaczego się tak ociągam, gdyż oczywiste było, że nie chodzi o pieniądze. Zdobyć bogactwa nie było dla mnie ważne. Pieniądze nigdy nie znaczyły dla mnie dużo. Nie chodziło także o niebezpieczeństwo, na które się narażałam, wykonując czynności zastrzeżone dla mężczyzn. Nie, chodziło o coś innego, co wreszcie zrozumiałam - moja praca i wynikające z niej osiągnięcia nigdy nie przedostałyby się do wiadomości publicznej. Byłabym pozbawiona uznania, którego tak mi, jako kobiecie, brakowało.

Latif, który z każdym dniem okazywał coraz większą ciekawość, któregoś razu nie wytrzymał:

- Pani, powoli zbliża się pora, by do liter dodać kropki.

- Co masz na myśli?

- Powinniście postawić kropkę nad i, jak się to mówi. Dokonaliście dzieła, które jest miłe Allahowi, choć Icyk nie wyznaje naszej prawdziwej wiary, a dwa dni później jeszcze raz go odwiedziliście, ale ciągle jeszcze nie podjęliście decyzji.

- Moje rozważania dobiegły końca.

- Ach, raduje to moje serce. I jakież jest ten koniec?

Wyłuszczyłam mu powody, dla których nie mogłam przyjąć oferty żebraków.

Latif przewrócił oczami.

- Ależ pani! Gdzie się podziewa wasze sumienie lekarki!

- Słuchaj no, jak ty ze mną rozmawiasz?

- Wybaczcie, pani, ale zdaje mi się, że nie zastanowiliście się dobrze nad całą sprawą. Pamiętajcie, co mówi arabska mądrość: kto chce wszystkiego, ten wszystko straci.

- To, czego chcę, to naprawdę niewiele. Chcę uznania dla mojej pracy. Miejsce operowane ręką kobiety goi się tak samo dobrze jak to, które operował mężczyzna. Sam tego doświadczyłam.

- Na Allaha Litościwego, Miłosiernego, jak mógłbym o tym zapomnieć, pani! Wybaczcie, że jestem uparty. Żebracy zebrani wokół Conora to wprawdzie wszystko niewierni, ale to także ludzie, dobrzy ludzie, którzy was bardzo szanują. Nigdy nie napiętnowaliby was z powodu waszej rubinowej połowy twarzy, podobnie jak nigdy nie wpadliby na pomysł, by mnie wykastrować. Czy chodzi o inkwizycję papieża, czy o głównego trzebiciela w pałacu Topkapi - zawsze to mężczyźni powodują zło. I u takich kreator szatana szukacie uznania?

Sam jesteś przecież mężczyzną, chciałam odpowiedzieć, ale przypomniałam sobie, że może Latif wcale nie czuje się mężczyzną. Może Latif był po prostu Latifem.

- Poszedłeś do żebraków za moimi plecami - powiedziałam z wyrzutem. - Jak mogłeś?

- Och, pani, na Allaha Wszechwiedzącego, Czujnego, nigdy tego nie uczyniłem.

- Jak to? Kpisz sobie ze mnie?

- Ależ nie, na wszystkie dziny pustyni, nigdy bym tego nie uczynił! Ale pozwólcie zadać mi jedno pytanie: czy kiedykolwiek odwrócilibyście się ode mnie, waszego wiernego sługi?

Myślałam o tym, że Latif, mimo swej zuchwałej, niekiedy despotycznej natury, był oddanym, niezawodnym i pod wieloma względami miłym służącym, tak więc odrzekłam: - Naturalnie że nie.

- Sami widzicie, pani. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym nic zrobić za waszymi plecami.

- Oj, Latif, Latif! Manipulujesz prawdą.
- Może macie rację, pani. Czy wasza decyzja jest nieodwołalna?
- Tak - odpowiedziałam.

I na tym stanęło.

Wkrótce znowu podjęłam pracę u sióstr w klasztorze San Lorenzo, a życie biegło jak dawniej. Minął rok, mniej lub bardziej obfitujący w wydarzenia, podczas którego opłakiwałam mojego małego Giancarla i regularnie odwiedzałam jego grób. Równie regularnie Latif odwiedzał Conora, Fabia i ich towarzyszy w podziemiu, jednak nie robił już tego w sekrecie. Po tych wizytach niepytany opowiadał mi, jak się miewają jego przyjaciele, a niekiedy jakby mimochodem wspominał, że jeden czy drugi cierpi na jakąś chorobę. Patrzył przy tym na mnie pytająco swymi okrągłymi oczami. Ja jednak odwracałam wzrok, jakby jego opowiadanie nie interesowało mnie zbytnio, i sama opowiadałam o banalnych wydarzeniach w przyklasztornym szpitalu.

Siostra Marta, dzielna i rezolutna siostra Marta, zaczęła w owym czasie niedomagać. Cierpiała z powodu zawrotów głowy i potów oraz niewytłumaczalnych napadów gorączki. Nikt nie potrafił postawić właściwej diagnozy, a ona mimo najlepszej opieki i wielu modlitw coraz bardziej słabła. Na krótko przed jej śmiercią matka Florienca poprosiła mnie do siebie.

- Wygląda na to, że Bóg, nasz Pan chce zabrać do siebie siostrę Martę - rozpoczęła rozmowę. - Szpital potrzebuje kogoś, kto ją zastąpi. Marta zaproponowała cię, Carlo, jako swą następczynię.

- To dla mnie wielki zaszczyt - rzekłam.

- Powiedziałam Marcie, że nie mogłabym sobie wyobrazić nikogo lepszego od ciebie.

Milczałam, wiedziałam bowiem, co teraz nastąpi.

Takt wymaga, byśmy poczekali, aż Marta odejdzie do Pana, ale Potem mogłabyś od razu przejąć nowe obowiązki. Byłoby jednak dobrze, gdybyś - skoro już tyle lat jesteś u nas - złożyła śluby i stała się jedną z nas. Jako zakonnica musiałabyś naturalnie przyjąć nowe imię. Myślałam o imieniu Flabilita, od łacińskiego *habilis*, czyli zręczny, bo we wszystkim jesteś taka sprawna.

- Dziękuję za zaufanie, czcigodna matko - powiedziałam, kłaniając się z pokorą. Jednak wcale nie czułam takiej pokory, jaką okazywałam. Myślałam raczej, że gdybym przyjęła tę propozycję, oznaczałoby to radykalną zmianę w moim życiu. Musiałabym porzucić dom, znaczną część mojej wolności i wreszcie także Latifa, mojego sługę, gdyż muzułmanin w klasztorze - na to nie zgodziłaby się nawet najdobrotliwsza matka przełożona. - Czy mogę prosić o czas do namysłu, czcigodna matko?

- Naturalnie, moje dziecko. Będę się za ciebie modlić, aby Bóg dopomógł ci w podjęciu właściwej decyzji, będę się też modlić za drogą Martę, by Bóg zesłał jej lekką śmierć. Niech uśnie w pokoju i padnie w jego ramiona. On ją wybawi od władzy śmierci.

- Tak, czcigodna matko - powiedziałam.

W domu przy posiłku opowiedziałam Latifowi o nowym zwrocie w moim życiu, ale zanim zdążyłam podać szczegóły, przerwał mi i złapał się za serce.

- Pani! - krzyknął. - To niemożliwe! Czy chcecie mieć moją śmierć na sumieniu?

Musiałam się uśmiechnąć na widok jego teatralnych gestów i odparłam:

- Nie chcę być winna niczyjej śmierci, a już na pewno nie twojej.

- Ale zostanieie mniszka, przecież sami tak powiedzieliście.

- Powiedziałam, że muszę się nad tym zastanowić. Matka przełożona zasugerowała mi to, abym mogła zostać następczynią siostry Marty.

- To znaczy, że nie musicie tego robić?

- Nie, nie muszę.

- Załóżmy, pani, że tego nie uczynicie, to czy wówczas moglibyście jeszcze raz rozważyć propozycję żebraków? Ciągle jest aktualna.

- Jesteś w tej sprawie niezwykle uparty.

- To byłby bardzo szlachetny cel, pani, i bardzo by się podobał Allahowi. Ważniejsze jest bowiem operowanie poważnych przypadków niż mierzenie pulsu pacjentom z katarem w szpitalu. Poza tym życie żebraka jest tyle samo warte co każdego innego człowieka, nawet jeśli jego dusza jest niewierna.

- Usiądź przy mnie, Latifie. - Wskazałam mu krzesło naprzeciwko.

- Co to ma znowu znaczyć, pani? - Stękając, opadł na siedzenie.

- Posłuchaj: przynosi ci zaszczyt, że tak się przejmujesz losem żebraków, ale ja już podjęłam decyzję i jej nie zmienię. Proszę, oszczędź mi w przyszłości podobnych pytań. Nie mam ochoty więcej o tym rozmawiać.

- Tak jest, pani, ale...

- Żadnego ale. Co się tyczy mojego dalszego życia jako mniszki, to również podjęłam decyzję. Nie zostanę nią. Chcę, by wszystko pozostało po staremu.

- Och, pani, czy to rzeczywiście prawda?

- Tak, zostaję przy tobie.

Latif poderwał swe potężne ciało i pochylił się ku mnie z błyszczącymi oczyma.

- To najpiękniejsza wiadomość od bardzo dawna! Czy wolno mi was pocałować?

- Nie - powiedziałam.

I rzeczywiście, wszystko pozostało po staremu. Wykonywałam swoje obowiązki u zakonnic, a Latif pełnił służbę w moim domu. Tylko raz, w sierpniu roku 1578, moja równowaga duchowa została zachwiana, gdy się dowiedziałam, że Gaspare po raz drugi został ojcem. Dziecko, dziewczynkę, ochrzczono dziesiątego sierpnia w katedrze San Piętro. '

Dzień później Latif powiedział do mnie:

- Rzemieślnicy zjawią się wkrótce, pani.

- Jacy rzemieślnicy? - spytałam, nic nie rozumiejąc.

- Rzemieślnicy, których wezwałem, by upiększyli nasz dom, pani. Pomyślałem sobie, że przytulniejsze otoczenie odciągnie wasze myśli od tego nikczemnego człowieka, który żądał aborcji.

- Prawie o nim nie myślę, jest mi obojętny. Ale co to za sprawa z tymi rzemieślnikami? Nie wzywałam ich.

- Załatają dach i zbudują na nim taras, pani. Naprawią ściany i zbudują nowy wyciąg nad paleniskiem. Odświeżą freski na ścianach i suficie, by zajaśniały nowym blaskiem.

- Czyś ty postradał zmysły? Czyś się choć raz zastanowił, kto ma za to wszystko zapłacić?! - Znowu rozżłościła mnie samowola Latifa, nawet jeśli jego intencje były dobre.

- Będziemy mogli zapłacić za te prace, gdyż prowadzimy bardzo skromne życie, pani, uzbierało się więc trochę grosza.

- Skąd to możesz wiedzieć? Trzymam pieniądze w nieznanym ci miejscu.

- Wiem, pani, w starej szafeczce, całkiem z tyłu w górnej szufladzie, gdzie je regularnie przeliczam. Wiercie mi, wystarczy na prace upiększające.

- Co to ma znaczyć? Jak śmiesz kontrolować mnie i moje pieniądze?! - Mój gniew rósł.

Latif prychnął urażony.

- Ktoś się musi troszczyć o pieniądze. Z tego, że leżą sobie w szafce, nikt nie ma żadnego pożytku. Możemy wszystko zostawić tak, jak jest, jeśli wolicie, bym gnieździł się nadal w tej klitce obok komórki na sprzęt domowe. Pokoik jest tak mały, że sam czuję się w nim jak jakiś sprzęt. Byłoby bardzo miło, gdybym dzięki niewielkiej przybudówce dostał wreszcie własny, przystosowany do moich rozmiarów, pokój. Ale wy z pewnością sądzicie, że nie zasłużyłem na to.

- Nie, tak nie myślę, i ty wiesz o tym bardzo dobrze. Chodzi tylko o to, że chciałabym zachować te pieniądze.

- Ale po co, pani? Nauczyłem się w waszym kraju mądrego powiedzenia, a brzmi ono: „Ostatnia koszula nie ma kieszeni”. Kiedy Allah wzywa nas do siebie, nic nie można ze sobą zabrać, więc chyba lepiej zawczasu wydać oszczędności?

Zauważyłam, że Latifowi znowu udało się mnie przekonać, i byłam z tego powodu zła. Z drugiej strony miał rację, pieniądze rzeczywiście leżały bez żadnego pożytku w szafeczce. Rady Latifa, by zanieść gotówkę do domu bankowego, aby tam ją pomnażać dzięki dobremu procentowi, zawsze odrzucałam. - No cóż - powiedziałam - pokoik w rzeczy samej jest bardzo mały. - To wasze słowa, pani.

- Ponadto, mimo twoich licznych starań, w ostatnim roku nie schudłeś. Może byśmy faktycznie pomyśleli o małej rozbudowie.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiecie, pani.

Stało się tak, jak miało się stać - podczas gdy ja pełniłam służbę u pobożnych sióstr, Latif sprowadził do domu rzemieślników. I oczywiście nie skończyło się na niewielkiej przybudówce, która pozwoliłaby powiększyć jego izdebkę. Oprócz murarzy i kamieniarzy Latif zatrudnił także cieśli, glazurników, malarzy fresków i całą masę innych rzemieślników. Do tego sztukatorów, którzy każdą ścianę w domu ozdabiali starannie drapanym tynkiem w kolorze ochry. Naturalnie trudno było ukryć to wszystko przede mną i niekiedy zastanawiałam się, czy wystarczy mi pieniędzy na te roboty, ale nic nie mówiłam, bo odnawianie domu mimo wszystko sprawiało mi radość.

Dom zawsze był moim ulubionym miejscem, teraz zaś zrobił się tak piękny, że opuszczałam go tylko, by udać się do szpitala sióstr. Skąpe kontakty, które utrzymywałam jeszcze z sąsiadami, niemal zupełnie zamarły, a o Gasparem, którego, ile razy o nim rozmawialiśmy, Latif zawsze nazywał „tym nikczemnym człowiekiem, który żądał aborcji”, także w tym okresie nie słyszałam.

Szóstego października roku 1580 znowu rozległy się dzwony od San Pietro, by obwieścić szczególny chrzest: Giovanni Andrea, pierwszy syn Gasparego Tagliacozziego i jego żony Giulii, przyjął święty sakrament, który wprowadzał go do wspólnoty chrześcijan. Jak mówiono, chrzest celebrowany był z wielką pompą. Do domu Tagliacozzich przybyli z tej okazji członkowie najświetniejszych rodów, wśród nich naturalnie także rodzice chrzestni, których wysoka pozycja wskazywała, jaką nadzwyczajną rangę uzyskał tymczasem pan domu wśród osobistości miasta. Byli to jego wysokość Giovanni, litewski książę ze Słucka, oraz jego małżonka, madame Maddalena Marescotti, córka szanowanego senatorskiego rodu.

Te wieści sprawiały mi ból, czułam zazdrość, ale myślałam o sentencji, którą wygłosił raz Latif: „Kto żąda wszystkiego, ten traci wszystko”. I powiedziałam sobie, że nie chciałabym utracić nic z tego, co mam.

Tak więc nadal cieszyłam się moim pięknym domem, zagłębiałam się w książkach i uszyłam sobie dwie nowe suknie: jedną szeroką, wieczorową, w kolorze turkusowym ze stanikiem i kołnierzem stójką z wplecionym w materiał motywem róż, a drugą barwy sjeny, wąską

w talii i z poduszkami na biodrach po obu bokach, jak od kilku lat dyktowała moda paryska. Poza tym często stałam przy kuchni, by doskonalić swoje umiejętności kulinarne. Wymyślałam wyrafinowane risotta z wiórkami truflowymi i tartym parmezanem. Piekłam leszcze w skorupce z soli aromatyzowanej tymiankiem albo ćwiczyłam się w przyrządzaniu potraw duszonych, jak *ossobuco*. Jedna rzecz bowiem potwierdzała się wciąż na nowo: wśród talentów, które bezsprzecznie posiadał Latif, na pewno nie było kulinarnego.

Czas mijał, był rok 1581. Latif i ja żyliśmy nadal w moim domu - obok siebie, jak pani i sługa, ale też trochę ze sobą, jak żona i mąż - a ja pogodziłam się z jego wadami. Późnym latem wpadł mi w ręce traktat z bogato zdobionym frontyspitem, dzieło zatytułowane *De Instrumentis pro Arte Reparatoria*. W uczonym świecie stał się on tematem częstych rozmów, a jego autorem był nie kto inny, jak Gaspare Tagliacozzi.

Zaciekawiona otworzyłam książkę, gdyż wszystko, co dotyczyło medycyny, zawsze przykuwało moją uwagę. Im dłużej czytałam, tym bardziej znajoma wydawała mi się treść owego dzieła. „Instrumenty potrzebne w sztuce rekonstrukcji”, których budowę i zastosowanie szczegółowo tam opisano, obejmowały wygięte igły ze złota bądź innego metalu, różne techniki szwu, wśród nich wspomniano też nowy szew ciągły za igłą, który miał zastąpić stary *sutura intercissa*, następnie narzędzia tnące i chwytające, wśród których szczególnie wyróżniono pewne novum, szczypce dwuszcelinowe z regulowanym mechanizmem zaciskowym, jak też specjalną kamizelkę z wszytym usztywnieniem z fiszbinów, nazywaną kamizelką z kapturem, która miała zapewniać pacjentowi w trakcie rekonstrukcji nosa znacznie lepsze podparcie.

W tym miejscu moja rosnąca irytacja przerodziła się w święte oburzenie. Instrumenty i techniki, które opisał Tagliacozzi, wszystko to bez wyjątku wymyśliłam ja. Z pewnością część z tych koncepcji narodziła się w rozmowach, które ze sobą prowadziliśmy, ale pomysł za każdym razem pochodził ode mnie. On jednak ani słowem nie wspomniał o moim wkładzie i przedstawiał sprawę tak, jakby sam to wszystko wymyślił. Ukradł moją własność intelektualną i użył jej do własnych celów, popełnił plagiat.

- Pani, co się stało? Wyglądacie jak smok ziejący ogniem.

- Wielkie dzięki za komplement, zdarzało ci się być miłym!

- Wybaczcie, pani. To porównanie jest naturalnie chybione. Piasek zasłonił mi wzrok, macie bowiem wdzięk Szeherezady z tysiąca i jednej nocy.

- Nie kpij ze mnie. W rzeczy samej jestem rozgniewana i mam po temu wszelkie powody. - Pokazałam Latifowi oburzające miejsca w książce Tagliacozziego i wyjaśniłam mu, jakiej bezczelności dopuścił się „ten nikiemny człowiek, który żądał aborcji”. - Teraz mnie rozumiesz? - spytałam.

- Tak i nie, pani. Rozumiem was, gdyż stan jest jasny jak to, że dwa i dwa jest cztery. I zarazem nie rozumiem, gdyż powinna wam wystarczyć świadomość własnych osiągnięć. Człowiek, który stroi się w cudze piórka, to biedny człowiek.

- Ta świadomość mi nie wystarcza. Latif przewrócił oczami.

- Czy naprawdę wciąż jeszcze łakniecie publicznego uznania, pani?

- Bzdura, oczywiście, że nie.

- No więc o co chodzi? - Latif uśmiechnął się łagodnie.

- No, ja... Zdaje mi się, że masz coś do roboty w kuchni!

Dwa dni później, było to jedenastego września roku 1581, dowiedziałam się, że żona Tagliacozziego Giulia powiła drugiego syna, Ippolita. I jakby tego było mało, wkrótce potem znowu rozdzwoniły się dzwony z San Pietro. Każde uderzenie dochodzące do mych uszu pogłębiało rany, które mi zadano, aż w końcu wyrzuciłam to z siebie:

- Gaspare Tagliacozzi, ty nędzny kłamco! Mówiłeś mi ze wzrokiem wiernego psa, że od dawna nie dzielisz łoża ze swą żoną, a ja byłam na tyle głupia, by ci wierzyć. A teraz jesteś ojcem czworga dzieci! Poczworny ojciec i poczworny kłamca! Ty oszuście! Ty plagiatorze! Igrasz z moimi uczuciami, jakbym była lalką, szydzisz ze mnie, wyśmiewasz, narażasz na śmieszność, ach, jakże ja cię nienawidzę!

Pani, proszę, nie gorączkujcie się tak. - Latif zjawił się przede mną. ~ Skąd się tu nagle wzięłeś?

- Z kuchni, pani. Głowa zdaje się wam płonąć z gniewu. To niedobrze! Baczcie, by te płomienie was nie zadusiły.

- Przestań! Ten typ mnie okłamał i oszukał, wykorzystał mnie jak parę butów, które się po prostu wyrzuca, kiedy się zużyją!

- Czy mówicie o tym nikczemnym człowieku...

- Tak, właśnie o nim. Ale teraz koniec z tym, teraz zmuszę go, by sprostował te kłamstwa, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu!

- Co macie zamiar zrobić, pani? - Głos Latifa brzmiał lekko.

- Pójdę do niego i zażądam wyjaśnień.

- Poniechajcie tego, pani.

- A kto mnie powstrzyma, ty?

- Pani, proszę...

Ale prośby Latifa na nic się nie zdały. Włożyłam beret z woalką i z szaloną determinacją wybiegłam z domu. Dopiero przed domem Tagliacozziego w parafii San Giacomo de'Carbonesi oprzytomniałam, poznałam bowiem, że odbywała się w nim wielka feta, zapewne z okazji chrztu. Stały tam powozy i wierzchowce, a służący biegali zaaferowani. Zobaczyłam Adelma i gestem przywołałam go do siebie.

- Muszę natychmiast porozmawiać z doktorem Tagliacozzim.

- *Signorina* Carla, wybaczcie, nie mam chwili czasu, muszę...

- Nic nie musisz! Nie słyszałeś, co powiedziałam? Zaanonsuj mnie natychmiast u swego pana.

- *Signorina*, wybaczcie, ale to naprawdę niemożliwe. - Adelmo stał przede mną z opuszczonymi ramionami.

- To się jeszcze okaże. Zaraz wejdę i stanę w salonie. Tam zacznę tak krzyżeć, że zbiegnie się cały dom, gdyby pan doktor nie raczył mnie przyjąć. Jeśli chcesz temu zapobiec, to niezwłocznie biegnij do niego.

- T... tak, *signorina*. - Skonfundowany Adelmo oddalił się spiesznie, a ja weszłam do domu, mijając pary w bogatych strojach i oparach ciężkich perfum. Stałam pośrodku sali i czekałam, podczas gdy wokół mnie panował ożywiony ruch. Widziałam znane osobistości, wysokich dostojników państwowych i szacownych notabli - i patrzyłam jakby na wskroś nich. Moje oczy szukały jedynie Gasparego Tagliacozziego.

Wreszcie się zjawił, z napiętą twarzą, uśmiechając się z przymusem.

- Czego ta chcesz? - spytał. - Nie jesteś zaproszona.

- Chcę sprawiedliwości. _ Pst, nie tak głośno.

- Boisz się pewnie, że przeszkadzam twoim wytwornym gościom? Ale wszystko mi jedno. Domagam się sprawiedliwości!

- Czyś ty postradała rozum, żeby tak się wydzierać? - Złapał mnie za ramię i pociągnął do niewielkiego pomieszczenia obok garderoby. Tu nie dosięgały nas ciekawskie spojrzenia, co zdawało się go uspokajać.

- Na początek chciałabym ci powinszować czwartego dziecka, mam nadzieję, że jest zdrowe.

- Jest zdrowe. Czego jeszcze chcesz?

- Chyba zdarzył się cud, że Giulia poczęła, skoro od tylu lat nie dzielisz z nią łoża. A może to nie ty jesteś ojcem? - Mój głos ociekał szyderstwem.

- Pytam po raz ostatni: Czego chcesz?

- Już powiedziałam: sprawiedliwości. Przeczytałam książkę, nazywa się *De Instrumentis pro Arte Reparatoria*. Bardzo ciekawa książka, w której jest dużo prawdziwych rzeczy. Nie zgadza się tylko kwestia autorstwa albo, powiedzmy, jest ono niekompletne. Brak nazwiska Carli Marii Castagnolo.

Tagliacozzi przywołał na twarz tak dobrze mi znany uśmiech rozbawienia.

- A więc o to chodzi.

- Tak, chodzi właśnie o to.

- No dobrze, więc przyjmij do wiadomości, że napisałem tę książkę zupełnie sam, nie istniał zatem żaden powód, by wymieniać twoje nazwisko.

- Przyczyniłam się w istotny sposób do jej powstania. Kamizelka z kapturem, szew ciągły za igłą, mechanizm dociskowy szczypiec, to moje...

- Nonsens - przerwał mi Tagliacozzi. - To wszystko są rzeczy, które nigdy by nie powstały bez współpracy ze mną, bez mojego zaplecza, mojego doświadczenia, bez mojej wiedzy medycznej.

W obliczu tej niesłychanej odpowiedzi mój gniew częściowo uleciał, ustępując niedowierzaniu.

- Nie mówisz tego poważnie. Nie mówisz poważnie.

- Nigdy nie mówiłem poważniej.

- Ależ podałeś się za autora moich pomysłów! Już zapomniałeś? Kamizelka z kapturem jest moim wynalazkiem, regulowany mechanizm zaciskowy...

- To wszystko są rzeczy, które istniały już wcześniej bądź zostały skonstruowane dzięki moim badaniom naukowym. Możliwe, że raz czy drugi rozmawialiśmy o tym, ale jakie to ma znaczenie? Książka ma ponad 500 stron, to moje dzieło.

- Ja... ja... - Zabrakło mi słów. Jeszcze nigdy nie spotkałam się z taką bezczelnością. - Ale...

- Powinnaś już pójść. Byłoby mi przykro, gdybym musiał kazać cię wyrzucić. Jesteś nikomu nieznaną pomocnicą siostr w szpitalu, która parę razy pomogła mi przy studentach, nikim więcej. Prawie cię nie znam, pamiętaj o tym.

- Jesteś ojcem Giancarla - wyszeptałam - i ty twierdzisz, że mnie nie znasz?

- Imię Giancarlo nic mi nie mówi.

- To był twój syn. Mówisz tak dlatego, że on umarł. Pewnie się ucieszyłeś, kiedy się o tym dowiedziałeś.

Tagliacozzi wyprostował się na całą swoją wysokość.

- *Signorina* Carla, muszę was prosić o natychmiastowe opuszczenie mojego domu. Zbyt dużo czasu już wam poświęciłem.

- Rozumiem - wymamrotałam. - Rozumiem. Już idę.

- Proszę wyjściem dla służby.

Nie wiem już, jak trafiłam do domu, pamiętam tylko, że w mojej sypialni załamalam się zupełnie i zaczęłam rozpaczliwie szlochać. Nie mogłam, nie chciałam pojąć, co zrobił mi Tagliacozzi. Jak człowiek może być tak bezgranicznie podły? Godzinami zadawałam sobie to pytanie, ciągle na nowo, ale nie znajdowałam odpowiedzi. W którymś momencie do pokoju przyszedł Latif, siadł przy moim łóżku i ujął mnie za rękę. Nic nie mówił, a ja nie cofałam ręki. Jego bliskość miała kojące działanie, dawała poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Mimo rozpaczki musiałam w końcu zasnąć, a kiedy się obudziłam, przez okno świeciło słońce i poznałam, że jest ranek.

Moje myśli przerwało jakieś sapanie. Przy moim łóżku leżał Latif, zwalisty, niewzruszony. Spał.

- Latif - odezwałam się - co ty tu robisz? Obudził się, przetarł oczy i powiedział:

- Strzegę was, pani.

- To nie było konieczne.

- Wybaczcie, pani, ale czasami nie wiecie, co jest konieczne, a co nie. Na przykład nie było konieczne nachodzenie wczoraj tego nikczemnego człowieka, który żądał aborcji. Trzeba było mnie posłuchać, pani, ale mnie nikt nie słucha. Zrobić wam śniadanie?

- Nie jestem głodna.

- Wiedziałem. Mimo to przygotuję coś. Z wczorajszego pstrąga został jeszcze filet, powinniście to zjeść. Każdą ość wyciągałem waszą pęsetą.

Nie pozostawało mi nic innego, jak go posłuchać. Chwilę potem jadłam pstrąga z podgrzany chlebem i piłam rozcieńczone wino. Posiłek pokrzepił mnie, podczas gdy Latif krzątał się w kuchni i co jakiś czas coś do mnie mówił.

Ja jednak nie słuchałam, gdyż moje myśli krążyły znów wokół wydarzeń w domu Tagliacozziego. I im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej od nowa rósł mój gniew. Jego zachowanie było bezczelne, bezwstydne i nie mogłam tego tak po prostu przełknąć. Potraktował mnie jak dziewczkę służebną, a na koniec wskazał mi drzwi. Poniosłam porażkę, ciężką porażkę, ale ja także miałam swoją dumę.

- Ja także mam swoją dumę! - wykrzyknęłam głośno. Zjawił się Latif, trzymając w ręku miseczkę z oliwkami.

- Naturalnie, pani. Ale czemu się tak gorączkujecie? Czy znowu chodzi o tego nikczemnego...

- Chodzi właśnie o niego. I o niesprawiedliwość, którą mi wyrządzono. Sprostuję te kłamstwa, niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało. Na świecie jest już nazbyt dużo niesprawiedliwości.

Ależ pani, wobec tego ta jedna więcej nie ma aż takiego znaczenia. Uspokójcie się i zjedzcie jeszcze trochę.

- Nie chcę więcej jeść! Jak możesz myśleć w takiej chwili o jedzeniu!
- Pani, proszę, pomyślcie o sentencji: kto igra z ogniem, ten sparzy sobie rękę.
- No i co? Jest też powiedzenie: jedna sprawiedliwa godzina to więcej niż siedemdziesiąt lat modłów.
- Ale co zamierzacie, pani? - W oczach Latifa zamigotał lęk.
- Pójdę do wikariusza generalnego, do kanclerza wszystkich profesorów i studentów i powiem mu, że rekonstrukcji płotka ucha nie zawdzięcza wyłącznie sztuce lekarskiej Tagliacozziego, lecz co najmniej w takim samym stopniu mnie. Obnażę w ten sposób Tagliacozziego. Strącę go z piedestału wszystkowiedzącego i wszechmocnego medyka, wystawię go na pośmiewisko Bolonii.
- Pani, wybaczcie, ale łakniecie tylko zemsty.
- A jeśli nawet! Nazywaj to sobie, jak chcesz. Najwyższa pora, bym wyszła.
- Pani, zostańcie, proszę! Pomyślcie o tym, jak bardzo zaszkodzicie sobie samej. Jesteście kobietą. Nie macie w ogóle prawa pracować jako medyk. Zrobiliście coś, co może was zaprowadzić przed trybunał inkwizycji.
- Co też znowu!
- I pomyślcie o waszej rubinowej połowie twarzy! Wiele osób nazywa coś takiego *voglia di peccato*, „znamię grzechu”. Proszę, pomyślcie o sobie, pomyślcie o mnie.
- Co też znowu! - powtórzyłam, bo byłam głucha na jego prośby i coraz bardziej podsycalam w sobie bezsensowny gniew. - Domagam się sprawiedliwości i satysfakcji, i dostanę jedno i drugie. Dla twego spokoju powiem ci tylko, że włożę beret z woalką i nikt mnie nie rozpozna.
- Ale jak chcecie otrzymać satysfakcję, jeśli nikt nie będzie wiedział, że to wy jej żądacie? - spytał mój chytry sługa.
- Daruj sobie takie sztuczki. Możesz sobie gadać, co chcesz, a i tak mnie nie powstrzymasz! - Sięgnęłam po beret. - *Arrivederci!*
- Stójcie! - zagrzemiał Latif, a jego zwykle wysoki głos zabrzmiał niezwykle ostro. Jeszcze nigdy nie słyszałam go ryczącego tak głośno i zatrzymałam się niechętnie.

- Co znowu?

- Zostańcie, pani, proszę.

- Nie! - Znowu ruszyłam do wyjścia, jednak ponowny okrzyk Latifa zatrzymał mnie w progu.

- Pani, jeśli koniecznie chcecie iść na pewną zgubę, muszę wam wyjawić prawdę, Allah, Światło, Przewodnik, zdaje się tego chcieć.

- *Arrivederci!* - wykrzyknęłam jeszcze raz i otworzyłam drzwi, by wyjść na ulicę.

- Stójcie, pani, nie idźcie tam! Nikczemny człowiek, który żądał aborcji, to wasz brat!

Postąpiłam jeszcze dwa kroki, a potem stanęłam.

- Mój brat? Nie kpij. W ten sposób mnie nie powstrzymasz.

- Wiem to z pewnego źródła, pani, naprawdę! Wiem to od urzędników, których wtedy przekupiłem, aby zaprzestano obserwacji naszego domu. Wiem to też od Conora i jego żebraków, którzy mają oczy i uszy otwarte.

- Nie wierzę - powiedziałam, choć poczułam, że zaczynam wierzyć. Lecz odsunęłam od siebie tę myśl. Była nazbyt okropna, by mogła być prawdziwa.

Latif widział moje wątpliwości, gdyż spieszenie ciągnął dalej:

- To prawda, pani, w waszych żyłach płynie krew Tagliacozzich!

- Nie - wymamrotałam, ale pozwoliłam, by Latif ujął mnie za rękę i przyprowadził z powrotem do stołu. Podsunął mi krzesło, a ja usiadłam. - Nie - wyszeptałam znowu - to nie może być prawda, ja nie chcę.

Latif przyniósł mi kielich z nierozcieńczonym winem, a ja machinalnie wypiałam do dna.

- Tak jest dobrze, pani. Wino koi duszę. Wasza matka, o której tak często mi opowiadaliście, w roku chrześcijan 1551 miała krótki, płomienny romans z ojcem nikczemnego człowieka, który żądał aborcji. Gdy w marcu 1552 przyszło na świat dziecko, wasza matka zażądała od Giovanniego Andrei, ojca nikczemnego człowieka, który żądał aborcji, aby się rozwiódł i poślubił ją. Jednakże Giovanni Andrea nie zamierzał tego uczynić, kochał bowiem swą żonę Isabetę Quaiarinę, która obdarzyła go już kilkorgiem dzieci. Wówczas wasza matka poprosiła, by przynajmniej zadbał o to, aby jego rodzina

przyjęła was na wychowanie i zapewniła wam przyszłość. Państwo Tagliacozzi jednak odmówili z powodu rubinowej strony waszej twarzy. Ludzie mówili, że nie chcieli mieć w swym gronie osoby tak oszpeconej.

- Nie - szepnęłam po raz kolejny, jak gdybym mogła się tym słowem bronić przeciwko prawdzie.

- Zwłaszcza kobiety lękały się niebezpiecznych następstw *voglia di peccato*. Przekonano Giovanniego Andreę, by kupił twojej matce dom i dał jej pewną sumę pieniędzy, aby wycofała swe żądania. A ona się zgodziła, rozumiała bowiem, że jej dziecko nigdy nie będzie szczęśliwe w rodzinie Tagliacozzich. - Latif zrobił pauzę. Może chciał mi dać okazję, bym coś powiedziała. Ja jednak milczałam, wobec tego ciągnął: - Pieniądze, które wasza matka otrzymała od tej rodziny, nie starczyły na długo, tak więc wkrótce była zmuszona zarabiać na życie krawiectwem.

- Tak - powiedziałam powoli - rozumiem.

I w rzeczy samej rozumiałam. Jedno łączyło się z drugim, i wreszcie stało się dla mnie jasne, dlaczego moja matka nigdy nie kochała mnie tak, jak matka powinna kochać swoje dziecko. Przypuszczalnie, będąc osobą tak bigoteryjną i zabobonną, czuła lęk przede mną i moim znamieniem.

- Czy teraz mi wierzycie, pani?

- Tak, wierzę ci. - Siedziałam przy stole jak uosobienie nieszczęścia i nie myślałam o niczym innym jak tylko o tym, że byłam przyrodnią siostrą Gasparego Tagliacozziego. Nie odczuwałam przy tym żadnej dumy ani wstydu, ale wezbrały we mnie wspomnienia. Musiałam myśleć o tym, jak lodowato traktowała mnie zawsze matka Tagliacozziego, co teraz zyskało zupełnie inny sens. I musiałam myśleć o mojej własnej matce. Czy te kobiety kiedykolwiek zetknęły się ze sobą? Przypomniałam sobie kosztowną broszę, którą moja matka nazywała *Fleurs-de-lis*. Perłę z niej doktor Valerini przerobił na środek obniżający gorączkę. Kwiaty w broszy przypominały herb Tagliacozzich, ale nigdy mnie to nie zastanowiło, gdyż oprócz kwiatów odwzorowana była tam jeszcze fontanna. Czy ojciec Gasparego podarował tę broszę mojej matce na znak miłości?

Przyszła mi do głowy także matka Florienca, dobrotliwa przeorysza, która przy pierwszym spotkaniu powiedziała do mnie „biedne, biedne dziecko”, co ja odniosłam do mojego ognistego znamienia. A ona miała na myśli skazę mojego nieprawego urodzenia.

Myśli nadal wirowały mi w głowie i doszłam do wniosku, że o moim pochodzeniu wiedziało wielu ludzi - więcej, niż bym kiedykolwiek przypuszczała, i że ojciec Edoardo, który dotykał mnie nieskromnie, gdy byłam dzieckiem, a potem zmienił się w dobrego człowieka, zapewne również o tym wiedział. Dotarła także do mnie jeszcze jedna, bardziej przerażająca prawda - że poczęłam dziecko z moim własnym bratem. Czułam z tego powodu palący wstyd, chociaż wtedy nie byłam tego świadoma. Jak z oddali usłyszałam głos Latifa.

- Czy chcecie teraz pójść do generalnego wikariusza, pani?
- Nie - odrzekłam. - Chcę umrzeć.

PASZKWIL

Il libello

Nie umarłam, chociaż stan, w którym się znajdowałam, był nader podobny do śmierci. Zdawałam się sparaliżowana, zarówno duchowo, jak i fizycznie, prawie nie jadłam i nie piłam, leżałam tylko zobojętniała w łóżku. Trwało to dwa lata, dwa lata, podczas których Latif trwał wiernie u mego boku. Robił wszystko, co w ludzkiej mocy, by przebić mur mojego milczenia, ale daremnie. Opowiadał mi historie z okresu, gdy przebywał w pałacu Topkapi, pogodne, zabawne, głupie historyjki, ale ja nie reagowałam nawet drgnieniem twarzy. Opisywał wydarzenia w mieście, uroczystości, parady i koncerty, żywo gestykulując, opisywał pogodę, hałaśliwie uskarżał się na wysokie ceny na targu, aby mnie rozśmieszyć, robił miny jak żebrak Sberleffo, przynosił mi najróżniejsze książki i godzinami mi je czytał. Ja jednakże byłam obojętna na wszystko.

Z dużą wprawą nacierał mi oliwą ramiona i nogi, ze zmiennym powodzeniem próbował gotować moje ulubione potrawy, wciskał mi do rąk igłę i nici, wierząc, że z powrotem zacznę szyć, śpiewał mi pieśni miłosne z Konstantynopola, przyniósł Bellę, lalkę, która w moich dziecięcych latach umiała mówić, i Ewę, laleczkę anatomiczną Alberta Dominello, kolekcjonera wszelkich małych rzeczy.

Podsuwał mi czerwone wino Lambrusco z Friuli na pobudzenie zmysłów, sprowadził pasztet z dziczyzny z Lombardii na wzmocnienie wątroby, wymachiwał przed moim nosem pachnącymi poduszczkami

i kulkami, by wywołać u mnie jakąś reakcję, próbował przepędzić moją obojętność głośnymi dźwiękami, tańczył i szalał przed moim łóżkiem, wykonując najbardziej niemożliwe łamańce, błagał Allaha Litościwego, Miłosiernego, by zechciał mnie uleczyć, i czynił jeszcze wiele innych rzeczy.

Wszystko to na nic się jednak nie zdało.

Wezwany lekarz zbadał mnie z należytą dyskrecją i doszedł do przekonania, że cierpię na nieuleczalną melancholię.

- Nastaw się na to, że będziesz musiał pielęgnować twoją panią aż po kres jej dni - rzekł do Latifa.

- Jeśli tak ma być, uczynię to, *dottore* - odpowiedział mój sługa. Jednakże Bóg Wszechmogący miał wobec mnie inne zamiary, gdyż któregoś dnia usłyszałam pod moim oknem płaczące dziecko, i ten płacz miał się przyczynić do mojego uratowania.

- Kto tam tak płacze, Latifie? - spytałam. Latif wypadł z domu.

- Mała dziewczynka z sąsiedztwa, pani - obwieścił po powrocie. - Och, pani, czemu o to pytacie? Czy naprawdę jesteście ciekawi, kto tak płacze? Poczekajcie, wyjdę jeszcze raz i spróbuję się dowiedzieć, dlaczego ta mała jest taka smutna.

Znowu wybiegł z domu, by po chwili donieść gorliwie, że rozmawiał z matką dziewczynki i że mała cierpi z powodu przepukliny, która powoduje bóle.

Nic nie powiedziałam i znowu popadłam w odrętwienie.

- Matka mówi, że dziewczynka płacze nie tylko z powodu bólów -relacjonował dalej Latif - ale też dlatego, że przez tę przepuklinę nie może się bawić z innymi dziećmi. Mówi, że jest zawsze sama, i wszyscy się z niej wyśmiewają.

- Wyśmiewają? - zapytałam.

- Tak, pani. Ponieważ przepuklina jest bardzo duża i wydatna i wylewa się z jej pachwiny. Dzieci potrafią być bardzo okrutne.

- Tak - odrzekłam. To, że dzieci potrafią być okrutne, wiedziałam ^aż nazbyt dobrze z własnego doświadczenia. - Daj mi teraz znowu spać.

Latif jednak nie miał zamiaru pozwolić mi spać - niedługo potem znowu stał przed moim łóżkiem.

- Nie wlepiajcie wciąż wzroku w ścianę, pani, tam nic nie ma -mówił.
- Spójrzcie lepiej na mnie. Mamy gości.

Nie zareagowałam, ale jakiś cieniutki głosik pisnął:

- *Buongiorno, signorina* Carla.

Odwróciłam się i zobaczyłam małą dziewczynkę w wielokrotnie łątanej sukieneczynie. Wyglądała na zakłopotaną, zapewne także z powodu mojego znamienia, gniotła rączki i wpatrywała się w podłogę.

- Powiedz *signorinie* Carli, jak się nazywasz - zachęcił ją Latif.

- Teresa - szepnęła dziewczynka.

- A ile masz lat?

- Pięć.

- A gdzie mieszkasz?

Tym razem Teresa nie odpowiedziała. Odwróciła się szybko i wybiegła z domu.

- Jest trochę nieśmiała - wyjaśnił Latif.

Nic nie odpowiedziałam i odwróciłam się do ściany.

Następnego dnia ponownie usłyszałam płacz. Jak ostrze noża wdzierał się w moje przygnębienie i domagał się uwagi. Zawołałam Latifa i powiedziałam mu:

- Odeślij to dziecko. Płacz mi przeszkadza.

- Dobrze, pani, zdajecie się mieć serce z kamienia.

- Nie mam serca z kamienia.

- Jak sobie życzycie, pani.

Nazajutrz na dworze panowała cisza. Nie mogę powiedzieć, by ta cisza mi przeszkadzała, ale była niezwykajna, czegoś mi brakowało, zapytałam więc Latifa:

- Dlaczego dziecko nie płacze?

- Nie wiem, pani, ale natychmiast sprawdzę. Gdy zjawił się z powrotem, rzekł:

- Teresa została z matką w domu, gdyż dzieci z sąsiedztwa były dla niej dziś rano szczególnie niedobre. Wołały na nią „kaleka”, „potwór”, a nawet „czarownica”. Płacze i jest zrozpaczona.

Nic nie powiedziałam, ale wyobraziłam sobie Teresę, jak siedzi w domu i łka, kryjąc twarz w małych rączkach.

_ Wystrugałem z drewna laleczkę - poinformował mnie Latif -i zaraz jej zaniósę, żeby poprawić jej humor. Czy mam coś przekazać od was, kiedy tam będę?

- Nie - odrzekłam. - Ale mógłbyś spytać matkę, jak duża jest ta przepuklina.

- Dobrze, pani! - wykrzyknął Latif zachwycony. - Dziękuję Allahowi, że znowu pobłogosławił was ciekawością!

- Nie jestem wcale ciekawa - odrzekłam.

Niedługo potem stał przede mną, zadyszany od szybkiego biegu, ale z radosną miną.

- Matka mówi, że przepuklina siedzi po prawej stronie i jest wielkości jabłka.

- Przyrowadź tu matkę. Teresę najlepiej też.

Matka Teresy była młodą kobietą ze strapioną twarzą, na której zdążył już odcisnąć piętno niedostatek. Miała na sobie roboczy fartuch, jej ręce były czerwone i szorstkie.

- *Buongiorno, signorina* - powiedziała cicho. - Leżycie jeszcze w łóżku, nie chcę przeszkadzać...

- Nie przeszkadzacie.

- Wybaczcie mi mój strój, ale właśnie prałam. Damy, dla których pracuję, nie lubią czekać.

- *Signora Mezzini* jest praczką - wyjaśnił Latif.

- Czy wiecie, jak powstała przepuklina u waszej córki? - spytałam.

- Gdy skakała na skakance, tak, Tereso?

- Tak - pisnęła dziewczynka.

- Kiedy to było?

~ Och, chyba z pół roku temu. Przepuklina u dzieci zdarzała się często.

- Czy ktoś w waszej rodzinie też cierpiał na przepuklinę? - Nie, *signorina*, o ile wiem, nikt.

- Nieleczona przepuklina może być groźna. Powinniście zamówić dla Teresy pas przepuklinowy. Musi go nosić, aby trzewia wsunęły się z powrotem do jamy brzusznej.

Tak, *signorina*, tylko że... że... - *Signora Mezzini* wpatrywała się zakłopotana w podłogę.

- *Signora Mezzini* ma wiele bogatych klientek, ale nie wszystkie płacą o czasie - wyjaśnił Latif.

- Rozumiem. - Znałam ten kłopot z doświadczeń mojej matki.

- Jeśli się zgodzicie, pani, to mogę pożyczyć pieniądze na ten pas. Skinęłam głową.

Signora Mezzini pogładziła córeczkę po włosach.

- Jesteście dobrą sąsiadką, jeśli wolno mi tak powiedzieć, *signorina*. Teresa i ja dziękujemy wam bardzo. Prawda, Tereso?

- Taak - rzekła dziewczynka.

Minęło kilka dni, a moja apatia trwała, chociaż Latif podejmował swe zwykłe wysiłki, by ją przełamać. Mniej więcej po tygodniu rankiem znów usłyszałam płacz. To bez wątpienia szlochała Teresa, a ja zapytałam:

- Co to ma znaczyć?

- Teresie znowu dokuczają, pani.

- Dlaczego?

- Bo nosi pas przepuklinowy. To piękny, nowy pas, ze skóry, specjalnie go zamówiłem u siodlarza w sąsiedztwie, ale odznacza się pod sukienką, dzieci pokazują na niego palcem i śmieją się z Teresy.

- Nie powinny tego robić - rzekłam znużonym głosem.

- A kimże ja jestem, żebym to zmienił, pani! - Latif wznosił ręce w geście bezradności. - Gdy przemawiam tym łobuzom do rozumu, śmieją się też ze mnie.

- No tak - rzekłam.

- Czy chcecie, pani, by ta banda śmiała się dalej?

- Nie - odparłam.

- Wobec tego zróbcie coś dla Teresy. Przez tę przepuklinę mała jest tak samo oszpecona jak... jak niektóre dzieci.

- Tak - powiedziałam, i w mojej głowie coś drgnęło. - Może powinno się Teresę operować.

Oczy Latifa rozbłysły.

- Słusznie prawicie, pani! Kiedy to uczynicie?

- Nie wiem, czy jeszcze potrafię.

- Oczywiście że potraficie, pani. Potraficie!

Nazajutrz był piękny, letni dzień. Poprzedniej nocy mocno padało, tak że powietrze pachniało świeżością i czystością. Jeszcze o poranku wahałam się, czy podołam operacji, ale Latif przyszedł do mojego pokoju z maską Wenus i powiedział:

- Nałóżcie ją, pani. Uspokoi was i doda wam siły. Zrobiłam, jak powiedział, i rzeczywiście, poczułam, że większość moich oporów znika.

Tak więc stałam w palącym słońcu na tarasie na dachu mego domu. Obok mnie znajdował się drewniany stół, na którym połyskiwały narzędzia chirurgiczne, a przede mną wniesione specjalnie przez Latifa łóżko, na którego brzegu siedziała *signora* Mezzini z córeczką. Obie były wyraźnie zdenerwowane, ale powiedziałam im, że to normalne, że wszyscy pacjenci tak się czują. Dlatego będę w swojej złotej masce Wenus, bogini piękności. Piękne i zdrowe będzie także po operacji ciało Teresy, wyjaśniłam.

Mój nieco mistyczny wygląd odniósł zamierzony skutek. Matka i córka uspokoiły się, a ja rozpoczęłam pierwsze czynności, które przypominałam sobie uprzednio, zaglądając do literatury. Kiedy Teresa położyła się na łóżku, delikatnie zbadałam dotykiem wielkie jak jabłko wybrzuszenie w pachwinie. Mimo woli przypomniały mi się występujące w dżumie bubony, które przed laty operowałam w Wenecji. Bogu dzięki w tym wypadku szanse na wyzdrowienie były o wiele większe. Badałam dalej i zdawało mi się, że wyczułam ciche burczenie spowodowane ruchami trzewi. Typowy objaw w obrazie tej choroby.

- Wydaje się, że jest to całkiem zwyczajna przepuklina. Nauka mówi w tym wypadku o hemii - powiedziałam.

- Skąd się coś takiego bierze? - spytała cicho *signora* Mezzini.

- Przepuklina powstaje, gdy trzewia bądź fragment jelita wydostaną się przez otwór w powłoce brzusznej. Taki otwór nazywa się wrotami przepuklinowymi, a to, co wydostaje się na zewnątrz, czyli to, co wyczuwamy jako wypukłość, jak również powłokę brzuszną wokół, nazywa się workiem przepuklinowym.

Signora Mezzini kiwnęła głową, ale widziałam, że nie była w stanie nadażać za moimi wyjaśnieniami. Zamilkłam zatem i kontynuowałam swoje czynności. Natarłam miejsce operacji octem winnym i zapytałam

Teresę, jak jej się podoba laleczka od Latifa. Odpowiedziała, że jest ładna, ale dosyć twarda, na co ja rzekłam:

- Ja też mam coś twardego. To jest skalpel. Tym skalpelem usunę tę dużą kulę na dole. To się stanie bardzo szybko. Najlepiej, jak nie będziesz patrzeć i pomyślisz sobie o czymś ładnym.

Teresa obiecała, że tak zrobi, choć trochę niepewnie.

- Prawie nic nie poczujesz. - Ostrożnie przecięłam skórę nad workiem przepuklinowym i zapytałam: - Boli?

- N... nie.

- Jesteś bardzo dzielna. - Wykonawszy cięcie, rozszerzyłam wrota przepuklinowe mniejszym ostrzem i wsunęłam worek przepuklinowy z powrotem do jamy brzusznej. Postępowałam bardzo ostrożnie i starannie, dopóki nie zyskałam pewności, że wszystko znalazło się na swoim miejscu. Następnie sięgnęłam po igłę i nici i zeszyłam powłokę brzuszną.

Operacja nie trwała nawet pół godziny, a gdy ją zakończyłam, poczułam równie wielką ulgę jak moja mała pacjentka i jej matka.

- Założę jeszcze ściągający opatrunek - powiedziałam do Teresy. Będziesz go musiała nosić piętnaście dni. Przez ten czas wolno ci będzie wstawać tylko do ustępu. I możesz jeść tylko lekkostrawne rzeczy, żebyś nie miała kłopotów w ustępie. Myślisz, że dasz radę?

- Taak.

- Bardzo dobrze. Co trzy dni będę do ciebie przychodzić i zmieniać opatrunek. A kiedy nie będzie już potrzebny, zatroszczę się o to, żebyś nosiła na tym miejscu śliczną, okrągłą poduszczkę. Poduszcзка jest żółta i ma twarz jak słońce, kiedy się śmieje. To słońce będzie miało płócienny pasek, żeby nie spadło, ale to ci chyba nie będzie przeszkadzać?

Teresa popatrzyła pytającym wzrokiem na matkę, a ta potrząsnęła przecząco głową.

- Nie - powiedziała dziewczynka.

- To bardzo ładnie. Zresztą będziesz je musiała nosić tylko przez parę miesięcy, potem słońce sobie zajdzie, a to twoje miejsce będzie już całkowicie zagojone.

Signora Mezzini popatrzyła na córeczkę i spytała:

- Co teraz trzeba powiedzieć?

- Dziękuję, *signorina* Carla.

- Nie ma o czym mówić. - Byłam wzruszona, zwłaszcza że *signora* Mezzini wyciągnęła nagle wspaniałe pawie pióro i wręczyła mi je z nieśmiałym uśmiechem.

- Wiecie, *signorina*, że niewiele mam, dlatego mogę podarować wam tylko to pióro. Będzie dobrze pasować do waszego beretu.

- Nie musicie mi nic dawać - powiedziałam, ale przyjął ten dar. Aby przezwyciężyć kielkujące zakłopotanie, zawołałam Latifa, który ze względów przyzwoitości czekał na dole, i poprosiłam go, ty zaniósł moją małą pacjentkę do domu, ale bardzo ostrożnie i bez żadnych gwałtownych ruchów.

- Dobrze, pani! - wykrzyknął. - Allah dokonał cudu!

Później siedzieliśmy oboje przy dużym stole jadalnym, a Latif nalał mi szklaneczkę wina.

- Wielki Prorok mówi, że alkohol jest *haram*, ale ponieważ wy, pani, jesteście niewierni, zatem nie jest tu władny wyrokować i dlatego możecie sobie wypić łyczek. Zaprawdę zasłużyliście na niego.

- Dziękuję, Latifie. - Przepiłam do mojego sługi i poczułam, że stopniowo opada ze mnie napięcie. Po dwóch latach duchowej samotności operacja była dla mnie wielkim wyzwaniem.

- Wydaje się, pani, że znowu jesteście całkiem jak dawniej.

- Może i tak jest.

- Proszę, pozostanieć taką.

- Będę się starać.

- Ja także się starałem, pani. Całe dwa lata, ale boję się, że nie byłem dobrym lekarzem. Ani razu nie udało mi się was rozbawić.

Ujęłam dłoń Latifa i uścisnęłam ją.

- Zrobiłeś dla mnie o wiele więcej niż rozbawianie mnie.

- Dziękuję, pani.

Wypiłam wino i chciałam się zabrać do czyszczenia moich instrumentów, gdyż tej czynności nigdy nikomu nie powierzałam. W tym momencie Latif zapytał:

- Przypominacie sobie jeszcze, pani, Ludovica, tego od malunków na twarzy?

- Tak, a czemu pytasz? - Złamał sobie palec.

Wstałam i zaczęłam wkładać instrumenty do cebrzyka z gorącą wodą.

- Cierpi bóle, pani.

- Współczuję mu.

- Wymalował się na ofiarę napadu, był zalany krwią i leżał skulony u stóp rodowej wieży Asinełli, która jest znakomitym miejscem do zebrania. Jego kapelusz, który niby mu zleciał z głowy, leżał o krok od niego. Przechodzący ludzie byli okropnie przerażeni na jego widok, przystawali i wrzucali do kapelusza datki. Tylko jeden z gapiów zażartował sobie i zawołał: „Na litość boską, czyżby ten biedak był martwy?”. Następnie z całej siły kopnął Ludovica w rękę. A gdy ten poderwał się z okrzykiem bólu, żartowniś zakrzyknął: „Bogu dzięki, żyje!” - i czmychnął.

Instrumenty namoczyły się. Zaczęłam wycierać krew ze skalpeli.

- I teraz chciałbyś, żebym obejrzała jego palec?

- Pani, macie bardzo bystry umysł.

Jak się okazało, Ludovico miał złamane dwa palce - środkowy i serdeczny u prawej ręki. Ponieważ był praworęczny, miało to ten skutek, że nie mógł się malować i musiał zebrać w zwykły sposób, co oznaczało poważny spadek jego dochodów.

Conor, król, zaproponował wspólnocie, by zezwolić Ludovicowi na przerwę w pracy i przez ten czas troszczyć się wspólnie o jego utrzymanie. Jego propozycja - jak to się zazwyczaj działo w takich przypadkach - została przyjęta, a ja miałam się zająć złamanymi palcami Ludovica.

Uczyliłam to, naradziwszy się uprzednio sama ze sobą. Przemyślałam całe moje postępowanie i wszystkie cele z przeszłości i doszłam do przekonania, że popełniałam błędy. Publiczne uznanie, którego tak bardzo kiedyś pragnęłam, wydało mi się po dwóch latach choroby całkowicie nieistotne, wręcz zbędne. Jak ja w ogóle mogłam kiedykolwiek tak myśleć! Czym było słówko pochwały z ust jakiegoś Aldrovandiego wobec uśmiechu wdzięczności małej Teresy? Jej uśmiech był wart dziesięć razy więcej. Sto razy, tysiąc!

Pomogłam matce i dziecku i tylko to się liczyło. W przyszłości, poprzysięgam sobie, zawsze będę się kierować tylko takimi pobudkami.

Wyjaśniłam Ludovicowi, że złamane palce trzeba unieruchomić. Najlepszym sposobem unieruchomienia jest związanie ich razem i przymocowanie do zdrowego palca. Wybrałam mały palec, gdyż dzięki temu Ludovico mógł używać kciuka i palca wskazującego. Jednak na jego pytanie, jak długo będzie trwało leczenie, nie mogłam udzielić precyzyjnej odpowiedzi.

- Posłuchaj, Ludovico - rzekłam - to zawsze zależy od rodzaju złamania i od tego, która kość jest uszkodzona. Kość piszczelowa przykładowo potrzebuje więcej czasu, by się zrosnąć, niż kość obojczykowa. Ponadto okres gojenia może być u każdego człowieka bardzo różny. U młodych osób jest na ogół krótszy.

- Tak, *signorina* Carla.

- No i w znacznej mierze istotne jest także, czy złamanie zostało właściwie unieruchomione i jak się chory odżywia. Lekkostrawne pożywienie jak zupy i jarzyny nigdy nie zaszkodzi. Należy unikać alkoholu, a jeśli już, to tylko odrobinę słabego na sen.

- Dobrze, *signorina* Carla.

- Mów do mnie po prostu Carla. *Signorina* brzmi tak oficjalnie. Spróbuję jednak zaryzykować prognozę, że będziesz mógł poruszać palcami najdalej za dwa miesiące.

- To dużo czasu... Carlo.

- To tylko jedna szósta część roku, a ty masz jeszcze wiele lat przed sobą.

- Dziękuję, Carlo.

Ludovico nie był jedyną osobą, która skorzystała z mojej opieki lekarskiej, gdyż kiedy się rozniosło, że Conor i jego kompania o każdej porze mają do dyspozycji medyczkę, także inni żebracy przybywali ze swymi dolegliwościami do Casa Rifugio, Domu Schronienia, by szukać tam pomocy medycznej. Conor nie był tym z początku zachwycony, miał liczne zastrzeżenia, ale powiedziałam mu, że chcę być lekarką wszystkich biednych i nieszczęśników, a nie tylko paru wybrańców. Musi to zaakceptować.

I tym to sposobem już wkrótce spędzałam więcej czasu przy Via Urbana niż na Strada San Felice, co by mi zresztą nie przeszkadzało... gdyby nie Latif.

- Pani - oznajmił któregoś wieczoru - gdy was prosiłem, byście wspomogli waszą sztuką lekarską Conora i jego żebraków, nie mogłem przewidzieć, że przestaniecie niemal bywać w domu. Nigdy nie wiem, czy i kiedy wrócicie. Nigdy nie wiem, czy gotuję dla nas obojga czy też na koniec będę musiał jeść sam. Popatrzcie tylko na mnie, jestem coraz grubszy. Jest już gorzej niż w czasach, gdy byłem degustatorem u Selima II Pijaka.

- Albo angażuję się całkowicie, albo nie robię nic, Latifie -odparłam.

- Och, pani, to brzmi pięknie. Nawet to rozumiem. - Latif przewrócił oczami. - Ale czy na przyszłość nie moglibyście angażować się troszkę mniej? Zdaje mi się, że to nie byłoby właściwe, gdybym musiał pęknąć, abyście znowu mieli dla mnie czas?

- Naturalnie, nie chciałabym tego. Ale musisz zrozumieć, że nie mogę tak po prostu odesłać chorego, który do mnie przychodzi.

- Tak, pani, ale nie zapominajcie, że macie także dom. Nie godzi się wciąż tylko pracować. Kto za dużo pracuje, ten jest zmęczony. A właśnie wam, jako medycze, nie wolno być nigdy *zmoczonym*. Inaczej ucierpią na tym pacjenci.

- Masz rację. I dlatego idę teraz do łóżka. Dobranoc, Latifie.

- Czy wieczorami będziecie bywać częściej w domu, pani?

- Postaram się.

Jednakże mimo najlepszych chęci przychodziłam do domu najczęściej tak późno, że zastawałam Latifa śpiącego. Padałam zupełnie wyczerpana na łóżko, a o świcie znowu byłam na nogach, by wyruszyć w drogę do Casa Rifugio. Robiłam to z poczucia obowiązku wobec moich pacjentów, ale także - jeśli mam być szczerą - aby zejść Latifowi z oczu.

Operacja małej Teresy okazała się impulsem, który wyrwał mnie z odrętwienia, a potem nic już nie mogło mnie powstrzymać. Jak gdybym chciała nadrobić to, co przez tyle lat było mi wzbronione

- leczyłam jeden przypadek za drugim. Gdy już naprawiłam palce Ludovica, zajęłam się mysim tancmistrem i jego krótszą ręką, która w miejscu zadawnionego złamania miała skłonność do stanów zapalnych. Następnie zadbałam o niegojącą się ranę na nodze kuglarza z parafii San Rocco, którą leczyłam okładami ziołowymi z kasztanowca, ślazu, arniki i nostrzyka, potem o pewnego farbiarza z nogami i ramionami pokrytymi szpecącą wysypką, której nabawił się przy swej pracy, dalej było trzech bezdomnych, którzy przed szynkiem wdali się w bójkę i odnieśli w niej poważne obrażenia, ślepotę starca z parafii San Mamolo, któremu dzięki zdjęciu zaćmy mogłam częściowo przywrócić wzrok, leczyłam kilka złamanych żeber u Fabia po jakimś upadku, a także zatrucie u żebrzącego dziecka, które z nudów najadło się liści i kwiatów oleandra, usunęłam ropiejący ząb u kobiety zbierającej szmaty, potem leczyłam półpasiec, na który cierpiał krewny Sberleffa i jeszcze wiele innych schorzeń. We wszystkich tych przypadkach wypełniałam moje obowiązki bez zbędnego rozgłosu, gdyż dla mnie liczył się tylko rezultat ' zabiegów, a nie kwieciste przemowy, jak u wielu znanych doktorów.

Wycinałam brodawki, nastawiałam zwichnięte ręce i nogi, leczyłam odciski, ordynowałam lecznicze nalewki z kory wierzbowej, tynktury z opium i krople uspokajające z kozłka lekarskiego i melisy. Pokazywałam, jak zakładać opatrunki i skubać płótno na szarpie potrzebne do opatrywania ran. Robiłam to i wiele innych rzeczy, a trzy legowiska ze słomą w sali żebraków niebawem musiały zostać uzupełnione o następne. Tak mijał miesiąc za miesiącem, a ja pracowałam jak w transie. To, co otrzymywałam w zamian, było o wiele cenniejsze niż pieniądze. Otrzymywałam to w oszałamiającej ilości, każdego dnia: poważanie, przyjaźń, a nawet miłość. Kiedy operowałam, zawsze nosiłam moją złotą maskę. Zrazu z obawy przed nieznanymi twarzami, później z przyzwyczajenia. Uczynić z twarzy Wenus moją własną stało się odruchem, podobnie jak oczywiste było dla mnie zdanie krążące wśród biednych i przegranych. Brzmiało ono: „Kiedy jesteś chory, idź do Carli, medyczki”.

Upajałam się uwielbieniem żebraków. Czułam się dobrze, czułam się doceniana i nie myślałam zbyt wiele o Latifie. Ponieważ coraz rzadziej pokazywałam się w domu, któregoś dnia powiedział do mnie:

- Pani, przyszedłem kiedyś do was, gdyż czułem, że mnie potrzebujecie. Oczywiście, chciałem się też wydostać z Wenecji, tej jaskini dżumy, ale myślę sobie, że beze mnie może by się wam nie udało. Od tej pory trwałem zawsze u waszego boku i zawsze potrafiłem coś dla was uczynić. A teraz nic dla was nie mogę zrobić. Nie potrzebujecie już sługi. Będzie najlepiej, gdy poszukam sobie nowej pani.

- Co ty mówisz? - Jego słowa ugodziły mnie jak cios. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo był do mnie przywiązany. Naturalnie, raz i drugi zauważałam jego smutną twarz, gdy nie widzieliśmy się przez kilka dni, ale całkowicie uszło mojej uwadze, że tak bardzo cierpiał z powodu naszej rozłąki. - Jest mi ogromnie, ogromnie przykro. - Chwyciłam jego tłustą, mięsistą dłoń. - Musisz mi uwierzyć.

- Wierzę wam, pani. Ale na co się to zda? Dopóki jesteście lekarką w Casa Rifugio, dopóty nie możecie być to, w domu, i nie potrzebujecie żadnego służącego.

- To, co mówisz, jest prawdą. - Zastanawiałam się, jak mogłabym go udobruchać, i mówiłam dalej: - Widzę, że nie przygotowałeś nic na kolację, bo nie wiedziałeś, czy wrócę do domu. Dlatego to ja ugotuję coś dla nas obojga. Zobaczymy, co uda mi się wyczarować.

- Pani, nie zadawajcie sobie, proszę, trudu. Co tu wyczarowywać? W domu nic nie ma. Bo i po co?

- No tak - odparłam i poczułam się dość bezradnie. - Co wobec tego mogłabym zrobić?

- Nic, pani. Chorzy są jak widać ważniejsi od domu.

- Nie mów takich rzeczy. Zgoda, w tym momencie, kiedy zajmuję się chorymi, są ważniejsi. Ale poza tym ważniejszy jesteś ty.

- Jeśli nie robicie nic innego, jak tylko leczycie chorych, to na nic mi się to nie zda, pani. Ja też jestem chory, moja dusza jest chora, i aby wyzdrowieć, muszę odejść. Modliłem się długo do Allaha Litościwego, Miłosiernego, aby mnie oświecił, a on mi rzekł, że takie miejsce jak to, w którym człowiek nie spotyka się już z człowiekiem, jest złym miejscem.

- Wiesz co? - Coś mi przyszło do głowy. Rozwiązanie, które wydawało się tak proste, że zdziwiłam się, dlaczego nie wpadłam na to wcześniej. - Wprowadzimy się oboje do domu żebraków.

W Casa Rifugio zawsze będziesz blisko mnie i znowu możesz być moim służącym. - Taka byłam rada z mojego dobrego pomysłu, że objęłam Latifa.

Jednak ku mojemu zaskoczeniu on wyzwolił się z moich objęć i powiedział:

- To niemożliwe, pani. Nasz dom byłby osierocony, bez dozoru i każdy mógłby się do niego włamać i ukraść nasz dobytek. Nie, muszę tu zostać. - I z ciężkim westchnieniem dodał: - Albo odejść.

Na chwilę zaniemówiłam.

- Latifie, nie mów tak. Nie lubię, gdy tak mówisz. Twoje miejsce jest przy mnie.

- To brzmi słodko jak śpiew harfy Archanioła Gabriela. Ale jeśli wy...

- Nie ma żadnego ale, Latifie - powiedziałam stanowczo. - Zrobię wszystko, aby w przyszłości znowu częściej bywać w domu.

- Och, pani, naprawdę?

- Tak, naprawdę. Oczy Latifa rozblęły.

- Czy wolno mi was pocałować, pani?

- Nie - odpowiedziałam. Na widok jego zawiedzionej miny zrobiło mi się trochę przykro, że nie spełniłam jego prośby.

Ale nie zmieniłam zdania.

W następujących dniach i tygodniach szczerze się starałam być częściej w domu z Latifem, ale prawda jest taka, że rzadko mi się to udawało. Praca w Casa Rifugio tak mnie absorbowwała, że wkrótce zapomniałam o swej obietnicy. Wydawało mi się oczywiste, że Latif zawsze był - zdziwiłam się, gdy pewnego wieczora nie zastałam go w domu. Biegałam po wszystkich pomieszczeniach i coraz głośniejszo go wołałam. Moje zdumienie z powodu jego nieobecności przerodziło się w lęk. Gdzie on się podziewał? Chyba nic mu się nie przydarzyło?

- Latif! - wołałam. - Gdzie jesteś? Schowałeś się gdzieś? Nie żartuj sobie ze mnie, wychodź!

Ale Latifa nie było. Dotarło to do mnie, kiedy już przeszukałam każdy zakamarek w domu. Nie było go, zniknął.

Stawałam się coraz bardziej niespokojna, więc nalałam sobie trochę czerwonego wina. Ale to mnie nie uspokoiło. Ponieważ wszystkie jego rzeczy zostały, musiało mu się coś stać. Może przy robieniu sprawunków? Może został napadnięty? Niektórzy hultaje zabijali z powodu paru *baiocchi*. Albo wpadł pod koła powozu, jak moja matka...

Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Zerwałam się, przewracając szklankę z winem, ale nie zaprzętałam sobie tym głowy. W gorączkowym pośpiechu włożyłam beret i opuściłam dom. Pobiegłam zapytać strażników przy Porta di San Felice, czy go nie widzieli. Oni jednak potrząsnęli głowami - nie mieli pojęcia, gdzie mógłby się znajdować. Byłam coraz bardziej niespokojna, kręciłam się w kółko jak spłoszona kura, tu szukałam, tam wypytywałam, i w końcu prawie na niego wpadłam, gdy wyszedł z bocznej uliczki. Zamierzałam powiedzieć mu coś do słuchu i zapytać, co mu przyszło do głowy, żeby wychodzić na tak długo, nie zostawiwszy mi żadnej wiadomości, jednak gdy go ujrzałam, poczułam tak bezgraniczną ulgę, że nic nie powiedziałam, tylko po prostu rzuciłam mu się w ramiona.

- Gdzieżeś się tak długo podziewał? - zawołałam.

- Ależ pani, czyżbyście mnie szukali? - odpowiedział pytaniem.

- Oczywiście. Strasznie się o ciebie martwiłam!

- Och, pani, bardzo mi przykro. Ale też trochę mnie to cieszy. Byłem u małej Teresy i zaniósłem jej konika na biegunach z drewna pinii. Sam go wystrugałem. Bardzo się ucieszyła. Gdybym wiedział, że wrócicie dziś na kolację, coś bym przygotował, ale nie wiedziałem - jak zawsze.

Cofnęłam się o krok.

- Proszę, Latifie, nie dręcz mnie jeszcze bardziej. I tak trudno mi sprostać oczekiwaniom obu stron.

- Macie rację, pani, ale inni lekarze też mają dużo pracy, a jednak wieczorami są w domu. Allah Sprawiedliwy, Nieprzekupny jest mi świadkiem. Czy nie moglibyście w przyszłości leczyć Conora i jego ludzi u nas, na Strada San Felice?

Ta myśl już kiedyś przyszła mi do głowy, ale natychmiast ją odrzuciłam, już raz bowiem byłam obserwowana na polecenie nie

wdzięcznego Helvetica, prawej ręki inkwizytora jego świątobliwości, Baldassarego Savellego.

- To niemożliwe, Latifie, i sam wiesz dlaczego. Pomyśl o tych dwu szpiegach, którzy miesiącami nie spuszczały naszego domu z oczu.

- Tak, pani, macie rację. Ale ja też mam odrobinę racji, musicie to przyznać. Poza tym burczy mi w brzuchu. Matka Teresy chciała mnie poczęstować kolacją, ale na stole było tak niewiele, że nie miałem sumienia objadać jej ani dziecka. Znacnie mój wielki apetyt.

- Jeśli już o tym mówisz... moglibyśmy pójść do Paola i tam coś zjeść.

- Och, cudownie, pani! Zapraszam was.

- To wykluczone. Nie godzi się, by sługa zapraszał swoją panią.

- A gdybym dziś wieczór wyjątkowo nie był waszym sługą?

- No dobrze. - Wahałam się. - To wtedy byłoby coś innego.

Mijały miesiące. Z trudem udawało mi się dzielić sprawiedliwie swoją obecność między Via Urbana a Strada San Felice. Aby być szczerą, muszę wyznać, że spędzałam więcej czasu u żebraków niż u siebie w domu. Latif nic na to nie mówił. Parę razy próbował zaprosić mnie ponownie do Da Paulo, ale ciągle coś nam przeszkadzało.

Pewnego dnia w roku 1584 złożyłam wizytę matce Floriency, dobrotliwej przełożonej klasztoru San Lorenzo. Siedziała jak zawsze za biurkiem z figurką Madonny i wyciągnęła na powitanie rękę. Ucałowałam pomarszczoną dłoń, a przeorysza rzekła:

- Czy już ci lepiej, moje dziecko? Dwa lata na łożu boleści to długi czas. Ale wstawiałyśmy się regularnie za tobą w modlitwach i nasze błagania zostały wysłuchane. Wszechmogący w swej niezmierzonej dobroci sprawił, żeś ozdrowiała. Musiało być ci bardzo ciężko dowiedzieć się po tylu latach, kto jest twoim ojcem.

Tak, czcigodna matko. - Wpatrywałam się w podłogę. Ród Tagliacozzich należy do najbardziej wpływowych i majątnych w Bolonii, ich dotacje dla Kościoła i klasztoru są znaczne. -

Matka Florienca westchnęła. - Przynajmniej takie były, gdy twój ojciec Giovanni Andrea jeszcze żył. Także zakonnice z San Lorenzo otrzymały od niego dużą darowiznę, a matka Serafina, ówczesna przełożona, złożyła mu wtedy obietnicę, że nigdy nie wyjawimy publicznie tajemnicy jego ojcostwa. Stara kobieta znowu westchnęła.

- Taak, tak to było. Gdy objęłam sukcesję po matce Serafinie, nie mogłam złamać danego przez nią słowa.

- Rozumiem - wymruczałam. Byłam przerażona. Sądząc po tym, co właśnie usłyszałam, przekupstwo panujące w mieście nie oszczędziło nawet powszechnie szanowanych sióstr.

- Może mogłabym naprawić to uchybienie, opowiadając ci historię twojej matki, jestem bowiem pewna, że jej nie znasz. W młodości była nadzwyczaj piękna i, no cóż, trochę płocha. Powiadają, że twój ojciec nie był jej pierwszym mężczyzną, niemniej był pierwszym, który uczynił ją brzemienną. Błogosławiony stan spowodował u niej zasadniczą przemianę. Gdy wcześniej była niefrasobliwa, to teraz, jako przyszła matka, zapragnęła mieć rodzinę. Jednakże Giovanni Andrea nie miał zamiaru rozwieść się z żoną, nie chciał porzucić Isabety Quaiariny i twojej matce zawalił się cały świat. Od tej pory żyła tylko dla siebie i swego dziecka, i stała się tym, kim nigdy wcześniej nie była: wierzącą, bogobojną katoliczką, uczęszczającą gorliwie do kościoła. Wszystkie modliłyśmy się o zbawienie jej duszy, kiedy zmarła wskutek tego tragicznego wypadku. Jestem pewna, że Wszechmogący odpuścił jej grzechy i obdarzył wiecznym pokojem.

- Tak, czcigodna matko - szepnęłam. Przemyślałam to, co mi wyjawiała, i zdziwiłam się, że ani mnie to szczególnie nie dotknęło, ani nie zaskoczyło. Czułam jedynie cichą ulgę, gdyż teraz wszystko już wiem.

- Będę się za ciebie modlić, moje dziecko, abyś mogła iść dalej swą drogą. Ach, skoro już o tym mówimy... co właściwie robisz ostatnimi czasami?

- Czynię dobro, czcigodna matko - odpowiedziałam wymijająco.

- I co? Nie możesz mi powiedzieć, co to takiego?

- Nie w szczegółach, ale pomagam biednym i zagubionym.

_ To mi musi wystarczyć. - Patrzyła na mnie swymi dobrotliwymi oczami. - Gdybyś jednak kiedykolwiek poczuła potrzebę, aby całą sobą i swym działaniem oddać się Wszechmogącemu, nie zwlekaj i zapukaj do moich drzwi.

- Przyrzekam.

- Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko. - Drżącą ręką uczyniła znak krzyża.

Tak oto rozpoczął się rok 1584, który okazał się rozstrzygający dla całego mojego życia. Jednak na razie nadal odnajdowałam całkowite spełnienie w służbie najuboższemu w mieście, a w kwietniu zdarzyło się tak, że musiałam się zająć brzemieniem w skutki przypadku.

Daleka krewna owego żebraczego dziecka, które z nudów zjadło liście oleandra, zapukała do drzwi Casa Rifugio, prosząc, by ją wpuścić. Jako że nikt jej nie znał, zaprowadzono ją przed oblicze Conora, któremu poskarżyła się na swój los. Jest nieuleczalnie chora, mówiła, jej jedyną, ostatnią nadzieją jest medycza. Conor chciał ją odprawić, gdyż coś mu się nie spodobało w jej twarzy, ale ja podeszłam i powiedziałam:

- Jeśli ktoś jest chory, to moim powołaniem jest go leczyć. Każdego bez wyjątku.

Conor się wahał, ale po chwili ustąpił.

Zaprowadziłam kobietę do kącika w sali żebraków, służącego mi za miejsce do rozmów.

- Powiedz mi, jak się nazywasz, jak znalazłaś do nas drogę i co ci dolega?

Kobieta, starsza osoba ze szpiczastą twarzą, odziana jak żebraczka, powiedziała:

- Nazywam się Constanzia.

- Jeszcze nigdy cię nie widziałam. Z jakiej dzielnicy pochodzisz, Constanzio?

- Żebrzę dopiero od niedawna, jestem z parafii San Vitale. -Odpowiedź obcej kobiety była szybka i zdecydowana. - Wskutek Przeciwności losu wszystko straciłam. Na domiar nieszczęścia dosięgła mnie też choroba, której nikt nie umie wyleczyć, nawet najlepsi

medycy. Przez przypadek usłyszałam o tobie i twoich leczniczych umiejętnościach. Jeśli ty nie zdołasz mi pomóc, to już nikt mi nie pomoże.

- U jakich lekarzy byłaś do tej pory?

- U żadnych, jestem żebraczką i nie mogę sobie pozwolić na doktora.

Kiwałam głową. Pochlebstwa Constanzii - przyznaję - nieco mnie zwiodyły, inaczej zauważyłabym sprzeczności w tym, co mówiła.

- Co ci dolega?

- Mam nieznośne bóle głowy. - Constanzia pokazała na lewą skroń. - Zawsze tu, po tej stronie. Tutaj wali, jak gdyby ktoś od środka uderzał młotem.

Wiedziałam, że przy takich symptomach pacjentka nie miała szansy na wyzdrowienie. Nie dałam jednak nic po sobie poznać i wypytałam ją szczegółowo. Pytałam o częstotliwość bólów, porę występowania, jak długo trwają, i czy istnieje związek z periodem, wybadałam ją na temat zaburzeń widzenia, mdłości i zawrotów głowy. Przemyślałam rzecz gruntownie, a w końcu podsumowałam:

- Z tego, co mi opowiedziałaś, wynika, że te nieznośne bóle za każdym razem sygnalizowane są wcześniej. To nic niezwykłego, gdyż tak się dzieje u większości twych towarzyszek niedoli. Spróbuj odpoczywać i odprężyć się, zamknij oczy i zaciemnij pokój. Dam ci trochę *laudanum*. To silny lek przeciwbólowy, zawiera wyciąg z makówek. Zażywaj go z umiarem, nigdy więcej niż pół naparstka. Popij *laudanum* dużą ilością wody i ufaj w jego działanie.

- Tak uczynię.

- Niestety nie mogę zlikwidować źródła choroby, gdyż jest ono nieznane. Jeśli uznasz, że moje porady są dla ciebie coś warte, zostaw Conorowi parę groszy. Przydadzą się nam wszystkim.

- Tak uczynię. - Constanzia obdarzyła mnie nieruchomym spojrzeniem. - Słyszę, że pracujesz nie tylko jako uzdrowicielka, ale także jako lekarka?

- To prawda - odpowiedziałam.

- Nazywają cię medyczką. Czyżbyś ukończyła studia?

- Nie - odrzekłam i w tym miejscu powinnam była przerwać tę rozmowę, ale zawładnęła mną próżność i mówiłam dalej, chociaż

moja mowa była tak zbyteczna jak wole na szyi. - Nie mam wprawdzie tytułu lekarza, nie jestem także wyposażona w insygnia tego zawodu, nie mogę się pochwalić biretem doktorskim na znak moich zasług ani złotym pierścieniem jako znakiem mojego ścisłego związku z doktryną papieską i wspólnotą akademicką, podobnie nie mogę się szcycić tym, że otrzymałam *osculum pacis*, pocałunek pokoju i zaufania od moich kolegów doktorów, ale o jednym mogę cię zapewnić: w niczym nie ustępuję panom akademikom z uniwersytetu.

- Wierzę w każde twoje słowo - rzekła Constanzia i podała mi wypielegnowaną rękę na pożegnanie.

- *Laudanum* jest drogie - powiedziałam. - Przypuszczalnie nie będziesz sobie mogła na nie pozwolić z tego, co uzebrzesz, dlatego próbuj sobie pomagać wyciągiem z kory wierzbowej.

- Tak zrobię - rzekła.

Szybko zapomniałam o spotkaniu z Constanzią, gdyż po jej wyjściu czekali na mnie inni chorzy. Minął kwiecień, nadszedł maj, kiedy moją uwagę przykuła wysoce niemiła sprawa. Było to w sobotę, dwunastego dnia miesiąca, gdy niezmordowany prześladowca czarownic Girolamo Menghi z wielkim rozgłosem kazał opublikować nowe podburzające dzieło. Nazywało się *Fustis Daemonum* i już sam tytuł, który znaczył „kij na demony”, sprawił, że zadrżałam.

Znajdowałam się w Casa Rifugio i Fabio, który tego dnia nie pracował jako *allacrimanto*, od razu wyczuł, że coś mnie dręczy.

- Co z tobą, Carlo? - zapytał. Jego brzydka twarz, która umiała się tak sympatycznie uśmiechać, przybrała wyraz troski.

Opowiedziałam mu o najnowszym poronionym wytworze klechy Polującego na czarownice.

- Ależ nawet nie wiesz, co jest w nim napisane - próbował uśmierzyć mój niepokój.

- Znam jego wcześniejsze traktaty. To paszkwile, które mają jeden tylko cel: napiętnować wszystkich myślących czy wyglądających inaczej jako odszczepieńców i wepchnąć ich w łapy inkwizycji. Ktoś, kto jak ja, ma na twarzy *voglia di peccato*, zawsze jedną nogą stoi

na stosie. Mówi się, że Menghi jest obecnie w mieście, gdyż jego dzieło ukazało się w tutejszej oficynie drukarza i wydawcy Giovanniego Rossiego. Jego szpicle i siepacze są zapewne wszędzie. Matka mówiła mi na łożu śmierci, że w Rzymie kazał bezlitośnie spalić rudowłosą heretyczkę. Kto wie, kogo jeszcze ma na sumieniu.

- Ciebie nie dostaną. - Fabio położył mi rękę na ramieniu. -U nas jesteś bezpieczna. To tylko zrujnowany dom z lombardem prowadzonym przez starego Żyda, nic więcej. Nikt nie będzie cię tu szukał, założywszy, że w ogóle będą cię szukać. Ale to się nie stanie.

Stopniowo udało mu się mnie uspokoić, zwłaszcza że inni żebracy argumentowali w podobny sposób. Jednakże wieczorem znowu ogarnął mnie niepokój i Fabio powiedział:

- Wiem, o czym myślisz. Chcesz wrócić do domu i zobaczyć, co się dzieje z Latifem, ale nie troskaj się, ma się dobrze.

- Skąd wiesz? - zapytałam.

- Nie zapominaj, że pracujemy w całym mieście - rzekł Fabio z uśmiechem. - Słyszymy wszystko, nawet jak trawa rośnie. No więc powtarzam: Latif ma się dobrze. Powiedział, że czuje się samotny w domu bez pani, ale to z pewnością próba, jakiej poddaje go Allah Surowy, Allah Sprawiedliwy. Kazał cię serdecznie pozdrowić.

- Dziękuję - odparłam i kamień spadł mi z serca. - Ale najpóźniej jutro muszę wrócić do domu. Latif jest wprawdzie bardzo wierzący, ale też bardzo bezradny. Potrzebuje kogoś, kto się o niego troszczy.

- Naturalnie, Carlo.

Minął tydzień. Każdego dnia chciałam wrócić do domu, by zobaczyć, co z Latifem, i za każdym razem Fabio mnie powstrzymywał. Mówił:

- Latif jest sprytny, daje sobie radę. Z jego powodu nie musisz tam iść. Ale kiedy zechcesz wrócić, powiedz nam. Wtedy nasi ludzie wybadają, czy w pobliżu nie kręcą się jacyś oprawcy.

- Dziękuję - rzekłam. - Nie chciałabym czekać już ani dnia dłużej. Następnego ranka Conor zameldował:

- Wygląda na to, że teren jest czysty, ale moi ludzie nie mogą dać pełnej gwarancji. Nie każdy oprawca ma wypisane na czole, czym się zajmuje.

- Mimo to zaryzykuję - powiedziałam. - Ta moja strachliwość zaczyna mi się wydawać głupia.

- Kto nie ryzykuje, nie wygrywa, a kto śpi, ten nie złowi ryb. *Chi dorme non piglia pesce.*

Zaśmiałam się bez przekonania, zdjęłam złotą maskę i włożyłam beret z woalką. Przy berecie tkwiło pawie pióro od matki małej Teresy, wierzyłam bowiem, że przyniesie mi szczęście.

- *Arrivederci*, przyjaciele - powiedziałam i weszłam po schodkach na górę, gdzie przywitał mnie jasny dzień.

Szłam przez środek miasta, co jakiś czas przyłapując się na tym, że się kulę i przemykam przy samej ścianie arkad, z obawy, że ktoś mnie rozpozna. Serce waliło mi jak oszalałe. W każdym, kogo mijałam, zdawałam się rozpoznawać sługę Menghiego albo inkwizycji. Ale nie wydarzyło się nic złego. Im dłużej szłam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nikt się mną nie interesuje. Byłam zupełnie zwyczajną kobietą na ulicy, i tym właśnie chciałam być.

Na małym targowisku przy Via del'Poggiale kupiłam kilka bakłażanów oraz siekaną jagnięcinę i cebulę na farsz. Do tego chleb, ser i oliwki, ponieważ byłam pewna, że podczas mojej nieobecności Latif nie odżywił się rozsądnie.

- Latif, to ja - zawołałam, wchodząc do domu. - Kupiłam nam coś do jedzenia. Masz chęć na faszerowane bakłażany?

Poszłam do kuchni i odłożyłam sprawunki. Jeden rzut oka do pieca pokazał, że żar w nim wygasł. Przywitał mnie tylko szary popiół.

- Latif? - Poczulałam, jak wokół piersi zaciska mi się żelazna obręcz. - Latif? - pobiełam do jego pokoju. - Latif? - Popędziłam do pracowni. - Latif? - Już biegłam na górę. - Latifie, gdzie jesteś? Latif? Latiiiiif!!!

Potrzebowałam dłuższej chwili, zanim dotarło do mnie, że nie ma go w domu. No dobrze, próbowałam się uspokajać, to nie musi nic znaczyć. W końcu nie wiedział, że przyjdę. Ale gdzie się mógł Podziewać?

Przyniosłam z podwórza drew na rozpałkę i roznieciłam ogień. Zanim piec się rozgrzał, umyłam bakłażany, obrałam je i wydrążyłam. Następnie posiekałam cebulę. Obsmażyłam bakłażany ze wszystkich stron na delikatnej oliwie i odstawiłam je na bok. Potem obsmażyłam

mięso i cebulę, które przedtem wymieszałam, a następnie doprawiłam solą i pieprzem. Napelniłam bakłażany mięsny farszem i posypałam tartym parmezanem. Byłam pewna, że ta potrawa będzie Latifowi smakować.

- Latif? - Ciągłe go nie było, chociaż czekałam już ponad godzinę. - Latif?

Znowu poczułam zaciskającą się wokół piersi obręcz, i tym razem ucisk nie ustępował. Ogarniał mnie coraz większy niepokój. W końcu nie mogłam już wytrzymać w domu. Pobiegłam kilkaset kroków do Teresy i jej matki, *signory* Mezzini. Ale nikogo nie zastałam.

Ich też nie było w domu.

To nie mógł być przypadek!

Byłam bliska łez, drżałam na całym ciele i musiałam zebrać wszystkie siły, żeby pomyśleć rozsądnie. Muszę szukać dalej, wszystko inne nie ma sensu. Biegłam od domu do domu, rozmawiałam z sąsiadami i znajomymi i wszędzie zadawałam pytanie o Latifa, wielkiego, łysego mężczyznę w powiewającej białej szacie. Ale nikt go nie widział.

W swej bezradności odwiedziłam nawet matkę Marca, sędziwą signorę Carducci, teraz niedosłyszającą i niedowidzącą. Gdy zadałam jej pytanie, patrzyła tylko na mnie bezrozumnie swymi zmętniałymi oczami.

- Jestem Carla! - krzyknęłam jej do ucha. - Byłam kiedyś zaręczona z Markiem!

- Ach, Marco? - zaskrzeczała. - Zaraz wróci, mój Marco... niedługo.

Zrozumiałam, że dalsze wypytywanie jest bezcelowe, życzyłam jej dobrego dnia, choć z pewnością tego nie usłyszała, i opuściłam dom, w którym niegdyś mieszkał mój narzeczony. Pograżona w myślach wlokłam się noga za nogą, czyniąc sobie najgorsze wyrzuty. Latif zniknął i to ja byłam temu winna. Gdybym nie przeczekala lekko tego tygodnia u żebraków, byłabym z nim i mogłabym na niego uważać. Wszystko byłoby dobrze, wszystko...

- *Signorina* Carla! - Jak z oddali usłyszałam jakiś głosik. Należał do Teresy. Szła obok matki, w rączce trzymała drewnianą lalkę od Latifa. - *Signorina* Carla, mama i ja byliśmy bardzo daleko w takim

domu, gdzie było całkiem ciemno, ale teraz jesteśmy znowu tutaj, popatrzcie, jak świeci moje słońeczko. - Podniosła sukieneczkę, a ja zobaczyłam pas przepuklinowy, który zaordynowałam jej po udanej operacji.

- Bardzo ładne - powiedziałam z wysiłkiem. - Prześlicznie świeci twoje słońeczko.

- Posłuchaj, Tereso - *signora* Mezzini zwróciła się do córki -jesteś już dużą dziewczynką, prawda?

- Taak...

- Myślisz, że mogłabyś pobiec przodem i postawić jedzenie na kuchni? *Signorina* Carla i ja musimy porozmawiać.

- Tak, mogę. - Mała radośnie pomachała laleczką i pobiegła, podskakując. *Signora* Mezzini patrzyła za nią dłużej niż to konieczne, a ja domyślałam się, dlaczego. Nie chciała mi spojrzeć w twarz.

- Powiedźcie, co się wydarzyło. Wiecie coś, prawda?

- Tak, *signorina*, wiem coś... Musiałam patrzeć na coś strasznego i nic nie mogłam zrobić.

- Latif?

- Tak.

- Co z nim? Mówcie wreszcie!

- Aresztowali go. Dwóch mężczyzn wyprowadziło go skrepowanego z waszego domu. Widziałam to przypadkiem, gdyż właśnie wyniosłam na dwór bieliznę do powieszenia. Te typy były silne jak tary, musieli tacy być, bo wasz sługa bronił się zaciekle ze wszystkich sił. „Zostawcie mnie w spokoju!” ryczał cały czas. „Na Allaha Wszystko Widzącego, Allaha Mściciela, puście mnie! Nie wiem, gdzie jest moja pani, nie wiem, choćbyście mnie położyli na łożu tortur!”. Ale oni śmiali się tylko, a jeden zawołał: „Jeśli nie dostaniemy tej znachorki, to po prostu weźmiemy jej sługę. Jeszcze nam zdradzisz, gdzie ona się ukrywa, grubasie. Kiedy najwielebniejszy ksiądz Helveti^c o wspólnie z Girolamem Menghim każą torturować, wtedy każdy wykrzykuje prawdę”.

- *Sant'iddio*, niech Pan go ma w swojej opiece - szepnęłam całkiem wytrącona z równowagi i przeżegnałam się. Zdało mi się, że w jednej chwili opadłam z sił, czułam się jak pusta powłoka cielesna, jak obumarła. Opadłam na kamień na rogu ulicy i wpatrywałam się

niewidzącym wzrokiem przed siebie. To, czego bałam się przez pół mojego życia, właśnie nastąpiło. Poszukiwała mnie inkwizycja. *Signora Mezzini* bezradnie podniosła rękę.

- Wierzcie mi, *signorina* Carla, nie mogłam nic zrobić. Co mogłabym działać przeciwko dwóm tak silnym mężczyznom? Współczuję wam... Wiem, jak bardzo jesteście przywiązani do waszego sługi.

- Tak - rzekłam - tak, tak. - Już samo nazwisko Menghi brzmiało w moich uszach zatrważająco, ale w połączeniu z Helvetikiem nabrało posmaku śmierci. - Helvetico - mruczałam do siebie - ty najnie-wdzięczniejszy ze wszystkich niewdzięczników. Jak długo bałeś się zaszkodzić sobie, tak długo zostawiałeś mnie w spokoju, ale teraz sprawy zdają się mieć inaczej. Ktoś musiał ci opowiedzieć o mojej sekretnej działalności, to jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy.

Signora Mezzini położyła mi zatroskana rękę na ramieniu.

- *Signorina* Carla, co mówicie? Nic nie rozumiem, dobrze się czujecie?

- Tak, tak, nie troskajcie się.

- To opowiem szybko resztę. Gdy już te typy odprowadziły waszego sługę, zaczęłam się zastanawiać, jak mogłabym was ostrzec, ale nie wiedziałam, gdzie was szukać. A wtedy przypomniało mi się, co Latif paplał trzy czy cztery tygodnie temu. Mówił coś o tym, że czynicie dobro, lecząc chorych na Via Urbana. Gdy zauważył swój błąd, musiałam przysiąc, że nikomu nie pisnę o tym ani słówka, i naturalnie dotrzymałam przysięgi. No tak, w każdym razie przypominałam sobie ten adres i postanowiłam was tam odszukać. - To bardzo przyzwoicie z waszej strony, że chcieliście mi pomóc. - Wy uratowaliście źrenicę moich oczu, moją małą córeczkę, jedyną, która została mi po gorączce morowej przed rokiem. Zrobiłabym dla was o wiele więcej, *signorina*] Ale słuchajcie dalej. Na Via Urbana rozpytywałyśmy się, ale nikt was nie znał. W końcu znalazłyśmy się w niewielkim lombardzie u pewnego starego Żyda. Znowu zapytałam o was, i opowiedziałam staremu, że operowaliście moją córeczkę. Musiałam powtarzać kilka razy, bo zdawał się mocno przygłuchy. Ale gdy wreszcie zrozumiał, powiedział: „Ojoj, medycza, ona ma błogosławione ręce. Mnie także raz operowała, to nas

łączy". Zaprowadził mnie i Teresę do żebraków i Conora, ich króla, a ja opowiedziałam wszystko, co widziałam. Oni się bardzo zatroskali, a Conor uważał, że najlepiej będzie, jeśli natychmiast wrócę, bo może się minęłyśmy. Na wypadek, gdybym was spotkała, mam wam powiedzieć, że musicie się ukryć, najlepiej u jakiejś sąsiadki.

- Może Conor ma rację.

- Naturalnie prześpicie się dziś u mnie, *signorina*.

- Tak - wymamrotałam - dziękuję.

- Musicie przeczekać, aż Conor i jego ludzie wybadają sytuację. Kiedy niebezpieczeństwo minie, powiadomi was.

- A Latif?

Signora Mezzini ujęła moją rękę, a ja zrozumiałam. Dla Latifa nikt nie mógł nic zrobić.

W domu *signory Mezzini* czułam się obco i nieswojo, chociaż ona starała się jak mogła, by być dobrą gospodynią. Poczęstowała mnie skromnym posiłkiem i naląła taniego wina. Teresa, która dobrze widziała, co się ze mną dzieje, paplała do mnie zabawnie i mówiła, że muszę jeść. Jedzenie, mówiła, utrzymuje razem duszę i ciało. Gdy to nie poskutkowało, spróbowała bajki *La favola del paese di Cuccagna*, którą opowiedziała mi, sepleniąc. Ale i ta historyjka o krainie pieczonych gołąbków nie zdołała pobudzić we mnie apetytu.

Gdy zrobiło się późno, *signora Mezzini* położyła małą do łóżka; przedtem Teresa pożegnała się ze mną grzecznie i życzyła mi dobrej nocy. Usłyszałam, jak obie modlą się w pokoiku obok, potem matka wróciła, usiadła koło mnie i powiedziała:

- Co mogę zrobić, *signorina*, aby wam pomóc?

- Nic - odpowiedziałam. - Nie ma żadnej nadziei.

- Ależ nie, zawsze jest nadzieja. Pomyślcie o tym, że jutro w niedzielę obchodzimy Zielone Świątki. Pięćdziesiąt dni po zmartwychwstaniu Pana. On chciał nam przez to dać pociechę i nadzieję, Ponieważ umarł, abyśmy my żyli. Latif także będzie żył, czuję to.

- Dziękuję, *signora* - powiedziałam. - Znajdujecie dobre słowa, by mnie pokrzepić, ale jeśli pozwolicie, chętnie położę się spać. Pokażcie mi tylko jakieś miejsce, nie chcę wam sprawiać kłopotu.

Wskazała mi zaciszne miejsce w pobliżu ognia i dała kilka owczych skór.

- Mam nadzieję, że to wam wystarczy?

- Na pewno. Dobranoc.

- Dobranoc, *signorina* Carla.

Słyszałam jeszcze przez jakiś czas, jak krząta się po domu, a potem wszystko ucichło. Położyłam się w ubraniu i nakryłam owczymi skórami. Były bardzo ciepłe. Zaczęłam się pocić i zsunęłam je z siebie, szybko jednak zrobiło mi się zimno. Znowu się przykryłam i powtórzyło się to samo. Byłam zła na siebie, że w takiej sytuacji zdaję się nie mieć innych zmartwień niż niewygodne poślanie. Modliłam się do Boga i prosiłam Go o wybaczenie. Mówiłam z Nim długo i otworzyłam przed nim serce, wyznałam moje grzechy i zaniedbania i błagałam

o zmiłowanie. Ciągle na nowo prosiłam Go, by odmienił wszystko ku dobremu, i gdy wreszcie powiedziałam „amen”, poczułam ulgę.

Spać jednakże nie mogłam. Zbyt dużo myśli kłębiło się w mojej głowie. Cały czas myślałam o Latifie. Zastanawiałam się, czy jeszcze żyje, co się z nim dzieje i co robi. Wierciłam się na moim niezwykajnym poślaniu i słuchałam odgłosów nocy. Znowu się modliłam

I ponownie próbowałam zasnąć. Ale im bardziej się starałam, tym bardziej odbiegała mnie senność. Byłam kupką lęku i nieszczęścia.

Przed świtem powzięłam decyzję. Musiałam stąd uciekać. Choć *signora* Mezzini życzyła mi jak najlepiej, nie mogłam u niej wytrzymać.

Była pracowitą kobietą; o świcie usłyszałam ją, jak krząta się na podwórzu. Sądząc po odgłosach, czerpała wodę ze studni. Prawdopodobnie lada chwila wejdzie do domu, by zagrzać ją na ogniu i ugotować zupę na śniadanie.

Wolałam, żeby nie było mnie już wtedy w jej domu.

Chciałam zostawić tej dobrej kobiecie wiadomość, ale byłam pewna, że nie umie czytać.

- Wybaczcie mi, *signora* Mezzini - mruczałam, wymykając się na dwór. - Pewnie sama jestem temu winna, ale nie mogę znaleźć spokoju w waszym domu. Nie mogę tu zostać. Nie martwcie się o mnie.

Gdy wyszłam na ulicę i wciągnęłam świeże ranne powietrze do płuc, od razu poczułam się lepiej. Ponure nocne myśli w dziennym

światło rozjaśniły się, i wszystko wyglądało trochę bardziej optymistycznie.

Latif jest zmyślny, mówiłam sobie. Potrafi gadać, aż człowiekowi głowa puchnie. Może dzięki temu uda mu się przekonująco wykazać swoją niewinność. Poza tym jest muzułmaninem. Czy muzułmanin może być w ogóle heretykiem? A nawet jeśli, to czy niejaki Marcin Luter nie został w Wormacji obwołany kacerzem, a później uratowany?

Takie i inne myśli przebiegały mi przez głowę, gdy kierowałam kroki ku Strada San Felice. Dopiero tuż pod domem uzmysłowiłam sobie, gdzie przysłam, ale powiedziałam sobie, że nie zaszkodzi zmienić ubranie po nieprzespanej nocy.

Z drugiej strony ledwie wczoraj właśnie to aresztowano Latifa.

Patrzyłam na ściany, tak dobrze mi znane, i z trudem mogłam to sobie wyobrazić, moim oczom bowiem jawił się obraz całkowitego spokoju. Jakiś pies drzemał pod pinią obok domu, a w bluszczu na murze ćwierkały wróble. Wszystko było na swoim miejscu. Weszłam do środka i rozejrzałam się. Nic nie zdawało się wskazywać na uprowadzenie Latifa.

Ale po chwili zobaczyłam dywanik modlitewny mojego sługi.

Był barwy czerwonej, czarnej i ochry, i leżał w rogu, tam gdzie zawsze, gdy Latif prowadził swoje rozmowy z Ałlahem. Dywanik, zgodnie z wszelkimi regułami sztuki, był wzorzystym kilimem z miasta Bursy, którego najważniejszą częścią był obraz owej szczególnej niszy, która w meczecie wskazuje kierunek Mekki. Ten wspaniały okaz ozdobiony był okalającym go ornamentem z róż i dwóch dzbanów symbolizujących czystość.

Latif opowiadał mi kiedyś, że modlitwa jest nieważna, jeśli zostanie zbrukana nieczystościami. Rozwinięty dywanik, na którym modlący się wzywa Allaha, zapobiega temu zbrukaniu. Na dworze, na łonie przyrody, dywanik nie jest konieczny, gdyż w islamie ziemia uważana jest za czystą. On jednak także na zewnątrz zawsze rozkładał swój kilim, gdyż nigdy nie można wiedzieć, czy jakieś zwierzę nie pozostawiło tam odchodów.

To, że dywanik był własnością Latifa, nie ulegało wątpliwości, gdyż jego imię wplecione było arabskim pismem na dolnym jego skraju.

I jeszcze jedno było pewne - siepacze musieli przeszkodzić mu w modłach, gdyż on nigdy się nie rozstawał ze swym cennym kilimem. Nosił go zawsze owinięty wokół ciała, z obawy, że mógłby go stracić.

Schyliłam się, wpatrując w dywanik, i czułam się tak, jak gdyby każdy splot nitek dawał mi siłę. Patrzyłam na dywanik i widziałam Latifa, i wtedy zrozumiałam, co powinnam zrobić.

Rozebrałam się powoli i wrzuciłam odzienie do skrzyni. Następnie umyłam się i wytarłam. Nie wiedziałam, czy trzeba wymówić jakąś formułkę, gdy zawijałam dywanik wokół swego nagiego ciała, ale musiałam się obyć bez niej. Potem się ubrałam. Wzięłam domową suknię niepozornego kroju i dyskretnej barwy, postanowiłam bowiem mimo wszelkich zagrożeń powrócić do żebraków. Byli moimi przyjaciółmi, pomogą mi.

Włożyłam beret z pawim piórem, ukryłam twarz pod woalką i wyszłam z domu.

Ulice w mojej okolicy ożywiły się, gdyż bolończycy udawali się do kościoła. Ja także chciałam ruszyć w drogę, ale zatrzymano mnie. Ni stąd, ni zowąd wyrosło przede mną dwóch mężczyzn, silnych osobników z torsami jak ze spiżu. Jeden z nich uchylił czapki i powiedział:

- Popatrz no, a więc ptaszek jednak jest w gniazdku. Czyżby chciał wyfrunąć?

A drugi dodał ze złośliwą uciechą:

- Powinien tego zaniechać, ptasznicy są już w drodze. Mają długie różgi z klajstrem.

Pierwszy wybuchnął beczącym śmiechem i zrobił z ust dzióbek:

- Tju, tju, tju! Kim jesteś, mały ptaszku? Jesteś Carla Maria Castagnolo, heretycka szamanka, czyż nie?

- Pokaż nam twarz! - Drugi zbir zerwał mi z twarzy woal, spojrzał na mnie i odskoczył do tyłu. - *Caspital* Bracie, widzisz to, co i ja widzę? *Voglia di peccato*, piętno grzechu na twarzy heretyczki.

Schwycili mnie z obu stron i pchali przed sobą do powozu czekającego parę kroków dalej.

- Nie zrobiłam nic złego! - wołałam zrozpaczona. - Co chcecie ze mną zrobić?

- Tego się dowiesz od wielebnego Helvetica. Gdzie masz swoją maskę? Wielebny mówił o masce, którą stale nosisz.

- Nic wam do tego!

- Ho ho, ptaszek robi się zuchwały - szydził pierwszy z mężczyzn i chciał mnie wepchnąć do powozu, ale powstrzymał go jakiś głos.

- Dzień dobry, moi synowie, widzę, że nie zmierzacie do domu Pana. Był to głos ojca Edoarda.

Prawdopodobnie szedł do San Rocco, swojego kościoła, miał bowiem na sobie kompletny strój liturgiczny z fioletową sutanną, komżą i lamowanym złotem cingulum. Jego postać sprawiała tak imponujące wrażenie, że nawet te zatwardziałe łotry zatrzymały się na chwilę.

- Nie powstrzymujcie nas, ojcze - rzekł pierwszy. - Wykonujemy tylko swoją pracę.

- A cóż to za praca, która odwodzi was z drogi do Boga? - Ojciec Edoardo wyciągnął ku nim władczo rękę, tak że musieli mnie puścić i ucałować jego pierścień. Zanim zdołali odpowiedzieć, mówił dalej: - Jesteście synami Kościoła, jednakże zdajecie się unikać domu Bożego. Hańba wam.

- Ojcze, mamy rozkaz, by doprowadzić przed oblicze inkwizycji tę heretyczkę. Rozkaz wydał osobiście wielebny Helvetico w porozumieniu z Girolamem Menghim, którego zapewne znacie.

Ojciec Edoardo wyprostował się na całą swoją wysokość.

- Znam Boga i świat i wolno mi się szczyścić tym, że spotkałem także tego, któregoście wymienili. Łączy nas ta sama wiara i ten sam duch. To Duch Święty, którego symbolem jest niewidzialny wiatr, płynąca woda i tłący się ogień. Pomnijcie: Duch Święty zstąpił na apostołów Jezusa, gdy zebrali się pięćdziesiąt dni po Jego zmartwychwstaniu w Jerozolimie, i obdarzył ich zdolnością...

- Ojcze, wybaczenie, ale...

- Jak śmiecie mi przerywać! Czy chcecie obarczyć się niewybaczalną winą, nie dając dokończyć słudze Bożemu?! Tedy Duch Święty obdarzył apostołów zdolnością przemawiania w wielu językach, co każdy, kto wyznaje jedyną wiarę, zapewniającą zbawienie, nazywa cudem zielonoświątkowym. Przez cud zielonoświątkowy z kolei

zniesione zostało babilońskie pomieszanie języków, którym Bóg ukarał pychę budowniczych wieży Babel. Zaprawdę, dziś jest święto Zielonych Świątek, młodzieńcy, dzień Ducha Świętego, który jest także symbolizowany przez niewinnego gołębia. Czy jesteście pewni, że gołąbka, którą trzymacie w waszych prostackich rękach, obarczyła się w taki dzień jak dzisiaj winą?

- Wybaczcie, wielobny ojciec. Mamy surowy rozkaz...

- ...doprowadzić tę kobietę przed oblicze inkwizycji, wiem, już to mówiliście. Czy macie w ogóle świadomość, co znaczy to słowo? Pochodzi od łacińskiego *inquisitio*, co znaczy tyle co „badanie”, „śledzenie”, a nie, jak może myślicie, „torturowanie” albo „dręczenie”.

- Ojciec, z całym szacunkiem, możemy...

- Słusznie, moi synowie, możecie mi zaufać. Jedźcie swym powozem do kościoła w waszej parafii i módlcie się, by oświecił was Duch Święty. Ja tymczasem wybadam umysł tej oto gołąbki. Dowiem się, czy jest heretyczką, czy nie. Jeśli nią jest, zadbam o to, by została doprowadzona przed oblicze mego brata Helvetica, a jeśli nie jest, powiadomię go o tym. A teraz idźcie, młodzieńcy. Pan niech będzie z wami i obdarzy was pokojem.

Ojciec Edoardo wykonał przed nimi znak krzyża i z największą swobodą wziął mnie pod ramię. Razem poszliśmy w odwrotnym kierunku. Słyszałam, że coś mówił, ale nic nie rozumiałam, gdyż moje nerwy były napięte do ostateczności.

Czy oprawcy pójdą za nami?

Czy odważą się wszcząć bójkę z dostojnikiem Kościoła? Zza pleców doszły mnie strzępy rozmów, szuranie nóg, a po chwili trzaśnięcie z bicia, przy którym się wzdrygnęłam. Potem usłyszałam, jak powóz odjechał. Zatrzymałam się i zaczęłam płakać, taką poczułam ulgę.

- Już po wszystkim, moja córko - powiedział ojciec Edoardo i puścił moje ramię. - Możesz iść, dokąd chcesz. Podziękuj Panu, naszemu Stwórcy, że przysłał mnie we właściwym momencie.

Szlochałam niepohamowanie, łkałam tak, że w końcu dostałam czkawki.

- No no, uspokój się, moje dziecko. - Poklepał mnie łagodnie po plecach. - Już dobrze?

Powoli się uspokajałam.

- Dziękuję, wielbny ojcze, dziękuję, dziękuję!

- To był kawał ciężkiej roboty, ale wykonałem ją dla ciebie chętnie.

- Popatrzył na mnie poważnie, a ja zobaczyłam, jak bardzo się postarzał w ostatnich latach.

- Wielbny ojcze, będziecie mieć kłopoty, jeśli pozwolicie mi uciec.

- Ja? Kłopoty? - Spojrzał na mnie rozbawiony. - Znasz powiedzenie o krukach? *Cornacchia non mangia cornacchia*? Mnie żaden oka nie wykołę. Poza tym inkwizytor jego świątobliwości, Baldassare Savelli, to mój daleki krewny. Ciebie to jednak nie ustrzeże od dalszych prześladowań.

- Dlaczego to dla mnie robicie, wielbny ojcze?

- Dlaczego to dla ciebie robię? No cóż, Bóg tak zrządził. Tak samo jak zdecydował, że twoja matka była głęboko wierzącą kobietą.

- Przeżegnał się i popatrzył na mnie poważnie. - A ja biednym grzesznikiem.

- Tak, ojcze - rzekłam.

- Idź teraz, moja córko. W San Rocco czekają na mnie powierzone mi owieczki. Muszę do nich pospieszyć i święcić z nimi dzień zesłania Ducha Świętego.

- Tak, ojcze, niech was Bóg błogosławi.

Patrzyłam, jak kieruje się spiesznie ku Via di Pietralata w drodze do swego pięknego kościoła, a ja obrałam kierunek do śródmieścia. Byłam w siódmym niebie. Ciągle jeszcze nie mogłam uwierzyć w to, co się wydarzyło. Ksiądz, który w dzieciństwie przyprawiał mnie o śmiertelny lęk, właśnie uratował mi życie. Co jeszcze mnie dziś spotka?

Na Piazza Maggiore, tam, gdzie niegdyś zebrał Conor z pomocą Massima, usłyszałam nagle syczący dźwięk dochodzący z boku.

- Pst! Carla!

Odwróciłam się i poznałam Latusa stojącego w cieniu arkad Palazzo Publico. Zbliżył się do mnie ostrożnie i dał mi do zrozumienia, bym Poszła za nim. Latoś Flatus - myślałam - musiałam spotkać akurat tego flatulistę, którego profesja wydawała mi się tak osobliwa. Ale byłam wdzięczna Bogu, niewypowiedzianie wdzięczna, gdyż teraz wiedziałam, że nic złego nie może mnie już spotkać.

- Stoimy na wszystkich rogach i ulicach, żeby cię znaleźć - wyjaśnił. - Tylko Conor i Fabio pozostali w Casa Rifugio. Nawet Icyk jest w mieście i ma oczy otwarte. Ale znaleźliśmy igłę w stogu siana.

Przywołał ręką jakiegoś wyrostka, którego twarzy nie znałam, i rozkazał mu przekazać radosną wieść pozostałym. Potem poszliśmy dalej i wkrótce byliśmy u celu.

Gdy schodziłam po stromych schodkach do sali żebraków, czułam się tak, jakbym wracała do domu. Ogarnęło mnie ciepłe uczucie bezpieczeństwa. Wszystko było to takie swojskie. Długi stół, wyposażenie, poczerńiałe od sadzy belki na suficie. I oczywiście mały kącik, gdzie zwykle prowadziłam rozmowy z chorymi, kącik z dwoma zydłami i stołem, no i narzędzia chirurgiczne z Ospedale della Vita.

Usiadłam na swoim zwykłym miejscu i poczułam nagle, jak jestem zmęczona. Latas jakby się rozplątał w powietrzu, byłam sama. Potem niespodziewanie otworzyły się sekretne boczne drzwi i weszli przez nie Conor i Fabio. Na twarzach obu malowała się ulga, a Fabio wykrzyknął:

- Carla! Czyż to nie jest powód do radości? Musimy wypić razem szklaneczkę, bo to, że wróciłaś to cała i zdrowa, graniczy z cudem. Conor, zatroszczysz się o wino? Ja się boję, że wyleję.

Conor podszedł do jednej z beczek, podczas gdy Massimo, który siedział mu na ramieniu, zatrzepotał skrzydłami i głośno zakrakał. Wyglądał, jakby też się cieszył z mojego powrotu.

- Macie. - Conor postawił na długim stole trzy napełnione kubki. - *Salute*, Carla, wróciłaś. *Grazie a Dio*! Myśleliśmy już, że jesteś w katowni.

- *Salute* - odrzekłam. - Spotkałam *signorę* Mezzini, która mnie ostrzegła i przekazała mi straszną wieść o uwięzieniu Latifa. Powiedziała także, żebym co rychlej wróciła do was. Miałam wielkie szczęście. - Wahałam się chwilę, a potem dodałam: -1 pomoc boską- Tak, chyba ją miałaś - rzekł Fabio. - I my wszyscy.

- Carla! - W drzwiach stał Ludovico, ten od malunków na twarzy, zalany krwią, ale rozradowany od ucha do ucha. - A więc jeszcze cię nie dopadli!

- Nie - odrzekłam - ale ledwie, ledwie im się wywinęłam. Ktoś musiał mnie zdradzić. Ktoś, kogo leczyłam, gdyż siepacze Helvetica wiedzieli, że pracuję po kryjomu jako lekarka. Ale...

- No nie, coś podobnego, Carla! - Do izby wszedł Salvatore w swym złodziejskim fartuchu. - To ja biegam i oczy sobie z głowy wypatruję, a ty już dawno to jesteś! Carla, Carla, ty masz talent. No już, opowiadaj!

- Właśnie to robiłam - powiedziałam i zaczęłam jeszcze raz od początku. Za chwilę znowu mi przerwano, tym razem był to Teofilo, mysi tancmistrz, ze swą szkatułką z drzewa hebanowego pod pachą. Gdy już, jak wszyscy inni, dał wyraz radości z mojego powrotu i ledwie zdołano go nakłonić, by nie prezentował swych ulubieńców, postanowiliśmy, że rozpocznę moją relację później, bo ponad połowa żebraków jeszcze nie wróciła.

Po kolei zjawiali się Sberleffo, którego mój widok tak zaskoczył, że zapomniał się wykrzywić, Giuseppe odcinacz sakiewek, Alfonso połykacz ognia, i jeszcze paru innych, którzy w ostatnich czasach zostali przyjęci do rady żebraków. Jako ostatni przywłókł się Icyk Rosenstem, stary Żyd. Kiedy mnie ujrzał, zamrugał z niedowierzaniem oczami.

- *Szalom, Carla, szalom.* Gdybym powiedział, że się cieszę, to by była prawda, gdybym powiedział, że się cieszę ogromnie, byłoby to za mało. Tak więc Conor, nasz *mejlech*, znowu miał rację. Powiedział, że wrócisz. *Nebbich*, powiedziałem, skąd to niby wiesz, że wyjdzie bez szwanku z tych kłopotów, ale wróciłaś, aj aj aj, co za szczęście!

Ponownie zaczęłam opowiadać i tym razem nic mi już nie przeszkodziło.

Zrelacjonowałam wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, zwłaszcza to, jak uratował mnie ojciec Edoardo, co ciągle jawiło mi się jako cud. Na koniec rzekłam:

- Może ktoś mnie rzeczywiście zadenuncjował inkwizycji, ale nie toam pojęcia, kto by to mógł być. Nie był to jednak nikt z naszego kręgu, tego jestem pewna.

Wszyscy zgodnie kiwali głowami. Żaden z nas cię nie zdradził, Carlo - powiedział Conor. - To Pewne. Gdyby tak było, już dawno byśmy go przepędzili. Nie był^{to} nikt z nas i to mnie cieszy.

- Nie tylko wiemy, że to żaden z nas - dodał Fabio - ale wiemy, kto to był.

- Kto? - spytałam. - Kto mógł być tak podły? . Fabio wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To pytanie długo zaprzętało nam głowę. Żeby nie powiedzieć: przyprawiało nas o ból głowy. Nieznośny, lewostronny ból głowy!

- Chyba nie myślisz, że...

- Owszem, właśnie ją mam na myśli. To ta niby-żebraczka Con-stanzia, która podstępem wśliznęła się w nasze szeregi. Bezwstydnie okłamała ciebie i nas. Jedyne, co było prawdą w tym steku kłamstw, to to, że pochodzi z parafii San Vitale. Dowiedzieliśmy się, że jej prawdziwe nazwisko to Chloridia Pinerolo. Jest żoną bogatego handlarza gruntów, którego dom, co znamienne, stoi tuż obok posiadłości pewnego dominikańskiego kaznodziei. Jego imię to Helvetico.

- A więc jednak! - wykrzyknęłam. - Gdyby to wymagało jeszcze jednego dowodu, to jest nim ów „przypadek”. Stoi za tym Helvetico, byłam tego niemal pewna. Skóra mi cierpnie na plecach. Muszę pozbierać myśli.

- Tak, Carlo, wszyscy się tak czuliśmy - powiedział Conor. -Wypijmy za to, że jesteś z powrotem wśród nas, cała i zdrowa. - *Salute!*

Wypiliśmy wszyscy. Gdy odstawiliśmy kubki, Conor kazał je powtórnie napęlnić i ciągnął dalej:

- A teraz wypijmy za naszą ostatnią noc w Casa Rifugio. Tak też zrobiliśmy, a ja spytałam zdziwiona:

- Dlaczego pijemy za ostatnią noc? Czy to jakiś żart? Fabio odpowiedział:

- Chciałbym, żeby tak było. Ale to smutna prawda. My wszyscy nie jesteśmy wprawdzie tak zagrożeni jak ty, Carlo, ale Helvetico i jemu podobni, z Girolamem Menghim na czele, nie spoczną, póki cię nie dopadną. Węszyliby tu bez przerwy; zresztą to by było całkiem logiczne. Gdybyśmy to zostali, nie mielibyśmy ani chwili spokoju i cały czas wisiałaby nad nami groźba lochu, gdyż nie wszystko, co ta widzisz, jest wyżebrane, część... hmm... przyfrunęła do nas.

- Tak - odparłam - rozumiem. - Myślałam o znakomitych narzędziach chirurgicznych z Ospedale della Vita. - Ale co ma być dalej?

- Stało się to, co i tak kiedyś musiało się stać - powiedział Conor.

- Przez dwa albo trzy miesiące będziemy spać w bramach domów lub pod mostami, może też na leśnym pośłaniu, dopóki sprawa nie przycichnie. To nic strasznego, jest przecież lato. I już to robiliśmy, kiedy te hycle z miasta za bardzo nam deptały po piętach. A potem wprowadzimy się do nowego domu. Tym razem stoi on w sekretnym miejscu na północy miasta i tylko ja wiem, gdzie to jest. Inni dowiedzą się w odpowiednim czasie. Żeby nikt wcześniej nie wypaplał.

- Ale gdzie ja się podzieję? - zapytałam, usiłując zdusić kielkującą we mnie panikę. - Co się stanie ze mną? Czy już nie potrzebujecie medyczki?

- Bardziej niż kiedykolwiek, wiesz o tym - odparł Fabio.

- Ojjoj, Carla - wtrącił się Icyk. - Od kiedy Helvetico i jego zgraja wiedzą, że bawiłaś się u nas w leczenie, siedzimy na beczce prochu. Kiedy się zorientują, że ojciec Edoardo puścił cię wolno, nie pomoże nam już nawet najzarliwsza *majrew*. - Złożył ręce i uniósł wzrok do nieba, żebym zrozumiała, że mówi o swej modlitwie wieczornej. - *Halewāj*, daj Boże, oby tak się nie stało! A jeśli, no to koniec świata!

- Nie wiem, czy to będzie dobra noc - rzekłam zrezygnowana.

- Nie wiem, czy będę mogła zasnąć po tym wszystkim. No i jest coś, o czym jeszcze nie rozmawialiśmy. Co się dzieje z Latifem? Bardzo się o niego martwię. Czy macie jakieś wieści, jak się miewa? Fabio, mówiłeś niedawno, że ty i twoi przyjaciele słyszycie ponoć, jak trawa rośnie.

- Tak? Naprawdę tak mówiłem? - Fabio wyszczerzył zęby w uśmiechu, a za nim wszyscy po kolei. Milczeli znacząco, tylko Icyk rzekł:

- Ojjoj - i zerknął na niewidoczne drzwi za stołem z narzędziami. Drzwi otworzyły się z wolna i ukazała się w nich zwalista postać z promiennym uśmiechem od ucha do ucha.

Był to Latif.

KIJ WĘDROWCA

Il bordone

Nie wierzę własnym oczom - wyjąkałam oszołomiona. -Latif, czy to naprawdę ty?

- To ja, pani. Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie po prosta innych, oni też nie chcieli wierzyć swoim oczom.

- Ale... ale ja myślałam, że jesteś w lochu!

- Byłem tam, pani, ale tylko przez kilka godzin, potem te łotry musiały mnie wypuścić. - Latif usiadł i patrzył na mnie promiennym spojrzeniem swych okrągłych oczu.

- Jeśli się nie mylę, pierwszy raz się zdarzyło, żeby ktoś zdołał umknąć tym psom - powiedział Conor z uśmiechem. - Latif zachował się bardzo roztropnie.

- Bardzo roztropnie? - spytałam. - To znaczy jak?

- Udając wariata, pani.

- Słucham?

- Słyszeliście dobrze, pani. Pomyślałem, że tego, kto jest chory na umyśle, nie można oskarżyć, że służy heretyczce. Jego rozum jest wszak zmacony. Jedyne, co może się przydarzyć takiemu nieszczęśnikowi, jest to, że będą próbowali wyciąć mu z mózgu kamień głupoty. To niebezpieczeństwo nie wydało mi się jednak nazbyt duże. W każdym razie na samym początku zwrócił się do mnie pisarz sądowy i chciał się dowiedzieć całego mnóstwa rzeczy. Ile mam lat, skąd pochodzę, jak długo jestem u was na służbie i tak dalej. Na

każde z tych głupich pytań dawałem jeszcze głupszą odpowiedź. -Latif przerwał i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Pewnie myślicie, że łatwo mi przyszło udawać głupiego, czyż nie? Ale żarty na bok. Tak łatwo, jak teraz opowiadam, wcale nie było, gdyż ten pisarzyna w którymś momencie strasznie się rozzłościł i kazał mnie wtrącić do celi, w której, jak mniemał, z pewnością odzyskam rozum. Trzymał mnie tam w ciemnicy przez wiele godzin o chlebie i wodzie, żeby mnie zmiękczyć, ale gdy zjawił się ponownie w towarzystwie strażnika, przeżył rozczarowanie, bo ja zachowywałem się jak oszalały derwisz. Skakałem po celi i bębniłem pięściami we własną pierś. Powstawały przy tym osobliwie głuche dźwięki, których nasłuchiwałem z przekrzywioną głową i głupkowatym uśmiechem. Potem znowu zacząłem podskakiwać, szczerzyłem zęby i wydawałem przeraźliwe okrzyki. Strażnik zawołał: „Ten typ zwariował, skacze jak małpa!”. „Cóż znowu, tylko udaje”, odpowiedział pisarzyna i wymierzył mi kopniaka. „Gdyby był małpą, to by mnie teraz zaatakował”. Ledwie mnie jednak kopnął, ja faktycznie rzuciłem się na niego i przewróciłem go, wydając przy tym najosobliwsze okrzyki: „*Salam alaikum, as-Salama, as-Salamu alaikum, salam alaikum, as-Salama, as-Salamu alaikum!*”.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że te dźwięki w rzeczywistości są bardzo grzecznym i bardzo formalnym zwrotem powitalnym, który dla lepszego efektu wykrzyknąłem dwa razy. Ale tego nie wiedzieli ani pisarzyna, ani strażnik. Jak wszyscy prości ludzie, odczuwali zabobonny lęk przed tym, co niezrozumiałe. Tedy tryskały ze mnie dalsze arabskie zdania, gardłowe, pozornie bezsensowne dźwięki, które jednakże wszystkie bez wyjątku były wyrazem wyszukanej grzeczności. Wykrzykiwałem do nich, że jest dla mnie nadzwyczajnym honorem gościć w ich domu, i wyłem przy tym jak wilk do księżyca. Mówiłem, że rzadko zdarzało mi się ucztować tak obficie, i beknąłem przy tym potężnie, rzekłem, że jeszcze nigdy me miałem do czynienia z tak wielkodusznymi gospodarzami, i patrzyłem przez nich na wskroś, jakby byli ze szkła. Mówiłem jeszcze wiele innych rzeczy, skacząc przy tym, wyjąc, bekając i bębniąc, aż wreszcie byli tak otumanieni, że mogłem złapać ich głowy i uderzyć nimi o siebie. Następnie dałem nogę, jasne było bowiem, że prostemu

pisarczykowi i strażnikowi więziennemu mogłem się wyłgać, ale takiemu wytrawnemu łowcy czarownic jak Helvetico na pewno nie. Uciekłem z więzienia i udałem się prościutko do Casa Rifugio.

- Tak się cieszę, że tu jesteś. - Ujęłam jego dłoń, ledwie powstrzymując łzy.

- Wszyscy czujemy to samo. Mieliśmy szczęście w nieszczęściu - powiedział Conor.

- Tak - rzekł Fabio - tak było. Ale nie powinniśmy przeciągać struny.

- Co masz na myśli? - spytałam, choć domyślałam się, co powie.

- Musimy się rozdzielić, Carlo - powiedział Fabio poważnie. - I to jak najszybciej. Od tej chwili każdy jest zdany tylko na siebie. Przynajmniej na kilka najbliższych miesięcy, zanim sprawa nie przycichnie. Wy dwoje jednakże, ty i Latif, musicie natychmiast uciekać. Kierujcie się na południe, do wielkich gór, i cały czas jak najdalej, dopóki nie będziecie pewni, że nikt was nie ściga. A gdy znajdziecie bezpieczne schronienie, dajcie nam znać, gdzie to jest.

- To... to się dzieje dla mnie za szybko - wyjąkałam.

- Może kiedyś znów się spotkamy, a może nie. Życie to ciągła huśtawka, raz na górze, raz na dole. Składa się ze spotkań i pożegnań. Teraz nadszedł czas pożegnania. Powodzenia, przyjaciele. - Wstał i ucałował mnie w oba policzki. Tak samo pożegnał się z Latifem.

Przez chwilę przy stole panowało milczenie i chyba każdy bez wyjątku najchętniej wstrzymałby czas. Ale czas biegnie, dzieli i leczy, powiadają, i ta chwila głębokiej więzi minęła, ustępując miejsca gorączkowej krzątaninie. Conor sięgnął pod swe krzesło i wyciągnął solidny kij.

- To dla ciebie, Latifie - powiedział. - To kij wędrowca z okrągłą gałką, dobry do marszu w każdym terenie, ale nadaje się też znakomicie do obrony. Pozwól mu zatańczyć na grzbietach napasmików, a wierz mi, że dadzą drapaka. Obiecuj, że zawsze będziesz uważał na naszą Carłę.

Latif, mój rezolutny, wesoły, zmysłny Latif, przybrał bardzo poważną minę.

- Przysięgam na Allaha Wszystko Widzącego, Wszechwiedzącego. Prędzej niech mnie lwy rozszarpią, niżby coś się miało stać mojej pani.

Teofilo, mysi tanecznik, powiedział:

- Odważnie powiedziane, Latifie, ale tam, gdzie się wybieracie, chyba raczej nie będzie lwów.

Ogólny śmiech rozładował poważny nastrój, a Conor napomniął przyjaciół:

- Weźcie tylko to, co możecie unieść ze sobą, wszystko inne zostawcie tutaj. Rozproście się po mieście, nie przebywajcie razem. Jedyni, którzy mogą pozostać razem, to Carla i Latif.

Wszyscy wyrazili zgodę pomrukami, a ja rada nierada musiałam spakować swój skromny dobytek. Zebrałam parę sztuk bielizny i rzeczy do mycia, dołożyłam do tego złotą maskę Wenus i już prawie związałam mój tłumoczek, gdy podszedł Conor.

- Trochę to wprowadzie waży, ale ja w każdym razie radziłbym ci to zabrać - powiedział.

Na moje pytanie, co ma na myśli, odparł:

- Narzędzia chirurgiczne z Ospedale della Vita. Może się kiedyś przydadzą.

Latif, który też już związał swój tobołek, podszedł do nas i rzekł:

- Pani, Conor ma rację. Pozwól mi nieść wasze instrumenty.

- Dziękuję - powiedziałam. - Ja też mam coś, co noszę dla ciebie.

- Co takiego, pani?

- Nie mogę ci teraz pokazać, gdyż nie zezwala na to przyzwoitość, ale zdradzę ci, co to jest. To twój dywanik modlitewny. Znalazłam go w naszym domu i zawinęłam wokół siebie, jak ty to zawsze robisz.

- Pani! - Mimo swej tuszy Latif wyskoczył do góry. - Teraz już wszystko będzie dobrze! Teraz nie może się nam przytrafić nic złego! Czy wolno mi was ucałować?

- Tak - powiedziałam.

Jeszcze przed północą Casa Rifugio opustoszało. Wszyscy żebracy opuścili stary dom, opuściliśmy go także Latif i ja. Kierowaliśmy się ku Porta di San Mamolo, położonej najbardziej na południe bramy miasta, gdy nagle do naszych uszu doszedł tętent koni i głośne okrzyki.

- Co to ma znaczyć? - spytałam ze strachem.

- Pst, pani, nie tak głośno. - Mój sługa pociągnął mnie w ciemną czeluść jakiejś bocznej uliczki. - Myślę, że to krwawe psy Helvetica. Chodźmy tędy.

- Ale tutaj nic nie widzę.

- Nie musicie nic widzieć. Ja idę przodem, trzymajcie się tylko mojego paska.

- Czy ty w ogóle wiesz, dokąd nas prowadzisz?

- Oczywiście, pani, zdążyłem całkiem dobrze poznać Bolonię. O wiele lepiej niż wy. A teraz musicie być cicho, inaczej pobudzimy wszystkich w okolicy.

Poczekaliśmy, aż nasze oczy przyzwyczają się do ciemności, a potem ruszyliśmy ostrożnie naprzód, dotykając rękami ścian domów. Kluczyliśmy, mijaliśmy zaułki i skrzyżowania ulic, aż w końcu zupełnie straciłam orientację, Latif jednak szedł bez chwili wahania, dalej i dalej. Po jakimś czasie ciemność się rozjaśniła, a przed nami rozbłysły słabe światełka. Rozpoznałam bramę Porta di San Mamolo i wydałam westchnienie ulgi.

- Musimy się tu ukryć do świtu, pani - zaszeptał Latif. - Brama jest w nocy zamknięta, ale gdy zapieje pierwszy kur, spróbujemy wydostać się z miasta.

- Mówisz tak, jak gdyby to nie było proste.

- Może tak, może nie. W każdym razie będzie lepiej, jeśli nikt nas nie zobaczy, gdy będziemy przechodzić przez bramę.

Wydało mi się to rozsądne.

- To podwórze za domem wygląda na opuszczone, pani. Poczekajmy tam. - Weszliśmy i usiedliśmy w najciemniejszym kącie na ziemi. Dygocąc z zimna, oparłam się o mojego sługę. Po raz pierwszy tej nocy uzmysłowiłam sobie wszystkie konsekwencje naszej ucieczki.

- Brakuje mi naszego domu - szepnęłam.

- Który dom macie na myśli, pani? - szepnął w odpowiedzi. - Nasz dom przy Strada San Felice czy Casa Rifugio?

- To jest dobre pytanie.

Musiałam pomyśleć o domu żebraków i chwilach naszego pożegnania. Przyjaciele podchodzili po kolei do mnie i Latifa i każdy wciskał mi do ręki parę monet. Nawet Icyk, stary Żyd, o którym

powiadano, że każdego *baioccho* trzy razy obraca w palcach, zanim go wyda. Nie chciałam przyjąć tych pieniędzy, ale Latif powiedział:

- Pani, trzeba brać, co dają. Mamy przed sobą daleką drogę, pieniądze i tak nie starczy na długo.

Jakiś odgłos wyrwał mnie z rozmyślań. Latif także go usłyszał, ale nie zdawał się zaniepokojony.

- To tylko paru spóźnionych pijaków z jakiejś trattorii - powiedział. - Trattoria nazywa się Porta Mamolo. Jeśli ma to was uspokoić, pani, to sprawdzę, co się dzieje.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wstał i zniknął w ciemności. Chciałam zawołać za nim, żeby został, że nie może mnie tu zostawić samej, ale musiałam być cicho, jeśli nie chciałam narazić się na niebezpieczeństwo, że mnie odkryją.

Tak więc czekałam na niego, rozzalona i zziębnięta. Wreszcie po upływie czasu, który wydał mi się wiecznością, Latif wrócił i osunął się obok mnie, stękając.

- Dobre wieści... - szepnął, ale nie pozwoliłam mu dalej mówić.

- Jak mogłeś mnie tak po prostu zostawić samą - żaliłam się. - Już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz.

- Ależ pani, jak mogliście w ogóle tak pomyśleć! Gdybym chciał was zostawić, miałbym do tego sto innych okazji.

Zrozumiałam, że ma rację, i wymruczałam:

- Wybacz. Wszystko jest tu takie ciemne, takie groźne, takie niepewne... - Może niedługo będzie lepiej, pani. - Głos Latifa brzmiał tak, jakby się uśmiechał. - W trattorii rzeczywiście siedzi paru opojów. To żołdacy, którym alkohol rozwiązał języki, przez co każdy z nich z uporem obstaje przy tym, że spośród wszystkich on przeżył najbardziej niebezpieczne przygody. Ale nie o tym chciałem mówić. Po pijanemu te typy przechwalały się również tym, że ich pan jest Jednym z najbogatszych handlarzy sukna z Forli i jutro rano chce wysłać tam z Bolonii wielkim furgonem ładunek najlepszego boloń-^skiego jedwabiu. Mówię wam, pani, to znak losu, znak od Allaha.

- Co masz na myśli?

- Będziemy mieli swobodny wyjazd przez miejską bramę. Byłem już przy tym wozie i stwierdziłem, że pilnują go takie same pijaczyny

jak ich kompani w trattorii. W każdym razie chrapią na wyścigi, co oznacza, że bez kłopotów wślizniemy się pod bele materiału i pozwolimy się wywieźć jutro rano z miasta.

- To zbyt niebezpieczne, Latifie!

- W tych czasach wszystko jest niebezpieczne, pani. Chodzi o to, by w tej sytuacji znaleźć najpewniejszy sposób.

Wierzyłam mu, ale pozwoliłam sobie na skierowanie ku niebu strzelistej modlitwy, w której prosiłam Boga o pomoc w naszym przedsięwzięciu. W rzeczy samej Wszechmogący zdaje się usłyszał moje słowa, gdyż chwilę później bez trudu udało nam się wdrapać na wóz i ukryć wśród ogrzewających nas zwojów materiału. Udało mi się nawet zasnąć, a gdy się obudziłam, był jasny dzień, bo pomiędzy bele materiału wślizgiwały się promienie słoneczne. Furgon turkotał wytrwale naprzód, co jakiś czas słyhać było trzask bata, rzenie koni i krótkie polecenia. Niezauważeni przez nikogo opuściliśmy miasto i jechaliśmy!

Latif chyba jeszcze spał, bo gdy go trąciłam, wydał tylko jakiś stłumiony dźwięk. Potem ziewnął szeroko.

- Czy już jedziemy, pani? - szepnął.

Ścisnęłam jego ramię, co miało znaczyć „tak”. Każde słowo mogło nas zdradzić i wydać w ręce kata. Tak więc milczeliśmy oboje, skazani na bezruch. Im dłużej jechaliśmy, tym bardziej dłużył mi się czas, członki cierpły, odczuwałam głód i potrzebę umycia się.

Latif obok mnie musiał się czuć podobnie; znałam jego zamiłowanie do czystości. Z pewnością brakowało mu jego rozmów z Allahem i dywanika modlitewnego. Przypomniałam sobie, że wciąż mam na sobie jego kilim, i postanowiłam oddać mu go przy najbliższej okazji.

Okolo południa nasz pojazd raptownie stanął. Usłyszeliśmy jakieś odgłosy, po których poznaliśmy, że konie wyprężono i odprowadzono. Kroki się oddaliły. Jakiś głos obwieścił, że wóz dojechał do San Lazarro i że chcą tu popasać i zjeść posiłek.

- To okazja dla nas, pani - szepnął mi Latif do ucha. - Nikt nie patrzy. San Lazarro leży spory kawałek od Bolonii, choć niezupełnie w kierunku południowym. Chodźcie, pani, wysiadamy.

Z bijącymi sercami wygramoliliśmy się z wozu, rozejrzeliśmy na wszystkie strony, a potem, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, udaliśmy się do położonego nieopodal lasu, aby tam się ukryć.

Nikt nas nie zauważył.

I tak się zaczęła nasza wędrówka na południe. Mieliśmy na sobie proste odzienie, jakie nosi lud: Latif zgrzebne spodnie i obszerny kaftan w kolorze ziemi na płócienną koszulę z drewnianymi guzikami, ja długą do kostek, ciemną wełnianą spódnicę, płócienną koszulę i związaną ciasno na piersiach chustę. Na głowach oboje mieliśmy berety, bez żadnych ozdób jak agrafy czy pióra. Moje znamię, zwykle zasłaniane woalką bądź maską, tuszowałam, nakładając na nie szminkę w kolorze ochry. Nie zawsze udawało mi się wykonać tę czynność, zaś Latif nieraz miał trudności ze znalezieniem odpowiedniego miejsca na rozłożenie swego dywanika i pokłony w kierunku Mekki.

Omijaliśmy z dala główne drogi, wybierając leśne dukty i sekretne ścieżki. Unikaliśmy ulic i dużych wsi i w ten sposób minęliśmy Quarto, Frontino, Pianello, Cacciampone i Montesanto.

W Borbonie, uroczej, malutkiej wiosce w górach, po raz pierwszy odważyliśmy się pójść na targ, by zakupić prowiant na drogę. To było cudowne uczucie, móc tak po prostu wskazać wybrany towar, gdy przedtem tygodniami musieliśmy się zadowalać tym, co wyżebraliśmy w chłopskich zagrodach. Kupiliśmy świeży chleb, ser, jabłka i przepyszne oliwki, po czym siedliśmy z naszymi skarbami na murku okalającym targ, by ucztować do syta.

Nikt nie zwracał na nas uwagi, tylko jakiś leciwy pies krążył głodny wokół nas. Ponieważ wszystko tu było takie spokojne, powiedziałam po chwili do Latifa:

- Przeszliśmy już setki mil, wydaje mi się, jakby Bolonia była bardziej odległa niż księżyc. Jestem pewna, że ramię Helvetica nie sięga do Borbony, a dzieła Girolama Menghiego są ta chyba całkowicie nieznane.

Trzeba to dobrze rozważyć, pani - rzekł Latif. - Ja... Au!
-Wytrzeszczył oczy i gapił się na swą pustą rękę. Stary pies wyrwał

mu chleb i uciekł ze zdobyczą. Latif zdusił przekleństwo i zeskokczył z murku, by pobiec za złodziejaskiem. Równie dobrze mógłby zostawić psu ten kęs, gdyż mieliśmy dosyć chleba, ale jeśli chodzi o jedzenie, Latif zawsze reagował nader szczególnie.

- Zostań! - zawołałam, ale było już za późno. Latif i pies znikli w chmurze pyłu. Potrząsnęłam głową i jadłam dalej. Latif miał pewne cechy, których nigdy nie zrozumieć. W jakimś sensie wciąż jeszcze byliśmy sobie obcy, co jednak pod pewnymi względami mi odpowiadało. Przywiązywałam dużą wagę do tego, by mieć osobne miejsce do spania, bym mogła odmawiać moje modlitwy i móc się spokojnie umyć, bezpieczna przed wzrokiem innych - podobnie jak Latif obstawał przy tym, by rozwijać pięć razy dziennie swój dywanik

1 nie niepokojony przez nikogo odbywać rozmowy z Allahem.

Przełknęłam ostatni kęs sera i popiłam łykiem wody. Od momentu, gdy Latif *rzucił* się w pościg za psem, upłynęło sporo czasu. Gdzież on się podziewał? Podniosłam się, rozejrzałam na wszystkie strony, ale wokół zobaczyłam same nieznanym twarze. Wzruszyłam ramionami i zaczęłam pakować nasze rzeczy, a gdy skończyłam, znów się rozejrzałam. Latif przepadł. Czas mijał i robiłam się coraz bardziej niespokojna. Chciałam już obejść kramy na targu i pytać ludzi o wielkiego, masywnego mężczyznę, gdy wreszcie się zjawił - bez porwanego przez psa chleba. Dyszał ciężko i widać było, że jest wytrącony z równowagi.

- Wybaczcie mi, pani, jestem głupim człowiekiem, który ma rozum w nogach.

- Co się stało? Każesz mi czekać na siebie z powodu kawałka chleba, a ja się tak strasznie martwię!

- Musimy jak najszybciej opuścić wieś, pani. - Latif chwycił swój tłumoczek i najkrótszą drogą wyprowadził mnie z wioski. Dopiero gdy przeszliśmy kilka mil, zaczął opowiadać. - Nigdy w życiu nie będę już gonił żadnego psa, pani! Ale przecież nie mogłem przewidzieć, co z tego wyniknie. - Na skraju drogi leżał kamień. Ciężko dysząc, Latif opadł na niego i zrobił zapraszający gest, bym siadła obok.

- Wolę stać - rzekłam.

- No dobrze, pani, jak chcecie. Było tak, że ten kundel chyba się uwziął, żeby mnie zwodzić, gdyż za każdym razem, kiedy już byłem

pewien, że go dopadłem, robił zwrot i biegł w innym kierunku. W ten sposób, zupełnie tego nie zauważywszy, dobiegłem do plebanii koło kościoła. Pies z moim chlebem wpadł do środka i znikł mi z oczu. Za to wyszedł stamtąd jakiś mężczyzna. Był ubrany na czarno i patrzył bardzo surowo, żeby nie powiedzieć złowieszczo. Był to wiejski ksiądz. „Widzę, że jesteś tu obcy, mój synu - rzekł do mnie. - Kim jesteś i skąd przybywasz?”. No cóż, jak może wiecie, pani, rzadko brakuje mi słów, ale tym razem tak się zdarzyło. „Pies ukradł mi chleb”, wydusiłem wreszcie. „To mój pies - powiedział ksiądz. - Miał w pysku, jak słusznie rzekłeś, kawałek chleba. Lubi chleb. Ty jednak nie lubisz się dzielić chlebem, jak nam nakazał nasz pan Jezus, i jak jest napisane u Tobiasza! Kim jesteś i skąd przychodzisz, skoro twoja mowa jest tak nieczuła jak u faryzeusza?”. „Nazywam się Latif - odrzekłem i w tejże chwili zorientowałem się, że popełniłem błąd. „Latif - powiedział ksiądz - cóż to za dziwne imię. Czy to w ogóle jest chrześcijańskie imię?”. „Chcę tylko odzyskać mój chleb - powiedziałem. - Tam, skąd przybywam, to, co zrobił wasz pies, nazywa się kradzieżą”. „Ach, już wiem! Twoje imię jest muzułmańskie! - zakrzyknął ksiądz, nie zważając na mój zarzut. Rozłożył ramiona i wpatrywał się we mnie. - Biada ci, niewierny! Nie jesteś synem Chrystusa! Czego szukasz w tym błogosławionym kraju? Co tu w ogóle robisz? Odpowiadaj, inaczej zawołam kata!”. Jego ostatnich słów jednak nie wysłuchałem do końca, bo rzuciłem się do ucieczki.

- Latif patrzył na mnie oskarżycielskim wzrokiem. - Cóż to za osobliwy kraj, gdzie niewierny może nazwać wierzącego, jak ja, niewiernym? W którym pies może posiadać coś, co do niego nie należy? Niewiele brakowało, a ten szalony ksiądz oskarżyłby mnie, okradzionego, o kradzież!

Zignorowałam lamentey Latifa i powiedziałam zagniewana: - Zachowałeś się bardzo głupio. Niebezpiecznie głupio! I to wszystko z powodu kawałeczka chleba. Kościół i jego przedstawiciele są wszędzie tacy sami. Kto nie wyznaje jedynej zapewniającej zbawienie religii katolickiej, ten jest heretykiem, a przynajmniej grzesznikiem i tym samym kandydatem do czyśćca. Nie wiem, co zrobiłby ten ksiądz, gdyby zobaczył moje znamię. - Tak, pani, macie z pewnością rację. - Latif spokorniał.

- A ja już rozważałam, czyby nie zamieszkać w jakimś małym domku na skraju Borbony i żyć tam z dala od ludzi. Ale teraz nic z tego. Musimy uciekać dalej, zanim ten ksiądz zacznie cię szukać.

- Dobrze, pani. - Latif podniósł się, stękając. Niedługo potem otoczył nas las.

Wędrowaliśmy dalej i dalej, przez pasmo Apeninów. Małe wioski, przyklejone niekiedy jak orle gniazda do zboczy, zapraszały do wytchnienia, ale byliśmy ostrożni i okrążaliśmy je z daleka. Wiejskie kobiety, zbieraczki ziół i pasterki owiec, które spotykaliśmy, pytały, skąd i dokąd wędrujemy, jak to w górach. Z ich strony nic nam nie groziło. Na te pytania przygotowaliśmy sobie stosowne odpowiedzi. Na pytanie skąd, wymienialiśmy zawsze nazwę ostatnio mijanej miejscowości, aby następnie dodać, że odwiedziliśmy tam Luigiego. Ponieważ Luigi jest imieniem występującym tak często jak ryby w morzu, nigdy nie mieliśmy kłopotów.

- Luigi Tozzi? - spytała raz młoda mleczarka. - Jego synek miał być zdaje się chrzczony? Ach, jaka szkoda, że nie mogłam tam być.

- Tak, to była piękna uroczystość - powiedział Latif ze wzruszeniem w głosie.

- Czy Randolfo też tam był? - Dziewczyna spłoniła się lekko i nawet nie będąc jasnowidzem, nietrudno było poznać, że jest zakochana w Randolfie.

- Nie wiem - odrzekłam - czy to był ten wysoki, silny młodzieniec z czarnymi włosami?

- Nie, on ma włosy rudoblond. Jeśli tam był, to raczej musielibyście go zauważyć.

Latif przyłożył palec do swego kształtnego nosa i powiedział:

- Niech się zastanowię. Jak ci na imię?

- Anna.

- Anna, no oczywiście! Wydaje mi się, że pytał o jakąś Annę.

- Naprawdę?

- Niech tu padnę martwy, jeśli tak nie było. - Latif przewrócił oczami.

- Masz. - Mleczarka sięgnęła do kosza na plecach i dała mu ser wielkości dłoni. - Za dobre wieści.

- Dziękuję ci i życzę dobrego dnia i radosnych myśli.

- Dziękuję, dziękuję, i dla was też wszystkiego dobrego. - Uradowana poszła swoją drogą.

Inna rozmowa miała miejsce nieopodal Salmaregii, leżącej na uboczu wioski powyżej urodzajnej doliny. Spotkaliśmy tam szlifierza ostrzącego noże.

- *Buongiorno* - wykrzyknął w naszym kierunku, był bowiem wczesny ranek, a mgły nad zboczami gór właśnie zaczęły się rozpraszać. - A co wy tu porabiacie w górach? Nie wyglądacie na ludzi stąd.

- Przybywamy z Gualdo - odpowiedziałam.

- Gualdo. Właśnie tam zmierzam. Powiedzcie no, czy Giuseppe ciągle jeszcze tak niedomaga? Kiedy byłem tam ostatnim razem, niedaleko mu było do śmierci.

- Nie wiem - odpowiedziałam, a Latif uzupełnił:

- Ale widzieliśmy długi kondukt pogrzebowy. Było bardzo uroczyście.

- Odwiedzaliśmy Luigiego - powiedziałam. - Jego nie było na pogrzebie.

- Ho ho, to mnie wcale nie dziwi! On i Giuseppe przez całe życie śmiertelnie się nienawidzili, od kiedy Luigi, zdaje się, trzydzieści, nie, trzydzieści jeden lat temu odbił Giuseppemu Sofię i ożenił się z nią. W całej wsi huczało wtedy jak w ulu, a Luigi o mało nie zabił Giuseppego. No, tamtym razem jeszcze się udało. A teraz Giuseppe jest tam, gdzie Sofia przebywa już od dawna: w królestwie niebieskim. Tak, tak, życie płata różne figle. Dziękuję wam obojgu za ciekawą pogawędkę i niech Bóg was prowadzi.

Przed miejscowością Cese napotkaliśmy dwóch groźnie wyglądających typów, którzy popatrywali na nas nieprzyjaźnie. Siedzieli na skraju drogi, jeden rozgniatał orzeszki bukowe, drugi końcem noża czyścił sobie paznokcie. Pozdrowiwszy ich krótko, chcieliśmy iść dalej, ale ten od orzeszków odezwał się:

- Nie macie przypadkiem czegoś przyzwoitego do zjedzenia? Ciągłe tylko orzechy i orzechy, tego nie wytrzyma najzdrowszy żołądek.

Chcąc nie chcąc, zatrzymaliśmy się. Latif sięgnął do swego tłumoczką i wyjął z niego gliniane naczynie z oliwkami.

- Częstuj się, smacznego. Typ od orzeszków powiedział:

- Ciągłe tylko oliwki i oliwki, tego nie wytrzyma najzdrowszy żołądek.

- Mam jeszcze kielbasę - rzekłam. - Jest z tej okolicy i smakuje wybornie.

- Ciągłe tylko kielbasa i kielbasa, tego nie wytrzyma najzdrowszy żołądek.

Latif i ja spojrzeliśmy po sobie. Czuliśmy, że zaczyna się robić gorąco.

- Nie macie czegoś innego niż oliwki i kielbasa? - spytał ten z nożem głosem niewróżącym nic dobrego. - Nie macie przypadkiem paru monet, bez których możecie się obejść?

- Idziemy z Nocera Umbra - powiedziałam, by odwrócić jego uwagę. - Odwiedziliśmy tam Luigiego. Znacie go?

- Mam gdzieś twojego Luigiego! - Ten od orzechów buczyny splunął.

- Dostyc tego gadania! Dawać mi tu forszę, albo was wyprawimy na tamten świat! Najpierw ciebie, grubasie, a potem ciebie, ślicznotko, gdy cię już pokosztujemy ździebko.

Ten z nożem roześmiał się obleśnie.

- Tak, tak, wszystko po kolei. - Wstał, a ja zobaczyłam, że jest prawie tak wysoki jak Latif, ale chudy jak stara chabeta. - No już, dawaj forszę, grubasie, bo sam ją sobie wezmę!

- Ależ tak, *signore*, ależ tak! - Latif położył węzełek na ziemi i zaczął go rozwiązywać. - Nie mamy dużo, ale to, co mamy, jest tu w środku. Poczekajcie. - Pochylił się zaambarasowany i grzebał w swym dobytku.

W oczach obu łotrów zamigotała chciwość. Podeszli do Latifa, by zobaczyć, co wyciąga. I nagle stało się coś, czego ani ja, ani oni nie mogliśmy przewidzieć. Latif jakby eksplodował. Jego zwałiste ciało wystrzeliło w górę i uderzyło w obu opryszków. Zatoczyli się, szukając oparcia, ale zanim się pozbierali, na ich grzbietach zatańczył kostur od Conora. Latif uderzał raz za razem z siłą, która mnie zdumiała. Mój rezolutny, wesoły, zmyślny Latif potrafił też być prawdziwym mężczyzną!

Dopiero gdy zbiry zaczęły błagać o litość, przerwał.

- Na Allana Mściciela, Allaha Przeróżającego, niech to będzie dla was nauczka! - zagrzmiał. - I poszukajcie sobie przyzwoitego zajęcia. No już, zabierać się stąd.

Po incydencie z opryszkami musieliśmy uchodzić stamtąd jak najszybciej, nie wiedzieliśmy bowiem, czy nie należeli do jakiejś bandy i czy nie wrócą, by się zemścić. Bogu dzięki nic takiego się nie stało. Kostur Conora, króla żebraków, okazał się nader przydatny.

Nasz następny popas wypadł w San Martino. Jednak zanim weszliśmy do tej górskiej wioski, spotkaliśmy młodego, ubranego na czarno mężczyznę. Odpoczywał na skraju drogi w trawie i czytał grubą księgę. Powitał nas słowami:

- Pochwalony. Wybraliście sobie piękny dzień na wędrowkę.

- Tak, w rzeczy samej, *signore* - odrzekł Latif. Młody człowiek podniósł się i przedstawił:

- **Jestem** brat Sebastiano i wędruję do San Martino, gdzie mam objąć stanowisko wikarego.

- Znowu jakiś ksiądz - mruknął Latif, ale zrobił to tak cicho, że wikary go nie zrozumiał.

- To życzymy wam wszelkiej pomyślności, wasza wielbność - rzekłam sztywno i chciałam iść dalej, ale brat Sebastiano się roześmiał.

- Darujcie sobie tego wielbnego, jako wikary podlegam miejscowemu proboszczowi, a więc nie jestem nikim ważnym, *sig-nora...*

Zignorowałam jego niewypowiedziane pytanie i powiedziałam:

- Zamierzamy odwiedzić w San Martino naszego przyjaciela Luigiego.

- Luigi? - Brat Sebastiano przypatrywał mi się życzliwym wzrokiem. - W mojej nowej parafii z pewnością poznam wielu mężczyzn imieniem Luigi. Jak ma na nazwisko?

Ugryzłam się w język. Rozmowa przybrała nieprzewidziany obrót. Uratował mnie Latif, mówiąc:

- Luigi ma parę owiec i wiecie prosty żywot. - Ponieważ większość ludzi w tej okolicy trzyma parę owiec, więc wcale nie skłamał.

- Jeśli go spotkam, pozdrowię go od was. A wy jak się nazywacie?

Teraz wpadliśmy w pułapkę. Musieliśmy odpowiedzieć, aby nie wydać się podejrzani. Ale też nie chcieliśmy kłamać, gdyż młody braciszek był całkiem sympatyczny. Tak więc podałam mu swoje drugie imię.

- Nazywam się Maria. A jak wy trafiliście w te góry?

- Och! - zaśmiał się zakłopotany. - Obawiałem się tego pytania. No cóż, zadadzą mi je też pewnie w mojej parafii, więc na nic się zda kluczenie. Ujmijmy to w ten sposób, że hmm... niekiedy mówiłem zbyt otwarcie, kiedy miałem inne zdanie w kwestiach wiary. Dlatego też biskup dał mi możliwość wykazania się w jakimś oddalonym miejscu. Jego wybór padł na San Martino.

Nic na to nie odrzekliśmy, ale pomyśleliśmy, że mamy do czynienia z bardzo niezwykłym młodym sługą Bożym. Fakt, że był wobec nas taki szczerzy, przemawiał na jego korzyść.

- No i tak to jest - podsumował. - Ale wszystko, co nas spotyka na tym świecie, dzieje się z woli Boga, zatem bądź wola Twoja. - Zamknął ciężką księgę - było to Pismo Święte - i wstał. Skrzywił przy tym twarz, jakby coś go zabolalo.

- Czy coś wam dolega, bracie Sebastianie? - zapytałam.

- Tak, niestety. Skręciłem stopę. Boli piekielnie, aj... - Zaśmiał się. - To chyba nie było odpowiednie słowo, chciałem powiedzieć, że bardzo boli. Ale myślę, że jeśli jeszcze chwilę odpocznę i podbuduję się słowami z Pisma Świętego, to będzie na pewno lepiej.

- Lektora Biblii nie zawsze pomaga - rzekłam stanowczo. - W każdym razie nie bezpośrednio. W waszym przypadku mocny opatrunek przydałby się o wiele bardziej. Usiądźcie, zobaczę, co mogę dla was zrobić.

Posłuchał, a ja uklęknęłam przed nim i zbadałam nogę. Obrażenia nie były szczególnie ciężkie.

- To tylko skręcenie - powiedziałam. - Coś takiego w górach zdarza się często. - Potem owinęłam wokół spuchniętej kostki usztywniający lniany bandaż. - Bóg zapłać!

- Chętnie pomogłam. Dzięki temu łatwiej wam będzie chodzić w San Martino powinniście chłodzić stopę. Włóżcie ją po prostu na chwilę do zimnej wody. Zimno łagodzi ból, nawet gdy jest piekielny.

Brat Sebastiano roześmiał się. Następnie znów przyjrzał mi się uważnie swym życzliwym wzrokiem.

- Jak na prostą chłopkę - ogarnął spojrzeniem moje odzienie - wasza mowa jest bardzo staranna. Kim jesteście... Mario?

- Przyjmijcie, że jestem kimś, kto chętnie pomaga i wie, jak dobrze nałożyć opatrunek - odpowiedziałam. - Wszystko inne jest bez znaczenia.

- Chyba macie rację. - Kiwał zamyślony głową. - Jakież znaczenie mają nazwiska? Nie mówią nic o człowieku. Weźmy wspomnianego przez was Luigiego. Jest wielu mężczyzn o tym imieniu, dobrych i złych, młodych i starych, biednych i bogatych. Samo imię zatem nic nie znaczy.

- Musimy iść dalej - rzekłam. - Chętnie byśmy wam użyczyli naszego kostera, ale doświadczenie pokazało, że bardzo go potrzebujemy.

- Nie - zaprotestował Latif. - Brat Sebastiano bardziej go potrzebuje. - Oddał mu kostur.

- Nie mogę go przyjąć!

- Ależ tak, weźcie go.

- Dziękuję. Jesteście niezwykłym człowiekiem - nie tylko jeśli chodzi o rozmiary ciała. - Brat Sebastiano znów spojrzał na nas w ten swój życzliwy sposób. - Będę się za was modlił w kościele w San Martino.

- Och, eee... panie, to nie będzie konieczne.

Przerwałam tę kłopotliwą dla Latifa sytuację, mówiąc, że musimy już iść.

- Idźcie tedy z Bogiem i jeszcze raz serdeczne dzięki. - Brat Sebastiano wyprostował się na całą swoją wysokość i pożegnał nas znakiem krzyża.

Ta sytuacja w głębi ducha mnie rozbawiła. Kto by pomyślał, że mój mużułmański sługa zostanie pobłogosławiony przez katolickiego księdza!

- Wszystkiego dobrego - rzekłam. - Musimy już iść. Opuściliśmy go i maszerowaliśmy szpako, jednak przy najbliższym

zakręcie drogi obejrzałam się i zobaczyłam, że brat Sebastiano wciąż patrzy za nami. Uniósł rękę i pomachał nam. Dobrze jest wiedzieć, że są też ludzie księdza, z przekonaniem, których bronią - odezwałam się, gdy straciliśmy go z oczu.

- Tak - rzekł Latif. - To był życzliwy mąż, aczkolwiek fałszywej wiary. Mam nadzieję, pani, że nie macie mi za złe, iż zostawiłem mu nasz kij?

- Nie, Latifie, ale nie powinniśmy iść do San Martino, tak będzie bezpieczniej.

- Gdzie wobec tego mamy się udać?

- Do Forcelli. Leży wyżej w górach i jest tam z pewnością bardziej odludnie.

- Jestem przy was, pani.

Poszliśmy w kierunku Forcelli i natrafiliśmy na rwący potok o nazwie Nera. Przenocowaliśmy na jego brzegu i po raz pierwszy podczas naszej ucieczki strasznie zmarzliśmy, chociaż rozpaliliśmy ogień i wśliznęliśmy się pod koce i grubą warstwę liści. Następnego ranka Latif powiedział:

- Pani, tak dalej być nie może. Jest już październik, zima tuż-tuż. Gdzie się podziejemy, kiedy się zrobi naprawdę zimno? Potrzebujemy dachu nad głową.

- Chciałabym pójść jeszcze wyżej w góry - rzekłam. - Ten brat Sebastiano nas przejrzał. Wie, że nie jesteśmy wieśniakami. Im więcej mil dzieli nas od niego, tym lepiej.

Latif dołożył suchych gałązek do żaru i dmuchał weń, by rozniecić ogień.

- Może tak jest, pani, a może nie. Ten człowiek wyglądał na nader rozumnego, chociaż mnie pobłogosławił.

- Wierzysz w to, że przemilczy spotkanie z nami?

- Dlaczego nie? Mógłbym tu w pobliżu wybudować dla nas chatkę.

- A jeśli zaczniesz wypytywać i dowie się, że jeszcze niedawno, kilka miesięcy temu, pracowałam jako medyczka?

- No tak, wasza pomoc z opatrunkiem była może jednak trochę nieprzemyślana, pani.

- Równie nieprzemyślana jak oddanie mu naszego kostura.

- Zgoda, pani. Zupa zaraz będzie gorąca. Czy mam wkroić do niej trochę kiełbasy?

- Myślałam, że jako muzułmaninowi nie wolno ci jeść kiełbasy?

- Będą ją omijał, pani.

Gdy skończyliśmy skromny posiłek i spakowaliśmy tobołki, Latif zapytał ponownie:

- Czy nie moglibyśmy tu zostać, pani?

- Nie - odpowiedziałam. - Chcę iść dalej. Poza tym, czy chcesz ścinać drzewa i ciąć deski gołymi rękami?

- To dokąd chcecie pójść, pani?

- W górę rzeki, do źródła Nery.

Tydzień później dotarliśmy do ubogiej wioszczyny nazywanej przez miejscowych Casali. Mieszkało tam ledwie pięćdziesiąt osób, jak dowiedzieliśmy się od wędrownego przekupnia. Nazywał się Tasco i miał twarz, którą przy każdym uśmiechu pokrywały setki zmarszczek.

- W Casali diabeł mówi dobranoc - wyjąwił nam. - Ludzie, którzy tam mieszkają, są całkiem odcięci od reszty świata. Ale co tam, dla mnie to lepiej, bo dzięki temu kupują moje towary. Zamierzacie tam zostać?

- Może - odpowiedziałam niezobowiązująco. - A co masz do sprzedania?

Tasco roześmiał się i wskazał na swego osła, ciągnącego wyładowany po brzegi wózek.

- Nie ma nic, czego by Tasco nie sprzedawał. A czego wam potrzeba, ludzie?

- Potrzebujemy narzędzi, żeby zbudować dom, drewna, zaprawy, cegieł i paru innych rzeczy - powiedział Latif. - Nie sądzę, żebyś miał taki towar.

- Może usiadziemy, ludzie? Wyglądacie na takich, którym mały odpoczynek dobrze by zrobił. - Tasco wyprzągnął osła i powiesił mu przy pysku worek z obrokiem. Następnie przyniósł z wozu derkę, rozpostarł ją na ziemi i usiadł. Kiedy poszliśmy za jego Przykładem, rzekł do Latifa: - Masz rację, przyjacielu, nie mam ze sobą materiałów budowlanych. Bo i po co? Ten, kto tu mieszka, ma już dom, a ten, kto chce się tu sprowadzić, bierze sobie jakiś niezamieszkały. Ale nikt się tu nie sprowadza, bo jak już mówiłem, tu diabeł mówi dobranoc. Starzy ludzie opowiadają, że w dawnych

czasach w jaskiniach w górze mieszkało paru wygnańców, jest też legenda, która mówi o tym, że jedna z Sybill ukryła się w Grotta delie Fata, po tym, gdy ją wygnano ze świata podziemnego. Ale to ani chybi jakieś wymysły. Tam w górze nie ma już żywej duszy. Gdyby było inaczej, musiałbym to wiedzieć, nikt nie zna tych okolic lepiej ode mnie.

- Jak się nazywa grotta, w której mieszkała Sybilla? - zapytałam.

- Grotta delie Fata.

- Grotta wrózek, brzmi ładnie.

- Tak, podobno jest bardzo duża i sprawia imponujące wrażenie, ale to nie jedyna grotta, jak mówią. Dokładnie tego nie wiem, bo nigdy tam nie byłem. Bo i po co? Tam w górze krążą tylko orły, a parę dzikich kóz pędzi nędzny żywot.

- To także brzmi ładnie.

Tasco patrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem. Potem jego twarz zmarszczyła się w tyśnięć zmarszczek uśmiechu i powiedział:

- Zdaje się, że podoba się wam tu wysoko w górach. Nazywają je Monti Sibillini. Powietrze jest czyste jak jedwab, a pożywienie tutejszych wieśniaków proste, ale zdrowe. Mam ser i kielbasę własnej roboty z Casali. Niech nikt nie mówi, że kupiec Tasco Bariello nie potrafi się dzielić z innymi. - Wstał i przyniósł ser oraz kielbasę. -Jedzcie. Mój ojciec zwykł mawiać, że ludzie w życiu zawsze spotykają się dwa razy, może wtedy będę mógł wam coś sprzedać.

- Jesteś mądrym człowiekiem, Tasco - powiedział Latif, żując kawałek sera.

- Tak właśnie jest - zawtórowałam mojemu słudze. - Jesteś mądry i dużo wiesz. A twoje opowieści były nadzwyczaj ciekawe.

Latif i ja potrzebowaliśmy ponad tygodnia, by w wąwozach Gór Sybillińskich znaleźć odpowiednią jaskinię. Aż wreszcie, któregoś ranka po mroźnej nocy pod gołym niebem szczęście się do nas uśmiechnęło. Było to powyżej górskiej hali, gdy Latif potknął się o korzeń i, spadając, stratował parę krzaków.

- Allahu, cóżem ja uczynił, że każesz mi iść tą drogą cierpienia - lamentował głośno. - Dałeś mi panią, która woli nagą skałę niz dach zbudowany przez jej wiernego sługę. Allah...

- Uspokój się - zawołałam. - Popatrz lepiej w bok. Czy widzisz to, co ja?

- Ja... jaskinię, pani?

- Na to wygląda. Wstawaj, wejdziemy tam i rozejrzemy się. Może znaleźliśmy to, czego szukamy.

Gdy już precyzyjnie przeszliśmy przez sięgający ledwie bioder otwór w skalnej ścianie i zostawiliśmy za sobą wąską, krętą ścieżkę, otworzyła się przed nami sklepiona skalna grota, mierząca co najmniej piętnaście kroków średnicy. Stalaktyty i stalagmity zbliżały się do siebie na jej krańcach, a między nimi prowadziły dwa korytarze. Ponieważ w głębi panowały nieprzeniknione ciemności, zawróciliśmy, zapaliliśmy smolną gałąź i z powrotem weszliśmy do jaskini. Każdy z obu korytarzy, które odchodziły od skalnej komnaty, kończył się po pięćdziesięciu krokach grota wysokości człowieka, a potem opuszczał się jeszcze głębiej w skałę.

- To z pewnością nie jest Grotta delie Fata, ale dla nas nadaje się w sam raz - powiedziałam do Latifa. - Myślę, że tu zostaniemy. Ty weźmiesz lewą jaskinię, bo jest trochę wyższa, a ja tę drugą. Pierwsza komnata będzie tym, czym w naszym domu na Strada San Felice była jadalnia z paleniskiem. Widzisz teraz, że dach z wapienia jest co najmniej tak dobry jak z drewna?

- Tak, pani, widzę, ale zastanawiam się też, jak często będę się uderzał w głowę w tym labiryncie. Jak długo zamierzacie tu pozostać?

Rozejrzałam się wokół i rzekłam z wolna:

- Przynajmniej przez najbliższą zimę. A może na zawsze.

- Tak, pani., Wasz rozkaz to wola Allaha.

- Posłuchaj, Latifie, jesteś wprawdzie moim służącym, ale jeśli chodzi o całe twoje życie, nie chcę ci nic narzucać. Gdy nadejdzie wiosna, sam możesz zdecydować, dokąd chcesz pójść.

- Tak, pani. - Latif przewrócił oczami. - A cóż ja bym robił sam?

Pierwsza zima spędzona w jaskini, którą, przez sentyment dla domu żebraków w Bolonii, nazwaliśmy Grotta delie Rifugio, była k ciężka, że Latif i ja myśleliśmy niekiedy, iż jej nie przeżyjemy, gdyby nie Tasco Bariello, wędrowny handlarz, tak by się stało.

Spotykaliśmy go często, z ostrożności za każdym razem w innym, umówionym miejscu, a on zaopatrywał nas w najpotrzebniejsze przedmioty. Przywoził także jedzenie, które sprzedawał nam za niewielkie pieniądze. Gdy skończyła się nam gotówka i powiedziałam mu to, odparł:

- Może mogłabyś wypłacić mi się w inny sposób, Mario. Widziałem, jakie masz zręczne ręce, mogłabyś obejrzyć Bocca, mojego osła?

- A co mu dolega? - zapytałam.

- Tutaj, spójrz, ma jakąś gułę za prawym uchem. Kiedy ją dotknąć, przesuwa się w jedną i drugą stronę. Nie sędzę, żeby to było coś groźnego, ale bardzo mu przeszkadza. Co chwila potrząsa głową, jakby chciał odpędzić rój pszczół.

Obejrzałam wypukłość pod sierścią i powiedziałam:

- Uciska go, dlatego próbuje to strząsnąć.

- To właśnie mam na myśli. Pomyślałem sobie, że mogłabyś mi może pomóc wyciąć tę narośl. W Casali jest wprawdzie cyrulik, którego mógłbym o to poprosić, ale ten człowiek ma lichwiarskie ceny.

- Pomogę ci - powiedziałam. - Bądź tu jutro o tej samej porze.

- Ale dlaczego dopiero jutro?

- Ponieważ cięcia, o którym mówisz, nie mogę zrobić nożem kuchennym.

Następnego dnia otworzyłam zgrubienie, co osioł zniósł ze stoickim spokojem, i wypreparowałam guz skalpelem. Jak się okazało, był to tylko nieszkodliwy tłuszczak, co też powiedziałam Tascowi.

- Dziękuję ci, Mario - rzekł. - Załatwiłaś sprawę, jakby to nie było nic trudnego. I jakbyś robiła to już niejednym razem.

- Może tak, a może nie. Tu wysoko w górach nie ma to żadnego znaczenia.

- Masz rację, za dużo pytam. Czego potrzebujesz, kiedy się ponownie spotkamy? Jestem ci coś winien.

- Niech Bocco wniesie nam *tu* na górę drewno na opał, tego nam najbardziej brakuje.

Powiada się, że człowiek raczej umrze z pragnienia niż z głodu, ale jak przekonaliśmy się boleśnie, może też nader łatwo zamarznąć

na śmierć. Lodowate dni i noce zimy roku 1584 na rok 1585 nauczyły nas, że zimno można stawić czoła tylko razem. Nie mogliśmy sobie pozwolić na dwa oddzielne ogniska, musieliśmy się zadowolić jednym, ze względu na oszczędność opału. Bardzo szybko zmieniłam swoją decyzję o dwóch osobnych komnatach, a potem o dwóch legowiskach po dwóch stronach ognia. Było po prostu za zimno. Musieliśmy przysuwać się do siebie, by się nawzajem ogrzewać, przy czym Latif dawał mi z pewnością dużo więcej ciepła niż ja jemu. Za to kiedyś uratowałam mu palce u nóg, których po jakiejś dłuższej wędrówce o mało nie stracił wskutek odmrożenia. Kazałam mu się położyć na ziemi i wyciągnąć nogi. Następnie usiadłam naprzeciwko niego i wsunęłam sobie jego nagie palce u stóp pod pachy - pachy bowiem zaliczają się do najcieplejszych miejsc całego ciała.

Latif cierpiał straszne bóle, gdy jego stopy powoli tajały, ale dzięki nietypowej metodzie udało mi się uratować wszystkie palce.

Nieraz, kiedy leżeliśmy przytuleni do siebie pod derkami, zadawałam sobie pytanie, czy jesteśmy parą, mężczyzną i kobietą złączonymi miłością, ale za każdym razem czułam jedynie wielką bliskość. Czy ze strony Latifa było coś więcej, nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Gdy tylko wiosna złamała potęgę zimy, często wychodziliśmy na zewnątrz i głęboko wdychaliśmy łagodne, ciepłe powietrze. Wszystkie hale zieleniły się od kiełkującej roślinności. Ogromne lasy bukowe w oddali puszczały pierwsze listki, a dopływ Nery, który spływał do doliny kilkadziesiąt kroków dalej, wreszcie był wolny od lodu.

Człowiek i natura oddychali z ulgą. Snuliśmy z Latifem plany, jak moglibyśmy się ta urządzać na dłużej, a mój sługa wykazywał się swymi rzemieślniczymi umiejętnościami, zbijając dla nas prosty stół i sprzęty do siedzenia. Zbudował nawet łóżka dla mnie i dla siebie. Surowiec i narzędzia przywiózł nam zacny Tasco.

W maju niedaleko naszej groty pasła się koza z kozłatką, które szybko dały się obłaskawić i od tej pory dzieliły nasze życie. Koza dawała trochę mleka, które urozmaiciło nieco nasz jadłospis.

Później zaczęłam zbierać na łąkach i na skraju lasu zioła i sporządzałam z nich leki. Wymieniałam je u Tasca na jedzenie i inne potrzebne rzeczy. W ten sposób poznawaliśmy się coraz lepiej, nasz

stosunek stał się bardzo zażyły, jednak nie zdradziłam mu położenia naszej kryjówki w jaskini. Zresztą Tasco był człowiekiem taktownym, który przyjmował rzeczywistość taką, jaka jest, i nie zadawał zbędnych pytań.

Któregoś dnia jednak zdziwił się, gdy go poprosiłam, by przy najbliższym spotkaniu przyniósł mi parę worków soczewicy.

- Cóż to, Mario? - zaśmiał się tysiącem swoich zmarszczek. - Czyżby medycyka stała się teraz wieśniaczką?

- Trochę tak - odrzekłam. - Latif odkrył podczas jednej ze swoich wypraw opuszczoną chatę, trzy, a może cztery mile stąd. W chacie nie było nic szczególnego, tylko stary, pocięty lemiesz od pługa. Przyniósł go, oczyścił mozolnie z rdzy, wyprostował i naostrzył na kamieniu. Teraz chce zmajstrować pług i na jednej z łąk zrobić pole.

- Mario, jestem pełen podziwu! Jeśli mam być szczery, to nigdy bym nie uwierzył, że dacie ta sobie radę. Ale chętnie dołożę do tego swoją cegiełkę. Możesz na mnie polegać.

W ten sposób już wkrótce Latif i ja ciągnęliśmy pierwszą skibę przez trawy. On zaprzągnął się do pługa, ja szłam za nim i wciskałam lemiesz w ziemię. To była mozolna robota, ale z zawziętością, której nigdy bym się u niego nie spodziewała, Latif kroczył naprzód i orał pole.

Wieczorem byliśmy bardzo zmęczeni, ale też bardzo szczęśliwi.

- Soczewica to roślina jednoroczna, pani - powiedział Latif. - Znam ją z mojej ojczyzny, gdzie jest bardzo rozpowszechniona. Gdy usłyszałem, że tutejsi chłopcy w górach też ją uprawiają, postanowiłem ich naśladować. Z pomocą Allaha będziemy mogli jesienią jeść pyszne potrawy z soczewicy. Już się na to cieszę.

Dołożyłam drewno do ognia i zamieszałam wczorajszą zupę. To była zupa z grzybów, którą wzbogaciłam ziołami. Nalałam Latifowi miskę zupy i powiedziałam:

- Nasze życie tu w górach staje się z każdym miesiącem lepsze, i z każdym miesiącem czuję się też bezpieczniej. Chętnie bym tu została na dłużej. Poprzedniego roku mówiliśmy, że tu przezimujemy, a potem zastanowimy się, co dalej. Jeśli teraz mówisz, że cieszysz się na jesienne potrawy z soczewicy, to znaczy, że... że tak jak ja chciałbyś...

- Jesteście dobrą kucharką, pani - rzekł Latif z uśmiechem.
-Chciałbym zawsze jeść wasze zupy.

Choć druga zima zastała nas lepiej przygotowanych, też była nadzwyczaj ciężka. W następnym roku przybłąkał się do nas kozioł i sprawił, że nasza trzódka się powiększyła. Mieliliśmy więcej mleka, niż mogliśmy wypić, zaczęłam więc robić ser, co zrazu zakończyło się całkowitym niepowodzeniem, gdyż nie miałam pojęcia o tym procesie. Z czasem jednak nabrałam doświadczenia i pewnego dnia mogliśmy z Latifem zjeść nasz pierwszy ser. Smakował trochę mdło, gdyż brakowało nam soli, ale był zrobiony własnoręcznie i to rekompensowało jego braki.

Była już jesień, gdy któregoś ranka Latif nie wyszedł ze swej groty. Ponieważ na ogół razem tylko jedliśmy posiłki, a poza tym każdy oddawał się swoim codziennym zajęciom, dopiero koło południa zauważyłam, że go nie ma. Zajrzałam do jego jaskini i zobaczyłam, że leży na swym ogromnym łóżku.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Nic, pani. Byłem tylko trochę zmęczony i dlatego spałem dłużej. Zaraz wstaję.

Nie wiem, co to było, ale coś w jego głosie mnie zastanowiło. Podeszłam do łóżka, na którym leżał, i stwierdziłam, że twarz Latifa jest rozpalona gorączką.

- Pozwól mi zobaczyć. - Położyłam mu rękę na czole i przeraziłam się. Latif płonął. - Jesteś chory - powiedziałam. - Musisz zostać w łóżku, gorączka jest zbyt wysoka. Musi spać, chociaż trochę. Zrobię ci zimne okłady na nogi.

W regularnych odstępach czasu owijałam mu łydki zimnymi ręcznikami i zwilżałam czoło chłodną wodą. Temperatura Latifa trochę spadła, a ja wykorzystałam tę poprawę, by wypytać go o ewentualne przyczyny gorączki i objawy jej towarzyszące. Nie mogłam jednak znaleźć żadnej przyczyny choroby. Najbardziej martwiłam się nadejściem wieczoru, jest to bowiem pora, w której zazwyczaj gorączka się nasila. Dlatego powiedziałam Latifowi, że muszę na chwilę wyjść, i opuściłam jego groty. Wybrałam się na poszukiwanie goryczki, od

dawien dawna bowiem ta górską rośliną służy nie tylko do wyrobu nalewek, ale i do obniżania gorączki.

Ponieważ sama wyrabiałam leki, umiałam szukać ziół, ale w tym wypadku na nic się to nie zdało. Nie znalazłam goryczki. Szłam coraz dalej i dalej i przywoływałam na pamięć całą moją wiedzę o leczniczych ziołach. Wiedziałam, że ludzie stosują wiele roślin, które mogą obniżyć gorączkę, jak czarny bez, malina, rukiew, jesion, lipa, mięta czy tymianek, ale żadnej z nich nie mogłam znaleźć. Już miałam przerwać poszukiwania, gdy nagle natknęłam się na Tasca.

- Cóż za przypadek, Mario! - zawołał. - Nie umawialiśmy się chyba, prawda?

- Nie - odpowiedziałam i wyjaśniłam mu, czego szukam. - Niestety nie miałam szczęścia - zakończyłam. - Boję się pomyśleć, co by było, gdyby Latif umarł.

- To w samej rzeczy niedobre wieści - rzekł Tasco zafrasowany. - Jak wiesz, wożę ze sobą tysiące rzeczy, ale nie ma wśród nich środka na obniżenie gorączki. Może dlatego, że moi klienci nigdy nie potrzebują czegoś takiego.

- Więc czego używają wieśniaczki? Chyba nie przyglądają się beczynnemu, gdy ktoś z ich rodziny ma wysoką gorączkę?

Tasco drapał się po nieogolonym policzku.

- Hmm... biorą gencjanę, właśnie tak jak chciałaś.

- A jeśli jej nie mają?

- Niech się zastanowię. Zdaje mi się, że robią choremu okłady! z twarogu albo miękkiego sera na czoło.

- Okłady z twarogu albo miękkiego sera? - wykrzyknęłam. - Och, Tasco, dziękuję ci, dziękuję!

Zaskoczony patrzył w ślad za mną, gdy popędziłam z powrotem do naszej groty.

Nie jestem pewna, czy stało się to za sprawą okładów z koziego sera, które stosowałam tego wieczoru i przez kilka następnych dni w każdym razie Latif powoli dochodził do siebie, aż któregoś ranka spojrzął na mnie przytomnym wzrokiem.

- Pani - rzekł - Allah zdecydował, że mam wam jeszcze trochę dotrzymać towarzystwa na tej ziemi. Jestem z powrotem zdrowy.

Łzy radości napłynęły mi do oczu i odparłam:

- Czy zawdzięczasz swe wyzdrowienie wyłącznie Allahowi, w to bym powątpiewała, bo i ja odrobinę się do tego przyczyniłam.

- Nie, pani, to był Allah Kształtujący Wszystko, Decydujący o Wszystkim, to on prowadził twoją rękę. Bez jego woli nic się nie dzieje.

- Twój upór dowodzi, że naprawdę ci lepiej - powiedziałam uradowana. - Przyniosę ci pokrzepiającej zupy, a do niej będzie kawałek podplomyka.

- Podplomyka, pani?

- Tasco dał mi worek mąki orkiszowej w zamian za parę leków ziołowych. Sprzeda je dla mnie i weźmie sobie swoją część zarobku. Mówi, że ta w górach potrzebne są głównie środki na zapalenie oczu, pęcherza i stawów. Podplomyk w każdym razie to pierwsza próba urozmaicenia naszego jadłospisu. Mam nadzieję, że będzie ci smakował.

- Z pewnością, pani, z pewnością.

I znowu nadeszła zima. Zaopatrzyliśmy się w wystarczającą ilość opału, nasion i owoców, by ze spokojem wyczekiwać chłodów. Zima była nam niestraszna także dlatego, że z materiałów i skór uszyłam dla siebie i Latifa ciepłe zimowe ubrania. Wytwory moich starań z całą pewnością nie spełniały wymogów mody w Rzymie i Paryżu, ale nam absolutnie wystarczały. Przy braniu miary na ubrania potwierdziło się to, co już wcześniej mi się wydawało - Latif zeschuplał. Praca z pługiem, życie na świeżym powietrzu - to wszystko ujęło mu sporo kilogramów. On sam nie okazywał z tego powodu szczególnej radości, ale powiedziałam mu, że szczupłe ciało jest bardziej odporne na choroby niż korpulentne, i to go pocieszyło.

Wiosną roku 1587, gdy biel śniegu w górach ustępowała miejsca zieleni i barwnej wspaniałości kwiecica, po raz pierwszy zaczęłam łysieć o moim rodzinnym mieście - o jedwabistym powietrzu w maju,

wesołości bolończyków, o hucznych świętach. Myślałam o mojej

matce i o Marcu, i o moim małym Giancarlu, którego zabrał mi Bóg. Myślałam nawet o Gasparem Tagliacozzim i o naszych pierwszych spotkaniach, które niewątpliwie były najszcześniejszymi, najbardziej ekscytującymi momentami mojego życia. Ogarnęła mnie żal. Leżałam w grocie i wpatrywałam się w skalne ściany, ale zamiast nich widziałam mój dom, freski na suficie mojego pokoju. Widziałam Adama i Ewę, węża i jabłko. Myślałam o moich napadach gorączki i o doktorze Valerinim z jego *vesicatorium*, które miało wyciągnąć z mojego ciała gorączkę. Widziałam, jak wąż zniknął i pojawiał się jako pszczoła. Pszczoła brzęczała, okrążając z wielką szybkością jabłko, jakby szukała wejścia do środka. Myślałam o ojcu Edoardzie i jego szaleństwie egzorcystycznym, ale także o przemianie, która dokonała się w nim w późniejszych latach, o jego skrusze i przytomności umysłu, dzięki której uratował mnie przed oprawcami inkwizycji. Myślałam o Conorze, Fabiu i pozostałych żebrakach, którzy stali mi się przyjaciółmi, i zastanawiałam się, czy znaleźli nowy dom, a może też nową medycynę.

Myślałam o tym wszystkim, i w różowym świetle wspomnień to, co piękne, jawiło mi się jako jeszcze piękniejsze, a to, co złe, jako mniej złe.

Nie mogłam wytrzymać w grocie. Wyszłam na zewnątrz, by się rozruszać i pomyśleć o czymś innym. Niebo było wysokie i błękitne, ptaki świergotały w oddali, obłoczki kładły się jak białe kłębuszki na szczytach gór. Pobiegłam do potoku i szłam jakiś czas wzdłuż nurtu, pogrążona w ciężkich myślach. W którymś momencie pochyliłam się i napiłam czystej, orzeźwiającej wody.

Gdy się wyprostowałam, ujrzałam przed sobą znaną mi postać. Był to brat Sebastiano. Opierał się na kosturze, który podarował mu Latif przy naszym pierwszym spotkaniu.

- Szczęść Boże, Mario, nie chciałem was przestraszyć.

- Prawie się wam udało. - Patrzyłam w bok, bo od kiedy zamieszkałam z Latifem w Grotta delie Rifugio, nie tuszowałam mego znamienia szminką.

- Wybaczcie mi, proszę. Może jednak nie powinienem był zdradzać się wam ze swą obecnością. - Brat Sebastiano usiadł na trawie i położył kostur obok siebie. - Usiądźcie i nie kryjcie twarzy. Nie jesteście jedyną osobą na tym świecie, która nosi takie znamię-

Ociągając się, usiadłam obok niego, ale ponieważ siedzieliśmy tak blisko siebie, ciągle jeszcze nie chciałam na niego spojrzeć. Jemu zdawało się to nie przeszkadzać. Wrzucał kamyczki do płynącego wartko potoku, a po chwili powiedział:

- Domyślam się, że to piętno przysporzyło wam w życiu przykrych chwil?

Milczałam.

- Mam na myśli życie, które prowadziliście, zanim przybyliście tutaj, w góry. - Ponieważ wciąż nie odpowiadałam, ciągnął: - Słowa mogą bardzo zranić, dlatego chcę was zapewnić, że wasze znamię absolutnie mi nie przeszkadza. To dla mnie tylko zmiana skórna, nic więcej. Porównywalna z piegami albo plamami wątrobowymi.

- Jesteście bardzo uprzejmi.

- Mówię prawdę. I mówię ją tym chętniej, że nie wszyscy moi bracia w wierze są tego zdania. Właściwie większość jest mocno zaślepiena. Wszystko, co w człowieku odbiega od normalności, graniczy w ich pojęciu z herezją. Można usłyszeć, że w Rzymie znowu mówi się o paleniu czarownic, od kiedy jego świątobliwość przyjął arcybiskupa Trewiry, człowieka, dla którego uczynkiem „miłym Bogu” było spalenie w dwóch wioskach jego diecezji wszystkich rudowłosych kobiet jako czarownic. Dreszcz mnie przejął na te słowa.

- Jesteście... jesteście nie tylko uprzejmi, ale też bardzo szczerzy, bracie Sebastiano.

- Tak, Mario, jestem i nic się w tym względzie nie zmieni. Jestem to winien sobie samemu. - Zaśmiał się krótko. - Ale nie chciałem was przerazić tymi strasznymi opowieściami. Rzym jest daleko.

- Zapewne - rzekłam. - Nie przestraszyliście mnie. - W rzeczywistości jednak dygotałam wewnątrz jak osika.

- To już ponad dwa lata, jak się nie widzieliśmy. Jak się wiodło wam i waszemu mężowi w tym czasie?

- Latif nie jest moim mężem.

- Ale mieszkacie razem?

- Tak, a dlaczego nie? - odpowiedziałam zaczepnie. Niech sobie ten sługa Boży myśli, co mu się żywnie podoba. Ale ku mojemu zaskoczeniu powiedział:

- Ten mężczyzna, który nie jest waszym mężem, jest szczęśliwym człowiekiem, gdyż ma piękną kobietę. Bardzo mi pomógł przy naszym pierwszym spotkaniu, gdy zostawił mi swój kij, bym mógł się na nim wesprzeć. Proszę, weźcie go z powrotem, z serdecznymi podziękowaniami dla niego.

- Zatrzymajcie kostur. Nie jest nam potrzebny.

- Mnie także nie. Może zabierzecie go następnym razem?

- Następnym razem?

- Kiedy się znów spotkamy. Nie bywacie czasami w tym miejscu nad potokiem? Może będziecie tu za tydzień?

- Muszę już iść, bracie Sebastiano - powiedziałam, wstając.

- Mówcie do mnie po prostu Sebastiano. Ja też mówię do was Maria.

- No dobrze... Sebastiano. Jak już mówiłam, muszę iść. Czeka mnie jeszcze dużo pracy.

Po minie młodego księdza poznałam, że chętnie by jeszcze pogawędził i dowiedział się więcej o mnie i Latifie, ale nie zapytał już o nic. Podnosząc się, rzekł tylko:

- Wobec tego zostańcie z Bogiem, Mario, i może do zobaczenia już niebawem.

- Zostańcie z Bogiem, Sebastiano. Prędko pobiegłam z powrotem do jaskini.

Wieczorem tego szczególnego dnia leżałam w mojej grocie, myślałam o Sebastianie, niezwykłym słudze Bożym, przywoływałam na pamięć każde słowo z naszej rozmowy i stwierdziłam, że moja tęsknota za Bolonią znacznie się zmniejszyła.

Uznałam też, że nie mogę pójść znowu nad potok.

Upłynęło więcej niż trzy lata, zanim ponownie przez przypadek spotkałam brata Sebastiana. Było to na zboczu góry, gdzie odpoczywał w bukowym zagajniku. Był koniec września, a ja wykorzystałam tę porę, by nazbierać bukowych orzeszków. Stanowiły ważne źródło pożywienia dla mnie i Latifa, zwłaszcza że udało się nam wytłaczać z nich olej, który nadawał się zarówno do gotowania, jak i do lamp.

I tym razem to Sebastiano mnie dostrzegł.

- Czy teraz go zabierzecie? - spytał.

Wzdrygnęłam się przestraszona i zobaczyłam go stojącego pomiędzy drzewami, oddalonego nie więcej niż o dziesięć kroków.

- Czy tym razem go weźmiecie? - powtórzył i wysunął przed siebie kij jak podarunek.

- Powiedziałam wam już, że go nie potrzebujemy - odparłam. Mój głos zabrzmiał bardziej szorstko, niż chciałam. Może dlatego, że nie zdołałam go zapomnieć - jego i jego niezwyklej osobowości. Był młodym, przystojnym mężczyzną żyjącym w celibacie, a ja już dawno przekroczyłam trzydzieści lat - byłam więc za stara na nieskromne myśli.

- Tak, pamiętam dobrze. - Podniósł się i podszedł do mnie. - Od tamtej pory często myślałem o naszej rozmowie, Mario.

Ja też, chciałam powiedzieć, ale powstrzymałam się i dalej zbierałam orzeszki.

Sebastiano zdawał się nie dostrzegać mojej nieprzyjaznej postawy; w sposób najzupełniej naturalny podszedł do mnie i zaczął mi pomagać zbierać bukiew. Po chwili wywiązała się między nami osobliwa rozmowa, jakiej nigdy wcześniej z nikim nie prowadziłam. Odbywała się ona, gdy w pozycji pochylonej ku ziemi zbieraliśmy orzeszki, i naznaczona była moją niewyrażoną sympatią dla niego.

- Nie musicie mi pomagać - rzekłam.

- Ale chcę - odpowiedział i po chwili dodał: - Jeśli nie weźmiecie kija z powrotem, to jeszcze dziś wyryję na nim moje imię.

- Możecie robić, co chcecie, w końcu należy do was.

- To prawda. - Wrzucił garść orzeszków do mojego koszyka. - Jest mój, ale gdyby biskup odwołał mnie z San Martino, rozstanę się z nim i położę go nad potokiem w tym miejscu, gdzie widzieliśmy się ostatnim razem.

- Zostaniecie odwołani? A kiedy?

- Jeszcze do tego nie doszło. - Roześmiał się. - Zresztą może ^mgdy nie dojdzie, bo jak wiecie, w wielu sprawach wypowiadam si? bez ogródek i dlatego Kościół woli trzymać mnie tutaj, na odludziu. Ale załóżmy, że do tego dojdzie; wtedy znajdziecie kij nad potokiem ¹ będziecie mieć po mnie pamiątkę.

Serce biło mi jak szalone przy jego słowach. Przyznałam się przed sobą, że jego odejście by mnie zasmuciło. Ale nic nie odparłam i w milczeniu zbierałam dalej bukiew.

- Smutno by wam było, Mario, gdybym odszedł?

- Przesłanie Boże nie musi być głoszone koniecznie ustami kapłana - powiedziałam wymijająco. - Przejawia się ono w każdej roślince, która rośnie, i w każdym ptaku, który lata.

- Och, pięknie to powiedzieliście. Podoba mi się ta parabola. Już w jedenastym psalmie napisane jest wszak: „Niby ptak uleć na górę”. Mario, nie chcę was teraz pytać, skąd przybywacie i czy uciekliście w te góry, bo wiem, że nie otrzymam odpowiedzi. Ale skoro już mówię o Piśmie Świętym: czy macie egzemplarz, który moglibyście czytać dla codziennego duchowego zbudowania?

- Nie, nie mam.

- Szkoda. Biblia jest dla chrześcijanina tak ważna jak chleb powszedni. Zostawię jedną w tym miejscu, zabezpieczoną dobrze przed wiatrem i niepogodą. Możecie ją sobie przy okazji zabrać. -Przerwał i spojrzał na mnie. - Wierzcie mi, chętnie bym ją wam wręczył osobiście, ale widzę, że wolicie unikać mojej bliskości.

Milczałam i pracowałam dalej.

Wrzucił ostatnią garść orzeszków do mojego kosza i odszedł bez słowa.

W następnych dniach mówiłam sobie, że nie mam żadnego powodu, by się wybierać do bukowego zagajnika, gdyż mieliśmy dość bukwi na nasze potrzeby. A jednak uczyniłam to, tłumacząc sobie, że nie mogę zostawić w leśnej głuszy takiej księgi jak Pismo Święte.

Był chłodny poranek w październiku roku 1590, z moich ust wydobywały się białe obłoczki pary, marzłam przy każdym kroku. Potok, przez który musiałam przejść, w kilku miejscach pokrył się już cienkim lodem, a trawa na jego brzegach była oszroniona. Szłam powoli, oczy miałam szeroko otwarte, aby uprzedzić Sebastiana, gdyby chciał mnie znowu zaskoczyć. I rzeczywiście, tym razem to ja go odkryłam. Siedział na pniu zwalonego drzewa i kartkował Biblię. Gdy stanęłam przed nim, uniósł wzrok, bynajmniej nie zaskoczony.

- „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście...” - zacytował, uśmiechając się. - Czytam to akurat w Piśmie, Mateusz jedenaste, wers dwadzieścia osiem. Mam nadzieję, że macie się dobrze, Mario?

- Nie spodziewałam się, że was tu zastanę.

- Naprawdę nie? No cóż, czekałem tu na was przez ostatnie pięć dni, bo miałem nadzieję, że kiedyś przyjdziecie. - Zamknął księgę, wstał i wręczył mi ją kurtuazyjnym gestem.

- Dziękuję - wyjąkałam, gdyż trudno mi było uwierzyć w to, co powiedział. Czyżby naprawdę kilkakrotnie przychodził do lasu po to tylko, by mnie zobaczyć? - Dziękuję - powiedziałam jeszcze raz, a ponieważ nic innego nie przychodziło mi go głowy, dodałam: -Nie jestem wielką znawczynią Biblii.

- Pismo w istocie jest pełne sprzeczności i pod wieloma względami nie należy go brać dosłownie.

- Nie brać dosłownie? Mówicie poważnie?

- I znowu powiedziałem coś, czego właściwie nie należy mówić. - Uśmiechnął się. - Ale przecież z jednej strony napisane jest w księdze Mojżesza: oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę, a z drugiej u Mateusza: jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Jedno miejsce znajduje się w Starym Testamencie, a drugie w Nowym. Ponieważ oba Testamenty są tak samo obowiązujące, tedy pytam, który zapis jest słuszny?

- Nie wiem.

- Ja też nie wiem.

Sposób zachowania Sebastiana był tak rozbijający, że musiałam się roześmiać.

- Macie piękne zęby, Mario.

- Ja... no... - Nigdy wcześniej nikt mi nie powiedział, że mam piękne zęby.

- Czyżbym wprowadził was w zakłopotanie? Nie chciałem. - Chwycił moją dłoń, ale natychmiast ją puścił, gdy poczuł mój opór. - Jak mogę to naprawić?

- Muszę już iść - wymamrotałam.

- Naturalnie. Czy będziecie czytać Biblię?

- Tak, z pewnością. - Niechcący, bez zastanowienia, dorzuciłam:

- Bardzo lubie, czytać.

- Czy to znaczy, że brak wam tu lektury? Można temu zaradzić! Chcielibyście, żebym przyniósł wam więcej książek? Przeczytacie je i potem mi oddacie.

Chciałam odmówić, ale propozycja Sebastiana była zbyt kusząca. Tak więc, choć z ociąganiem, rzekłam:

- Może kiedyś, później.

Przez całą zimę czytałam Pismo Święte. Robiłam to w mojej grocie, ale także w skalnej komnacie pod kopułą, gdzie Latif i ja nocowaliśmy po obu stronach ognia. Mimo wspólnego miejsca do spania nasz wzajemny stosunek nieco się ochłodził, odkąd któregoś dnia podczas posiłku Latif wskazał na Biblię i powiedział:

- Nie pytałem was nigdy, pani, jak do waszych rąk trafiła księga niewiernych, bo myślałem, że dał wam ją Tasco. Ale to nie był on. To ten wikary, którego spotkaliśmy wiele lat temu w pobliżu San Martino. Prawda?

- Nie masz prawa nazywać Pisma Świętego księgą niewiernych

- odrzekłam.

- Wybaczcie, pani, ale unikacie odpowiedzi. Księga, którą stale czytacie, jest od tego Sebastiana. Na jednej z pierwszych stron odkryłem jego imię. Podarował wam tę księgę. Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście?

Naturalnie myślałam parę razy o tym, by opowiedzieć Latifowi o moim spotkaniu z niezwykłym kapłanem, ale ciągle to odkładałam. To, że teraz wypomniał mi bez ogródek moje zaniechanie, zezłościło mnie.

- Jeśli Sebastiano darowuje mi książkę, to jest to tylko sprawa moja i jego - powiedziałam nieprzyjaźnie.

- Ach, więc to zaszło tak daleko? Nazywacie tego mężczyznę po imieniu?

- Tak, i co z tego? Masz coś przeciwko temu?

- Nie, pani. Wydaje mi się tylko, że byłoby właściwe, gdybyście byli wobec mnie bardziej szczerzy.

- Nie jesteś moim mężem.

- Tak, pani, wiem. Jestem waszym sługą. Ale mimo to do tej pory myślałem, że jestem też trochę waszym mężem.

Czytałam Biblię od pierwszego do ostatniego słowa, i sprzeczność pomiędzy Pięcioksięgiem Mojżesza i Mateuszem nie była jedyną, którą zauważyłam. Rozmawiałam o tym z Sebastianem, gdy go spotykałam, i pochlebiało mi, że słuchał tego, co mówię, i przykładał dużą wagę do mojego zdania.

- Dobrze wam robi czytanie, to dla was jak duchowy pokarm -rzekł i położył swą dłoń na mojej.

- Tak, też tak sędzę - odparłam, cofając rękę.

- Mario, nigdy was nie pytałem, gdzie się znajduje wasze domostwo, ale jestem pewien, że jest w jaskini podobnej do Grotta delie Fata. Czy nie moglibyśmy się w przyszłości tam spotykać? Byłoby przecież wygodniej niż tu, na dworze.

- Nie - odrzekłam. Mój głos zabrzmiał twardo, bardziej twardo niż chciałam, ale już raz do mojego domu wtargnął ksiądz, ojciec Edoardo. Później dokonała się w nim wprawdzie duchowa przemiana, ale to nie czyniło tych wspomnień mniej bolesnymi.

- O co chodzi, Mario?

- Nic, to tylko przykre wspomnienia.

- Musieliście przeżyć wiele złego. - Znowu ujął moją rękę, a ja znowu ją cofnęłam.

- Chcę już odejść, Sebastiano, Latif z pewnością na mnie czeka.

- Naturalnie. - W jego głosie można było wyczuć rozczarowanie. - Czy następnym razem mam wam przynieść inną książkę?

- Nie - odrzekłam i w tej samej chwili wydałam się sobie zbyt nieuprzejma. - Ach, sama nie wiem, może jednak tak.

Następną książką, którą mi wręczył w bukowym zagajniku, było dzieło Dantego *Rime*, opowiadałam mu bowiem, jak bardzo podziwiam najślawniejszego poetę Italii. Poezja tego tomu poruszyła mnie do głębi; zajmowała mnie przez wiele tygodni i ciągle na nowo dostarczała tematów do rozmowy z Sebastianem. Potem były jeszcze *La Vita Nova*, znowu Dantego, dzieło autobiograficzne, i *Wiersze satyryczne* Francesca Berniego.

Gdy po tej lekturze wyraziłam życzenie, że dla odmiany chętnie bym poczytała coś z dziedziny nauki, przyniósł mi rozprawę o obrotach sfer niebieskich. Nazywała się *De Revolutionibus Orbium Coelestium*, a jej autorem był Nicolas Copernicus. Fakt, że Sebastiano dał mi tę księgę do czytania, kolejny raz zaświadczył o otwartości jego umysłu, gdyż zgodnie z oficjalną wykładnią Kościoła katolickiego ciągle jeszcze to Słońce krążyło wokół Ziemi. Rozmawialiśmy o tym sztywnym stanowisku, porównywaliśmy je ze stanowiskiem Kościoła protestanckiego i doszliśmy do wniosku, że obydwie dogmatyki nie różnią się od siebie, przynajmniej w dziedzinie astronomii, gdyż także Marcin Luter krytykował Kopernika i nie uznawał jego heliocentrycznego obrazu wszechświata. Grzmiał, że „ten głupiec chce wywrócić całą sztukę astronomii! Ale jak wskazuje Pismo Święte, Jozue kazał Słońcu zatrzymać się, a Ziemi nie!”.

Następnie zagłębiłam się w lekturę *Dialogo*, literackiego dzieła Antonia Doniego na temat bogactwa muzyki włoskiej. Potem były *Libri Macaronices* Merlina Cocai, gdzie przedstawiona została romanca rycerska, kancony i sonety poetki Vittorii Colonna, i wiele innych.

Czytałam wszystko, co przynosił mi Sebastiano, gdyż umysł mój był wygłodniały i łaknął duchowej stawy. Naturalnie wikary nie wręczał mi książek całkiem bezinteresownie, gdyż chętnie przebywał w moim towarzystwie i lubił trzymać moją dłoń, jeśli na to pozwalałam. Często mnie głaskał, gdy siedzieliśmy obok siebie na trawie, i, co wydawało mi się nader dziwne, niekiedy kładł głowę na moim ramieniu. Zamykał wtedy oczy i nucił coś sobie cicho. Niekiedy śmiał się, a raz się rozplakał - ze szczęścia i zadowolenia, jak mnie zapewniał.

Pozwalałam na tę osobliwą poufałość. Nie była mi przykra, postanowiłam jednak, że stanowczo sprzeciwię się wszystkiemu, co będzie wykraczało poza nią. Mówiłam sobie, że jestem to winna Latifowi.

Sebastiano jednak nigdy tego nie próbował, co z kolei nieco mnie rozczarowało. Wsłuchiwałam się w siebie, by lepiej się zrozumieć. Chciałam wiedzieć, co się ze mną dzieje, ale nie znajdowałam odpowiedzi. To był swoisty stan zawieszenia, w jakim trwałam w owych latach.

Różnorodne lektury, choć z początku nie od razu zdałam sobie z tego sprawę, wzbudziły we mnie pragnienie powrotu do Bolonii,

chęć porzucenia wszystkiego, także Sebastiana, niezwykłego, zadziwiającego księdza. W Bolonii, wiedziałam to, otworzyłoby się przede mną o wiele więcej możliwości lektury i pracy. Może nawet u Conora, króla żebraków, i jego przyjaciół?

- Latifie - rzekłam któregoś wieczoru - trudno mi już dłużej wytrzymać w tej jaskini. Byliśmy ta wprawdzie bezpieczni, ale moim prawdziwym domem jest Bolonia.

- Czy chcesz mnie opuścić, pani? - zapytał mój sługa. Zajęty był wędzeniem ryb z potoku w dymie z bukowego drewna i nawet nie podniósł wzroku, gdy mi odpowiadał.

- Jeśli stąd odejdę, to oczywiście z tobą - rzekłam.

- Czy to aby na pewno jest takie oczywiste? - Odwrócił się i popatrzył na mnie smutno. - Czy nie byłoby bardziej naturalne, gdybyście odeszli z tym księdzem? Obecnie to on spędza w wami więcej czasu niż ja.

- Czyżbyś był zazdrosny o Sebastiana? - W moim głosie brzmiało rozbawienie.

- Tak, pani.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam. Zaniemówiłam. Po raz pierwszy zaczęłam rozumieć, co Latif naprawdę do mnie czuł. W końcu powiedziałam:

- Ale jest tak, że to z tobą chcę wrócić. Sebastiano ma ta swoją parafię. Pożegnaj się z nim i wrócimy do Bolonii. Ty i ja. Myślę, że inkwizycja straciła tymczasem zainteresowanie moją osobą. Może nawet odnajdziemy Conora i jego przyjaciół. To był piękny czas. Pamiętasz?

- Jakże mógłbym zapomnieć, pani! - Powoli twarz Latifa przemieniła się w promienny księżyc w pełni.

- Jesteś przecież moim Latifem i pozostaniesz nim. Tak więc pójdiesz ze mną?

- Tak, pani, pójdę. Och, jak bardzo się cieszę! Wrócimy razem do Bolonii. Czy mogę was pocałować?

Przez chwilę się wahałam, a potem powiedziałam:

- Najpierw się spakujmy.

Nasze przygotowania trwały trzy dni, i każdego z tych dni próbowałam spotkać Sebastiana. Szukałam go nad potokiem i w bukowym

zagajniku, i znowu nad potokiem, ale nie przyszedł, co mnie specjalnie nie dziwiło, ponieważ nie wiedział o moim zamiarze powrotu do Bolonii. Trzeciego dnia nie mogłam już odwlekać naszego wymarszu. Puściliśmy wolno kozy i ruszyliśmy w drogę. Szliśmy wzdłuż potoku do doliny, w kierunku Casali, a stamtąd dalej do Forcelli. W przeciwieństwie do pierwszej wędrówki obieraliśmy uczęszczane bite drogi, nie obawialiśmy się już bowiem odkrycia. Tak więc nie zdziwiło nas, gdy po południu napotkaliśmy Tascę z jego osłem.

- Hej tam, wy dwoje! - zawołał. - A dokąd to?

- Chcemy iść do Bolonii - powiedziałam.

- Do Bolonii? Chyba żartujecie!

- A to dlaczego? - spytał Latif.

- To nic nie wiecie? - Tascę patrzył na nas przerażonym wzrokiem.

- Czego nie wiemy? - Ogarnęło mnie niedobre przeczucie.

- W Bolonii panuje straszliwa zaraza! Szaleje ponoć jeszcze gorzej niż w roku 1348, zanim przeszła przez Alpy na północ. Na waszym miejscu wybierałbym się wszędzie, tylko nie do Bolonii.

Nie mogłam nie myśleć o tym, że już raz stawiałam czoła wielkiej zarazie i przeżyłam. Razem z Mauriziem, moim zacnym przyjacielem w Wenecji. Czy żył jeszcze? W każdym razie to w Wenecji skrzyżowały się drogi moje i Latifa. Ile to już czasu minęło od tamtej pory! Wtedy nic nie było w stanie mnie przerazić, byłam młoda i silna. Teraz wydawałam się sobie stara i słaba.

- Pani, zdaje mi się, że nie byłoby roztropnie iść teraz do Bolonii.

-Latif przewrócił oczami. - Allah Mściciel, Allah Sprawiedliwy chce ukarać miasto, a kto się do niego zbliży, ten także zostanie ukarany.

- Może masz rację - odparłam. - Niezbadane są wyroki Pana. Zawróciliśmy na pięcie i poszliśmy z powrotem do naszej Grotta delie Rifugio.

Wkrótce znów spotkałam Sebastiana, nic mu jednak nie powiedziałam o naszej nieudanej próbie powrotu. Najprościej wydało mi się to przemilczeć. Pożyczył mi następne książki. Przeczytałam zbiór poezji *Canzoniere* Mattea Marii Boiarda i *Orlando innamorato* tego samego autora oraz *Orlando furioso* Ludovica Giovanniego Ariosta.

Potem był *II Principe* Niccola Machiavellego, dzieło, które omal nie poróżniło mnie z Sebastianem, gdyż nie chciałam o nim rozmawiać. Owego dnia nie miałam na to ochoty. Rano obiecałam Latifowi, że po południu pomogę mu przy patroszeniu pstrągów, powiedziałam więc Sebastianowi, że nie mam czasu.

- Nie masz czasu, bo nie chcesz go sobie dać - odpowiedział niezwykle szorstko. - To dzieło warte jest tego, by o nim podyskutować.

- Z pewnością, ale dziś nie mogę.

- To przykład tego, jak oficjalna moralność i nadużycia gloryfikowane są w polityce.

- Nie mogę dziś, powiedziałam już.

- Wybacz, ale to brzmi tak, jakby ta gloryfikacja ci się podobała.

- Słucham? Mówisz to właśnie do mnie? Do mnie, która od zawsze przeciwna była władzy i podwójnej moralności Kościoła? Przeciwna biskupom, którzy pozwalali sobie na kochanki, kardynałom, którzy wzywali do cielesnej wstrzemięźliwości, a sami folgowali swym żądom w domach rozpusty, przeciwna papieżom, którzy mają dzieci, i to nie jedno czy dwoje, ale tuziny, z wieloma żonami i metresami? To wszystko są sprawy, które według mnie w najwyższym stopniu zasługują na potępienie.

- Może Machiavelli też je uważa za godne potępienia. Wyczytałem tam nuty satyryczne, które przemawiają za taką interpretacją.

- Tak czy owak, władza jest sednem polityki, od niej zależy wszystko inne, szczęście i nieszczęście obywateli, podobnie jak oficjalna moralność i nadużycia. Dlatego decydujące jest, kto ją sprawuje: dyktator czy władca wybrany na określony czas.

Spojrzał na mnie wzrokiem, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam, i rzekł powoli:

- Jeśli o mnie chodzi, to pragnąłbym niekiedy mieć więcej władzy - nad tobą.

- Co masz na myśli?

- Pokażę ci. - Nieoczekiwanie pochylił się i pocałował mnie. Chciałam coś powiedzieć, ale zamknął mi usta. Objął mnie, głaskał^m moje plecy, podczas gdy jego wargi przycisnęły się twardo do moich ust i próbowały je otworzyć. To bolało, a jednak w głębi mojej istoty

właśnie tego pragnęłam. Z ociąganiem uległam. Jego język wtargnął do moich ust i igrał z moim. Wsuwał się i wysuwał, to było jak... Nie chciałam tego, a zarazem chciałam. To było piękne, dziwne, szalone. Ja, czterdziestotrzyletnia kobieta, całowałam księdza, który miał może trzydzieści lat. To było szalone i... skazane na niepowodzenie. Wiedziałam o tym, ale najchętniej wydłużałabym tę chwilę w nieskończoność.

Wreszcie oderwałam się od Sebastiana, ciężko dysząc i w zupełnym pomieszeniu.

- Ja... ja mówiłam przecież, że nie mam czasu.

- Za to ten czas był nader podniecający. - Zaśmiał się cicho i chciał mnie znów do siebie przyciągnąć, ale ja się odsunęłam. - Muszę już iść.

- Przyjdiesz jutro?

- Nie.

- Pojutrze?

- Nie wiem. Muszę się zastanowić.

- Mario, proszę...

Zerwałam się i pobiegłam, by się schronić w mojej grocie.

Rozdźwięk pomiędzy uczuciem szczęścia a nieczystym sumieniem trwał z niesłabnącą mocą także wtedy, gdy dotarłam do groty. Latifa nie było. Zdziwiłam się. Przestrzeń przed wejściem służyła nam jako miejsce, gdzie wykonywaliśmy wszelkie domowe prace, także patroszenie pstrągów.

- Latif?

Schyliłam się i wśliznęłam w wąski korytarzyk prowadzący do skalnej komnaty.

- Latif?

Usłyszałam go, jak hałasuje w swojej grocie. Był więc w domu. Chciałam do niego iść, ale nie zrobiłam tego. Po tym, co zaszło, obawiałam się rozmowy. Jesteś tchórzem! - gromiłam siebie. Podeszłam do swojego posłania i rzuciłam się na nie.

Wpatrywałam się nieruchomym wzrokiem w sklepienie groty, ale go nie widziałam. Jedyne, co miałam przed oczami, to scenę, którą

dopiero co przeżyłam. Uczyniłam coś, co nie było właściwe, i w dodatku sprawiło mi to przyjemność. Może zrobiłam to, bo chciałam to zrobić, ten jeden jedyny raz, i potem już nigdy więcej? Czy było właśnie tak? Nie wiedziałam. W ogóle nic już nie wiedziałam. Tylko jedno było oczywiste: muszę wyjawić Latifowi swój błąd. Byłam mu to winna.

Westchnęłam. Wstawaj! - powiedziałam sobie. Natychmiast wstań i idź do niego! Ale dalej leżałam na łóżku. Bo co miałam mu powiedzieć? Prawdę? Prawda była taka, że pragnęłam, by to się stało, inaczej nie dopuściłabym do tego. Ale co to oznaczało dla przyszłości? Przyszłości mojej i Sebastiana? Przyszłości mojej i Latifa? Latif... Czy on też chciałby mnie kiedyś tak całować? A ja? Czyja chciałabym tak całować jego?

Potrząsnęłam głową. Nie znałam odpowiedzi na te pytania. Usiadłam i doprowadziłam włosy do porządku. Dobrze zatem. Pójdę do niego.

- Pani? - Niespodziewanie Latif stanął przede mną. W ręce trzymał węzełek. Był to ten sam węzełek, który już raz wiązał, by wrócić ze mną do Bolonii.

- Latif, muszę ci coś powiedzieć...

- Nie musicie mi nic mówić, pani. - Jego głos brzmiał głucho. - Skończyło się. Przez lata nie powiedziałem ani słowa o tym, że spotykaliście się z tym pobożnym człowiekiem, który wcale nie był pobożny. Ale teraz to koniec.

- Co masz na myśli? - Zrobiłam krok w jego kierunku i wyciągnęłam ku niemu ramiona. Ale on się cofnął.

- Obserwowałem was, pani. Was i tego księdza.

- Ty...?

- Poszedłem za wami, przyznaję. Chciałem wiedzieć, co się dzieje, kiedy nie dzielicie swego czasu ze mną, tylko z nim, i zobaczyłem. To mi wystarczyło. Sprawiliście mi wielki ból, pani, większy, niż mogę to wyrazić. Opuszczam was.

- To niemożliwe! - powiedziałam z niedowierzaniem. - Latif, ty musisz zostać!

- Nie, pani, odchodzę. Nazbyt mocno zraniliście moją dumę. Zawsze myślałem, że jestem waszym mężem, to znaczy, chociaż

odrobinę, i ta odrobina mi wystarczała. Ale teraz koniec. Mam swoją dumę i moja duma nakazuje mi odejść. Zabrałem ze sobą wszystko, co należy do mnie. To niewiele, sami wiecie. Żegnajcie. Niech Allah Wszystko Widzący, Decydujący o Wszystkim, ma was w swej opiece.

- Latif, zostań, proszę!

- Żegnajcie, pani.

Odwrócił się, ale ja złapałam go z tyłu.

- Musisz tu zostać! Rozkazuję ci! Jesteś moim sługą!

- Już nie jestem twoim sługą, Carlo. - Popatrzył na mnie nieskończenie smutno. - Ty już mnie nie potrzebujesz. Znalazłaś sobie innego.

- Latif, pomyśl o tym wszystkim, co razem przeżyliśmy. Zostań, zostań, zostań!

- *As-salamu alaikum*. - Skłonił się i wyszedł. Tym razem się nie sprzeciwiałam, ponieważ czułam, że powstrzymywanie go było daremne.

Opadłam z powrotem na łóżko i schowałam twarz w dłoniach. Dopiero później do oczu napłynęły mi łzy, ale gdy już popłynęły, nie mogły przestać, a ja szlochałam i jęczałam jak zbity pies.

Nie umiałam sobie wyobrazić życia bez Latifa.

Upłynęło kilka dni, zanim do mnie dotarło, że Latif naprawdę odszedł. Wszystko wyglądało tak jak zawsze, ale wszystko było zupełnie inne. Latif mnie opuścił. Rozpacz, bezsilność, pustka ustąpiły miejsca niesłabnącemu bólowi, który sięgał w samą głębię mego serca. Wiedziałam, że będę czuła ten ból do końca życia, wiedziałam też, że na niego zasłużyłam.

Dnie i noce przepływały obok mnie, a ja tego nie dostrzegałam. Bardzo powoli znowu zaczęłam wracać do codziennych zajęć, ale cały czas przyłapywałam się na tym, że rozmawiam z Latifem: „Potem zrobię ser, tym razem może z tymiankiem” - słyszałam swój głos, albo: „Trzeba znowu naostrzyć lemiesz pługa”. I za każdym razem, gdy nie otrzymywałam odpowiedzi, łzy płynęły mi z oczu.

Szukałam pociechy, dotykając mojej maski Wenus, nakładałam ją, jak niegdyś - i zdejmowałam. Zbyt mi przypominała Latifa. Aby

mimo to oderwać się od myśli o nim, próbowałam czytać. Zrazu mi się to nie udawało, widziałam litery, ale nie rozumiałam treści. Kartkowałam *II Principe* Machiavellego i wtedy przypomniałam sobie, że moje nieszczęście zaczęło się od sporu na temat tej książki. Postanowiłam ją oddać. Natychmiast. Sebastiana nie będzie w miejscu naszych spotkań, gdyż nie byliśmy umówieni, ale było mi to obojętne. Zostawię tam książkę, dobrze zapakowaną, zabezpieczoną przed niepogodą, i odejdę.

Gdy doszłam do owego miejsca w lesie, włożyłam książkę w wydrążone drzewo, na którym chętnie siadywał Sebastiano. Już chciałam iść, gdy mój wzrok natrafił na kij wetknięty w ziemię obok pnia. To był kostur wędrowca, ten sam sękaty koster, który przeszedł z rąk Conora do Latifa, a od Latifa do Sebastiana. Teraz znalazł drogę do mnie.

Wyciągnęłam go z ziemi i odkryłam wyryte litery: SEBASTIANO. To mogło znaczyć tylko jedno - mężczyzna, przez którego opuścił mnie Latif, także odszedł! Carla Maria Castagnolo, wielka medyczka, która pragnęła tylko odrobiny czułości, została ukarana, i to podwójnie. To absurd! Paradoks! Tak tragiczny, że można by się prawie z tego śmiać. I rzeczywiście śmiałam się przez łzy. Śmiałam się i śmiałam i nie mogłam przestać, a echo mojego śmiechu rozbrzmiewało w całym lesie.

Nie wiem już, jak wróciłam do mojej groty. Wiem tylko, że też zanim do niej doszłam, cisnęłam kij z całej siły do potoku i z zadowoleniem patrzyłam, jak nurt porwał go ze sobą w dolinę.

A potem byłam sama. Nie było nawet kóz, gdyż wypuściliśmy je przed naszą próbą powrotu do Bolonii.

Nie jadłam, nie piłam, nie spałam. Chodziłam jak we śnie. Z całą pewnością wcześniej czy później położyłabym się, aby już nie wstać, ale Bóg Wszechmogący zdecydował, że jeszcze nie nadszedł mój kres. Zesłał mi znak. Któregoś z tych mrocznych dni usłyszałam ciche beczenie. Dochodziło z zewnątrz groty; wydawała je stara koza matka, która przybłąkała się kiedyś do nas. Miała przy sobie kozłatko i ze spokojem zajęła z powrotem miejsce, które kiedyś jej przysługiwało.

Nie byłam już sama.

Nazwałam starą kozę Compagna, a jej kozłátko Figliolo. Spędzałam z nimi dni, a kiedy patrzyłam w ich czworokątne źrenice, jakaś cząstka zadowolenia tych zwierząt przepływała na mnie. Uczyłam się od nich skromności i spokoju; ich obecność sprawiała, że czułam wdzięczność.

I tak minęło lato. Nadeszła jesień, a po niej zima. Prawie nie musiałam się martwić o jedzenie, gdyż zapasy w komorach jaskini przewidziane były dla dwóch osób. Dla Latifa i dla mnie... Mimo to przyzwyczaiałam się codziennie doić Compagnę, ponieważ Figliolo nie potrzebował już jej pokarmu. Compagna dawała dużo mleka i jego źródło nie wysychało przez całe miesiące, dlatego zdziwiłam się, gdy wiosną zaczęło płynąć mniej obficie. Był rok 1596. To był mój pierwszy rok, który musiałam przeżyć bez towarzystwa żadnego człowieka.

- Co ci jest, Compagna? - spytałam kozę, ale ona tylko na mnie patrzyła, jedząc nieprzerwanie.

Następnego dnia strumyczek mleka z jej wymion stał się jeszcze cieńszy. Popatrzyłam na swoje ręce i zauważyłam, że lekko drżą. To drżenie nie mogło być spowodowane wysiłkiem dojenia, gdyż byłam do niego przyzwyczajona. Czyżby to był wiek? W marcu skończyłam czterdzieści cztery lata, byłam więc kobietą, która większą część życia miała już za sobą. Ale czy z tego powodu moje ręce musiały drżeć? Drżenie przeszło i przestałam o tym myśleć. Przyczyną słabego wypływu mleka były moje słabe ręce. Jednak po kilku dniach drżenie powróciło, a towarzyszył mu rigor, sztywność mięśni, który zmusił mnie do przerwania prac domowych. Dało mi to do myślenia, zwłaszcza że symptomy nasiliły się w następnych tygodniach. Częściej odczuwałam bóle rąk i wiele prac wykonywałam mniej sprawnie. Także moje ruchy stały się wolniejsze. Nadszedł dzień, kiedy nie mogłam już dłużej oszukiwać samej siebie - miałam pierwsze objawy drżączki. To była przerażająca prawda, którą jednak, zastanowiwszy się nad tym, przyjąłam ze spokojem. Przebieg drżączki porażennej był zawsze taki sam i nieuchronnie prowadził do śmierci. Drżenie i porażenia będą się nasilać, ruchy staną się coraz bardziej niezborne. Bóle będą się wzmacniać, krok będzie się skracać, oddech stanie się płytszy, a postawa coraz bardziej wykrzywiona. Kiedyś wydam ostatnie tchnienie, może za rok, może za dziesięć lat - wszystko leży w rękach Boga.

Nie chciałam jednak umrzeć z głodu i pragnienia, gdyż w jakiś dziwny sposób przywiązana byłam do życia. Postanowiłam porzucić swą anonimowość i zwierzyć się Tascowi. Chciałam mu powiedzieć, gdzie dokładnie mieszkam, i poprosić go, by przynosił mi aż do końca niezbędne rzeczy. Dużo nie będę potrzebować.

Pewnego dnia późną wiosną zesłam ostrożnie, bardzo wolno, do doliny i usiadłam przy drodze, którą, jak wiedziałam, często przejeżdżał Tasco ze swym osłem. Miałam szczęście. Nie minęła nawet godzina, a już nadszedł, pogwizdując wesoło.

- *Buongiorno*, Tasco - powiedziałam.

- Coś podobnego, Maria! Nie spodziewałem się tu ciebie. Co cię sprowadza z gór?

Opisałam mu w krótkich słowach moją sytuację, nie wdając się w szczegóły, dlaczego Latif mnie opuścił. Mówiłam o mojej samotności i o chorobie, która na mnie spadła. Powiedziałam mu:

- Możliwe, że za miesiąc nie będę mogła wstać z łóżka, ale może się też zdarzyć, że stanie się to dopiero za rok albo za kilka lat. Drżączka porażenna to podstępna choroba, której nikt nie potrafi wyleczyć. Czy mógłbyś od czasu do czasu zajrzeć do mnie i przynieść mi coś do jedzenia? Wody mam dosyć, mieszkam w jaskini nad dopływem Nery. Nazywam ją Grotta delie Rifugio.

- Grotta delie Rifugio? To brzmi zachęcająco. - Tasco podrapał Bocca po szyi, a ten zastrzygł uszami. - Oczywiście, że ci pomogę, ale nie mogę obiecać, że będę się zjawiał regularnie, choćby ze względu na pogodę. Gdzie dokładnie mieszkasz?

Wyjaśniłam mu, jak dojść do mojej groty, a on powiedział:

- W rzeczy samej, wygląda to na miejsce zapomniane przez Boga i ludzi. Ale znajdę cię na pewno.

- Dziękuję ci, Tasco - rzekłam. - Jesteś dobrym człowiekiem. Niestety nie mam nic, co mogłabym ci zaoferować za twą pomoc.

Handlarz zaśmiał się, a jego twarz pomarszczyła się w tysiącu zmarszczek.

- Nie zawsze trzeba za wszystko coś dawać. Jeśli przychodzę do ciebie, Mario, to przychodzę chętnie. A teraz z Bogiem! Bocco i ja musimy iść dalej.

- Z Bogiem - szepnęłam. Patrzyłam w ślad za nim i zastanawiałam się, czy dotrzyma obietnicy.

Niepotrzebnie się martwiłam, bo już niecałe cztery tygodnie później odwiedził mnie, przynosząc kilka kielbas i szynkę.

- Cieszę się, że przyszedłeś, chociaż mój stan nie pogorszył się bardzo - rzekłam.

- Powiedziałem, że przyjdę, więc jestem! - Tasco przysiadł w mojej grocie, uprzednio ją starannie obejrzawszy. - Żyjesz tu sobie wcale niezgorzej. Czy wciąż jesteś sama?

Dobrze wiedziałam, że miał na myśli Latifa, ale udałam, że nie rozumiem, i odpowiedziałam:

- Nie jestem sama. Są ze mną Compagna i Figliolo. Nie ustępują towarzystwu człowieka. Ale gdybym któregoś dnia nie mogła się podnieść, to wypuść je, proszę.

Gawędziliśmy jeszcze chwilę, a gdy Tasco się żegnał, dałam mu kilka glinianych garnczków z lekami ziołowymi.

- To za kielbasę i szynkę - powiedziałam. - Przynieś mi te naczynka następnym razem, to znowu je napełnię.

- Zrobię tak, Mario.

- I może mógłbyś zapalić świeczkę w kościele w San Martino?

- To także uczynię.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Tasco.

- Ale gdzie tam, *arrivederci*, Mario.

- *Arrivederci*, Tasco.

I znowu minęła zima, nadszedł nowy rok, a mój stan się nie poprawiał. Wiosną i latem odwiedzał mnie wierny Tasco i dodawał mi otuchy. Gdy zauważył, że mówię wolniej i ciszej, powiedział:

- To się pewnie wiąże z twoją chorobą, Mario, ale wierz mi: ja cię rozumiem dobrze. Rozumiałbym cię nawet, gdybyś w ogóle nie mówiła. Jesteś dobrym człowiekiem.

- Powtarzasz się. - Pogroził mi żartobliwie palcem. - Jeśli usłyszę to jeszcze raz, więcej nie przyjdę. *Arrivederci*, Mario!

Jesienią znowu przyszedł i zastał mnie w łóżku. Położyłam się, gdyż codzienna praca bardzo mnie osłabiała.

- *Buongiorno*, Mario! - zawołał. - Już myślałem, że cię nie ma.

- Zawsze jestem - odpowiedziałam, zastanawiając się, czy zaczyna mnie także zawodzić słuch.

- Mam ze sobą to, co zawsze, a oprócz tego parę jajek. Jeśli będą ci smakować, mógłbym następnym razem przynieść jedną czy dwie kury i koguta. - Roześmiał się. - Mam nadzieję, że będę pamiętał. A gdybym zapomniał, to przyniosę je po prostu kolejnym razem, jak się nie ma w głowie... *Chi non ha testa ha gambę!*

- Dobrze - powiedziałam, myśląc o tym, że chodzenie sprawia mi coraz więcej trudności.

Jak zawsze gawędziliśmy jedną czy dwie godzinki; on opowiadał najnowsze plotki z San Martino, Forcelli i Casali, a ja stwierdziłam po raz kolejny, że nowe plotki niczym się nie różnią od starych.

- *Arrivederci*, Mario, zostań z Bogiem.

- *Arrivederci*, Tasco.

Następnym razem przypadek zrządził, że także leżałam w łóżku, chociaż owego dnia czułam się całkiem dobrze. To był rześki dzień późnej jesieni, a sądząc po odgłosach, Tasco przywiózł mi drewniane szczapy, o które go prosiłam, i teraz rozpalał ogień.

- Tasco! - zawołałam w kierunku skalnej komnaty. - Dzisiaj czuję się trochę lepiej. Poczekaj, zaraz przyjdę i ci pomogę. - Wygrzebałam się z łóżka, narzuciłam na ramiona ciepły kaftanik i małymi krokami zbliżałam się do paleniska. - Jesteś wierną duszą, Tasco - powiedziałam. - Nie wolno mi już mówić, że jesteś dobrym człowiekiem, więc mówię, że jesteś wierną duszą i...

Przerwałam, gdyż ku memu zdumieniu człowiek, który stał przede mną, to nie był Tasco. To był Latif.

PIECZĘĆ

Il sigillo

Musiałam upaść, kiedy się bowiem ocknęłam, leżałam znów w łóżku, a Latif stał obok mnie i napełniał kubek wodą.

- Czy to jawa, czy sen? - wyszeptałam. - Czy to naprawdę ty? Podał mi kubek i teraz już nie mogłam mieć żadnych wątpliwości.

To był on, chociaż jeszcze bardziej zeszczupłał.

- Wypij to - powiedział. - Będę ci mówił „ty” i nazywał cię Marią, bo nie jestem już twoim służącym.

Z trudem wyprostowałam się na łóżku i upiłam łyk. Ciągle nie mogłam uwierzyć, że wrócił.

- Bardzo cię zraniłam - powiedziałam po chwili. - Jak bardzo, uświadomiłam sobie dopiero później. Czemu wróciłeś?

- Bo mnie potrzebujesz.

Wypiłam jeszcze jeden łyk i chciałam drżącą ręką odstawić kubek, ale Latif wyjął go z mojej dłoni.

- Podeptałam twoje uczucia. Bardzo się tego wstydziłam. Tak mi przykro.

- Nie mówmy już o tym. Zaczęłam płakać.

- Nie płacz, przecież wróciłem.

- Tak - powiedziałam, siąkając nosem - wydaje mi się, że dopiero teraz naprawdę to do mnie dotarło.

Po powrocie Latifa mogłoby się wydawać, że wszystko jest jak przedtem, a jednak wszystko było inne. Jak wcześniej traktował mnie z szacunkiem, ale i z większym dystansem. Chętnie zagadnęłabym go o tę jego nieprzystępność, ale nie śmiałam, z obawy, że mogłabym go urazić. Tak więc nasz stosunek był dosyć chłodny, chociaż on robił dla mnie wszystko, co było konieczne. Otaczał mnie troskliwą opieką, gotował dalekie od doskonałości posiłki, troszczył się o ogień, dbał o sprzęty i karmił kozy.

- Skąd właściwie wiedziałeś, że cię potrzebuję? - zapytałam, gdy minęło kilka dni.

- Od Tasca. Spotkałem go, a on opowiedział, że cierpisz na drżączkę porażenną. Nie wiedziałem, jak ciężka to choroba, ale kiedy mi wytłumaczył, ta wiadomość zapadła mi głęboko w serce. Rozwinąłem mój dywanik i Allah Wszechwiedzący, Wszystko Widzący uzmysłowił mi, że człowieczeństwo i miłosierdzie ważniejsze są niż duma. Więc wróciłem.

Siedziałam naprzeciw Latifa przy ogniu i patrzyłam na niego. Twarz miał poważną. Czyniło go to interesującym, ale też obcym.

- Gdzie spotkałeś Tasca? - zapytałam.

- W Spoleto, w Umbrii.

- Spoleto? To daleko stąd. Ono przecież nie leży na trasie Tasca?

- Nie. Któregoś razu odwiedził swą starą ciotkę. Allah sprawił, że nasze drogi tam się spotkały.

- Ale co ty robiłeś w Spoleto?

- Dużo pytasz, Mario.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

Latif dołożył dREW do ognia, bo zima w górach była surowa.

- Służyłem pewnemu panu, ponieważ nigdy nie umiałem niczego innego niż służyć. Pan był tchórzem, który płaszczył się przed wyższymi od siebie, ale w domu bił swoją żonę. Źle się między nami układało, bo czytał z mojej twarzy, że nie pochwalam jego postępowania.

- A jak trafiłeś do Spoleto?

Dzięki Nerze, poniekąd. Po prostu szedłem wzdłuż rzeki, cały czas jej brzegiem, żeby nie pobił. Byłem w drodze kilka tygodni, zanim dotarłem do Spoleto. To nieduże miasteczko ze wszystkim,

co trzeba: kościół, rynek i cmentarz. Paru rzemieślników. Jest tam nawet księgarz. Miał na sprzedaż parę rzeczy, które cię może zainteresują. - Latif podniósł się, poszedł do swojej groty i wrócił z paczką owiniętą w pergamin. - To dla ciebie.

Wzięłam paczkę i zważyłam ją ciekawie w dłoniach.

- Skoro masz to od księgarza, to chyba musi to być książka.

- Zgadłś. - Szelmowska iskierka z dawnych czasów zapaliła się w jego oczach.

Zdjęłam pergamin, spodziewając się, że będę mogła przeczytać tytuł, ale książka była jeszcze raz owinięta. Tym razem w gruby papier, zabezpieczony połyskującą czerwono pieczęcią.

- Złam ją, Mario.

Wpatrywałam się w pieczęć, z niedowierzaniem kręcąc głową. Przyjrzałam się dokładniej jeszcze raz. Nie było żadnych wątpliwości. To była pieczęć Gasparego Tagliacozziego. Przedstawiała wieniec z lili, kwiatów, które były znakiem jego herbu.

- To książka tego nikczemnego człowieka, który żądał aborcji - powiedział Latif. - Niemniej jest to ponoć znakomite dzieło medyczne.

- Dziękuję. - Moja dłoń zaczęła drżeć.

- Czy choroba znowu cię męczy?

- Tak - odparłam, chociaż drżenie miało tym razem inną przyczynę. - Nie bierz mi tego za złe, ale nie chciałabym oglądać tej książki teraz. Może później, kiedy poczuję się lepiej.

- Może nie powinienem był ci jej przynosić, ale myślałem, że uporałaś się już ze wspomnieniem o tym niegodziwym człowieku.

Nie odpowiedziałam.

Latif zabrał książkę i odłożył ją na bok.

- Nie będę zły, jeśli nie zechcesz jej przeczytać. Nie powinienem był jej przynosić. - Ależ nie, bardzo się cieszę.

- Wcale się nie cieszysz.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Skąd? - Latif popatrzył na mnie przeciągle. - W końcu przez prawie dwadzieścia lat byłem twoim służącym.

- A kim jesteś teraz? - Z napięciem czekałam na odpowiedź. Nie odpowiedział od razu. A potem rzekł:

- Kimś, kto się o ciebie troszczy.

- Naturalnie - powiedziałam i poczułam ukłucie zawodu.

Zima wydała mi się mniej surowa niż poprzednia, ale może sprawiła to obecność Latifa. Czynił wszystko, bym mogła się oszczędzać, niekiedy nawet więcej, niż było wskazane, gdyż przy drżączce ważne jest ćwiczenie mięśni. Gdy nadeszła wiosna, powiedziałam do niego:

- Ciepłe powietrze mi pomoże. I chcę znowu coś robić. Pozwól mi się zająć kozami; im jest wszystko jedno, czy ręka, która daje im pożywienie, drży czy nie.

- Naprawdę myślisz, że dasz sobie radę?

- Jeśli nie spróbuję, nigdy się tego nie dowiemy.

- Przyrządziłbym ci chętnie napój z róży cynamonowej, ale nie mam róż - powiedział, zerkając na mnie znad swojej ciesielskiej roboty.

Jego propozycja mnie wzruszyła.

- I bez napoju z róży nakarmię kozy - szepnęłam. - A jeśli mi się to uda, to może uda mi się jeszcze wiele innych rzeczy.

Latif potrząsnął głową. Na placyku przed wejściem przerabiał pług, bo od tej pory musiał ciągnąć go sam.

- Nie przemęczaj się, Mario. Allah dał mi siły na nas dwoje. Rób tylko to, czemu naprawdę możesz podołać.

- Dobrze, obiecuję.

- Mam pewien pomysł, Mario.

- Jaki pomysł?

- Już od jakiegoś czasu chodzi mi to po głowie. Poczekaj chwilę.

- Zniknął w jaskini i po chwili wrócił ze złotą maską Wenus. Położył ją na kamieniu, który służył mu do odkładania narzędzi, i powiedział:

- Twoje ręce znowu drżą. Połóż je na masce i poczekaj, co będzie.

- Co chcesz tym osiągnąć?

- Maską zawsze miała na ciebie uspokajające działanie, spróbuj.

Położyłam ręce na masce i jak zawsze poczułam siłę, która przepływała z niej na mnie. Czy mi się tylko zdawało, czy rzeczywiście ^moje ręce drżały mniej?

- Maska działa, wiedziałem. - Głos Latifa brzmiał radośnie. -Odtąd, kiedy będą ci drżały ręce, kładź je zawsze na masce.

Chciałam odpowiedzieć, że tak łatwo z pewnością nie będzie, ale milczałam, widziałam bowiem, że Latif cieszył się ze swego pomysłu, a ja nie chciałam mu psuć tej radości.

Czy działało się to za sprawą maski, czy ciepłych dni wiosną i latem, tego nie wiem, w każdym razie aż do końca tego roku czułam się lepiej. Chwilami myślałam nawet, że postawiłam sobie złą diagnozę, ale to było oszukiwanie samej siebie. Napady drżączki i porażień nie ustały, a z czasem zaczęły się pojawiać nawet częściej.

Przed świętami Bożego Narodzenia zastanawiałam się długo, co mogłabym podarować Latifowi. Był dla mnie taki dobry i chciałam mu koniecznie sprawić radość. Ale co mogłam zrobić? Miałam wprawdzie pas bordowego jedwabiu, który kiedyś zostawił mi Tasco, ale materiał był bardzo wąski i nie nadawał się do uszycia żadnej sztuki garderoby. Ale potem przypomniałam sobie, że ukochany dywanik modlitewny Latifa był po bokach mocno wystrzępiony wskutek wieloletniego używania.

Mogłabym obszyć brzegi tym materiałem! - pomyślałam. Nie będzie mi łatwo utrzymać igłę, ale poradzę sobie. Pytanie tylko, kiedy mam to zrobić. Latif używał dywanika co parę godzin, a ja potrzebowałam na tę pracę co najmniej pół dnia.

Z pomocą przyszedł mi przypadek. Dzień przed Wigilią Latif musiał zejść do doliny, by spotkać się z Taskiem, tego roku bowiem zbiory bukowych orzeszków były marne i kończył się nam olej do lamp. Wiedziałam, że nie będzie go wiele godzin i miałam nadzieję, że zdążę.

I rzeczywiście zdążyłam. Brzeg dywanika znów był równy i gładki, obszyty bordowym jedwabiem. Wprawdzie kiedyś ta praca wyszłaby mi lepiej, ale i tak byłam zadowolona. Poszłam do groty Latifa i odłożyłam jego kilimek na miejsce. Z napięciem czekałam na to, czy przy następnej modlitwie zauważy zmianę.

- Chwała Allahowi! - usłyszałam jego okrzyk tuż po powrocie. - Stał się cud! - Szybkie kroki zbliżyły się do mnie. - Mario?

- Tak? - Udawałam, że jestem bardzo zajęta.

- Naprawiłaś mój dywanik!

- No tak - powiedziałam. - Uznałam, że to potrzebne. Wiem przecież, jak jesteś do niego przywiązany.

- Sprawiałaś mi ogromną radość, dziękuję! - Promieniał na twarzy. Jego radość udzieliła się i mnie. Miałam nadzieję, że tak zareaguje, ale nie byłam całkiem pewna.

- Jeśli ty jesteś szczęśliwy, to ja też jestem - odpowiedziałam.

- Tak, pani eee... to znaczy, Mario.

- Wiesz co, możemy już teraz świętować Boże Narodzenie, chociaż to dopiero jutro.

- Zgoda. Poproszę Allaha Dobrotliwego, Wybaczącego, na moim nowym dywaniku, aby pozwolił mi brać udział w tym święcie niewiernych, tak jak to robiłem wiele razy w przeszłości.

- Powiedziałeś to prawie jak mój dawny Latif.

- Naprawdę?

- Tak.

Nadszedł rok 1599, stosunki między mną i Latifem stały się z powrotem normalne. Znowu było jak dawniej, z tą tylko różnicą, że Latif wprawdzie mi służył, ale nie był już moim sługą. Podkreślał tę różnicę od czasu do czasu, przez co miałam wrażenie, że może chętnie znowu by nim został. Ale dawne czasy się skończyły, żyliśmy w teraźniejszości, a ta była dostatecznie urozmaicona. W każdej chwili w przyrodzie zachodziły cudowne wielkie i małe rzeczy, których obserwowanie sprawiało mi wiele radości. Godzinami mogłam przyglądać się orłom i myszółowom krążącym nad szczytami gór, pączkowi kwiatu rozwijającemu się na górskiej łące czy nowo narodzonemu kozłatku w naszej powiększającej się trzódce.

I znowu zbliżało się Boże Narodzenie, gdy któregoś dnia wdrapał się do nas na górę Tasco, by przynieść nam nieco wiktuałów. Stał się on dla nas, dla mnie i Latifa, wiernym, dyskretnym przyjacielem, jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Oprócz zwykłych nowinek i ploteczek miał dla nas tym razem także niezwykłą opowieść. Pewien oficer najemny, opowiadał, zatrzymał się na kilka dni w San Martino. Ten najemnik był ustawicznie pijany i raz po pijanemu wygłosił osobliwe twierdzenie: w jakiejś walce odcięto mu nos, ale

potem rzekomo odbudowano mu go w sposób doskonały z kawałka ramienia, co było bardzo bolesne i trwało wiele miesięcy. Tasco i inni zebrani wokół niego z początku wzięli jego słowa za głupie przechwałki, ale gdy się lepiej przyjrżeli, to przy brzegu nosa rzeczywiście mogli rozpoznać ledwo widoczne ślady szwów po operacji. Czegoś takiego Tasco jeszcze nigdy w życiu nie widział.

- Czy ten żołnierz opowiedział, kto przeprowadził tę rekonstrukcję?
- spytałam.

- Tak, Mario, powiedział. Ten, kto go operował, był z Bolonii, to sławny lekarz i chirurg, nazywał się... - Tasco zmarszczył czoło.

- No i zapomniałem jego nazwiska. Coś jak Taglo... albo Tigla... wybaczcie, nie mogę sobie przypomnieć. Ale wiem jeszcze, że ten człowiek nie żyje.

- Nie żyje? - spytałam słabo.

- Tak twierdził ten żołnierz. Powiedział jeszcze: „Szkoda profesora, miał ręce zręczne jak magik”. Ponoć umarł nie tak dawno, zdaje się na początku listopada. Coś się stało, Mario? Tak dziwnie patrzysz?

- To nic - powiedziałam. - Latifie, nalej proszę naszemu gościowi trochę wina, które nam przyniósł.

Tasco wypił i zaśmiał się.

- W ten sposób zabieram ze sobą z powrotem część tego, co tu wtaszczyłem na górę. Świat na opak! - Śmiał się jeszcze przez chwilę, ale Latif i ja mu nie zawtórowaliśmy.

W następnych miesiącach, był rok 1600, nie mogłam przestać myśleć o Gasparem Tagliacozzim i jego śmierci. Zmarł w wieku pięćdziesięciu trzech lat - długie życie, jeśli zważyć, że w Bolonii wielu biedaków i innych skrzywdzonych przez los dożywało najwyżej trzydzieste lub czterdzieste lat. Ja sama miałam już czterdzieści osiem lat. I byłam chora.

Postanowiłam wyjąć dzieło Tagliacozziego i przeczytać je. Siedząc na łóżku, złamałam pieczęć na opakowaniu i zsunęłam papier. Ku mojemu zdziwieniu ukazała się nie jedna książka, lecz dwie. *De Curtorum Chirurgia per Insitionem*. Zatem Tagliacozzi już na wstępie nie chciał pozostawić wątpliwości co do tego, że jego kunszt polegał

na leczeniu okaleczeń metodą przeszczepiania skóry. Wybór słowa „przeszczepianie” był dla niego typowy. Posłużył się, nie pierwszy raz w swych opisach, analogią - w tym wypadku z dziedziny ogrodnictwa.

Strona tytułowa zawierała wspaniałe ryciny przedstawiające marmurową kolumnadę. Przed dwiema kolumnami frontowymi po lewej i prawej stronie przedstawione były figury Hipokratesa i Galena, a wyżej na gzymsie umieszczony był herb księcia Vincenza Gonzagi, znanego arystokraty, któremu zapewne dedykowane było dzieło. W dolnych partiach można było rozpoznać archaniola Rafaela prowadzącego młodego Tobiasza, który trzyma w lewej ręce rybę.

Na samym dole z brzegu odkryłam napis kursywą: *Apud Gasparem Bindonum iuniorem. Venetijs, 1597*. Dzieło zatem zostało wydane przez Gasparego Bindoniego, potomka jednego z najświetniejszych rodów drukarzy weneckich. Tagliacozzi kazał wydać swą księgę w mieście nad laguną, z pewnością dlatego że uchodziło ono za najbardziej liberalny ośrodek drukarstwa w Italii. Ale i tam istniał urząd sprawdzający, czy nowo wydane dzieło nie zawiera treści bluźnierczych. Można to było rozpoznać na pierwszej stronie wewnętrznej, gdzie widniały następujące słowa:

W roku 1597, 29 dnia miesiąca kwietnia, zarejestrowane w Urzędzie przeciwko Bluźnierstwu Philippus Brocardus

Współadjutor w Urzędzie przeciwko Bluźnierstwu

W końcu otworzyłam księgę i zagłębiłam się w jej treść. Już po kilku stronach stwierdziłam, że Tagliacozzi zawarł w tych dwu książkach całą swą wiedzę. Stanowiły one syntezę i opracowanie przypadków z trzydziesto lat jego działalności lekarskiej. *Ars repa-ratoria* z jej sześcioma aktami opisana była w najdrobniejszych szczegółach i zilustrowana licznymi rysunkami. Studiowałam rozdział Po rozdziale i wiele z tego, co czytałam, wydało mi się nader znajome. Jednakże podobnie jak w dziele *De Instrumentis pro Arte Reparatoria* Tagliacozzi i tutaj pominął mój wkład w udoskonalenie operacji i technik operowania. Było to dla mnie tym bardziej bolesne, że

wspomniał innych lekarzy i chirurgów. Obok zasług dawnych mistrzów sztuki medycznej wymienione zostały także zasługi współczesnych lekarzy. Znalazłam tam takie nazwiska jak Alessandro Benedetti, Andreas Vesalius, Ambroise Pare, Etienne Gourmelen, Johannes Schenk von Grafenberg i szereg innych. Tagliacozzi we właściwy sobie, ozdobny i metaforyczny sposób napisał, że wszyscy wymienieni mieli wprawdzie bardzo zdecydowane zdanie w kwestii *ars reparatoria*, jednakże nigdy nie uczestniczyli w takiej operacji, nie mówiąc już o tym, żeby sami jakąś przeprowadzili. Ponieważ znałam go dobrze, wiedziałam, jaką satysfakcję musiał mu sprawić ten przytyk wobec kolegów.

Stało się dla mnie jasne, że po raz drugi całkowicie świadomie pominął moje nazwisko.

Jak mocno to cię dotyka? - pytałam samą siebie i poczułam, że zabolalo mnie to prawie tak samo jak za pierwszym razem. Niewymienienie mojego nazwiska było po prostu niesprawiedliwe. Było krzywdzące, małoduszne, było...

Napomniałam się, by zachować spokój, i mówiłam sobie, że mam inne zmartwienia niż złość na kogoś, kto już nie żyje. Ale ten zmarły żył dalej. Żył w swoich dziełach i w tych właśnie dziełach przemilczał mój wkład w naukę. Więcej, przypisał go sobie i chwalił się nim.

Gdy burza emocji trochę we mnie opadła, przywołałam na pamięć pewne zdanie Arystotelesa, wielkiego filozofa, którego tak chętnie i często cytował Tagliacozzi. Brzmi ono: szczęście to zadowolenie z siebie.

Czy ja byłam z siebie zadowolona? W jakimś sensie na pewno tak. Zgiełk, pośpiech, pogoń za sławą, to wszystko, co było ważne w wielkim mieście, przestało się dla mnie liczyć. Liczyło się teraz tylko to, co mnie otaczało: przyroda, góry, zwierzęta... Latif.

A jednak nadal mnie to gnębiło i kilka dni później, gdy siedzieliśmy wieczorem przy ogniu, rzekłam do Latifa:

- Coś postanowiłam, ale nie mogę tego zrealizować sama. Pomożesz mi w tym?

- Pozwól mi zgadnąć, co zamierzasz. - Latif przerwał lekturę Koranu.

- Nie zgadniesz.

- A może jednak, Mario. Chcesz spisać historię swojego życia, prawda?

Zdumiałam się.

- Tak, to prawda, ale skąd mogłeś wiedzieć, skoro ja sama aż do tej chwili nie wiedziałam?

- Znam cię. Obserwowałem cię, gdy czytałaś książki nikczemnego człowieka. Z pewnością znowu zapomniał wymienić twoje zasługi.

- Wygląda na to, że nie mogę mieć przed tobą żadnych tajemnic. Chciałabym spisać relację z mojego życia i w niej ujawnić prawdę. Mam nadzieję, że ktoś ją kiedyś znajdzie, być może gdy nas obojga nie będzie już na świecie - za pięć, dziesięć, a może dopiero za pięćdziesiąt pokoleń - przeczyta, jak się żyło w naszych czasach i w naszym kraju, przeczyta o rozrzutnym bogactwie i o straszliwej nędzy, o pysze i pokorze, o okresach postu i o ucztach, o zazdrości, zawiści i intrygach, ale też o prawdziwej wierności i szlachetnej przyjaźni. Dowie się, jak wiele niesprawiedliwości i prześladowań spotykało kobiety, gdy rościły sobie prawo do tego, by być równe mężczyznom, i z niedowierzaniem będzie potrząsał głową nad prze-kupnością urzędników, zepsuciem kleru i zabójczą ciasnotą umysłową inkwizycji... O tym wszystkim chcę napisać, a moje życie ma być osią tej opowieści. Czy zechcesz mi pomóc spisać prawdę? - Tak, Mario, chcę.

- Zatem będziesz musiał zapisać setki stron w świetle ogniska, będziesz musiał pisać co wieczór, co noc, a na koniec będziesz musiał z tych stron stworzyć księgę, która dobrze zabezpieczona będzie mogła w sekretnym miejscu przetrwać setki lat. Czy jesteś gotów podjąć się tego zadania?

- Tak, Mario. - Latif odłożył Koran. - Nic w naszym życiu nie dzieje się bez woli Allaha i z pewnością nie jest przypadkiem, że akurat czytałem Piątą Surę. Jest w niej napisane, że prawda jest w równym stopniu spełnieniem, jak i strażnikiem naszego życia. Allah Litościwy, Allah Miłosierny pomoże mi spełnić twe życzenie i utrwalić wiernie twoją historię.

- Dziękuję ci, Latifie - powiedziała wzruszona. - Ale jak wiesz, to jest długa historia. Być może miną lata, zanim opowiem ją do końca, jeśli w ogóle zdołam ją opowiedzieć do końca.

- To nic. Prawda jest warta każdego wysiłku.
- Więc kiedy możemy zacząć?
- Od razu, Mario, od razu.

Od tej pory minęły cztery lata. Nadal żyję i jestem z powrotem w terażniejszości. To było dla mnie ważne, wcielić zamiar w czyn, chociaż niejedną raz myślałam, że będę musiała się poddać, gdy powalała mnie podstępna choroba. Ale za każdym razem Latif dodawał mi otuchy i zachęcał, bym dyktowała mu do końca historię mojego życia.

Nie odczuwam triumfu, lecz tylko głęboką satysfakcję, gdyż nazwałam po imieniu prawdę, to drogocenne dobro, bez ogródek, sumiennie i uczciwie. Także wobec siebie samej.

Powiedziałam to, co miało być *powiedziane*. W moim sercu panuje spokój i pogoda ducha, a do tego cicha ufność, że „Medycyka z Bolonii” któregoś dnia zmartwychwstanie.

Mam teraz czas.

To, co się dzieje na świecie, już mnie nie dotyka. Czy papież w Watykanie nazywa się Urban, Grzegorz, Innocenty czy Klemens, czy sułtan w Istambule umarł, czy w Wenecji rządzi nowy doża albo czy w Anglii po królu tron obejmuje królowa - jest mi to wszystko obojętne, podobnie jak plotka, że doczesne szczątki Tagliacozziego wyciągnięto z grobowca i zakopano w nieznanym miejscu, ponieważ Kościół potępił jego i jego dzieło jako nieprawomyślne i przeciwne naturze.

Czas to dar od Boga i dziękuję Wszechmogącemu, że wolno mi spędzić resztę moich dni razem z Latifem przy ciepłym ogniu. Gdy opowiadałam ostatni rozdział historii mojego życia, coś się we mnie narodziło. Poczułam, że to nie rozum, ale moje serce mówi słowa, które dyktuję Latifowi. Głębokie, mocne, nieznanne mi nigdy wcześniej uczucie do niego przepływa przeze mnie, uczucie inne od bliskości, wdzięczności i sympatii...

Tak, Latifie, mówię o tobie, unieś twarz i popatrz na mnie, abym mogła ci to powiedzieć: myślę, że cię kocham. Nie patrz taki zdumiony. Myślę, że naprawdę cię kocham. Nareszcie to zrozumiałam. Odłóż pióro, tak, odłóż je i chodź do mnie.

Przyjdź na tę stronę ognia...

SUPLEMENT

*Sześć aktów rekonstrukcji nosa
według Gasparego Tagliacozziego*

Wszystkie ilustracje pochodzą z:
Gnudi/Webster: *The Life and Times of Gaspare Tagliacozzi, Surgeon
of Bologna*, Nowy Jork 1950

AKT PIERWSZY

Drzeworyt na stronie obok ukazuje pacjenta z kikutem nosa oraz jego lewe ramię, z którego do rekonstrukcji nosa zostanie pobrany płat skóry. Akt pierwszy polega na wykonaniu płata połączonego jeszcze na końcach ze skórą ramienia. Za pomocą sondy przeciąga się pod nim lniany pasek i związuje go. Ten sposób postępowania powoduje zapalenie, leczone okładami i maściami, w którego wyniku następuje pożądane zropienie. Tak przygotowuje się skórę do przeszczepu.

EE widok okaleczonego nosa z przodu

AG płat skóry oddzielony od ramienia

CD górna część płata

HQ dolna część płata

BE lniany pasek



AKT DRUGI

Kiedy po dwóch tygodniach rana na ramieniu zropieje, a płat wyschnie i przywiednie, odcina się go od góry, tak żeby był swobodny z trzech stron i wisiał jedynie na skrawku skóry od strony łokcia. W ten sposób przygotowuje się płat do zrośnięcia z okaleczonym nosem.

GDH płat skóry oddzielony od ramienia

H wolny koniec płata

G koniec płata połączony z ramieniem

D płat skóry

ABF obszar, z którego wycięto płat

E tkanka mięśniowa



AKT TRZECI

Polega on na przygotowaniu kikuta nosa za pomocą specjalnego narzędzia. Potem przykrywa się okaleczony nos kawałkiem pergaminu i obrysowuje jego kontur. Według tego szablonu przycina się płat skóry, dopasowując go do kikuta nosa. Następnie przyszywa się płat, którego spodnia strona również została przygotowana, przy czym jeden jego koniec nadal połączony jest z ramieniem. Przyszywać należy starannie, równym ścięciem, zaznaczywszy uprzednio miejsca wkłucia igły. Następnie unieruchamia się ramię pacjenta za pomocą bandażu i kamizelki usztywniającej, tak żeby płat skóry mógł przyrosnąć do nosa.

L	koniec płata skóry przeznaczonego do przeszczepu
I	początek płata
N	pole operacyjne opatrzone i zabandażowane
αεω	główny bandaż
DD	bandaż podtrzymujący łokieć
CCC	bandaż biegnący przez klatkę piersiową
M	górny bandaż poprzeczny
BB	bandaż przeprowadzony pod pachą
OO	kaptur
NN	otwór w kapturze na ucho
GGG	przód kamizelki usztywniającej
HH	sznurowanie przedniej części kamizelki
AAA	sznury zabezpieczające



AKT CZWARTY

W czwartej fazie operacji, najpóźniej po dwudziestu dniach, płat skóry winien przyrosnąć do kikuta nosa. Oddziela się go od ramienia w taki sposób, by spory fragment płata wystawał poza kikut. Pacjenta uwalnia się od wszystkich usztywnień, tak że może się swobodnie poruszać.



AKT PIĄTY

Polega on na wymodelowaniu nosa. Odstający kawałek płata przymocowuje się za pomocą bandażu do górnej wargi w taki sposób, żeby później można było uformować przegrodę nosową i dziurki nosa.

A dolny bandaż przykrywający grzbiet nosa

B górny bandaż (od przegrody nosowej do potylicy)

C dolny bandaż sięgający do potylicy

D węzeł górnego bandaża na potylicy

O węzeł dolnego bandaża na potylicy



AKT SZÓSTY

Polega on przede wszystkim na uformowaniu przegrody nosowej. Powolne, stopniowe poprawianie kształtu nosa odbywa się przy użyciu modelu nosa (*tectoria*). Wprowadza się do niego rurki (*tubuli*) z ołowiu, srebra albo złota. Co najmniej przez dwa lata pacjent powinien zakładać na noc model nosa wraz z rurkami, aby osiągnąć pożądany rezultat.

CB ukształtowany nos

E zabliznione miejsce po wycięciu płata skóry



PODZIĘKOWANIA AUTORA

Siódmego sierpnia 2008 roku w idyllicznej dzielnicy Kopenhagi Nyhavn narodziła się *Medyczka z Bolonii*. Książka ta jest rezultatem niezwykle przyjemnej, żywej i twórczej dyskusji, prowadzonej przez moją żonę, mojego wydawcę Hansa-Petera Ubleisa i mnie. Nie powstałaby bez tych dwojga i ich czynnego wsparcia, dlatego też serdecznie im dziękuję.

Wolf Semo

PODZIĘKOWANIA TŁUMACZKI

Serdecznie dziękuję za pomoc mojemu mężowi Adamowi Faudrowiczowi, dr Katarzynie Broczek za pomoc w sprawach medycznych, Hannie Tygielskiej - w sprawach języka włoskiego oraz domowi dla tłumaczy Looren w Szwajcarii i Fundacji pro Helvetia za wsparcie finansowe.

Maria Przybyłowska